



William  
**DIEHL**

**TAJSKI  
KON**

AMBER mizik

Christian Hatcher, dawny współpracownik amerykańskiego wywiadu, zdradzony i zapomniany przez swych mocodawców, wraca do Hong Kongu po latach pobytu w więzieniu. Za wszelką cenę pragnie dowiedzieć się prawdy o losach przyjaciela, który zaginął podczas wojny w Wietnamie. Hong Kong i Bangkok to wrota na świat „złotego trojkąta”; stąd rozprowadza się heroinę. Poszukiwania zaginionego dają zaskakujące rezultaty: Hatcher odkrywa szokującą tajemnicę.

William  
**DI EHL**

**TAJSKI  
KON**

Cena det. zł 55 000,-

  
AMBER   
MIZAR

ISBN 83-7082-210-X

**D**William  
**DEHL**

**TAJSKI  
KON**

Przełożyła  
Zofia Pawłowska



Tytuł oryginału THAI HORSE

Opracowanie graficzne

Studio Graficzne FOTOTYPE

Redaktor

MIROŚLAW GRABOWSKI

Redaktor techniczny

ELŻBIETA STEFANSKA

Copyright © 1987 by Hooligans, Inc.

For the Polish edition

Copyright © 1993 by Wydawnictwo Pegasus Sp, z o.o.

Published in cooperation with

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-210-X

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1993.

Wydanie I

Zakład: KOLONEL

w Łomiankach

Druk: Drukarnia Wojskowa

w Łodzi

*Czworgu nieocenionych przyjaciół:  
mojemu agentowi, Owenowi Lasterowi,  
mojemu wydawcy, Peterowi Gethersowi,  
mojemu doradcy, Buddy'emu Harrisowi,  
i, jak zwykle, miłości mego życia, Virginii*

# KSIĘGA PIERWSZA

*Niektórym ludziom dane jest prześliznąć się  
przez lata i łagodnie opaść w spokojny grób,  
nie zdając sobie sprawy, ile w życiu jest  
perfidii, przemocy i strachu.*

JOSEPH CONRAD

# WIETNAM, 1972

## „BLACK PONY”

Usłyszał, że dostali, ale nie poczuł. Stłumiony huk wstrząsnął kadłubem. Gdyby nie nagle lekkie drżenie drążka, nawet nie zauważyłby tego, co teraz widział z prawej. Postrzępione płyty blachy jeden po drugim odpadały od czegoś, co do niedawna było skrzydłem. Chwilę później rozległ się dobrze znany i przerażający grzechot pocisków półcalowego kaemu przeciwlotniczego, dziurawiących kadłub dwusilnikowego OV-10. Szarpnęło wściekle i zarzuciło w przeciwną stronę. Stracili sto stóp, gdy jeszcze całe lewe skrzydło przeważało maszynę. Cody zmagał się ze sterem próbując wyrównać. Przekręcił wyłącznik i nadał:

— Mayday, Mayday, tu Chilidog Jeden do Corkscrewa. Dostałem. Traćę kontrolę nad maszyną.

Powiedział to dziwnie spokojnie, jakby z rezygnacją. Niewielkie zniekształcenie barwy głosu — jakby ktoś dał za dużo basu we wzmacniaczu — sugerowało, że mają poważne kłopoty.

Byli za nisko, żeby skakać. Cody zawsze schodził nisko. Mówiono, że czochnął czubki drzew. Swoim załogom powtarzał: „Zejść tak, żebyście rozróżniali kolor oczu u żółtków”. Celne pociski wystrzelone spod gęstej zielonej zasłony metodycznie szarpały na strzępy kadłub dwusilnikowego szturmowca.

— Trzymaj się — powiedział do strzelca. Nie usłyszał odpowiedzi.

Spojrzał w tył. Rossiter siedział skulony w pogiętej wieżycze. Pocisk odstrzelił mu twarz. Nie było czasu na współczucie. Cody spadał. Dżungla wyrosła mu nagle przed oczami. Dwieście jardów do rzeki. Na drugim brzegu byłby wolny. Wiedział, że mu się nie uda.

Wszedł na kanał, zanim dowództwo odpowiedziało na pierwszy komunikat.

— ...Chilidog Jeden... pół mili na północ od pozycji Wietkongu... spadam z pięciuset stóp.

Radiooperator zareagował natychmiast.

— Chilidog Jeden, dasz radę przez rzekę?

— ...buję...

Operator zmienił zakres i wezwał ratownictwo.

— Corkscrew do Ratownika. „Black Pony” spada pół mili na północ od pozycji Wietkongu, paręset jardów od pola walki. Odbiór!

— Ratownik do Corkscrewa. Słyszemy go... Huey w drodze.

— Chilidog Jeden, będzie huey. Staniesz nad rzeką?

— Nie dam rady... Spadam...

Radio zamilkło.

— Cholera jasna, stracimy go — mruknął operator i krzyknął do pomocnika: — Dawaj tu szefa, Wicker!

— Robi się — odszczeknął starszy marynarz o czerstwej twarzy, chwytając za telefon.

Maszyną szarpnęło ostro. Drażek nie działał. Cody próbował manewrować orczykiem, ale też na próżno. Nie uszkodzone skrzydło uniosło się lekko w górę, po czym przeważało i samolot obrócił się brzuchem do góry. Cody pchnął drażek. Dziób szarpnął w górę, a tylne usterzenie wgryzło się w gałęzie i zostało oderwane. Zielony gąszcz chwycił maszynę. Cody odepchnął drażek, przywarł do deski i zasłonił twarz. Usłyszał zgrzyt i jęk szarpanej blachy. Konary rozerwały poszycie kadłuba. Potem wszystko ucichło. Zabójczy huk i pęd urwały się nagle, jakby świat zastygł w czasie.

Wisiał głową w dół. Spojrzał na ziemię. Znajdowała się około dwudziestu stóp pod nim. Samolot zmienił się w kłęb pogiętego żelastwa. Cody odwrócił się do Rossitera, tkwiącego na swoim miejscu z ramionami bezwładnie zwisającymi ku ziemi.

Pogięta i do połowy otwarta osłona kokpitu huśtała się na ostatnim całym zawiasie. Uderzył w nią otwartą dłonią. Osłona odskoczyła i zniknęła w gałęziach. Poczul dym.

Drżąc na całym ciele od wibracji i huku powiedział do siebie: „Muszę się wydostać”. Rozluźnił pasy. Chciał zawisnąć na rękach i skoczyć nogami w dół w koronę drzewa. Swąd przybierał na sile. Uprzeź puściła nagle i poczul, że spada. Odruchowo sięgnął w stronę gałęzi, która uderzyła go w dłoń i urwała się. Szarpnięcie obróciło go tak, że spadał stopami do ziemi. „Jak na spadochronie — pomyślał objijając się o konary — kolana ugięte, stopy razem, potem przewrót...”

Kontakt z ziemią wypadł fatalnie. Poczul, jak rzepka pękła z trzaskiem, a piekący ból schodził w dół goleni aż do kostki. Zacisnął zęby. Był zlany potem.



Rozejrzał się. Do rzeki pozostało około dwudziestu jardów. Wstał i kuśtykając gorączkowo, ruszył w stronę połyskującej między drzewami wody. Wiedział, że ze wszystkich stron otaczają go wrogowie, ale liczył na łut szczęścia. Wtem zaskwierczało nad głową i za plecami. Chwilę później zapaliły się zbiorniki. Skulił się w żarze i pokuśtykał ku rzece, wlokąc zgruchotałą nogę. Nie odwrócił się. Z lewej strony usłyszał znajomy warkot helikoptera, który leciał w górę rzeki.

„Boże, prędziej”.

Do wolności zostało dwadzieścia jardów.

— Ratownik Jeden do Corkscrewa. Widzę „Black Pony”.

Helikopter zawisł dwadzieścia stóp nad wodą. Młody strzelec, Harley Simmons, mrużąc oczy wypatrywał oznak życia w zielonej gęstwinie. W słuchawkach zaskrzeczał głos pilota.

— Masz coś, Simmons?

— Patrzę kapitanie, patrzę w...

Huk przerwał mu w pół słowa. „Black Pony” rozleciał się na strzępy, a jasnopomarańczowa sycząca kula ognia uniosła się w górę. Parę sekund później nad kadłubem śmigłowca, kilka stóp od głowy Simmons'a, zagwizdały pociski.

— Strzelają do nas! — wrzasnął do mikrofonu.

— Co z tamtymi? — odkrzyknął pilot.

Wtedy Simmons zobaczył go. Kuśtykając uchodził spod żaru. Jedną nogę włókł bezwładnie za sobą. Kierował się ku rzece. Był blisko — jakieś dwadzieścia, może trzydzieści stóp. Zanim Simmons zdążył zameldować, kolejna seria zgruchotała otwartą osłonę drzwi. O hełm zagrzechotały odłamki. Gdy koło ucha zagwizdały Simmonsowi dziewięćmilimetrowe pociski, sparaliżował go strach. We wraku nastąpiła kolejna eksplozja i płomień rozszalał się na dobre.

„Nie uda mu się” — powiedział do siebie Simmons, gdy ogień karabinów maszynowych gęstniał wokół helikoptera.

— Nic nie widzę, kapitanie — skłamał. — Dranie grzeją od tyłu.

Pilot podniósł brzuch maszyny w stronę drzew, zrobił zwrot i ruszył w dół rzeki.

Simmons opadł na kolana. Dygotał. „Boże, co ja zrobiłem...” Był zbyt przerażony, by powiedzieć to głośno. Słyszał, jak pilot melduje:

— Ratownik Jeden do Corkscrewa... Straciliśmy go...

Cody był już prawie na brzegu. Usłyszał strzały z prawej i znieruchomiał. Padł na ziemię i zaczął się czołgać do wody. Helikopter wisiał nad rzeką niecałe sto stóp od niego.

„Tutaj, tutaj! Prędzej” — ponaglał ich w duchu. Zaczął się podnosić, by dać znak ręką. Przerażony zobaczył, że maszyna podrywa się i odlatuje w dół rzeki.

„Nie! Nie!!!” — wołał do siebie.

— Tutaj! — krzyczał zrozpaczony.

Wstał i ruszył do wody. Na drugim brzegu będzie bezpieczny. I wtedy z eksplodującej maszyny buchnęło morze płomieni. Żar przetoczył się po nim i spowił jego ciało jak koc. Cody zakrył twarz, padł i skulił się pod nawałnicą szalejącą w koronach drzew. Ogniste piekło dobrało się do jego stóp i pleców. Czołgał się dalej. Do rzeki.

Był dziesięć stóp od wolności, gdy się poddał.

Dowódca wpadł do baraku radiowego z twarzą zastygłą z gniewu.

— Co jest, do cholery, Wicker? — warknął.

— Właśnie straciliśmy jednego, porucznika — odpowiedział radiooperator głuchym głosem.

Porucznik załamał się. Zwiesił bezwładnie ręce i pokręcił głową.

— Cholera jasna! Kto to był?

Po chwili wahania operator odpowiedział:

— Chili Jeden, sir. Porucznik Cody.

Dowódca zamknął oczy i zacisnął zęby, aż zgrzytnęło.

— Jezu Chryste — jęknął i po chwili dokończył: — Łącz z naczelnym w Sajgonie. Muszę zameldować staremu, że straciliśmy jego syna.

# AMERYKA ŚRODKOWA, 1985

## LOS BOXES

Na początku rzeka była bystra i szeroka, ale dżungla stopniowo brała we władanie posiadłość rywalki. Czwartego dnia podróży mozolnie posuwali się po czymś, co przypominało zmęczoną strugę, leniwie wijącą się pod naporem wszechobecnej i nieprzyjaznej zieleni. Zmierzali do zapomnianej przez Boga i ludzi placówki odległej sto sześćdziesiąt mil od Madrango, stolicy kraju. Mocno nadgryziona zębem czasu, wilgocią i upałem łódź, prowadzona ręką ciągle zaspanego kapitana, parła pod prąd posapując z wysiłku. Gałęzie chłostały burty i bez żenady wkręcały się w każdy bulaj i luk. Stara krypa stękała i trzeszczała, odpierając kolejne ataki agresywnej dżungli.

Jedyny pasażer wyglądał jak groteskowa pulchna postać z pijackiego snu. Chorobliwa otyłość zamieniła niegdyś subtelną twarz w nabrzmiały owal o wyblakłych niebieskich oczach, małych ustach i zadartym nosie ginącym w fałdach tłuszczu. Mężczyzna siedział skulony, ze ściśniętymi nogami, na rozlatującym się składanym krześle w dziobie łodzi. Głowa opadała mu na piersi. Biały kapelusz zsunął się na czoło tak nisko, że oparł się o brwi. Delikatne pulchne dłonie z fałdkami tłuszczu ścisnęły parasol, który osłaniał go przed palącym słońcem. Biały garnitur, przeпоcony pod pachami i na plecach, źle leżał; spodnie były za krótkie i zbyt ciasne. Z rękawów wystawały nie zapięte mankiety. Właściciel nie był w stanie ich dopiąć na masywnych nadgarstkach.

Nazywał się Randall Wilfred Pratt III. Ku powszechnemu i nie ukrywanemu niezadowoleniu personelu przybył do ambasady w charakterze przedstawiciela Departamentu Stanu USA. Na papierze prezentował się bez zarzutu. Dyplom Harvardu z wyróżnieniem, ojciec — hojny ofiarodawca i wpływowy makler popierający rządzącą partię, tudzież doradca prezydenta.

W rzeczywistości Pratt III był kłopotliwy dla całej ambasady jako typowy dygnitarz przywieziony w teczce z dotacjami i poręczeniami. Przebywał na wygnaniu w niestabilnym latynoamerykańskim państewku, gdzie trzymano go z dala od wszystkich ważniejszych spraw i wyciągano z lamusa tylko w najmniej pożądanym okolicznościach. Była to doskonała posada. Nie wymagała żadnej znajomości sztuki dyplomacji.

Od dwóch dni siedział skulony na dziobie, czekając i wypatrując miejsca tak odrażającego, bezlitosnego i przerażającego, że jego nazwę nawet najsurowsi sędziowie wymawiali półgłosem. Pratt nie mógł się uwolnić od niepokoju wyczekiwania, który narastał w nim aż do krzyku.

Łódź przedarła się przez gęsty szpaler zieleni i to, na co czekał, wyrosło przed oczami jak upiór — potężny kamienny bastion skrzepowany winoroślą, przygnieciony wilgotnym mchem i zduszony przez dżunglę. Stało się to tak nagle, że przenikliwy wrzask zaskoczonego pasażera poderwał kapitana na równe nogi, przerywając mu drzemkę. Pratt otrząsnął się szybko. Odwrócił się i machnął ręką, próbując zatuszować zakłopotanie. Wyjął chusteczkę i nerwowo wytarł twarz.

„Wielki Boże, czy Hatcher jeszcze żyje? — zapytał siebie. — A jeśli żyje, to czy ja mam dość oleju w głowie, że pcham się w takie miejsce?”

## HATCHER

Christian Hatcher siedział trzy lata i dwa miesiące. Dokładnie tysiąc sto osiemdziesiąt trzy dni. Nikt w Los Boxes nie znał jego nazwiska, co nie było niczym wyjątkowym. W Los Boxes nikt nie znał nazwiska współwięźnia. Zesłanie tam oznaczało skazanie na zapomnienie.

Z Los Boxes nie można było uciec. Wyrastało nad dżunglą jak widmo otoczone dwustumilowym pasem wiecznie zielonego dusznego lasu, który tylko z góry wyglądał jak szmaragdowy raj. W ciemnościach pod zielonym baldachimem roilo się od jadowitych węży, jaguarów i dzikich świń. Ruchome piaski czekały na kolejną ofiarę, a winorośl w gorącym, wilgotnym klimacie pięła się tak szybko, że mogła zadusić człowieka we śnie. Tu nie było ścieżek ani szlaków — dżungla rozprawiała się z nimi w kilka godzin.

Stuletnia winorośl oplatała popękane mury cytadeli tak gęsto, że zdawało się, iż budowla stoi tylko dzięki niej. Wewnątrz znajdowało się dwieście dwadzieścia identycznych cel z kamienia i gliny. Każda miała dziesięć stóp

kwadratowych powierzchni, osiem stóp wysokości i jedną żarówkę, która świeciła w zależności od kaprysów generatora, oraz zakratowane okno, przez które z trudem mógłby się precyzyjnie przycisnąć niedożywiony nastolatek. Jedy- nym przeciwnikiem była przyroda. Nikt nie pamiętał, kiedy i dlaczego zbu- dowano to więzienie, lecz od z górą stu lat trzymano tu więźniów politycz- nych. Rządy upadały i powstawały, a Los Boxes trwało. W Madrango jego nazwę szeptano z lękiem.

Nie prowadzono tu ewidencji skazańców. Data przybycia była bez zna- czenia. Nowemu więźniowi przydzielano celę — jej numer stawał się jego tożsamością.

Tysiąc sto osiemdziesiąt trzy dni temu Hatcher został numerem sto dwadzieścia siedem.

Regulamin był prosty: Pracujesz i ani słowa do współwięźnia. Kropka.

Nikt nie odmawiał pracy. Nikt się nie wykręcał. Praca była jedyną okazją do wyjścia na zewnątrz, na świeże powietrze, zażycia odrobiny ruchu. Tych, którzy odmówili pracy, okazali opór lub przejaw buntu, zamykano w celi i zapominano o ich istnieniu.

Jeśli więzień odezwał się do współtowarzysza, strażnicy po prostu obci- nali mu język.

Nikt nie próbował drugi raz: Los Boxes było okrutnie praktyczne i sku- teczne.

Strażnicy — tylko sześciu — rekrutowali się spośród więźniów. Kiedy *federales* odchodzili, dostawali obłądu lub umierali toczeni przez pasożyty, zastępowano ich skazańcami. Strażnicy-więźniowie nie byli ani lepsi, ani gorsi od kontraktowych. Choć mieli broń, strzelali tylko w obronie wła- snej lub do przypadkowych drapieżników.

Ucieczka oznaczała śmierć. Zbiega nikt nie ścigał. Strażnicy śmiali się w kułak i czekali. Kiedy uciekinier zdał sobie sprawę z bezsensu swoich zamia- rów, wracał. Trafiał z powrotem do celi, dostawał dwa posiłki dziennie i zapominano o nim.

Początkowo czuł się niesamowicie zawiedziony i bezsilny, jak poeta bez pióra albo mówca, który stracił głos. Nie było sposobu, by dać upust wście- kłości. Towarzystwa dotrzymywał mu jedynie bezwzględny inkwizytor, któ- ry nigdy nie zasypiał, a nazywał się sumieniem. Hatcher nie mógł uciec od nieustannego analizowania swoich czynów, wściekłości na samego siebie, a gdy miesiące stały się latami, specyfika tego miejsca i uwarunkowania poli- tyczne stopiły się w filozoficzny ciąg bytów abstrakcyjnych.

Czy zawiódł zaufanie? Czy cynizm odarł go ze szczętem z poczucia wartości? Czy taka była cena za nietolerancję, pogardzanie godnością? Wiwisekcja ciągnęła się w nieskończoność. Zasnął z pytaniem na ustach i budził się bez odpowiedzi. Nawet wspomnienia stały się odległą i pokrętną fikcją.

Kalendarzem były kolejne rysy na glinianej ścianie. W ciągu dnia czas odmierzały cienie krat na podłodze. Jedynie marzenia o wolności trzymały Hachera przy życiu, ale po trzech latach nawet one wyblakły i skurczyły się do maleńkich błysków nadziei. Zbyt małych, by zainspirować ucieczkę.

Początkowo rozważał jej możliwość bardzo poważnie. Swego czasu przeżył pięć miesięcy w parnej dżungli Laosu i Kambodży. Wyszedł i opowiadał, jak było. Innym razem dwóch członków jego załogi przetrwało dzięki niemu katastrofę samolotu załadowanego bronią, który spadł do dżungli na południe od Madrango. Jeden z nich miał pecha — zmarł od ukąszenia jadowitego węża, gdy byli na skraju lasu.

Nadchodzący obłęd powstrzymywały tylko wspomnienia i marzenia o ucieczce. Nie musiał się spieszyć. Czasu miał pod dostatkiem. Obserwował uważnie więzienie i miał nawet plan. Znał rozkład budynku, wszystkie szczeliny i zagłębienia w murach. Przystudiował wszystkie drogi wiodące do dżungli i zrobił wiele szkiców na podłodze i ścianach. Analizował dokładnie każdy wariant. Okno nie było przeszkodą. Czas i erozja zrobiły swoje — wystarczyło dobrze szarpnąć drągiem, który mógł przemycić w każdej chwili. Kiedy był na zewnątrz, skrupulatnie oglądał budynek więzienia — stary i przegniły. Wspinaczka po gołym murze na szczyt cytadeli wydawała się bulką z masłem. Cirillo dobrze go nauczył.

To był dzień, którego nie zapomni do końca życia. Stale miał go przed oczami.

Tkwiał przyklejony do skały, jakby była potężnym magnesem. Wiatr szarpał ubranie i kasał krwawiące palce. Hacher wydrapałby w ścianie dziurę i schował się w niej, gdyby to było możliwe. Miał siedemnaście lat i czuł się jak sparaliżowany.

To nie była góra. W żaden sposób nie dało się tego tak nazwać. Stustopowa iglica o spadzistych ścianach i płaskim wierzchołku stercząca samotnie wśród wzniesień Gór Zielonych trzy godziny drogi od Bostonu. Ciepły, słoneczny wrześnieowy dzień nie zapowiadał niespodzianek z pogodą, lecz nagle zrobiło się zimno i pochmurno.

Cirillo był dziesięć stóp wyżej i wspinał się jak pająk, przywierając twarzą

do skały. Bez ekwipunku. Bez liny, czekana. Tylko menażka i pudełko żywicy przytroczone do pasa. Wspinaczka swobodna — tak to nazywał polega na tym, że nie ma etapu przygotowawczego. Po prostu wspinasz się. Od początku.

Zanim zaczęli, Cirillo dokładnie obejrzał ścianę.

— Wygląda nieźle. Na początek w sam raz — rzekł.

— Powiadasz, że ja tam wejść? — odparł Hatcher niemal z paniką w głosie.

— Od czegoś trzeba zacząć.

— Nie chcę zaczynać od czegoś.

— Racja. Do tego trzeba mieć jaja — stwierdził Cirillo kładąc drugą puszkę żywicy u podnóża skały.

Palce Cirilla wyczuły niewielką szczelinę w pionowej skale. Zanurzył je w puszcze, strzepnął nadmiar żywicy i zaczął pięć się w górę. Przypominał olbrzymiego pajaka przyklepionego tułowiem do ściany, którego kończyny, poruszając się wolno i na pozór bezładnie, wyczuwały następny punkt oparcia dla palców, następny stopień i zagłębienie, na którym mógł się podciągnąć. Chłopak przyglądał się z lękiem.

— Pan ma bzika.

— Aha.

— A jak się skończą zagłębienia?

— Odpadasz.

— Bomba, nie ma co! — stwierdził Hatcher.

Cirillo wspinał się dalej. Mięśnie pęczniały mu jak balony, mozolnie dźwigając ciężar w górę. Hatcher wciąż patrzył i poczuł się głupio. Zbliżył się do skały i niepewnie przesunął po niej dłońmi, szukając rys, półek i występów. W końcu wziął puszkę żywicy, przywiązał ją do pasa i naśladowując ruchy Cirilla rozpoczął ciężką wspinaczkę.

— Powoli i nie patrz w dół — powiedział spokojnie Cirillo. — Ziemia nie ucieknie.

Hatcher wspinał się. Palce, ramiona i brzuch bolały niemilosiernie. Godzinę później był czterdzieści stóp wyżej. Kurczowo przywarł do iglicy, jak zgubione i przerażone dziecko do odnalezionej przed chwilą matki.

Cirillo zbliżał się do martwego punktu. Występ skalny na szczycie sterczał nad jego głową.

— Dalej nie dam rady — krzyknął Hatcher drżąc z wysiłku. — Nie mam się czego chwycić.

— Poszukaj z lewej, synu — odparł Cirillo. — Dobrze, trochę w lewo... ze dwa cale... o właśnie!

Krwawiące palce Hatchera odnalazły szczelinę, w której z trudem zmieściłyby się paznokcie.

— Za mała — krzyknął zaciskając powieki, wciąż przyklejony do ściany.

— Mnie wystarczyła, a mam dwa razy grubsze palce — odpowiedział Cirillo.

Hatcher zagłębił palce w szczelinę, wydrapał piach. Powiększyła się na tyle, że mógł podciągnąć się o następne sześć cali. Strach ścisnął mu gardło.

W tej chwili niebo pociemniało. Zerwał się wiatr. Przeszyło go przenikliwe zimno. Poczul pierwsze krople deszczu.

Wiatr nasilał się i smagał ciało. Hatcher czuł, że palce mu drżą.

— Robi się niewesoło, synu — krzyknął Cirillo. — Weź się w garść, na przód.

— Nie mogę...

— Gówno prawda. Rusz tylko tyłek albo zostanie z ciebie mokra plama na dole.

— Cholera.

Tylko tyle zdołał z siebie wydobyć. Palce pościerane niemal do kości krwawiły coraz mocniej. Stopy bolały jak nigdy przedtem. Ramiona drżały z wyczerpania. Pot spływał po twarzy, kłuł w oczy i laskotał kąciki ust.

Nigdy nie pragnął żyć bardziej niż teraz. Gdy pierwsze krople deszczu spadły na Cirilla, ten także zaczął się bać, ale nie mógł okazać tego chłopcu.

Był przy przewieszce. Powoli przesunął palcami do występu. Wyciągnął rękę, najdalej jak mógł, i poczuł ostrą krawędź. Zbadał ją ostrożnie dłonią, a gdy upewnił się, że występ go utrzyma, chwycił z całej siły i zawisł w powietrzu na jednej ręce. Spojrzał na chłopaka, który wciąż przywierał do ściany jak kępka mchu.

Zmienił rękę. Wisząc na prawej, wyciągnął lewą do Hatchera.

— Śmiało. Jeszcze sześć stóp i przejmę cię.

Hatcher gramolił się w górę, spojrzał na występ nad Cirillem i zamknął oczy szukając oparcia dla palców. Wreszcie jego głowa stuknęła o przewieszkę. Droga skończyła się.

— Złap mnie za rękę, synu.

Hatcher spojrzał przerażonymi oczami na Cirilla, na zapraszające palce wiszącej nad nim lewej dłoni przewodnika.

— Zaufaj mi, synu.

Dotychczas nie zaufał nikomu. Zaczął obracać głowę.

— Nie patrz w dół — powiedział Cirillo spokojnie, ale stanowczo.



Chłopak zamknął oczy i znów życie wydało mu się najcenniejszą rzeczą na ziemi.

— Daj rękę, synu — rozkazał Cirillo.

Hatcher powoli wyciągnął rękę w kierunku muskularnego ramienia policjanta. Poczul dotyk stwardniałych szorstkich palców. Zsunęły się po jego dłoni i zacisnęły wokół nadgarstka.

— Dobra. Teraz puść się.

— Co?!

— No już! Nie mogę tu sterczeć całą wieczność!

Hatcher zamknął oczy, przełknął ślinę i odczepił drugą rękę. Cirillo zacisnął zęby i powoli dźwignął na wpół bezwładne ciało chłopaka.

— Dobra. Złap mnie za kark.

Hatcher objął ramionami grubą, muskularną szyję policjanta, który przysunął się do krawędzi występu.

— Boże! — wyszeptał, gdy Cirillo wciągnął go na występ i przetoczył w bardziej bezpieczne miejsce. Hatcher leżał plackiem twarzą do skały. Każdym oddechem podrywał obłoczek piasku i okruszyn skalnych. Serce waliło jak młotem. Roześmiał się histerycznie.

— Do diabła, żyjemy! Żyjemy jak cholera!

Spotkał się ze śmiercią i okpił ją. Przeżył to pierwszy raz w życiu i był zuroczony.

— Udało się! — wrzasnął na całe gardło, aż echo odpowiedziało.

— Od życia nie ma urlopu. Zapamiętaj to, synu. Zrobisz sobie urlop i przepadłeś. Masz robotę, to ją wykonaj. Zawsze idzie o wszystko. Nie skąp siebie i nie odkładaj na potem.

Hatcher spojrział na niego i powiedział z zapalem:

— Chodźmy na następną!

Cirillo uśmiechnął się i spokojnie odparł:

— Najpierw trzeba zejść z tej.

„Ściany to drobnostka — myślał Hatcher. — Przejście przez dżunglę to dopiero ciężka sprawa”.

Nadeszła pora deszczu. Po murach więzienia spływała szara, lepka maź. Deszczowe tygodnie zmieniły się w miesiące. Z każdym dniem wejście stało się coraz bardziej niebezpieczne, gdy w ścianie przybywało zdradliwych niespodzianek. Próbował jak najdokładniej odtworzyć obraz, który widział tylko raz, gdy go tu przywieziono. Szkiecował mapy i plany na podłodze. Opracowywał trasę w górę rzeki. Próbował nanosić kierunki i odległości. Wreszcie pogodził się z faktem, że bez broni, bez kompasu, bez map

i najmniejszego rozeznania w terenie ucieczka równa się samobójstwu. Deszcz wciąż padał. Wyzwanie powoli wyblakło i straciło moc.

Narzucił sobie surowy reżim dnia. W celi gimnastykował się, by opóźnić zanik mięśni. Intensywny trening myślowy miał zapobiec pomieszaniu zmysłów, chociaż z dnia ma dzień granica między obłędem a przytomnością zacierała się.

By oddalić chwilę, kiedy obłęd weźmie górę, rozmyślał o kobietach w swoim życiu. Czasami imiona zwodziły go i kojarzył je z konkretnymi faktami. Spróbował odtworzyć historię pewnej szkolnej miłości. Jak miała na imię? Chyba Haley... Przypominał sobie, kiedy pierwszy raz jej dotknął. Tylne siedzenie chevroleta Cirilla. Ręce wędrowały po omacku w ciemnościach. Odsunęła się i skuliła, a gdy mimo to ją odnalazł, uległa i pozwoliła się dotknąć. Przyspieszony oddech. Przesunął rękę do piersi, które dopiero miały rozkwitnąć. Był przerażony rozbudzonym obok pożądaniem. Nie przewidywał, że odwzajemniona namiętność wkrótce stanie się szaleństwem. Kochali się wszędzie i jeszcze w kilku nieprawdopodobnych miejscach — na balkonie jedyne kina w mieście, opatuleni kocem w zagajniku w Massachusetts, a nawet w szafce na ubrania w żeńskiej szatni przy sali gimnastycznej jej liceum. Gdy klasa wyszła na zajęcia, zamknięte drzwi szafki rytmicznie odpowiadały każdemu porywowi młodzieńczej namiętności.

Potem on poszedł do akademii, a ona zakochała się do szaleństwa w szkolnym championie wolnej amerykanki.

Utratę dziewictwa przeżywał wielokrotnie. Wracała, ilekroć pozwolił myślom wędrować swobodnie, nawet gdy dotarły do pewnej alejki w Bostonie, gdzie nakrył go Cirillo. Hatcher był wówczas dobrze zapowiadającym się i twardym hersztem ulicznego gangu, Cirillo równie twardym i nie gorzej zapowiadającym się gliną, który go zgarnął i odmienił. To Cirillo zmusił go, by skończył ogólniak, przekonał do wspinaczki i do tego, że warto dać z siebie wszystko. Cirillo załatwił przyjęcie do Annapolis. Tam odkrył go Harry Sloan. Sloan. Wspomnienie o nim było najgorszą torturą. Nie wyobrażał sobie, że mógłby kiedykolwiek zaistnieć bez jego podstępnej ingerencji. Nie potrafił uzmysłwić sobie, kiedy dokładnie sprzedał swoje prawdy za cenę przydatności i pragmatyzmu, ale w tej samej chwili zmienił światło i radość życia na cień wojownika. Teraz, pozostając w odosobnieniu gorszym niż może przytrafić się zwykłemu śmiertelnikowi, Hatcher wielokrotnie na próżno przyzywał chwilę, w której podmieniono mu cel życia.

Na początku tylko nienawidził. Siedząc w ciasnym pudle zwanym całą,

wymyślał najbardziej wyrafinowane tortury dla Harry'ego Sloana. Z biegiem czasu zaczął szukać gdzie indziej, zrzucił winę na kogoś innego. Jednak w końcu wszystko sprowadziło się do jednego. To Sloan zrobił go, zdradził i skazał na powolną śmierć za życia.

Cirillo był wybawcą, Sloan przekleństwem i zniszczeniem.

Mimo to nie mógł wyprzeć Sloana ze świadomości. Był on nauczycielem i mentorem w jednej osobie. Wprowadził go w najtajniejsze i nie zawsze zgodne z prawem arkana zawodu, poczynając od otwierania każdego zamka, na doskonałym morderstwie kończąc. Teraz okazało się także, że nauczył go znosić najgorsze warunki. Jak na ironię, właśnie Sloan przygotował go do przetrwania w Los Boxes.

Sloan dotrzymał słowa. Obiecywał przygodę i wielkie przeżycia w najlepszym stylu, używając języka z licznymi ozdobnikami w rodzaju „patriotyzm”, „obowiązek”, „ojczyzna”. Było wszystko i jeszcze więcej. Wiele wspańiałych chwil. Tokio, Singapur i Manila.

Hongkong i Bangkok.

Zawsze łączyły się w jego myślach, gdy wspominał Cohena i sobotnio-niedzielne wypadki z Bangkoku do Hongkongu, by na kilka godzin wyrwać się z piekła w delcie.

Apartament na półwyspie Koulun, gdzie był tylko z Daphne.

Daphne. Boże, czy jeszcze żyje? Czy wciąż jest tak samo piękna...? Nazywał ją Daffy. Pasowało do niej.

Był także Sam-Sam Sam, Joe Karaluch i Ts'e K'am Men Ti, matecznik chińskich piratów rzecznych. Był Tollie Fong, cyngiel Triady, który poprzyśiął mu zemstę za zlikwidowanie ojca, wuja i czterech najbliższych koleśków.

Nie mógł wrócić do Hongkongu. Ani do Bangkoku. Za dużo duchów, wrogów i zaległych pożegnań.

Sloan wzbudzał w nim mieszane uczucia. To, co zaczęło istnieć jako więź nauczyciel — uczeń, nabrało cech związku między ojcem i synem. Jak na huśtawce uczuć, Hatcher to go uwielbiał, to przeklinał.

W końcu doszedł do wniosku, że nie da się dokładnie określić, kiedy nastąpiła zmiana w jego systemie wartości. W czasie pierwszego spotkania ze Sloanem był młody i łatwo uległ urokowi chwili. Dał się omamić wszechobecnemu uśmiechowi i pięknym słówkom. Zresztą Sloan był arcymistrzem zwodzenia słowem jak różdżką. W końcu Hatcher zrozumiał, że to on sam ponosi odpowiedzialność za to, kim był, co robił, za kształt i jakość tego, co zbudował.

Los Boxes stało się dla niego czyścicem.

Pewnej nocy usłyszał drapanie w ścianę. Był pewien, że to karaluch albo

szczur, ale po chwili głinę przebiła niewielka drzazga. Poruszyła się jak czulek ślimaka i wycofała.

— Psst.

Przyłożył ucho do otworka.

Usłyszał schrypnięty i dawno nie używany ludzki głos.

— Sto dwadzieścia siedem?

## STO DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Nie odpowiedział. Nie był w stanie. Paranoja i strach zablokowały mu gardło. A jeżeli to strażnik go podpuszcza? Ryzyko użycia języka było zbyt duże. Skulił się przy ścianie, przyciskając ucho do otworka, i nasłuchiwał.

— Sto dwadzieścia siedem? — powtórzył schrypnięty głos.

Zaschło mu w ustach. Chwilę trwał w bezruchu, po czym zakasłał.

— Sprytnie. Bardzo sprytnie — szepnął głos po hiszpańsku. — Jestem sto dwadzieścia sześć. Znałem twojego poprzednika. Był dziennikarzem w moim kraju. Bardzo dobrym dziennikarzem. Załatwiły go robaki i zielone jagody.

Boże, ten głos, całkiem przyjazny, był niczym odroczenie chwili nadejścia obłądu. Hatcher zadał sobie pytanie: jaki sens ma posiadanie języka, skoro się go nie używa?

— Słucham — odpowiedział szeptem i natychmiast odruchowo wepchnął pięść do ust.

— Nareszcie, wybawco.

— Jestem Hatcher, a ty?

— Nieważne, nieistotne — odparł sto dwadzieścia sześć nienaganną angielszczyzną. — Tu nie ma zwolnień warunkowych, darowania kary ani ucieczki. Jestem sto dwadzieścia sześć! Tak już zostanie. Ty jesteś sto dwadzieścia siedem.

— Jak długo tu jesteś?

— Odkąd Pan Bóg stworzył karaluchy.

— Powód?

— Kłamstwo na szkodę państwa.

— Ja też.

— Przywiązując wagę do kłamstwa, unieśmiertelniasz je. Nie ma żadnego znaczenia, dlaczego ja tu jestem ani dlaczego ty tu jesteś. Do tej pory nawet sądy zapomniały o naszym istnieniu. Dlaczego ma obchodzić nas to, co nie obchodzi nikogo? Kłamstwo to kłamstwo.

- Po prostu wolę tak myśleć. Zawsze to jakiś punkt zaczepienia.
- Nienawiść to żadne usprawiedliwienie. Zresztą każdy z nas jest tworem swoich własnych diabłów.
- Trudno mi się z tym zgodzić. Mój diabeł był elokwentny.
- Pokaż mi diabła, który zapomina języka w gębie. Nie myśl o nienawiści, bo doprowadzi cię do obłądu.
- O ile nic innego nie zrobi tego wcześniej.

I tak w ciągu następnego miesiąca Hatcher uznał, że jeśli kiedyś spotka Sloana, być może mu przebaczy, ale na pewno nie zaufa. Znał go na tyle, że wiedział, iż tamten zdradzi go ponownie, jeśli uzna to za celowe.

- Zabijałeś? — zapytał któregoś dnia sto dwadzieścia sześć.
- Tak, ale to była moja powinność.
- Niejedną zbrodnię uzasadniono powinnością i obowiązkiem.
- Masz rację.
- Jeśli wiesz o morderstwie, to także jesteś winny morderstwa.
- A co to ma do rzeczy?
- Czasami jesteśmy gotowi przebaczyć wszystko, co popełniono z pobudek patriotycznych, dlatego też każdy wyrzutek czy banita dostąpi przebaczenia, jeśli ogłosi się go patriotą. Sto dwadzieścia siedem, jesteś patriotą?
- Nie pamiętam. Tak. Chyba kiedyś byłem.
- Ale teraz na pewno jesteś wyrzutkiem.
- Fakt.
- Zatem wydaje się logiczne, że teraz nie jesteś patriotą. Wszystko jest względne, jak widzisz. Ja znalazłem się tu, bo uważałem się za patriotę. Pewnego dnia odkryłem, że patriotą dla jednych jest zwykłym zdrajcą dla drugich... Uważałem, że spełniam patriotyczny obowiązek. Pewnego dnia okazało się, że jestem zwyczajnym mordercą.
- Rozumiem.
- To znaczy, że też przez to przeszedłeś.
- Tak.
- Zatem rozumiesz, co mam na myśli. Święte oburzenie odróżnia patriotę od zbrodniarza. Patriotą znacznie łatwiej w nie wpada.

Hatcher z trudem przyswajał wiedzę. Zdarzało mu się zapomnieć, że reguły Los Boxes nie zmieniają się. Pewnego dnia pracował na skraju dżungli,

plantując teren pod kolejny warzywniak wokół cytadeli. Nagle z zarośli wypadł dzik. Olbrzymi cuchnący potwór z zakrzywionymi szablami i obłędem w przekrwionych ślepiach ruszył na Hatchera prychnając i zarzucając łbem.

Pierwszy atak odparł uderzając z całych sił motyką w ryj. Dzik cofnął się o kilka metrów i zaatakował ponownie. Hatcher krzyknął do strażnika i tą samą motyką sparował pchnięcie olbrzymich kłów, które bez trudu mogły mu rozplatać brzuch, rozszarpać nogę w najgrubszym miejscu albo podebrać gardło, gdyby się potknął i upadł.

Strażnik zbliżył się, ale nawet nie złożył do strzału. Stał piętnaście metrów od Hatchera i śmiał się.

— Zastrzel go! — krzyknął Hatcher.

Strażnik zareagował natychmiast:

— *Silencio!*

Dzik znów zaatakował. Tym razem Hatcher zamachnął się i wbił motykę w tłusty kark zwierzęcia. Pękła z trzaskiem. Dzik zaryczał z bólu, cofnął się i zaczął wściekle się kręcić jak pies za własnym ogonem.

— Na miłość boską, zastrzel sukinsyna! — krzyknął Hatcher.

Cofnął się i potknął.

— *Silencio!* — rozkazał strażnik biegnąc w jego stronę.

Dzik zakręcił się jeszcze raz, prychnął ze złością, uderzył racią w ziemię i ruszył na bezbronnego Hatchera. Ten pozbierał się na nogi, zaczął biec. Za plecami usłyszał strzał i kwik trafionego zwierzęcia. Inny strażnik, który stał nieco dalej, opuścił broń.

Hatcher odwrócił się. Dzik leżał na boku dziesięć stóp za nim. Krótkie nogi kopały powietrze, a łeb podrygiwał w przedśmiertnych skurczach.

Hatcher nie zdążył nawet odetchnąć z ulgą. Pierwszy strażnik uderzył go kolbą w gardło. Więzień obrócił się w miejscu i chwycił za szyję. Krew z popękanych naczyń wypełniła mu usta i zalała naruszoną tchawicę. Opadł na kolana. Krztusił się i charczał.

Strażnik pochylił się nad nim.

— *Silencio!* — powtórzył i odszedł.

Tej nocy sto dwadzieścia sześć powiedział:

— Masz dużo szczęścia. I język wciąż na miejscu.

— Nienawidzę drania — wykrztusił Hatcher przez obolałe gardło. — Zabiję go przy pierwszej okazji.

— Nie myśl o tym — powiedział sto dwadzieścia sześć. — Tutaj bardzo łatwo o nienawiść. Naucz się kochać i pokochaj. Kobietę, ojczyznę, wszystko jedno co. Bez miłości życie traci sens. Kochać to śmiać się i płakać, czuć nie dotykając. Człowiek pozbawiony emocji jest tylko maszyną, sto dwadzieścia siedem.

Hatcher przyznał mu rację, mimo że prawie przez całe życie właśnie nie-nawiść podtrzymywała go na duchu.

— Dlaczego tu nie wolno rozmawiać, sto dwadzieścia sześć? — wyszeptał z trudem.

— Rozmowa to zarzewie buntu.

— To ma sens.

— Na swój prymitywny sposób, sto dwadzieścia siedem, tu wszystko ma sens.

— Co robiłeś na wolności? — zapytał Hatcher rwącym się głosem.

— Byłem nauczycielem. Mentorem. Czy i ty miałeś mentora?

Po chwili namysłu Hatcher odpowiedział:

— Dwóch.

— Czego cię nauczyli?

— Jeden pokazał mi, co znaczy honor.

— A drugi?

— Jak o to nie dbać.

Sto dwadzieścia sześć zestarzał się w Los Boxes i tam umrze. W chwili szaleństwa próbował ucieczki, ale wytrzymał tylko dwa dni w dżungli. Uwięziony na zawsze w celi wiódł filozoficzne rozważania, by oddalić chwilę nadejścia obłądu.

— Rozmowa jest pożywieniem dla mózgu — mówił. — Gdy nie będziesz miał z kim rozmawiać, rozmawiaj sam ze sobą.

Udzielił także praktycznych rad:

— Jeśli uznasz, że to ma znaczenie, wydrap na ścianie imię, nazwisko i wiek. To ci pozwoli zachować tożsamość. Zrób to tak, by nikt nie zauważył. Tutaj dla wszystkich jesteś sto dwadzieścia siedem. Zapomnij, że na zewnątrz istnieje świat. Z tego nic dla ciebie nie wynika. Twoja rzeczywistość to Los Boxes. Tylko poczucie rzeczywistości pozwoli przetrwać.

— I co z tego?

— Nadzieja to klucz do szczęścia — odparł sto dwadzieścia sześć.

Stał się nauczycielem i wychowawcą. Udzielał lekcji codziennie, kiedy Hatcher wracał po pracy w polu.

— Kiedy jesteś na zewnątrz, nie jedz zielonych jagód. One cię zabiją.

Onanizuj się codziennie. W ten sposób unikniesz atrofii zmysłów.

Zapomnij o racjach polityków, którzy cię tu wsadzili. Toczy ich zgnilizna moralna. To chorągiewki na wietrze. Myśl o nich wyzwala gniew, który doprowadza do szaleństwa, a od tego tylko krok do śmierci.

Nie zaprzataj sobie głowy zemstą. To deprymujące. Zemsta wymaga praktycznego działania, a ono z kolei jest wrogiem myślenia i najbliższym przyjacielem złudzeń. W Los Boxes złudzenia doprowadzają do obłąd.

— To nie przyjdzie łatwo.

— Ale przyjdzie. Lepiej przebaczyć wrogowi niż wpuścić obłąd za próg.

— Czego obawiasz się najbardziej, sto dwadzieścia siedem? Dopiero po dłuższym namyśle Hatcher odpowiedział:

— Tchórzostwa.

— W takim razie dopóki żyjesz, nie masz się czego obawiać. Tylko tchórz jest gotów się zabić, by uciec z tego miejsca.

Potem były dalsze nauki.

— Jeśli zachorujesz, wylecz się sam. W przeciwnym razie zabiją cię, by zapobiec rozprzestrzenianiu się tego, co masz w środku. Tu nie ma lekarza.

Nie trać poczucia humoru. Twoja dusza odżywia się humorem. Gdy dusza jest głodna, głoduje także sumienie, a to twój jedyny i najwierniejszy towarzysz.

Nie jedz wieprzowiny. Jest zawsze nie dogotowana i będziesz miał robaki.

— Dziękuję ci, sto dwadzieścia sześć.

— Za co?

— Za naukę.

— Jestem nauczycielem. To radość mojego życia. Potem byli Grzybowidzi.

Początkowo Hatcher sądził, że sto dwadzieścia sześć miał dzień odwiedzin obłąd. Każdy więzień miał takie dni.

— Poszukaj kapeluszy — powiedział sto dwadzieścia sześć na krótko przed śmiercią. — Dużych kapeluszy w cieniu pod wysokim drzewem. Pokrusz je i zmieszaj z jedzeniem. Nigdy nie jedz samych.



Grzybowidzi są przyjaźni, ale gdy zjesz grzyby na surowo, oni wymkną się spod kontroli.

Hatcher nie miał pojęcia, o czym tamten bredzi.

— Czas się pożegnać.

— Nie!

— Jestem tu dwanaście lat, przyjacielu. Ostatni raz widziałem słońce dwa lata temu. To więcej niż można znieść. Moje serce jest zmęczone. Już nie chce bić.

— Potrzebuję cię — błagał Hatcher.

— Tak czy owak... — sto dwadzieścia sześć przerwał i po chwili dokończył: — Będę tęsknił, sto dwadzieścia siedem.

— Ale ja dwukrotnie mocniej.

Sto dwadzieścia sześć roześmiał się.

— Jednak nie straciłeś poczucia humoru.

Pierwszy raz je spostrzegł, gdy karczowali dżunglę pod kolejny ogród. Duże jasnożółte kapelusze o średnicy blisko pół stopy. Jaśniały jak klejnoty w gęstej, lepkiej ciemności pod drzewem. Zerwał jeden, pokruszył i wepchnął do kieszeni bluzy. W nocy posypał okruszynami porcję jarzyn, którą na cynowej misce wsunięto przez szparę w drzwiach. Zagłuszyły inne smaki pozostawiając tylko jeden — tektury przesiąkniętej piżmem.

Położył się na sienniku i wpatrzony w sufit zastanawiał się, dlaczego sto dwadzieścia sześć powiedział mu o kapeluszach. Być może zawierały jakieś witaminy i substancje odżywcze, które zapobiegają zanikowi kości.

Mglisty obłoczek w ciemnym kącie rozjaśnił się. Delikatna poświata była coraz silniejsza. Przybrała wyraźny kształt postaci czekających na rozkazy.

— Kim jesteście, czego chcecie? — wyszeptał z lękiem.

Grzybowidzi nie odpowiedzieli. Ani tym razem, ani następnym. Po prostu dotrzymywali mu towarzystwa. Przekonał się, że można im zaufać. Traktował ich jak gości, którym zwierzał się z codziennych trosk.

Czasem tańczył z nimi. Wirował i podskakiwał w takt skocznej irlandzkiej muzyki, którą tylko on mógł słyszeć w celi. Kochał się z kobietami i boksował z mężczyznami. Gdy sto dwadzieścia sześć odszedł na zawsze, Grzybowidzi byli jego jedynymi przyjaciółmi.

Po chwilach przytomności następowały dni, kiedy Hatcher spędzał długie godziny z Grzybowidami. Wtedy tańczył, śpiewał i kochał się. Opowiadał prawdziwe albo zmyślane fragmenty życiorysu; mówił dowcipy, by nie zatracić poczucia humoru. Śpiewał, by nasycić duszę muzyką.

Odkąd odkrył Grzybowidów, sto dwadzieścia sześć nie był mu potrzebny. Jeśli cienką granicę między obłędem a trzeźwością wyznacza to, co dzieje się w ludzkiej wyobraźni, to Hatcher przekroczył ją wielokrotnie. Miały upłynąć jeszcze dwa lata, zanim otrząsnął się na tyle, by po brutalnym odczłowieczeniu w Los Boxes przyznać przed samym sobą, że w celi nie było żadnej dziury i żadnego sto dwadzieścia sześć za ścianą; dwa lata, zanim powiedział sobie bez ogródek, że sto dwadzieścia sześć był jego własnym sumieniem.

## MADRANGO

Łódź z zaopatrzeniem przyływała do cytadeli raz w miesiącu. Przywoziła także alkohol i dziwki dla strażników. Trzy płaczliwe beknięcia rogu mgłowego oznaczały, że Łódź jest na ostatnim zakręcie. Pracujących w polu zapędzano w pośpiechu do cel. W czasie odwiedzin więźniowie nie wychodzili na zewnątrz. Nie wolno im było nawet patrzeć na kobiety. Tylko wyjątkowi szczęściarze z południowego skrzydła czasem usłyszeli szelest spódnicy albo w szparze okna mignął im przelotnie kobiecy kształt. Po trzech dniach Łódź odpływała, a kilku więźniów z reguły dostawało pomieszania zmysłów. Wili się w celach i kęsałi jak psy rozdrażnione upałem.

Cela Hachera znajdowała się w północnym skrzydle. Odkąd przybył tu przed trzema laty, nie miał żadnego kontaktu z kobietami. Gdy kapryśny podmuch wiatru przynosił zapach perfum, piżma i alkoholu, Hatcher przywoływał Grzybowidów i pozostawał w malignie przez trzy dni.

Tym razem Łódź przybyła tuż przed zapadnięciem zmroku. Wszyscy więźniowie znajdowali się w celach. Rozdawano kolację, gdy od strony rzeki rozległo się beczenie rogu mgłowego. Zaskoczony Hatcher sprawdził w więziennym kalendarzu wydrapanym na ścianie; od ostatniej wizyty upłynęło dopiero szesnaście dni. Być może zwiększyli przydział alkoholu i kobiet dla strażników do dwóch racji na miesiąc albo przywieźli jakąś grubą rybę.

Był w połowie posiłku. Odsunął kamień w ścianie i wydobył zawiniątko

z magicznymi grzybami. Rozkruszył jeden kapelusz i doprawił resztę obrzydliwej papki na talerzu. Przeżuł dokładnie każdy gąbczasty kęs. To ułatwia trawienie i przyspiesza reakcję.

Skończył jeść i zapalił długiego skręta z liścia palmowego. Gryzący, kwaśny dym podrażnił nos i krtań. Położył się na plecach i czekał na Grzybowidów. Usłyszał daleki grzmot i plusk deszczu. Chłodny, kojący podmuch wiatru wśliznął się przez szparę. Posępne brązowe ściany rozjaśniły się. Zrobiło się miło na duszy. Zamknął oczy. Płatanina kolorowych deseni zaczęła nabierać wyraźnych kształtów. Zaśmiał się do siebie. W okolicy żołądka poczuł miłe łaskotanie.

Nadchodzili. Wydawało mu się nawet, że za drzwiami słyszy ich kroki kierujące się ciasnym korytarzem prosto do jego celi. Ciekawe, którzy Grzybowidzi odwiedzą go dzisiaj, chociaż w zasadzie to bez znaczenia. Kochał ich wszystkich tak samo. Jeszcze nigdy nie byli tak wyraźni i prawdziwi. Usłyszał, że stanęli pod celą. Drzwi stęknęły i otworzyły się ze zgrzytem. Poczuł, że jeden z nich nawet kopnął go w piętę. Zachichotał, ciesząc się na spotkanie.

— Sto dwadzieścia siedem — powiedział gruby gardłowy głos po hiszpańsku.

Nigdy przedtem Grzybowidzi nie przemówili do niego. Otworzył oko i rozejrzał się ostrożnie. Zobaczył nad sobą strażnika.

— Idziemy — powiedział strażnik.

Schylił się, poderwał Hatchera na nogi i pchnął do drzwi. Zimny podmuch wilgotnego powietrza uderzył go w twarz. Wiatr tańczył w korytarzach i na schodach. Hatcher nie musiał pytać, dokąd go zabierają. Grzyby jeszcze nie przestały działać. Światłne punkciki migotały wokół jak spadające gwiazdy. Chciał iść prosto, ale wchodząc po schodach zataczał się jak pijany i odbijał od ścian. Dotarli na ostatnie piętro. Strażnik zapukał. Drzwi otworzyły się. Światło oślepiło Hatchera. Szarpnął głową w bok i zamrugał, zrobił zęza. Jego oczom ukazał się monstrialny kształt. Otoczony mglistą aureolą mastodont w białym garniturze obiema rękami przyciskał do piersi aktówkę. Oślepiająca biel załamała się, pękła na tysiąc różnokolorowych światełek i znikła.

— Przyjechałem zabrać pana do domu, panie Hatcher — powiedziało białe widmo.

Hatcher zachwiał się i oparł o ścianę. Po chwili wolno osunął się na podłogę. Skulony zachichotał jak hiena.

— Cholerny świat. Ani słowa, odkąd zabrałem go z tego chlewa. Nic tylko leży i gapi się w sufit — powiedział Pratt.

Pod kępą liści palmowych, pełniących doraźnie funkcję dachu sterówki, kapitan wpatrzony w strugi ulewy przed dziobem wzruszył ramionami.

— A co pan kcesz, *señor!* — mruknął. — Trzy roki jednego słowa do człowieka, to jak skoczyć z radości i śpiewać „Gwiżdżystego sztandara”?

— „Gwiaździsty sztandar”, ciemnoto — poprawił Pratt.

— Niech se tam będzie, nawet i gwiaździsty, *amigo* — roześmiał się kapitan. — Jak pan uważa. A on, ten tam, to sufit ma nierówny jak dwa a dwa cztery. Albo i co gorsze.

— Słodki Jezu, jakim cudem skończyłeś podstawówkę?

Zrezygnowany Pratt pokiwał głową i nalał sobie potężną porcję szkoczek. Zdjął marynarkę i rozwiązał krawat. Deszcz bębnił po dziurawym pokładzie i kapał na stół w dziobowej kabinie. Biała koszula i spodnie zrobiły się szare od potu i przylgnęły do ciała. Wariat gapiący się w sufit, szyper półalfabeta z zielonymi zębami i oddechem jak u szakala po sutej kolacji, ulewa, która prawdopodobnie zatopi Łódź, zanim dotrą do głównego szlaku — tego już za wiele. Postanowił, że zaraz po powrocie zadzwoni do taty i wyniesie się z Madrango. Do diabła ze służbą dyplomatyczną i Departamentem Stanu. Do diabła z Hatcherem, Los Boxes i tą cholerną dziurawą balią. Wychylił duszkiem zawartość szklanki i napełnił ją ponownie.

— Przysłał cię Sloan? — zapytał zniszczony, chrapliwy głos za plecami.

Pratt podskoczył na krześle i odwrócił się. W drzwiach stał półnagi Hatcher. Wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z grobu. W pozieleniałych, zapadniętych i podkrążonych oczach migotały błyski obłądu. Wychudzone ramiona przypominały sękaty kije od szczotki. Długie, brudne i pozlepiane włosy sięgały ramion. Skołtuniona broda zasłaniała połowę twarzy i wychudzonej klatki piersiowej. Czoło pokrywała gęsta sieć brudnych zmarszczek. Pratt patrzył oniemiały.

— Przysłał cię Sloan? — powtórzył Hatcher ochryplym szeptem.

— Już ppanu mmówiłem, że jjestem z ambasady w Mmadddrango — wyjąkał Pratt. — Ambasador zzałatwił, źże...

— Przysłał cię Sloan?

— No, więc... ehm. Wydaje mi się, że pan Sloan miał coś wspólnego z tą sprawą. Nawet...

— Pryszyć? — zadane zdartym głosem pytanie zabrzmiało jak rozkaz.

— Prysznic? — powtórzył jak echo Pratt i uniósł brwi.

— Pompa ona nie chodzi — odparł kapitan.

— Pompa ona nie chodzi — przedrzeźnił Pratt.

Hatcher odwrócił się i ruszył na pokład.

— Wiatr on niedobry dla pana, *señor!* — zawołał za nim kapitan.

— O Jezu — jęknął Pratt i ruszył za Hatcherem. Zatrzymał się w luku i obserwował, jak były więzień wczługuje się na pokład, odwraca na plecy i leży nieruchomo w strugach deszczu, z otwartymi ustami.

— Ostrożnie. Wiatr jest silny! — zawołał Pratt. — Lepiej, żeby nie zwią-  
ło pana za burzę. Zwłaszcza teraz.

Hatcher nie odpowiedział. Zasnął twardo, rozciągnięty na pokładzie, a deszcz i wiatr chłostały wymizerowane ciało. Kapitan zablokował ster, podczołgał się do śpiącego i zawiązał mu luźną pętlę wokół talii. Drugi koniec liny przymocował do nadburcia. Wrócił do sterówki i powiedział do Pratta:

— Pan ma oko na niego, *señor*.

Następnego dnia północno-wschodni wiatr przegonił chmury i wypogodziło się.

— Zatrzymaj łódź — nakazał Hatcher ochryplym szeptem.

Kapitan zamknął przepustnicę i włączył całą wstecz. Za rufą zabulgotało.

— Co jest, do cholery? — zapytał ostro Pratt.

Hatcher nie odpowiedział. Zdjął podarte spodnie i nagi skoczył do wody.

— Chryste, przecież tu roi się od aligatorów — wybełkotał Pratt.

Złożył ręce w trąbkę i gdy Hatcher wynurzył się, zawołał: — Tu są aligatory, panie Hatcher.

Tamten obrócił się na plecy i dał się unosić wodzie. Pratt usiadł zrezygnowany. Ogrodowe krzeselko zatrzeszczało pod jego ciężarem. Ukrył twarz w dłoniach i powiedział półgłosem:

— Tylko tego brakowało. „Gdzie Hatcher, panie Pratt?” „Tak mi przykro, sir, ale zjadł go aligator”.

Dziesięć minut później Hatcher wdrapał się na pokład. Pratt podał mu ręcznik z wyhaftowanym w rogu godłem USA. Hatcher spojrzał na nie i zaczął się wycierać.

— Mam dla pana ubranie. Jest w kajucie. Chyba będzie trochę za duże — powiedział Pratt.

Hatcher wytarł się, zarzucił ręcznik na ramię i stanął przed Pratem nago.

— Och, naturalnie. — Pratt zerwał się z krzesła. — Już przynoszę ubranie. W tej sekundzie. Mamy też brzytwę, szczoteczka i pastę do zębów. I płyn po goleniu... i...

Spodnie były o dwa numery za duże, a mankiety koszuli sięgały palców. Przyjemnie było poczuć na sobie czystą i chłodną bawełnę. Spojrzał w lustro. Ostatni raz widział swoją twarz trzy lata temu. Ogolony i ostrzyżony uznał, że mógłby wyglądać znacznie fatalniej. Miał zapadnięte policzki, wyblakłe oczy bez wyrazu i trzydzieści funtów niedowagi, ale mogło być o wiele gorzej. Mogło go nie być wśród żywych. Niewiele brakowało, a na wieki zasiadłby do stołu ze sto dwadzieścia sześć, by raczyć się boskimi grzybami. Podwinął rękawy za łokcie i wrócił na pokład.

— Wygląda pan doprawdy znakomicie. Pierwsza klasa! — powiedział Pratt.

— Coś do palenia? — zapytał Hatcher ochryple.

Pratt pogmerał w teczkę.

— Oczywiście, tak, jedną chwilę. Są. Zdaje się, że pańskie ulubione — wymamrotał i podał Hatcherowi paczkę dunhilli.

— Tak? — Hatcher spojrzał obojętnie na papierosy. Obejrzał paczkę ze wszystkich stron, jakby nie pamiętał, jak się otwiera. Zerwał folię, przypalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Zakasłał potężnie, spurpurowiał na twarzy i łapczywie chwycił haust powietrza.

— Proszę szybko podnieść ręce nad głowę! — wrzasnął Pratt i rzucił się na pomoc.

Hatcher przestał kasłać dopiero po dłuższej chwili. Usiadł na burcie, spojrzał na papierosa i wyrzucił go do wody.

— Mamy owoce, pyszny ser, wino, potrawkę z kurczaka i rostbef. Na dole jest piwo i coca-cola. Bądź co bądź jesteśmy na statku wycieczkowym. Co prawda starym, ale... — Pratt uśmiechnął się nerwowo.

Hatcher spojrzał przenikliwie i drwiąco. Grubas poczuł się nieswojo.

— Coca-cola. Może być — powiedział wolno Hatcher. Po chwili ochryplym szeptem zapytał: — Jak Sloan załatwił ułaskawienie?

— No, to... w zasadzie nie jest ułaskawienie...

— Co to ma znaczyć?

— Widzi pan, panie Hatcher, w Madrango ostatnio zaszły dość gwałtowne zmiany. Był zamach stanu, a nowy prezydent Garazzo...

— Garazzo! On mnie wsadził do Los Boxes.

— Tak, to prawda. Wkrótce po pańskim, hm, wyjeździe odbyły się całkiem demokratyczne wybory i miejsce Garazza zajął Venzio. Ale cztery

tygodnie temu Garazzo wrócił na scenę, dokonał zamachu i znów jest prezydentem. W każdym razie to on zaaranżował pańską ucieczkę.

— Ucieczkę? — W szarych oczach Hatchera pojawiły się niebezpieczne błyski.

— To zwykła formalność — wyjaśnił pospiesznie Pratt. — Nie wystąpią o ekstradycję. Nikt nie wie i nie dowie się o pańskim zniknięciu. Chyba się rozumiemy?

— Gdzie Sloan?

— W Waszyngtonie, panie Hatcher.

— W Waszyngtonie?

— Dokładnie. Jak tylko stąd pana wyciągniemy, odstawimy do kraju. Pan Sloan wprost nie może się doczekać...

Hatcher znowu zaczął wpatrywać się w grubasa. Zaintrygowała go twarz. Nie pasowała do masywnej głowy. Grube warstwy tłuszczu sprawiały, że oczy, nos i usta wydawały się nienaturalnie małe.

— Kto dał zlecenie? — zapytał chrapliwie.

— Jestem zawodowym dyplomatą — odparł Pratt starając się, by zabrzmiało to dumnie.

— W pewnych sprawach nic się nie zmienia — wyszeptał Hatcher.

Nad miastem unosiły się słupy czarnego dymu widoczne z odległości dwudziestu mil.

— Tam pożar! — powiedział kapitan wskazując ręką dym.

— Tam pożar — powtórzył Pratt przedrzeźniając i pokręcił głową. Wstał, spojrzął w kierunku stolicy i jęknął. — Wielki Boże, znowu zaatakowali. Chyba całe miasto w ogniu.

— Co robimy? — warknął zniecierpliwiony Hatcher.

— Skontaktuję się z ambasadą przez radio — odpowiedział Pratt i zniknął pod pokładem.

Hatcher wpatrywał się w słupy dymu. Słyszał dalekie odgłosy wybuchów i strzelaniny. Uśmiechnął się do Pratta, gdy ten pojawił się znów na pokładzie.

— Wyślą helikopter na wybrzeże. Przylecą po nas przyjaciele — powiedział dyplomata podniecony — i zabiorą prosto do ambasady.

— Tyle zachodu tylko dla mnie? — zapytał ostro Hatcher.

— Nie wiem. Sam nie wiem, sir. Nic takiego nie słyszałem. Polecono mi popłynąć do cytadeli z dokumentami, przekupić straż i odebrać pana. Tak naprawdę to oni nigdy mi nic nie mówią, panie Hatcher.

— Wy na ląd i ja się zmywać — krzyknął kapitan.

— Pewnie. Ty się zmywać. Wie pan, powiedzieli, że kapitan świetnie zna język. Co pan na to, he?

Podchodząc do przystani zauważyli helikopter. Czteroosobowa maszyna leciała tuż nad dachami magazynów portowych. Wir powietrza marszczył powierzchnię rzeki. Pratt wstał i pomachał. Kapitan ustawił łódź równoległe do nabrzeża i doszedł „na jajko”. Hatcher pomyślał, że choć co prawda facet nie zna języka, za to swój fach zna doskonale.

— Wysiadać i powodzenia, *señores!* — krzyknął kapitan na pożegnanie.

Pratt wygramolił się na nabrzeże i chwycił kurczowo barierkę. Sto jardów od nich pocisk zmiotł narożnik budynku. Ulicą biegła naga kobieta z płonącymi włosami. Z rozkraczonego na przebitych oponach jeepa buchał płomień. Zwęglone ciało kierowcy tkwiło na przednim siedzeniu. Pratt zatrzymał się przerażony i wybałuszył oczy.

— Naprzód! — krzyknął Hatcher i pchnął go na pomost.

Silnik zawył na pełnych obrotach i łódź odbiła od nabrzeża.

— Chryste Panie, niech pan spojrzy... okropność... okropność... — jęczał Pratt.

Helikopter usiadł dwadzieścia stóp od nich. Hatcher podbiegł do otwartego włazu. Śmiertelnie przerażony młody żołnierz pomógł mu wczougać się do środka. Pilot w stopniu kapitana spojrzął na Pratta człapiącego do maszyny.

— Jezu, nie damy rady. Już mamy przeciążenie! — krzyknął. — Zamknijcie właz, kapralu.

— Tak jest — odpowiedział żołnierz i wykonał polecenie.

Ujrzawszy przed sobą zawarte drzwi, pozostawiony samemu sobie Pratt wrzasnął na całe gardło.

— Nie!!! Nie zostawiajcie mnie!!! — wołał i bębnił pięściami w kadłub.

Maszyna drgnęła i uniosła się. Wir powietrza uderzył w Pratta, zdusił krzyk i sypnął kurzem w oczy. Helikopter zawisł na chwilę i ruszył naprzód. Pratt opadł na kolana, zakrył twarz rękami i łkał spazmatycznie.

Żołnierz i Hatcher patrzyli w dół na szybko malejącą sylwetkę grubasa. Za jego plecami eksplodował granat wyrывая kawały betonu z nabrzeża, ale Pratt nawet nie drgnął. Klęczał skulony, zasłaniając głowę rękami niczym mnich buddyjski zdjęty strachem wobec objawienia.

— Obłęd! — zawołał młody żołnierz przekrzykując huk w kabinie.

Pierwszy raz od wyjścia z Los Boxes Hatcher roześmiał się. W towarzystwie obłędu przebywał tak długo, że to, co inni nim nazywali, wydawało mu się całkowicie normalne.



# BANGKOK, *sześć miesięcy później*

## PRZEPRAWA MALAJSKA

Patrzącemu z góry mogłoby się zdawać, że granatowy mercedes przeciska się przez zatłoczone ulice Bangkoku bez wyraźnego celu. Poruszał się w żółtym tempie, zwalniał przed każdą przeczną, lawirował wśród przechodniów, wreszcie zatrzymał się przy wąskiej alei.

Mimo wczesnej pory kłębił się tu tłum przechodniów. Poranną wrzawę wielkiego miasta, kakofonię ludzkich głosów i klaksonów wzbogacały dźwięki przebojów z nocnego klubu.

Z mercedesa wysiadł gruby Chińczyk z długą cienką blizną na twarzy i ruszył w głąb alei. Przecisnął się przez tłum płynący z przeciwka i zatrzymał obok niepozornej, chudej kobiety w turbanie, która przyciskała do piersi niemowlę. Zgrubiała skóra na brudnych stopach wskazywała, że chyba całe życie chodziła boso. Zapadnięte policzki i oczy bez wyrazu mówiły wszystko. Była jeszcze młodą *e-san* — jedną z tysięcy laotańskich prostytutek z północno-wschodniej Tajlandii, sprzedanych do domów publicznych po osiągnięciu dwunastu lat. Miała pecha. Zaszła w ciążę i urodziła dziecko. Pozostawiona samej sobie bez środków do życia, czekała na śmierć głodową. Setki takich jak ona rodziły co tydzień nie chciane dzieci.

Kierowca mercedesa, niewysoki, szczupły, w szarym garniturze, oparł się o błotnik i paląc papierosa obserwował partnera rozmawiającego z prostytutką z dzieckiem na ręku. Człowiek z blizną pochylił się, skrzyżował ręce na piersiach i powiedział spokojnie kilka słów. Kobieta pokręciła przecząco głową. Wyjął z kieszeni gruby plik banknotów i trzymając je przed sobą odliczył kilka sztuk, ale ona wciąż odmawiała. Dołożył następne banknoty i wyciągnął rękę do kobiety. Zawahała się, po czym znów pokręciła głową. Chińczyk wyjął torebkę białego proszku z kieszeni marynarki, zawinął w

banknoty i włożył jej do ręki.

Wziął dziecko i wrócił do samochodu. Kierowca otworzył mu drzwi.

Lśniący czubek igły zanurzył się w pudełku z gęstą zieloną farbą. Klient był mocno zbudowanym Chińczykiem przed czterdziestką. Żaden mięsień jego twarzy nie drgnął, gdy igła do tatuażu wbiła się w wewnętrzną część przedramienia. Obnażony do pasa siedział na starym, bogato zdobionym krześle i patrzył przed siebie bez emocji. Odwiedziona w bok ręka zwiisała swobodnie z oparcia. Klęczący na purpurowej poduszce stary Chińczyk, pochylony nad muskularnym młodym ramieniem, tworzył kolejne dzieło sztuki tatuażu. Nie pochwałał nowoczesnych elektrycznych igieł. Preferował starą, sprawdzoną od tysięcy lat metodę, polegającą na wprowadzaniu barwnika pod skórę wprawnymi i zdecydowanymi nakłuciami. Pracował szybko i dokładnie. Purpurowy wąż owijał się wokół klingi cienkiego zielonego sztyletu. Na wysokości rękojeści z żółtej paszczy wystawał rozdwojony język.

Kiedy skończył, wyprostował się i z zadowoleniem popatrzył na swoje dzieło. Ukłonił się lekko klientowi, który dopiero teraz spojrzał na tatuaż. Prawdziwe dzieło sztuki, w którym czaiła się nie wypowiedziana groźba, zostało wykonane mistrzowską ręką. Po nieprzeniknionej twarzy mężczyzny przebiegł cień uśmiechu. Wstał, podszedł do lustra w połączanej ramie po przeciwnej stronie pokoju i spojrzał zimno na swoje odbicie. Przez krótką chwilę na jego twarzy pojawił się wyraz samouwielbienia, ale znikł bez śladu, gdy mężczyzna odwrócił się do mistrza tatuażu.

— Wspaniale — powiedział i ukłonił się starcowi, który też odpowiedział ukłonem.

Włożył szkarłatno-żółtą szatę obrzędową z brokatu i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Bogactwo chińskich dzieł sztuki, antyków i dywanów zapierało dech. Za oknami rozpościerał się widok na Makau. Miasto zdawało się leżeć u stóp domu.

Przy olbrzymim akwariu z wodą stał mężczyzna około siedemdziesiątki. Kruszył w palcach dafnie i krewetki i sypał do akwarium. Zobaczył gościa, przerwał zajęcie i wytarł ręce. Przyjrzał się uważnie tatuażowi, kiwając głową z uznaniem.

— Prawdziwe arcydzieło. Jak zawsze.

Ukłonił się z wdzięcznością i szacunkiem staremu mistrzowi, który podziękował nie mniej uprzejmym ukłonem i wycofał się z pokoju.

Karmiący rybki Chińczyk był głową potężnego chińskiego klanu znanego jako Białe Dłonie, który kontrolował triady Chiu Chao — czternaście najpotężniejszych gangów na świecie. Poważny atak serca nadwątlił jego konstrukcję fizyczną i umysłową. Uznał, że czas przekazać władzę w młodsze ręce. Wybór padł na Tolliego Fonga, który dzisiejszej nocy stanie się nowym *san wong* — najwyższą zwierzchnością, jak nazywano zwykle szefa triady.

— To wielki dzień — powiedział stary patrząc na ryby w akwarium. — Ojciec byłby dumny z ciebie nie mniej niż ja. Nie znam nikogo godniejszego na miejsce nowego *san wong* triady Białych Dłoni.

Stali przy akwarium o pojemności około stu galonów. Stary rozkruszył jeszcze kilka krewetek i rozsypał po wodzie mówiąc:

— Nareszcie mogę zająć się rybkami.

Wokół koralowca na dnie kręciły się piękne tęczowe okazy rybek akwariowych, ale najważniejszy wśród nich był anioł morski wielkości spodka, z kobaltowo-błękitną łuską i długim pyszczkiem.

— Od pięćdziesięciu lat wszyscy liczą się z naszą triadą. Nadszedł czas, by nikt więcej nie kwestionował naszego prymatu — kontynuował stary.

Rybki zawirowały wokół opadających okruszyn. Błękitny anioł zareagował również i zaatakował. Rybki rozpierchły się we wszystkie strony. Sam przegonił kilka z nich, po czym zajął się połykaniem okruszyn wolno opadających na dno zbiornika. Oczyszcwszy teren krążył leniwie i dojadł pozostałe okruszyny.

— Nigdy nie okazuj słabości... — powiedział stary.

Rozkruszył kolejną porcję krewetek w dłoni i zanurzył rękę w akwarium. Błękitny anioł okrążył dłoń z pokarmem i zawisł nieruchomo. Po chwili błyskawicznie rzucił się na najcięższy okruszek, chwycił go i odskoczył na bezpieczną odległość. Tollie Fong patrzył na zanurzone przedramię i na tatuaż starego *san wong*. Był taki jak jego własny. Wykonał go wiele lat temu ten sam artysta.

— ...nikomu. Rodzinie, żonie, bratu, mnie, ale przede wszystkim nie wolno okazać ci słabości wobec wrogów. Na dziś wystarczy nauk. Kiedy mistrz tworzył arcydzieło, zadzwonił twój człowiek z Bangkoku. Pozwoliłem sobie przyjąć wiadomość, gdyż tobie nie wolno było przeszkadzać w takiej chwili.

— Dobrze. Co powiedział? — zapytał niecierpliwie Fong.

— Ogród obsiano. Zbiory dziś wieczorem.

Dwadzieścia mil na wschód od Kangaru, w pobliżu przejścia granicznego między Tajlandią i Malesją koło Padang Besar, ojciec Kilhanney ostrożnie

prowadził półciężarówkę po wyboistej bocznej drodze. Był o milę od posterunku granicznego, gdy zaczęło lać. W południowej Tajlandii ulewy zawsze przychodzą niespodziewanie. Błyskawica rozdarła niebo. Wichura gięła palmy tak nisko, że liście przyklejały się do przedniej szyby. Kilhanney współczuł siedzącym z tyłu kobietom. Ciężarówka nie miała plandeki. Osiemnaście robotnic zbiło się w ciasną gromadkę. Nie znał szczegółów transportu, nie dbał o to. Miał przejąć osiemnaście robotnic z prywatnego samolotu w Songkhla i odstawić je do granicy.

Kręta droga prowadziła na północ półwyspu do Bangkoku, biegnąc około trzydziestu mil od głównego szlaku. Przejście graniczne składało się z jednej komory celnej i dwóch strażników.

Osiemnaście kobiet, w tym dwanaście z niemowlętami w nosidłach na plecach, miało przekroczyć niewidzialną granicę między Tajlandią i Malezją przed świtem. Z legalnymi pozwoleniami na pracę mogły zarobić do dziesięciu dolarów dziennie na plantacjach kuczuku albo jako służące w domach bogatych arystokratów. Po drugiej stronie granicy czekała inna ciężarówka, która miała rozwieźć je do pracy. Procedura ta powtarzała się od wielu dni i nie było w tym nic szczególnego.

Oprócz niemowląt. Wszystkie miały około sześciu miesięcy. Wszystkie zostały kupione kilka godzin temu na ulicach Bangkoku i uśmiercone tuż przed startem samolotu do Hao Yai.

Kilhanney nie wiedział o zwłokach niemowląt. Kobiety wydawały się co prawda nadzwyczaj spokojne, gdy je zabierał, ale uznał, że to wpływ pogody.

Zatrzymał ciężarówkę przed posterunkiem i wyskoczył z szoferki. Ulewa ustała na parę minut. Z nieba sączyła się gęsta mżawka, lecz burza jeszcze nie dała za wygraną. Co pewien czas błyskawice rozdzierały niebo, a pioruny były w dżungłę.

Podszedł do platformy i opuścił schodki. Kobiety schodziły szybko i w milczeniu. Pomógł tym z niemowlętami na plecach. Ruszyły jedna za drugą błotnistą drogą do posterunku, trzymając w rękach pozwolenia na pracę.

Dwaj strażnicy schronili się przed deszczem w budce wartowniczej. Kilhanney wrócił do szoferki i patrzył, jak kobiety zbliżają się do granicy. Nastąpiła krótka rutynowa odprawa. Strażnicy uśmiechali się i żartowali z kobietami.

Kiedy jedna z ostatnich w rzędzie podchodziła do strażnika, z nosidelka wysunęła się ręka niemowlęcia i zwiśla bezwładnie. Kobieta przyspieszyła kroku, jakby nie zdawała sobie sprawy, że niemowlę za chwilę wypadnie.

Uprzejmy strażnik zatrzymał ją i uśmiechając się wyciągnął rękę, by poprawić dziecko. Gdy dotknął główki, zmartwiało. Niemowlę było zimne. Przerazona kobieta szarpnęła się. Dziecko wypadło z nosideł prosto w ręce strażnika. Krzyknął do kolegi:

— Zatrzymaj ją! Dziecko jest martwe!

Kobieta zawróciła biegiem do ciężarówki.

Widząc to pozostałe zaczęły uciekać. Drugi strażnik zatrzymał inną i wyjął niemowlę z nosideł.

— To też jest martwe! — zawołał unosząc ciało.

Kobiety rozbiegły się i każda na własną rękę usiłowała dotrzeć do ciężarówki. Strażnicy strzelili kilka razy w powietrze. Kilhanney wpadł w płoch. Wrzucił bieg i bryzgając błotem spod kół odjechał.

Prowadził jak szalony. Ciężarówka podskakiwała i ślizgała się na rozmięklej, wyboistej bocznej drodze. Silnik był zagłuszający odgłos grzmotu. Przez zalewaną potokami deszczu przednią szybę Kilhanney wypatrywał drogi rozbieganymi oczami. Ze strachu zaschło mu w gardle.

— O Boże, Boże wszechmocny — powtarzał.

Piorun uderzył tuż przed ciężarówką. Błyskawica rozdarła ciemne niebo i roztrzaskała drzewo. Oślepiiony Kilhanney nerwowo przetarł oczy. Gdy odzyskał wzrok, ujrzał, że droga zniknęła, a przed nim wyrosła ściana dżungli. Zakręcił kierownicą. Koła ślizgały się na gliniastym podłożu. Na chwilę odzyskały przyczepność. Tył podskoczył, zarzucił kilka razy, po czym ciężarówka z trzaskiem uderzyła burtą o skarpę i stanęła.

Oszołomiony Kilhanney spojrzął na rozbitą przednią szybę, wyczuł klamkę i pociągnął. Gdy drzwi otworzyły się, wypadł z szoferki w grząską koleinę. Chłodne strugi deszczu otrzeźwiły go nieco. Usiadł, pozbierał się i zaczął mozolną wspinaczkę po gliniastej skarpie. Dotarł do szczytu, zakłysnął się i ruszył w dżunglę.

Biegł jak oszalały, potykając się o korzenie. Niewidoczne gałęzie smagały go po twarzy, szarpały ubranie i biły po oczach. W świetle błyskawic dżungla majaczyła jak koszmar w błyskach lampy stroboskopowej. Pędy winorośli grube jak boa dusiciel oplatały drzewa mangrowe, jakby chciały je zmiążyć przed połknięciem. Kolejna błyskawica rozdarła niebo i oczom Kilhanneya ukazał się posąg Buddy, na którym deszcz i wiatr wyżywały się od stuleci. Mimo to Budda patrzył nań kamiennymi oczami jak na intruza w zielonym piekle. Kilhanney wrzasnął i przywarł do drzewa. Serce tłukło się o żebra, jakby chciało się wyrwać z obmierzłego ciała. Pobiegł dalej.

Pomieszczenie przywodziło na myśl scenografię westernu. Długą salę wypełniały bezładnie ustawione krzesła i stoły. Podłogę posypano świeżymi trocinami. Zwisające pod niskim sufitem zielone abażury sprawiały, że lejkowate smugi światła tworzyły nieregularne kręgi na podłodze. W półmroku unosił się zapach stęchłego piwa i cebuli. Skrzydła wentylatorów leniwie młóciły powietrze. Pomieszczenie przypominało enklawę, w której czas zatrzymał się sto lat temu.

Naprzeciwno wejścia rozparł się masywny bar ze spluwaczkami i podnóżkiem na całej długości. W pochylonym lustrze długim jak szynkwias odbijało się całe pomieszczenie. Środek zwierciadła zdobił duży krąg liter tworzących nazwę: „Tom Skoohanie, The Galway Roost, 1877”.

Nad lustrem wisiał kudłaty łeb bizona, w którym émy urządziły sobie legowisko. Zwierzę patrzyło na salę jedynym kamiennym okiem. Drugi oczodół litościwie zasłonięto czarną przepaską. Nad napisem w lustrze był otwór po kuli dużego kalibru.

Jedną ścianę saloonu pokrywały w całości poźółkłe dagerotypy i ryciny przedstawiające postacie z Dzikiego Zachodu. Byli tam Indianie i bandyci, rodzinne zdjęcie Franka i Jesse'a Jamesów w garniturach i melonikach. Na tle wagonu do transportu więźniów banda Doolina w kajdankach patrzyła w obiektyw z uśmiechem ludzi, którym jest wszystko jedno. Wild Bill Hickok rozciągnięty na stole, a nad nim Jack Dance, który dopiero co strzelił mu w plecy; Bill trzymał w rękę karty — dwa asy, dwie ósemki i trójkę karo. Pat Garrett przyciskał do piersi karabin Sharpa i opierał nogę o świeżo zabitego bizona. Geronimo siedział po turecku z karabinem na kolanach, a Crazy Horse spoglądał wyzywająco.

Z grającej szafy przy barze dochodziło „Surfin” Beach Boysów. Po drugiej stronie znajdowało się pomieszczenie, do którego wchodziło się po dwu schodkach. Za kotarą ze szklanych paciorków przy dwóch stolikach kilku mężczyzn grało w karty. Dalej paru innych rzucało kości na stół pokryty czerwonym suknem. W głębi alkowy, tylko częściowo oświetlonej słabą lampą, na ozdobnym krześle spoczywał korpulentny siwy dżentelmen w białym garniturze. Podwójny podbródek opadał mu na biały kołnierzyk i czarny krawat. Mężczyzna siedział przy niewielkim stoliku z ogniotrwałą szufladą, na którym stała butelka czerwonego wina, i czytał. Dotarłszy do końca strony moczył palec w kieliszku z winem, oblizywał go i przewracał kartkę.

Wysoki szczupły facet z wąsami jak kierownica roweru siedząc przy barze gawędził cicho z przystojnym Murzynem w czarnym podkoszulku, pluszowej kamizelce, dżinsach i kowbojskich butach. Stroju Murzyna dopełniał

kapelusz z tak wielkim rondem, że chyba czasami służyło właścicielowi za parasol. Biały mężczyzna też nosił kapelusz, ozdobiony papuzimi piórami zatkniętymi za wstążkę. Spod marynarki wystawała kolba potężnego rewolweru. Co chwilę spoglądał ukradkiem na korpulentnego dżentelmena w białym garniturze. Oprócz nich w saloonie był tylko długowłosa blondyn pochylony nad barem.

Na zapleczu zadzwonił telefon. Dźwięk zabrzmiał anachronicznie w tej scenerii. Barman zniknął za drzwiami, a gdy po chwili pojawił się znowu, skinął do białego, który zsunął się ze stołka i wchodząc za ladę wręczył Murzynowi wydobytą z olstra armatę. Zniknął na zapleczu, zamykając za sobą drzwi.

Wrócił po kilku minutach z zastygłą twarzą, nerwowo zaciskając szczęki.

— Wychodzę — oznajmił barmanowi. — Powiedz wielebnemu, żeby trzymał bank, dopóki nie wrócę.

— Co jest?

— Kilhanney się zabił — odparł beznamiętnie i skierował się do drzwi.

Wyszedł z baru i otoczyła go nocna rzeczywistość rozrywkowej dzielnicy Patpong. Przywołał *tuk-tuk*, trójkołowy wehikuł, który w Bangkoku o tej porze był jedynym skutecznym środkiem lokomocji. Tajlandczyk uruchomił silnik i podjechał do krawężnika.

— Sam Peng — powiedział cicho biały. — Przy ulicy Tri Phet.

Dwuosobowy pojazd wjechał w aleję chińskiej dzielnicy Yawaraj i zatrzymał się. Z cienia wynurzył się zgarbiony Chińczyk i usiadł obok wysokiego mężczyzny.

— Co się stało? — zapytał szeptem z chińskim akcentem.

— Na mój gust Kilhanney wyruszył nocą, by dostarczyć grupę do przejścia koło Kangaru. Dwanaście kobiet miało niemowlęta. Martwe i nafaszerowane heroiną. Trzy kilo w każdym.

Chińczyk gwizdnął cicho, ale nic nie powiedział. Wysoki wzruszył ramionami.

— Dzieciobójcy. Ale z polotem. W Bangkoku można kupić niemowlę za pięćdziesiąt zielonych. Codziennie.

— Kto to zlecił?

— Wol Pot.

— Jasna cholera! Dlaczego Kilhanney trzymał to w tajemnicy?

— Nie wiem. Powiedział Maxowi, że Wol Pot zostawił mu wolną rękę, ale nie pisał słowa o dzieciach. Max twierdzi, że ojczulek uważał, iż wykona zadanie i kwita, ale zgłupiał kompletnie, jak dowiedział się o trupach. Gdy

dotarł do Maxa, zachowywał się jak szaleniec. Dziś rano poszedł na plażę, wypłynął w morze i nie wrócił. Przed godziną znaleźli go na brzegu.

Zapadło milczenie, które przerwał Chińczyk.

- Ciekawe, co sprzedał im Wol Pot.
- Raczej niewiele. W końcu też mamy na niego haka.
- Trzeba było załatwić wazeliniarza już dawno temu.
- Znasz moją zasadę. Co się odwlecze, to nie uciecze. Może uda się zaaranżować to tak, żeby sami go wykończyli.
- Co proponujesz?
- Wykorzystać Tajskiego Konia — odparł wysoki.



USA,  
*dziś*

## PTAK

W supertajnych kartotekach Interpolu, znanych jako „akta Ducha Świętego” i dostępnych tylko samej górze kierownictwa za okazaniem specjalnego zezwolenia, figurował kryptonim „Ptak”. Nie wiadomo, czy odnosił się do mężczyzny, kobiety czy grupy. Raporty o wyczynach Ptaka utajniono skrupulatnie ze względu na prestiż władz i organów ścigania w Europie i Ameryce, dla których pozostawał nieuchwytny. Najmniejszy przeciek do prasy mógł spowodować lawinę. Przede wszystkim jednak nie wolno było dopuścić, by prasa i sam Ptak zorientowali się, że dociekliwi inspektorzy Interpolu dostrzegli pewne związki między ostatnimi kradzieżami w Paryżu i Chicago.

Ptak wiedział dokładnie, na czym te związki polegają, zwłaszcza w tej chwili, gdy huśtał się siedem stóp nad podłogą w sali impresjonistów francuskich Międzynarodowego Salonu Sztuki.

Na zewnątrz życie Sześćdziesiątej Czwartej ulicy toczyło się w zwykłym tempie. Mężowie spieszyli do żon, żony do mężów. Ludzie wracali z pracy, od kochanek i kochanków, z kina, z zebrania czy baru, do którego zawsze wstępowali po drodze.

Kustosz wyszedł wcześniej, więc strażnik nocny pozwolił sobie na małą niesubordynację i zamknął za pięć szósta. Zresztą w ciągu ostatniej godziny w galerii pojawił się tylko jeden zwiedzający, rudobrody dziwak w za dużym jasnożółtym sztormiaku. Zapewne wyszedł nie zauważony. Przynajmniej strażnik tak sądził.

Jednak Ptak nie opuścił galerii. Ukryty w schowku na miotły w hallu, czekał na zakończenie obchodu. Strażnik zamknął drzwi, włączył system alarmowy i wystukał cyfrowy kod uruchamiający czujniki w podłodze, sprawdził działanie monitorów i kamer przekazujących obraz ze wszystkich

ośmiu pomieszczeń galerii, po czym zasiadł przed telewizorem i zaczął jeść pierwszą z dwu kanapek, które zawsze przygotowywała mu żona. Dziś zrobiła jego ulubione — potrawka z kurczaka z plasterkiem ananasa i ostra musztarda wystarczą, by człowiek zapomniał o bożym świecie.

Ptak odczekał, aż kanapka i dziennik wieczorny pochłoną uwagę strażnika. Wyszedł ze schowka i skierował się do małego pomieszczenia centrali systemów alarmowych. Wyłączył czujniki w oknach i fotokomórki. Zignorował system sensorów w podłodze. Był zbyt skomplikowany, by zaprzętać sobie nim głowę. Zresztą nie stanowił żadnego poważnego problemu. Ptak zawsze poruszał się nad podłogą.

Idąc na dach czuł przyspieszone tętno. Uwielbiał wyzwania. Im większe ryzyko, tym bardziej pociągało go zadanie. Mawiał czasem, że nie trzeba niepokoić matki ziemi zbyt dużymi krokami. Nie wynik się liczył, lecz uczestnictwo w zawodach. Dwa dni temu ukrył na dachu zestaw narzędzi. Odwiedził galerię jako inspektor ochrony przeciwpożarowej. Dzięki świetnym lewym dokumentom obejrzał wszystkie zakamarki i dokonał pobieżnej kontroli nie zwracając niczyjej uwagi. Stylonową torbę z „niezbędnikiem operacyjnym” schował w wylocie klimatyzacji i zamaskował. Poszło łatwo, aż za bardzo. Do spraw bezpieczeństwa nie podchodzono w galerii zbyt surowo. Strażnik nie mógł podejrzewać, że Ptak uderzy wkrótce po zamknięciu.

Odkleił brodę, zdjął sztormiak i wepchnął go do torby. Zaczernił twarz i otworzył klapę nad salą impresjonistów. Zamocował zacisk na krawędzi. Przewłókł cienką nylonową linkę przez oczka zacisku oraz uprząży, którą miał na sobie, po czym zaczął zjeżdżać jak alpinista po pionowej ścianie.

Unosił się siedem stóp nad podłogą przy południowej ścianie sali, niewidoczny dla kamery. Linka zabezpieczająca zwisała luźno wokół pasa. Opadał w uprząży, obracając się wokół własnej osi. Wyglądał jak Piotruś Pan unoszący się swobodnie wśród płócien Moneta, Signaca, van Gogha, Cézanne'a i Renoira. „Pięknie. Czy ktoś na świecie mógłby marzyć o pracy w takiej scenarii?” — pomyślał.

Opadał swobodnym łukiem i podziwiał arcydzieła na ścianach. Nagle jego wzrok padł na ławkę pośrodku sali. Leżał na niej kot.

Ptak zastygł w bezruchu. Powietrze wokół też. Zdawało mu się, że nagle cały świat zamarł z wyjątkiem kota, którego futro unosiło się łagodnie w rytm oddechu.

Jeśli zeskoczy, myślał Ptak, czujniki w podłodze zareagują i ściągną strażnika. Kołysał się na linie i obserwował szare pasiaste futro. Powoli i

ostrożnie poruszył się. Pozostało tylko mieć nadzieję, że zwierzę się nie obudzi.

Wisiał głową w dół. Powoli rozkołysał ciało tak, by dosięgnąć ściany. Ostrożnie wydobył z plecaka dwie przyssawki. Przy następnym wychyleniu ciała przyssawki przylgnęły do ściany. Miał większą swobodę ruchów.

Delikatnie podważył ramę i wyciągnął płótno Moneta. Podobnie wydołował jednego Cézanne'a i Renoira. Oddzielił obrazy cienką bibułą, zrolował ciasno i wsunął do tuby na piersiach. Następnie przesunął ją na plecy i przypiął paskiem, żeby się nie ześliznęła. Odkleił przyssawki i zawisł głową w dół.

Kot przetoczył się na grzbiet, przeciągnął się i otworzył oczy. Zobaczył nad sobą największego ptaka, jakiego kiedykolwiek widział.

Ptak wpatrywał się w niego.

Kot otworzył szeroko oczy, podniósł się i stanął. Wygiął grzbiet w łuk i prychnął.

„Błagam, tylko nie skacz” — powiedział w myślach Ptak.

Kot zeskoczył.

Czujniki uruchomiły kontrolkę alarmu przy ekranie monitora. Brzęczyk przestraszył strażnika, który wlepił oczy w ekran. Nie mógł widzieć kota stojącego pod kamerą. Wyglądało na to, że w sali nikogo nie ma.

— Co jest, do cholery... — mruknął strażnik i odpiął zatrząsk kabury.

Zszedł do hallu i zatrzymał się przed wejściem do głównej sali. Wyjął rewolwer i trzymając go oburącz wskoczył do środka jak policjant z kiepskiego kryminału. Kot miauknął i pognał jak strzała między nogami strażnika.

— Niech cię cholera porwie! — krzyknął mężczyzna.

Wsunął rewolwer do kabury, zrobił kilka kroków do środka i stanął z rękami na biodrach.

Dokładnie nad jego głową wisiał Ptak.

— Kiedyś dostanę przez ciebie zawału, skurczybyku — powiedział głośno strażnik. — Drugi raz w tym tygodniu prawie że narobiłem w gacie. I to przez ciebie, łobuzie.

Ptak wstrzymał oddech. Jeśli strażnik spojrzy w górę...

Nie spojrzał. Zlustrował przelotnie pomieszczenie i wyszedł do hallu nawiązując kota.

Ptak odetchnął z ulgą. Imię pasowało do niego. Naprawdę nie cierpiał kotów.

## SLOAN

Punktualnie o szesnastej dwadzieścia osiem Stenhauser wyszedł z biura na dwudziestym siódmym piętrze Everest Insurance przy Pięćdziesiątej Siódmej Wschodniej i zjechał windą na pierwsze piętro. Następnie zszedł schodami do wyjścia ewakuacyjnego po zachodniej stronie budynku i znalazł się na ulicy.

Sloan siedział w kawiarence przy Pięćdziesiątej Siódmej ulicy między Drugą i Trzecią aleją. Miejsce wybrał bezbłędnie. Przez duże okno mógł obserwować wszystkie wyjścia z trzech stron wieżowca Everest Insurance. Nie widział co prawda tylnego wyjścia, ale prowadziło ono w ślepą uliczkę kończącą się przed Trzecią aleją. Zauważy Stenhausera bez względu na to, którą drogą tamten pójdzie. Wyjął czarny notes i skreślił kilka słów, jak to zwykł czynić od trzech dni, po czym podążył za niewysokim człowiekiem.

Nazwisko Stenhauser figurowało w komputerze Sloana od dwóch lat. Jeszcze trzy dni temu nie wiedział nic o Fredzie Stenhauserze. Znał tylko nazwisko i zawód. Więcej nie było potrzebne. Dane w komputerowej kartotece Sloana funkcjonowały jak żelazne konta z zaskórniakami na czarną godzinę. Trzeba przyznać, że umiał oszczędzać i gospodarować swoimi zasobami. Był ponadto cierpliwy do przesady. Nikt nie widział, żeby kiedykolwiek się spieszył. Sprawiał wrażenie kogoś, kto może czekać choćby całą wieczność albo przynajmniej do chwili, kiedy zakończy niezbędne przygotowania. Właśnie je sfinalizował i przymierzał się do spieniężenia zasobów z konta o nazwie: Fred Stenhauser.

Nie miał kłopotów z obserwacją obiektu. Skrupulatność Stenhausera była równie wyjątkowa, jak cierpliwość Sloana. Zawsze wychodził z biura tuż przed wpół do piątej. Zawsze wstępował na jedno martini do „Bill's Safari Bar” na Pięćdziesiątej Szóstej i docierał do domu o osiemnastej, a dziesięć minut później był z powrotem na ulicy ze swoim hałaśliwym psiakiem.

Życie było dla niego rytuałem. Nosił tylko dwurzędowe garnitury w kratkę, sweter pod marynarkę i wełniane krawaty w artystyczne zygzaki. W każdy wtorek o ósmej trzydzieści rano wstępował do zakładu fryzjerskiego „St. Regis” i zamawiał strzyżenie. Zjadał zawsze takie samo śniadanie i pił tę samą kawę w kawiarence na Pięćdziesiątej Siódmej ulicy, czytał tylko „Wall Street Journal”, zawsze od końca, a urlop spędzał tylko w Cape Cod. Wszystko, co robił, robił niezmiennie.

Miał jedno dziwactwo, które i tak można było rozszyfrować. Chociaż

każda jego czynność nosiła znamiona rytuału, wychodził z biurowca codziennie innymi drzwiami. Idąc do baru, a potem do domu na Siedemdziesiątej Czwartej ulicy, każdego dnia zmieniał trasę. Przypominało to zabawę w chowanego z ewentualnym „ogonem” — gambit decydujący o zwycięstwie w partii z niewidzialnym przeciwnikiem. Teraz jednak ktoś go śledził naprawdę, a Stenhauser niczego się nie domyślał. Sloan uwielbiał tego rodzaju paradoksy.

Stenhauser był niski i szczupły. Mimo że do czterdziestki brakowało mu kilku lat, miał zapuchnięte oczy i grube jak u ropuchy powieki. Skierował się na wschód do Drugiej alei, potem na południe do Pięćdziesiątej Szóstej ulicy i skręcił w prawo. Do „Bill's Safari Bar” zostały dwie przecznice. Maszerował pewnym, dziarskim krokiem, uważnie badając chodnik przed sobą, jakby nie chciał niczego rozdeptać nawet przypadkiem.

Sloan uznał, że przejmie go w barze. W „Bill's Safari” nigdy nie było tłoku. Zapewne dlatego Stenhauser właśnie tam chodził na wieczornego drinka. Co prawda ciężki wystrój wnętrza nie wprowadzał od progu w najlepszy nastrój, wypchane trofea nie pasowały do całości, ale było tam cicho i spokojnie, a barman przyrządzał doskonale martini.

Stenhauser skręcił z Drugiej alei w Pięćdziesiątą Szóstą ulicę. Sloan przeszedł przez jezdnię i zrównał się z nim. Następnie wyprzedził go, odczekał, aż zbliży się do lokalu, i wszedł kilka sekund wcześniej. Stenhauser powiesił płaszcz i podszedł do baru. Sloan usiadł obok. Czytający „Art World” Stenhauser nie zwrócił na niego uwagi. Chwilę później barman bez słowa postawił przed nim martini, po czym zwrócił się do Sloana.

— Co dla pana?

— Piwo — odpowiedział Sloan i spojrzał na Stenhausera. — Widzę, że woli pan „Bombay Gin” od „Beefeatera”.

Stenhauser spojrzał na niego spod ciężkich powiek, lekko zirytowany.

— Wybór pozostawiam barmanowi — mruknął przez nos. — Szczerze mówiąc wątpię, czy potrafię je odróżnić.

— Ale martini woli pan dość lekkie.

— Powiedzmy, że nie przepadam za czystym ginem — odpowiedział niezobowiązująco i wrócił do czasopisma.

— Pan interesuje się sztuką. Trudno nie zauważyć, prawda? — nagabywał Sloan.

Stenhauser zaczął nerwowo pukać palcem w okładkę.

— Zawodowo i dla przyjemności — odparł oschle.

— Poważnie? A w czym pan robi?

- Robię w ubezpieczeniach, mówiąc pańskim językiem.
- Ubezpieczenia, towarzystwa...
- W dziale odszkodowań — powiedział Stenhauser i wrócił do lektury.
- Poważnie? — Sloan zapalił się do tematu. — A jak to się ma do świata sztuki?

Stenhauser odłożył czasopismo i westchnął.

— Jestem specjalistą do spraw rekonstrukcji i odzyskiwania skradzionych dzieł sztuki.

— Ciekawie brzmi. Chyba się opląca? — powiedział Sloan i puścił oko.

— Na razie nie myślę o emeryturze, jeśli o to panu chodzi.

— Na razie nie — rzekł cicho Sloan, odwracając wzrok od Stenhausera i pociągając łyk piwa.

Stenhauser zmrużył oczy. Facet zaczynał go denerwować. Wyglądało na to, że za czymś węszy. Przyjrzał mu się uważnie. Niemłoda wyblakła twarz, niewielka blizna pod prawym okiem, masywny, prawie kwadratowy, zapewne muskularny. Kruczoczarne włosy obcięte na jeża i zbyt obcisły płaszcz. Nie wyglądał na kogoś, kto lubi siedzieć w domu. „Raczej myśliwy niż wędkarz” — pomyślał Stenhauser. Tak, na pewno myśliwy. Wędkarze mają bardziej estetyczny wygląd. Chyba codziennie ćwiczy w siłowni. Sportowiec i piwosz. Niezbyt bystry.

— A pan czym się zajmuje, panie...?

— Sloan. Harry Sloan. Jestem, jak mówią, wścibinos.

— Detektyw?

— Nie, po prostu wścibinos — odparł Sloan.

Powoli nęcił zdobycz, rozpinając gęstą sieć wokół upatrzonej ofiary.

Stenhauser zachichotał.

— Dobry dowcip. I śmieszny. To z was żyją brukowe czasopisma, zgadzają się? Przepraszam, ale wszyscy jesteśmy ostatnio trochę wścibscy.

Sloan pochylił się do niego i powiedział konfidencjonalnie:

— Tylko że ja się tym nie onanizuję jak reszta.

Stenhauser był zaskoczony.

— No cóż, niewielu potrafi mówić tak otwarcie — odrzekł i pociągnął łyk martini.

— Lubię obserwować ludzi. Jak na mój gust, to jestem znawcą charakterów.

— To ciekawe.

— Na przykład pan. Założę się, że jest pan wyjątkowo skrupulatny.

— Skrupulatny, mówi pan? — Stenhauser zamyślił się i dokończył: — Tak, ma pan rację. W mojej profesji to bardzo ważne.

— Zapewne. Nie stać nas na pomyłki — powiedział Sloan i przysunawszy się jeszcze zapytał cicho: — Czy pracuje pan także z kryminalistami?

— Przede wszystkim — odparł Stenhauser z dumą. — Wiem, że nie prezentuję się zbyt okazale, ale potrafię się z nimi dogadać i być twardy, kiedy trzeba.

— To widać.

— Doprawdy?

— Pewnie. I założę się, że z pana jest pierwszorzędny negocjator — powiedział Sloan wykorzystując starą, sprawdzoną i niezawodną socjotechnikę — pochlebstwo łaskoczące próżność.

Stenhauser wyniośle pokiwał głową, ale nie odpowiedział. Sloan uznał, że ma go na widelcu.

— Trochę piszę. Szukam tematu i pomyślałem, że właśnie pan mógłby mi coś podsunąć. Coś ciężkiego kalibru.

— Cóż, w zasadzie to ja... pan mi pochlebia, ale sprawy, które prowadzę, są poufne.

— Nie chodzi mi o nazwiska. Raczej jak to wygląda od podszewki, widziane okiem zawodowca. W ten sposób materiał zyska na autentyczności.

— Naturalnie, ale może innym razem. Ja zaraz wychodzę.

— A może byśmy przenieśli się na Siedemdziesiątą Czwartą i porozmawiali po drodze — zaproponował Sloan z uśmiechem i pociągnął piwa.

Przez ułamek sekundy Stenhauser patrzył zaskoczony.

— Skąd pan...? Nie idę do domu — dodał pośpiesznie. — Mam bilety do teatru.

— O, nieładnie. A jak pieskowi pęknie pęcherz?

Stenhauser pochylił się do Sloana i wycedził przez zaciśnięte zęby:

— O co ci chodzi, kolego?

— O Hatcherera.

— Hatcherera?

— Hatcherera. — Sloan potwierdził skinieniem głowy.

— Czy powinienem znać to nazwisko?

— Chodzi o Christiana Hatcherera, panie Stenhauser. Jest mi potrzebny, to wszystko. Adres albo telefon i znikam, o tak — powiedział i pstryknął palcami.

— Zdaje mi się, że powinieneś pan zniknąć, o tak — i to zaraz. Nieważne, coś za jeden — odparł Stenhauser i też pstryknął palcami.

— Bez względu na to, co się stanie, gra skończona, panie Stenhauser.

Numer z dziełami sztuki już nie wyjdzie. Dobrze wiem, że pan świetnie rozumie, o czym mówię. Ale mnie interesuje tylko Hatcher. W sumie drobnotka, ale muszę z nim pomówić. Do diabła, przecież to mój kumpel. Kiedyś dzięki mnie wyszedł z niezłego bajora.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Teraz posłuchaj, kolego. Nie znam żadnego Hachera, a gdybym znał, nie powiedziałbym ci nawet, jakie ma drugie imię. Nic, zero! Nie podobasz mi się ani ty, ani twoja gadka. Czy wyrażam się jasno?

Sloan przytaknął skwapliwie i pokiwał palcem przed nosem Stenhau-  
sera.

— Widzę, że jesteś uparty — powiedział jak zawsze wolno, spokojnie, z uśmiechem. — To niedobrze.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Jeśli będziesz uparty, zarobisz... bo ja wiem... co najmniej dziesięć lat plus konfiskata i przepadek mienia, a zdaje się, że ma co przepaść.

— Nie wiem, o czym pan mówi, panie... Sloan, Sloan, prawda?

Sloan przytaknął i zaczął od propozycji.

— Przejdźmy się razem do Siedemdziesiątej Czwartej. To i owo wyjaśnię po drodze. Chyba nie zwrócimy na siebie uwagi, prawda?

Piesek też ma swoje potrzeby i lubi załatwiać je regularnie, bez względu na to, czy jego pan wybiera się do teatru, czy na randkę. Jeśli to pana nie przekonuje, to może porozmawiamy o pewnych wydarzeniach w Paryżu, Chicago, a ostatnio w Nowym Jorku.

Siedzieli posyłając sobie nawzajem mordercze spojrzenia. Wreszcie Stenhauser dał za wygraną.

— Do diabła — powiedział szeptem. — Jeśli da mi pan słowo, że po drodze nic mi się nie przytrafi, to może puszczyć rzecz w niepamięć.

Wiał rześki wiosenny wiatr. Doszli do Madison Avenue i skręcili na północ. Stenhauser nie odzywał się. Wbił wzrok w ziemię i szedł z rękami w kieszeniach.

— Przepraszam, że tak ostro nastawałem na pana — rzekł Sloan i uśmiechnął się szeroko. — Może zna go pan pod innym nazwiskiem. Mógł je przecież zmienić.

Stenhauser nie odpowiedział. Szedł ze wzrokiem wbitym w trotuar przed sobą.

— Trzy razy posłużył się tą samą metodą. Znam jego styl aż za dobrze. Zjazd na linie spod sufitu, przyssawki do ściany, wyrównywacz ciśnieniowy. Żadnego kontaktu z podłogą, zablokowane fotokomórki i czujniki. Zawsze



zostawia po sobie pamiętkę, sukinkot. Pod tym względem stary Hatch nie zmienił się nawet odrobinę. Ambasadę rosyjską w Londynie załatwił w ten sam sposób. Na moje polecenie.

Stenhauser spojrział ostro na Sloana, ale nie odezwał się.

— Na krótko przed aferą z zakładnikami załatwił ambasadę Iranu. Oczywiście nie zapomniał zostawić pamiętki. Czasem to przysawka, czasem kawałek przewodu albo linki. Wirtuoz wyprowadzania w pole. Jest jednak pewien szczegół. Nie zostawił jeszcze pamiętki w żadnym alarmie, który zablokował, a wie pan dlaczego?

Stenhauser przyspieszył kroku.

— Dlatego że znał dokładnie zasadę działania. Od kogoś z wewnątrz. Wykonując zlecenia miał informatorów wśród personelu obydwu ambasad. Nie chciał ich zdekonspirować, więc podsunął fałszywy trop. Teraz postąpił tak samo. To był majstersztyk. A jaka zdobycz! — Sloan uśmiechnął się z podziwem.

Stenhauser zatrzymał się i mierząc palcem w pierś Sloana powiedział:

— Jesteś pan wariat i dobrze o tym wiesz. Nie znam pana i nie wiem, w co pan grasz, ale zaraz się panu coś przepali pod kopułą.

— Nie ma obawy. Mam mocne bezpieczniki. Jeszcze trochę wytrzyma ją. Pan zresztą też. Moim zdaniem rzeczy wygląda następująco. Założmy, że ktoś zubożył muzeum o jednego Picassa. Galeria nie chce miliona ubezpieczenia. Chce odzyskać obraz, w miarę możliwości, zanim pojawi się on w kabinie jachtu jakiegoś Araba na Morzu Śródziemnym. Idą na układ. Towarzystwo ubezpieczeniowe wykląda piętnaście procent bez zbędnych pytań. Sto pięćdziesiąt kawałków zamiast miliona, obraz z powrotem w muzeum, a sprawca lub sprawcy pozbywają się kłopotliwego towaru i stresu.

Stenhauser nie był urodzonym ryzykantem. Nie przejawiał też skłonności, by nim zostać. Dostarczał informacji i negocjował. Nie przyszło mu do głowy, że on i Ptak mogą kiedyś wpaść. Poczul lęk.

— Nie ma w tym nic niezgodnego z prawem, Sloan — powiedział przechodząc do obrony. — Negocjuję i prowadzę transakcje, to fakt. Ale wszystko ma swoje uzasadnienie. Podatnicy nie musząłożyć więcej na policję, co byłoby nieuniknione w wypadku formalnego dochodzenia. Towarzystwo ubezpieczeniowe nie traci olbrzymich sum. Poszkodowani odzyskują skarb. Słowem, wszyscy zadowoleni.

„Facet blefuje, w dodatku nieudolnie” — pomyślał Sloan i zaśmiał się do siebie.

— To mnie akurat nic nie obchodzi — oznajmił wzruszając ramionami.  
— A co pan powie na taki scenariusz? Z Luwru ginie kilka obrazów o łącznej wartości dwunastu milionów dolarów. Na scenie pojawia się negocjator, pertraktuje i zawiera umowę. Towarzystwo ubezpieczeniowe co prawda buli ciepłą rączką milion osiemset, ale jest i tak do przodu na dziesięć dwieście, a obrazy wracają do muzeum. Przypuśćmy, że w pewnej firmie ubezpieczeniowej pracuje utalentowany i obrotny facet z głową nie od parady. Przypuśćmy dalej, że tenże gość dociera do ptaszka i mówi: „Słuchaj, kolego, tak się składa, że mam dostęp do informacji o instalacji alarmowej pewnego muzeum. Wiem, kiedy będzie tam coś godnego uwagi. Znalazłem też przysłego nabywcę. Dzielimy się po połowie”. Czysta robota, prawda?

— Zdaje się, że wiem, do czego zmierzasz, ale jeszcze raz powtarzam, że masz fiola — powiedział rozwścieczony Stenhauser.

— Obliczam wasz duet na prawie cztery miliony przez ostatnie dwa lata — ciągnął Sloan z niezmałym spokojem, jakby w ogóle nie słyszał słów Stenhausera. — Mogę spowodować, że policja poważnie dobierze się wam do tyłka, a urząd podatkowy wsiaśnie na kark tak, że nawet nie będziecie mogli kichnąć za darmo. Wystarczy, że dam znać, komu trzeba. Bez względu na to, czy uda im się coś udowodnić, na pewno uprzykrzą wam życie.

„Kim jest ten człowiek?” — zastanawiał się Stenhauser. Nigdy w życiu nie przyszło mu na myśl, że mógłby kogoś poturbować albo zabić, ale teraz na Madison Avenue zaczynały mu świtać różne makabryczne pomysły.

— Wiem, co panu chodzi po głowie — powiedział Sloan, jakby umiał czytać w myślach. — Lepiej dać sobie spokój. Nie ma pan ani dość ikry, ani zdolności, by to zrobić.

Stenhauserowi zaschło w gardle. Sloan pokręcił głową.

— Nie ma powodu do niepokoju. Naprawdę nie chcę uprzykrzać panu życia. Interesuje mnie tylko Hatcher.

— Już mówiłem...

Sloan przerwał gestem. Spojrzał na Stenhausera mrużąc oczy, z których nagle znikła wszelka uprzejmość. Pozostał tylko uśmiech na twarzy. Stenhauser poczuł mrowienie w krzyżu i lodowate ciarki na plecach.

— Dostyc tego, pętaku — powiedział wolno Sloan. — Powiesz mi, co chcę wiedzieć, i to zaraz, albo dobiorę ci się do dupy tak, że pożałujesz, żeś się w ogóle urodził. Przemyśl to. Dla ciebie gra się skończyła. Albo ciepła

posadka i miły uśmiech kasjerów w banku, albo duże przykrości. Wybieraj.

Stenhauser spojrział na ulicę, skulił się i spuścił głowę.

— On mnie zabije.

— Wykluczone.

— Pan go nie... — zaczął szeptem.

— Zna? — Sloan dokończył za niego. — Pracowałem z nim, kiedy ty robiłeś ściągę na klasówkę z rachunków.

Stenhauser odwrócił się. Podszedł do krawężnika i spojrział na świecący żółtym blaskiem wieżowiec Trump Tower. Marzył, że kiedyś zamieszka tam w apartamencie za milion dolarów. Teraz ten obcy człowiek, którego poznał niecałe pół godziny temu, zabrał mu najpiękniejsze marzenie. Zawrzał gniewem, ale wiedział, że jest bezsilny. Sloan miał go w rękę i wyciskał jak cytrynę.

— Nie wiem, gdzie teraz jest — rzekł w końcu Stenhauser. — W życiu go nie widziałem. Nie znałem nawet jego nazwiska, dopóki pan mi nie powiedział. Kontaktujemy się przez telefon, ale nigdy bezpośrednio. Ktoś przekazuje wiadomości.

Sloan uśmiechnął się, podszedł do Sténhausera i poklepał go po ramieniu.

— To mi wystarczy.

— Kim pan jest, do diabła? — zapytał Stenhauser z goryczą. — O co w tym wszystkim chodzi?

— A to już nie twój zafajdany interes — odpowiedział Sloan jak zwykle wolno i wyraźnie.

## GINIA

Leżał na brzuchu na podłodze, opierając podbródek o grzbiet dłoni. Obserwował dużą złocistą rybę z ogonem falującym jak ognisty welon. Myszkowała w zakamarkach koralowca szukając zdobyczy. Chwilę później w polu widzenia pojawiła się ona. Długie czarne włosy falowały swobodnie i poddały się co śmielszym pęcherzykom z cienkiego warkocza powietrza.

Była naga jak ryba, na którą polowała.

Kształtne, jędrne pośladki ocierały się o siebie, gdy doskonale, smukłe nogi rytmicznie uderzały o wodę. Przemknęła nad krawędzią koralu i ukryła się za występem. Podchodziła rybę jak wytrawny myśliwy. Była wspaniale

zbudowana. Jaśniejsze trójkąci po skąpym bikini czyniły ją jeszcze bardziej atrakcyjną. Olśniewającą.

Śledził każdy płynny ruch i wypukłości na opalonym ciele. Wiedział, że czuła na sobie jego wzrok, i sprawiało mu to nie mniejszą przyjemność niż jej. Czuł pulsowanie w skroniach, gdy ogarniało go podniecenie.

Kupił tę łódź tylko ze względu na wielką przezroczystą taflę w dnie. Wystarczyło nacisnąć guzik, a przykryta perskim dywanem podłoga rozsuwała się. Światło czterech potężnych reflektorów w rogach tafli przenikało ciemność głębin, a oczom ukazywała się bajecznie kolorowa panorama.

Kobieta trzymała w rękach plastikową tubę w kształcie strzykawki, z tłokiem, ale bez igły. Urządzenie miało dwie stopy długości, pięć cali średnicy. Pływaczka powoli zbliżała się do ogona ryby. Energiczne pociągnięcie za tłok wessało stworzenie do tuby, a klapka zatrzasnęła się samoczynnie. Uwieczona ryba miotła się wewnątrz, obijając o niewidzialną ścianę. Kobieta odwróciła się do tafli i z dumą napięła mięśnie jak triumfator w zapasach.

— Dobra robota — powiedział ochryplym, zniszczonym głosem. Podparł się na łokciu i kiwnął palcem. Podpłynęła do tafli, obróciła się twarzą do niego i rozsunęła prowokująco nogi. Przytknął usta do szyby. Podpłynęła, musnęła wargami taflę na wprost jego ust i przywierając całym ciałem do przezroczystej powierzchni przesuwiała się wolno, tak że jego usta znalazły się na wprost piersi, potem brzucha i ud. Jego język wykonał krótki znaczący taniec w rozchylonych ustach. Wyprężyła się zmysłowo, gdy przesuwiał ustami nad jej ciałem. Na chwilę znieruchomiła i zniknęła z pola widzenia.

Leżał wpatrując się w gonitwę ryb wokół koralowca i rozmyślał o Ginii — błyskotliwej, pięknej i zmysłowej. Uznał, że tym razem dopisało mu szczęście. Byli ze sobą od trzech lat, nie tylko w łóżku.

Wyspę odkrył dla niego Cirillo. Po wyjściu z Los Boxes Hatcher udał się prosto do starego przyjaciela i jego żony Millie. Uwolniwszy się od „wybawców” Sloana dotarł autostopem do Miami i pewnej nocy stanął przed drzwiami Cirillów, wymizerowany strzęp człowieka z zapadniętymi oczami bez wyrazu, w spodniach przemoczonych i oblepionych błotem do kolan podczas przeprawy przez grzędawisko. Nie pytając o nic przywrócili go do zdrowia i odżywili. Z troską i zrozumieniem obserwowali, jak powoli odzyskiwał formę i równowagę psychiczną.

Trwało to kilka lat, nie mniej bolesnych i przykrych niż doświadczenia w Los Boxes. Zamknięty w sobie przeżywał rozterki i niepokoje w samotności.

Bał się zaufać komukolwiek. Pierwsze miesiące po uwolnieniu spędził niemal w całkowitej izolacji, roztrzásając przeszłość i walcząc z koszmarami. Próbował znaleźć miejsce, gdzie mógłby powrócić do rzeczywistości i osiąść na dłużej. Łódź pomogła mu w tym pierwszym, ale w morzu trudno zapuścić korzenie. Przez rok folgował sobie i swoim zachciankom. Był na Karaibach, wylegiwał się w słońcu, objadał smakołykami i pił najlepsze wina. Uprawiał seks z najrozmaitszymi kobietami — białymi i kolorowymi, męzatkami i niezamężnymi, bystrymi i głupimi, starymi i młodymi.

W końcu powrócił na wyspę. Nauczył się kochać to miejsce. Pokochał grzędawisko, które oddzielało wyspę od stałego lądu, samą wyspę i jej mieszkańców. Pokochał nowe życie. Zniszczone przez Los Boxes uczucia odżyły na nowo. W samotnym, na pozór zapomnianym zakątku na ziemi odnalazł swój dom.

Z początku był tematem wielu plotek i domysłów. Obcy, mrukliwy męzczyzna o nawiedzonym spojrzeniu, mówiący ochryplym szeptem, wzbudzał zrozumiałe zainteresowanie, gdy siadywał co wieczór w barze „U Murphy-ego” sącząc brandy. Brano go za ćpuna, który nie dał się złapać. Niektórzy podejrzewali, że jest agentem z wydziału narkotyków polującym na dostawców albo że właśnie odsiedział dwadzieścia lat za zamordowanie niewiernej żony. Te i podobne historie opowiadały o nim kobiety, na które nie zwracał uwagi, albo mężowie, których żonom wydawał się niezwykle atrakcyjny.

Plotki i domysły traktował z przymrużeniem oka, chociaż aura tajemniczości wokół jego osoby schlebiała mu nieco. Mieszkańcy wyspy stopniowo przekonali się doń. Zaakceptowali jego poczucie humoru i niezależność. Powoli i bez rozgłosu zdobył szacunek za lojalność wobec autochtonów. Stał się jednym z nich i plotki ucichły. Jak wielu innych, znalazł na samotnym skrawku lądu dwie mile od brzegów Georgii schronienie przed duchami przeszłości. Nikt na wyspie nie przejawiał zainteresowań spirytyzmem. Przeszłość była jego tajemnicą i tak miało pozostać.

Ginia zwróciła na niego uwagę kilka miesięcy przedtem, zanim ją zagadnął. Nie zadawała pytań, on też nie, chociaż wiedział, że urodziła się na wyspie, skończyła studia z wyróżnieniem i swego czasu była jednym z bardziej wziętych maklerów na Wall Street. Wyszła za mąż za bogatego prawnika, po czym w dniu swoich trzydziestych urodzin spakowała walizki i wróciła na wyspę. Założyła małą firmę maklerską. Tyle powiedział mu Murphy. O więcej nie pytał ani jej, ani nikogo innego. Ginia również nie zadawała zbędnych pytań, jakby zupełnie nie mieli przeszłości, tylko przyszłość.

Upłynęły dwa miesiące, zanim zaprosił ją na kolację. Sam przyrządził dania i podał na łodzi zakotwiczonej milę od brzegu nad rafą, która później stała się ich ulubionym miejscem postoju. Jedli siedząc na podłodze, podziwiali podwodne igraszki ryb i wypili dużo wina. Kiedy dwa dni później opuszczała pokład, wiedziała o Hatcherze nie więcej niż przedtem — może z wyjątkiem tego, że miał dobry gust. Z czego się utrzymywał, skąd pochodził i co robił przed przybyciem na wyspę, czy był żonaty, miał dzieci i czy nie ściagała go policja oraz czy nie był nieuleczalnie chory — na te pytania nie znała odpowiedzi nawet teraz, po dziewięciu wspólnych miesiącach, i prawdę mówiąc, nie chciała jej poznać. Był czuły, delikatny i miał fantazję, ale nie ponaglał. Nie dominował, ale nie był też całkowicie uległy. Wyczuwał jej potrzeby i umiał ją bawić. Odplącała mu tym samym. Żadne nie traktowało seksu jako celu, dlatego pozostał ich wspólną radością. Hatcher nigdy nie okazywał gniewu i nie wyrażał sądów. Traktował ją z niezwykłym szacunkiem i to jej wystarczało.

Zbliżało się południe, kiedy nad wyspą przeleciał z gwizdem niewielki odrzutowiec. Położył się na skrzydło w ciasnym skręcie na wschód, zawrócił nad oceanem, obniżył wysokość i ponownie przeleciał nad wyspą.

Sloan przyjrzał się jej, gdy weszli w zakręt. Przypominała kształtem Manhattan, ale na tym kończyły się podobieństwa. Miała dziewięć mil długości i niecałe dwie mile szerokości. Skrawek stałego lądu, otoczony z trzech stron rozległymi bagnami i oceanem od wschodu.

Na południowym skraju wyspy przycupnęła maleńka wioska. Pomost przystani rybackiej sięgał sto jardów w morze niczym palec zwrócony w kierunku Florydy. Wysłużona i zbielała od słońca latarnia morska stała na straży jak wartownik pilnujący od wieków uliczek ze sklepami i magazynami. Cień starych dębów porośniętych mchem okrywał największe skupisko domów w południowej części wyspy. Choć wyblakłe od słońca i wiatru, chroniły swoich mieszkańców przed kapryсами nieobliczalnego Atlantyku.

W nowym basenie portowym naprzeciwko centrum handlowego wśród żaglówek, łodzi regatowych i rybackich zacumowano kilka większych jachtów pełnomorskich. Na północ od wsi znajdowało się niewielkie lotnisko. Teren za nim był gęsto zalesiony i nie zamieszkanym. Sloan uznał, że zaludnioną część wyspy może przejść spacerkiem w niecałą godzinę.

Wysoki, chudy jak patyk mężczyzna w czapce z dystynkcjami kapitana portu wysiadł z szoferki cysterny z paliwem, gdy samolot zatrzymał się koło parterowego terminalu.

— Można tu gdzieś zjeść jak u mamy? — zapytał Sloan schodząc po drabince samolotu.

Mężczyzna zareagował tak, jakby zaprogramowano go na dziesięciosekundowe opóźnienie. Spojrzał na Sloana i powiedział:

— Chyba tylko we wsi u Birdiego.

— Są tu taksówki?

Odpowiedź przyszła po następnych dziesięciu sekundach.

— Nie ma.

— Jak się tam dostać?

— No... — zaczął po długim namyśle mężczyzna — może pieszo, jakieś piętnaście minut. — Zrobił kolejną długą przerwę i dokończył: — Albo można wynająć samochód tu w środku.

— Wie pan, szukam przyjaciela. Może pan słyszał — Christian Hatcher?

Tym razem na odpowiedź czekał pół minuty.

— Nigdy w życiu.

— Mówi pan u Birdiego?

— Aha.

Dzień był piękny, ciepło, ale nie gorąco. Od oceanu wiała lekka, orzeźwiająca bryza.

— Przespaceruję się.

Na wyspie niewiele się zmieniło przez ostatnie dwadzieścia lat. Wciąż mogła być natchnieniem dla następców Rockwella. Swoisty urok przyciągał turystów na wielkich statkach wycieczkowych z Miami i Charlestonu. Przyływały na wyspę dwa razy w tygodniu. Turyści, nazywani przez miejscowych „krążownikami”, w ciągu dnia robili zdjęcia na starej przystani, kupowali pamiątki u Tima, przekopywali antykwariat Nancy, zaopatrywali się w podkoszulki i wypchane zwierzątka w „Island Hop” oraz w prasę w drogerii Doca Bryanta. Szli na drinka do Murphy’ego albo na lody domowego wyrobu do Cliftona. Potem każdy kierował się na Main Drag, którą uważano za główną ulicę osady, gdyż odchodziły od niej aż trzy przecznice i oferowała atrakcje w postaci domowych obiadów u Birdiego, hamburgerów w „Big T”, dań z rusztu w „Rib Shack” oraz darów morza u Mallory’ego. Na noc turyści wracali na statek i następnego ranka nie było po nich śladu.

Sloan zatrzymał się i obejrawszy miniaturowe sioło uśmiechnął się do siebie. „Więc to ma być to, co Hatcher nazywa domem?” — pomyślał.

Postanowił wypytać się o Christiana ostrożnie, by nie wzbudzać zainteresowania. Doszedł do pomostu, na którym kilku miejscowych narzekało na ciężkie czasy, łowiąc ryby i opalając się. Paru obserwowało wpływające i wypływające łodzie do połowu krewetek i wielkie pelikany nurkujące po kolejną rybę na obiad.

Ronald Smith, który uważał siebie za nieoficjalnego burmistrza osady, zjawiał się na pomoście codziennie rano, ubrany w sportową marynarkę, w krawacie i ze świeżym kwiatem w butonierze. Głaskał psy, gruchał nad kołyskami i flirtował ze wszystkimi przedstawicielkami płci pięknej powyżej szesnastu lat. Potem udawał się do restauracji „Bowrider”, gdzie w przytulnej wnęce spożywał śniadanie w plotkarskim towarzystwie. Uśmiech nie opuszczał jego twarzy nawet na chwilę. Sprawiał wrażenie człowieka, którego jedynym zajęciem w ciągu dnia jest być miłym i sympatycznym. Dziesięć lat temu przyjechał tu na wakacje z żoną, którą pierwszego dnia pobytu dosięgnął na plaży ostatni zawal. Ronald Smith, dekorator wystaw w nowojorskim domu towarowym, poinformował listownie pracodawcę o przejściu na wcześniejszą emeryturę i został na wyspie.

Sloan obserwował, jak przechadza się po pomoście i pobliskim parku rozdając uśmiechy i wymieniając uprzejmości. Gawędziarzy wyczuwał od razu. Przeszedł na skraj parku, usiadł na ławeczce i czekał, aż Smith spacerowym krokiem podejdzie do niego.

— Dzień dobry. Piękny dzień, prawda? — zagadnął Smith z uśmiechem.

— Rzeczywiście śliczny — potwierdził Sloan i też się uśmiechnął.

— Kocham tę wyspę — powiedział Smith. W ten sposób witał wszystkich turystów.

— Jest piękna — zgodził się Sloan.

— Pan na urlopie?

— W pewnym sensie. Tak naprawdę to szukam znajomego. Kolegi z wojska. Zgubiłem adres, a w książce telefonicznej go nie ma.

— Może się przeprowadził — podsunął nieoficjalny burmistrz.

— A może zna go pan? Chris Hatcher. Chciałbym mu zrobić niespodziankę.

— Może nie lubi niespodzianek — odparł grzecznie Smith. Jego uśmiech przybladł nieco. Ukłonił się i odszedł.

Sloan udał się do sklepów. Witał się uśmiechem, wymieniał grzeczności i przechodził do najważniejszego pytania. Co prawda nikt nie odpowiedział: „nie znam takiego” albo „nigdy nie słyszałem tego nazwiska”, ale zbywali



pytanie ogólnikami typu: „o, na wyspie mieszka tylu ludzi” bądź „nie dosłyszałem, skąd pan jest?”

„Jak w typowym małym miasteczku — myślał — wszyscy bardzo mili i bardzo nie lubią mówić o sobie”. Ale cierpliwość Sloana nie miała granic. Hatcher był na wyspie. Znalezienie kogoś, kto to potwierdzi, pozostawało tylko kwestią czasu.

Wszedł do Birdiego. Był to przyjemny, schludny lokal. Pachniało świeżymi warzywami i morskimi przysmakami. Menu wypisano na dużej tablicy na ścianie. Usiadł przy stoliku obok grupki mężczyzn, którzy wyglądali na stałych bywalców.

Po przybyciu na wyspę Hatcher początkowo zachowywał się jak odludek. Uznał, że lepiej będzie nie wdawać się w żadne zażyłości i żyć samotnie na łodzi. Utrzymywał kontakt tylko z Cirillem i jego żoną. Stopniowo zbliżył się do innych mieszkańców. Okazali się serdeczni i otwarci. Nie mieli skłonności do zdecydowanych sądów i szufladkowania. Chętnie pomagali i wspierali się nawzajem. Uciekli na wyspę podobnie jak on, zostawiając na lądzie przykre wspomnienia, zrujnowane kariery i zniewagi faryzeuszów z establishmentu.

Wszyscy siedzący przy sąsiednim stoliku byli przyjaciółmi Hachtera. Jeden z nich, wielkolud, miał białe włosy i takąż brodę à la święty Mikołaj. Trzej pozostali nazywali go Niedźwiedziem. Inny był chudy i cichy, z długą siwą brodą sięgającą piersi. Jadł czytając książkę w kieszonkowym wydaniu. Następny miał subtelną twarz i pisał wiersz w sfatygowanym notesie. Przysłuchując się ich urywanej rozmowie Sloan bezskutecznie próbował wyłowić coś, co mogłoby naprowadzić go na ślad Hachtera. Wyglądali na miejscowych i na pewno byli z wyspy. Nazwisko czytającego brzmiało Bob Hill. Swego czasu był znakomitym ujeżdźcą i instruktorem hipiki, kłownem w cyrku i nauczycielem. Obecnie miał łódź do połowu krewetek. Poeta nazywał się Frank. Pracował na nocną zmianę w recepcji motelu na lądzie, a w dzień na wyspie pisał wiersze. Niedźwiedź był architektem. Czwarty siedzący przy stole wyglądał na człowieka zmęczonego życiem. Nazywali go Sędzią. Kiedyś wypił za dużo i był zmuszony pożegnać się z togą i palestrą — kolejna ofiara przemysłu spirytusowego. Obecnie pracował jako *maitre* w najlepszym hotelu na wyspie i od czternastu lat nie zajrzał do kieliszka.

— Ostatni raz tak dobrze jadłem, gdy gotowała mi mama — zakomunikował uprzejmie Sloan.

— Święta prawda. I tak tanio — odparł Niedźwiedź.

Chwilę rozmawiali o niczym. W końcu Sloan zadał pytanie zasadnicze. I znów padła taka sama enigmatyczna odpowiedź.

— Trafi tu prędzej czy później — powiedział Niedźwiedź. — Jak każdy głodny na wyspie.

Nie zrażony niczym Sloan sprawdził w książce telefonicznej. Nie znalazł Hatchera ani tam, ani w spisie numerów rejestracyjnych. Ale skoro Christian mieszkał na wyspie, był eksmarynarzem i kochał morze, wydawało się prawdopodobne, że ma łódź. Droga dedukcji i eliminacji doprowadziła Sloana do basenu portowego.

Tymczasem w osadzie już wszyscy wiedzieli, że ktoś szuka Hatchera.

Próbował wysondować Capa Fendiga, który zarządzał przystanią. Był on wyspiarzem z dziada pradziada. Jego ojciec, dziad i pradziad pracowali jako piloci wprowadzający wielkie transportowce do doków.

— Tak naprawdę to szukam starego przyjaciela. Chris Hatcher. Służyliśmy razem.

— Zapewne.

— To dobry wodniak. Pomyślałem, że może trzyma tu łódź.

— Tu się na ogół trzyma łodzie — odparł Fendig i zaczął schodzić z pomostu.

— Nazywa się Chris Hatcher — zawołał za nim Sloan.

— Taki się tu nie urodził. Mieszkam tu całe życie i nie słyszałem, żeby ktoś taki urodził się na wyspie.

— Oczywiście, że nie. Mógł przyjechać na wyspę jakieś półtora roku temu.

— Hm?

Koniec dyskusji.

Sloan zmienił taktykę. Podszedł do chłopaka pracującego przy dystrybutorze paliwa.

— O której wraca Chris Hatcher? — zapytał grzecznie.

— Nie wiem.

Bingo.

— Mieszka na łodzi?

— A bo ja wiem — odpowiedział chłopak i zniknął za drzwiami stacji.

Sloan poszedł do basenu, kupił piwo, wrócił na pomost i czekał.

Dźwięk rogu mgłowego wyrwał Hatchera ze snu i sprowadził do rzeczywistości.

— Boże, co znowu? — stęknął.

Wstał, poprawił kąpielówki, wyszedł na pokład i wysunął głowę za burłę.

Nie opodal na spokojnej wodzie kołysała się „Breeze-E” — łódź do połowu krewetek. Na rufie stał kapitan — wysoki i chudy jak szczapa mężczyzna ze starannie przystrzyżoną siwą brodą. Złożył dłonie w trąbkę i zawołał:

— Jakiś facet szuka cię po całej wyspie. Był u Birdiego, u Stephensa, Murphy'ego i w basenie. Nawet przewąchał u starego Rolanda.

— Czego chciał? — zapytał Hatcher schrypniętym gardłowym głosem.

— Mówi, że zna cię z wojska.

Hatcher potrząsnął głową.

— Jak wygląda?

— Kawał chłopca. Szeroki w barach i nabity jak kulturysta. Trochę po czterdziestce. Sympatycznie gada.

— Uprzejmy i stale się uśmiecha. Cienka blizna na policzku pod okiem?

— Hatcher powiódł palcem od oka do kącika ust.

— Dokładnie. Przyjaciół?

— Raczej nie. Powiedziałeś mu coś?

— Ani słowa.

— Dziękuję, Bob.

— Do usług. Łowisz?

— Tak jakby.

— To na razie.

Bob machnął ręką na pożegnanie, wrócił na mostek, otworzył przepustnicę i wziął kurs na pełne morze. Hatcher usłyszał za sobą szmer i odwrócił się. Ginia patrzyła znad relingu.

— Kto to był? — zapytała.

— Bob Hill. Mówi, że ktoś mnie szuka w mieście. Wiesz, jacy są wspiarsze. Czasem przesadzają z ostrożnością.

— To chyba miłe, że się tak o ciebie troszczą.

Przeskoczyła przez reling, wzięła ręcznik, owinęła się nim jak sarongiem.

— Aha. Jak tam ryba?

Sięgnęła za burłę, wyjęła tubę i podała mu. Podniósł ją do oczu i przyjrzał się zdobyczy.

— Duża sztuka.

— Popatrz na ogon. Zatrzymamy ją?

— Bezwzględnie.

Zszedł do głównej kabiny. W akwarium o pojemności stu galonów pływały ryby, które złapali dziś rano. Przytknął wylot tuby do wody, otworzył

klapkę. Żółta ryba wypłynęła do zbiornika i natychmiast przystąpiła do oznaczania terenu wśród koralowca i trawy na dnie.

— Piękna. — Ginia stanęła za nim i objęła go w pasie. — Pływanie mnie podnieca — powiedziała mu do ucha.

Nie odwracając się położył ręce na jej udach i przesunął w górę pod ręcznikiem. Odsunęła się nieco, by miał więcej swobody. Wsunęła dłonie za kąpielówki Christiana i poczuła, że zareagował na jej dotyk. Uwolniła go z krępującego stroju i zaczęła pieścić.

— A ciebie podnieca wszystko — powiedziała.

Odwrócił się i przesuując dłońmi po jej plecach delikatnie zdjął ręcznik. Gdy dotarł do pośladków, przyciągnął ją do siebie i powiedział do ucha:

— Masz strasznie zimną pupę.

— Ale w środku jestem rozpalona.

Wspięła się na palce. Rozchyliwszy lekko uda pozwoliła, by wszedł powoli. Przywarła ustami do jego sutki i zaczęła ją ssać.

— Już zaczynałem tęsknić — powiedział.

— Racja. Całe dwie godziny — odparła i roześmiała się.

Wysuwając się z objęć szepnęła mu do ucha:

— Włącz autopilota.

Wzięła go za rękę i pociągnęła do głównej kabiny.

## DAWNE CZASY

Była prawdziwą pięknoscią. Smukłą i lśniącą. Miała wyjątkowo małe zanurzenie, aerodynamiczny kokpit, wąską część dziobową o długości pięćdziesięciu stóp. Spod pokładu na rufie dochodził cichy pomruk czterech silników, każdy o mocy siedmiuset pięćdziesięciu koni mechanicznych. Wypukły kadłub skrywał przestrzenny salon z małżeńskim łóżem, który równocześnie pełnił funkcję kabiny kapitana. Ponadto znajdowały się tam dwie jednoosobowe kajuty dla gości i doskonale wyposażona kuchnia.

Stojący na pomoście Sloan aż gwizdnął z podziwu na widok łodzi sunącej bezszelestnie po falach w jego stronę.

Sto dwadzieścia sześć ostrzegł Hatchera, że najtrudniej będzie mu zapanować nad miłością i nienawiścią. Christian kochał Sloana jak rodzzonego brata i równocześnie nienawidził jak największego wroga. Zbliżał się do pomostu z mieszanymi uczuciami. Zobaczył Sloana pierwszy raz od siedmiu lat.

„Więzi między mentorem i uczniem są tak trwale jak między ojcem i synem” — powiedział kiedyś sto dwadzieścia sześć i nie pomylił się.

Hatcher chciał przede wszystkim wyrównać rachunki ze Sloanem, odplacić za zdradę, a mimo to było mu miło spotkać starego sukinsyna. Podpłynął do nabrzeża z narastającą wściekłością. Był wściekły na Sloana. I na samego siebie za to, że nie może bardziej nienawidzić. Był gotów wybaczyć Sloanowi trzy lata Los Boxes, ale zdrady nie wybaczy nigdy.

„Co on tu robi, do diabła?”

Odwrócił się do Ginii.

— Widzisz tego faceta przy bosmance? — zapytał.

— Aha.

— To on mnie szuka.

— Przyjaciel czy wróg?

— Zeskocz, jak tylko zacumujemy. Mam z nim do pomówienia.

— Skok w bok na panienki, he?

— Zgadłaś. — Pocałował ją w policzek. — Odezwę się. Przejmij cumę na brzegu.

— Oczywiście. A kolacja?

— Niewykluczone.

Pocałowała go mocno w usta.

— Żebyś tylko nie zapomniał. A nuż zechcesz się zabawić z kumpłem w żołnierzy na przepustce.

— To nie jest mój kumpel.

Sloan obserwował, jak łódź przybiła do pomostu. Ginia zeskoczyła z pokładu i przywiązała cumę dziobową do pachołka. Posłała buziaka Hatcherowi i zaczęła schodzić z kei. Smukłe uda prześwitywały pod białą spódniczką w promieniach zachodzącego słońca. Sloan doszedł do pachołka i spojrział na Hatchera.

— Kopę lat, Hatch — powiedział z wiecznym uśmiechem.

„Wygląda świetnie — pomyślał. — Opalony, w formie i ma dużo więcej włosów niż ja. Do diabła, w życiu tak nie wyglądał!”

Hatcher wpił w niego wzrok i milczał.

— Można wejść na pokład, kapitanie? — zapytał Sloan i zaśmiał się. Nie dostał pozwolenia, ale i tak znalazł się na łodzi.

„Pewność siebie bez zmian” — skonstatował Hatcher.

Zignorował wyciągniętą rękę, odwrócił się i zszedł pod pokład. Sloan przez chwilę stał nieruchomo. Zaciśnął dłoń w pięść, chuchnął w nią i podążył za Christianem.

Był zaskoczony przestronnością i elegancją głównej kabiny. Brąz i tek na ścianach, meble obite szarym pluszem. Na podłodze perski dywan. Stół na

osiem osób oddzielał część gościnną od wypoczynkowej. Drugi raz tego dnia Sloan gwizdnął z podziwu. Hatcher nie zwracał na niego uwagi. Podszedł do barku, nalał sobie kieliszek czerwonego wina i usiadł. Sloan nie doczekał się propozycji drinka i też spoczął naprzeciwko.

— Świetnie wyglądasz, Chris. Jak nigdy.

„Ten sam tupet” — pomyślał Hatcher, ale nic nie odpowiedział.

— Masz tu ciekawych przyjaciół. I dowcipnych. Żaden nawet się nie przyznał, że cię zna — powiedział Sloan i zaśmiał się.

Hatcher patrzył w milczeniu.

— Miło cię znowu spotkać — stwierdził Sloan starając się, by zabrzmiało to szczerze.

Bez odpowiedzi. „Do rzeczy, Sloan” — powiedział do siebie Hatcher. Nachmurzył się, ale wciąż milczał. Sloan westchnął patrząc, jak Hatcher pociąga łyk z kieliszka. Zaczął odczuwać pragnienie. „Do diabła, równie dobrze mogłem od razu przejść do rzeczy” — pomyślał.

— Zadałem sobie tyle trudu, żeby cię wyciągnąć z Madrango. A ty nawet nie byłeś uprzejmy pokazać się w Waszyngtonie. Mógłbyś chociaż powiedzieć „dziękuję”.

„Ciesz się, że cię nie zatłukłem” — pomyślał Hatcher, ale wciąż nie opowiadał.

Sloan ponownie zwinął dłoń w pięść, chuchnął w nią i uśmiechnął się.

— Muszę przyznać, że trochę się niepokoiłem po drodze. Pięćdziesiąt procent szansy, że mnie sprzątniesz. Rozumiem cię. Naprawdę, Hatch. Ale pomyślałem, że chyba nie warto przekreślać wszystkiego tylko po to, by wyrównać rachunki.

Hatcher wciąż milczał. W jego źrenicach błysnęły żółte ogniki.

— Chłopcy z wywiadu nie mogą o tobie zapomnieć — ciągnął Sloan. — Powiedziałem im, że jesteś najlepszy w branży i nie ma dla ciebie rzeczy niemożliwych. Uwierzyli dopiero, jak im zniknąłeś podczas tankowania w Miami. Bez forsy, bez dokumentów, tylko w spodniach i koszuli. Hokus-pokus i szukaj wiatru w polu. Piękna robota. Nawet trzy lata w tamtej norze nie obniżyły formy, co?

Nie odpowiedział.

Sloan wstał. Przechadzając się po kadłubie i dotykając sprzętów, kontynuował gładko i przymilnie jak spec od reklamy.

— Upłynęło szesnaście długich miesięcy, zanim trafiłem na twój ślad. Wiesz przecież, że nie dysponuję legionem do przetrząsania każdej piędzi ziemi. Po prostu miałem oczy i uszy otwarte.

„Stanowczo za dużo gadasz” — pomyślał Hatcher.

— Poruszyłeś gniazdo os — stwierdził Sloan. — Wiesz, jak cię nazywają w Interpolu? Ptak. W końcu, do cholery, jesteś najlepszym włamywaczem-alpinistą. Skojarzyłem od razu, ale zachowałem to dla siebie. W każdym razie moje gratulacje. Nawet rasowy ogar nie poluje lepiej.

Hatcher nie zdradził się. Wciąż patrzył na Sloana, który postawił sobie na kolanach walizkę, szczęknął zamkami i podniósł wieko. W środku znajdowały się teczki z aktami starannie ułożone i oznakowane, podręczny rozkład lotów, czarny notes — biblia Sloana, dzięki której wciąż trzymał się w branży, oraz python 357 i półautomatyczny HK kalibru 9 mm z zapasowymi magazynkami w specjalnych kieszeniach. Hatcher doskonale znał zawartość i jej rozmieszczenie w nesecerze.

Sloan nie zmienił się. Jeśli coś mu się raz przydało, włączał to do swojego „niezbędnika”. Teraz wyjął wycinek z gazety.

— Z niedzielnego „Timesa”. Posłuchaj. „Międzynarodowy rynek skradzionych dzieł sztuki ustępuje swoim zasięgiem i obrotami tylko rynkowi narkotyków”. Dalej piszą, że od 1981 roku liczba kradzieży podwoiła się. Tylko w ubiegłym roku zanotowano czterysta dziewięćdziesiąt trzy przypadki. Łącznie skradziono cztery tysiące sto pięćdziesiąt dzieł sztuki.

Milczenie.

— Naprowadził mnie twój występ w Paryżu. — Sloan pęczniał z dumy i uśmiechał się od ucha do ucha. — Kiedy zrobiłeś galerię w Chicago, a Stenhauser pośredniczył w negocjacjach, byłem prawie pewien. Numer w Nowym Jorku był w tym samym stylu. Kółko się zamknęło.

Wciąż milczenie. Hatcher napił się wina i patrzył. Przypomniał sobie, co sto dwadzieścia sześć mówił o zemście: „Myślenie o zemście działa deprymująco i jest stratą czasu”. Jediną rzeczą, którą Hatcher nauczył się cenić w Los Boxes, był czas.

— Występ w Paryżu to majstersztyk. Nasz wspólny koncert w Londynie nie może się z nim równać — powiedział Sloan.

Zrobił pauzę, ale nie doczekał się odpowiedzi, wobec czego kontynuował.

— Nieźle wyciągnęliście. Sam Monet był wart trzy miliony. Pięć obrazków, dwanaście milionów. Nie przypuszczałem, że tak dobrze znasz się na malarstwie.

Milczenie.

— Stenhauser udzielił ci paru wskazówek, zgadza się?

Znów milczenie.

— Tak czy owak po Paryżu wyskoczyliście na pierwsze miejsce i strasznie podkreśliście obroty na rynku. Moje najgłębsze uznanie za styl. Chyba słusznie się domyślam, że daliście tylko trzy koncerty.

Wzruszył ramionami i mówił dalej.

— Zresztą czy to ważne? Straty? Tylko dla towarzystw ubezpieczeniowych, i to nie takie, jakie by mogły być. — Zachichotał i uniósł ręce do góry jak iluzjonista przed kolejną sztuczką. — Poza tym kogo to obchodzi? Pewnie do tej pory odbili sobie wszystko w dwójnasób.

Milczenie Hachera zaczynało irytować Sloana. Z westchnieniem spojrział w sufit.

— Zmieniłeś się, Hatch. Kiedyś świetnie się z tobą rozmawiało o wszystkim. Dużo mówiłeś. Nieraz trudno było dojść do głosu.

Hatcher wstał nagle. Zrobił trzy długie kroki i zaciśniętą pięścią uderzył Sloana w szczękę. Trafiony wylądował na plecach i przetoczył się aż pod burzę.

— Cholera — zaklął wycierając krew z rozciętej wargi. Spojrział wściekle na pochylającego się nad nim Hachera.

— To à propos dochodzenia do głosu — usłyszał.

— Chryste Panie — zaskrzeczał Sloan. — Co się stało z twoim głosem?

Hatcher nie odpowiedział. Umył kieliszek, schował do barku i zamknął na klucz. Wyszedł z kabiny. Sloan wstał i rozmasował szczękę. Wyjął piwo z lodówki, otworzył, łyknął potężnie i przyłożył zimną puszkę do obolałej szczęki. Cztery silniki ożyły nagle i łódź ruszyła. Wybiegł na pokład. Hatcher wyprowadzał jacht na wstecznym biegu.

— Co robisz, do cholery? — zapytał ostro.

Hatcher nie odpowiedział. Zawrócił łódź w miejscu i wyszedł z portu. Na pełnym morzu zwiększył obroty. Głęboki pomruk silników przeszedł w głośniejsze buczenie. Łódź nabrała prędkości i wkrótce zaczęła pędzić skacząc z fali na fale.

Sloan wciąż masował szczękę.

— Nie wyszedłeś z wprawy — powiedział. Uśmiech powoli wracał mu na twarz. — Do diabła, a czego miałbym się spodziewać?

Hatcher odwrócił się, stanął twarzą w twarz ze Sloanem.

— Przyszedłeś po rozgrzeszenie, Harry?

Sloan wyglądał na zaskoczonego.

— Daj spokój!

— To co tu robisz? Tylko nie mów, że chciałeś powiedzieć „przepraszam”, bo ci przyłożę.



— Znasz mnie przecież, Hatch. Nigdy nie pozbywam się swoich skar-  
bów. Dobrze jest mieć coś na czarną godzinę. Coś, co prędzej czy później  
może okazać się bardzo... — nie dokończył zdania.

— Tak?

— Teraz jest czarna godzina.

— Wrobiłeś mnie, skurwielu. Sloan wzruszył ramionami.

— Robię, co do mnie należy.

— Żeby osłonić jakiegoś moczymordę.

— Do cholery, to była polityczna zagrywka. Próbowaliśmy zapewnić  
ochronę państwu przed...

— ...karaluchami i szczurami? — wpadł w słowo Hatcher.

— Przed komuchami — powiedział Sloan i wzruszył ramionami.

— I kogoś trzeba było poświęcić. Na przykład mnie.

— Wszystko się pogmatwało — wyjaśnił Sloan rzeczowym tonem. —  
Miałeś siedzieć w więzieniu w Madrango. Zanim zdążyłem wrócić po ciebie,  
znowu się zakotłowało. Dowiedziałem się, że cię przenieśli do Los Boxes.  
Dostałem cynk poniewczasie, wierz mi.

— Poniewczasie — powtórzył ochryply szept.

— Wyciągnąłem cię przy pierwszej sposobności, stary.

Hatcher otworzył przepustnicę. Dziób uniósł się nad falami.

— A ten mały grubas? — zapytał Hatcher.

— Pratt? Przetrzymani go parę miesięcy. Stracił czterdzieści funtów  
nadwagi i odszedł z Departamentu Stanu.

— Ciekawe, kto na tym lepiej wyszedł?

— Wyciągnął cię, prawda?

— Nasz ukochany ambasador Craig, jadąc po pijanemu, zabija kobietę  
z dzieckiem — powiedział Hatcher przez zaciśnięte zęby. — Biorę to na sie-  
bie. Trafiam do Los Boxes. Dwa miesiące później dawny rząd sływa do  
szamba, a Craig ma czyste konto i dupę. Pięknie, nie ma co.

— Długo w tym siedzisz, więc powinienes wiedzieć, jak prędko sprawy  
potrafią przybrać zły obrót. Przecież, do jasnej cholery, nie zapomniałem o  
tobie, prawda?

— Przypomniałeś sobie po trzech latach?

— Źle to obliczyłem.

Hatcher potrząsnął głową.

— Nie czaruj, Harry. Jak tamci dali dupy, ty wciąż byleś na górze. Cze-  
go chcesz teraz? — zapytał.

— Jest robota. Tylko ktoś taki jak ty może to załatwić.

Zdumiony Hatcher spojrział na Sloana.

— Odwal się — wychrypiał.

— Ale posłuchaj...

— Z nami koniec.

— Nie traktowałbym sprawy w ten sposób.

— Gówno mnie obchodzi, jak to traktujesz.

— Mam na widelcu twego współnika, Stenhausera — powiedział Sloan.

W jego głosie czuć było groźbę. — Jak go przycisnę, będziesz miał kłopoty przez najbliższe dwadzieścia lat.

— Masz dużo fantazji.

— I kto to mówi!

— Ja nie fantazjuję, tylko działałam — uciął Hatcher.

Sloan pochylił się i powiedział łagodnie:

— Chicago, Paryż i Nowy Jork to nie fantazja, kolego. Mogę to załatwić.

Rozliczę cię z każdego numeru osobno. Trzy poważne przestępstwa, trzy różne miasta i trzy sądy. Francuzi są bardzo czuli na punkcie dzieł sztuki. Zarobisz co najmniej piętnaście lat. Nie dobiorą się do tego, co upchnąłeś w Panamie, Szwajcarii i na Wielkim Kajmanie, ale stracisz wszystko, co masz tutaj... — puścił oko — i co lubisz.

Hatcher spojrział mu w twarz.

— Ja to nazywam „pic na wodę”.

— Może najpierw zadzwoń do Stenhausera i sprawdź.

— Co mu zrobiłeś, Sloan? Nawinąłeś go na kolano?

— Tylko trochę podciągnąłem na szelkach. Facet jest miękki. Pięknie się zgina.

— Tak pięknie, jak ty szantażujesz?

Sloan zaczął tracić cierpliwość, ale opanował się. Wciąż mówił łagodnie, otwarcie i z uśmiechem.

— Okay, okay, daj spokój. Zacząłem od złego końca. Posłuchaj, wyświadcysz mi tę przysługę i nie zobaczysz mnie więcej. Zniknę na zawsze. Chyba nie zapomniałeś, że to ja nauczyłem cię wszystkiego. A ja zapomnę o...

Hatcher zakręcił gwałtownie kołem do oporu w prawo, potem w lewo. Łódź weszła w ostry zakręt, szarpnęła i skoczyła w przeciwną stronę. Sloan poleciał do tyłu i uderzył plecami o burtę. Puszka wyleciała mu z rąk i poszybowała do wody. Nie zdążył złapać równowagi, gdy kolejny zakręt rzucił go do przodu. Padł na twarz na wprost wejścia do kabiny i ledwie pozbiierał się na kolana. Hatcher szybko zamknął przepustnice i otworzył je przechodząc na wsteczny. Bezbronny Sloan nie odzyskał jeszcze równowagi, zachwiał się i poleciał bezwładnie głową w stronę otwartych drzwi. Stracił

kontakt z podłożem, przekoziółkował w powietrzu i rymnął plecami na podłogę w kabinie. Podciągnął kolana do góry, znalazł oparcie dla stóp, ale kolejne szarpnięcie rzuciło nim o ścianę. Zobaczył, że plama pary z jego ust rozpryskuje się na kawałki tuż przed nosem. Zaslonił twarz ręką, odbił się od ściany i padł na podłogę wśród okruchów rozbitego lustra.

Usłyszał, że Hatcher zamknął przepustnice. Łódź zamarła na chwilę w bezruchu. Christian zeskoczył z fotela sternika. Jego kroki zadudniły na schodach do kabiny. Sloan ruszył na kolanach w stronę nesesera.

Hatcher był szybszy. Wyszarpnął pythona z uchwytu i cisnął neseser w bok. Zawartość rozsypała się po całej podłodze.

— Cholera jasna — zaczął Sloan i przerwał czując chłodny dotyk stali pod nosem.

Hatcher stał nad nim, wbijając łufę w jego górną wargę.

— Nauczyłeś mnie wszystkiego, co sam umiesz. Fakt — wychrypiał. — Tylko że ty przestałeś się uczyć, a ja nie, Harry. Spróbuj zaszantażować mnie, skurwielu.

— To nie tak! — zawołał Sloan. Uśmiech zniknął z jego twarzy. — Daj sobie wreszcie coś powiedzieć.

Hatcher pokręcił głową — Sloan nigdy nie rezygnował.

— Twój mocny punkt, Harry, to wyszczekana jadaczka. Mógłbyś diabła namówić na zimny prysznic w święconej wodzie. I biedak zrobiły to z pobudek patriotycznych, o których nie miał dotąd bladego pojęcia. Pięknie szafujesz ozdobnikami w stylu „obowiązek”, „ojczyzna” i „patriotyzm”. Sprzedajesz je na prawo i lewo, jak handełas maść na szczury.

— O co ci chodzi z patriotyzmem?

Hatcher puścił pytanie mimo uszu i ciągnął dalej:

— Kłopot w tym, Harry, że stosujesz strasznie pokrętną matematykę. Dla ciebie dwa i dwa to raz cztery, raz dwadzieścia dwa, a kiedy indziej nawet osiemdziesiąt jeden. Zależnie od sytuacji. Chyba, do cholery, nie wierzysz, że uda ci się wcisnąć mi to po raz drugi?

— Ale posłuchaj...

— Zamknij się — warknął Hatcher i spojrzał wściekle.

„Jeśli przeżyję następne dwie minuty, to chyba wyjdę cało” — pomyślał Sloan. Decydując się na spotkanie z Hatcherem wziął pod uwagę ryzyko i wkalkulował je starannie w kosztorys. Zamknął usta i wyprostował się w fotelu. Hatcher odsunął się kilka kroków w tył, trzymając pythona wycelowanego między oczy Sloana. Uśmiech wrócił na twarz Harry'ego, który nieznamienicie poruszył rękami i powiedział:

- Miałem nadzieję, że uda nam się porozmawiać.
- Chryste Panie! Co z ciebie za typ!
- Może jednak wysłuchasz. Poświęć mi dziesięć minut swego cennego czasu i zniknę na...

Hatcher przerwał mu ostro. W jego głosie zabrzmiały inne tony.

— Był czas, Harry, kiedy myślenie o takiej chwili jak teraz trzymało mnie przy życiu. Syciłem nią oczy i umysł. Popatrz, od wieczności dzieli cię tylko jedno pociągnięcie za spust.

Uśmiech na twarzy Sloana przybladł nieco.

— Więc co cię powstrzymuje? — zapytał zuchwale Hachera.

Ten zignorował pytanie.

— Znikniesz stąd, i to niebawem. Zostawię cię na rafach, a rybki posprzątają po tobie szybko i dokładnie. I nikt nigdy się nie dowie, co ci się przytrafiło.

— Wiem, że mógłbyś to zrobić, ale nie zrobisz — powiedział Sloan i pewnie pokręcił głową.

— Robiłem już gorsze rzeczy. Powinieneś wiedzieć. Pracowałem przecież dla ciebie.

— Uważasz, że nie wiem, iż masz o kim myśleć? — zapytał Sloan i po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiały posępne tony. — Rozejrzyj się dobrze. Widzisz gdzieś brygadę chłopców wymachujących żelastwem? Przyjechałem sam. Do ciebie.

Sloan doskonale umiał czytać z twarzy. Po latach praktyki potrafił dostrzec każdy błysk w oku, drgnienie powieki czy kącika ust. Nieistotny dla wielu znak był dlań sygnałem, że w rozmówcy zaszła zmiana. Wtedy wiedział na pewno, że ryba chwyciła przynętę i pora zwijać żyłkę. Hatcher doskonale maskował emocje, ale Harry wyczuł, że chyba go ma. Uznał, że najtrudniejszą część zadania wykonał z powodzeniem. Pochylił się i powiedział:

— Potrzebuję twojej pomocy, stary.

„Do diabła, znowu to samo. Zaraz rozgada się w starym stylu” — pomyślał Hatcher.

— Dajmy sobie spokój i przestańmy szargać się nawzajem — zaczął Sloan. — Chyba nie ma sensu przekonywać się dalej, który z nas jest twardszy. Znam cię, Hatch. Wiem, że ty wiesz, iż nie przyjechałem się opalać. Interesuje cię prawdziwy powód. Może byś odłożył tę armatę i wysłuchał do końca, zanim popełnisz nieodwracalne głupstwo?

Hatcher westchnął. Opuścił rękę z rewolwerem i oparł ją ma udzie, kierując lufę w podłogę gdzieś między stopy Sloana.

— Okay, posłuchajmy, co to za prośba — powiedział drwiąco. — Jak znam życie, nie będzie to nic nowego.

## CODY

Sloan pozbiierał rozrzucone teczki, uporządkował je i położył jedną na kolanach Hatchera.

— Przeczytaj.

Były to akta przebiegu służby porucznika Murphy'ego Rogera Cody'ego. Murphy Cody. Hatcher nie słyszał tego nazwiska, od czasu kiedy ów zginął w Wietnamie.

— O co chodzi? — zapytał. — Cody to historia. Od piętnastu lat.

— Dokładnie czternastu.

— Co za różnica?

— Przejrzyj to. Potem porozmawiamy.

Hatcher przestudiował część 0-1 i nie znalazł nic osobliwego. Akta założone w 1962 roku, kiedy Cody wstąpił do Akademii Marynarki. Obejmowały przebieg służby do 13 kwietnia 1972 roku, czyli do dnia, w którym dwusilnikowy OV-10 został zestrzelony w czasie rutynowego wylądowania koło Binh Thuy w delcie Mekongu. Porucznik Cody miał służbowy przydział do szóstego dywizjonu wsparcia Rzecznych Sił Patrolowych. Oddelegowano go do służby na lądzie w lipcu 1971 roku, dziewięć miesięcy przed katastrofą. Ponadto w aktach znajdowały się dwie pochwały za wybitne zasługi na polu walki i wniosek o odznaczenie Krzyżem Marynarki, który nadano pośmiertnie.

W uzupełnieniu zamieszczono protokoły przesłuchań dwu bocznych z klucza Cody'ego oraz strzelca z helikoptera ratownictwa morsko-powietrznego, który próbował wydostać Cody'ego i jego strzelca; tajny raport komisji do spraw zaginionych w akcji datowany w styczniu 1978 roku i stwierdzający brak jakichkolwiek śladów pozwalających sądzić, że Cody żyje; kolejną taśmę z posiedzenia komisji weryfikacyjnej i oficjalne świadectwo zgonu wystawione w 1979 roku oraz jeszcze jeden raport z wizji lokalnej na miejscu katastrofy z 1981 roku, potwierdzający znalezienie zwęglonych kości. Nie zostały zidentyfikowane, mogły zatem być szczątkami Cody'ego, jego strzelca, mata Johna Rossitera, albo ich obydwu.

Jedyna wzmianka o ojcu Cody'ego znajdowała się w rubryce „krewni” i brzmiała: „William John Cody, generał Armii Stanów Zjednoczonych”. Nie: Bufallo Bill Cody, głównodowodzący siłami lądowymi w Wietnamie. Typowe biurokratyczne niedomówienie.

Były także dwie fotografie. Pożółkłe czarno-białe ostatnie służbowe zdjęcie Cody'ego oraz kolorowa pocztówka, na której stał z żoną i dwójką dzieci na tle choinki. Na odwrocie data: „Boże Narodzenie, 1971 — ostatnie święta

w domu”. Wycinek prasowy z „Chronicle” informował o wstąpieniu Joan Cody, wdowy po Murphym, w związek małżeński z pewnym kontradmirałem wkrótce po tym, jak Cody został oficjalnie uznany za zmarłego. Suche i skąpe informacje.

Hatcher przyjrzał się zdjęciom. We wspomnieniach zachował Cody'ego jako faceta, który lubił się pośmiać i zabawić.

Po dwudziestu latach obrazy zatraciły ostrość. Były niewyraźne i mieszały się ze sobą. Rzecz dziwna, lepiej pamiętał te przykre. Były bardziej wyraziste, wręcz krystalicznie czyste w porównaniu z innymi, które uciekały i ginęły we mgle. Na jednym z nich Cody pojawił się jako brutal z drugiego roku. Masakrował przeciwnika na linach ringu. Dopiero po gwałtownej szarpaninie udało się Hatcherowi i jeszcze jednemu z drużyny odciągnąć dyszącego mordem Cody'ego od chłopaka z zakrwawioną twarzą. Na innym obrazie skruszony Cody siedział przy łóżku pobitego i przeproszał go ze łzami w oczach. Chłopak miał pęknięte dwa żebra i zmiażdżoną kość policzkową. Cody przesiedział przy nim do rana.

Przypomniawszy sobie także swój strach pierwszorocznika przed Codym, który miał opinię wyjątkowo wrednego zupaka.

— Kiedy go poznałeś? — zapytał Sloan.

Wspomnienia ruszyły jak lawina. Namyślał się chwilę, przeglądając mętne obrazy. Gdy nieco zwolniły i nabrały ostrości, odpowiedział:

— Pierwszego dnia w akademii. Nie zapomnę do końca życia...

Sierpień 1963. Upalny słoneczny dzień. Hatcher i sześciu innych pierwszoroczników — wszyscy wyprężeni jak struny pod ścianą korytarza przed jadalnią. Pierwszego dnia w akademii czuli się zagubieni i przerażeni. Dwóch elewów ze starszego rocznika wzięło ich w obroty i dawało przedsmak tego, przez co musi przejść każdy ropuch, czyli elew z pierwszego roku.

Z dwóch oprawców gorszy był masywny Snyder. Szyderczy uśmiezek nie schodził mu z twarzy. Nienawidził wszystkich niższych stopniem. Jego dni w akademii były policzone. Nie oszczędzał nikogo.

Drugi oprawca, też z drugiego roku, przyglądał się bez słowa. Był wysoki, mocno zbudowany i mimo trójkątnej jastrzębiej twarzy na swój sposób przystojny. Wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Stał na „spocznij” i nie spuszczał oczu z Hachera.

— Ale larwy — powiedział Snyder przechadzając się wzdłuż szeregu wyprężonego pod ścianą. — Uwaga, larwy! Za rok zostanie was tylko dwóch.

Zatrzymał się przed Hatcherem.

— Jesteś z poprawczaka, he? Jakim cudem nieletni kryminalista trafił do Annapolis?

Hatcher patrzył przed siebie i nie wiedział, co odpowiedzieć. Snyder przybliżył się tak, że nosem prawie dotykał ucha Hachera.

— Co jest, sierściuchu? Nie umiesz mówić?

— Tak jest, sir!

— Jesteś sierściuch?

— Tak jest, sir!

— I gnój śmierdzący?

— Tak jest, sir.

— Nie słyszę!

— TAK JEST. SIR!

— Dobra. A teraz zmywać się wszyscy! No już, jazda stąd! — wrzasnął i roześmiał się, gdy pobiegli do sal.

Minutę później w sali Hachera zjawił się wysoki.

— Wszyscy wypad! Hatcher zostaje! — warknął.

Sala opustoszała. Hatcher stał w nowym mundurze wyprężony na baczność, patrzył w prawo. Cody stanął tuż przy nim i wyglądając na podwórze za oknem powiedział:

— Nazywam się Murphy Cody. Dla ciebie pan Murphy Cody.

— Tak jest, sir.

— Słyszałem, że wychowałeś się na ulicy, sierściuchu. Zgadza się?

— Tak jest, sir.

— Wygrałeś w bostońskim turnieju o złote rękawice, czy tak?

— Tak jest, sir.

Cody obejrzał go od stóp do głów.

— Waga średnia?

— Tak jest, sir!

— A nawet nie wyglądasz na takiego, co potrafi puścić dobrego bąka — powiedział Cody i wyszedł.

Święto Dziękczynienia 1963. Zimny wietrzny dzień.

— Sierściuch, pod ścianę! — ryknął Snyder, gdy Hatcher wychodził z jadalni.

Sierściuch stanął na baczność przywierając plecami do muru.

Już kilkunastu pierwszoroczników zdążyło odpaść w wyniku uporczywych prześladowań Snydera, Cody'ego i paru innych kadetów. Hatcher czuł przez skórę, że Cody od dawna ma na niego oko. Zaskoczył wszystkich tym, że mimo rygorystycznego egzekwowania regulaminu i sadystycznych

prześladowań starszych stopniem nie pękł jak wielu innych, lecz z dnia na dzień męźniał i twardniał. Przed nadejściem zimy uwierzył, że wytrzyma do końca pierwszego roku, o ile nie dojdzie do konfrontacji ze Snyderem.

Tamten był innego zdania i miał swoje plany wobec Hachera.

— Jest mój — chełpił się. — Załatwię go. Odpadnie przed świętami.

Ścigał Hachera bez ustanku. Łaźnia dla pierwszoroczników, dziedzińiec, korytarz — każde miejsce było dobre do wygłoszenia obelżywych i poniżających komentarzy. Hacher miał już tego dość. Snyder dopadł go znowu.

— To jest uczelnia dla ludzi pełnowartościowych, sierściuchu — warknął Snyder. — Ty nie jesteś pełnowartościowy. W moich stronach takiego jak ty nazywa się młodocianym kryminalistą. Wiesz, co to kryminalista, sierściuchu?

— Tak jest, sir.

— Postaram się, żeby cię tu nie było. Od dziś uważaj siebie za historię. Nie zasługujesz, by służyć w tej samej armii co ja.

Hacher nie odpowiedział.

— Chcesz zostać oficerem, sierściuchu?

— Tak jest, sir.

— Dobry dowcip. Nawet nie wiesz, kto cię zrobił i urodził, zgadza się?

Hacher nie odpowiedział. Czuł, że krew napływa mu do twarzy.

— Zadałem pytanie, sierściuchu.

Bez odpowiedzi.

— Wiesz, jak nazywa się ten, co nie ma ojca ani matki, sierściuchu?

Milczał patrząc przed siebie. Z trudem powstrzymywał nadchodzący wybuch.

— Mów! — zażądał Snyder.

— On chyba nie zna tego słowa, Snyder — usłyszał Hacher z ust Cody'ego. Wciąż patrzył przed siebie. Snyder zniknął z pola widzenia, a na jego miejscu zjawił się Cody. — Nie zaszedł tak wysoko w szkole.

— To prawda, sierściuchu? — rzucił Snyder.

— No, sierściuchu, czy to prawda? — powtórzył Cody.

— Tak jest, sir.

Snyder pochylił się do ucha Cody'ego.

— On jest mój, pamiętaj. Do świąt zrobię z niego karmę dla psów. — Zaśmiał się i odszedł.

— Już prawie cię miał, sierściuchu — powiedział ostro Cody. — Przyglądałem ci się. Teraz słuchaj. Wszyscy tu święcie wierzyli, że odpadniesz,



ale wykiwałeś nas. Punktuj dalej. Nie zmarnuj okazji. Snyder chce cię sprokować. Jeśli mu się uda, odpadniesz. Wytrzymałeś tyle, wytrzymaj resztę. Za parę miesięcy będziesz na drugim roku i nikt ci nie podskoczy.

— Co on ma przeciwko mnie, sir?

— Jest elitarystą. Uważa, że ty tu nie pasujesz.

— Pan też tak uważa, sir?

— Gównu cię obchodzi, co inni uważają. Ważne jest to, co ty myślisz. Tej rozmowy nie było — powiedział odchodząc.

— Byłeś dość blisko z Codym przez jakiś czas, prawda?

Pytanie Sloana przywróciło Hatchera do rzeczywistości. Spojrzał w twarz rozmówcy i po dłuższej chwili odpowiedział:

— Tak... Byliśmy razem w Annapolis. Po skończeniu akademii prawie go nie widywałem. Trafił do lotnictwa, a ja do wywiadu. Dlaczego tak cię to interesuje?

— Wiesz, jak to jest. Generał nie może pogodzić się ze śmiercią syna. Przypuszczam, że chce mieć wreszcie zdecydowany pogląd na sprawę, by móc traktować rzecz z dystansu.

Hatcher zmrużył oczy. Wiedział, że to kłamstwo, choć Sloan nie zdradził się najmniejszym gestem.

— Przestań łąć. Nie zadawałbyś sobie tyle trudu, żeby powspominać Murpha Cody'ego. I to ze mną. Chyba nie sądzisz, że zwariowałem ze szczęścia na twój widok.

Sloan zrobił przeproszący gest. Kiedy miał kłopoty, uśmiechał się szerzej.

— Dobrze, daj już spokój. Poświęć mi jeszcze parę minut, zgoda?

Hatcher rozluźnił się.

Interesował go dalszy ciąg. Nie miał nic do stracenia w tej grze, jakakolwiek by była.

— To się zdarzyło dawno temu. — Wrócił do przerwanej wątku. — W Annapolis byliśmy od sześćdziesiątego trzeciego do sześćdziesiątego siódmego. Zaprosił mnie na ślub. To było w...

— Sześćdziesiątym dziewiątym — dokończył za niego Sloan. — Jest w aktach.

— Potem spotkałem go dopiero, kiedy już byłem w brygadzie.

— Dlaczego?

Hatcher zamyślił się.

— Poróżniliśmy się. Na początku był ostry. Lubił ścigać. Czekał na spłatę należności. Uważał, że mam u niego dług. Sam zawsze spłacał swoje i lubił być kwita ze wszystkimi. Pewnie wynikało to z tego, że był synem wielkiego Buffalo Billa.

— A dokładniej?

— Polo musiał trzymać fason. Z tego, co wiem, generał nie tolerował żadnych niepotrzebnych zobowiązań.

— Grał w polo?

— Powiedziałem — Polo? — powtórzył zaskoczony Hatcher. — Jezu, zupełnie bezwiednie. Po prostu mi się wyrwało. Polo to jego przezwisko. Od polaroid. Miał pamięć fotograficzną. Do wszystkiego. Twarze, nazwiska, wzory — cokolwiek. Chłopaki ze starej paczki tak go nazywali.

Zrobił dłuższą przerwę, by przywołać kolejne wspomnienia.

— Wiesz, to był równy gość. Szczery i lojalny. Od czasu do czasu lubił zrobić piekło i...

Przerwał i spojrzał na zdjęcie rodzinne. Mężczyzna stojący przed choinką wydał mu się mniejszy i smutniejszy niż Cody, którego pamiętał. Przed oczami zamajaczyły obrazy z pierwszych świąt w akademii.

— ...i lubił kobiety.

Boże Narodzenie 1963. Śniegu spadło akurat tyle, żeby można było powiedzieć „białe święta”. Przykre i smutne. Pierwszy raz z dala od Cirilla. Był bez grosza i nie miał dokąd pójść. W akademii zostało tylko kilku kadetów z drugiego i trzeciego rocznika. Szedł przez dziedziniec ze spuszczoną głową kuląc się z zimna, gdy nagle usłyszał krzyk i odgłos przewracanych mebli.

„Boże, znowu się naporzają” — pomyślał i pobiegł do kwater starszych kadetów. Pierwsze piętro. Rumor dochodził zza drzwi Cody'ego.

W pokoju zastał istne pobojowisko. Książki, papiery i ubrania porozrzucone na podłodze. Cody chodził w kółko jak furia, kopiąc co popadło, i wykrzykiwał najcięższe przekleństwa. Miał łzy w oczach. Chwycił krzesło i zamachnął się nim celując w okno. Hatcher powstrzymał go w ostatniej chwili. Cody puścił krzesło i odwrócił się. Czerwony na twarzy, z pijackim obłędem w rozbieganych oczach wrzasnął:

— Czego tu chcesz, ś-sierść-ciuchu?

— Cholera jasna, panie Cody, będą kłopoty. Jak oficer dyżurny usłyszy...

— Mam w dupie dyżurnego.

Hatcher wyjrzał przez okno. Zobaczył, że OD biegnie już przez dziedzi-  
niec.

— O, cholera! — powiedział.

Odstawił krzesło i w pośpiechu doprowadził pokój do porządku. Zgarnął porozrzucone papiery i książki, ułożył je w stos na biurku. Wepchnął ubrania do szafki i zamknął na klucz.

— Co ty robisz, sierść-ciuchu?

— Oficer dyżurny idzie. Jeśli zobaczy pana pijanego w pokoju, wyrzucą pana, sir.

— No i co z tego? — wybełkotał Cody. — Dobrze im tak.

— Komu, sir?

— Nie twój interes.

— Tak jest, sir.

Hatcher usłyszał otwierane na dole drzwi wejściowe.

— Idzie tu — powiedział przerażony.

— Niby kto?

— OD, do diaska!

— Niech się wypcha. Co, do kur... — nie dokończył. Hatcher wepchnął go do łazienki i zatrzasnął drzwi.

Wrócił do pokoju i zamknął się od wewnątrz. Wyjął z szafy buty, pastę i szmatkę. Kroki dyżurnego zbliżały się. Zaczął gorączkowo polerować but, gdy rozległo się pukanie.

— Panie Cody?

Hatcher otworzył.

— A ty co tu robisz, sierściuchu? — zapytał ostro dyżurny patrząc na Hatchera.

Ten podniósł but i szmatkę.

— Czyszczę buty pana Cody'ego, sir.

— Gdzie Cody? — dyżurny ominął go i wszedł.

Hatcher dostrzegł na podłodze koło łóżka zakręconą butelkę wódki. Przesunął się wolno w jej stronę i upuścił but. W tej samej chwili kopnął flaszkę pod łóżko, tak że oba stuknięcia nastąpiły jednocześnie.

Dyżurny obrócił się na pięcie, a Hatcher wyprężył się na baczność.

— Przepraszam, sir — wymamrotał — upuściłem but.

W tej chwili Cody wystawił mokrą głowę z łazienki. Na plecach miał ręcznik.

— O co chodzi? — zapytał surowo.

— Słyszałem tu jakąś awanturę, Cody — odpowiedział dyżurny.

— Chyba z radia. Już wyłączyłem. Ma być do glansu, sierściuchu — powiedział i zatrzasnął drzwi.

— Tak jest, sir.

— Tylko nie za głośno — powiedział dyżurny i opuścił pokój.

Cody wyszedł z łazienki. Miał wciąż ręcznik na plecach i włosy ociekające wodą. Rozejrzał się, opadł na kolana i sięgnął po butelkę. Wyciągnął ją i usiadł na podłodze opierając się plecami o łóżko. Zdjął zakrętkę i roześmiał się.

— Masz refleks, sierściuchu. I głowę na karku. Łyknij.

— Chyba nie...

— Siadaj, mówię, i łyknij, sierściuchu — powiedział Cody i podsunął butelkę.

Hatcher usiadł obok niego, przechylił i wzdrygnął się.

— Niezły z ciebie okaz, sierściuchu — stwierdził Cody z odcieniem szyderstwa. — Przyglądałem ci się. Masz zabawne podejście do życia. Etyka ulicy?

— Tak sądzę.

— Tak sądzę, co?

— Tak sądzę, sir.

— No. — Cody pociągnął następny łyk i podał butelkę Hatcherowi. — Jestem z wojskowej rodziny, sierściuchu. Wszyscy kochają Buffalo Billa Cody'ego.

— Tak jest, sir.

— Zresztą, cholera... — przerwał i wykonał nieokreślony ruch ręką. Wbił wzrok w butelkę i zapytał: — Jak myślisz, sierściuchu, będzie ze mnie admirał?

Hatcher łyknął i zwrócił flaszkę.

— Pan chce zostać admirałem, sir?

— A niby co? Jesteśmy w Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, sierściuchu. I każdy ma zostać admirałem. Nie wiedziałeś? A ty dlaczego tu jesteś? Żeby zarobić na szacunek? — zachichotał Cody podając mu butelkę.

Po kolejnym łyku Hatcher stwierdził, że pokój zaczyna się kołysać.

— Lubię morze — odparł po chwili i oddał flaszkę.

— Lubię morze — powtórzył Cody z drwiną. — Chryste Panie, przyjechał do Annapolis, b-bo lubi pieprzone morze. Niech ci będzie, sierściuchu. A które najbardziej?

— Mokre, sir — z uśmiechem odparł Hatcher.

— Dobrze — stwierdził Cody i roześmiał się. — T-trochę m-mało wybredne. Niewyb-wybredny -steś, sierściuchu. Musisz być b-bardziej wyb-wybredny, żeby zostać elita-litorystą.

— Elitar-tystą, sir.

— Elitartystą — bełkotał Cody dusząc się ze śmiechu.

— Elitartystą — wtórował Hatcher.  
— Dlaczegoś to zrobił? Kryjesz mnie po tym, jak cię czołgałem? Może chodzi o tę radę w sprawie Snydera, co?

— Może.

— Nie myśl sobie przypadkiem, że zasłużyłeś na jakieś specjalne względy, Hatcher. Jestem strasznym oportunistą i najgorszym snobem z tej zbieganiny. W przyszłym roku moja kolej na kapitana drużyny bokserskiej. W wadze średniej mam tylko Snydera. Ale on ma szczękę z porcelany. Jedno dobre trafienie i jest na deskach. Chcę mieć dobry zespół, który wygra. Potrzebuję dobrego średniego, sierściuchu, a ty wpadłeś mi w oko. Sprawdzę cię na wiosennych sparingach.

— Powód jak każdy inny — powiedział Hatcher wzruszając ramionami.

— Pan i Snyder to za mało, żeby mnie stąd wykurzyć.

Cody spojrział na niego zaskoczony. Odchylił się i stawiając flaszkę na kolanie skinął potakująco głową.

— Wiesz co, chyba masz rację — przekazał butelkę i zapytał: — A właściwie dlaczego, do cholery, siedzisz tu, a nie w Bostonie?

— Nie stać mnie. Poza tym ci, których chciałbym odwiedzić, akurat pojechali na narty.

— Też nie mam do kogo pójść. Stary gdzieś na Dalekim Wschodzie, a pani Cody na Karaibach. W końcu co za różnica. Jeszcze jeden dzień jak co dzień.

Pociągnął tego z butelki i podał ją Hatcherowi.

— Ale tak naprawdę to moja dziewczyna, najśladza Cassie, zmieniła zdanie. Wychodzi za prawnika. Dasz wiarę? Bierze ślub z jakimś pieprzonym krwiopijcą. Uznała, że nie może być żoną marynarza.

— Trudno ją chyba winić. To jej prywatna sprawa.

— Może i masz rację. Nie mogła dłużej zwlekać z zalegalizowaniem swego ulubionego sportu. — Cody zachichotał i wznosił toast. — Za ulubiony sport Cassie.

Napił się i podał Hatcherowi.

— Też wiem, jak to jest — powiedział Christian. — Moja rzuciła mnie dla zapaśnika. Góry mięśni bez szyi. Poniżające, nie? Ale tylko trochę. — Podniósł butelkę. — Za głupotę.

— Co robisz w sylwestra, sierściuchu?

— Nic.

— Byłeś na Times Square w sylwestra?

— Nie stać mnie nawet na bilet do łaźni, panie Cody.

— Forsa to moja sprawa. Ja stawiam. Tylko potem nie rozgłaszaj, że Cody i sierściuch Hatcher wyrwali się na weekend razem. — Uśmiechnął się,

puścił oko i pociągnął z butelki. — Weźmiemy dobry hotel, z obsługą do pokoju. Może trafimy na jakieś samotne panie. A o północy dołączymy do pogańskich hord. — Podniósł flaszkę. — Za pogańskie hordy.

Tak oto kadet Murph i sierściuch Christian Hatcher wyruszyli w sylwestra na podbój Nowego Jorku.

W autobusie byli już na ty, a w samotnych paniach mogli przebierać jak w ulęgalkach. Bary i restauracje pękały w szwach, radosne tłumy tańczyły na ulicach, jakby nagle w mieście wybuchła epidemia braterskiej miłości. Kiedy trafiła się okazja w postaci dwóch pań bez towarzystwa, zagrali w marynarza. Umówili się, że jeśli razem pokażą więcej niż siedem palców, przystąpią do akcji. Przed zapadnięciem zmroku mieli towarzystwo.

Dziewczeta mieszkały razem. Helen była asystentką w dziale fotoreportażu jakiegoś dziennika. Zajął się nią Cody. Linda pracowała jako bileterka w teatrze na Broadwayu. Spały w jednym pokoju, tak więc dodatkową atrakcją wieczoru stało się unikanie ostentacyjnego zachowania wobec pary na sąsiednim łóżku.

O drugiej nad ranem obudził ich ostry dzwonek telefonu. Odebrała Helen.

— Serwus, mammo. Szczęśliwego... Co? Nie!... Kiedy? O Boże!... Tak, mammo, przyjadę jak najszybciej. Tak...

Usiadła na łóżku przyciskając do piersi słuchawkę. Drżała na całym ciele i płakała. Cody okrył ją kocem i zapytał, co się stało.

— Mój brat... miał wypadek... samochodowy... Muszę jechać do szpitala... Nie dają mu...

— Ubieraj się. Zawiozę cię tam.

— Ale to jest na drugim końcu Queens.

— Ubieraj się. Nieważne, że daleko. Nie możesz być sama.

Cody był prawdziwym dzentelmenem. Od chwili gdy poznali dziewczęta, jurność i zawadiactwo ustąpiły miejsca delikatności i subtelności. Hatcher był zaskoczony tą odmianą. Cody szybko załatwił transport do szpitala i wyszedł z Helen. Linda i Hatcher leżeli długo obok siebie. Smutna wiadomość popsuła nastrój. Seks wydał się nagle obydwójgu nie na miejscu. Hatcher przysypiał i budził się kilka razy. Gdy zadzwonił dzwonek do drzwi, zaczynało świtać. Linda usiadła na łóżku.

— Ojej, kto to może być? — szepnęła.

Hatcher podszedł cicho do drzwi i wyjrzał przez wizjer.

— To Murph — powiedział i otworzył.

Cody stał trzymając czapkę pod pachą.

— Pomyślałem, że może was zainteresuje, że Fred, to znaczy brat Helen, chyba wyjdzie z tego.

— Świetna wiadomość — ucieszył się Hatcher.

— Zadzwoń bym wcześniej, ale nie znam numeru.

— Fajnie, że przyszedłeś.

— Ale...

— Co?

— Nie chce mi się wracać do hotelu samemu — powiedział cicho.

Za plecami Hachera pojawiła się Linda w szlafroku.

— Wchodź — powiedziała i pociągnęła Cody'ego do środka. Weszli z Hacherem do łóżka i patrzyli, jak Cody rozbierał się do slipów. Gdy usiadł na łóżku i zaczął zdejmować skarpetki, Linda spojrzała na Hachera i zwróciła się do Cody'ego:

— Chodź do nas, marynarzu. Tu jest już wygrane.

Cody uśmiechnął się i spojrział pytająco na Hachera. Christian zaprosił go gestem. Wśliznął się obok Lindy. Objęli ją, przytulili mocno do siebie i zasnęli.

Wspominając tę noc Hatcher pomyślał: „Mój Boże, czy życie naprawdę czasem jest tak proste i niewinne? Czy przyjaźń i miłość mogły kiedykolwiek być bliższe sobie?”

Następnego ranka w autobusie Hatcher znowu był sierściuchem.

Wiosna 1964. Mimo że było jeszcze chłodno, pięćdziesiąt mil od Waszyngtonu zakwitły wczesne japońskie jabłonie. Turyści przybywali gromadnie i fotografowali się w parkach. Hatcher niecierpliwie liczył dni. Za dwa miesiące koszmar się skończy. Znajomy głos zawołał do niego.

— Sierściuchu!

Stanął na baczność patrząc przed siebie.

— Sparing jutro o trzeciej w sali gimnastycznej. Nie nawal.

— Tak jest, sir.

Przyszedł wcześniej. Rozluźnił się podczas rozgrzewki na worku i gruszcze. Znajomy zapach potu i alkoholu wokół ringu sprawił mu dodatkową przyjemność. Wszedł Snyder, pewny siebie i zadziorny jak zwykle.

Cody miał objąć funkcję kapitana dopiero za kilka tygodni. Wyznaczono go do sędziowania. Zadbał, by Snyder trafił na Hachera.

— Trzy rundy. Zwycięzca trafi do drużyny. Boksować czysto, bez fauli. Nie unikać walki. Po gongu przerwać natychmiast.

Sprawdził rękawice Snydera, klepnął go w ramię i przeszedł do drugiego

narożnika. Pochylił się i sprawdzając Hatcherowi sznurowadła powiedział cicho:

— Ma szczękę z porcelany, ale uważaj na lewy sierpowy. Będzie cię ustawiał pod swój lewy. Boksuj dwie rundy na zmęczenie i klinczuj jego lewą. Jeden dobry cios w szczękę pośle go na deski.

Skorzystal z tej rady. Wchodził blisko na lewą i nie pozwalał wyprowadzić ciosu. Zainkasował dwa trafienia, ale otrząsnął się szybko i za każdym razem wyszedł z kombinowaną kontrą. Był szybszy, a wkrótce przekonał się, że także sprytniejszy. Rozszyfrował taktykę Snydera, który boksował dość topornie i bez polotu, jakby nie zależało mu na przygotowaniu akcji, lecz po prostu czekał na błąd przeciwnika. Hatcher nie dał mu tej szansy, wobec czego Snyder zaatakował. Uderzył prawą i natychmiast poprawił mocno lewą. Hatcher przyjął cios na klatkę i zobaczył przed sobą nie osłoniętą wstrętą szczękę Snydera. Skontrował potężnym prawym prostym, od którego zadrżała ręka. Cios doszedł na punkt, tuż poniżej ucha. Zamroczony Snyder przewrócił nieprzytomnie oczami, zmiękł w kolanach i wolnym półobrotem osunął się na deski.

Cody stanął na środku ringu, spojrzął z góry na leżące bezwładnie ciało, skinął do Hachera i uśmiechnął się.

— Witaj w drużynie.

Promocja 1964. Na korytarzu trwała wzmożona krzątania przed defiladą w galowych mundurach. Kadeci z wyższych roczników egzekwowali ostatnie czólganie młodych. Hatcher poprawił czapkę przed lustrem, gdy w drzwiach ukazał się jastrzębi profil Cody'ego.

— Do defilady jesteście sierściuchami. Wszyscy wypad, Hatcher zostaje.

Wykonali polecenie. Wyprężony na baczność Hatcher stał przed Codym. Tym razem nie patrzył przed siebie, ale prosto w twarz starszego kadeta — rzecz nie do pomyślenia dla ropuchów.

— Wiesz, co to jest mufal?

— Nie, sir.

— Jest to osobliwy ptak, który lecąc zatacza coraz ciaśniejsze koncentryczne kręgi, aż w pewnej chwili znika we własnej dupie, a osiągnąwszy ów strategicznie ważny punkt, rozpoczyna metodyczne obsrywanie wszystkich nieprzyjaciół. To właśnie jest mufal, sierściuchu. No, miły panie, dostałeś zdrowo w kość. Wytrzymałeś do końca i nikt cię nie złamał. Od dziś jesteś



mufal, przyjacielu, i możesz spokojnie obsrywać tych, co ci próbują zająć za skórę.

— Tak jest, sir!

Cody wyjął butelkę wódki zza koszuli. Uśmiech rozjaśnił jego kanciastą, jastrzębią twarz. Podał flaszkę Hatcherowi mówiąc:

— Proszę, panie Hatcher. Witamy na pokładzie.

Przez następne dwa lata byli nierozłączną parą przyjaciół.

— ...w każdym razie był ode mnie rok wyżej — powiedział Hatcher do Sloana. — Po promocji trafił do Lotnictwa Marynarki, a ja do wywiadu. Nie widywaliśmy się prawie wcale, ale utrzymywaliśmy kontakty. W sześćdziesiątym dziewiątym poprosił mnie, żebym był drużbą na jego ślubie.

— Słyszałem, że to było wydarzenie.

— Zgadza się. Kwiat waszyngtońskiej socjety. Z pompą i wszystkimi szykanami. Kongresmani, senatorowie, generalicja, fiske z telewizji itd.

— Jaka była jego żona?

— Uosobienie chłodnej doskonałości. Piękna kobieta, doskonale ułożona. Z dobrej rodziny, po dobrej szkole, o dobrych manierach — nienaganna w każdym calu.

— Nie przypadła ci do gustu.

— Nie, to raczej myśmy się jej nie spodobali. Szkolni koledzy Cody'ego to dość wrzaskliwa hałastra. Była córką admirała. Znasz ten typ. — Wrócił pamięcią do dnia ślubu. Galowe mundury, podniosła atmosfera, salonowe rozmowy. — Wydaje mi się, że Polo nie był zbyt szczęśliwy tego dnia.

— Dlaczego tak uważasz?

— Trudno powiedzieć. Był jakiś dziwny, wręcz cyniczny i wyniosły. Podobny do starego kadeta Cody'ego ścigającego sierściuchów. Nie mogłem zrozumieć dlaczego. Absolwent akademii, prymus na kursie pilotażu, żona — córka admirała. Wszystko szło jak z płatka.

— Tak jakby wypełnił ankietę personalną obywatela idealnego.

— Dokładnie. Nie wiem, jak trafił do Patrolu Rzecznego.

— Zgłosił się na ochotnika.

— Poważnie? Entuzjasta do szpiku kości.

— Teść próbował przeszkodzić, ale z tego, co wiem, Cody po prostu się uparł.

— Mieli wyjątkowo brudną robotę.

— Ich sprawa. — Sloan wzruszył ramionami. — Nie widziałeś go od ślubu?

— Tylko raz. W bazie w San Diego. Przeprowadzałem kontrolę ochronny, a on tam akurat stacjonował.

- To było chyba na krótko przedtem, jak wstąpiłeś do brygady?
- Tak. Już nawet oficjalnie zgłosiłem wniosek o przeniesienie... Poróżniliśmy się wtedy trochę.
- O co?
- Czy to ważne?
- Raczej nie.
- Nie widziałem go od tej pory. I na pewno nie zobaczę.
- Nie bądź taki pewny — powiedział Sloan i uśmiechnął się chytrze.
- Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał ochryple Hatcher.
- Przypuśćmy, że dostałem wiadomość, że Murph Cody żyje.
- Gdzie? Jest jeńcem?
- Skądże znowu. Dziki i swobodny. W Bangkoku.

Hatcher wzdrygnął się na dźwięk tego słowa. Bangkok był dla niego zamkniętą kartą.

- Z jakiego źródła?
- Można mu zaufać.
- To nie jest odpowiedź. Jak wiarygodne jest to źródło?
- Drugorzędny sezonowy polityk z Tajlandii. Chce w zamian wolnego przelotu do Stanów i prawa stałego pobytu. Według informacji, które mam, Cody maskuje się, bo komuś podpadł.
- Konkretnie?
- Białym Dłoniom.
- Przecież działają w Makau. Czego mieliby szukać w Bangkoku?
- Pytaj u źródła. Długo cię nie było, więc nie jesteś na bieżąco. Triady działają wszędzie.
- W co się wdał? Opium?
- Nie wiemy dokładnie. Możemy jedynie przypuszczać, że był kurierem Białych Dłoni. Z oczywistych powodów nie mogliśmy kopać za głęboko.
- Z jakich „oczywistych” powodów? — zapytał Hatcher, mimo że już znał odpowiedź.

Skoro Murph Cody żyje, jest w Bangkoku i nie odezwał się przez tyle lat, to musiał mieć powód. A skoro nie znał go wywiad wojskowy, to sprawy Cody'ego nie wyglądały najlepiej.

- Nie zgrywaj durnia — odparł Sloan. — Co on, do licha, robi w ogóle w Tajlandii? Skoro żyje, to dlaczego się nie ujawnił?

Hatcher mógł podać dziesiątki przyczyn, ale do żadnej nie miał przekonania.

- Może dostał zaniku pamięci — podsunął wreszcie.
- Tak jak ja dostałem kapelusz kardynalski.
- Rozważam różne możliwości. To jedna z nich.

Nie należało także wykluczać takich możliwości, jak kolaboracja, zdrada, dezercja, narkotyki, morderstwo, handel żywym towarem, sprzedanie w niewolę.

Sloan chyba pomyślał o tym samym.

— Jeśli to prawda, to nie widzę sposobu załatwienia sprawy na jego korzyść. Przede wszystkim chodzi o dezercję. Jeśli nie został zabity, to wciąż podlega jurysdykcji Marynarki Wojennej.

— Pytanie numer jeden to dlaczego w ogóle zszedł do podziemia. Skoro nie zginął i nie było go w Hanoi, to gdzie się podziewał? — powiedział Hatcher.

— Wszystko jedno gdzie. Marynarka uznała, że poległ w walce.

— Może to była furtka dla niego.

— Albo pułapka.

Hatcher wolno skinął głową i powtórzył:

— Albo pułapka. Co ja mam z tym wspólnego?

— Nikt nie zna Tajlandii lepiej niż ty, Hatch. Znasz tam wszystkich. I dobrych, i złych. Pracowałeś dla obu stron i po obu brzegach rzeki. Nie mogę zlecić tego wywiadowi. Po godzinie huczałoby w całym Pentagonie. Trzeba załatwić to nieoficjalnie. Jeśli Cody żyje i wpłatał się w coś niewłaściwego, cóż, nie wolno nam zapomnieć o reputacji ojca.

— Niewłaściwego — burknął Hatcher i zaśmiał się. — Delikatnie powiedziane, Harry.

— Słuszna uwaga — ciągnął Sloan. — Potrzebny nam jest ktoś orientujący się w terenie i umiejący trzymać język za zębami. Nie znam lepszego od ciebie, stary. Poza tym świetnie prowadziłeś śledztwa w swoim czasie. To fakt, nie pochlebstwo.

— Mój czas się jeszcze nie skończył. I przestań do mnie mówić „stary”. A tak w ogóle co za „my”?

— Kilku kumpli ze starej gwardii Buffalo Billa. Posłuchaj teraz. Ten Tajlandczyk nazywa się Wol Pot. Zgłosił się ze swymi rewelacjami do naszej ambasady w Bangkoku. Na szczęście rezydentem wywiadu jest były podwładny Cody'ego, niejaki Lew Porter.

— Porter Cykor?

— Tak, pamiętasz go?

— Słabo.

— Przesłuchał Pota. Zwąchał, w czym rzecz, kazał poczekać i zadzwonił do mnie. Skrzyknąłem paru znajomych jeszcze z Sajgonu i odbyliśmy naradę. Uznaliśmy, że trzeba pójść z tym do starego.

— Dlaczego? — wycharczał Hatcher. Sloan spojrzął mu w oczy.

— Buffalo Bill ma raka, Hatch. Nie dociągnie do końca roku.

Hatcher zesztyniał. Nie mogło pomieścić mu się w głowie, że generała Buffalo Billa Cody'ego toczy okrutna choroba.

— Wszyscy kochamy starego Billa — powiedział Sloan zniżając głos. Z trudem przełknął ślinę i kontynuował. — Poprosił nas o przysługę. Jeśli syn żyje, chce go zobaczyć przed śmiercią.

— A jeśli syn jest w tarapatach?

— Dlatego jesteś mi potrzebny, Hatch — powiedział Sloan drżącym głosem. — Jeśli wdepnął w coś poważnego, sprawę przejmie Porter. To stary wyga. Chodzi o to, że generał jest gotów przyjechać tam, gdzie zechce jego syn. Hawaje, Tokio, Sydney — bez różnicy, i jeśli zechce. Nikt się nie dowie o spotkaniu.

— Podróż zabije generała.

— Jego czas i tak dobiega końca — stwierdził Sloan z rezygnacją. — Najważniejsze, by podjął się tego ktoś, kto umie pracować w rękawiczkach, zna ryzyko i potrafi się zaangażować na tyle, by przekonać chłopaka, że nie chcemy mu się dobrać do skóry, tylko zrobić staremu prezent na pożegnanie.

— On już nie jest dzieckiem. Miałby teraz czterdzieści dwa lata — odparł Hatcher.

— Jedź do Tajlandii i znajdź go. Jeśli tam jest — powiedział Sloan bez ogródek. — Jeśli nie, oszczędź staremu zgrzytot.

— Czyli udowodnij, że nie żyje.

— Tak.

Hatcher roześmiał się.

— Marynarka bezskutecznie próbowała namierzyć Cody'ego przez czternaście lat, a ty myślisz, że odszukać jednego człowieka wśród pięćdziesięciu milionów to dla mnie dziecinna igraszka.

— Nikt go nie szukał. Dla marynarki poległ w walce. Ale ty jesteś najlepszy, chłopie.

— Nie kadź mi, Harry.

— Masz wprawę. Damy ci Wol Pota i Cykora. Znasz teren i znasz Cody'ego. Umiesz trzymać język za zębami bez względu na okoliczności. Dowiodłeś tego w Madrango. Proszę, żebyś tam pojechał, odnalazł Cody'ego i zorganizował spotkanie. Albo dostarczył mi przekonujących dowodów jego śmierci. Dam ci nawet Fliterafta do dyspozycji.

— To on jeszcze działa?

— Mój numer jeden.

Hatcher nalał sobie wina i przez chwilę bawił się tecką.

- Wiesz, że nie mogę tam wrócić — powiedział w końcu.
- Daj spokój. Przecież to było osiem, nie, dziesięć lat temu.
- Niektórym i pięćdziesiąt nie robi różnicy.
- Jeśli się decydujesz, dam ci wsparcie. Mam tam jeszcze paru, którzy nie zapomnieli, do czego służy broń.
- A układ z tym Tajlandczykiem...? Jak on się nazywa?
- Wol Pot. Nie obchodzi mnie, jak to z nim załatwisz. Jeśli nas nabiera, możesz połamać mu nogi, przypiec ogniem, wyrwać paznokcie — wszystko mi jedno.
- Stary pocziwy Harry.
- On z tym przyszedł, niech dostarczy dowodów.
- Nie o to chodzi. Czy dostanie wizę?
- Jeśli dostarczy, co obiecał, mogę zadziałać w tej sprawie.
- Potrzebuję konkretów. Jeśli wskaże Cody'ego, muszę dokładnie wiedzieć, co mogę oferować w zamian.
- Jeśli wskaże Cody'ego, zapewnimy mu ochronę i wywieziemy z Tajlandii.
- Na pewno?
- Dlaczego tak ci na tym zależy?
- Lubię dotrzymywać słowa.
- Załatwione. Zatem zgadzasz się?

Hatcher przyglądał mu się przez kilkanaście sekund. Odłożył pythona na stół i powiedział:

- Cena wynosi dwieście trzydzieści sześć tysięcy dolarów USA.
- Co takiego?
- Dwieście dolarów za każdy dzień w Los Boxes.
- Zejdz na ziemię, chłopie.
- Chodzę po niej. Od dawna, Harry.
- Skąd mam wziąć tyle forsy?
- Mnie o to pytasz? Uszczknij trochę ze swoich specjalnych kont. Masz coś w Panamie, trochę w Szwajcarii i na Bahamach. Może jeszcze gdzieś. To trudne, ale nie dla ciebie.
- Będziesz bogaty, Hatch.
- Wiem. Potraktuj to jako odszkodowanie. Cena wynosi dokładnie dwieście trzydzieści sześć tysięcy dolarów i żadnych targów. Możesz się zgodzić lub nie.

Uśmiech powrócił na twarz Sloana. W źrenicach zapłonęły mu żywsze ogniki.

- Chodzi o coś więcej? Prawda? Widzę to w twoich oczach, druhu. Tutaj wiesz sielski żywot. Brakuje ci tego, co było, brakuje ci szybszego

wydzielania pocziwej adrenaliny. Tego bakcyła połyka i się raz, ale zostaje w tobie na zawsze.

Sloan miał częściowo rację. Rzeczywiście nieraz tęsknił do starych dobrych czasów, do przyspieszonego tętna, do życia na podwójnych obrotach, do ludzi, których nie spodziewał się już spotkać, ale nie to zdecydowało ostatecznie o przyjęciu zadania od człowieka, którego jeszcze nie tak dawno temu gotów był zabić z zimną krwią. Zdecydowało wspomnienie o Codym — jedynym przyjacielem, który grał uczciwie i nie zdradzał jak Sloan.

— Biorę tę robotę ze względu na Murpha Cody'ego i jego ojca. Kropka. Moja decyzja nie ma nic wspólnego z naszymi dawnymi układami. Jeśli Cody tam jest, znajdę go, jeśli nie, dam ci znać. A jeśli zjawisz się tu ponownie, opuścisz tę łódź jako pokarm dla ryb.

Sloan pochylił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu. W jego oczach tańczyły radosne okrzyki.

— Wiesz co, myślę, że mówisz poważnie.

Hatcher uśmiechnął się ironicznie.

— Myśl tak dalej. Od tego może zależeć twoje życie.

## PRZYGOTOWANIA

Zapadł zmierzch, gdy Ginia spełniając prośbę Hachera zjawiała się na łodzi. Rozpakowała koszyk z wiktuałami, a on wyprowadził łódź na morze i skierował wzdłuż brzegu.

— Jest *fettuccine* z warzywami od Birdiego, ryba, krewetki na zimno i kraby. Kiedy zjemy?

— Natychmiast. Umieram z głodu.

— A kolega z wojska?

Pocałował ją w szyję.

— Odjechał — mruknął i temat został zamknięty.

Nie zapytała dokąd. Powiedziałby jej, gdyby uznał, że powinna wiedzieć. Najwyraźniej nie chciał. Cieszyła się, że nieznanego już nie było, że tego wieczoru będzie miała Hachera tylko dla siebie.

Wyjęła z baru butelkę starego czerwonego wina i odkorkowała, by mogło oddychać. Podgrzała potrawy w piekarniku i nakryła do stołu. Nastawiwszy cichą muzykę, zawołała:

— Hatch, włącz autopilota i zejdź na kolację.

— Zrobione — odpowiedział.

Gdy silniki ucichły, usłyszała plusk rzucanej kotwicy. Chwilę później Christian był w salonie.

— Staniemy tu na kotwicy. Jesteśmy na wprost wyspy Sapelo — powiedział i spróbował makaronu biorąc go w palce.

— Jak ty się zachowujesz! — rzuciła widząc, co zrobił.

— Pyszne — powiedział i nalał do kieliszków.

Stuknęli się i wypili toast w milczeniu. Pocałował ją delikatnie, smakując wytrawne wino na jej ustach.

— Dziękuję — szepnęła i zaczęła niezobowiązująco: — Jak długo znasz Jimmy'ego Cirilla?

— Bardzo długo.

— Gdzie go poznałeś?

— W alejce w Bostonie.

— W alejce?

— Tak. Przyłapał mnie na włamywaniu się do sklepu.

— Żartujesz sobie ze mnie?

— Nic podobnego. — Zorientował się, że za chwilę zdradzi kilka sekretów rodzinnych. Oparł się wygodnie, ale czuł się skrępowany. — Mój ojciec był architektem. Nie najlepszym zresztą. Pewnego dnia strzelił sobie w głowę pod prysznicem w klubie w Bostonie. Miałem wtedy dziesięć lat. Trzy lata później matka związała z jakimś typem. Nigdy go nie widziałem. W ten sposób trafiłem na ulicę. Kiedy miałem piętnaście lat, wszyscy liczyli się ze mną. Byłem najlepszym włamywaczem w dzielnicy.

— To nie do wiary, Hatch — powiedziała zdumiona.

— Wierzchołek góry lodowej — odparł i uśmiechnął się.

— A co zrobił Jimmy, jak cię nakrył? — zapytała nieśmiało.

— Odpiął odznakę i kaburę, położył na chodniku, wyjął pasek ze spodni i sprzął mnie po tyłku tak, że nie mogłem usiąść.

Ginia roześmiała się zasłaniając usta ręką.

— To nie koniec. Znalazł mi pracę, a właściwie trzy różne prace. Rzuciłem wszystkie po kolei. Pewnego dnia dopadł mnie i zaciągnął w tę samą alejkę. Spuścił lanie nie gorsze niż za pierwszym razem i powiedział: „Będę ci łoil skórę dotąd, aż przestaniesz rzucać robotę i pętać się po moim rewirze, dotarło?” I tak zaczęła się nasza przyjaźń.

— I dzięki niemu wyszedłeś na ludzi — powiedziała z udawaną dumą.

— Tak — potwierdził i dodał poważnie: — Ale tamten facet z pomostu też miał swój udział.

— Na czym cię przyłapał?

— Jak chciałem zostać admirałem.

- Co proszę?
- To zupełnie inna historia.

Dokończyli kolację w milczeniu. Hatcher nie lubił rozmawiać jedząc. Wyczuła, że coś wisi w powietrzu. Domyśliła się, że wyjeżdża, zanim jej o tym powiedział.

- Muszę wyjechać na jakiś czas.
- Uhm. To znaczy na jak długo — tydzień, miesiąc czy dziesięć lat? — zapytała wesoło.

Uśmiechnął się i delikatnie pogładził ją po policzku.

- Dłużej niż tydzień, krócej niż miesiąc. Mam nadzieję.
- Mogę ci w czymś pomóc?
- Skontaktuj się z Johnem Rogersem z banku i powiedz, że musiałem nagle wyjechać. Upoważniłem ciebie do prowadzenia moich interesów i rachunków. Gdybym nagle potrzebował gotówki, zrób przelew na rachunek awista.

- Ufasz mi? — zapytała zaskoczona.
- Całkowicie i bez zastrzeżeń — odparł z uśmiechem.
- Kiedy wyjeżdżasz?
- Rano.

Uśmiechnęła się i poczuła, że już za nim tęskni.

- W takim razie nie traćmy czasu. Prześpisz się w samolocie.

Wziął ją za rękę, gdy wstała, i przyciągnął do siebie. Powoli rozpiął białą bluzkę i odsłonił piersi. Przesunął dłonie do bioder, przytulił ją mocno i pocałował twardy brzuch. Rozluźnił pasek, rozpiął jej dżinsy i zsunął je na podłogę. Gładząc pośladki wsunął kciuki za figi i zaczął ją pieścić. Napięła mięśnie. Powędrował ustami w dół, pieścił ją gorącym oddechem. Delikatnie zsunął figi i przywarł policzkiem do jej łona. Poczul zapach i smakował ustami. Przycisnęła mocno jego głowę. Wspięła się na palce i odchyliła głowę. Gdy usiadła na krawędzi stołu, założyła mu nogę na ramię. Zaczęła się poruszać, coraz szybciej, w rytm przyspieszonego oddechu.

Miała wspaniałą zwyczaj, który doprowadzał Hachera do szaleństwa. Kiedy poczuła, że jest już blisko, cicho, prawie szeptem, zaczynała liczyć między kolejnymi oddechami: „Raz... dwa... trzy... cz-cztery... och... ooch... pięć, sześć, siedem... ooch... aa... osiem-dziewięć-dziesięć... ooch!”

Wyprężyła się tuląc do siebie jego głowę i zastygła na kilka sekund. Potem rozluźniła się i chwytając łapczywie oddech pochyliła się do przodu. Zacisnęła palce wokół jego głowy i przycisnęła do siebie. Odnalazła usta i całowała, głodna jego pocałunków.

Wziął ją na ręce, zaniósł na łóżko i całował rozbierając się. Poczula jego



podniecenie, gdy położył się obok i przytulił ją do siebie. Oplotła go nogami i delikatnym ruchem sprawiła, że wszedł łagodnie.

— O Boże — szepnął czując, jak zagłębia się w nią coraz dalej... dalej...

Wciąż bez tchu wyszeptała:

— Miesiąc...? Tylko?

Odpowiedział szeptem.

— Może... tylko... kilka tygodni.

Spała na boku. Bezszelestnie zsunął się z łóżka, nakrył ją kołdrą i zaczął się pakować. Kiedyś nie tracił na to czasu. Podręczna walizka była stale gotowa do wyjazdu. Znajdowały się w niej dwa garnitury, marynarka, para spodni, sześć koszul, kilka krawatów, para butów na zmianę, bielizna i przybory toaletowe. Na dodatki nie było miejsca. Rozpoczął rutynowe przygotowania według zakodowanego w pamięci schematu.

Nie zapomniał instrukcji, która brzmiała: sprawdzić dokumenty i środki finansowe, wybrać odpowiedni sprzęt i spakować wszystko do jednej walizki i podręcznego aluminiowego nesesera.

Ginia spała twardo. Odsunął płytę w boazerii nad łóżkiem i otworzył sejf. Wyjął metalową kasetę i przeszedł do głównej kabiny. Sprawdził zawartość. Wyjął list kredytowy na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, dwadzieścia tysięcy w czekach podróжных i dziesięć tysięcy w gotówce. Nie używał kart kredytowych. Zbyt łatwo je wytropić. Miał dwa paszporty — oryginalny amerykański i fałszywy francuski. W obydwu figurował jako niezależny dziennikarz telewizyjny i fotoreporter. Zamknął kasetę i schował z powrotem do sejfu.

Wracając do salonu wziął z szafki nieduży aluminiowy neseser. Na czworakach wczółgał się do niszy pod schodami prowadzącymi do kokpitu. W głębi części rufowej znajdowała się wodoszczelna skrzynia. Gdy ją otworzył, światło zapaliło się automatycznie i zobaczył swój arsenał: dwa pythony 357, HK 9 mm, M-16, uzi i komplet załadowanych magazynków do każdego. Ponadto były tam cztery szpule, na które nawinięto po dziesięć stóp przewodu, faktycznie był to plastik C-4. Oprócz tego znajdowała się tam jeszcze ciężka zielona torba. Wziął ją, dołożył dwie szpule C-4, zamknął schowek na klucz i wrócił do kabiny.

Wyjął broń z torby i położył na stole, który uprzednio przykrył kocem. Był to steyer AUG, austriacki pistolet maszynowy. Rozkładał się na trzy części: szesnastocalową lufę, celownik optyczny z automatycznym dostrajaniem i mechanizm spustowy. Broń wykonano z superwytrzymałych i

niekorodujących kompozytów. Była całkowicie odporna na działanie wody. Broń, którą najczęściej się posługiwał: M-16, uzi i MAC 10, była wrażliwa na zawilgocenie i mogła eksplodować w razie zamoczenia. Z AUG-a można było strzelać praktycznie wyciągając go z wody.

Znów stanęły mu przed oczami obrazy z przeszłości. Od czasów Los Boxes traktował wspomnienia jak pospolitą i niezbyt przykrą dolegliwość. W pewnym sensie zawdzięczał to Sloanowi, który uważał, że należy pamiętać tylko to, co ma bezpośredni związek z teraźniejszością. Wpatrując się w AUG-a, wrócił do dnia, kiedy użył go pierwszy raz.

Na punkcie zrzutu odnalazł środek transportu w postaci sfatygowanego jeepa. Pojazd nie wzbudzał zachwytu, ale też nie rzucał się w oczy i był sprawny. W wiosce położonej w zakolu rzeki Chu czekał helikopter, który zabrał Hatchera do bazy w delcie Mekongu. Sloan czekał w kantine zamkniętej w nocy dla personelu.

— Mam kłopot — powiedział popijając gin. — Pewien żółtek z Południa pracuje dla nas na Północy. Nazywa się Di Tran. Podrzędny facet, wyrównuje rachunki z Wietkongiem. Załatwili mu żonę, matkę i dwoje dzieci. Jest naszą wtyczką od ponad pół roku. Bardzo wiarygodną wtyczką.

Przerwał i przycisnął dłonie do blatu.

— Wiedział, na co się porywa i czym to pachnie. — Spojrzał na rozsunięte palce i kontynuował: — Dał znać do skrzynki, że potrzebny pilny kontakt. Przekazał tę taśmę.

Włożył kasetę do magnetofonu. Z głośnika rozległ się wysoki, blaszany głos: „Ja dostać wczoraj informacja, że jakiś Amerykan sprzedawał wiadomość do Północy. Trzy nazwy naszego agenta, które pracować z Brygada Cień. Jedna nazwa to ja. Duża obawa, że prędko mnie odkryją. Muszę powiedzieć do moich dwóch przyjacieli przed ucieczką. Proszę zabrać ja i dwóch. Punkt Boston za dwa dni. Środa. Zachód słońca. Jak nas nie ma dwie godziny, to nas mają. Ten Amerykan zapłacony dziesięć tysięcy dolarów za każdego nazwisko. Powiedział, że sprzedawa więcej. Nazywa się Norgling, *Joi gin*, przyjaciele”.

Usłyszawszy nazwisko, Hatcher spojrzał ostro na Sloana.

— Wiesz, kto to taki?

— Tak. Chodzi o Chicka Norglinga z naszej brygady. Zajmuje się tymi, co przeszli do nas.

— Zatem mógł mieć dostęp do tej taśmy?  
— Tak jak do kryptonimów, map, biuletynów i niektórych informacji o brygadzie. Teraz rozumiesz, dlaczego wymagamy pełnego posłuszeństwa i dyskrecji w obrębie jednostki. Stąd nie może być przecieków. Norgling jest jednym z nas. Zna tylko swój bezpośredni kontakt, to wszystko.

— Czyli ciebie.

Sloan przytaknął.

— Zwiń go, zanim sprzeda coś więcej — powiedział Hatcher.

— Ta taśma to za mało, żeby go zdjąć. Słowa żółtka przeciwko słowom Amerykanina. Prokurator zaśmieje mi się w twarz. Potrzebuję dowodów.

— A ten Di Tran?

— Wysłaliśmy transport na punkt, ale się nie zjawił. Zakładamy, że nie żyje.

— W takim razie Norgling zdąży jeszcze sporo namieszać.

Patrząc na swoje ręce, skinął głową, jakby odpowiedział na pytanie, które sam sobie zadał, i spojrzał w oczy Hatcherowi.

— Wrobimy go. Zorganizuję spotkanie z tobą. Powiesz mu, że dostałeś zadanie, do którego potrzeba dwóch. Jak się zjawi, załatw go. Może gdzieś nad rzeką.

— Odpada. Za dużo ciekawych uszu. Zrobimy to w Sajgonie. Hotel „Princess”. Ja go załatwię — ty posprzątasz.

— W porządku.

Siódma wieczór. Hotel „Princess”. Trzecie piętro. Jeśli Norgling coś podejrzewa, zjawi się wcześniej, by pomieszać szyki przeciwnikowi. Hatcher dobrze znał reguły gry.

Norgling przyszedł za piętnaście siódma. Drzwi pokoju Hachera były nie domknięte. Rozpiął płaszcz, sprawdził, czy broń jest na miejscu, i ostrożnie wkroczył do środka.

W pokoju nie było nikogo. Usłyszał muzykę z łazienki.

— Halo, jest tu kto? — zawołał.

— W łazience — usłyszał w odpowiedzi. — Zamknij drzwi.

Norgling spełnił prośbę i wolno się zbliżył. Hatcher leżał w wannie pełnej piany. Na podłodze w zasięgu ręki stała butelka czerwonego wina i do połowy opróżniony kieliszek. Drugi, czysty, stał na umywalce.

— Norgling? — zapytał Hatcher i uśmiechnął się.

— Zgadza się.

— Jesse Caruthers. Przepraszam, że nie wstaję. Obsłuż się i usiądź — powiedział wskazując brodą butelkę.

Norgling uspokoił się. Z twarzy zniknęło mu napięcie i uśmiechnął się rozluźniony.

„Amator” — pomyślał Hatcher.

Kiedy tamten nalewał wino do szklanki, zapytał:

— Znasz tego sukinsyna, co sprzedał trzech kolegów za trzydzieści kawalków?

Norgling zareagował błyskawicznie. Puścił butelkę i kieliszek i sięgnął po broń. W tej samej chwili prawa ręka Hachera wyprysnęła z piany. AUG plunął ogniem, gdy tylko lufa wyszła z wody. Na koszuli Norglinga od pasa do szyi pojawił się równy rząd czerwonych plam. Dziewięć strzałów w niecałą sekundę. Dziewięć trafień, cztery w serce. Norgling osunął się po ścianie. Z przedziurawionych płuc wyszło z sykiem powietrze. Kolana ugięły się pod ciężarem ciała, które odchyliło się od ściany i padając rozgniotło butelkę.

Hatcher wyskoczył z wanny, ledwie tamten zaczął się przewracać. Otworzył szafkę z ręcznikami i wyjął zielony plastikowy worek do przewożenia zwłok. Chwytny trup za włosy, ułożył w pozycji siedzącej i nasunął mu na głowę. Ciało opadło na plecy. Naciągnął worek do końca i zapiął suwak. Odsunął zwłoki w kąt, założył klapki i zebrał potłuczone szkło. Wytarł podłogę ręcznikiem i wypłukał go. Następnie podszedł do telefonu i wystukał numer.

Kiedy usłyszał „halo” po drugiej stronie, powiedział, że trzeba pozamiatać, i rozłączył się.

Był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy wiedział, kto jest ofiarą i dla czego ma go zlikwidować. Zazwyczaj ślepo wykonywał rozkazy. Jeśli Sloan kazał coś zrobić, Hatcher nie kwestionował poleceń przełożonego, wręcz wierzył w ich słuszność. Dziś, mając za sobą koszmar Los Boxes, doszedł do wniosku, że był wykorzystywany. Być może Norgling okazał się mięczakiem albo potencjalnym konfidentem, albo po prostu zaczął komuś zawadzać i dlatego postanowili go usunąć. Mogli bez trudu sfabrykować tę taśmę i...

Może to tylko sto dwadzieścia sześć szepce coś do ucha, by poruszyć te zakamarki duszy, o których istnieniu Hatcher chciał zapomnieć...

Otworzył szyfrowe zamki w neseserze i podniósł wieko. Środek szczelnie wypełniała styropianowa forma z wgłębieniami na kamerę wideo z małym obiektywem, dwa akumulatory, dwa teleobiektywy 400 i 200 mm, uchwyt do zdjęć z ręki i kilka ciasno zwiniętych kabli. Wymienione przedmioty

znajdowały się w walizce, ale żaden nie był tym, na co wyglądał.

Oczyścił broń i rozłożył ją na trzy części. Wsunął lufę w specjalnie skonstruowany zawias nesesera i dokręcił z jednej strony. W kamerze otworzył kieszeń na kasety i umieścił w niej mechanizm spustowy. Odkręcił soczewkę obiektywu 400 mm i wsunął do środka celownik z lunetką. Dwa plastikowe magazynki na trzydzieści naboji każdy umieścił w obudowie pseudoakumulatorów i wcisnął do wgłębienia. Drugą czterocalową lufę, dzięki której broń przekształcała się w pistolet, schował w obiektywie 200 mm. W pełni obciążony neseser ważył niecałe dwadzieścia funtów.

W podwójnym wodoszczelnym wieku schował pieniądze, list kredytowy i fałszywy paszport. Docisnął wyściółkę, włożył do kieszeni kilka teczek z dokumentami, po czym zamknął neseser i ustawił pięciocyfrowy szyfr zamka.

Rozłożony na cztery części AUG nie mógł być wykryty żadnymi znanymi metodami kontroli bagażu. Po złożeniu stawał się najgroźniejszą bronią o wszechstronnym zastosowaniu, działającą prawie bezszelestnie. Jedyny dźwięk, jaki wydawał, to stuk mechanizmu spustowego. Donośność wynosiła czterysta pięćdziesiąt jardów. Amunicja standard była ogólnie dostępna. Hatcher nie potrzebował innej broni.

Przeszedł do sypialni, szybko spakował walizkę i zaniósł do salonu. Wrócił i spojrzał na śpiącą Ginie.

Miał wrażenie, że przeszłość stoi za nim i kładzie mu dłoń na ramieniu. Chińczycy nazywają to *ch'uang tzu-chi*, okno do własnego wnętrza. Było otwarte.

Jakie zjawy z przeszłości zobaczy w nim teraz? Zdążył oswoić się z myślą, że Hongkong i Bangkok to już historia. Podobnie jak wyprawy w górę rzeki, kryjówka Ts'e K'am Men Ti, Białe Dłonie, Chiu Chao, Tollie Fong, Sam-Sam Sam, Mamuśka Biały Proszek, Ciepła Lady Lau i Cohen.

Bangkok.

Daphne.

Imiona i nazwiska, których nie udało się zapomnieć.

Bezskutecznie próbował oddalić je od siebie, ale nie można odeprzeć tego, co jest sumą życia człowieka.

Sloan powrócił jak wysłannik piekieł, który kiwnięciem kościstego palca nakazuje podążyć za sobą do najciemniejszych miejsc, gdzie niepodzielnie panują śmierć i nienawiść. Nawet sto dwadzieścia sześć tego nie przewidział.

Decyzji o powrocie nie podjął pod wpływem Sloana, Buffalo Billa czy Murpha Cody'ego. Uznał, że nadszedł czas, by ostatecznie zamknąć kilka rozdziałów życia. Czas zapłacić orkiestrze.

Usiadł na łóżku i pogłodził Ginie po plecach. Drgnęła i przekreśliła się na brzuch. Sięgnął po krem i zaczął ją masować. Na krótką chwilę zagościła mu w głowie myśl, że będzie tęsknił. Poirytowany odsunął ją od siebie. Tęsknota wywołuje wspomnienia. W tej branży nie ma na nie miejsca. Mogą niebezpiecznie odwrócić uwagę. Mogą także wyciągnąć różne sprawy i postawić je przed oczami w pełnym świetle, a on, Christian Hatcher, należał przecież do cienia. Tam było jego miejsce.

„Trwale związki mogą mieć fatalne następstwa — mówił Sloan. — Myślenie o nich potrafi rozproszyć i zdekoncentrować w najmniej stosownej chwili”.

To zabawne, jak sto dwadzieścia sześć to powiedział? Człowiek, który zapomniął, co to płacz, jest martwy w środku.

Odegnął przykre myśli i skupił się na masażu. Głodził plecy i ramiona Ginii aż do czubków palców. Wrócił do karku i przesuwając dłońmi wzdłuż kręgosłupa dotarł do bioder i pośladków. Westchnęła głośnie i nieznacznie rozchyliła nogi. Wsunął kolano w powstałą szczelinę i przyciągnął Ginie tak, że oparła się o jego udo. Dłonie znów powędrowały do pleców i szyi.

— Wracaj szybko — szepnęła przez sen.

## CIRILLO

Hatcher czekał przy basenie dla jachtów i słuchał ptasich szczebiotów dochodzących z ciemności od strony mokradeł. Minęła północ. Na grobli łączącej wyspę ze stałym lądem ruch praktycznie zamarł. Pięć mil dalej, za mokradłami, migotały światła Brunszwiku. Pozostała do załatwienia jeszcze jedna sprawa przed podróżą. Pożegnanie z Ginią miał już za sobą i teraz czekał w ciemności. Aluminiowy neseser stał obok na ziemi.

Na grobli zabłysła para świateł. Zbliżały się w jego stronę, skracając z dwupasmowej asfaltowej szosy na grobli. Smugi reflektorów oświetliły nogawki spodni Hachera. Po chwili oliwkowo-brązowy wóz policyjny zatrzymał się przed nim z chrzęstem kół na parkingu pokrytym skorupkami krewetek. Drzwi otworzyły się.

Hatcher spojrzął na masywnego policjanta za kierownicą, w brązowym mundurze z dystynkcjami porucznika na rozpiętym i wykrochmalonym

kołnierzyku. Jim Cirillo był muskularnym, mocno opalonym mężczyzną o czarnych włosach gęsto przetykanych siwizną. Potężne dłonie oparł niedbale na kierownicy.

— Chcesz, żebym cię zamknął za włóczęgostwo? — powiedział niskim głosem cedząc słowa.

— Yhy — odparł Hatcher. Uśmiechnął się i zajął miejsce obok kierowcy.

Cirillo wrzucił bieg, wyjechał z parkingu i skręcił w kierunku wyspy. Po obu stronach wąskiej drogi rosły stare dęby. Potężne splecione konary porastał mech, który miejscami zwisał długimi szarymi soplami. Cirillo był nocnym markiem. W dzień spał albo łowił ryby. Przez kilka minut jechali w milczeniu. Pierwszy odezwał się Hatcher.

— Sloan mnie znalazł.

Cirillo wzruszył ramionami.

— Jesteś z nim kwita.

— Zgadza się.

— To raczej on jest ci coś winien.

— Tak — odparł Hatcher i w myślach dodał: „Ale nie tyle co ja tobie, Jim”. Cirillo był dla niego wymagającym ojcem, niezawodnym przyjacielem, nauczycielem i powiernikiem. Załatwił przyjęcie do Annapolis.

W światłach mignął jelonek niewiele większy od doga i zniknął wśród drzew po drugiej stronie drogi.

— Ma dla mnie robotę.

— Serio? — prychnął Cirillo. Zwolnił i zaświecił latarką w okno składziku z sieciami. Upewnił się, że zamki są w porządku, i dodał gazu.

— Biorę ją, Jimmy — powiedział Hatcher ochryłym szeptem.

Po dłuższej chwili Cirillo odrzekł:

— Okay.

— Nie dlatego, że Sloan prosił.

— Okay.

— Kolega z Annapolis uznany za poległego w siedemdziesiątym trzecim w Wietnamie nagle objawił się cały i zdrowy w Bangkoku. Delikatna sprawa.

— I akurat ty jedyny możesz go odszukać?

— Jestem jedynym, który zna sprawę i któremu Sloan ufa.

— A ty ufasz mu?

— Ufałem.

— Wierzysz w jego wersję?

— Na tyle, żebym chciał sprawdzić.

— Obudzisz podle licha i sforė zajadlych psów — powiedział cicho Cirillo.

— Chyba tak.

— Czy o to ci chodzi, Hatch?

Hatcher przeanalizował pytanie i po dłuższym namyśle odpowiedział:

— Częściowo. Poza tym za długo stałem z boku.

— Niebezpieczna przygoda to piękna kusicielka.

— Masz rację. Zawarłem z nią znajomość dzięki tobie.

Cirillo przypomniał sobie ich pierwszą wspinaczkę.

— Nieźle się spisałeś wtedy na skale. Prawdę mówiąc nie liczyłem, że ci się uda. Tego dnia uznałem, że jeszcze mogą być z ciebie ludzie.

Od Cirilla nauczył się poczucia obowiązku i prostego kodeksu honorowego, który potem bezwzględnie wykorzystywał Sloan. Jak na ironię Cirillo trafił do bostońskiej Brygady Antyterrorystycznej dokładnie wtedy, gdy Sloan rozpoczął nawracanie Hachera. Zostali wciągnięci w pajęczą sieć intrygi i przemocy, co odcisnęło na nich niezatarte piętno. Obydwaj trafili na wyspę, by zerwać z przeszłością.

Milczącą zadumę przerwał Hatcher.

— Muszę przestrzelać AUG-a.

— Do odszukania faceta w Bangkoku potrzebny ci AUG? — zapytał zaskoczony Cirillo.

— Do Bangkoku jest dość daleko. Mogę spotkać paru niemiłych gości po drodze.

— Nie lepiej dojść z nimi do ładu?

— Niezła myśl. Ale wśród nich jest paru, z którymi można dojść do ładu tylko w jeden sposób.

— Chyba rzeczywiście musisz przestrzelać AUG-a.

— Mam nadzieję, że nie będę musiał z niego korzystać. Zajmiesz się łożdzą?

— Mam klucze. Dasz mi jakiś namiar na siebie?

Hatcher zastanowił się.

— Hotel „Oriental” w Bangkoku — powiedział. — Zostaw wiadomość w recepcji.

— Załatwione — powiedział Cirillo. — Nie jesteś już trochę za stary do takiej roboty, co, mały?

Po chwili namysłu Hatcher potrząsnął głową.

— Nie sądzę.



## BUFFALO BILL

W Waszyngtonie padało. Strugi deszczu monotonna śczyły się z nieba zasnutego chmurami i spływały po czarnych tablicach pomnika w Constitution Gardens, błędząc wśród wyrytych w kamieniu nazwisk żołnierzy poległych w Wietnamie. Purpurowe Serce, bukiet stokrotek, wyblakłe zdjęcie starego chevroleta, przemoknięty pluszowy miś u stóp pomnika były świadectwem, że ci, którzy odeszli, wciąż żyją w czyjejs pamięci.

Brzydka pogoda nie zniechęciła dotkniętych żalem po stracie najbliższych. Dziesiątki ludzi pogrążonych w zadumie stały przed olbrzymim granitowym blokiem, wpatrywały się w tablice i dotykały miejsc, gdzie wyryto nazwiska ich córek, synów, ojców, kochanków, mężów, przyjaciół i kolegów z ławy szkolnej. Nawet niebo zdawało się dzielić smutek i żal po tych, którzy odeszli na zawsze.

Hatcher znał wiele nazwisk z tej listy. Walczył w Wietnamie, ale nie w regularnej armii. Był specem od brudnej roboty, której nie podjąłby się żaden wojskowy. Tacy jak on nie dostawali orderów i awansów. Nie istniały także raporty o działalności Brygady Cieni. Nie zmienia to jednak faktu, że walczył w Wietnamie, wykonywał rozkazy i był świadkiem, jak jego przyjaciele i wrogowie ginęli najbardziej niehumanitarną i odrażającą śmiercią.

Nigdy przedtem nie widział tego miejsca. Nie chciał go widzieć. Surowa prostota pomnika napawała go lękiem. Po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że mógł wrócić z Wietnamu z takimi samymi bliznami, takim samym poczuciem winy i przetrąconą psychiką jak ci, którzy walczyli w mundurach. W tej wojnie był wśród najemników, a ci nie walczą dla sławy, nie defilują po zwycięstwie i nie mają swoich świąt. Dla nich wygrana oznacza życie, przegrana śmierć.

Tutaj nie było miejsca na politykowanie i przewlekłe spory na temat „za i przeciw” w tamtej wojnie. Był za to otwarty grób i pożegnalny spis ofiar konfliktu, któremu za sto lat podręczniki poświęcą być może jeden suchy akapit w przypisach. Historia traktuje bardzo pobieżnie wydarzenia, których nie potrafi wyjaśnić.

Nie poznałby starego żołnierza, gdyby nie dystynkcje generała na pagonach. Buffalo Bill Cody wciąż trzymał się prosto, ale upływ czasu i choroba wyniszczyły prężne niegdyś ciało wojownika. Pozostał cień człowieka o zapadniętych oczach, z twarzą, na której ból kreślił kolejne zmarszczki. W płaszczu wiszącym luźno na kościstych ramionach był świadectwem tego,

że nawet legendy kiedyś umierają.

Był legendą. O ile większość dowódców skompromitowała się w Wietnamie i odeszła w niesławie, o tyle Cody wrócił z nienaruszoną reputacją. Uważano go za dowódcę z prawdziwego zdarzenia. W wojennym rozgardiaszu nie zaniedbał powinności wobec podkomendnych i potrafił zachować poczucie ludzkiej godności. Był jedynym generałem z Wietnamu, o którym mówiono z sympatią. Zażenowany nie przyjmował należnych mu komplementów, jakby sądził, że nie zasłużył na nie. Unikał światła i rozgłosu. Wkrótce stał się powszechnie szanowanym człowiekiem i obywatelem, który mimo że stracił syna na wojnie, zachował trzeźwość umysłu i obiektywizm w ocenie jednego z największych idiotyzmów dwudziestego wieku. Porównywano go do dobrodusznego wujaszka bacznie obserwującego gromadę zabawionych dzieci na podwórku. Stał przed tablicą między zgarbionym mężczyzną w polowym mundurze i kobietą z kilkunastoletnim synem. Nikt nie zwracał na niego uwagi. W tym miejscu każdy był zwykłym człowiekiem.

- Wygląda na sto dziesięć lat — stwierdził Hatcher.
- Niewykłuczone, że tak się czuje. Będzie miał dużo szczęścia, jeśli przeżyje jeszcze pół roku — odparł Sloan.
- Czy musimy wystawać na deszczu?
- Zaraz skończy. To rytuał.

Hatcher otulił się szczelnie płaszczem i patrzył na generała. Podziwiał w duchu Sloana za umiejętność przekonywania i zjednywania sobie ludzi. Przed kilkoma godzinami zupełnie poważnie rozważał możliwość zabójstwa z zimną krwią. Dzisiaj stał w strugach deszczu siedemset mil od domu i rozmyślał nad możliwością wykonania roboty, której nie musiał i nie chciał się podjąć, w którą nie wierzył. Wyobraził sobie Sloana sto lat temu. Zapewne z powodzeniem sprzedawałby cudowne mikstury na wszelkie dolegliwości albo kolejne przęsła mostu Brooklyńskiego. Teraz skutecznie sprzedawał młodym, niedoświadczonym chłopcom i dziewczętom o jasnych oczach bajki o wielkiej przygodzie i patriotycznych czynach. Werbował kolejne ofiary, które potem przeistaczały się w zawodowych morderców, specjalistów od sabotażu, handlarzy bronią, szare eminencje, kasiarzy i najemników. Wysyłał ich następnie na cichą wojnę, a oni szli z chęcią, przekonani, że służą słusznej sprawie i spełniają swój obowiązek wobec ojczyzny. Hatcher był młody i niedoświadczony, kiedy poznał Sloana. Kupił wszystko skwapliwie.

Generał zakończył wizytę i ruszył w kierunku ulicy. Wolno szedł po schodach podpierając się laską. Nie przyjął pomocy adiutanta w stopniu majora, w którego każdym ruchu widać było tresurę z West Point.

— Nic nie wie o pieniądzach. To jest sprawa między nami — powiedział półgłosem Sloan.

— Wie, kim jestem? — zapytał Hatcher.

— Tak.

— Zgadza się?

— Wierzy w trafność mojego wyboru.

— Jak długo cię zna? — zaśmiał się cicho Hatcher.

Nadejście generała przerwało rozmowę. Z bliska wyglądał jeszcze starzej. Poszarzały na twarzy, z pustym spojrzeniem w zażawionych oczach, w niczym nie przypominał dynamicznego dowódcy o wulkanicznej energii i niegasnącym optymizmie. Jedynie w postawie można było dostrzec cień dawnego Buffalo Billa. Stał wyprostowany i nawet jeśli czuł ból, nie okazywał tego.

— Cieszę się, że ci się udało, Harry — powiedział i zwrócił się do Hachtera: — Zapewne pan Christian Hatcher? Miło mi poznać pana. — Przełożył laskę do lewej ręki i uściśnął dłoń Christiana.

— Jestem zaszczycony, panie generale.

— Dobrze się pan spisał na Dalekim Wschodzie. Sloan informował mnie na bieżąco.

— Dziękuję, panie generale.

Był wyraźnie poruszony słysząc zdarty głos Hachtera.

— Schowajmy się gdzieś przed deszczem — powiedział szybko, chcąc zatatuszować zaskoczenie. Adiutant otworzył tylne drzwi. Wsiadli do limuzyny. Hatcher zajął miejsce naprzeciwko Sloana i Cody'ego.

Generał odczuwał skutki fatalnej pogody. Drżał z zimna. Adiutant owinął mu nogi kocem.

— Dziękuję, Jerry — powiedział Cody.

Major zamknął drzwi i zostali sami.

— Niewiele mięśni zostało na starych kościach. Już nawet nie chronią przed zimnem — rzekł generał wyraźnie zakłopotany, po czym szybko zmienił temat. — Rozumiem, że pułkownik Sloan wtajemniczył pana w sprawę.

Hatcher potwierdził skinieniem głowy.

— Jakie jest pańskie zdanie? — zapytał generał.

— Jeśli ten Tajlandczyk, Wol Pot, powiedział prawdę i Murph żyje, to go odnajdę.

— Mówi pan bardzo pewnie.

— Zastrzegam, jeśli żyje.

Generał skinął głową.

— Co na to pańskie przecucie? Instynkt?

— Na razie nic. Akta są bardzo skąpe — odparł Hatcher.

— Rzeczywiście niewiele tego jest. Przykro mi.  
— Liczę, że znajdę w nich jakieś wskazówki.  
— Rozumie pan, że dyskrecja jest konieczna. — Zabrzmiało to w ustach Cody'ego jak stwierdzenie faktu, a nie prośba. — Poza tym wskazany byłby pośpiech.

— Tak jest, panie generale.

— O ile wiem, byliście dość zżyci w akademii.

Hatcher przytaknął.

— Byliśmy razem w drużynie bokserskiej. Murph ukończył szkołę rok przede mną — powiedział i po chwili dodał: — Był w porządku, panie generale. Wielka indywidualność.

— Miło mi to słyszeć. Uspokoilem się nieco wiedząc, że pan go znał i... lubił.

— Spotkaliśmy się już raz, ja i pan — szepnęła Hatcher. — Na jego słubie.

Generał przyjrzał się uważnie Hatcherowi, ale nie rozpoznał w nim gościa weselnego.

— To było tak dawno. Mam coraz słabszą pamięć, proszę wybaczyć.

— Ja też nie mogę się chwalić swoją.

Generał spojrzął na Sloana, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Hachera.

— Czy mogę zadać panu osobiste pytanie?

— Naturalnie.

— Dlaczego chce się pan tego podjąć?

Hatcher odpowiedział dopiero po dłuższym namyśle.

— Jeden z moich przyjaciół zapytał mnie kiedyś, czy jestem patriotą. Odpowiedziałem mu wtedy, że nie mam pewności. Być może teraz uda mi się rozwikłać tę wątpliwość.

— To zadanie nie ma nic wspólnego z patriotyzmem — powiedział pośpiesznie generał.

— Wolałbym sądzić, że jednak ma — odparł Hatcher.

Cień dawnego uśmiechu Cody'ego przesłonił na chwilę smutek.

— To miłe, co pan mówi. Dziękuję, panie Hatcher — powiedział, bawczo wpatrując się w wysokiego mężczyznę naprzeciwko, jakby w myślach dobierał właściwych słów do następnego pytania.

— Rozumiem, że pan nie jest już w brygadzie, lecz działa w sektorze prywatnym?

— Tak, panie generale.

— Szkoda. Był pan dobrym żołnierzem, Hatcher.

— Dziękuję, panie generale.

— Czy mogę poznać przyczyny odejścia?

Hatcher zignorował niespokojne spojrzenie Sloana.

— Zacząłem wychodzić z wprawy, panie generale — skłamał.

Cody przyjrzał mu się uważnie.

— Miejmy nadzieję, że nie zapomniał pan wszystkiego.

— Jeszcze nie, panie generale.

Cody odwrócił się do Sloana.

— Wygląda na to, że znalazłeś fachowca, Harry. Jak zwykle dobrego.

— Dziękuję, panie generale — odpowiedział zadowolony Sloan. — Zatem ruszamy?

Buffalo Bill Cody spojrzął na Hatchera i powtórzył pytanie.

— Więc jak, panie Hatcher? Ruszamy?

— Ruszamy — odparł Hatcher zniszczonym głosem.

## OKRUCHY

Muzeum było jedyne w swoim rodzaju, niepodobne do żadnego istniejącego na świecie. Mieściło się w zwykłym parterowym budynku w małej wiosce w stanie Maryland, czterdzieści mil na południe od Waszyngtonu. Hatcher dotarł tam po półtoragodzinnej jeździe wypożyczonym chevroletem.

Trudno było określić wiek kustosza. Ubrany w niebieski drelichowy strój, jaki się nosi w zakładach poprawczych, miał włosy koloru nadmorskiego piasku, takąż brodę. Mówił ciepło i łagodnie. Mógł mieć około czterdziestki. Jego nastrój i usposobienie harmonizowały z miejscem pracy, przepehionym tęsknotą, bólem i niepokojem duszy. Podając Hatcherowi parę białych bawełnianych rękawiczek powiedział:

— To żeby zapobiec dalszemu niszczeniu niektórych przedmiotów.

Wskazał ręką foliową torebkę z dwiema muszelkami i karteczką z napisem: „Kocham Cię, Charley”.

— Katalogujemy według miejsca na płycie, gdzie je zostawiono — wyjaśnił prowadząc Hatchera wzdłuż szarych stalowych regałów sięgających sufitu.

Odwiedzający Ścianę Wietnamską, powodowani nagłym porywem serca lub głosem sumienia, zostawiali na płycie różne przedmioty, które z czasem nabrały charakteru eksponatów — świadectw historii, jaka dopiero zostanie napisana. Pracownicy muzeum i dozorczy cierpliwie znosili je do budynku,

segregowali i układali na półkach. Były tak różne i niewspółmierne jak okruchy życia. Przygnębiające, zabawne i wzruszające dowody uczuć — miłości do ojca, którego ktoś nie zdążył poznać, boleści owdowiałej żony, złości dziewczyny opuszczonej w środku nocy, winy kolegi, który mimo wszystko przeżył. Na szarych metalowych półkach spoczywały obok siebie duma i żal, radość i smutek, miłość i gniew — ból żyjących.

Wszystkie eksponaty znajdowały się w foliowych torebkach. Piłki baseballowe, mapy i flagi. Dużo flag — najbardziej natchnionych, ale też najczęściej znieważanych symboli wojny. Na białym pasku jednej z nich Hatcher odczytał napis: „Od Kenny'ego — zięcia, którego nie zdążyłeś poznać”.

Notki, kartki i karteluski. „Przyjaciele, oby dobry Bóg sprawił, żeby nasze dzieci nie miały iść na wojnę, a jeśli pójdą, niech walczą mężnie i godnie jak wy”. Nie otwarte listy. Wiersze. „Tatusiowi, który zginął dwa miesiące przed moim przyjściem na świat”.

Modele samolotów, hełmy, dystynkcje, medale, programy teatralne, szkolne plakaty, uczniowskie dzienniczki, indeksy studenckie, buty wojskowe, rolka papieru toaletowego, kontener po piwie, miedziana bransoletka jeńca wojennego zaginionego w akcji w 1973 roku, zdjęcia samochodów i domów, nigdy nie widzianych dzieci i nigdy nie poznanych ojców. Okruchy.

— Pan był w Wietnamie? — zapytał Hatcher podążając za kustoszem między regałami.

— Tak — usłyszał odpowiedź tonem wykluczającym następne pytania.

W muzeum posługiwano się prostym kodem katalogowym, dzięki czemu odnalezienie pamiątek nie sprawiało większych trudności. Kustosz zatrzymał się przed rzędem półek i sprawdził numer.

— To jego rząd. Jeśli coś w ogóle jest, to tylko tutaj — powiedział i oddalił się.

Hatcher został sam. Na półce leżał zniszczony, brudny pluszowy miś. Para pewnych siebie nastolatków spoglądała zaczepnie, stojąc przy starym jaskrawoczerwonym kabriolecie. Pożółkła sprzączka od stanika z kawałkiem przerwanej tasiemki leżała obok ślubnej obrączki przywiązanej do baretki Purpurowego Serca.

Zauważył dwie notki.

Pierwsza głosiła: „Naszemu tatusiowi, Murphowi Cody'emu, porucznikowi Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Od kochających dzieci Keitha i Sharon”. Była przyczepiona do zdjęcia dwojga nastolatków, wyglądających bardzo poważnie jak na swój wiek. Druga notka brzmiała

następująco: „Dzięki za wszystko, Polo. I dzięki Bogu za Tajskiego Konia. Jaimie”. Była przyczepiona do zielonego beretu. Nie znalazł nic więcej.

Polo.

Tak zwrócił się do Cody'ego ten Jaimie. Zatem znalazł jego dawny pseudonim. Hatcherowi wydało się to dość zabawne, gdyż sądził, że Cody nie lubił, kiedy tak doń mówiono, niemniej jednak świadczyło o jednym: ktoś zostawił tę notkę celowo. Zbieg okoliczności nie wchodził w rachubę.

Czyżby to było ostatnie pożegnanie od kogoś, kto wiedział, że Cody nie żyje?

A może podziękowanie od kogoś, kto wiedział, że Murph Cody wciąż żyje?

Poza tym wzmianka o Tajskim Koniu. Dla Hachera oznaczało to tylko jedno — tajlandzką heroinę. Biały proszek.

Czy Cody dostarczał heroiny swoim ludziom? Czy on i ten Jaimie działali w kręgu przemytników? Czy owa wiadomość coś przekazywała? Kod czy sygnał? Bezwiednie pokręcił głową. Nie mógł i nie chciał w to uwierzyć. Ale w takim razie co to mogło oznaczać? A może istnieje inna odpowiedź? Wyprawa do muzeum niewiele wyjaśniła, za to zrodziła kolejne pytania i wątpliwości.

— Nie macie żadnych danych o tym Jaimiem, prawda? — zapytał.

Kustosz potrząsnął głową.

— To nie nasza sprawa.

Obejrzał dokładnie beret i dostrzegł na podszewce nie zatarte inicjały „J.S.” Zapisał skrzątnie wszystko w notesie. Była jeszcze jedna informacja. Beret i notkę wpisano do katalogu czternaście miesięcy temu, czwartego lipca. To wszystko. Murph Cody nie zostawił po sobie zbyt wiele i należało sądzić, że tu urywa się wszelki ślad.

— Dziękuję, to już wszystko.

— Tak — odparł kustosz.

Hatcher rozejrzał się po sali jeszcze raz. Rękawice baseballowe, zniszczone latawce, kwiaty...

Wspomniał fragment z książki Conrada: „...bezinteresowna wiara w idee — w coś, co sami wymyślamy, przed czym chylimy czoła i składamy ofiary...”

Rozmyślał o niespokojnych bohaterach, zmasakrowanych i pogrzebanych w obcej ziemi, poległych na wojnie, której nie rozumieli, ale też nie kwestionowali, odartych z marzeń i nadziei, złożonych w krwawej ofierze, której ojczyzna domaga się od każdego pokolenia. Zwyczajni ludzie stali się niezwykli przez swoją szczególną śmierć. Owiał go przejmujący chłód przeszłości. Długo nie mógł wyjść z muzeum.

# MONTANA

Hatcher zniknął jeszcze tego wieczoru z walizką dwudziestodolarówek i aktami Cody'ego. Sloan czekał na niego sam w restauracji i dopiero w połowie trzeciego drinka uświadomił sobie, co się stało: sukinsyn nie pojawi się w ogóle. Krótki telefon potwierdził wątpliwości. Hatcher opuścił hotel przed dwiema godzinami. To do niego podobne! Sloan złorzeczył sobie. Znał Hatchera nie od dziś i powinien był przewidzieć, że Christian urwie się przy pierwszej sposobności. Wyładuje złość na Sloana wymykając się spod jego kontroli i zacznie działać na własną rękę, żeby pokazać, kto tu jest szefem.

„Jeszcze zobaczymy” — pomyślał Sloan.

— Czy będzie pan coś zamawiał, pułkowniku? — zapytał kelner, gdy Sloan odłożył słuchawkę.

— Nie — odburknął. Zostawił pięć dolarów napiwku i wyszedł.

Wieczór był deszczowy. Znając Hatchera Sloan wiedział, że może upłynąć dużo czasu, zanim się odezwie. Wrócił do biura i polecił Zabriskiemu, by zajął się poszukiwaniami. Zabriski potrafił wyśledzić każdego. Był pewien, że Hatcher podróżuje pod własnym nazwiskiem. Nie zmienił go jeszcze. Poza tym Hatcher nie kiwał go, lecz ignorował. Przydzielili mu anioła stróża, żeby dać nauczkę. Następnego ranka Zabriski zameldował:

— Odleciał do Billings w Montanie wczoraj wieczorem. Zatrzymał się w hotelu „Palace”, wymeldował dziś rano i wsiadł do małego transportowca lecącego do Shelby.

— Montana? Czego, do diabła, może szukać w Montanie?

— Nie wiem, sir. Tam się udał.

— Gdzie jest to Shelby?

— Dwa dobre rzuty kamieniem od granicy kanadyjskiej — odpowiedział agent. — Zapadła dziura, od trzech miesięcy pod śniegiem.

Montana. Sloan wydobyl akta Cody'ego i przestudiował je słowo po słowie, ale nie znalazł żadnej wzmianki o Shelby. Polecił Zabriskiemu udać się do Billings pierwszym samolotem, zaczekać na Hatchera i jeśli się pokaże, nie spuszczać z niego oka.

— Jeszcze jedno, Zabriski. To szczwany lis, rozumiesz? Zna sztuczki, o których ty nie masz zielonego pojęcia.

— Mam go przycisnąć? — zapytał podkomendny.

— Nie zrobił nic złego. Na razie. Interesuje mnie, co zamyśla.

Przyszło mu do głowy, że być może Hatcher po prostu asekuruje się. „A może to on sprawdza mnie” — pomyślał. Wynajmując Hatchera wiedział, że naraża się na duże ryzyko. Jeśli Christian zacznie działać jako niezależny



*pistolero*, może stać się dlań niebezpieczny. W tej fazie gry było jeszcze za wcześnie, żeby mógł zaufać Hatcherowi. Zwłaszcza po Los Boxes.

Dwusilnikowy de havilland wcisnął się między zwały śniegu po obu stronach pasa startowego. Zasy sięgały powyżej kadłuba maszyny. Terminal znajdował się w małym parterowym budynku ledwo widocznym między górami śniegu, który padał od kilku miesięcy. Hangaru prawie nie było widać, a rękaw na dachu poruszał się z trudem na mroźnym wietrze. Buty skrzypiały na mrozie. Hatcher, poprzedzany obłokiem pary z ust, przeszedł szybko przez pole startowe i skierował się do terminalu wielkości skromnego pokoju gościnnego.

W pomieszczeniu pod jedną ścianą znajdował się punkt odprawy pilotów obsługiwany przez chudego zaspanego mężczyznę. Po przeciwnej stronie posiwiały facet z kilkudniowym zarostem obsługiwał automat z kanapkami i napojami oraz punkt wynajmu samochodów. Miał na sobie trzy wełniane koszule, a na głowie futrzaną czapę. Przyłot samolotu nie wywołał specjalnego poruszenia w terminalu, gdzie oprócz Christiana znajdowało się tylko dwóch pasażerów.

Hatcher wziął kawę z automatu i czekał, aż jeden z podróżnych załatwi formalności wynajmu samochodu. Gdy tamten skończył, podszedł do konuaru i zagadnął mężczyznę w trzech koszulach, który właśnie przystępował do wypełniania formularza za pomocą ogryzka ołówka.

- Daleko stąd do Cut Bank? — zapytał zniszczonym głosem.
- Zależy — odparł zagadnięty nie podnosząc oczu znad formularza.
- Od czego?
- Od pory roku. W lecie trzy kwadransy.
- A zimą, na przykład dzisiaj?
- Dwie godziny. O ile się zna drogę.
- A jak daleko do zimowego składu paszy dla zwierzyny?

Nie przerywając pisania mężczyzna odpowiedział:

— Jakies trzydzieści siedem mil, przeważnie pod górę. Jak pan nie oby-  
te ze śniegiem, niech pan da sobie spokój. Inaczej znajdą pana dopiero na wiosnę.

- Pan jest kierowcą?
- Uhm.
- Ile wzięłby pan za kurs?

— Chłopie, to nie jest rowerowa wycieczka na poziomki — odrzekł tamten, wciąż zajęty formularzem.

Hatcher podsunął mu pod nos banknot studolarowy.

— Drugi taki będzie po powrocie — powiedział niecierpliwym szeptem.  
— Na miejscu nie zabawię dłużej niż godzinę.

Mężczyzna spojrział na tajemniczy uśmiech Franklina i podniósł wzrok.

— Pan jest z rządu.

— Jeśli interesuje cię mój życiorys, stowa przejdzie koło nosa — oznajmił Hatcher i skinął głową w stronę banknotu.

— Ani słowa — odparł mężczyzna i wsunął gotówkę do kieszeni. — Ostatni lot do Billings jest o czwartej. — Spojrział na zegarek. — Mamy sześć godzin.

— A do Spokane?

— Raz na dzień, o drugiej trzydzieści.

— Spróbujemy zdążyć.

— Uhm — odparł kierowca i wyciągnął rękę. — Rufus Eskew.

— Chris — rzekł Hatcher i uściśnął guzkowatą dłoń.

— Niech pan coś zrobi z tą pogodą — powiedział Rufus sięgając po kluczyki.

Śmigłowiec leciał nisko nad zaśnieżoną łąką, zrzucając siano i płosząc stado jeleni zwabionych pierwszą belą. W otwartych drzwiach stał Simmons, okutany w kilka warstw zimowego ubrania, z szalikiem owiniętym wysoko wokół szyi. Spod wełnianej kominiarki głęboko naciągniętej na czoło wystawały grube czarne brwi pokryte drobinami śniegu, które poderwał z ziemi pracujący wirnik. Simmons patrzył przez okulary przeciwsłoneczne i trzymając się linki zabezpieczającej czekał, aż pilot obróci maszyną.

Stado rozbiegło się w różne strony. Jedynie wielki byk przywódca stał niewzruszony na swoim terytorium i nerwowo poruszał wilgotnymi chrzypkami, gotów do ataku lub obrony. Obserwował, jak helikopter schodzi coraz niżej nad polaną między dwoma stromymi szczytami.

— Hardy sukinkot — krzyknął Simmons do kolegi w drugich drzwiach.  
— Wspaniały byk, nie?

Kiedy helikopter zawisł dwadzieścia stóp nad śniegiem, Simmons zaparł się nogami o dwustufuntową belę i wypchnął ją na zewnątrz. Wykonała wolny półobrót i uderzywszy o ziemię rozpadła się, tworząc wielką chmurę śniegu i siana.

— Chodźcie, maleństwa — krzyknął w stronę stada.

Nagle obfite opady śniegu odcięły terytorium jeleni. Groziła im śmierć głodowa. Stojący w drugich drzwiach Eddie wypchnął ostatnią belę i znacząco wznosił kciuk. W interkomie Simmonsa rozległo się:

— Okay, bomby poszły. Wracamy na kawę.

— Przyjąłem i potwierdzam. Nareszcie ktoś gada do rzeczy — wtrącił pilot.

Zamknęli drzwi i usiedli przy dwu rachitycznych grzejnikach, które nawiewały powietrze niewiele cieplejsze od tego na zewnątrz. Simmons wyjął z kurtki butelkę kanadyjskiej whisky, zsunął szalik z twarzy i pociągnął tęgi łyk. Wytarł usta rękawem, podał butelkę Eddiemu i wzdrygnął się.

— Na rozgrzewkę! — krzyknął.

Odłożył butelkę, z której poczęstował się Eddie, naciągnął szalik na twarz i otulił się ramionami. Za dwadzieścia minut będą w bazie. Simmons postanowił uciąć sobie drzemkę.

W interkomie rozległ się głos pilota.

— Jest wiadomość z bazy. Jakiś facet czeka na ciebie, Harley.

Simmons ożywił się nagle. Ciekawe, komu chciało się go szukać w takim miejscu i w taką pogodę?

— Jak się nazywa? — zapytał pilota.

— Nie dowiadywałem się.

Niepokoił się przez resztę drogi. Ostatnio zdarzały mu się napady paranoicznego lęku. Kto to mógł być, skoro nawet Lee z bazy nie znał nazwiska? Wybiegł z helikoptera, gdy tylko płozy dotknęły ziemi. Kim mógł być ten człowiek?

Wpadł do biura. Znał dobrze Rufusa Eskewa, więc to musiał być ten drugi, który stał przy termowentylatorze, trzymając w obu dłoniach kubek gorącej kawy. Wysoki, sześć stóp z okładem, ciemne włosy z kilkoma siwymi pasemkami, sylwetka zawodowego boksera. „Nieźle opalony — pomyślał Simmons. — Pewnie z Południa. Los Angeles albo Floryda”. Był ubrany w gruby golf, sztruksowe spodnie z nogawkami wciśniętymi w zimowe buty oraz puchową kurtkę. Nosił okulary przeciwsłoneczne. „Los Angeles” — stwierdził Simmons w duchu. Mężczyzna zdjął okulary i Simmons zobaczył najzimniejsze szare oczy pod słońcem.

„Jednak z Waszyngtonu” — powiedział do siebie.

— Nazywam się Hatcher, panie Simmons.

„Chryste Panie, ale szept” — pomyślał.

— Chciałbym pomówić z panem w cztery oczy. Sprawa osobista.

„Osobista? Dla kogo osobista? Nie zalegam z opłatami. Alimenty wysłałem. Ostatnią ratę za jeepa też. Jestem w porządku” — Simmons myślał gorączkowo.

— Dwadzieścia minut na rozgrzanie tyłków — zapowiedział pilot w korytarzu. — Lecimy, jak skończę ładować.

— Może w biurze dyrektora. Wyjechał do Helena na parę dni — zaproponował Simmons i ruszył pierwszy.

Weszli do pokoiku, którego umeblowanie stanowiło biurko, staroświecka biblioteczka z kilkoma biuletynami rządowymi, wieszak na kapelusze i dwa krzesła. Oprócz telefonu na biurku nie było nic. Na ścianie wisiał firmowy kalendarz zakładów paszowych w Shelby. Hatcher uznał, że szef tej firmy jest albo doskonale zorganizowany, albo nie cierpi na nadmiar zajęć. Usiadł na krawędzi biurka.

- Niech pan spocznie — zachęcił Simmons.

Simmons usłuchał. Był śmiertelnie przerażony.

— O co chodzi?

— Jestem z komisji do spraw zaginionych w akcji. Badamy sprawę Cody'ego.

— O Boże. Wiedziałem. Byłem pewien. Ile razy każecie mi jeszcze przez to przejść? Piętnaście lat, jak wyszedłem z wojska, i ciągle ktoś bada sprawę Cody'ego.

Reakcja Simmons'a zaskoczyła Hachera, ale też odsłoniła pewne aspekty sprawy. Simmons zachowywał się tak, jakby najgorsze obawy i koszmary, które drzemały spokojnie gdzieś na dnie jego duszy, nagle poderwały się i chwyciły go za gardło. Hatcher zorientował się, że trafił w czuły punkt. Przyciśnię go jeszcze odrobinę i gość pęknie.

— To zwykłe rutynowe sprawozdanie — powiedział. — Proszę się nie złościć.

— Siedzę tu dziesięć lat... Żeby zapomnieć. Nie muszę... — Simmons nie dokończył zdania.

— Chodzi o kilka drobiazgów. Nie zajmę panu dużo czasu.

— Przecież Cody został oficjalnie uznany za zmarłego.

— Zgadza się.

— No to co, do licha...

— Kilka szczegółów, które wymagają wyjaśnienia.

— Nie przypominę sobie. To przecież piętnaście lat. Widziałem niejedną śmierć w Wietnamie. Po tylu latach wszystkie są takie same.

— Cody dowodził skrzydłem. Jego ojciec był głównodowodzącym. To pan chyba pamięta, Simmons?

Simmons zaczął się złościć. Był w defensywie.

— Niech pan posłucha, panie... no, nieważne zresztą. Nie pamiętam.

Nie chcę pamiętać. Od piętnastu lat, słyszy pan, lat, robię wszystko, żeby o tym zapomnieć.

— O czym zapomnieć, panie Simmons?

— O tym, co tam było. Dwanaście miesięcy życia... mojego życia... Wmawiam sobie, że ich nie było. Ciężka sprawa... Zresztą oni wszyscy z daleka wyglądali tak samo.

— Kto taki?

— Piloci z wymiatania. Ci, co spadli.

— A z jak daleka?

— Przez rzekę. Lataliśmy na hueyach w ratownictwie. Nie mogliśmy podchodzić za blisko.

— Właśnie to chciałbym z panem wyjaśnić — powiedział Hatcher wyjmując akta z nesesera. Przeglądał papiery i obserwował Simmonsa, który robił się coraz bardziej niespokojny. Doszedł do wniosku, że musi on mieć coś poważnego na sumieniu, skoro się denerwuje, a jego konstrukcja psychiczna jest tak nadwreżona, że lada chwila facet się załamie. Odczekał jeszcze chwilę i wyszeptał: — W raportach są pewne rozbieżności.

— Rozbieżności?

— W sumie drobne. W czasie spowiedzi po akcji powiedział pan, że samolot spadł na drzewo i od razu eksplodował. Proszę posłuchać: „Byliśmy od niego jakieś pół mili. Spadł brzuchem do góry i zdawało się, że dżungla eksplodowała. Nie wiem, jak ktoś mógłby to przeżyć”.

Simmons przytaknął.

— To się zgadza.

— Ale według stenogramu przesłuchania przed komisją odwoławczą w osiemdziesiątym pierwszym powiedział pan, że zbliżyliście się tak bardzo, aż poczuliście falę ciepłą eksplozji, i że nie widział pan, by ktoś próbował się wydostać. Potem dostaliście się pod ciężki ostrzał z ziemi i musieliście zaniechać dalszych prób.

— Nie pierwszy raz i nie ostatni. Więc?

— Więc która wersja jest prawdziwa? Czy byliście na tyle blisko, że dotarła do was fala ciepła, czy też w odległości pół mili od katastrofy?

Simmons odwrócił się i ruszył do drzwi.

— Muszę iść. Jelenie czekają.

— Ma pan jeszcze piętnaście minut — powiedział spokojnie Hatcher. Postanowił spróbować z innej beczki. — Niech pan posłucha, Simmons, nie obchodzi mnie, czy wtedy przed komisją pan kłamał, czy nie. To już historia. Ale ja chcę wiedzieć, jak było naprawdę. Teraz. Powie mi pan i na tym koniec. Żadnych komplikacji.

Simmons zawrócił w miejscu. Miał twarz czerwoną z wściekłości.

— Niby dlaczego miałbym wtedy kłamać, co?

— Przesłuchujący zanotował w raporcie z siedemdziesiątego drugiego roku, że pan się jękał ze strachu. Upłynęło trochę czasu od katastrofy, był pan na ziemi i wciąż czegoś się bał. Czego?

— Słuchaj pan. To był dopiero mój trzeci lot. Wszedłem do akcji trzy tygodnie wcześniej — mówi to panu coś? — zapytał opryskliwie. — Pewnie, że się bałem. Cały czas, nawet ostatniego dnia służby. Miałem wtedy dziewiętnaście lat.

— Bać się to jedno, a stchórzyć to co innego — powiedział spokojnie Hatcher.

— Stchórzyć? Myśli pan, że stchórzyłem?

Hatcher potrząsnął głową.

— Ja nie. Ale być może pan tak myśli.

Simmons zmiął czapkę w rękę i pokręcił głową.

— Nie da się od tego uciec. Cholerny Wietnam!

Ostatnie słowa wyrzucił z siebie z taką pasją, że Hatcher spojrział na niego zaskoczony. Zrobiło mu się żal Simmons'a, ale nie na tyle, by zaniechać dalszych pytań.

— Jeśli pan przysięgnie, że nie widział wtedy nikogo wydostającego się z samolotu, nie będę miał więcej pytań. Jeśli pan skłamię, sprawdzę dokładnie.

— To było tak dawno...

— Nie zeznawał pan pod przysięgą, Simmons. Mógł pan coś przeczyść...

— Teraz też nie zeznam pod przysięgą.

— Czy jest możliwe, żeby Cody wydostał się z wraka?

— Wszystko jest możliwe.

— A pańskim zdaniem?

Za drzwiami ktoś zawołał:

— Pięć minut, Simmons!

— Już, zaraz! — odkrzyknął Simmons w stronę drzwi, po czym odwrócił się do Hachera. — Dlaczego znowu wracają do tej sprawy? Przecież została definitywnie zamknięta.

— Wielu naszych, których uznano za zaginionych, trafiło do obozów w Kambodży. Istnieje pewna szansa, że Cody też tam się znalazł — skłamał Hatcher. — Ale zanim rozrobimy sprawę, musimy mieć pewność, że Cody nie zginął w katastrofie.

— Wszystko jest w raportach. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Jednostka miała duże straty. Nazywali ją oddziałem samobójców.

— Ma pan na myśli oddział Cody'ego?

— Człowieku, to był wariat. Zaraz na początku, jak tylko trafiłem do ratownictwa, powiedzieli mi: „Jesteś we wsparciu Cody’ego. Na pewno się nie zanudzisz. I uważaj na głowę...”

Odległy koszmara z przeszłości znów stanął mu przed oczami. Przetarł je kułakiem, ale obraz nie zniknął. Jak zawsze. Postać gorączkowo kuśtyka ku rzece. Bezszykownie macha rękami. Wybuch. Kula ognia nad drzwiami. Pilot wciąż kuśtyka i macha rękami. Czarne widmo na tle płomieni.

— Może... — zaczął Simmons.

— Co takiego, Simmons? Może nie zginął? Czy to chciał pan powiedzieć?

Wiedział, że tamten jest bliski załamania, nieomal czuł jego katusze. Technikę przesłuchiwanie opanował bardzo dobrze. Bezbłędnie wyczuwał, kiedy indagowany zaczyna pękać, i wtedy naciskał mocniej.

— Nie powiedziałem, że zginął. Nigdy tego nie twierdziłem! — wołał Simmons. — Mógł się wydostać tak, że go nie zauważyłem. Strzelali do nas... Ogień ze wszystkich stron...

— Pociski trafiały blisko, tak?

— Grzali jak w kaczy kuper. Seria poszła trzy stopy ode mnie.

— I trzeba było się wycofać, zgadza się?

Simmons odwrócił twarz. Na zewnątrz pilot grzał silniki.

— Muszę iść.

— Wobec tego zaczekam, aż pan wróci.

— Chryste Panie, co pan chce usłyszeć ode mnie?

— Prawdę.

Uderzył w drzwi otwartą dłonią.

— Do diabła! Do diabła z tym wszystkim i z panem!

— To cię gryzie, co, Simmons?

Nie odpowiedział.

— Spójrzmy na to z innej strony. Jeśli rzeczywiście widział pan kogoś uciekającego z wraka, to może uda nam się go odnaleźć.

— To mi się wciąż śni po nocach — jęknął Simmons. — Nic nie pomogło. Żona mnie opuściła... Moje życie to jedno wielkie szambo.

— Może gdyby pan to z siebie wyrzucił, spałby pan spokojniej — zaproponował Hatcher, ale tamten pokręcił przecząco głową. — Zatem dotarł pan aż tutaj, żeby o tym zapomnieć?

Simmons przytaknął.

— Ale to nic nie dało.

Zacisnął powieki, żeby powstrzymać się od płaczu. Dwie wąskie strugi łez potoczyły się po policzkach.

— Ciągle myślę, że może jednak udałoby się go wyciągnąć. Walili do

nas jak do tarczy... i ogień... więc krzyknąłem: „Wiejmy stąd, nie widzę nikogo”... i od tej pory mam to przed oczami... cały czas, jeszcze w bazie... i teraz... ja już nie mogę z tym... nawet mówić... boję się ludzi... że ich spotkam... stamtąd... Bałem się... wciąż się boję...

— Więc Cody wydostał się z wraka — stwierdził Hatcher bez ogródek.

Simmons próbował ukryć łkanie. Oparł twarz o szybę i wlepił wzrok w tumany śniegu wirujące wokół helikoptera. Wziął głęboki oddech i westchnął.

— Jeden z nich wydostał się.

— Znaleźli szczątki strzelca, ale Cody'ego nie.

Odwrócił się od okna. Ból wykrzywił mu twarz.

— Co się z nim stało? — zapytał drżącym głosem.

Hatcher wzruszył ramionami i pokręcił głową.

— Jeśli pan się kiedyś dowie... — zaczął Simmons, ale donośny krzyk pilota przerwał mu:

— Co ty tam robisz, do ciężkiej cholery?! Roboty czeka!

— Dam panu znać — dokończył za niego Hatcher. — Jeszcze jedno. Czy mówią coś panu słowa „Tajski Koń”?

— Chodzi panu o heroinę?

— Czy tylko?

— Nie mam innych skojarzeń.

— Dziękuję. Niech pan już idzie.

Gdy Simmons doszedł do drzwi, Hatcher wstał i położył mu dłoń na ramieniu.

— Niech pan posłucha. To, co się stało tam, nie ma żadnego znaczenia tutaj. Trzeba zapomnieć. Inne życie, inny świat. Równie dobrze mogło się przytrafić komu innemu. A nawet jeśli poświęcił pan Cody'ego, to równocześnie uratował pan życie pilota, kolegi i własne. Trzy za jedno to chyba dobry rachunek.

— Próbowałem tak myśleć. Nie pomogło.

— Sumienie to okropny kompan — szepnęła Hatcher.

— To też nic nie pomaga.

Simmons naciągnął czapkę na oczy i wyszedł. Hatcher obserwował przez okno, jak biegnie do helikoptera. „Zatem Cody mógł się wydostać — pomyślał. — A skoro tak, to może jeszcze żyje”.

Tylko gdzie się podziewa od piętnastu lat?

— Jak to „zgubiłem go”? Ty? — Sloan mówił spokojnie i stanowczo. — Jakim cudem można kogoś zgubić w... no, jak się nazywa ta dziura?



— Shelby, sir — odpowiedział Zabriski. — Nie wrócił do Billings, panie pułkowniku. Wsiadł do samolotu do Spokane, złapał połączenie do Seattle, a stamtąd do Los Angeles.

— Gdzie jesteś?

— Na międzynarodowym w Los Angeles. Odlatuje rano.

— Dokąd?

— Do San Diego.

— San Diego? Czego on tam... — Sloan przerwał i po chwili namysłu powiedział: — Zaczekaj przy telefonie.

Wcisnął guzik blokujący linię.

— Holloway, zlokalizuj mi dwóch ludzi z marynarki — powiedział do jednego z czterech programistów przy monitorach. — Komandora porucznika Ralpha Schwartza i komandora Hugh'a Fräsera. — Przeliterował nazwiska i dodał: — Mam międzymiastową na linii.

— Potrwa to co najmniej minutę — odpowiedział Holloway.

Czekając na odpowiedź z komputera Sloan zabębnił palcami po blacie i przejrzał teczkę Cody'ego.

Kwatera operacyjna nie była zbyt okazała. Mieściła się w trzech pokojach zwykłego biurowca cztery przecznice od Białego Domu. Jedno pomieszczenie pełniło funkcję poczekalni i sekretariatu. W drugim stały cztery terminale komputerowe podłączone do wszystkich ważniejszych linii naziemnych i satelitarnych przez całą dobę. W trzecim mieścił się gabinet Sloana. Skąpo umeblowany, zupełnie pozbawiony osobistych rzeczy szefa.

Nie minęły dwie minuty, gdy Holloway, operator dyżurny w stopniu sierżanta, zameldował, że ma odpowiedź na ekranie.

— Fräser przeszedł na emeryturę półtora roku temu, panie pułkowniku. Jest jednym z wice linii czarterowej w Seattle. Domowego adresu nie ma w pliku. Ten drugi... o, jest... Ralph Schwartz. Obecnie komandor, dyrektor pilotażu w bazie marynarki w San Diego.

— Wystarczy. Dziękuję, sierżancie — powiedział Sloan i przełączył się na międzymiastową. — Sprawdziłem co trzeba, Zabriski. Przerwij inwigilację i wracaj.

— Przerwać, sir? — Zabriski był zaskoczony.

— Dobrze słyszałeś — rzucił Sloan w słuchawkę i rozłączył się. — „Znowu sobie ze mną pogrywa — pomyślał i roześmiał się. — Chce pokazać, kto tu rządzi”. Mówiący szeptem człowiek nie miał zamiaru ukrywać się i zwozić kogokolwiek. Chciał się tylko przekonać, ile czasu zajmie zlokalizowanie go. Sloan spojrzął na zegarek. Była siódma wieczór, czwarta na

Zachodnim Wybrzeżu. „Zrobił niezły kawał drogi” — stwierdził z uznaniem.

Głos operatora przerwał rozmyślania.

- Ktoś wchodzi na połączenie komputerowe, sir.
- Skąd?
- Z bazy M.

Rozmówca łączył się przez modem. Korzystano z tego połączenia tylko w wyjątkowych przypadkach. Na monitorze pojawiły się hasła. Wzywający musiał podać dane w ściśle określonym czasie w następującej kolejności:

numer kodowy,  
kod dnia,  
kod operacyjny,  
kod dostępności,  
numer kodowy adresata,  
numer kodowy wzywającego,  
kod dostępności wzywającego,  
kontrola głosu.

Opóźnienie lub błąd w którymkolwiek hasle powodowały rozłączenie numeru wzywającego, co umożliwiało wyśledzenie, skąd dzwoni. Wzywający podał wszystkie hasła.

- Kontrola głosu bez zastrzeżeń.
- Przełącz na zieloną skrzynkę — rozkazał Sloan i wszedł do biura.

Zamknął drzwi i wysunął szufladę, w której znajdował się aparat telefoniczny z przystawką kodującą i dwiema kontrolkami. Zielona oznaczała, że linia jest czysta. Gdy zapalała się czerwona, połączenie przerywano i zamrażano linię.

Podniósł słuchawkę.

- Nocny Łowca, słucham.
- Tu Ogar. Mamy kłopoty.
- Linia czysta, Hedritch.
- Facet sprawia kłopoty.
- Te co zwykle?

— Tak, sir. Podwórko i okolice czyste. Żadnych odwiedzin. Ale on chce się zabawić w nocnej tancbudzie. Powiedziałem, że to niemożliwe. Nie powtórzę tego, co usłyszałem w odpowiedzi.

— Wyobrażam sobie — zaśmiał się Sloan. — Sam go wyciągałem. Wszyscy południowcy są tacy. Gorąca krew.

— Lepiej, żebyśmy nie musieli jej ścierać z podłogi. Czy wolno mi go powstrzymać?

— Nie. Jest gościem rządu, nie więźniem. Mamy zapewnić mu ochronę. W każdej sytuacji.

— Wybiera się na disco do klubu „Split Personality”. Nie damy rady zabezpieczyć tego miejsca nawet przy pomocy całego Mossadu.

— Kiedy?

— Pojutrze.

— Trudno, podejmiemy ryzyko — powiedział Sloan po chwili namysłu. — Nikt nie może się dowiedzieć o wypadzie. Bądź na miejscu o jedenastej i wtajemnicz kierownika lokalu. Rozstawcie się dyskretnie. To wszystko, co możemy zrobić.

— Ciężka sprawa, sir.

— Od tego jesteśmy, Hedritch.

— Tak jest, sir.

Sloan odłożył słuchawkę i wyjął z szuflady długą aluminiową rurkę. Zdjął plombę, odkręcił zakrętkę i przesunął cygaro pod nosem delektując się aromatem. Następnie przypalił, po czym wystukał numer na tarczy zielonego telefonu. Po pierwszym sygnale usłyszał:

— Tak?

— Tu Nocny Łowca. Zostałem?

— Tak, sir.

Po chwili inny głos w słuchawce zapytał:

— Nocny Łowca?

— Tak.

— Palisz, Nocny Łowco?

— Tak. A wiesz co?

— La fierę.

— Zgadłeś. Mam coś dla ciebie.

— To, co sprawia ci tyle kłopotu?

— Tak. Będzie w klubie „Split Personality” w Atlancie. Pojutrze o jedenastej wieczór.

— To znaczy we środę?

— Zgadza się. Jakież problemy?

— Żadnych. Delektuj się dalej.

— Nie mieszkam — powiedział i rozłączył się.

Wykręcił kolejny numer, tym razem na zwykłym aparacie, i rzucił słuchawkę:

— Zarezerwuj mi miejsce na najbliższy lot do San Diego.

## WODNE DZIECI

Porter Cykor siedział przy ulubionym stoliku w zacisznym kącie „Queen's Pub” i obserwował zmagania dwunastu Tajlandczyków próbujących wypuścić olbrzymiego *chula*. Latawiec miał co najmniej sześć stóp długości nie licząc ogona i sprawiał zawodnikom sporo kłopotu. Po przeciwnej stronie polany w parku Sanam Luang kilka innych *pakpao* prowadzonych wprawnyh rękami zawodników zdołało wzbić się w powietrze i rozpocząć taneczne ewolucje. *Pakpao* były mniejsze, zwrotniejsze i zwykle obsługiwane przez jednego zawodnika. Ci, których latawce unosiły się już w powietrzu, nie szczędzili dobrodusznych docinków załodze *chula*.

W końcu *chula* złapał wiatr i poszybował zygzakiem w górę. Był to sygnał do ataku dla *pakpao*. Ten, który szczęśliwie ominie potężny ogon *chula* i pierwszy znajdzie się nad jego miejscem startu, zwycięży w zawodach. Pierwszy *pakpao* ruszył do ataku. Mimo że był zwinniejszy niż kolos *chula*, nie sprostął olbrzymowi, którym wprawnie manewrowało aż dwunastu ludzi. Nagłe zetknięcie linek w powietrzu wybiło *pakpao* z rytmu i szarpnęło w bok. Latawiec stracił płynność ruchów, a zanim prowadzący go zawodnik wyrównał lot, potężny cios ogona dosięgnął *pakpao* i przypiecztował jego kłeskę. Rozległy się radosne okrzyki załogi *chula*, przeplatane docinkami pod adresem innych *pakpao*. Pechowy zawodnik zebrał pokiereszowany latawiec i opuścił plac gry z nosem na kwintę. Do walki ruszył inny *pakpao*, purpurowy z jasnoczerwonym ogonem.

— Sto na czerwonego — powiedział Porter do barmana, kładąc na stole banknot o nominale stu batów.

— Stoi — odparł barman imieniem Gus, przyjmując pięciodolarowy zakład.

Niski, muskularny zawodnik zaczął biec w stronę załogi *chula*, rozwijając żyłkę latawca z czerwonym ogonem. Zdobywał teren jak rasowy napastnik drużyny piłkarskiej, który do ostatniej chwili zwodzi obronę markując strzały i zmieniając kierunek ruchu. Purpurowa skrzynka z czerwonym ogonem bezbłędnie reagowała na zwody prowadzącego. Zanurkowała pod przelatującym ogonem *chula*, który musnął ją lekko, zachwiała się w strumieniu powietrza, wyprysnęła w górę i pomknęła do przodu, zanim potężny ogon *chula* zawrócił, by zadać ostateczny cios. Jasnoczerwony ogon *pakpao* powiewał dumnie nad pokonanym *chuta*.

— Tak trzeba! Na sportowo! — zawołał radośnie Porter do barmana i z

nie ukrywaną dumą powiedział: — Odlicz od rachunku, Gus.

Bardzo lubił pojedynki latawców. Nie znosił natomiast korków na ulicach. Wychodził z biura o czwartej trzydzieści, by odbyć milowy spacer do „Queen's Pub”. Miał tam swój stolik w kącie przy oknie z widokiem na Sanam Luang i na błyszczącą iglicę na szczycie Wat Sakhet. Stacjonował w Bangkoku od zakończenia wojny w Wietnamie. Polubił miasto, jego koloryt, mieszkańców oraz ich stosunek do życia, który zawierał się w ulubionym powiedzeniu: *Mai pen rai* — nic nie szkodzi. Był bliskim przyjacielem Buffalo Billa Cody'ego. Uchodził za przykładowego i szanowanego bostończyka, aż do pewnego dnia 1968 roku, kiedy to rzucił posadę zastępcy dyrektora banku i przyjął propozycję Cody'ego. Zaciągnął się do wojska. Trafił do sztabu Buffalo Billa w Wietnamie z mocnym postanowieniem, by cel i sens istnienia odnaleźć tam, dokąd inni bali się pójść.

Był to zdumiewający zwrot w jego karierze, gdyż nie dość, że porzucił pracę, to spalił za sobą wszystkie mosty. Prezesowi banku niedwuznacznie zasugerował, gdzie może sobie wsadzić swoje uwagi na temat niespodziewanego odejścia podwładnego. Reakcję przerażonej połowicy skwitował w podobny sposób, z tym że nieco staranniej dobrał słowa pożegnania. Po dziesięciu ogłupiających latach, strawionych na analizie dziennych obrotów banku, odrzucaniu wniosków o pożyczkę i zamykaniu kont pechowcom, którzy przekroczyli limit karty kredytowej i nie wywiązali się z obowiązku spłaty w terminie — Sajgon był dlań jak powiew wiosny. Gdy wojna dogasała, Buffalo Bill załatwił mu stanowisko konsultanta do spraw wywiadu w ambasadzie w Bangkoku. Ostatni raz Porter odwiedził Stany dziesięć lat temu.

Mimo że dobiegał pięćdziesiątki, był w znakomitej formie, regularnie grał w squasha, zapuścił sumiaste wąsy i woskował je codziennie. Bez trudu nauczył się języka i zwyczajów Tajlandii. Nie stracił uwielbienia dla Buffalo Billa, a zleconą mu przez starego nie zobowiązującą obserwację Wol Potą traktował jako osobiste wyróżnienie.

Chociaż nie odbył wszechstronnego przeszkolenia w wywiadzie, nie miał większych kłopotów z obserwacją Tajlandczyka, który jednak zaczynał działać mu na nerwy. Od pierwszej rozmowy w sprawie Murpha Cody'ego Wol Pot dwukrotnie zmienił adres, stał się nerwowy i najwyraźniej czegoś się bał. Czyżby próbował go wymanewrować? Ale skoro tak, to skąd wiedział o Codym? Dlaczego zwrócił się do niego osobiście i dlaczego nie zgodził się na areszt prewencyjny w ambasadzie USA? Było jasne, że Tajlandczyk nie ufał nikomu.

Porter obserwował pojedynki latawców do zachodu słońca. Ognista kula

powoli chowała się za Wat Sakhet. Iglica przez chwilę lśniła mocnym złotym blaskiem na tle szkarłatnego nieba, po czym słońce schowało się za górę. Nad Bangkokiem zapadła noc, rozświetlana neonami i reflektorami samochodów. Turyści wylegli gromadnie z pokoi hotelowych i ruszyli na poszukiwania nocnych rozkoszy egzotycznego miasta. Porter zapłacił i wyszedł z pubu. Szybkim krokiem przeszedł kilka przecznic dzielących go od parku Bho Fhat i rozpoczął obserwację świątyni Sakhet, siadając na dobrze znanej ławeczce osłoniętej krzakiem jaśminu.

Nie ulegało wątpliwości, że Wol Pot naprawdę czegoś się bał. Od pierwszego kontaktu zachowywał się jak spłoszony zając na obcej łące. Mimo to Porter zorientował się w luźnym rozkładzie dnia Wol Pota. Kiedyś śledził go w dzielnicy rozrywki na ulicy Patpong i doszli do chińskiej dzielnicy Yawaraj. Okazało się, że Wol Pot jest smakoszem ostrej chińskiej kuchni. Dwa dni temu wyszedł z mieszkania i zniknął. Porter wpadł w panikę. Mały tajlandzki wazeliniarz był jedyną osobą, która mogła doprowadzić go do Murpha Cody'ego, o ile ten jeszcze żyje. Uruchomił sieć informatorów i rozpytywał wśród przyjaciół, niestety bezskutecznie. Odebrał kilka sygnałów, ale wszystkie prowadziły do martwego punktu.

Szczyście uśmiechnęło się do niego w dość nieoczekiwany sposób. Za przyjaźniony duchowny usłyszał, że Porter szuka Pota.

— Nie wiem, czy to się do czegoś przyda, ale pewien mężczyzna, już niemłody, wstąpił do Wat Sakhet. Zauważono, że co wieczór opuszcza teren klasztoru.

Było to dość dziwne, zważywszy surowy rygor Sakhet, któremu wstępujący poddawali się dobrowolnie.

— Kiedy wstąpił? — zapytał Porter.

— Dwa dni temu. Właśnie dlatego zauważono jego dziwne obyczaje — odparł duchowny.

— *Khob khun krap* — Porter podziękował kapłanowi i zapytał:

— Czy mógłbym prosić o niewyciąganie konsekwencji w stosunku do niego, dopóki go nie sprawdzę?

Duchowny zgodził się. Porter przypuszczał trochę na wyrost, że tajemniczy mnich okaże się Wol Potem, i jego prośba miała być tylko zasłoną dymną. Znał dobrze wymagania stawiane neofitom przez buddyzm therawadyjski. Na ulicach Bangkoku można było spotkać setki *naen* w szafranowych habitach i z ogolonymi głowami. Spacerowali lub oddawali się medytacjom przy kapliczkach. Klasztory i świątynie była nieodłącznym elementem tajlandzkiego krajobrazu. Kiedy Porter przybył do Bangkoku, mnisi irytowali

go. Za bardzo mu przypominali znanych z amerykańskich ulic i lotnisk Hare Kriszna, którzy rozsiadali się tak gęsto, że trudno było ich ominąć. Nigdy nie próbował zgłębić, a tym bardziej udawać, że rozumie tajniki religii Dalekiego Wschodu, jednak stopniowo przyzwyczał się do obecności mnichów na ulicach, a nawet zaczął podziwiać ich jako świętych mężów.

W porze deszczowej, która zaczynała się późnym latem i trwała do wczesnej jesieni, klasztory zaludniały się tysiącami młodych mężczyzn, którzy zgodnie z tradycją próbowali życia we wspólnocie. Przebywając tam od dwóch tygodni do sześciu miesięcy, żyli w całkowitej ascezie, wolni od wszelkich dóbr materialnych. Mieli obowiązek przestrzegać dwustu dwudziestu siedmiu surowych reguł zakonnych, które zakazywały kłamstwa, próżnych rozmów, seksu, alkoholu, środków odurzających, zbytku i frywolnych rozrywek. Ich dobytek składał się z cienkiej szafranowej szaty i mosiężnej miski na jałmużnę. Reguła zezwalała na dwa posiłki dziennie, wybrane albo darowane z dobrego serca. Pobyt w klasztorze był całkowicie dobrowolny i trwał tak długo jak powołanie nowicjusza, który mógł odejść w każdej chwili. Jednak przebywając w społeczności mnichów należało ściśle przestrzegać reguł życia klasztornego. Po południu nowicjusze modlili się i medytowali w sanktuariach. O zachodzie słońca wszyscy udawali się na spoczynek. Wstawali przed świtem i z mosiężnymi miskami wychodzili na ulice, by wymodlić lub wybrać pierwszy posiłek.

Zważywszy że cele pozostawały otwarte przez cały czas, a mnisi mogli swobodnie komunikować się ze sobą i przemieszczać się, miejsce to było idealną kryjówką, zwłaszcza obecnie, gdy wielu nowych wstąpiło do klasztoru.

Porter wybrał stały punkt obserwacyjny opodal świątyni i spoglądając na złotą kopułę, czekał. Rzeczywiście, tuż po zachodzie słońca mnich w żółtej szacie wysliznął się ze świątyni i ruszył w stronę dworca kolejowego Hua. Porter śledził go. Na stacji mnich wyjął ubranie ze schowka i zniknął w toalecie. Gdy wyszedł przebrany w europejski garnitur, Porter od razu rozpoznał Wol Potą. Tajlandczyk przywołał taksówkę i udał się do chińskiej dzielnicy Yawaraj. Zaspokoił głód w niepozornej restauracyjce i ruszył piechotą do Klong Phadung, jednego z kanałów odchodzących od rzeki Mae Nam Chao Phraya w zachodniej części miasta. Po krótkim targu uzgodnił cenę z nastoletnią prostytutką, jedną z tysięcy „wodnych dzieci”, świadczących usługi na *hang yao* — długich wąskich łodziach z bambusową nadbudówką, kołyszących się łagodnie na wodzie. Godzinę później opuścił łódź, wrócił na

stację, przebrał się w żółtą szatę i zameldował w świątyni jeszcze przed północą.

Porter śledził Wol Pota od kilku dni i rytuał obserwowanego zaczynał go nudzić. Opuszczał posterunek dopiero wtedy, gdy upewnił się, że Tajlandczyk jest bezpieczny w świątyni.

Tej nocy Porter był trochę zdenerwowany. Miał przekazać obiekt człowiekowi nazwiskiem Hatcher. Nie był pewien, w jakim stopniu może mu zaufać, gdyż przysłał go Sloan, którego nie darzył zbyt dużą sympatią. Z równą niechęcią odnosił się do jego metody wojny cieni, łamania wszelkich reguł i nieustannego wykraczania daleko poza sferę regularnych działań. Jednak Sloan nieodwołalnie przejmował sprawę, a skoro Hatcher jeszcze się nie zjawiał, trzeba w dalszym ciągu obserwować Tajlandczyka i zapobiec jego ewentualnemu zniknięciu w mroku nocy, tym razem na dobre.

Jeśli Pot wyjdzie dziś ze świątyni, to uczyni to jak zwykle po zachodzie słońca. Porter zapalił papierosa i czekał.

Ulica była spokojna. Wokół świątyni nie było wielkiego ruchu. Porter wciąż miał w uszach zgiełk centrum miasta. Do kapliczki na ścianie Wat Sakhet podeszła starsza kobieta. Położyła jaśminowy wieniec przy klęczniku, wetknęła w ziemię kilka długich kadzidełek i zapaliła je. Złożyła ręce i przez kilka minut kiwała się w przód i w tył, zaklinając dobre duchy. Porter zastanawiał się, o co kobieta prosi bóstwa. O zdrowego wnuka? Może o dobre zbiory maku albo wygraną na loterii?

Rozmyślenia przerwało pojawienie się Wol Pota. Boczne drzwi świątyni uchyliły się na tyle, że przemknął on cicho, i natychmiast się zamknęły. Porter zgasił papierosa i obserwował Tajlandczyka, który stanął w cieniu i rozglądał się jakby czymś zaniepokojony. Upewniwszy się, że nie ma niebezpieczeństwa, ruszył w stronę dworca. Porter podążył za nim w odpowiedniej odległości, nie chcąc wzbudzić podejrzeń obserwowanego. Pochłonięty śledzeniem Tajlandczyka nie zauważył dwóch ludzi, którzy także ruszyli za obiektem.

Dwaj żyłaści Chińczycy średniego wzrostu, w charakterystycznych czarnych bluzach ze stójką i czarnych spodniach, podążali za Wol Potem na dworzec, odczekali, aż się przebrał, i ruszyli za jego taksówką do Yawaraj. Tajlandczyk wysiadł przy Worachak, głównej ulicy dzielnicy chińskiej. Skręcił w zatłoczony przesmyk. Chińczycy rozdzielili się i szli po przeciwnych stronach. Pot kluczył jakiś czas. Zanim wszedł do małej restauracji przy ulicy Bowrong, para śledzących zorientowała się, że Tajlandczyk ma jeszcze jednego ogona w osobie Portera.



Młodszy Chińczyk miał około dwudziestu lat, długie włosy i rzadki wąsik. Starszy, o pokancerowanej twarzy, był wyraźnie zdenerwowany. Głęboka blizna przecinała mu prawą brew i schodziła aż do policzka pod skaleczonym okiem. On był tu szefem i pierwszy zauważył Portera. Szybko skojarzył, że to ten sam krzepki Amerykanin, którego widział przed dworcem, a potem wysiadającego z taksówki za Wol Potem. Szturchnął towarzysza i nieznacznym ruchem podbródka wskazał na Portera, który udając, że ogląda wystawę, studiował wnętrze restauracji. Kiedy Pot usiadł przy stoliku. Porter wszedł do sklepika naprzeciwko, znalazł miejsce przy oknie, zamówił porcję chińskich klusek i jedząc obserwował ukradkiem Tajlandczyka.

Amerykanin wydał się Chińczykom nie mniej interesujący niż Wol Pot. Rozdzielili się ponownie. Młody przejął Portera, a Przecięta Brew Wol Pota. Nie znali tras nocnych wędrówek Tajlandczyka, gdyż rozpoczęli obserwację dopiero przed kilkoma godzinami. Przecięta Brew uznał, że obiekt, który znika bez śladu tylko po to, by przez zwykłą bezmyślność dać się namierzyć w chińskiej dzielnicy, gdzie każdy rozpozna obcego, nie zasługuje nawet na odrobinę szacunku. W dodatku wyglądało na to, że Amerykanin również go namierzył i rozszyfrował. W gruncie rzeczy, chociaż Pot sprawiał wrażenie wielkiego spryciarza, był beznadziejnie lekkomyślny. Po posiłku, prowadząc miniwycieczkę, pojechał nad kanał.

Wyjął czerwony banknot stubatowy i uniósł go nad czołem. Dziewczyna zauważyła pieniądze, zmrużyła oczy i pokręciła przecząco głową. Pot wyglądał na zaskoczonego. Zapewne sądził, że jego oferta jest godna uwagi. Wyjął purpurowy banknot o nominale pięciuset batów i pokazał dziewczynie. Ta zamyśliła się, rozłożyła ręce i ponownie je złączyła. Po chwili zastanowienia Pot uniósł oba banknoty. Dziewczyna skinęła głową. Umowa została zawarta.

Porter obserwował, jak Wol Pot przeszedł przez dwie łodzie do *hang yao* nowo poznanej prostytutki, zamienił z nią kilka słów, po czym „wodne dziecko” wzięło banknoty i zaprowadziło klienta do nadbudówki na rufie.

O ile nie zmienił zwyczajów i był w formie, zabawi około pół godziny. Porter nie zwrócił uwagi na *hang yao*, która podpłynęła prawie bezszelestnie i stanęła dwa miejsca dalej. Sternik przeszedł na dziób i przycumował do innej łodzi. Wkroczył na pokład i zaczął się targować z właścicielką. Wsunął jej pieniądze w dłoń i ruchem głowy wskazał pływający burdelik z Wol Potem. Porter wyczuł, że coś jest nie w porządku. Ruszył do łodzi potrącając młodego Chińczyka, który szedł z przeciwka. Wskoczył na pokład i podążył za sternikiem. Zaskoczony szybkim i niespodziewanym ruchem Amerykanina

młody dopiero po chwili zorientował się, co się święci, i ruszył za nim.

W nadbudówce seans właśnie się rozpoczął. Dziewczyna zdjęła Potowi spodnie i koszulę, po czym rozpięła bluzkę. Przysunęła się dotykając nabrzmiałymi sutkami piersi Tajlandczyka. Podniecała go ocierając się o jego brzuch i masując członek. Gdy stwardniał, położyła dłoń na piersi klienta i zaprosiła, by się położył na słomianym materacu. Oddając się rozkoszy Pot nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje dwadzieścia stóp od niego. Nie poczuł także, jak *hang yao* zakoiła się, gdy Przecięta Brew wszedł na pokład.

Porter przeskoczył na drugą łódź, w chwili gdy Chińczyk stawiał stopę na *hang yao* Pota.

— Hej, ty! — krzyknął rzucając się w stronę Przeciętej Brwi.

Chińczyk odwrócił się. Uszkodzone oko błysnęło wściekle w zniekształconym oczodole. Błyskawicznie sięgnął do przepastnego rękawa i rzucił się na Portera. W tej samej chwili Amerykanin zobaczył błysk sztyletu.

— Jezu! — wrzasnął i uskoczył. Poczul, jak ostrze ześliznęło się po koszuli. Chwycił ramię atakującego, szarpnął i wykręcił nadgarstek.

Przecięta Brew stracił równowagę. Sztylet wypadł mu z ręki na pokład, a Chińczyk przekoziółkował w powietrzu i spadł plecami do wody.

W tej samej chwili Porter poczuł, jak lodowata stal wbiła mu się głęboko w ciało w okolicy krzyża. Odwrócił się i stanął oko w oko z młodym Chińczykiem. Jego ręka wyprysnęła zadając kolejny cios. Porter zdołał odsunąć się nieco i ostrze ześliznęło się po żebrach. Za jego plecami Przecięta Brew wynurzył się z wody i jednym skokiem znalazł się z powrotem w łodzi. Chwycił sztylet leżący na pokładzie i ruszył na Portera, który zajęty młodszym nie zauważył przeciwnika za plecami.

Potężny cios trafił młodego w nos miażdżąc chrząstkę. Chińczyk krzyknął z bólu. Porter poprawił kolanem w krocze. Napastnik zgął się w pół i opadł na kolana. Tymczasem Przecięta Brew bez zbytejnego pośpiechu wbił Porterowi sztylet w kręgosłup u nasady szyi. Ostrze przebiło nerw. Amerykanin został sparaliżowany.

Po ciosie obrócił się w stronę Chińczyka. Ramiona zwisły mu bezwładnie po bokach, niezdolne do ataku i obrony. Przecięta Brew uderzył ponownie, wbijając sztylet aż po rękojeść. Masywny Amerykanin poczuł się bardzo mały. Miał świadomość, że coś wchodzi w jego ciało i kieruje się w górę. Poczul, jak serce wybucha. Przewrócił oczami. Chińczyk wyciągnął sztylet

i pchnął Portera w pierś. Wielkie ciało bezwładnie osunęło się do wody.

Pot usłyszał szamotaninę i krzyki kobiet. Poczul także gwałtowne kołysanie łodzią. Strach poraził jego ciało niczym prąd. Tajlandczyk zerwał się; chwytając spodnie usłyszał głośny plusk. Na czworakach dotarł do drzwi nadbudówki i wyjrzał ostrożnie. Zobaczył, jak młody Chińczyk wbija nóż w plecy Portera, potem Przeciętą Brew wynurzającego się z wody i pakującego sztylet w kark Amerykanina, który osuwa się do rzeki. Stary Chińczyk odwrócił się do Wol Pota. Jedyne oko błysnęło groźnie.

Przerażony Pot zakręcił się w miejscu i stoczył za burtę *hang yao*.

Przypadkowi przechodnie na brzegu nawet nie zdążyli dobrze się przyjrzeć rozwojowi wydarzeń na łodziach. Tu i ówdzie rozległy się krzyki. Przecięta Brew zdał sobie sprawę, że Tajlandczyk znowu mu uciekł. Chwycił młodego za bluzę i pociągnął do nadbudówki na łodzi, którą przypłynął. Sam zaś zawrócił do *hang yao* z młodą prostytutką.

Wepchnął ją do kabiny, przystawił sztylet do gardła i wysyczał:

— Gdzie mieszka?

Przerażona nie mogła wykrztusić słowa. Poruszyła przecząco głową.

— Gdzie jest Tajski Koń?

— Kk-to? — wyjąkała.

Napastnik zorientował się, że dziewczyna nic nie wie.

— Jeśli pójdziesz na policję, wrócę tu i tak ci usłuchnię buzię, że będziesz wyglądała jak własna prababka — powiedział pokazując sztylet.

Wyskoczył na pokład i zniknął w ciemnościach.

## PANIENKA

Siedząc w pokoju obserwacyjnym Hatcher przyglądał się myśliwcom Marynarki Wojennej. Przecinały niebo nad Pacyfikiem niczym srebrzyste ważki i podchodziły do lądowania. F-16 podszedł do lądowania. Jego kadłub załśnił w porannym słońcu. Pilot wyrównał i opadł na ziemię. Koła wysunęły się gładko na chwilę przed zetknięciem z pasem startowym. Opony zapiszczały na betonie.

Srebrny bolid przetoczył się jeszcze kilka metrów i stanął na wyznaczonym polu. Z kokpitu wynurzył się pilot. Był drobny, wręcz filigranowy. Hełm, uprzęż, maywestka, jak również masywny szef mechaników, który wyrósł przy nim jak wieżowiec — wszystko to sprawiało, że wydawał się

jeszcze mniejszy. Zszedł na ziemię i zamienił kilka słów z mechanikiem, po czym razem obeszli samolot wskazując na przemian różne części myśliwca. Pilot wyglądał i zachowywał się jak całkowite przeciwieństwo drugiego bocznego z klucza Cody'ego, Hugh'a Frasera, z którym Hatcher rozmawiał poprzedniego wieczoru w Seattle. W czasie kontroli po lądowaniu mały jakby chciał udowodnić wszystkim, że niedostatki budowy i postury można bez trudu zrekompensować wulkaniczną energią i żywym usposobieniem. Główny mechanik szedł za przełożonym robiąc o połowę mniej kroków i skwapliwie potakując po każdym usłyszanym zdaniu.

Wiedząc, że przekazanie maszyny potrwa co najmniej piętnaście minut, Hatcher zostawił wiadomość u oficera dyżurnego, opuścił budynek i skierował się do kasyna oficcerskiego gładką alejką wśród starannie przystrzyżonych trawników. Zatrzymał się przed drzwiami sali klubowej. Był tu już raz, osiemnaście lat temu. Nic się nie zmieniło. Nawet stoliki stały tak samo jak wówczas. Dębowa boazeria połyskiwała nieśmiało. Ten sam cytrynowy zapach, ten sam wosk na podłodze. Na ścianach rząd portretów tych, którzy tu służyli i odeszli. Świeże, starannie ogolone twarze, krótkie włosy i jasne spojrzenia młodych oczu śmiało patrzących w przyszłość. Niewinne, trochę dziecinne uśmiechy do wieczności. Białe mundury. Nic się nie zmieniło we flocie. Niejeden zwabiony jej urokiem znajdował tu bezpieczne schronienie – w dużej mierze dzięki tradycji, która nie pozwalała zmienić nawet odświeżaczy powietrza. Sala nie wzbudzała w Hatcherze miłych wspomnień. Spochmurniał, gdy przed oczami zamajaczył mu obraz tamtego wieczoru w pomieszczeniu, które za kilka godzin ożyje rozmowami, dowcipami, piosenkami i brzękiem pełnego szkła w toastach: „Za flotę!”

Kroki Hachera zabrzmiały głucho na parkiecie w pustej sali. Jak na ironię, duch Murpha Cody'ego sprowadził go do miejsca, gdzie przyjaźń, która przetrwała zgryzoty i szyderstwo, dobre i złe dni, wiążąc mocno dwóch ludzi, skończyła się nagle i brutalnie. Właśnie w tym pomieszczeniu Cody przeciął wszelkie więzy jak brzytwą.

Hatcher przyszedł na przyjęcie podniecony oczekiwaniem. Spodziewał się, że po roku niewidzenia spotkanie będzie ciepłe, serdeczne i huczne jak zjazd rodzinny.

Spotkała go zniewaga i upokorzenie. Cody zachował się tak, że w innych czasach skończyłoby się to rzuceniem rękawicy w twarz, wyborem sekundantów i spotkaniem na leśnej dróżce o świcie. Hatcher nie zapomniał zimnych słów wypowiedzianych pod jego adresem wolno i z pogardą. Obecni przerwali rozmowy, gdy Cody podał mu kieliszek szampana i wzniósł

szyderczy toast. „Za sierściucha, który sierściuchem zostanie. Za sierściucha, którego flota wykarmiła, ubrała i wyszkoliła, a który teraz odwraca się do niej plecami. Za sierściucha, którego kiedyś nazywałem przyjacielem, a który teraz ucieka, bo zaczęła się wojna. Za tchórza” — powiedział. Wylał swój szampan na bar, odwrócił się i wyszedł. Zobowiązany do milczenia przysięgą Brygady Cieni Hatcher nie odrzekł ani słowa. Obecni na sali odprowadzili Cody'ego wzrokiem.

Ponure wspomnienie z miejsca, gdzie bohaterowie zwykle odpoczywają po walce i gawędzą przy kieliszku.

— Jestem komandor Schwartz. To pan mnie szuka?

Hatcher odwrócił się. Z bliska Schwartz wydawał się jeszcze mniejszy. Mówił szybko, ze specyficznym *staccato*, robiąc osobliwe pauzy w najmniej oczekiwanych miejscach i akcentując niewłaściwe sylaby, jak ktoś, kto próbuje zatuszować chorobliwe jąkanie. Hełm i gogle odcisnęły się na twarzy, a krótko przystrzyżone włosy przypominały czepek z bibuły nasączonej atramentem. Schwartz nie wyglądał na szefa pilotażu jednej z wiodących baz marynarki. Bardziej przypominał ulizanego kujona z klasy maturalnej.

— Komandor Hatcher — skłamał Christian wyciągając rękę. — Z Komisji Weryfikacyjnej Marynarki Wojennej USA.

— Coś przeszkobałem? — zapytał Schwartz z pogodnym uśmiechem. Stanowił całkowite przeciwieństwo Simmonsa. O ile tamten przez cały czas był spięty i zdenerwowany, Schwartz wyglądał na zadowolonego z życia i gwizdającego na wszystko, co go bezpośrednio nie dotyczyło.

— Znowu parę spraw z dawnych lat znalazło się na tapecie — szepnął Hatcher. — Wie pan, jak to jest we flocie.

— Chyba powinienem po osiemnastu latach służby — odparł Schwartz.

— Czy moglibyśmy załatwić to przy jakiejś przekąsce? Umieram z głodu.

Zamówili piwo i hamburgery. Schwartz zapytał:

— Chodzi o An Khe, Hanoi czy Cody'ego?

— Widzę, że jest z czego wybierać.

— Zestrzelono mnie pod An Khe. Byłem jeńcem wojennym w Hanoi przez cztery lata, no i byłem bocznym Cody'ego. Odpowiedziałem chyba na milion pytań w każdej sprawie.

— Tym razem chodzi o Cody'ego.

— Niech pan posłucha. Wiem, że nie jest pan z komisji. Hugh Fraser dzwonił do mnie wieczorem. Sprawdził kilka szczegółów w Waszyngtonie

zaraz po rozmowie z panem. Dla Marynarki Wojennej sprawa Cody'ego jest definitywnie zamknięta. O panu nigdy tam nie słyszeli. — Zanim Hatcher zdołał cokolwiek wyjaśnić, podniósł dłoń i mówił dalej: — Nie rozumiem, dlaczego faceci z bezpieczeństwa wzięli to znów na warsztat. Wszystko, co miałem do powiedzenia, jest w raportach, więc o co naprawdę chodzi?

Hatcher uznał, że trzeba zaspokoić ciekawość komandora na tyle, by nie zniechęcił się do rozmowy.

— Prosiłbym, żeby to, co pan usłyszysz ode mnie, uznał za raczej poufne — powiedział trochę wymijająco, by zyskać czas na uporządkowanie myśli.

— To zależy — odparł czujnie Schwartz.

— Wie pan, że jego ojciec to Buffalo Bill Cody?

— Naturalnie.

— Generał ma raka. Na prośbę starego choroba utrzymywana jest w tajemnicy. Przeciek byłby niewskazany, przynajmniej na razie.

— Ile mu zostało? — zapytał Schwartz. Był wyraźnie zaskoczony i zasmucony hiobową wieścią.

— W najlepszym razie pół roku.

— Cholera jasna!

— Rzecz w tym, że generał nie pogodził się do końca ze śmiercią syna. Dlatego też zwrócono się do mnie z prośbą o definitywne sprawdzenie. Coś w rodzaju ostatniej posługi. Wykonywałem dla niego robotę wywiadowczą w Wietnamie.

— Co chciałby pan wiedzieć?

— Interesuje mnie Murph jako człowiek. Lubił go pan?

O ile Harley Simmons i Hugh Fraser wypowiadali się niezbyt chętnie, o tyle Schwartzowi usta prawie się nie zamykały. Rozgadał się niczym odtwarzacz, w którym niechcący wciśnięto klawisz „start”.

— Jasne, że lubiłem — zaczął, ale przerwał rozważając dokładnie pytanie. — Chociaż w zasadzie trzeba na to spojrzeć z innej strony. Słowo „lubić” w tradycyjnym znaczeniu niezbyt tu pasuje. To nie był, jak się mówi, brat łata, jeśli pan wie, co mam na myśli. Był raczej...

— Na dystans?

— Właśnie. Trafne określenie.

— Hugh Fraser niedwuznacznie sugerował, że Cody to typ maniaka samobójcy, rozkochanego do szaleństwa w wojnie, który uwielbia prowadzić podkomendnych na pewną śmierć.

— Cóż, Fraser zawsze był przykry. A po wypadku zrobił się strasznie zgryźliwy.

— Po jakim wypadku?

— Schodził do lądowania na „Forrestalu” i zapalił się. Był nisko. Katalpował się i uszkodził kręgosłup. Zawsze chciał służyć na lotniskowcu i prosił, jaka złośliwość losu.

— Faktycznie. Ale sprawa z Codym była o wiele wcześniej.

— Widzi pan, Fraser był jak dżyggit. Całe życie śnił o morzu i lotniskowcach, nic dziwnego, że służba w zamulałej flotylli nie leżała mu od samego początku. Inaczej sobie wyobrażał służbę przez duże „S”.

— Zamulała flotylla? — Hatcher pierwszy raz słyszał to określenie.

— Tak nazywali naszą jednostkę. Byliśmy jedynym dywizjonem lotniczym Marynarki Wojennej działającym z lądu. Dawaliśmy wsparcie Rzecznym Siłom Patrolowym, lataliśmy w osłonie konwojów. Taka babranina w bloku. Przede wszystkim jednak wspomagaliśmy jednostki szturmowe na lądzie. Rzeczywiście mieliśmy duże straty. Ale nazywać nas samobójcami? Nie, nigdy. Kompletna bzdura. — Schwartz zamyślił się na chwilę. — Wie pan co? To wyglądało tak, jakby Cody nie chciał się zbliżyć do nikogo. Nie miał swoich faworytów, nikt nie miał u niego forów. Jednostka Cody'ego naprawdę wykonywała najgorszą i najbrudniejszą robotę, a w dodatku wciąż miała zajęcie. Nikt się tam nie rwał.

— Czy pan bał się, że tam trafi?

— Pewnie, że się bałem. Z tym tylko, że to był lęk przed nieznanym. Tyle o tym gadali, ale naprawdę nikt nie wiedział dokładnie.

— Rozumiem.

— Tak czy owak Murph Cody naprawdę nie oszczędzał ludzi. Ani siebie. Służba siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę, w każdych warunkach. Bez różnicy. Czasem wyglądało to tak, jakby chciał załatwić się z wojną sam i mieć to z głowy raz na zawsze. Im prędzej, tym lepiej. Proszę mnie dobrze zrozumieć — robił to co wszyscy, nie uznawał dekowania. Chyba zaliczył najwięcej lotów w pojedynkę.

Hatcher wrócił pamięcią do ubiegłego wieczoru, do spotkania w Seattle. Hugh Fraser, drugi boczny Cody'ego, miał o nim krańcowo różne zdanie. Początkowo nie chciał nawet rozmawiać z Hatcherem. W wypadku odniósł poważne obrażenia. Był kaleką. Chodził zgarbiony jak stary pokurcz. Odświeżacz do ust nie był w stanie zlikwidować kwaśnego zapachu alkoholu, a krople nie zatuszowały krwawych wybroczyn na białkach zmęczonych oczu. Nie chciał rozmawiać przez telefon, więc Hatcher postanowił zaczekać na niego na parkingu przed siedzibą dyrekcji linii czarterowej, której wiceprezesa był Fraser. Firma mieściła się w jednym z wielu niedużych budynków wokół międzynarodowego lotniska Seattle-Tacoma. Gdy Fraser wyszedł, Hatcherowi zrobiło się go żal. Wyglądał źle. Od wypadku bardzo się postarzał i stał się strasznie gderliwy. Rozmowę co pewien czas przerywał ryk

silników startujących jumbo jetów. Fraser kwitował każde pytanie zgryźliwym komentarzem.

— Czy chce pan posłuchać, co powiedział Fraser? — zapytał Hatcher Schwartz i uruchomił magnetofon.

Fraser: Mam dużo roboty. Pięć minut to chyba aż nadto.

Hatcher: Chciałbym pomówić z panem o Murphie.

Fraser: Nie dosłyszałem, kogo pan reprezentuje.

Hatcher: Komisję Weryfikacyjną Marynarki Wojennej. Chcielibyśmy...

Fraser: Cholerna flota.

Hatcher: ...zamknąć tę sprawę definitywnie.

Fraser: A w ogóle to istnieje coś, o czym mógłbym mówić, a czego jeszcze nie wiecie?

Hatcher: Widział pan jak, zestrzelili Cody'ego, czy to...

Fraser: Ile razy jeszcze mam wam o tym opowiadać!

Hatcher: Tylko ten jeden i zamykamy sprawę.

Fraser (*wzdycha*): Leciałem po jego lewej, pół mili z tyłu. Usłyszałem jego „Mayday” i zobaczyłem, jak go przekreśliło na plecy.

Hatcher: Mógł się uratować?

Fraser (*ironicznie*): Coś pan? Pół delty Mekongu paliło się jak diabli i ktoś miałby z tego wyjść?

Hatcher: W jednym raporcie czytałem, że całkiem możliwe... (*huk przelatującego samolotu*) iż wydostał się z wraka i uciekł do...

Fraser: Ten, kto to mówił, był albo pijany, albo nawiedzony.

Hatcher: Jak pan go ocenia jako oficera i dowódcę?

Fraser: Supertrep, co chce zaszpanować przed ojczulkiem. On kochał wojnę. Typowy oficerek tylko do awansu. Chyba wyszał to z mlekiem matki. Miał w dupie wszystko i wszystkich... Oprócz kariery.

Hatcher: Zatem... (*resztę kwestii zagłuszył kolejny samolot*)

Fraser: (*początek niesłyszalny*) ...regularny zupak. Oficerek z Annapolis. Tatuś gruba ryba. Nie pijał z chłopakami. Nigdy nie chciał być bliżej, zabawić się. Miał taką jedną panienkę. Istne cacko. Gładka skóra, piękne ząbki i te oczy, że aż chciało się w nich utopić. Służyła mu jak gejsza i niewolnica. Kiedy nie latał, pieprzył się z nią na okrągło. Godzinami nie wystawiał nosa z tego kopolodromu.

Hatcher: Dziwki nie były wtedy drogie. Za dychę można...

Fraser: Ale nie taką. To było bóstwo. Jakies piętnaście, góra szesnaście lat. Wpatrzona w niego. Traktował tę śmierdzącą żółtą wywłokę jak udzielną księżną, Boże, nawet jak własną żonę. Pieprzona wietnamska ździra.



Hatcher: Co się z nią stało?

Fraser: Jak go zestrzelili, wszyscy zaraz huzia do ataku na wolną dupę, ale nie chciała z innymi. Następnego dnia już jej nie było. Zniknęła. Rozwiąła się jak obłoczek (*pauza*). Słuchaj, ten skurwiol wykończył więcej ludzi w oddziale niż Wietkong.

Hatcher: Wykonując zadania?

Fraser: Są różne zadania i różne wykonania. Na mój gust to był stuprocentowy wariat. Stale krzyczał: „Niżej, aż zobaczycie, jak im się pocą jaja! Pokazać, co potraficie!” Chryste Panie, przecież myśmy prawie wlatywali im do tuneli (*pauza i ryk startującego samolotu*). Połowę maszyn zestrzeliła ich obrona. Z ziemi. Cholera ciężka, jasne, żeśmy lupnęli paru wietkongów, spalili parę łódek i dokumentnie rozpieprzyli parę wsi. Tylko że następnego dnia żółtki były tam z powrotem. Jak z kałużą. Wdepnąłeś, chlapnęło, ty masz mokro w butach, a ona dalej szczyrzy się na ciebie, jakbyś w ogóle jej nie ruszył. I tylko po to tyłu zginęło.

Hatcher: Niech pan nie przesadza. Nikt nie idzie na wojnę oczekując śniadania do łóżka i standardu „Holiday Inn”.

Fraser: Typowy trep po akademii. Takich obchodzi tylko elegancki wygląd w mundurze i dobra kartoteka, bo inaczej nie dochrapia się admirała przed emeryturą. Czy fatygowałby się pan tutaj, gdyby Cody nie był synem generała?

Hatcher (*po chwili*): Nie.

Wyłączył magnetofon.

— Jakkolwiek by patrzeć, każdy z nas po paru tygodniach w jednostce dostawał regularnego zajoba — stwierdził Schwartz. — Nie tylko oglądaliśmy spocone jaja żółtków. Z każdego lotu wracałem z kawałkiem ludzkiego ochłapa na kadłubie albo na skrzydle. Ale Hugh nie miał racji. Cody wcale się z tego nie cieszył. Zzerało go od środka, że dzień w dzień musi wysyłać ludzi. Zawsze wracało mniej, niż wyleciało. Dobrze wiedział, że piloci odrzutowców nie lubią babrać się w czystkach na niskim pułapie w starych de havillandach. To były dwusilnikowe rżęchy, przebrojone i wyładowane czym się da — gatlingi, szybkostrzelne dwudziestki na dziobie, cztery wielkokalibrowe kaemy i bomby kulkowe. To fakt, żeśmy przeorali tę pieprzoną deltę Mekongu wzdłuż i wszerz, i to kilka razy. Tylko że każdy wiedział, że ma pisaną kulę. Lataliśmy tak często, że na każdego przychodziła kolej, raczej prędzej niż później. Straty dochodziły do sześćdziesięciu pięciu procent — jedna trzecia to jeńcy wojenni albo zaginieni w akcji. Chyba trudno się dziwić, że do oddziału Cody'ego nie waliły tłumy.

Steward podał obiad. Schwartz zaatakował swojego hamburgera jak wygłodniały zwierz.

— Pod jednym względem Bozia był dla mnie łaskawy — powiedział z pełnymi ustami. — Mimo że wchłaniam aż tyle, to co prawda nie rosnę, ale też nie tyję. — Ugryzł następny kęs. — Fraser trochę mnie złości, ale rozumiem go. Wie pan, też mogłem zarobić cztery lata, ale jak mówię, miałem więcej szczęścia.

— Cóż za wielkoduszność — szepnął ochryple Hatcher.

— Samo życie — odparł Schwartz.

— Jak wyglądał ten dzień, kiedy Cody sprawił sobie kawałek ziemi? — zapytał chrapliwym szeptem Hatcher.

Schwartz nie musiał się długo zastanawiać. Mimo upływu lat widział tę scenę jasno i wyraźnie. Padało od rana, chmury wisiały nisko, a Cody chodził wściekły. Wietkong uaktywnił się w górnym biegu rzeki i piechociarze prosili o wsparcie. Poderwał maszyny, gdy tylko zaczęło się przejaśniać. Nie zdążył zrobić odprawy przed startem. Przekazał koordynaty, gdy byli już w powietrzu. Zrobili dwa wymiatania nad rzeką, zrzucając bomby kulkowe. Zawracali do trzeciego, gdy nagle usłyszał „Mayday” Cody’ego.

W pierwszej chwili wydawało się, że z de havillandem Murpha wszystko jest w porządku. Leciał pół mili z prawej. Nagle zakołysał się. Jedno skrzydło wygięło się i zaczęły odpadać kawałki poszycia. „Dostał z granatnika albo rakieta. Chryste, zaraz spadnie” — pomyślał Schwartz widząc, jak maszyna Cody’ego zaczęła tracić wysokość i schodziła coraz ostrzej w dół. Pochylił swojego grata i zrobił zasłonę ogniową przed dziobem trafionej maszyny. „Ciągnij, na Boga, ciągnij. To tylko pięćset jardów. Na drugim brzegu są przyjaciele. Jeszcze trochę, uda się, zobaczysz” — powtarzał do siebie siejąc z kaemów w dżunglę. Potem usłyszał: „... dam rady. Spadam...” Samolot obrócił się jak zwierzę w agonii i runął w dżunglę. Zielony dywan zafalował przed dziobem. Schwartz poderwał maszynę tuż nad wrakiem i wchodząc w ciasny skręt nad rzekę zobaczył hueya cobrę z ratownictwa, kierującą się do miejsca katastrofy. Wtedy dżungla eksplodowała. Z wraka wystrzelił gejzer płomieni. Fala ciepła zatrzęsła maszyną Schwartz’a. Wyrównał w skręcie chcąc zawrócić do wraka i usłyszał, jak pilot z hueya melduje: „Ratownik Jeden do Corkscrewa... Straciliśmy go...”

— ...W każdym razie przeleciałem tamtędy jeszcze raz. Zobaczyłem, że po wybuchu helikopter zawrócił — zakończył.

— Ile czasu po wybuchu? — zapytał Hatcher.

— Jak dla mnie, to jakieś pół numeru na chybcika.

— A dla niego? Mógł wyjść?

— Murph?

— Uhm.

Schwartz wzruszył ramionami.

— Chyba tak. Nie zgadzam się z Fraserem. To, że Cody mógł się wydo-  
stać, wcale nie jest aż tak absurdalne.

Hatcher spróbował zupy i zapytał:

— Jak przyjęła to jego dziewczyna?

— Z kamienną twarzą, jak gejsza. Niczego nie dała po sobie poznać.  
Pod tym względem Hugh też przesadził. Rzecz w tym, że Cody nie przepadał  
za Fraserem. A może tylko wyczuwał, że Hugh go nie lubi. Zresztą to bez  
różnicy, ale Cody nigdy go nie zapraszał do siebie.

— A pozostałych tak?

Schwartz przytaknął.

— Wpadałem do nich czasem. Ona podawała obiad. Świetnie przyrzą-  
dzała te wietnamskie specjały.

— Czy określenie „Tajski Koń” mówi coś panu? — zapytał Hatcher.

— Chodzi o heroinę?

— Czy może oznaczać coś innego?

— Nie sądzę. A co to ma wspólnego...?

— Czy Cody miał problemy z narkotykami?

Schwartz był zdumiony.

— Pan chyba żartuje. Cody? Przecież on nawet nie palił. Do czego pan  
zmierza?

— Nic takiego. Po prostu rozważam różne warianty.

Pytanie o Tajskiego Konia i narkotyki zaniepokoiło Schwartza. Zrobił się  
czujny.

Hatcher szybko zmienił temat.

— Proszę mi powiedzieć coś więcej o dziewczynie.

Schwartz zawahał się. Widocznie nie pozbył się jeszcze podejrzeń. Jed-  
nak szacunek i sympatia dla Cody'ego wzięły górę i po chwili rozluźnił się  
znowu.

— Wie pan, to może zabrzmie śmiesznie, ale wydaje mi się, że Murph  
kochał się w Pai.

— Pai?

— To jej imię. Zachowywał się tak, jakby był dumny, że z nim jest. Lu-  
bił się z nią pokazywać — powiedział Schwartz i nieoczekiwanie popadł w  
zadumę. Pociągnął łyk piwa i podjął: — Zestrzelili mnie trzy tygodnie póź-  
niej. Na północ od Binh Thuy. Przez pierwsze cztery, może pięć miesięcy  
siedziałem w obozach przejściowych. Przerzucali nas z miejsca na miejsce.  
W końcu znalazłem się w Hanoi. Chodziły słuchy o pewnym obozie w La-  
osie, który ciągle przenoszono ze względu na jakąś szychę.

— Jaką szychę?

— Po prostu szychę. Padały różne nazwiska. Nawet Westmorelanda

i Boba Hope'a. Ale plotki to plotki. Dopóki nie przenieśli nas na północ, słyszałem o nim prawie codziennie. Nazywali to Huie-kui — Obóz-Widmo. Pewnie dlatego, że ciągle znikał.

— Przenoszenie obozów z miejsca na miejsce to dość powszechna praktyka żółtków.

— Zgadza się. Przedtem nigdy nie przyszło mi to do głowy. Sądziłem, że Murph zginął. Ale teraz widzę, że mogli ich przerzucać właśnie ze względu na niego.

— Niech pan wyświadczy mi przysługę, komandorze, i zachowa treść tej rozmowy tylko dla siebie. Jeśli Cody żyje, chcę go odnaleźć.

Schwartz spojrział twardo w oczy Hachera i skinął głową.

— Niech pan to zrobi. Jest tego wart. Hatcher wrócił myślami do panielki Cody'ego.

— Podobała się panu jego dziewczyna?

— Czy mi się podobała? Natalie Wood to przy niej tłuste rypadło. — Przerwał na chwilę. — Chce pan zobaczyć jej zdjęcie? Mam je gdzieś w albumie.

W drodze powrotnej na lotnisko Hatcher czuł, że tętno znów mu przyspieszyło, a nerwy dostały od dawna wyczekiwaną porcję adrenaliny. Czterdzieści osiem godzin temu myślał, że Cody żyje, wydawała się kiepskim dowcipem z lamusa. Obecnie w jego umyśle zaświtały wątpliwości i kolejne pytania. Dawno temu, kiedy uczył się techniki prowadzenia śledztwa, Sloan powiedział: „Nie wierz w pisemne raporty. Ludzie zawsze chcą się dobrze zaprezentować na papierze”.

Zweryfikowanie tej teorii zajęło mu czterdzieści osiem godzin. Wynik potwierdził jej słuszność. Analizował osobowości trzech ludzi, z których każdy miał inne zdanie na temat Cody'ego, tego, co się wydarzyło pewnego dnia w delcie Mekongu, i roli, jaką wtedy mógł odegrać bądź odegrał.

Dla Schwartza Cody był niekwestionowanym bohaterem, który wykonywał brudną robotę; dla Frasera — szaleńcem rozmiłowanym w wojnie i zabijaniu; dla Simmonsa — głodnym wampirem z przeszłości, który zaciska lodowatą dłoń na jego gardle, a drugą wydziera serce. Fraser uważał, że Cody w żaden sposób nie mógł się wydostać z wraka, Schwartz dawał pięćdziesiąt procent szansy, Simmons widział postać wychodzącą z płomieni.

Poza tym Schwartz wspominał o obozie-widmie — Huie-kui. Czy możliwe, że Cody nie dał znaku życia, gdyż trafił do tego obozu? Czy był jeńcem przez cały czas? Jeśli tak, w jaki sposób wydostał się stamtąd?

Hatchera nurtowała jeszcze jedna wątpliwość. Skoro Murph Cody żyje, to w jaki sposób ten Tajlandczyk natknął się na jego nazwisko? Wol Pot na pewno zna odpowiedzi na wiele innych pytań.

Schwartz i Fraser zgadzali się co do jednego. Dziewczyna Cody'ego, Pai, była rzeczywiście wyjątkowa. Patrząc na ofiarowaną mu fotografię Hatcher nie mógł tego nie przyznać. Zdjęcie było barwne, trochę wyblakłe i miało pozaginane rogi. Cody stał przed bambusową chatą obejmując ramieniem niewysoką oliwkową piękność o oczach zagadkowo patrzących w obiektyw. Wyglądała jak podłotek, ale chociaż była drobna i miała ciało dorastającej pensjonarki, w oczach odbijały się doświadczenie i mądrość życiowa znacznie przekraczające jej wiek. Wpatrując się w te oczy Hatcher miał wrażenie, że mrugnęły doń porozumiewawczo. Schował zdjęcie do portfela i spojrzał na zegarek. Za dwanaście godzin będzie w Bangkoku.

Oczekiwał, że Porter Cykor wyjaśni wiele zagadek. Nie mógł nawet przypuszczać, że to płonna nadzieja. Właśnie w tej chwili, cztery tysiące mil stąd, ciało Portera pogrążyło się w mętną wodę Phadung Klong.

# KSIEGA DRUGA

*Porządnego faceta, który uważa, że ma rację, cholernie trudno jest powstrzymać.*

TEKSASKI RANGER

## BOCIAN

Długonogi bocian kroczył wśród tłumu, doskonale imitując ruchy ptaka. Dzięki szczudłom dziób surrealistycznego stwora unosił się ponad gromadą innych dziwadeł. Głowa w przód, kuper w tył. Kuper w przód, głowa w tył. Światła kolorowych reflektorów i lamp stroboskopowych tworzyły feerię błysków wokół żółtego korpusu. Na białej twarzy, pomalowanej w niebieskie pasy biegnące od czoła do brody, wyraźnie odcinały się usta przesadnie podkreślone żółtą szminką. Nad czołem falował niebieski czub. Obszerne pierzaste rękawy harmonizowały z obcisłym żółtym kostiumem. W żaden sposób nie można było rozróżnić płci stwora.

Wokół niego tłum nie mniej dziwacznych kreatur falował w rytm najnowszej przeboju Eurythmies. Muzyka grzmiała z kilkunastu monstrualnych kolumn rozstawionych po sali i przyczepionych do sufitu. Punktowe błyski stroboskopu przecinały mrok, godząc w przezroczystą taflę parkietu, pod którą potężny rekin pobudzony wibracją z góry zataczał nerwowo kręgi.

Doroczny bal kostiumowy w „Split Personality” ściągnął rzesze przebiezańców. Był to jeden z wiodących klubów środowiskowych w Atlancie — tak nazywano tam zwykle dyskoteki. Stojący na balkonie Hedritch i Spears podejrzliwie obserwowali zabawę. W kolorowym roztańczonym tłumie rzucali się w oczy, mimo że zdjęli krawaty i rozpięli kołnierzyki. Granatowe garnitury czyniły z nich nadzwyczaj osobliwe okazy wśród przebranych i zamaskowanych uczestników zabawy.

— Jezu, to przecież kompletny obłęd! — stwierdził Spears.

Miał sześć stóp z okładem, kwadratową szczękę i sylwetkę podtatusiałego zapaleńca windsurfingu. Jego partner Hedritch był odrobinę niższy i ciemnowłosy. Miał szyję jak opona gokarta i wielkie uszy. Naprawdę wielkie uszy.

— Trzeba odwołać imprezę — stwierdził wielkouchy patrząc na parkiet, gdzie nie można było nawet wściubić palca. — Możemy się nieźle wpieprzyć!

— Dobrze wiesz, że z Camponem to nie wchodzi w rachubę — odparł Spears. — Facet robi, co chce, i koniec.

— Za duże ryzyko. Nie damy rady — rzucił zdenerwowany Hedritch.

— Masz pietra? Kto by pomyślał. Wyglądasz na zawodowca — stwierdził Spears. — Dobra, chodź, przekazemy generałowi smutną wiadomość. Może tym razem będzie rozsądny.

— Może. Jak cholera.

Odwrócili się i przecisnęli przez tłum do wyjścia. Bocian obserwował ich cały czas.

Kolejka do wejścia zakręcała za róg budynku. Na wprost drzwi czekała czarna limuzyna. Hedritch i Spears wsiedli. W środku unosiła się słodkawa woń marihuany. Generał Hector Campon rozparł się wygodnie na tylnym siedzeniu. Miał na sobie granatowy mundur ze wstęgami i orderami. Trzy rzędy baretek lśniły na lewej piersi. Odznaczenia zadźwięczały cicho, gdy przebiegł po nich palcami. Drugą ręką zdjął wolno okulary i skinął wsiadającym.

— Słucham — powiedział z twardym hiszpańskim akcentem.

— Nie jest dobrze, generale — zaczął Hedritch. — Pełno różnych dziwadł na parkiecie. Nie słysząc własnych myśli. Scena i parkiet oświetlone stroboskopami od tyłu.

— Istny koszmar dla ochrony — dodał Spears.

— Nie rozśmieszajcie mnie — powiedział generał prostując się w fotelu.

— Wy, *caballeros*, powinniście mieć większe *cojones*.

Spears zmełł w ustach przekleństwo. Już nieraz słyszał tę obelgę. Campon umiał dopiec do żywego.

— Panie generale, tam naprawdę jest tłoczno. Mogą być trudności. Jeśli pan tam wejdzie, nie gwarantujemy niczego.

— Macie mnie chronić, a nie zanudzać problemami zawodowymi — uciął Campon. — Szofer! Drzwi!

Od ucieczki z Madalena przed trzema miesiącami ochrona generała składała się z sześciu osób. Spears i Hedritch byli trzecim z kolei zespołem pierwszego pierścienia obstawy. Generał znudził się Fortem Lauderdale po trzech tygodniach. W St. Louis wytrzymał dwa. Przez sześć tygodni przebywał w Chicago, a ostatnio dwa spędził na jachcie na jeziorze Lanier pięćdziesiąt mil od Atlanty. Częste zmiany lokum były podyktowane względami bezpieczeństwa. Ochrona osobista Campona składała się z czterech osobistych goryli plus dwóch Amerykanów. To stanowczo za mało, by zapewnić całkowite bezpieczeństwo rozwydrzonemu południowcowi. Nawet dwa tuziny ochroniarzy miałyby pełne ręce roboty.



— Sześciu do ochrony w szalejącym tłumie. Dobrze, nie ma co — burknął Spears, gdy Campon wysiadł i stanął wyprostowany jak struna przed limuzyną, czekając, aż świta ustawi się w ordynku. Miał ponad sześć stóp wzrostu i był doskonałym celem. Nawet amator nie mógł spudłować, jeśli celował w ordery.

Generał był porywczy. Jego gorąca krew wrzała szybciej niż woda. Sam prezydent patrzył krzywym okiem na kongresmanów niechętnych przyznać pomoc w wysokości pięćdziesięciu milionów dolarów, zapewniającą powrót do władzy generałowi obalonemu przez lewicowy rząd. Campon robił, co tylko mógł i lubił. Naciskał wpływowych polityków, dzwonił, dokądkolwiek chciał, i co wieczór urządzał istne piekło. Jego armia — a właściwie to, co z niej zostało — lizala rany i czyściła buty w sąsiedniej bananowej republice. Rozpuszczono fałszywe pogłoski o rzekomym miejscu pobytu Campona. FBI stanęło na wysokości zadania. Generał był to na Wyspach Bahama, to w Kanadzie, to na samotnym ranczo gdzieś na Dzikim Zachodzie.

Hedritch i Spears czasem czuli się jak dyżurni alfonsi. Organizowali panienki z nienaganną przeszłością. Rachunek zawsze opiewał na usługi plus dyskrecja. Jednak tego wieczoru zaszło coś, co stało w jaskrawej sprzeczności z regułami pracy ochroniarzy: publiczne pojawienie się w pełnej gali.

Mogli i powinni się tego spodziewać. Hedritch wysłał dwóch ludzi na rozpoznanie sceny i parkietu. Dwaj inni zajęli stanowiska na balkonie. Spears zajął się domem towarowym i dachami, a Hedritch rozgryzał kolejkę przed wejściem. Spears uznał, że jeśli zechcą dostać Campona tutaj, to go dostaną, i to bez trudu. Jedyna pociecha, że nie zauważyli, by ktoś ich śledził. To nieco zmniejszyło ryzyko. Ruszyli do wejścia.

— Nazwiska panów? — zapytał portier.

— Campon — odparł generał.

Bramkarz powędrował palcem w dół listy.

— Oczywiście, bardzo proszę, panie generale — powiedział i opuścił czerwoną linkę.

Przerazony Spears spojrzął na Hedritcha. Reszta świty przeszła przez bramkę.

— Dokonał rezerwacji? — zapytał zdumiony ochroniarz.

— Tak, proszę pana. Wczoraj — odparł beznamiętnie portier.

— Kurwa mać — warknął Hedritch i ruszył za generałem. Dopadli go ze Spearsem, gdy zaczął schodzić na nieduży parkiet otoczony stolikami.

— Proszę wejść na górę, generale — powiedział Hedritch błagalnym szeptem. — Stamtąd lepiej widać i będzie nam łatwiej zapewnić ochronę.

— Ale tu się coś dzieje — odburknął Campon i ruszył na parkiet z czterema goryłami.

Chcąc nie chcąc Amerykanie podążyli za nim, rzucając nerwowe spojrzenia na boki. Generał podszedł do krawędzi parkietu i stanął wpatrując się w rozbawiony tłum. Był wymarzonym celem dla snajpera.

— Ale burdel! Trzeba by mieć żyroskop zamiast szyi — krzyknął Spears Hedritchowi do ucha.

Generał ogładał tańczących. Jego wzrok zatrzymał się na pękatej żyrafie. Masywny biust nieomal wylewał się z kostiumu. Za żyrafą po przeciwnej stronie jakiś bocian rytmicznie wykonywał rachityczny taniec. Rozpostarł opierzone ramiona i w rytm muzyki kręcił się wokół własnej osi. Campon zaśmiał się i zaczął bić brawo bocianowi oświetlonemu jedynie błyskami lampy stroboskopowej.

Gdy bocian wykonał wolny obrót, czujne oczy zlustrowały salę i świątę generała. Dwóch na parkiecie i dwóch na balkonie. Ptasi strój tak bardzo rzucał się w oczy, że ochrona zignorowała go całkowicie.

Campon klasnął w dłonie i wybuchnął śmiechem. Był to ostatni dźwięk, jaki wydał w życiu.

Falujące łagodnie pióra bociana stanowiły znakomitą osłonę dla miniuzi z tłumikiem. Pistolet maszynowy z magazynkiem na trzydzieści dwa naboje i chwytakiem łusek ważył niecałe sześć funtów. Bocian był ekspertem. Wystrzelił trzy krótkie serie zsynchronizowane z trzema błyskami stroboskopu. Wszystkie trafiły. Campon szarpnął się do przodu, gdy pierwsza seria eksplodowała mu w piersi. Ręce odrzucił w bok i wtedy druga seria trafiła go w głowę. Wyprostował się gwałtownie. Trzecia seria zahaczyła o włosy, trafiła w kark kelnera stojącego za generałem i powaliła dwóch osobistych goryli.

Zaskoczenie było kompletne. W pierwszej chwili Spearsowi i Hedritchowi wydawało się, że generał wykonuje jakiś osobliwy taneczny wygibas. Muzyka huczała w uszach. Trafiony goryl Campona zwinął się i padł na Hedritcha.

„A więc jednak!” — pomyślał Amerykanin.

Wolnym ruchem opierzonych ramion bocian posłał następną serię w tłum. Trafiona para okręciła się wokół i osunęła na ziemię. Kobieta krzyknęła. Ktoś powtórzył krzyk. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Nagle trafiona wrzasnęła:

— Ktoś mnie postrzelił!

Zaczął się istne pandemonium.

Druga seria spowodowała jeszcze większą panikę na sali.

Ochrona nie wiedziała, skąd padają strzały. Dostrzegli, jak para nastolatków pada. Słyszeli krzyk dziewczyny. Campon leżał rozciągnięty na parkiecie i nieruchomo patrzył w sufit. W rękach tajniaków pojawiły się rewolwery. Hedritch zbadał puls Campona. Na parkiecie zapanował nieopisany harmider. Tłum rzucił się do drzwi. Ktoś przewrócił stolik, dał się słyszeć odgłos tłuczonego szkła. Panika wybuchła na całego.

Agenci rozstawieni na scenie zeskoczyli i rzucili się ku grupce wokół generała. Dwóch z balkonu patrzyło bezradnie na ciało rozciągnięte na parkiecie. Nikt nie zauważył, skąd padły strzały.

Bocian usiadł na scenie, odpiął szcudła i zniknął za wielkim głośnikiem. Otworzył tylną klapę, wepchnął broń i szcudła do środka, zatrzasnął starannie i przetoczył się po scenie w stronę wyjścia ewakuacyjnego. Prowadziło do płataniny słabo oświetlonych korytarzy pod parkietem, przypominających katakumby. Zbiegając po schodach bocian zrzucił perukę i odczepił skrzydła. Wskoczył do pakamery operatora świateł. Błyskawicznie zdjął żółty kostium, spod konsoly wyciągnął plastikową torbę i wepchnął w nią przebranie. Kilka sekund później wyglądał jak przeciętny nastolatek w dżinsach i niebieskim podkoszulku. Wyjął z torby ręcznik nasączony mleczkiem kosmetycznym i starł makijaż. Skręcił w korytarz, który prowadził przez kuchnię do zapasowych schodów. Gdy wchodził na ostatni stopień, otworzył drzwi i zajrzał do wnętrza. Stłoczony przy wielkiej szybie personel wymieniał gorączkowe uwagi, wpatrując się w to, co się działo w klubie.

— Chryste Panie, chyba kogoś zastrzelili!

Przeszedł przez kuchnię nie zauważony i wrzucił worek z rekwizytami do pojemnika na śmiecie. Wprawnym ruchem wsunął pod niego wózek i wyjechał tylnym wejściem. Na zewnątrz wciąż było spokojnie. Dotarł do rzędu pojemników. Spojrzał na zegarek i odszedł w mrok.

Trzy i pół minuty. Nieźle.

## CIOS

Wysoki, masywny Murzyn szedł ulicą Suriwong. Skręcił i przez Patpong skierował się do Tombstone. Po zapadnięciu zmroku Bangkok ulegał osobliwej metamorfozie. Z tętniącego życiem centrum biznesu przeistaczał się w neonową dżunglę. Działo się tak zapewne za sprawą wyuzdanego dzina, którego dziwnym zbiegiem okoliczności ktoś co wieczór mimowolnie uwalniał z lampy. Półnagie tygrysyce wyruszały na nocne łowy. Zaludniały ulice, nocne kluby, legalne burdele, salony masażu i przeciągały się lubieżnie w

nieprawdopodobnych wygibasach na wystawach sex shopów. Oferta była bogata, a klient zwykle dostawał towar w najlepszym gatunku. Patpong, dzielnica rozrywki, był osobliwą, wykoślawioną syntezą amerykańskiego zgiełku, europejskiego smaku i azjatyckiej tajemniczości. Stanowił swego rodzaju mekkę dla turystów, którzy wylęgali tłumnie na ulice w poszukiwaniu owianych legendą uciech seksualnych, jakich nie znano gdzie indziej. Patpong był obowiązkowym punktem programu każdej wycieczki.

Od czasu do czasu Murzyn rzucał zdawkowe pozdrowienia, ignorując większość witających go alfonsów, naganiaczy i prostytutek. Znali go tu prawie wszyscy. Minął „Jack's American Star” i bar „San Francisco”, gdzie co wieczór baletnice topless wykonywały efektowne tańce oraz zaspokajały potrzeby gości, których podczas przedstawienia nagle poniosła wyobraźnia. Skręcił w boczną uliczkę osłoniętą przed blaskiem neonów i hukiem muzyki. Nie była ciemna, wyglądała bardziej jak zaułek w Phoenix niż w Nowym Orleanie. Gdyby nie charakterystyczna tajlandzka architektura i dwujęzyczne napisy, ta dzielnica, zwana Tombstone, przypominałaby do złudzenia miasteczko na Dzikim Zachodzie. Brakowało tylko błota i słupków do przywiązywania koni. W gruncie rzeczy przed jednym z budynków stał taki słupek.

W Tombstone mieścił się sklep z tradycyjnym kowbojskim wyposażeniem, gdzie można było kupić długie buty i kapelusze typu Stetson. Była tam także restauracja „Yosemite Sam's”, w której serwowano tylko wołowinę z rusztu i duszone żeberka w sosie brunszwickim. Opodal w „Stagecoach Deli” były co prawda wahadłowe drzwi jak w saloonie, ale witryna bardziej przypominała wystawę u Tiffany'ego na West Side w Nowym Jorku. Na temat „Langtry's Music Hall”, z chińskimi i tajlandzkimi tancerkami, zdania były podzielone. Niektórzy twierdzili, że jest za mało amerykański, ale tak czy owak nie zakłócał za bardzo klimatu dzielnicy. W oknach wisiały stare plakaty z Lillie Langtry i Eddiem Foyem, a drzwi wejściowe wyglądały jak żywcem przeniesione z klasycznego westernu Johna Forda.

Po przeciwnej stronie znajdowała się „Pike's Peak” — lodziarnia z findeścielowym wystrojem, oraz „Roundup” — całodobowa kawiarnia w stylu westernowego corralu, której specjalnością była tradycyjna kawa, pączki i jajecznica na bekonie. W budynku obok znajdowało się kino o szumnej nazwie „Palace” z widownią na sto miejsc, w którym wyświetlano stare westerny i kryminały klasy „B”. Program zmieniano we wtorki i piątki.

Był także bar „Longhorn”, urządzone dokładnie jak saloon z Dzikiego Zachodu. Właśnie przed nim znajdował się jedyny w całej dzielnicy

konowiaż. Pewnego dnia podpity Teksańczyk przymocował do niego samochód. Kiedy po kilku głębszych wyszedł z baru, zapomniał, że wierzchowca należy odwiązać, zanim da mu się ostrogę, i odjechał zabierając połowę frontowej elewacji. Właściciel, Słodki Wilkie, wystawił rachunek na tysiąc dolarów. Następnego dnia sam dokonał niezbędnych napraw, co kosztowało go w sumie tylko trzysta czterdzieści sześć dolarów.

Dzisiaj Wilkie był w siódmym niebie. Złota górna szóstka połyskiwała zawadiacko, gdy posyłał gościom promienne uśmiechy. Z szafy grającej dudniło „Bad Moon Rising” Creedence Clearwater. W lokalu panował tłok. Gośćmi w większości byli Amerykanie mieszkający i pracujący w Bangkoku. Turyści nie zapuszczali się w te rejony Tombstone, a jeśli ktoś zbłądził i trafił do „Longhorna”, szybko rezygnował.

Masywny Murzyn, którego bicepsy z trudem mieściły się w luźnych rękawach krzykliwej hawajskiej koszuli, przeszedł przez saloon, skinął głową Wilkiemu i skierował się do pomieszczenia za zasłoną ze szklanych paciorków. Był to pokój dla stałych bywalców, zwany „dziurą w ścianie” lub po prostu „dziura”. Wielebny siedział w fotelu i czytał „Wall Street Journal”. Na stoliku przed nim stała butelka czerwonego wina i leżały sztony do pokera.

Dwóch mężczyzn przy wejściu rzucało kości. Za nimi przy zielonym stoliku sześciu innych grało w amerykańskiego pokera. Murzyn nie musiał sprawdzać, kim są. Znał ich wszystkich. Gallagher, Eddie Riker, Potter, Johnny Prophet, Magik i Wyatt Earp. Osobliwy zestaw. Zwłaszcza Magik, który wyglądał jak mim z trupy komediantów. Lewą połowę twarzy miał pomalowaną na czarno, a prawą na biało. Od włosów przez czoło i nos aż do podbródka biegła gruba czerwona kreska.

Murzyn przystawił krzesło i usiadł obok wysokiego, szczupłego mężczyzny w kowbojskim kapeluszu z płaskim, szerokim rondem. Miał on siwe włosy i cienkie wąsy. Ubrany był w czarną kowbojską koszulę, dżinsy i skórzaną kamizelkę, która zasłaniała rewolwer Cobra 357. Nazywał go pieszczołliwie „brzusiaczkiem”.

— Czy zdecydował pan, kto idzie, panie Earp? — zapytał Murzyn cicho, spoglądając na wyłożone karty.

— Na pewno Early i ja. Jeszcze nie wiem, kto trzeci — odparł zagadnięty.

— Nie chce pan nikogo wyróżniać, czy tak? — spytał Murzyn z lekkim przekąsem.

— Ty już byłeś, Corkscrew, ostatnim razem — odpowiedział Earp.

— Cholera jasna! Wie pan, że jestem najlepszy w składzie — stwierdził Corkscrew z przechwałką w głosie.

— Wiem — oświadczył Earp i powtórzył frazę, którą co najmniej raz w tygodniu słyszał z ust Corkscrewa: — „Wie pan, że w Detroit trzymałem wszystkich alfonsów w pudełku od zapalek”.

— „Nie jesteśmy w Detroit” — Corkscrew z uśmiechem zacytował magiczną formułkę Earpa.

— Pójdiesz następnym razem — obiecał Earp i odwrócił ostatnią kartę, która dodana do dwóch już odkrytych dała mu wygraną. Zgarnął pulę ze stołu i spojrzał na złotego rolexa. Była dziewiąta. Pół godziny do występu.

Powiódł oczami po twarzach siedzących przy stole mężczyzn. Twarde, zahartowane typy. Każdy dostał dobrą szkołę w Wietnamie.

— Graj za mnie — powiedział do Corkscrewa wstając od stołu.

— Z czym wchodzi? — zapytał Murzyn.

Earp przeliczył sztony.

— Trzysta.

— Ma pan u mnie — rzucił Corkscrew wślizgując się na krzesło.

Earp jak zwykle zaplanował wszystko bardzo starannie. Nie lubił czuć się nieswojo. Jego dewiza brzmiała: Jak najmniej ludzi, jak najmniej huk — i sprawdziła się wielokrotnie w ciągu ostatnich kilku lat. Wyszedł poza krąg światła i obrzucił spojrzeniem stałych bywalców. Jak zwykle.

Siedzący obok niego mężczyzna nazywał się Max Early. Miał na sobie lekką oliwkową bluzę safari. Nie nosił podkoszulka. Spod bluzy widać było dobrze umięśniony, opalony tors. Ogorzała twarz o ostrych rysach świadczyła, że często przebywał na słońcu. W przeciwieństwie do pozostałych, krótko ostrzyżonych mężczyzn miał długie, falujące kasztanowe włosy sięgające ramion. Na głowie nosił wyblakły kapelusz korkowy safari. Wstał równocześnie z Earpem, zebrał sztony i powiedział:

— Wychodzę.

Życiorysy wszystkich graczy Earp znał na pamięć.

*Max był najstarszy z trójki siedzącej wokół dziury w ziemi. Pozostali dwaj to w zasadzie jeszcze dzieci. Noel miał wygląd przerośniętego siódmoklasisty, a Jimmy jeszcze nie pozbył się trądziku. Reszta patrolu przetrząsała okoliczne zarośla i myszkowała w wysokiej trawie. Tunel wyglądał na opuszczony. Nie znaleźli świeżych śladów stóp w okolicy. Jimmy położył się na grząskiej ziemi i przez dziesięć minut nasłuchiwał z uchem nad otworem.*

— *Czyja dziś kolej? — zapytał Noel, kolejna ofiara wszechwładnej biurokracji i bezmyślności w armii. Trzeba wyjątkowego geniuszu, żeby face-ta ważącego sto kilo z okładem skierować do Szczurów Tunelowych. Noel z trudem mógł włożyć jedną nogę do otworu.*

— *Ostatnio schodziłem ja — powiedział Jimmy, mały, kościsty chłopak z San Bernardino.*

*Early miał dwadzieścia sześć lat, czuł się, jakby dobiegał dziewięćdziesiątki, i nie mógł się pozbyć wrażenia, że odpowiada za poczynania tamtych.*

— Niech będzie, że moja, kurwa mać — westchnął ciężko. — W tę dziurę nikt nie wlażył co najmniej od dwóch tygodni. Patrzcie, tu jest pajęczyna.

— Znasz żółtków, no nie? — powiedział Noel. — Mogą leżeć w norach tygodniami.

— Aha.

Early założył pełny magazynek do M-16 i zarepetował. Poprawił zapięcie w butach i sprawdził magazynek w czterdziestcepiątce. Nienawidził tuneli bardziej niż czegokolwiek. Nie znosił tej roboty, ale trzeba ją było wykonywać. Im prędzej, tym lepiej. Po co tracić czas. Spiał włosy gumką i wśliznął się w otwór głową w dół. Opadł na ręce i leżał wstrzymując oddech. Nie wyczuł nikogo, nie usłyszał oddechów. „Chyba czysto — pomyślał. — Żółtki musiały się wynieść”. Zaczął się czolgać trzymając nóż w zębach. Badał lepką ciemność lufą karabinu. Tunel mógł być długi. Niektóre wily się pod ziemią milę i więcej. Nienawidził ciemności i zapachu wilgotnego próchna. Nie chciał zapalać latarki, dopóki się nie upewni, że tunel jest całkowicie opuszczony.

„Cholera ciężka — pomyślał — co facet z Utah, który uwielbia świeże powietrze, robi w tej zaszrannej norze”.

W tej samej chwili usłyszał pierwszy odgłos.

Drapanie.

Pisk.

Trzepotanie.

Tunel ożył nagle i wypełnił się wrzawą głodnych nietoperzy. Rój otoczył go, wkręcał się we włosy i kąsał odsłonięte części ciała.

Early wrzasnął przeraźliwie. Zaczął strzelać. Opróżnił magazynek. Po ostatnim strzale usłyszał mlaskanie kul wbijających się w ściany. Nietoperzy było coraz więcej. Zaczął się cofać tnąc wokół nożem. Czuł, że za chwilę popękają mu bębniaki od wysokich wibrujących pisków. Przywarł do ściany i wystrzelił na oślep cały magazynek czterdziestki i pięć. Cofając się założył drugi i walił dalej. Stracił orientację w ciemnościach. Trzęsąc się ręką natrafił na latarkę. Zapalił ją i wywijał na prawo i lewo. Liczył, że światło odstraszy nietoperze. Gdy poczuł na plecach podmuch chłodnego powietrza, sięgnął do krawędzi włazu. Trafił na coś miękkiego i mokrego. W pierwszej chwili pomyślał, że to błoto. Odwrócił się i skierował snop światła w tamtą stronę. Noel zwisał we włazie. Długie ramiona leżały bezwładnie na błotnistej podłodze. Nie miał twarzy. W miejscu nosa ział ogromny otwór po kuli, z którego buchała krew.

— O Boże! Nie! — wrzasnął Early, gdy żarłoczne monstra rzuciły się na roztrzaskaną twarz chłopaka. Krzyczał dalej, gdy wspinał się jak

szalony do wyjścia po ciele Noela. Chwyając łapczywie powietrze wygrzebał się na zewnątrz. Przerażone myśli rozsadzały mu czaszkę. Zastrzelił kolegę...

Następny przy stole był Eddie Riker. Z wrodzoną, właściwą sobie sumiennością powtarzał, że był najlepszym pilotem helikoptera w wojnie wietnamskiej.

Na przesłuchanie przysłali pułkownika z Sajgonu. Pierwsze, co Riker zauważył, to że facet się nie pocił. Trzydzieści osiem stopni w cieniu, wilgotność dziewięćdziesiąt osiem procent, a na wykrochmalonej koszuli nawet jednej plamki. „Istna Sahara” — pomyślał Riker, który miał na sobie tylko wojskowe szorty i podkoszulek, a pot lał się z niego strumieniami. Pułkownik udał się do baraku pełniącego funkcję aresztu. Ten mały, dumny człowieczek wciąż był zauroczony stanowiskiem, jakie piastował. Miał ze sobą neseser ze skóry aligatora i teczkę z dokumentami, mówił monotonnym, beznamiętnym głosem, a w czasie przesłuchania ani razu nie spojrzął Rikerowi w oczy. Wpatrywał się tępo w raport i leniwie stukał ołówkiem o blat stołu. Riker znał dobrze ten typ. „Jeszcze jeden zafajdany adwokacina wyrabia bojowe godziny ku chwale ojczyzny” — pomyślał.

— Jesteście oskarżeni o czynne znieważenie oficera z użyciem siły — oświadczył pułkownik.

— To już wiem — mruknął Riker.

— Chciałbym usłyszeć waszą wersję — powiedział pułkownik przeglądając papiery na stole.

Riker wiedział, że wszystko, co powie, tamten puści mimo uszu. Dla takich ludzi walka to taki sam problem, jak brak papieru toaletowego w łazience w środku nocy.

— Przede wszystkim trzeba, żeby pan wiedział, że w tej jednostce jestem pilotem numer jeden. Pięć miesięcy wozimy rannych wzdłuż delty z Song Ngan. Jakieś pół godziny lotu stąd. Ciężko. Dużo chłopaków obrywa. Latałem sześć, siedem razy dziennie. To dużo nawet dla hueya. Mówię to po to, żeby zdał pan sobie sprawę, jak ważna jest w takiej sytuacji sprawna obsługa i konserwacja na ziemi.

No więc przydzielili nam jako szefa mechaników tego palanta majora. Co ja mówię! Do palanta to on może dorosnąć za czterdzieści lat. Facet jest na wylocie. Zostały mu niecałe dwa miesiące. Siedzi, dłubie w nosie i robi nacięcia na tej swojej szpicrucie. Nic go nie obchodzi, równo olewa wszystko. A my mieliśmy dużo awarii. Wie pan, na ogół strzelają do nas. W konserwacji burdel, że proszę siadać. To było parę dni temu. Odebrałem maszynę od mechaników i poleciałem na ewakuację. Miałem zabrać grupę rannych chłopaków. Zacząłem schodzić i nagle czuję, że nie mam mocy.



Jakieś sto stóp nad ziemią grat obrócił się na plecy i spadł jak worek z gównem. Wirnik jeszcze chodził. Dwunastu posiekalo od razu. Widział pan kiedyś, co śmigło robi z człowieka?

Pułkownik westchnął, ale nie podniósł wzroku znad papierów. Odwrócił się i zaczął wyglądać przez okno.

— Trzymajcie się faktów, poruczniku.

— Właśnie takie są fakty. Dwunastu chłopaków czeka na ratunek, a ja spadam i chlastam ich na kawałki. — Riker przerwał, by przypalić papierosa. — Co ze mną? Siniak szyi i ból głowy. Odstawili mnie do bazy. Przez całą drogę myślałem: „To jebany opierdalacz. Cała jego robota to odebrać maszynę po naprawie, a ten skurwiel tylko dłubie kozikiem w szpicrucie. Nawet się przy tym nie pobrudzi”. Wkurzyłem się ostatecznie. Jak tylko usiedliśmy, poszedłem prosto do jego biura, złapałem tę szpicrutę i wsadziłem mu tam, gdzie słońce nie dochodzi. Potem ją połamałem i dopieprzyłem mu tak, że mnie ręce zaboląły. Przestałem, kiedy zobaczyłem, że ma gębę jak świeży krwisty befsztyk. Chciałem odstrzelić mu jaja, ale zrezygnowałem. Wezwałem sztabowego profosa, który mnie tu zamknął, no i siedzę. Oto cała historia.

— Czy to wszystko, co macie do powiedzenia?

— A co jeszcze miałbym mieć?

— Nie macie wyrzutów sumienia? — zapytał zdziwiony pułkownik.

— Wyrzutów sumienia? — powtórzył Riker po chwili namysłu. — O, tak, mam. Jeden. Trzeba było chuja rozwalić na miejscu. Bóg jeden wie, ilu chłopaków odleciało stąd przez niego w workach.

Pułkownik spojrzał mu w twarz. Wyglądał na rozgniewanego.

— Wnioskuje o postawienie was przed sądem za czynne znieważenie i brutalne pobicie. Zostaniecie odesłani do aresztu w Sajgonie i przekazani do dyspozycji prokuratora.

Riker wzruszył ramionami.

Pułkownik zamknął teczkę i starannie umieścił ją w neseserze. Wstał i nerwowo próbował wygładzić załamania i faldy na wykrochmalonych spodniach.

— Macie poważne problemy z zachowaniem właściwej postawy, poruczniku — rzucił na odchodne.

— Nie, panie pułkowniku, mam tylko niekompetentnego szefa mechaników.

Pułkownik wyszedł z baraku.

Riker odprowadzał go wzrokiem, gdy szedł sztywno przez plac, wsiadł do jeepa i odjechał. Został sam. „Co tu się dzieje, do kurwy nędzy? — myślał. — Pozwalają, żeby najlepszy pilot kiblował w jakimś zafajdanym Quonset, a tam chłopaki czekają”. Wyszedł z baraku, wsiadł do pierwszego z brzegu śmigłowca, który grzał silniki, i wrócił do roboty...

Następny przy stole, Gallagher, odznaczał się specyficznym chodem. Stawiał stopy ostrożnie i szybko je podrywał do góry, jakby stąpał po rozżarzonych węglach albo miał odparzone podeszwy. To ostatnie było prawdą. Jego jeep wjechał na minę przeciwpiechotną. Wybuchła dokładnie pod podłogą samochodu, która uniosła się aż do pach Gallaghera.

Kolejne krzesło zajmował Johnny Prophett. Dostał nominację do Nagrody Pulitzera, ale za długo był w Wietnamie. Wypalony i zniszczony dwudziestopięciolatek uciekł do królestwa heroiny, by tam złagodzić ból po stracie weny i talentu.

*Prophett siedział przy drodze i notował coś w bloku kancelaryjnym, który zawsze nosił przy sobie w chlebaku. Plecy bolały go niemilosiernie, a kurz zapychał gardło. Nie padało od wielu dni. Błoto na drogach wyschło na kamień i pękało tworząc gęstą siatkę rys i szczelin. Dwa dni temu około dwudziestu mil stąd zgubił wojnę. Gdy obudził się rano z narkotycznego snu, w który zapadł zażywwszy trochę halucynogennego białego proszku, okazało się, że oddział zwinął obóz i odszedł. Zostało to co zwykle — puste puszki i łuski karabinowe, wypalone ślady po ogniskach, przetarte skarpetki i pogięte bidony. Zawsze odchodzili w ten sposób. Jak cygański tabor, który po występach zwija się w nocy i odjeżdża do innego miasta.*

*Proszek skończył się. Prophett był na głodzie i coraz mocniej odczuwał jego skutki. Mdłości, swędzenie, ból głowy, suchość w ustach. Ręka drżała mu tak, że prawie nie mógł pisać. Znowu to samo. Usłyszał silnik dopiero, gdy jeep prawie przejechał mu po plecach. Podskoczył ze strachu. Pozbiierał się i wstał wskazując kierunek wyciągniętym kciukiem.*

*Przypomniała mu się wyprawa autostopem do Woodstock. Zanim dojechał, festiwal się skończył.*

*Zapisały hamulce, jeep podskoczył i stanął wzbijając tuman kurzu i zaschniętego błota.*

— *Uważaj na zadek — powiedział Gallagher z akcentem z Cincinnati.*

— *O mało co zrobiłbym z ciebie marmoladę.*

*Prophett podszedł i nachylił się nad burtą obok karabinu maszynowego.*

— *Podrzucisz mnie?*

— *Jasne. Wskakuj — odparł Gallagher. Wrzucił jedynkę ze zgrzytem i ruszyli. — A dokąd?*

— *Wojna mi się gdzieś zapodziała — powiedział Johnny drapiąc się po rękach.*

— *Cholera, pomyliłeś kierunki, człowieku. Zadyma jest tam — pokazał kciukiem za plecy.*

— *A ty dokąd?*

— *Próbuję na skróty do Camranh.*

— *W czym robisz?*

- *Prowadzę kasyno w Sajgonie.*
- *No to się nachapiesz, nie ma co.*
- *Bywa. Jesteś reporterem?*
- *Aha.*
- *Znałem paru facetów z telewizji. Takich, co to wszystko dla żołnierzy, wiesz, o czym mówię?*
- *Yhy — odpowiedział Prophett i skulił się na siedzeniu. Miał nadzieję, że wytrzyma telepanie i drgawki. W Camranh powinno dać się zorganizować trochę towaru i złapać helikopter do jednostki. Zwiesił nogę za burtę jeepa. — Camranh mi pasuje.*
- *Lepiej uważaj na nogi — upomniał Gallagher. — Pełno wybojów. Byłoby niewyjściowo, gdyby coś cię wywlokło do...*

*Nie dokończył zdania. Wjechali na minę. Gallagher nie usłyszał wybuchu. Poczul tylko niesamowity ból pod stopami, jakby sam Hank Aaron trafił go w piętę kijem baseballowym. Wyleciał z szoferki przez dach i koziolkując w powietrzu próbował chwycić się czegoś, ale akurat nic nie było pod ręką. Wylądował w błotnistym rowie dwadzieścia stóp dalej z obrzydliwym „prask”, jakby ktoś zmiażdżył dynię szeroką deską. Powietrze uszło z niego jak z przebitego balonu. Przetoczył się na plecy i spojrzał w niebo. „Jezusie, Mario i wszyscy święci, zlitujcie się. Nie dajcie mi umrzeć w tym miejscu” — pomyślał.*

*Po drugiej stronie drogi roztrzaskany jeep leżał na dachu. Koła wciąż się obracały. Podłoga i rama przestały istnieć. Johnny Prophett leżał na boku. Wrak przygniótł mu nogę. Ból sprawił, że zapomniał o kacu i głodzie. Powoli usiadł. Zrezygnowany naparł na burtę, jakby liczył, że zdoła odwrócić jeepa, i zemdlął...*

Następny to Magik. Były gwiazdor rocka i były żołnierz piechoty morskiej. Większa część jego twarzy pozostała w delcie Mekongu.

*Harswain był niskim i chudym jak szczapa świńskim blondynem z krzaczystymi wąsami. Nie rozstawał się z laseczką, którą nosił od czasów służby na wyspie Parris, a którą teraz gryzmołił coś w błocie.*

— *Zorientujesz się, która ci jest pisana, lalusiu. Każdy ma kulkę ze swoim nazwiskiem. Najpierw usłyszysz jej świst, potem splunie ci w oko, a ułamek sekundy później rozwali ci mózg — powiedział do Magika i zaśmiał się.*

*Magikowi przeszły ciarki po grzbiecie. Strach zadomowił się w jego umyśle i zaciskał niewidzialną obręcz wokół piersi. Najwyższy czas odpocząć. Siedemdziesiąt siedem dni bez przerwy na pierwszej linii. Z sześćdziesięciu, którzy wyruszyli, zostało czternastu. Słuchał Harswaina i myślał o kuli.*

Właśnie wtedy nastąpił atak. Zapanował bałagan nie do opisania. Wszyscy biegali, kucali i padali chwytając broń. Tym razem przesылka była duża. Harswain wrzeszczał jak zwykle.

– Zejdź mu z linii strzału! – krzyknął do Magika, który padł i podczołgał się do zwałonego drzewa. Seria wgryzła się w pień niecałą stopę od twarzy chłopaka. Skulił się i zarepetował. Szybko wychylił się i posłał krótką serię w zarośla.

Wtedy zobaczył kulę albo przynajmniej tak mu się zdawało. Błyszcząca grudka ołowiu rozpalona do białości leciała w jego stronę jak wściekła osa.

Padł na plecy, zacisnął powieki i czekał. Coraz więcej kul wbijało się w pień nad jego głową. Upuścił broń, przetoczył się na brzuch i ruszył na czworakach w stronę dżungli, lkając ze strachu. Za plecami usłyszał wrzask Harswaina:

– Wracaj, słyszysz, ty w dupę jebany gogusiu! Wracaj, kurwa mać!

Tamten strzelił do niego. Kule wbiły się w ziemię koło stóp Magika. Nie zawrócił. Wstał, zaczął biec i zatrzymał się dopiero, gdy płuca odmówiły posłuszeństwa. Opadł na kolana, podparł się rękami i zwymiotował.

Usłyszał syk miotacza płomieni i poczuł na twarzy falę ciepła. Ostrożnie uniósł głowę i rozejrzał się. Dwadzieścia stóp dalej stał jakiś smarkacz i palił wszystko, co mogło się spalić. „Świetna osłona” – pomyślał Magik czolgając się w stronę Wietnamczyka.

Ktoś krzyknął „Kryj się! Moździerze!” Magik pochwycił świst nadlatującego granatu. Zwinął się jak wystraszony ślimak. Granat trafił prosto w zbiornik miotacza, zamieniając Wietnamczyka i jego broń w kulę ognia. Zanim Magik zemdlął, poczuł, że skóra na twarzy topi się i skwierczy...

Wreszcie Corkscrew i Potter. Nierozłączny duet. Corkscrew i jego brat Hammer roztaczali swego czasu lukratywny patronat nad najlepszymi panienkami w Motown. Prowadzili interes z tylnego siedzenia złotej limuzyny „Lincoln”. Potter zatrudnił się jako parobek na farmie w Arkansas, gdzie ziemia była tak jałowa, że mówiąc oględnie, „nawet mrówki włożyły na drzewa, żeby się popieprzyć”. Corkscrew i Potter byli sobie bliźsi niż bracia bliźniacy.

Od dwóch dni trzymali się na wzgórzu w Dang Pang. Wietkongi były wszędzie.

Trzeciego dnia rano Potter, czolgając się, obszedł pozycje. Zbadał puls leżącym. Nie żyli. Moździerze wykarczowały wszystkie drzewa. W lejach

stała mętna woda. Komary coraz bardziej dawały się we znaki. Z oddziału zostało ich trzech: Potter – parobek z Arkansas, Corkscrew i Hammer – dwóch alfonsów z Detroit, którzy trafili do oddziałów pomocniczych. Poza zabłoconymi mundurami mieli ze sobą tyle wspólnego, co banan z jałowcówką. Potter przeczłował się z powrotem do szańca skleconego naprędce z pniaków i gliny.

– Nie mamy nic. Ani amunicji, ani żarcia, ani wody – powiedział Corkscrew.

– Ani nawet farta – dodał Potter ściskając się za brzuch. – Daj mi lęknięć, Cork.

– Masz odłamek w brzuchu, człowieku. Jeden lęk, a byłoby po tobie.

– Już jest po mnie.

– Gówno prawda – warknął Corkscrew.

Hammer nie odzywał się. Corkscrew szarpnął go za ramię. Brat osunął się bezwładnie i padł twarzą w kałużę na dnie leja.

– Ham!!! – wrzasnął Potter. Zsunął się do dołu, podciągnął Hammera do krawędzi i spojrzał mu w twarz. Nieruchome oczy patrzyły sztywno. Był zimny.

– Do diabła! Nie!!! Do diabła z tym wszystkim! – krzyczał Corkscrew. – Chodźcie tu, pierdolone żółtki, no, chodźcie! Jeszcze wam mało, zawszone małpy? Chodźcie, to dostaniecie...

Kiedy oddział, który miał ich złuzować, dotarł na wzgórze, Corkscrew stał nad rannym Potterem i martwym bratem. Trzymał M-16 za lufę i czekał na Wietkong...

„Każdy jest dobry, ale dziś wystarczy Riker” – pomyślał Earp i skinął do mężczyzny w korkowym kapeluszu.

– Odmeldowuję się – powiedział Riker. Zgarnął sztony do kapelusza ze wstążką, na której wyhaftowano żółtymi literami: „Nie ma jak w domu”. Był ubrany w krótkie spodnie koloru khaki i czerwony podkoszulek z głębokim dekoltem. Chociaż na owłosionym torsie pojawiły się pierwsze siwe kosmyki, czarną czuprynę zdobiły liczne srebrne pasemka, a czasami zakładał okulary w żółtej oprawce, to opalone muskularne ramiona i kark świadczyły, że ciągle jest w formie. Podszedł do sztywnego dżentelmena w kacie i wymienił sztony na gotówkę.

Chudy Johnny Prophet wstał od stołu i poprosił Earpa na stronę.

– Weź mnie, Wyatt. Proszę.

– Daj spokój. Popatrz na siebie. Trzęsiesz się tak, że mógłbyś zrobić martini bez shakera.

– Jedna kawa, jedna szpryca i jestem zdrów.

— Innym razem, Johnny, zgoda? Wiesz, że jestem z tobą szczerzy. Mógłbyś nas wpędzić w kłopoty. Następnym razem.

— Sam to załatwię — dokończył za Earpa patrząc w podłogę.

— Pewnie — odparł tamten i klepnął go w ramię.

Wyznaczona trójka przeszła do biura Wilkiego. Przypominało ono wielki śmietnik. Stare gazety, rachunki, segregatory i czasopisma tworzyły nieregularne stosy na biurku i szafie. Reszta makulatury pokrywała podłogę.

— Chyba zgromadził tu wszystkie papiery, jakie mu przysłali, odkąd chodzi po ziemi — stwierdził Early rozglądając się posępnie po zagraconym i zaśmieconym pomieszczeniu.

— Chyba tak — odparł Earp.

Z szuflady w biurku wyjął pistolet z tłumikiem, a na jego miejsce położył swój rewolwer. Sprawdził magazynek. Był pełen.

Spośród stosu papierów dobiegł dzwonek telefonu. Riker odszukał go po omacku i podał słuchawkę Earpowi.

— Przy aparacie... Świetnie! Dobrze, już ruszamy. Uważaj na siebie. Powodzenia.

Odłożył słuchawkę i wolno zatarł ręce.

— Mamy szczęście. Dotarła do hotelu przed nim i dostała pokój przez ścianę. Facet wprowadził się przed dziesięcioma minutami.

— No to do boju — powiedział Early.

— Aha.

— Pójdzie jak z płatka — stwierdził Riker.

— Kto wie, może — odparł Earp i uniósł brwi. — Mamy dziesięć minut.

Ruszamy.

Johnny Prophett też wyszedł z „dziury”. Przeszedł przez główną salę i zniknął w toalecie. Zamknął się w kabinie i wyjął z kieszeni plastikowe pudełeczko, zawierające strzykawkę insulinową, kawałek świecy, łyżeczkę i paczuszkę heroiny. Drżącymi rękami zapalił świecę i przytwierdził ją do wieszaka na papier toaletowy. Nasypał na łyżeczkę trochę białego proszku i ogrzał go nad płomieniem, aż uzyskał bulgoczącą masę. Dwoma palcami ścisnął gruszkę na końcu strzykawki i wciągnął płyn do zbiorniczka. Zaciśnął nadgarstek. Igła przez chwilę igrała z żyłą, po czym wbiła się głęboko. Prophett wzdrygnął się, lekko wciągnął powietrze i zadrżał na całym ciele. Twarz rozpromieniła mu się powoli. Zamknął oczy i uśmiechnął się.

Do Dusit Thani było tylko kilka minut piechotą. Mimo to postanowili skorzystać z furgonetki Rikera. Zaparkowali na tyłach budynku i wysiedli. Riker został przy samochodzie, a Early i Earp udali się do pokoju 429. Czeakała na nich.

— Masz pięć minut na ustalenie, gdzie jest towar — powiedział Earp. — Denerwujesz się?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Grzeczna dziewczynka. Do dzieła.

Zeszła po schodach na drugie piętro, wsiadła do windy i wróciła na trzecie. Niezbędny środek ostrożności, na wypadek gdyby była obserwowana. Podeszła do pokoju 427 i zastukała. Drzwi otworzyły się natychmiast. Stał w nich masywny Chińczyk z blizną na policzku.

— Pani Giu?

Skinęła głową. Chińczyk wpuścił ją do pokoju, wyjrzał na korytarz i zamknął drzwi. Był zaskoczony i onieśmielony jej urodą. Piękna drobna kobieta miała postawę i gesty księżnej. Prezentowała się znakomicie w wieczorowej sukni ze szmaragdowego jedwabiu. Białe rękawiczki i kolczyki z pereł pochodziły zapewne z najlepszego salonu. Nie wyglądała na zawodowego kuriera.

— Jestem Sen. Czy mogę zobaczyć pani paszport?

Wyjęła z torebki dokument w skórzanych okładkach. Sprawdził go dokładnie, nie znalazł żadnych śladów fałszerstwa. Uśmiechnął się. Skoro dla niego był w porządku, celnicy tym bardziej niczego się nie dopatrzą.

Paszport wystawiono na nazwisko pani Giu, dwudziestodwuletniej wdowy, urodzonej w Bangkoku. Znajdowały się w nim stemple kontroli granicznej Malesji, Indii, Hongkongu i Filipin.

— Wpisano zawód: tancerka — powiedział Sen.

— Tak. W kufrze są moje kostiumy.

— Bardzo dobrze — uśmiechnął się. — I zręcznie. W kufrze można umieścić trzy razy więcej niż w zwykłej walizce. Oczywiście zna pani instrukcję?

— Tak. Udaję się do Seattle z czterema sztukami bagażu. Po odprawie wsiadę do czekającej limuzyny. Gdy bagaż znajdzie się w samochodzie, otrzymam resztę pieniędzy i będę mogła odejść.

— Dokładnie. To naprawdę prosta sprawa.

Wyjął z toaletki kopertę i wręczył jej.

— W środku jest bilet powrotny i dwa tysiące siedemset dziewięćdziesiąt pięć dolarów. To połowa honorarium i pięćset na zwrot kosztów.

Pani Giu szybko oszacowała ciężar i opłatę za nadbagaż.

— Niezły zarobek jak na kilka godzin pracy — stwierdził Sen.

— Zapomina pan o ryzyku — odparła przesuwając się ku drzwiom przechodnim do sąsiedniego pokoju.

— Nie będzie kłopotów — oświadczył Sen.

Elegancka wdowa bardzo przypadła mu do gustu. Nieświadomie zaczął się przed nią popisywać objaśniając, gdzie i jak ukryto towar. Położył na łóżku jedną walizkę i podniósł wieko. Poinformował panią Giu, że sprasowana heroina została umieszczona w wieku i bokach walizki w specjalnych

torebkach z folii aluminiowej nasączonej wywarem kawy, by psy nie wyczuły narkotyku. W kieszeniach walizek oraz w szufladach kufra umieszczono hermetyczne puzderka, w których podwójnych ściankach znajdowały się foliowe torebki z białym proszkiem. Kiedy opisywał rozmieszczenie towaru, pani Giu oparła się o przechodnie drzwi i odblokowała zamek. Przesunęła się bliżej łóżka, starając się odwrócić uwagę Sena.

— Od pół roku nie mieliśmy żadnych kłopotów z transportem. Naprawdę nie ma się o co martwić.

Drzwi za plecami Chińczyka otworzyły się na oścież i do pokoju wskoczył Earp. Sen usłyszał szmer z tyłu i zobaczył Wyatta w lustrze toaletki. Błyskawicznie odwrócił się i padając na kolana sięgnął po broń.

Stojąc w lekkim rozkroku dziesięć stóp od Chińczyka i pewnie trzymając pistolet w wyciągniętych rękach, Earp nie mógł chybić. Rozległ się cichy stuk, jakby ktoś zamknął drzwi. Kula trafiła Sena w czoło nad lewym okiem. Głowa odskoczyła pociągając za sobą ciało.

Sen poczuł przeszywający ból pod czaszką i słony smak krwi w ustach. Stracił czucie. Sufit zawirował mu nad głową, a pistolet wyśliznął się z bezwładnej dłoni. Chińczyk spojrział przed siebie i zobaczył wylot tłumika, a nad nim wysokiego mężczyznę z siwymi wąsami. Otwór drgnął, coś szcęknięło, pokój eksplodował milionem kolorowych oślepiających błysków, po czym zapadła ciemność.

Riker skoczył do łazienki i zanim ciało Sena osunęło się na podłogę, był z powrotem. Rzucił kłęb ręczników na krwawiące rany. Załatwił to w dwadzieścia sekund.

Earp przewrócił kufer i otworzył go.

— Ciężko będzie go upchnąć — powiedział.

— Waży chyba ze dwieście funtów — stwierdził Riker, gdy z trudem dźwignęli masywne ciało, by wepchnąć je do kufra. Ułożyli trupa na boku, z kolanami podciągniętymi do góry i głową przyciśniętą do piersi. Docisnęli wieko, zamknęli i postawili kufer pionowo.

— Potrzeba czterech tragarzy — stwierdził Earp.

Pani Giu zjechała do hallu, wyszła z hotelu i wsiadła do czekającego opodal *tuk-tuk*. Nikt nie zwrócił uwagi, że nie ma torebki.

Dwie minuty później Earp i Riker, zlikwidowawszy ślady w obydwu pokojach, opuścili hotel tylnym wyjściem. Zeszli po schodach pożarowych i wrzucili walizki do furgonetki.

— Ile? — zapytał Early.

Gdy ruszyli i zniknęli w ciemnościach za zakrętem, Earp rozluźnił się na siedzeniu i z uśmiechem odpowiedział:

— Trzydzieści siedem kilo.



# HONGKONG

Hatcher uwielbiał Daleki Wschód. Spędził tu wiele lat, zanim Sloan wysłał go do Ameryki Środkowej. Otarł się o Ts'e K'am Men Ti, piratów rzecznych działających od Szanghaju do Tajlandii na Szlaku Makau i w Hongkongu. Spenetrował rzeki, rzeczki i zakola, gdzie załatwiano milionowe interesy. Znał kogo trzeba. Joe Karaluch, pół Chińczyk, pół Malaj, mówiący z nienagannym oksfordzkim akcentem, chodził w szytych na miarę garniturach z czystego jedwabiu. Działał w dorzeczu Jungsonian. Harry Tsin miał dyplom Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles i drewnianą nogę — pamiątkę z pobytu w japońskim obozie dla jeńców wojennych. Sam-Sam Sam, psychopata kontrolujący rzekę, pobierał haracz od wszystkich robiących tu interesy. Każdego, kto wszedł mu w drogę albo próbował załatwić coś poza jego plecami, obdzierał żywcem ze skóry, wieszając ją następnie na burcie swojej łodzi ku przestrodze.

I Cohen, biały Tsu Fi.

Gdy jumbo jet przeleciał nad zatoką, schodząc do lądowania na Kai Tak, Hatcher zadrżał z podniecenia. Nie było to spowodowane tęsknotą do miejsca, gdzie wracał po latach. Hongkong był zbyt gwarny, zbyt ludny i zbyt samowystarczalny. Nie lubił go. Ale tu zaczynał się Orient i wielki biznes. Miasto kontrastów, wielkich fortun i wielkiej nędzy, gdzie pieniądze i bogactwo przyływały i odpływały jak fala, miasto-wybryk natury na progu komunistycznego molocha, Chin. Samolot podchodził od południa. Z prawej strony Hatcher zobaczył pierwsze czerwone błyski świtu. Przelecieli nad Shaukiwanem, dzielnicą nędzy i pływających ruder, minęli wyspę Hongkong, zatokę i znaleźli się nad półwyspem Koulun, na wprost portu, w którym tłoczyły się statki wszystkich bander, otoczone dżonkami i łodziami jak zmęczone suki głodnymi szczeniętami.

Miał tu wielu przyjaciół i wielu wrogów, którymi nie zaprzętał sobie głowy. Na początku szkolenia Sloan powiedział: „Nie rozpamiętuj przeszłości. To osłabia instynkt”.

Dochodziła piąta rano. Do startu samolotu lecącego bezpośrednio do Bangkoku zostały mu zaledwie dwie godziny. Zbyt mało, żeby zaczęły się poważniejsze kłopoty. Postanowił zjeść coś w restauracyjce kilka mil od lotniska i ruszyć dalej.

Gdy tylko wszedł do terminalu, okazało się, że musi zmienić plany.

— Uwaga, pan Hatcher proszony jest o pilny kontakt ze stanowiskiem linii Pan American. Powtarzam, pan Hatcher... — Nie słuchał dalszego ciągu wezwania. Udał się prosto do Pan Amu.

— Wzywano mnie. Jestem Hatcher — powiedział do smukłej Azjatki za pulpitem.

— Zechce pan przejść do kabiny na końcu kontuaru — odpowiedziała uprzejmie.

Telefonistka była nie mniej uprzejma.

— Jest pan proszony o kontakt z Waszyngtonem — powiedziała i poddyktowała numer. — Rozmowa na koszt odbiorcy. Prosić sierżanta Flitcrafta.

Powtórzył numer, podziękował i udał się do kabiny. Połączył się błyskawicznie.

— Słucham, Flitcraft — odpowiedział szorstki głos po drugiej stronie. Potwierdził przyjęcie rozmowy i zapytał: — Pan Hatcher?

— Tak.

— Czy zechciałby pan podać swój dawny numer identyfikacyjny z Marynarki Wojennej?

— Oczywiście. N3146021.

— Dziękuję panu. Właśnie przeszedł pan test głosu. Pułkownik Sloan prosi, by czekał pan na niego w Hongkongu. Przyleci za kilka godzin. Mają panowie sąsiednie pokoje w hotelu „Peninsula”. Spotkanie o dziesiątej zero zero, ze zwykłą tolerancją.

— To wszystko?

— Tak, proszę pana.

— Dziękuję, sierżancie. — Hatcher odłożył słuchawkę i zaklął.

„Sloan naprawdę się przejął. Ciekawe, o co mu znowu chodzi?” — pomyślał.

Hotel „Peninsula” był wizytówką Hongkongu. Wznosił się na skraju Koulunu na wprost przystani promu wożącego pasażerów do centrum na wyspie Hongkong i nieodmiennie kojarzył się Hatcherowi z wielką boją świetlną. Przed wejściem parkowały wytworne limuzyny dla gości hotelowych, a obok nich ustawiał się rząd riksza. Kierownikiem recepcji był niski, ulizany Azjata w ciemnym dwurzędowym garniturze. Recepcjonistki ubrane były w tradycyjne *cheongsam* z brokatowanego jedwabiu. W głębi hallu kobieta wyglądająca na Szwedkę grała chińskie melodie na szwajcarskiej harfie dla tych, którzy albo wcześniej wstali, albo dopiero mieli zamiar pójść spać. Wschód i Zachód istniały obok siebie i żyły w doskonałej harmonii, tworząc niepowtarzalny klimat jednego z najpiękniejszych hoteli na świecie. Gości traktowano tu jak koronowane głowy.

Wszedł do pokoju, a boy rozwiesił garnitury, włączył wentylator i telewizor, po czym zniknął. Wrócił po minucie z kubelkiem lodu.

— *Mm goi* — podziękował Hatcher i wsunął mu w rękę pięć dolarów hongkongijskich.

Kiedy został sam, wyłączył telewizor i wyszedł na balkon. Przez ostatnie trzy dni niewiele spał. Wilgotna poranna bryza orzeźwiająco muskała twarz. Nocna mżawka ustępowała przed słońcem. Nad wyspą niebo wypogodziło się, a wieżowce u stóp Góry Wiktorii lśniły jak klejnoty.

Zamówił śniadanie do pokoju i kazał nakryć na balkonie. Patrzył na ruch w porcie, na promy i na tramwaj wpełzający na górę.

Zapadł w drzemkę. Zaczął odczuwać skutki podróży samolotem odrzutowym. Nie wiadomo dlaczego, nagle stanęła mu przed oczami tamta noc sprzed dziesięciu lat. Tramwaj wspinał się mozolnie pod górę wśród figowców w dzielnicy willowej. Ciemna sylwetka Harline'a czekająca na szczycie. Uśmiechnięta twarz rozjaśniona żarem papierosa. Hatcher kieruje się stroną punktu widokowego na urwisku. Harline przyjaźnie wyciąga rękę. Padają słowa powitania wypowiedziane zmęczonym głosem, z wiktoriańskim akcentem: „Dobrze się robi interesy z ludźmi, którym można zaufać”. Hatcher upuszcza kopertę. Udaje, że się po nią schyla. Chwyta Brytyjczyka pod kolanami i podrzuca w górę. Harline przelatuje nad barierką i spada w przepaść. Krzyk przerażenia milknie w ciemnościach.

Wzdrygnął się, wyprostował i spojrzał na Górę Wiktorii. Dziesięć lat. Skąd to się wzięło i dlaczego? Wczoraj należy do historii. To czas przeszły dokonany. Nie wolno cofać się myślami, o ile nie wymaga tego sytuacja albo zadanie. „Jeśli wracasz do przeszłości — mówił Sloan — to tylko po to, by rozbudzić uśpiony instynkt i ożywić podświadomość. To czasem okazuje się niezbędne, żeby wyjść cało z opresji”. Dlaczego nagle wróciły te obrazy? Dlaczego igrają na obrzeżach strefy podświadomości i nie odstępują go nawet na krok? Niespodziewanie dla siebie zaczął się zastanawiać, dlaczego zabił Harline'a. Sloan nie wyjaśnił tego nigdy, a on nie pytał. „To konieczność. Jesteś żołnierzem. Żołnierz spełnia powinność i nie zadaje pytań” — odparł Sloan, gdy Hatcher kiedyś chciał się dowiedzieć „dlaczego?” Więcej nie pytał o powody. Jednak teraz, po raz pierwszy odkąd poznał Sloana, zrodziła się wątpliwość. „Co to za żołnierz bez munduru, numeru ewidencyjnego, pełnomocnictw i tożsamości? Czy ktoś taki w ogóle jest żołnierzem? A jeśli nie, to kim jest, do diabła?” Coraz częściej wątpił w racje Sloana.

Nad wyspą pojawiły się skrzynekowe latawce z czarnymi ogonami. Spędziły noc pod drzewami, które dawały osłonę przed deszczem, i ruszyły w przestworza z nastaniem świtu. Od wieków dzieliły przestrzeń powietrzną wyspy z tai-panami — najbogatszymi i najbardziej wpływowymi przedstawicielami finansjery, których domy i pałace wznosiły się jak fortece na

stromym zboczcu góry. U jej stóp leżało centrum, gdzie biło serce wielkiego biznesu. Tu chińscy gangsterzy uprawiali harce z brytyjskimi bankierami i tai-panami; tu królowało złoto, a jedyną obowiązującą etyką była etyka pieniądza.

Wyspa stanowiła dzieło piratów i przemytników. Od stuleci jedyną rzeczą, która się tam zmieniała, był czas.

Czas. Hatcher wrócił myślami do Cohena. Tym razem wspomnienie nie należało do przykrych.

Rozmyślał o człowieku, który sprawił, że Orient był tym, czym był. Rob Cohen, tajemniczy eksAmerykanin, stał się żywą legendą Hongkongu. Hatcher był jednym z nielicznych szczęśliwców, którzy znali dokładnie przebieg jego kariery, i mimo upływu lat pozostał jego przyjacielem.

Pierwsze spotkanie miało miejsce dziesięć lat temu. Cohen znany był już jako król Szlaku Makau i wcale nie po królewsku zajmował się kontrabandą. Pod nosem celników kilka razy w tygodniu przerzucał na łodziach olbrzymie ilości towaru z wprawą Rothschilda i finezją chińskiego mandaryna.

Znano go wówczas jako białego Tsu Fi rzeki. Upłynęło sporo czasu, zanim Hatcher w pełni zrozumiał, co to znaczy. Gdy trafił do Hongkongu, wiedział tylko, że jeśli kogoś interesowały tajemnice buduaru i alkowy, to jedynym człowiekiem, który mógł zaspokoić tę ciekawość, był Cohen — niski, żylasty, niezmordowany Żyd w chińskich szatach, mówiący z bostońskim akcentem. Przekonał się niebawem, że ów pseudomandaryn z kozią bródką znał doskonale trzy lokalne dialekty, kontrolował cały handel na rzece i był najbardziej tajemniczą postacią, której imię wymawiano z szacunkiem i bojaźnią.

Zanim się spotkali, wysłuchał wielu plotek, bajek i pomówień na jego temat. W każdej z nich tkwiło ziarno prawdy. Jednak cała prawda przerażała wyobrażenia nawet najbardziej zagorzałych adwersarzy Cohena. Minęło kilka lat, w ciągu których dwaj inteligentni przeciwnicy stali się bliskimi przyjaciółmi darzącymi się pełnym zaufaniem, a Hatcher powoli zrekonstruował historię białego Tsu Fi.

Hongkong, 1975. Biuro Cohena mieściło się w dwóch obskurnych i zakurzonych klitkach nad salonem akupunktury przy ruchliwej Cat Street. W gruncie rzeczy był to przedpokój z jednym oknem, wnęką i dwoma niewygodnymi krzesłami. Brakowało klimatyzacji, a wiekowy wentylator pod sufitem przestał działać chyba za czasów drugiej dynastii. W pomieszczeniu było gorąco.

— Pan Hatcher? Proszę do środka — powiedział Cohen z mieszaniną akcentów bostońskiego, oksfordzkiego i śpiewnego chińskiego.

Hatcher musiał zmrzyć oczy i dopiero po dłuższej chwili wpatrywania się w kłęby kurzu przecinane smugami światła zdołał zlokalizować kontury postaci siedzącej plecami do okna na krześle z wysokim oparciem. Rozpoznał ją.

— Spotkaliśmy się już kiedyś — powiedział wyciągając rękę.

— Zgadza się. — Cohen uściśnął wyciągniętą rękę i uśmiechnął się. — Dwa lata temu na rzece Beijiang w Chinlandzie.

— Sam-Sam Sam i jego ludzie — powiedział Hatcher skinąwszy głową. Cohen roześmiał się serdecznie.

— To też się zgadza. Niezły spryciarz z niego, prawda? Mówią, że potrafi przelecieć panienkę i jej pudła, zanim spostrzegą się, że ktoś się do nich dobiera. Masz dobrą pamięć, *gwai-lo*.

— Nie gorszą niż pan.

Cohen uśmiechnął się.

— Jezu, nareszcie ktoś mówi normalnym językiem. Nawet pan nie wie, jak czasem za tym tęsknię. Z tymi tutaj można tylko poćwierkać o pogodzie. Nie mają bladego pojęcia o ludzkiej mowie.

Po tym spotkaniu przed dwoma laty Hatcher uznał, że nie warto zadawać się z Cohenem. Sprawiał wrażenie dętego cwaniaczka, a tacy nie mieli przyszłości na rzece. Później się okazało, że źle ocenił Cohena, który tamtej nocy wyruszył na pierwszą wyprawę do Chinlandu, jak nazywał czerwone Chiny.

Przez trzy lata Hatcher rozpracował rzeki i dorzecza od wschodniej Tajlandii poprzez delty i tarasy Kambodży i dalej na północ do Laosu, Wietnamu i Chin. Szlak Makau i Hongkong. Poznał Irawadi, Mekong, dorzecze Yalu oraz miasta i wsie, w których przyjmowano go albo ignorowano. Autochtoni widzieli w nim najemnika bez flagi i skrupułów, służącego tylko sobie i pieniądзом. Podróżował nocą, by uniknąć patroli czerwonych w Wietnamie. Gdy natknął się na komunistów, mówił po rosyjsku. Wyszedł cało dzięki tupetowi, bezczelności, ale także dzięki temu, że nie angażował się po żadnej stronie. Jego zadaniem było zdobyć informacje nie powodując zamieszania. Wykonał je dobrze, nie wzbudził podejrzeń. Obserwował i nie zadawał pytań.

Interesowały go tajne szlaki, źródła, punkty przerzutowe, a przede wszystkim powiązania z czarnym rynkiem w Sajgonie. Z taką misją zjawiał się na pamiętnym spotkaniu w 1973 roku. Nazywali się Ts'e K'am Men Ti, Tajni Strażnicy Wrót. Od czasu do czasu robił z nimi interesy, by nie osłabić

swojej wiarygodności. Pod pozorem handlu bronią gromadził informacje na temat kanałów przerzutowych i łączników z podziemiem w Hongkongu. Znano go jako *gli Occhi di Sassi*, „Kamienne Oczy”. Przydomek ten nadał mu jeden z zaufanych w jego zespole, Tony Bagaglio — były inkasent i egzekutor mafijny.

Stojąc w zakurzonym biurze Hatcher przypomniał sobie pierwsze spotkanie. Cohen wynurzył się z gęstej mgły jak nieziemski stwór, ubrany w jedwabny *cheongsam*. Kozia bródka sterczała nad dziobem łodzi. Oprócz niego na pokładzie był tylko sternik — masywny Chińczyk o twardych ryśach. Spotkanie miało miejsce na wąskiej odnodze rzeki Beijiang, czterdzieści mil na północ od Makau.

„Niech mnie licho — pomyślał Hatcher — co tu robi cadyk w fataląszkach mandaryna?”

Wkrótce poznał odpowiedź.

## COHEN, 1973

Cohen także pamiętał tę noc.

Płynąc we mgle zadał sobie podobne pytanie: „Ciekawe, co tu robi ten przystojniaczek bez pejsów z dyplomem Harvardu w kieszeni?”

Barka, która wynurzyła się z oparów tak nagle, że Cohen zamarł ze strachu, okazała się pływającym domem towarowym. Było tam praktycznie wszystko: od aparatów fotograficznych do chińskiej porcelany i indyjskiej herbaty. Grube brezentowe plandeki chroniły ładunek przed wilgocią.

Han, sternik i osobista ochrona w jednej osobie, przytknął przepustnicę i łódź zwolniła, kierując dziób w stronę barki. Cohen czuł gwałtowne bicie serca i pulsowanie w skroniach. Zaszło mu w ustach ze strachu.

Na fordeku stał człowiek o najbardziej odrażającej twarzy, jaką widział w życiu. Był kilka cali niższy od Cohena, ale lepiej zbudowany, i spoglądał złowrogo na łódź. Krótkie muskularne ramiona pokrywały tatuaże. Z prawej strony czaszki o orientalnych kształtach rozciągała się wielka szrama po oparzeniu, biegnąca w dół aż do resztek ucha. Powolnym ruchem odsłonił bliźnię. Długie czarne włosy sięgały mu ramion. Biodra opinał pas z nabojami i bogato zdobioną, ręcznie szytą kaburą na uzi, przywiązaną rzemieniem do uda. Mężczyzna miał trzy złote zęby z przodu. Krążyły pogłoski, że jeden

z nich należał do pechowego Anglika, który lekkomyślnie próbował obejść niepisane prawa rzeki i ubić interes bezpośrednio z Ts'e K'am Men Ti.

Człowiek o odrażającej twarzy nazywał się Sam-Sam Sam, *do wong* – Książę Noża, jednoosobowy związek zawodowy i strażnik praw rzeki. Nic nie działo się tu bez jego wiedzy i pozwolenia. Ładunek barki stanowiły składki i haracz od tych, którzy chcieli nawiązać współpracę z tai-panami w Hongkongu.

Cohen przełknął z trudem. Usta miał coraz suchsze.

Na barce za plecami Sam-Sam Sama znajdowało się około dwudziestu ludzi. Wszyscy byli ubrani w czarne koszule, spodnie khaki do pół łydki, a na głowach mieli czerwone przepaski. Wyglądali jak oddział czerwonych khmerów uzbrojony w uzi, kałasznikowy, M-16 i pythony 357, czekający na inwazję. Za nimi stały młode kobiety, tak samo ubrane i tak samo gotowe na wszystko. Za szarfami na ich biodrach tkwiły noże i pistolety.

Wszystkie lufy w męskich rękach były wycelowane w brzuch Cohena.

Biały mężczyzna w bawełnianych spodniach i bluzie khaki stał opierając się o stos pod brezentem. Był wysoki, przystojny i dobrze zbudowany. Kil-kudniowy zarost pokrywał opaloną twarz, a czarne, lekko potargane włosy zasłaniały uszy sięgając szyi. Rękawy niebieskiej wiatrówki związał wokół talii. W kaburze po pachę tkwił półautomatyczny HK 9. Szerokie rondo kapelusza safari było pofałdowane i wyblakłe od słońca i wilgoci. Mężczyzna trzymał ręce w kieszeniach i uśmiechał się. „Nie, to nie jest uśmiech. Ten drań łypie, jakby czegoś chciał” – pomyślał Cohen.

– Wyglądają na czerwonych khmerów – szepnęła do Hana.

– To przebranie. Dzięki temu nikt się ich nie czepia – odparł sternik.

Cohen szybko zorientował się w sytuacji. Przez chwilę czuł się jak przeżony paranoik. Nie chciał, by tamci usłyszeli, jak serce mu łomocze ze strachu. Stosunek sił wynosił piętnaście do jednego. W razie konfrontacji nie mieli żadnych szans. Zdecydował się ruszyć pierwszy.

– Pójdę sam.

– Niedobrze. Nie znają cię – odradzał Han.

– Mam to – powiedział. Otworzył dłoń, na której błysnęła złota dwudziestodolarówka z wizerunkiem królowej Wiktorii. – Stań tak, żeby cię dokładnie widzieli. Jak się zdenerwują, nie pociągniemy długo.

Przeszedł na dziób, gdy łódź dobiła do burty. Odsonił *cheongsam* pokazując, że jest bez broni, i ostrożnie wszedł na barcę.

– Nie przychodzę szukać zwady – powiedział po chińsku do brzydala

ze szramą. — Przychodzę w pokoju, by uczynić was wszystkich bogatymi.

Tamten wlepił w niego wzrok i nie odpowiadał.

— Jestem Cohen.

Brzydał wciąż patrzył.

Cohen przecisnął się do brezentów. Odsłonił płachtę, pogładził zwój tajlandzkiego jedwabiu i z uznaniem skinął głową.

— Dobry towar — powiedział. — O taki mi chodzi. — Podniósł dłoń i wyliczając na palcach mówił dalej: — Chcę japońskich aparatów fotograficznych z dobrych firm. Wieży stereo Sony i Panasonic. Tajlandzkiego jedwabiu, nie za taniego, w dobrym gatunku, jak ten tutaj. — Wskazał na zwój. — Interesuje mnie zielony. Farbowany biały rozpoznam od razu. Poza tym statuetek i posążków chińskich bożków. Zapłacę dobrze za wszystko, co ściągacie z Chinlandu i Tajlandii.

Brzydał stał z rękami na biodrach, paląc cygaro. Wygolone miejsce koło szramy połyskiwało w ciemności. „No, dobra, musisz pokazać ludziom, żeś nie byle kto — pomyślał Cohen. — Pewnie będziesz chciał mnie przeczołgać”.

— A kim ty niby jesteś, do cholery? — zapytał brzydał.

— Już mówiłem. Jestem Cohen.

Tamten spojrzął na swoich ludzi, którzy roześmiali się szyderczo. Zamienił z nimi kilka słów i odwrócił się do Cohena.

— Oni uważają, że trzeba cię najpierw obdrzeć żywcem ze skóry, a potem przybić do burty.

Cohen rzucił portfel na stół.

— Śmiało. Zarobicie wtedy całe dziesięć dolarów hongkongijskich. Nie wydaje mi się, żeby byle półgłówek mógł być *do wong*.

Brzydał gwizdnał przez zęby i wolno pokręcił głową. W jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski. Zgryzł mocniej koniec cygara i położył rękę na kolbie uzi.

— Chcesz powiedzieć, że jestem półgłówkiem, *gwai-lo*!

— Nie. Chcę powiedzieć, że żaden półgłówek nie zostałby nigdy w życiu Księciem Noża. Gdybyś był głupi, obdarłbyś mnie ze skóry dla dziesięciu dolarów. Mogę sprawić, że będziesz dziany.

— Już jestem dziany, *gwai-lo* — powiedział dumnie brzydał.

— Od przybytku głowa nie boli.

— Jesteś mocny w gadce.

— Słabszych już dawno zjadły ryby.

Brzydał odrzucił głowę w tył i roześmiał się serdecznie. Załoga poszła w ślady szefa. Słowa Cohena przypadły jej do gustu.



- Jak płacisz? — zapytał pirat.
- Walutą Hongkongu. Na dolarach i złocie gorzej się wychodzi.
- A niby dlaczego ja miałbym robić z tobą interesy, co?

Cohen uniósł w palcach złotą monetę. Zalśniła w świetle reflektora.

Sam-Sam podszedł i obejrzał ją dokładnie.

- Przysłał cię Tsu Fi?

— Mówię w jego imieniu — potwierdził Cohen. — Mam dużo dolarów, a możemy mieć więcej. Nie jakieś ochłapy od Anglików. Interes ze mną jest pewny, jasny i prosty. Każdy zarabia. Bajer i kantowanie to strata czasu. Przejmuję towar od ciebie i moja głowa w tym, jak go rozprowadzić w dole rzeki. Biorę na siebie celników i Szlak Makau. Wasza robota to dostarczyć mi towar, to wszystko.

Biały poruszył się i powiedział po angielsku:

- Widzę, że jesteś facet z ikrą.
- Skąd wiesz, że znam język? — zapytał Cohen.
- Masz bostoński akcent.
- A ty dobry słuch. Nazywam się Cohen.

— Hatcher — odpowiedział mężczyzna w khaki spokojnym i rzeczowym tonem. Mówił beznamytnie, ale też bez wyraźnej wrogości, jak ktoś, kto wie, że nie warto z nim zadzierać.

Uścisnęli sobie dłonie. Hatcher miał zimne, nieprzeniknione oczy. Uśmiech rzadko gościł na jego twarzy, Cohen uznał, że lepiej nie mieć w nim przeciwnika. „Hatcher. Trzeba zapamiętać to nazwisko” — pomyślał.

- Nie jesteś z tej bandy — stwierdził.

— Nie. Próbuję zarobić trochę do spółki z nimi. Tak jak ty — odparł Hatcher.

- Jak wypadłem?

— Chyba nieźle, skoro Sam-Sam jeszcze nie poderżnął ci gardła. Co mu pokazałeś?

- Część zapłaty z dołu — mruknął Cohen i puścił oko.

- Gdzie trzymasz towar?

— Niedaleko stąd — szepnęła Cohen. — Plus dziesięciu ludzi i trochę papierów. Nie lubię pokazywać karty, dopóki wszyscy nie obstawili.

Brzydał odbył krótką naradę z kilkoma zabijakami i wrócił do Cohena.

— Jestem Sam-Sam Sam, *do wong* Ts'e K'am Men Ti. Powiesz mi, czego chcesz i jak się rozliczamy. Interes załatwiamy osobiście. Bez pośredników.

Cohen uśmiechnął się i puścił oko do Hachera.

— Zatem przejdźmy do rzeczy — powiedział do brzydala.

Zdarzyło się to dwa lata przed spotkaniem w obskurnym biurze na Cat Street. Od tamtego dnia Cohen wiele przeszedł, aż wreszcie został Tsu Fi, głową wszystkich głów i najwyższym pośrednikiem na wyspie. Przez następne lata wielokrotnie pomagali sobie nawzajem, wymieniając rady i informacje. To, co zaczęło się jako partnerski układ dwóch ludzi interesu, z czasem przerodziło się w przyjaźń i pełne zaufanie.

Hatcher wpatrywał się w zalesiony stok Góry Wiktorii, gdzie wśród drzew kryły się rezydencje socjety Hongkongu.

Matecznik Cohena.

„Ciekawe, czy facet jeszcze żyje?” — zastanawiał się.

## CH'UANG TZU-CHI

Siedział na balkonie i patrzył w dal ponad zatokę. Zmęczone powieki zamykały się same. Zaczął odczuwać lekki dyskomfort psychiczny. Przyczyną złego samopoczucia były nagle rozbudzone instynkty, przeczucia i wspomnienia. Zdawało mu się, że odsunął je od siebie na dobre, lecz mimo wszystko wróciły, gdy znalazł się ponownie w sercu Orientu. Ludzie Dalekiego Wschodu mieli rzadki dar postrzegania pozazmysłowego; wierzyli nie tylko w reinkarnację, ale także w sny i wizje. Hatcher nigdy do końca nie zaakceptował ich filozofii i pojęć, niemniej jednak musiał przyznać, że kilka razy instynkt i wspomnienie w porę ostrzegły go przed niebezpieczeństwem.

Miał wrażenie, że znów zaczęły pracować na najwyższych obrotach.

Sloan leciał do Hongkongu. Na pewno chodziło o coś więcej niż złożenie przyjacielskiej wizyty w pokoju Hatchera.

Był zbyt zmęczony, by dostrzec to wcześniej, ale gdy nieco odpoczął drżąc na balkonie, oładnęło nim przeczucie, że stało się coś złego. Czy istniały inne powody, dla których Sloan fatygowałby się osobiście do Hongkongu?

Na Zachodzie nazywa się to pamięcią, introspekcją albo instynktem. Chińczycy wyrażają to w bardziej poetycki sposób: *ch'uang tzu-chi* — okno do wnętrza.

Sloan twierdził, że uleganie *ch'uang tzu-chi* oddziałuje destrukcyjnie na psychikę, gdyż wspomnienia atakując umysł przytępiają zmysły, co w konsekwencji prowadzi do dekoncentracji. Brak skupienia i niewłaściwy tok rozumowania pociągają za sobą złą ocenę sytuacji, a to zwykle ma tragiczne następstwa dla rozamiętującego. Było to słuszne, ale tylko w rzeczywistości,

w której poruszał się Sloan. Przez okno można wiele zobaczyć.

W Los Boxes Hatcher miał tylko *ch'uang tzu-chi*. Początkowo introspekcja wydawała mu się niemożliwa — jakby ktoś chciał pić z pustej szklanki. Z pomocą sto dwadzieścia sześć zdołał zrekonstruować te fragmenty swojej przeszłości, które sprawiały mu przyjemność. Przypomnił sobie smak mocnego wina, dotyk ciepłych ust i radość spełnienia; krótkie chwile, kiedy miłość była obok, przyjemność zdawała się nie mieć końca, a natarczywa śmierć oddalała się chyłkiem; chwile, których dotykał i które pieścił w mrocznej norze. Dzięki nim przeżył.

Próbował otrząsnąć się z tych wspomnień. Postanowił się przespać. Sloan miał przylecieć dopiero za cztery godziny. Do tego czasu na pewno uda mu się przynajmniej częściowo zneutralizować skutki podróży odrzutowcem. Wszedł do pokoju, rozebrał się i położył na podłodze. Patrzył na ruchome cienie wentylatora na suficie.

Nie starał się przywołać snu. Wolał poczekać, aż przyjdzie sam. Nagle znów myślami znalazł się w celi, gdzie kraty rzucały cień na ścianę i gdzie wpatrywał się *ch'uang tzu-chi*, jedyną niewyraźną kopię rzeczywistości. Stał się uzależniony od okna do wnętrza. Po powrocie do świata wielokrotnie próbował pozbyć się tego nałogu, niestety na próżno.

Leżąc na podłodze poczuł, że okno otwiera się znowu, a za framugą zamajaczyło wspomnienie pierwszego spotkania z Ginią. Woda na mokradłach załśniła czerwonym blaskiem wschodzącego słońca.

Pierwsza reakcja była czysto fizyczna. Ginia stała na pomoście obok żagłówki. Miała na sobie górę bikini i krótkie spodenki. Piękne ciało i wdzięczne ruchy oszołomiły go do tego stopnia, że nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, przerwał załadunek łodzi, zastygł w bezruchu i gapił się jak sztabak. Gdy spojrział w górę, zobaczył, że ona też patrzy na niego i ma ciemne, prawie czarne oczy.

— Za chwilę rozbierze mnie pan wzrokiem do naga i aresztuje za obnażanie się w miejscu publicznym — powiedziała uśmiechając się nieznacznie.

Jej towarzysz, bogaty i sflaczały chłoptaş z gatunku złotej młodzieży, próbował rozwinąć grot. Kac dopadł go właśnie, a rozdygotane ręce nie słuchały właściciela. Spojrział w górę i zapytał:

— Mówiłaś coś?

— Nic takiego, skarbie — mruknęła i gdy ponownie zajął się żaglem, skierowała wzrok na Hatcher'a.

Podszedł i obejrzał ją z bliska od góry do dołu.

— Że też życie musi być takie krótkie — powiedział ochryple.

Stała jak zahipnotyzowana. Po chwili uśmiechnęła się, potem roześmiała i odparła:

— To smutne, prawda?

Hatcher wskazał palcem młodzieńca zmagającego się z grotem.

— To Roger — rzekła cicho.

Zwrócił się w jego stronę i najgłośniejszym głosem powiedział:

— Roger?

Tamten spojrział na niego i chwycił się masztu, żeby ustać na nogach.

— Zapewne ta nowina ucieszy cię niezmiernie. Możesz iść do domu, Roger. Pani płynie ze mną. Wracaj do łóżka, przyjacielu.

— A kto tak mówi? — zapytał zaskoczony chłopak.

Hatcher spojrział na Ginie.

— Ja tak mówię, Roger — odparła.

Tego dnia było wspaniale. Zdjęła bikini, delikatnie pogładziła palcami jego twarz, przyłgnęła doń całując szyję i nagi tors. Przesunął dłońmi po jej plecach i zanurzył palce we włosach. Zadrżała i napięła mięśnie. Na rękach i ramionach dostał gęsiej skórki. Poznawali swoje ciała obsypując się pieszczotami i szepcząc czule. Gdy nie dało się już dłużej odkładać spełnienia, a zmysłowe drżenie stało się gwałtowne i szalone jak trzęsienie ziemi, przyciągnęła go do siebie z całych sił. Wszedł w nią i szepty przeszły w krzyk. Świat zawisł w czasie.

Wyciągnął ręce w ciemnościach i poczuł muśnięcie powietrza. Chciał, by chwila trwała wiecznie. Wiedział, że już nigdy nie zwalczy w sobie przywiązania do *ch'uang tzu-chi*.

Na krawędzi snu zdał sobie sprawę, że okno, które teraz majaczyło lekko uchylone, było powodem jego niepokoju. Był pewien, że stało się coś złego. Wiedział także, że nie potrafi zapomnieć dawnych przyjaciół i wrogów. Czuł, że wyprawa będzie o wiele trudniejsza, niż początkowo sądził, i pozostało tylko mieć nadzieję, że ze względu na niebezpieczeństwa, czekające nań w Makau, Bangkoku i na rzece, uda mu się w porę zamknąć okno.

Zaprogramował wewnętrzny budzik na jedenastą rano, złożył ręce na piersiach i zaczął odliczać wstecz od dziesięciu. Zapadł w głęboki sen, zanim doszedł do czterech.

## KOMPLIKACJE

Obudził się za pięć jedenasta. Nie wstawał. Wpatrując się w ruchome cienie łopat wentylatora na suficie, nasłuchiwał. Od Los Boxes jego słuch wyostrzył się tak, że usłyszałby nawet karalucha na puszystym dywanie. Drzwi windy otworzyły się i zamknęły. Dwaj mężczyźni podeszli do sąsiedniego pokoju. Szczęknął otwierany zamek, a potem ktoś przesunął wieszaki w szafie. Boy zamienił kilka słów z gościem i zamknął za sobą drzwi.

Znał dobrze Sloana. Zanim obwieści, że dotarł na miejsce, zamówi lunch do pokoju — zimne przekąski, kawę i alkohol, a potem weźmie prysznic. Sloan lubił prysznic nie mniej niż alkohol.

Odczekał, aż kelner wyjdzie z pokoju, i gdy usłyszał szum natrysku, wstał i ubrał się. Igłowym wytrychem otworzył zamek w przechodnich drzwiach i wszedł do pokoju. Sloan był w łazience i nucił coś pod nosem.

Podszedł do łóżka i sięgnął pod poduszkę. Czterdziestkapiątka była na miejscu. Wyjął magazynek i nabój z komory. Wsunął pistolet pod poduszkę i stanął za drzwiami do łazienki. Sloan skończył i wyszedł nagi z łazienki wycierając włosy ręcznikiem. Skierował się do łóżka nie przestając nucić.

Hatcher poruszył drzwiami. Skrzyknęły cicho.

Sloan odruchowo zrobił zwód w prawo i skoczył na łóżko sięgając pod poduszkę.

— Za późno. Jesteś martwy — szepnęła Hatcher.

Z westchnieniem ulgi Sloan siadł na podłodze i spojrzał na gościa. Twarz wykrzywił mu tradycyjny uśmiech. Jak za dawnych lat rozegrali ulubiony gambit, lecz tym razem Sloan wiedział, że to nie tylko żart. Hatcher szybko nauczył się reguł gry, z których jedna brzmiała: „Żadnych osobistych uczuć i sympatii w pracy — to zniekształca obraz sytuacji”. Przynajmniej tak to rozumiał. Podjął się zadania, które wykona bez względu na to, co czuł do Sloana. Praca na pierwszym miejscu. Nie wybaczył Harry'emu zdrady i jeśli tamten sądził, że znów mu ufa, był w błędzie. U Christiana Hachera na liście grzechów głównych zdrada stała wysoko.

Wyszedł z cienia i rzucił magazynek na łóżko.

— Kiedyś byłeś szybszy — powiedział. — À propos, ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie chował sploty pod poduszkę. To tak jakbyś chował brylanty pod siennik. Złodziej zawsze zaczyna od łóżka.

Sloan załadował broń i schował ją pod poduszkę.

— Psychologia odwrócona — powiedział i owinąwszy ręcznik wokół bioder, poszedł do łazienki. Wrócił po chwili, czesząc krótko ostrzyżoną

czuprynę. — Mamy pewien problem, stary — rzucił od niechcienia, nie przestając się uśmiechać.

— Konkretnie?

— Przedwczoraj w nocy ktoś wbił nóż w poczciwego Portera — powiedział bez ogródek. — Cykor nie żyje.

— Co takiego?!

Hatcher słuchał wywodu Sloana rozglądając się po pokoju z olbrzymim łóżkiem, trzcinowymi meblami i z tapetą w pastelowe kwiaty. Wazon z orchideami na toaletce ożywiał nieco atmosferę. Na balkonie z widokiem na rzekę stały kunsztowne mebelki z białej wikliny. Wentylator pod sufitem niestrudzenie mieszał powietrze, które z każdą chwilą stawało się coraz bardziej lepkie i gorące.

— O ile można wierzyć policji z Bangkoku, Cykor próbował zapobiec bójce.

— A naprawdę? — zapytał Hatcher.

— Nie wiem. Może rzeczywiście było tak, jak piszą. Będę znał szczegóły, jak dotrę na miejsce — odparł Sloan.

Nalał kawy do filiżanki i podał Hatcherowi. Do szklanki wrzucił kostkę lodu i nalał sobie godziwą porcję szkockiej.

— Gdzie dostał?

Po chwili wahania Sloan odpowiedział:

— W kark. Podstawa czaszki.

— Pięknie. Klasyczny cios triady. Jeśli on chciał zapobiec bójce, to ja wczoraj dostałem Nobla.

— Nie wydaje mi się, żeby stały za tym Białe Dłonie. Jaki mogłyby mieć motyw? — odrzekł Sloan pociągając ze szklanki.

— Mnie pytasz? Przyjechałem odszukać Cody'ego, a teraz okazuje się, że jedyny kontakt nie żyje i prawdopodobnie jest to robota triady. Może jednak przestałbyś pogrywać sobie ze mną, Harry. Chyba dość wyraźnie dałem ci do zrozumienia jeszcze na wyspie, że...

— Po co ta paranoja, Hatch? — Sloan uśmiechnął się szerzej. — Nawet nie mamy pewności, że to sprawka triady. Może po prostu idiotyczny przypadek.

— W tym fachu nie ma czegoś takiego jak idiotyczny przypadek.

— Zawsze są wyjątki od reguły — powiedział szarmancko Sloan. — Jak na razie, to nie mam wątpliwości co do jednego. Tylko Porter wiedział, co się dzieje.

— Złapali zabójcę?

— Zabójców — poprawił Sloan i pokręcił przecząco głową.

— Czy można przyjąć, że Porter śledził Wol Pota, kiedy to się stało?

— Kto wie, może i tak — Sloan wzruszył ramionami. — Może zgubił Wol Pota. Może tamten mu się wymknął. A może wziął wolny wieczór. Według mojego rozeznania dostał nożem próbując rozdzielić dwóch typów bijących się o dziwkę na pływającym burdeliku. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że pewnie śledził wtedy Pota.

— A Wol Pot ma powiązania z triadą Białych Dłoni.

— Tak sądzą ci z Biura Imigracyjnego.

— Zatem nasuwa się pytanie, czy ten Tajlandczyk jeszcze żyje i czy wciąż można stwierdzić, że jest po naszej stronie, o ile w ogóle kiedyś był — powiedział Hatcher i spoglądając przez okno dodał: — Ktoś mówił, że to prosta sprawa.

— Daj spokój, Hatch. Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Po prostu mamy mały poślizg w programie.

— Mamy trupa. I to wszystko, co mamy. Nie nazywałbym tego małym poślizgiem.

— Do jasnej cholery, Hatch, siedzimy w tym za długo, żeby przyblokował nas taki drobiazg jak trup Portera.

— To ty siedzisz. Ja siedziałem w Los Boxes.

Sloan westchnął.

— Nie psuj nastroju, proszę — powiedział z filmowym uśmiechem. — W imię starych dobrych czasów.

— Stare dobre czasy skończyły się dość dawno temu.

— Wykonywałem swoją robotę.

— Wykonywałeś to, co ci kazała banda włazidupków z piwnic Białego Domu.

Sloan pochylił się do Hatchera i zaczął przebierać palcami niczym magik, który za chwilę wyjmie królika z cylindra. Nieodłączny uśmiech przrósł mu do twarzy na dobre.

— Taki mam zawód — powtórzył z naciskiem.

Mimo że wciąż się uśmiechał i mówił spokojnie, był zaniepokojony. Dawniej, kiedy pracowali razem, nie musiał niczego wyjaśniać. Po prostu podawał parametry, a Christian instynktownie wyczuwał, co i jak należy zrobić. Czyżby nagle zwątpił w słuszność koncepcji brygady? Do tej pory nie przyszło mu to do głowy ani razu. Zakładał jedynie, że Hatcher czuje się oszukany i zdradzony. Zmrużył oczy i powiedział:

— Jeśli chcesz mnie uraczyć kazaniem, stary, to daj sobie spokój. Stracisz czas, a może coś więcej. Nie zaprzataj sobie głowy niepotrzebnymi drobiazgami. Nauczyłem cię lepszych rzeczy.

— Czasami tracę orientację, czego właściwie mnie nauczyłeś. Poza tym wtedy było inaczej. Trwała wojna...

Sloan odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się serdecznie.

— Na miłość boską, zawsze jest gdzieś jakaś wojna. Potrzebna ci wojna? Proszę bardzo. Liban, Izrael, Irak, Nikaragua, Afganistan — do wyboru, do koloru. — Nalał sobie następną porcję szkockiej i wrzucił kostkę lodu. — Robimy to, co musimy, Hatch. Każdego dnia stajemy przed bardzo prostą alternatywą: robić albo nie robić. Jeśli nie znasz opcji, układów i w porę nie podejmiesz decyzji, to ktoś to zrobi za ciebie i jesteś skończony. Nie tracimy czasu na kalkulację i statystykę i dlatego żyjemy. Ważny jest instynkt i refleks. Jeśli ty tego nie zrobisz, ktoś to zrobi tobie. Zdaje się, że już ci mówiłem. Dawno temu. Czy wtedy też miałeś wątpliwości?

— Moje życie to jedna wielka wątpliwość — odparł Hatcher. — Nawet nie mogę powiedzieć słowa o tym, co robiłem w czasie wojny.

Sloan wciąż śmiejąc się zapytał:

— Czyżbyś się przymierzał do pisania pamiętników?

— Nie o to chodzi, Harry. Przecież nie mogłem przez siedemnaście lat być non stop na bani, a teraz udawać, że nic nie pamiętam. Trochę za długa przerwa w życiorysie, nie sądzisz?

— Za bardzo wierzysz w to, że cię zdradziłem. Dlatego nie możesz spojrzeć na sprawę obiektywnie — powiedział cicho Sloan.

W jego pytaniu zabrzmiały nutki współczucia. Znakomicie modulował głos, który jakby za naciśnięciem guzika wyrażał współczucie, patriotyczną żarliwość albo wygładzone pochlebstwo. Hatcher przypomniał sobie pierwsze spotkanie w restauracji w Waszyngtonie. Precyzyjnie, z ojcowską troską i czułością Sloan przedstawił ewangelię Brygady Cieni jako instytucji, która była „jedynym i wymarzonym miejscem, gdzie prawdziwy patriota z radością spełni obowiązek wobec ojczyzny, mając przy tym okazję do nieskrępowanego wykorzystania swego potencjału myślowego i sprawdzenia się w działaniu w każdych warunkach”. Rzecz jasna, skrętnie pominął, że w tej „służbie” nie istnieją raporty i sprawozdania, całość jest finansowana z prywatnych źródeł nie zawsze zgodnie z prawem, a także iż oficjalnie taka jednostka w ogóle nie istnieje. Hatcher, nieopierzony młokos prosto po szkole, zapatrzony w swoją przyszłą wielkość, bez trudu dał się omamić i wciągnąć do współpracy. Nie zadał żadnych pytań — po prostu przyjął dekalog brygady jako swoje credo. Wystarczył jeden obiad ze Sloanem, by w jego życiu zaszły nieodwracalne zmiany.

— Chodzi o coś więcej niż zdrada, Harry. Do diaska, byłeś moją gwiazdą przewodnią. Wykonywałem każdą robotę i patrzyłem w ciebie jak w obraz. — Hatcher przerwał, by nalać sobie kawy. — W Los Boxes doszedłem do wniosku, że spisałeś mnie na straty w interesie jakiegoś dupka z Departamentu



Stanu. Jak widzisz, nie tylko odsiadywałem wyrok. Czasem trochę myślałem. Zaufałem ci, Harry, a ty się wypiąłeś. Wrobiłeś mnie wtedy i teraz też próbujesz.

— Proszę, proszę. Zaraz pewnie zaczniesz prawić morały. — Sloan zaśmiał się i pokręcił głową. — Ciekawe, jak sobie wyobrażasz proces piratów rzecznych oskarżonych o wciskanie heroiny naszym chłopcom w Sajgonie? A może chciałbyś zobaczyć, jak podwójni agenci tańczą lambadę na naszych grobach, co? Pójść na układ z triadą? Do jasnej cholery, stary, chyba podłapałeś, na czym polega brudna wojna. Tu się nie idzie w bój z pieśnią na ustach i mało kto bierze jeńców. Kopa w dupę i do piachu. Nie ma przeprosin.

— Jak w Argentynie i Brazylii?

Sloan westchnął.

— Wiesz co, Hatch? Kłopot z tobą polega na tym, że próbujesz łączyć wojnę z moralnością. Te pojęcia się wykluczają. Gdyby cała armia w Wietnamie robiła to co my, nie byłibyśmy w ogóle potrzebni. Od wroga nauczyliśmy się, jak z nim walczyć. Nie mundur i szarża robią z ciebie żołnierza, lecz woła walki. Powtarzam, jeśli ty ich nie załatwisz, to oni na pewno załatwią ciebie. Tak w dużym skrócie wygląda ewangelia Harry'ego Sloana. Dzięki niej żyję do dziś. Ty zresztą też. Za dużo myślisz, Hatch. Ile razy mam ci powtarzać, że człowiek ginie od nadmiaru rozważgi.

— Harry, jesteś żywym dowodem na to, że człowiek szybciej mówi, niż myśli.

— Cóż, chłopcze, czasem jednak trzeba zadziałać, zanim zdążysz pomyśleć. Inaczej jesteś historią — stwierdził Sloan, zaniepokojony krytycznymi uwagami Hatchera dotyczącymi istoty brygady. Wrócił do głównego tematu: — Wykonasz robotę i na tym koniec — powiedział wzruszając ramionami. — Po co się katować zbędną dyskusją? Nigdy nie roztrząsałeś moralnych aspektów zadania, ktoś to robił za ciebie.

— Może właśnie w tym rzecz. Może powinienem. Żeby wiedzieć, gdzie przebiega ta cienka czerwona linia...

— Ha! Nie pytaj o to starego Harry'ego. A w ogóle co za pomysł częstować mnie ideologią przed obiadem? Wiedz jedno: cokolwiek zrobiłeś, warto było. Jeśli chce ci się rozdrapywać stare rany i ślepić za metodami i dyrektywami, to proszę bardzo. Ale nie młóć mnie ideologią z samego rana. Daj spokój hasłom i plakatom. Moją ideologią jest rzeczywistość, a rzeczywistość to my i oni. My nie przegrywamy. Nie ma takiego słowa w naszym słowniku.

— Sam rozstrzygałeś, co jest moralne, a co nie. Ja też. Taki był nakaz chwili...

— Właśnie! — Sloan nie ukrywał entuzjazmu. — Nakaz chwili. Na wojnie nie ma czasu na moralne uzasadnienie czynu. Zwycięstwo albo klęska. Bóg i ojczyzna. Wszystko inne jest zbyteczne.

— Są też reguły, Harry.

— Tak, zgadza się.

— Tym razem nie chodzi o Boga i ojczyznę, jak to zgrabnie ująłeś — powiedział Hatcher. — Tylko o ciebie i mnie. Nigdy więcej nie próbuj zająć mnie od tyłu, bo...

— Wiem. — Sloan pochylił się i z radosnym błyskiem w oczach dokończył: — Bo w przeciwnym razie nawet rybki się mną nie pożywią.

Dalsza dyskusja stała się bezcelowa. Hatcher zdawał sobie sprawę, że nie zawróci kijem rzeki, ponieważ Sloan, całkowicie odporny na zniewagi i docinki, wierzył święcie, że to, co robi, jest słuszne, konieczne i moralnie uzasadnione.

— Daj już spokój — uciął stanowczo Hatcher. — Nie robię ci żadnej przysługi. Przyjechałem odnaleźć Cody'ego. Kropka.

Sloan skinął głową. Uśmiech przygasł mu nieco.

— Słusznie. Co znalazłeś? — zapytał. — À propos, czy musiałeś się bać z moimi ludźmi w chowanego?

Zanim Hatcher zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Sloan spojrzał zaskoczony.

— Co też się znowu urodziło? — rzucił od niechcienia i podszedł do telefonu.

Rozmawiał stojąc tyłem do Hatchera. Aparat był podłączony do czarnej skrzynki przystawki kodującej. Palila się czerwona kontrolka.

— Słucham, Sloan — powiedział spokojnie. — S12424. Rączy Jack. Rączy... Okay, linia czysta. Nadaję przez scrambler. O co chodzi? Co? Co?! Boże, kiedy? Cholera... Przecież miał dziesięciu do obstawy!... Dobrze wiem, co mówiłem... Nie, nie róbcie tego... Poszedł odpowiedni komunikat... Tak, rozumiem. Aha... Aha... Nie, trzymać się pierwotnej wersji... To robota dla FBI... Nie CIA, trzymajcie ich z daleka... Chwileczkę, niech pomyślę...

Odwrócił się do Hatchera, przewrócił oczami i pokręcił głową. Poczerniał ze złości, ale wciąż mówił opanowanym głosem.

— Żadnych zdjęć Cosomila — rzucił w słuchawkę. — Trzymajcie go tam, gdzie jest. Dla prasy wariant „F”. Że ukrywa się gdzieś na... zgadza się, na Hawajach... To ma wyglądać na przeciek. Nie. Tylko nie główna wyspa... Kauai za mała... Ta będzie dobra... Jasne. Niech powęszą tam ze dwa tygodnie... Świetnie. Dziękuję, Spears. Gdybym był nieosiągalny, próbuj przez Flitcrafta. Ma mój aktualny namiar.

Powiedziawszy to rozłączył się.

— No, stary, mam nowy kłopot. I to poważny. Wiesz, jak będzie brzmiał nagłówek w jutrzejszym „New York Timesie”? „Żelazny Campon z Madrango zamordowany w dyskotecie w Atlancie”.

Hatcher otworzył usta ze zdumienia. Dzięki zamachowi Campona w Madrango Sloan zdołał wydostać go z Los Boxes. Pół roku później komunistyczni partyzanci ponownie opanowali stolicę. Polityczna huśtawka trwała od kilkunastu lat.

Sloan opisał w skrócie przebieg zamachu na bananowego dyktatora.

— Nasi ludzie przypuszczają, że zabójcą był ktoś w stroju bociana.

— Bociana?

— Uhm. Bal kostiumowy. Zginęło troje ludzi, w tym jedna kobieta. Jej partner i jeden z kelnerów są w szpitalu w ciężkim stanie.

— Twoi ludzie byli w ochronie?

— Tak, plus sześciu jego osobistych.

— Kto z twoich? — zapytał Hatcher z niedowierzaniem. Sloan chwilę zwlekał z odpowiedzią.

— Spears i Hedritch.

— Spears i Hedritch?!

Nie wierząc własnym uszom Hatcher powiedział w duchu: „Co, do diabła, robił Joe Spears w ochronie Hectora Campona? Przecież ten opalony kretyń z Kalifornii myślał tylko o surfingu”.

— Wysłałeś Spearsa?!

— Czasem zapewniamy ochronę osobistą.

— Kto ci to nadał?

— Campon był zbyt trefny dla Secret Service. Podatnicy zaczęliby się pieklić, więc spadło to na mnie.

— Ale dlaczego Spears? Przecież resztki jego mózgownicy wyparowały dwadzieścia lat temu na plaży w Santa Monica.

— No cóż, od dzisiaj on i Hedritch będą pilnować wagonów bagażowych na jakimś zadupiu. Do emerytury.

— Niezły duet. Z nich dwóch z trudem dałoby się złożyć jednego półgłówka.

Sloan znów poczerwieniał ze złości.

— Sprawa wygląda tak. Dostałem w spadku wykopanego *presidente* razem z dwiema brygadami, a właściwie tym, co z nich zostało. Wojacy Campona liżą rany w sąsiednim państewku, a im dłużej liżą, tym większa w nich ochota, żeby wrócić i rozprawić się z komuchami. Bojowego ducha mają pod dostatkiem. Gorzej z uzbrojeniem i cierpliwością, zwłaszcza cierpliwością Campona. *El expresidente* wyruszył tedy na podbój Waszyngtonu, Kongresu i Senatu. Przypadł do gustu naszemu przywódcy. Ten próbuje więc

załatwić dla niego pięćdziesiąt milionów. Miałem być niańką łobuza, dopóki nie zatwierdzą pomocy. Campon siedział trzy tygodnie w Forcie Lauderdale, dwa w St. Louis, sześć w Chicago, a ostatnie dwa na łodzi pięćdziesiąt mil od Atlanty. Dość gwałtownie opuścił ziemski padół i mam przez niego kłopoty.

— Ale dlaczego Spears i Hedritch?

Sloan otworzył drzwi na balkon. Stał pośrodku i pozwolił ciepłym podmuchom wysuszyć ciało. Pociągnął ze szklanki i powiedział:

— Chroniło go sześciu ludzi, Hatch. Campon to nie harcerzyk. Zanim zwiął z Madrango, zrobił nadużycia na sześć milionów. Ulokowane w banku szwajcarskim. Przez niego spaliło się sześciu z brygady. To watażka z mentalnością lubieżnego kocura. Żeby było śmieszniej — Sloan wycelował palcem w Hatchera — jego ludzie za to ubóstwiali *macho generale*. Madrango jest dla nas bardzo ważne. To klucz do Ameryki Łacińskiej. A mnie zostali tylko Spears i Hedritch.

— Wobec tego jak mogliście stracić faceta?

— Nie potrafił usiedzieć w miejscu. Wykończyły go ciągoty do nocnego życia i panienek — powiedział Sloan wzruszając ramionami.

— A plan „B”? — zapytał od niechcienia Hatcher. Sloan spojrzał podejrzliwie.

— Ktoś mówił o planie „B”?

— Nie musiał. Ty zawsze masz plan „B”, Harry. Sam mnie tego uczyłeś, nie pamiętasz? Przykazanie pierwsze: „Zlokalizować tylne wyjście”. Madrango od początku było twoim oczkiem w głowie.

Sloan westchnął.

— Plan „B” to generał Cosomil. Mniej fanfaronady, trochę starszy i nie tak popularny jak Campon. Oddany sprawie dobry taktyk. Trzeba będzie zrobić z Campona męczennika. Wtedy jego ludzie poprą Cosomila, którym dobrze już się zajęliśmy. Ferris i Joyner nadzorują ochronę. Najlepsi, jakich mam.

Pociągnął ze szklanki i wytarł usta kciukiem.

— Wracasz do Waszyngtonu? — zapytał Hatcher.

Sloan zaprzeczył ruchem głowy.

— Panuję nad sytuacją. Teraz sprawę przejmie Departament Stanu. Pozostało mi jedynie zachować Cosomila przy życiu, dopóki nie będzie mógł wrócić do kraju.

— Jest też pozytywny aspekt sprawy — wtrącił Hatcher. — Kongres na pewno przyzna te pięćdziesiąt milionów plus coś ekstra.

Sloan przespacerował się po pokoju, robiąc kilka głębokich oddechów.

— Ich cyrk, ich małpy. Wróćmy do naszych baranów.

- Już zapomniałem. Przypomnij mi, jak wyglądają.
- Bawiłeś się z moimi ludźmi w chowanego — powiedział cierpko Sloan.
- Na rozgrzewkę, żeby wrócić do formy — odparł Hatcher.
- Masz coś?
- Niewiele.
- Wyglądało na to, że nie tracisz czasu — rzucił kąśliwie Sloan.
- Biorąc pod uwagę stan Buffalo Billa, i tak mam go niewiele.
- Nie domyślasz się, dlaczego Cody pozostaje w ukryciu?
- „Dziwne pytanie” — pomyślał Hatcher i odpowiedział: — Zdaje się, że mnie wyprzedzasz o pół okrążenia. Jeszcze nie ustaliłem, czy Cody w ogóle żyje.
- No, ciekaw jestem twojego zdania...
- Jeśli spodziewasz się, że przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny doszedłem do jakichś szokujących wniosków, to się mylisz. Poza tym nie jestem prokuratorem, więc nie muszę niczego udowadniać. Waham się i spekuluję. Czasem wydaje mi się, że Cody żyje, a czasem mam wrażenie, że Wol Pot bawi się z nami w ciuciubabkę. To zależy, którą stroną równania akurat się zajmuję.
- No dobrze. Powiedz, na jakiej podstawie sądzisz, że Cody żyje.
- Nie powiedziałem, że żyje. Ani że tak sądzę. Po prostu kiedyś byłem pewien, że zginął, a teraz mam wątpliwości.
- Na przykład?
- Kilka drobiazgów. Pewien strzelec boczny przyznaje, że jeden z załogi Cody'ego prawdopodobnie się wydostał. Były jeniec wojenny mówił coś o obozie często przenoszonym ze względu na jakiegoś VIP-a, którym mógł być Cody, ale równie dobrze ktoś inny. Dwaj boczni z klucza Cody'ego mają o nim dwie przeciwstawne opinie. Jeden twierdzi, że Murph był trepem żadnym zaszczytów, drugi, że miał dość wojny i chciał się z nią załatwić jak najszybciej. To wszystko, co mam. Mgliste i dwuznaczne.
- Ale twoim zdaniem historia Wol Pota może mieć jakąś wartość, czy tak?
- Tego nie powiedziałem. Dla mnie to wciąż jedna z niewiadomych w układzie równań. Gdy obliczę „x”, na pewno dam ci znać.
- Sloan uśmiechnęła się.
- Gramy z kartami przy orderach, co? Gdybym nie znał sprawy, pomyślałbym, że straciłeś do mnie zaufanie — zauważył ironicznie.
- Dlaczego miałbym ci ufać? Twój towar na składzie to oszustwo. Morderstwo i kłamstwo to twój zawód. Już raz mnie wrobiłeś. Nie za dużo oczekujesz od życia?

Hatcher przerwał i napił się kawy. Powiedział Sloanowi tyle, ile musiał. Pomiął kilka drobiazgów, jak kartka do Polo od Jaimiego, kimkolwiek ów był. Nie wspomniał także o Tajskim Koniu, który na razie kojarzył mu się tylko z jednym — czystą, dziewięćdziesięciodziewięcioprocentową heroiną ze Złotego Trójkąta. Być może kryje się za tym coś jeszcze. Za bardzo interesowało Sloana, dlaczego Cody się ukrywa. To z kolei uruchomiło system wczesnego ostrzegania w umyśle Hachera. Znał dokładnie tok rozumowania Sloana — jeśli Cody rzeczywiście wpadł w jakieś bagno, to nie będzie problemów z wyeliminowaniem go. Według Sloana likwidacja była najlepszym praktycznym rozwiązaniem każdego problemu. Sam jednak nie używał takich słów, jak „zlikwidować” czy „wyeliminować”. Były zbyt mocne. Wolał posłużyć się niedomówieniem.

Harry odrzucił ręcznik i zaczął się ubierać.

— Zbadamy sprawę w Bangkoku — powiedział wciągając oliwkowe szorty.

Śmierć Portera, a w konsekwencji zniknięcie Wol Pota dodatkowo komplikowały sytuację. Myśli Hachera podążyły w innym kierunku. Szukał opcji.

— Dołączę do ciebie za dwa dni. Mam tu to i owo do sprawdzenia — rzekł do Sloana.

— To znaczy?

— Dam znać, jak skończę.

Gdy Sloan wiązał krawat, rozległo się pukanie do drzwi.

— Kogo znowu diabli niosą? — powiedział.

## TRIADY

W drzwiach stanął wysoki, sztywny jak tyka mężczyzna w śnieżnobiałym lnianym garniturze. Miał opaloną twarz i wąsy jak kierownica roweru. „Typowy gliniarz z Hongkongu” — pomyślał Hatcher i nie mylił się.

— Pan pułkownik Sloan? — zapytał przybysz z ostrym brytyjskim akcentem.

— Tak?

— Sierżant Varney z policji Hongkongu — pokazał legitymację.

— Miło mi. Czym mogę służyć? — zapytał Sloan, modulując głos jak wytrawny dyplomata.

Varney wszedł do środka jak na posłuchanie u Jej Królewskiej Mości i uśmiechnął sztywno do Hachera.

— Zdaje się, że mam przyjemność z panem Hatcherem — powiedział wyciągając rękę.

— Aha — odparł Christian i przywitał się.

Varney podszedł do drzwi balkonowych, rzucił okiem na zewnątrz i odwrócił się z rękoma za plecami.

— Pracuję w brygadzie do spraw triad. — Widząc, że nie wywarło to wrażenia na obecnych, kontynuował: — W ciągu ostatnich sześciu, siedmiu lat zaszły istotne zmiany. Uznałem, że mógłbym służyć pomocą, jeśli oczywiście zaistnieją ku temu okoliczności. Wczoraj nazwiska panów pojawiły się na ekranie komputera.

— Komputera?

— Prowadzimy na lotnisku komputerową rejestrację przybywających. Sprawy rutynowe. Rozumiecie, panowie, że dobrze jest wiedzieć, kto przylatuje i odlatuje. Początkowo nosiłem się z zamiarem zadzwonienia do pana, ale wkrótce pojawiło się nazwisko pułkownika Sloana, więc uznałem, że najlepiej będzie spotkać się z panami jednocześnie.

— To bardzo rozsądne z pańskiej strony, ale nasze sprawy nie mają nic wspólnego z triadami — oświadczył Hatcher.

— Zapewne, ale ze względu na pana doświadczenia z Jedwabnymi Smokami i Białymi Dłońmi uznaliśmy, że można wzmocnić nasz potencjał operacyjny, że się tak wyrażę.

— Nie wydaje mi się, żebym musiał skorzystać z pańskiej oferty — odparł Hatcher i spoglądając na Sloana dodał: — Pułkownik wyjeżdża jeszcze dziś, a ja najdalej pojutrze.

— To doskonale — zaczął sierżant i przerwał szukając właściwych słów. Wyciągnął szyję i poruszył łopatkami. Najwyraźniej miał jeszcze inne tiki w zanadrzu. — Rzecz w tym, że — proszę wybaczyć natrętne rady — jesteście, panowie, narażeni na dość poważne niebezpieczeństwo, i to do końca pobytu. Chcielibyśmy panów poinformować, że nasz wydział jest do waszej dyspozycji. Mogą panowie potrzebować ochrony.

— Znam dobrze miasto — wyszeptał Hatcher.

— Oczywiście, ale jednak...

— Niech pan posłucha, sierżancie — wtrącił ostro Hatcher. — Nigdy nie miałem do czynienia z Białymi Dłońmi, a o ile mi wiadomo, Jedwabne Smoki to już historia.

— O to właśnie chodzi — Sloan wpadł w słowo. — Jedwabne Smoki to być może historia, ale Białe Dłonie w pewnym sensie...

— Wybaczcie, panowie, że przerywam — wtrącił Varney. — Kiedy zlikwidowano Mamuškę Białą Proszek, Białe Dłonie, hm... jak by to rzec...

wchłonęły większość ludzi Jedwabnego Smoka. Było to coś w rodzaju fuzji, że tak powiem.

— Doprawdy? — zapytał Hatcher nie zdradzając większego zainteresowania.

Znał dobrze historię. Z Jedwabnymi Smokami miał do czynienia, kiedy ten sierżant raczkował w drużynie krykieta w ogólniaku.

— Słyszał pan o Tolliem Fongu? — spytał niedbale Varney.

— Kto to taki? — Hatcher uniósł brwi ze zdziwienia.

— Syn Lee Fonga.

Na ułamek sekundy Hatcher wrócił myślami na lotnisko w Singapurze. 1975. Zmierzch. Dwanaście lat temu. Oczywiście, że znał Lee Fonga.

— Uznaliśmy za stosowne poinformować pana, że Tollie Fong jest nowym *san wong* Białych Dłoni — oświadczył Varney z wymuszonym uśmiechem. — A Joe Lung jest jego zastępcą na Hongkong. Obaj są bardzo pamiętliwi.

Hatcher doszedł do wniosku, że oto koło się zamknęło...

Na rączych mechatych konikach spadli ze wzgórz Mongołowie. Długie czarne kosmyki rytmicznie falowały wokół brodatych twarzy, posłuszne smaganiom wiatru. Głodne oczy dyszących mordem wojowników gorzały narkotycznym blaskiem. Ogień i miecz spadały na wszystko, co żyje, oprócz kobiet. Te były najcenniejszą zdobyczą. Barbarzyńskie hordy niosły śmierć i zniszczenie dobrotliwym Chińczykom z równin leżących u stóp siedmiu gór zamieszkanymi przez siedem smoków.

I oto siedem smoków, które były siedmioma wcieleniami pierwszych siedmiu cesarzy Chin, na widok gwałtu i nieprawości zawrzało sprawiedliwym gniewem. Zwołało władców ludu chińskiego, nakazało im dobyć oręża, pokazało, jak walczyć, i tchnęło w nich bojowego ducha.

Tai-panowie złączyli się w związki trzech rodzin, zbudowali zagrody w kształcie trójkąta i wzniesli mury na granicach. A gdy Mongołowie zaatakowali ponownie, skorzystali z rad smoków i uderzyli na najeźdźców ze wszystkich stron. W miejscu, gdzie dziś jest Hongkong, barbarzyńców spotkał sromotny koniec, a ich szczątki odesłano za wzgórze ku przestrodze. Mongołowie nie wrócili już nigdy.

Tak w dwunastym wieku narodziły się triady i przez następne osiem stuleci rozwijały się i rosły w siłę. Z biegiem lat stworzyły własne zwyczaje, obrzędy i hasła. Każda miała swoich bohaterów, legendy i historię. W każdej



obowiązywało posłuszeństwo wobec głowy klanu, potwierdzone *hong mon* — przysięgą na krew. Wkrótce triady zawładnęły Hongkongiem i chińskim światem biznesu. Ich członkami byli majątni obywatele, cieszący się szacunkiem i poważaniem.

Niestety, лихо i tym razem nie zasypiało gruszek w popiele. Wkrótce pojawiły się dzikie triady zwane Chiu Chao i rozwijały się równolegle, z tym że raczej w podziemiu. Do nich należały Jedwabne Smoki, Białe Dłonie, Czternaste K, Związek Ostrej Stali, Dynastia Siedmiu Dłoni oraz wiele innych. Przejęły kontrolę nad tym, co występne i niegodne — nad hazardem, prostytutką, lichwiarstwem, handlem żywym towarem, narkotykami, przemytem i czarnym rynkiem. Bezwzględnością, okrucieństwem i zbrodnią skutecznie odstraszały potencjalnych rywali. Stały się odpowiednikiem mafii na Dalekim Wschodzie.

Triady narodziły się osiem wieków temu. Wystarczyło dziesięć lat, by zepsucie i występki wkradły się w nowy układ sił, wykorzystując wzorce, które podpowiedziały szlachetne smoki. Chiu Chao istnieli od siedmuset dziewięćdziesięciu lat.

Złe triady podzieliły strefy wpływów i formy występku. Respektując prawa i domeny innych Jedwabne Smoki przejęły najbardziej lukratywny interes — dynamiczne i agresywne imperium narkotyków. Pod koniec lat sześćdziesiątych otworzył się nowy chłonny rynek w Wietnamie. Czysta biała heroina ze Złotego Trójkąta wędrowała przez Tajlandię do Hongkongu, stamtąd przemycano ją do Sajgonu. Istniał też drugi kanał — spławiano ją w dół Mekongu prosto do Wietnamu, gdzie znajdowała wielu nabywców. Konkurencyjna cena — dwa dolary za działkę — zapewniła licznych stałych nabywców.

Mamuśka Biały Proszek stał się nieodłącznym towarzyszem tysięcy amerykańskich chłopców, którzy za grosze mogli kupić torebkę marzeń i uciec od koszmaru wojny. Ci sami chłopcy stali się załącznikiem wielkiego rynku w Stanach, gdzie dotychczas niepodzielnie królowała brązowa heroina z Turcji i Meksyku. Jedwabne Smoki sięgnęły po nowe zdobycze za Oceanem Wielkim. Mamuśka Biały Proszek naprawdę nazywał się Ma Bing Sum i był *san wong*, ojcem chrzestnym, Jedwabnych Smoków. Wraz ze swoim bratem, Lee Fongiem, Czerwoną Halabardą — generalnym egzekutorem triady, tworzyli najgroźniejszy duet podziemia Hongkongu. Mieli rozległe wpływy we władzach i policji. Podkupili pięciu ludzi z wydziału narkotyków, którzy stworzyli oddział zajmujący się organizacją przerzutów na Długim Białym Szlaku w dół Mekongu. Oddział przyjął nazwę Tchnienie Smoka.

Wiosną 1973 roku do akcji wkroczył Christian Hatcher.

Siedzieli w pokoju na zapleczu kasyna w bazie Cam Ranh, pełniące funkcję sztabu operacyjnego w nie wypowiedzianej wojnie z Wietnamem. W porównaniu z tym, co się działo wokół, Cam Ranh było oazą spokoju i bardziej przypominało siedzibę koła gospodyń. Atmosfera ożywiała się nieco tylko wtedy, gdy zabłąkany oddział saperów dochodził do wniosku, że mimo późnej pory należy niezwłocznie uzupełnić braki alkoholu w organizmie. Wyjście na pięć minut poza gorące terytorium było dla Hachera jak półroczny urlop na Hawajach.

- Jest zadanie dla ciebie — powiedział Sloan.
- Uhm — mruknął Hatcher słysząc dobrze znany wstęp.
- Mamy pewien problem.
- Co ty powiesz? — zaśmiał się Hatcher.
- Nie chodzi o wojnę. Słyszałeś o Jedwabnych Smokach?

Hatcher przytaknął.

- Mamuśka Biały Proszek?
- Dokładnie. Ma Bing Sum i jego handlarze.

Hatcher wzruszył ramionami.

- Przecież kręcą się tu od wieków. To sprawa policji z Hongkongu.
- Niestety, teraz także nasza. Wkroczyli na nasz rewir. Jest poważny problem z narkotykami wśród żołnierzy. Większość dostaw spływa Mekongiem z Trójkąta. Mamuśka Biały Proszek wyrósł jak wrzód na tyłku. Stworzył specgrupę, która przerzuca towar wodą. Bezpośredni nadzór sprawuje pięciu ludzi, eksgliny z wydziału narkotyków w Hongkongu. Nazywają się Tchnienie Smoka. Wyjątkowo parszywy zestaw. Buffalo Bill chce im dokończyć.

- No i?

- Znasz rzekę. Weź dwie, trzy dobre drużyny i parę kanonierek. Załatwię co trzeba — papiery, pieczątki, mundury, co chcesz. Największe podpadzochy i rozrabiaki są do twojej dyspozycji. Rozpraw się z tym Tchnieniem Smoka. Dobrze by było, gdyby stali się czasem przeszłym dokonanym. W miarę szybko i raz na zawsze.

- Okay — rzucił Hatcher niedbale — ale proponowałbym rozegrać to inaczej.

- Wal.

- Jeśli zrobię to po twojemu, będę spalony.

- Co proponujesz?

- Wezmę trzech fachowców od noża. Molly'ego McGuire'a, Cheta Rodrigueza i... — Hatcher zawahał się na chwilę — ...Beara Newtona. Resztę skompletuję z żółtych. Trzeba, żeby to wyglądało na przejęcie towaru przez konkurencję. Załatwię to, ale nie chcę się pokazywać. Działamy w maskach

i tak dalej. Popędzimy kota całej piątce. Inny wariant jest nie do przyjęcia. Nie wolno zaprzepaścić dziesięciu lat zabiegów.

- Skąd weźmiesz tylu dobrych żółtych? — zapytał sceptycznie Sloan.
- Moja sprawa.

— Potrzebuję dwudziestu czterech ludzi, najlepszych rzezimieszków w okolicy — powiedział Hatcher do Cohena. — Takich, którzy słuchają, nie zadają pytań i umieją trzymać język za zębami.

- Do czego?
- Lepiej, żebyś nie wiedział.

Polowali głównie w nocy. Przetrzęsli wszystkie zakola i odnogi Mekongu. Uzi i bagnety były w ciągłym użyciu. Czasem przydawały się działka dwudziestomilimetrowe i małe bomby termitowe. Spacyfikowali nocne legowiska zaskakując przemytników we śnie. Odbyli kilka regularnych bitew na rzece za dnia, z których nie wyszedł żaden świadek pogromu. W ciągu trzech miesięcy dwadzieścia cztery transporty heroiny wpadły w zasadzkę. Czterech z pięciu szefów Tchnienia Smoka poczuło chłodną stal noża na gardle. Szybko i cicho opuścili ziemski padół, a ich śmiercionośny ładunek powędrował w górę rzeki, gdzie został spalony. Tylko jeden członek specgrupy Tchnienie Smoka wymknął się rzezimieszkom Hachera.

Lotnisko w Singapurze, 1975. Lee Fong, numer dwa Jedwabnych Smoków, Czerwona Halabarda — generalny egzekutor triady, od dwóch lat bezskutecznie poszukiwał Hachera. W końcu szczęście uśmiechnęło się do niego. Zlokalizował przeciwnika i nie spuszczał go z oka od dwóch dni, czekając, aż nadarzy się sposobność. Chciał go zabić zgodnie z obyczajem triady — ciosem sztyletu u nasady karku, paraliżującym system nerwowy i przecinającym żyłę szyjną. Musiał to uczynić, by zachować twarz i udowodnić Mamuśce Biały Proszek, że wciąż jest godny pozycji człowieka numer dwa triady Jedwabnych Smoków.

Hatcher od początku wiedział, że jest śledzony i że Fong musi się wykazać w klasyczny sposób. Sytuacja wymagała zatem spotkania twarzą w twarz, co ułatwiło zwabienie Chińczyka w dogodne miejsce.

Na tarasie widokowym dla oczekujących nie było nikogo. Zapadał zmierzch. Obserwując start pasażerskiego odrzutowca Hatcher usłyszał za

sobą odgłos otwieranych drzwi i zbliżające się kroki. Schylił się udając, że poprawia sznurowadło. Tamten był blisko, prawie za plecami.

Wyprostował się i obrócił jednym płynnym ruchem, wbijając Chińczykowi pod żebro siedmiocalowe ostrze sztyletu i kierując je ku sercu. Był tak blisko, że poczuł na twarzy ostatni oddech trafionego. Drugą rękę zacisnął na nadgarstku Fonga i trzymał ją tak długo, aż się upewnił, że tamten jest martwy.

— *Joi gin*, Fong — powiedział puszczając ciało.

Dwa tygodnie później Mamuśka Biały Proszek dokonał żywota na ulicy w Wanchai, trafiony serią z pistoletu maszynowego, gdy wychodził z nocnego klubu. Panowanie Jedwabnych Smoków skończyło się. Interes przechwyciły Białe Dłonie i w dowód sympatii przyjęły do swoich szeregów większość pozostałych przy życiu członków Jedwabnych Smoków.

Jednym z nich był Tollie Fong, syn Lee Fonga. Dwanaście lat później został Czerwoną Halabardą Białych Dłoni i wszystko wskazywało, że niebawem zostanie jej Najwyższą Zwierzchnością. Jako generalny egzekutor Białych Dłoni Tollie Fong był chyba najniebezpieczniejszym gangsterem na świecie. Jako *san wong* wzbudzał grozę. Jego numer jeden w Hongkongu nazywał się Joe Lung. Był piątym ze specgrupy Tchnienie Smoka i jedynym, który uszedł z pogromu.

Obydwaj przysięgli, że zabiją Hatchera przy pierwszej sposobności.

Działali poza Makau.

Siódmy zmysł Hatchera podpowiadał mu, że skoro Varney dowiedział się o jego przybyciu, to Białe Dłonie wiedzą o tym na pewno.

...przejęcie transportu — powiedział Varney.

— Proszę? — wtrącił Hatcher.

— Mówiłem, że najwyraźniej wciąż mają panu za złe przejęcie transportu — powtórzył Varney.

Sprawę trzymano w ścisłej tajemnicy. Policja w Hongkongu i Interpol były przekonane, że Hatcher to tylko niepoprawny zawadiaka, tymczasowo współpracujący z rządem. Ze swej strony Hatcher miał pewność, że Varney nie zjawił się tylko po to, by zaoferować „daleko idącą pomoc”. Miał wybać, czy Hatcher jest jeszcze tym „dobrym”, czy już potencjalnie „złym”. Niech bada.

Sierżant Varney był dość spostrzegawczy, by się zorientować, że Hatcher nie życzy sobie ani pomocy, ani zainteresowania swoją osobą. „Niebezpieczny typ” — pomyślał Varney.

— Zalecałbym daleko posuniętą ostrożność w czasie pobytu w Kolonii — powiedział sierżant kierując się do wyjścia. — Pańskie nazwisko wciąż figuruje na czarnej liście Tolliego Fonga, i to na jednym z pierwszych miejsc. Jeśli on albo Lung dowiedzą się, że pan tu jest, nic ich nie powstrzyma. Nie muszę chyba dodawać, że jako funkcjonariusz policji wołałbym, aby nic się panu nie stało.

— Doceniam pańską troskę i dobre chęci — odparł Hatcher. — Jak już mówiłem, najdalej za dwa dni znikniemy stąd. Do tego czasu na pewno nie będę się pokazywał.

Varney podał Hatcherowi swoją wizytówkę.

— W razie potrzeby proszę zadzwonić. Na odwrocie jest numer nocnej centrali. Zapewniam, że działa dobrze i szybko — powiedział i skinąwszy głową na pożegnanie wyszedł sztywnym krokiem.

Nadejście Varneya zirytowało i zaniepokoiło Hachtera.

— Mam tu parę spraw do załatwienia, Harry — oznajmił — i nie chciałbym, żeby ten wąsaty wycior pętał mi się za plecami.

— Po prostu nie baw się we wścibinosa w Makau, dobra?

— Nie martw się o mnie.

— I trzymaj się z daleka od Fonga i triady.

— Nie mam zamiaru zapraszać go na kolację.

— Mówię poważnie. Uważaj, bo skończysz jako kolejne nie zidentyfikowane zwłoki w kanale. Nie zniósłbym tego.

— Robisz się cikliwy, Harry.

— Dobrze wiesz, co mam na myśli.

— Nawet bardzo dobrze. I wcale nie zamierzam skończyć w rzece.

— Jeśli zdrzesz z Białymi Dłońmi, możesz od razu uznać się za nieboszczyka.

— Tym razem rozegram to inaczej.

— I nie bądź zbyt pewny siebie — powiedział cicho Sloan. — Tollie Fong to naprawdę ktoś w triadzie, a Joe Lung jest jego człowiekiem w Hongkongu. Obydwaj przysięgli, że cię załatwią. Jeśli nie zjawisz się w Bangkoku do soboty rano, wypuszczę sforę.

— Spotkamy się w „Imperialu”. Śniadanie w „D'Jit Pochana” w sobotę rano o zwykłej porze.

— Zgoda.

— Jeszcze jedno, Harry. Niech ten Paganini joysticka, Flitcraft,

powalczy trochę z komputerem. Potrzebne mi dane na temat ruchomego wietnamskiego obozu dla jeńców wojennych. Często przenoszony, prawdopodobnie przejściowy obóz przy granicy z Laosem. Mógł się nazywać „Obóz-Widmo” albo coś w tym rodzaju.

- Sprawdź, co mamy. Odezwie się do ciebie.
- Sam zadzwonię. Mam numer.
- Zgoda — powiedział Sloan i po chwili namysłu dodał: — Uważaj na siebie.
- Zawsze to robię.

Wrócił do pokoju i zamknął drzwi. Nie podał Sloanowi ręki na pożegnanie.

Wyszedł na balkon i spojrzął na zbocze góry, gdzie wśród drzew kryła się prywatna forteca Cohena. W ciągu ostatniej godziny tak wiele się zmieniło, że powinien się z nim spotkać.

Sto dwadzieścia sześć powiedział kiedyś, że każdy musi zapłacić za swoje grzechy.

W umyśle Hachera zrodziły się pytania: Kto był grzesznikiem, przeciwko komu zgrzeszył i kto za to zapłaci?

## OPCJE

Mózg Hachera pracował na najwyższych obrotach. Sloan będzie dokładnie znał policyjną wersję wydarzeń na kanale i tło ewentualnego zniknięcia Wol Pota, zanim spotkają się w Bangkoku, zatem z tej strony nie ma się czego obawiać. Jeśli jednak Wol Pot przepadł na dobre, należało szukać innych rozwiązań. Wszystkie wydawały się niezwykle ryzykowne i na wyrost. Rozważał nawet, czy nie zrezygnować i wrócić do Georgii. Nieoczekiwanie sprawa Cody'ego przybrała bardzo niepomyślny obrót. Trudności piętrzyły się z każdą godziną. Zamordowano człowieka. Wydział do spraw triad policji Hongkongu najprawdopodobniej bardzo się tym interesuje. Po „towarzystkiej” wizycie sierżanta Varneya w umyśle Hachera zapaliły się kolejne lampki ostrzegawcze. Wyglądało na to, że pozornie łatwe zadanie może się okazać śmiertelnie niebezpieczne.

Szybko opracował plan działania oparty na nieskomplikowanej logice. Jeśli obóz, o którym wspomniał Schwartz, istniał naprawdę, to dalszych informacji należy szukać w Chinlandzie, co oznaczało, że będzie potrzebował pomocy Cohena. Postanowił niezwłocznie skontaktować się ze starym

przyjacielem, po czym czekać na wiadomość od Flitcrafta.

Wpatrując się w zalesiony stok Góry Wiktorii odnalazł posiadłość Cohena. Był ciekaw, jak bardzo zmienił się on przez te lata i czy utrzymał mocną pozycję. Myślał także o Daphne, o tym, czy wciąż może mieć zaufanie do dawnych przyjaciół.

Wciąż pamiętał numer. Wysoki śpiewny głos odpowiedział po chińsku:

— *Jo sahn.*

— Ale sknera — Hatcher rzucił gniewnie w słuchawkę. — Po tylu latach nie dorobiłeś się nawet automatycznej sekretarki. I przestań czarować sopranikiem.

Po drugiej stronie zapadła długa cisza. Wreszcie ktoś nieśmiałym szeptem zapytał:

— To ty, Christian?

— Jednak nie zapomniałeś — odparł Hatcher również szeptem.

— Jezu! Christian! To ty żyjesz? — krzyknął Cohen.

— Chyba nasłuchałeś się plotek.

— Wielki Boże, to nie do wiary. Jesteś w mieście?

— Silny, zwarty i gotowy.

— Dlaczego mówisz szeptem? Jakież kłopoty? — zapytał szczerze zaniepokojony Cohen.

— Długa historia. Nie, nie mam kłopotów. Przynajmniej na razie.

— To zbieraj się i przyjeżdżaj natychmiast! A to się Tiana ucieszy. Nie do wiary. Hatcher powstał z martwych!

Radość i podniecenie Cohena wydały się Hatcherowi autentyczne. Gdy odłożył słuchawkę, poczuł się znacznie pewniej. W głębi duszy wierzył, że Cohen pozostał lojalnym kompanem, ale nie wolno zapomnieć, że w Hongkongu sojusze i przyjaźnie są zmienne jak pogoda.

Joe Lung nie miał zwyczaju wstawać przed południem. Wieczory spędzał w kasynie „Monitor” lub w nocnym klubie. Kiedy ruch był niewielki i podryw się nie udał, kończył dzień w jednym z wielu domów publicznych w Makau. Rzadko kładł się spać przed czwartą rano, a ustaloną procedurę zmieniał tylko wtedy, gdy dostał zlecenie.

Mieszkał w nowoczesnym wieżowcu — jednym z wielu wzniesionych ostatnio betonowych pudełek, które grubiańsko i systematycznie wdzierały się w urokliwy pejzaż starego Makau, miasteczka u wrót wielkich Chin.

Poruszył się, przeciągnął na łóżku, dotykając śpiącej obok blond piękności,

którą poderwał ubiegłej nocy w klubie „Fire Duck”. Lubił białe kobiety, a ta miała wyjątkowy temperament. Mruknęła coś przez sen i odwróciła się na plecy. Przekręcił się na bok i przycisnął do niej, gładząc ręką wypukłości pod jedwabnym przykryciem. Zaczął grę.

Rozległ się dzwonek telefonu. Lung, zirytowany, warknął coś w słuchawkę.

— Hatcher jest w mieście. Hotel „Peninsula”, pokój 512 — powiedział po chińsku rozmówca.

Lung usiadł na łóżku.

— Nie mylisz się? — zapytał nagle rozbudzony.

— Nie ma mowy o pomyłce. To Hatcher.

— Jest u siebie?

— *Hai*, ale nie wiadomo, jak długo.

— *Mm goi*.

Zanim odłożył słuchawkę, poczuł przyspieszone tętno. Już dość dawno stracił nadzieję, że pomści tych, którzy zginęli z ręki Hachera. Kiedy Tollie Fong również zaprzysiągł zemstę, szansa, że kiedykolwiek zdoła wbić sztylet w kark człowieka o kamiennych oczach, zmalała praktycznie do zera. Lung wyciągnął się na łóżku i spoglądając w sufit uśmiechnął się do siebie. Tolliego Fonga nie było w mieście. Nadarzyła się okazja, by wyrównać rachunki z tym *gwai-lo*, zanim wróci i zajmie się sprawą osobiście.

Kobieta zareagowała na pieszczoty. Była zafascynowana zielonym sztyltem wytatuowanym na przedramieniu nowego znajomego. Podniecała ją jego męskość i pięknie umięśnione ciało, a nieporadne próby rozmowy po angielsku stanowiły dodatkową atrakcję wieczoru. Pierwszy raz w życiu uprawiała seks z mężczyzną z innego, nieznanego kręgu kulturowego. Początkowo nawet trochę się obawiała, że może paść ofiarą jakiegoś wyuzdanego orientalnego rytuału, który sprawi jej ból. Na szczęście Chińczyk miał tylko kanciaste maniery, a przygoda z nim okazała się najwspanialszym przeżyciem erotycznym jej życia. Przytuliła się do niego i pogładziła wewnętrzną stronę uda. Klepnął ją w pośladek i powiedział:

— Powtórzmy później. Teraz interesy.

Odesłał ją do hotelu i wziął lodowaty prysznic. Wytarł się starannie i z szafki w rogu pokoju wyjął długi sztylet w pochwie z miękkiej cielejącej skóry. Przywiązał go do lewego przedramienia na wysokości tatuażu, po czym założył zwykły strój chińskiego robotnika — czarne satynowe spodnie i bluzę ze stójką z luźnymi rękawami. Przez chwilę kontemplował swoje odbicie w lustrze na tle tarczy do strzałek wiszącej za plecami.



Skrzyżował ręce na piersiach, po czym błyskawicznie obrócił się wokół osi, równocześnie wyrzucając prawą rękę do przodu. Błyszczące ostrze załśniło w porannym słońcu i utkwilo w środku tarczy. Rękojeść drżała.

Uśmiechnął się i mruknął zadowolony z wyniku. Zaraz, jak to powiedział ten *gwai-lo*? Trening czynić mistrza.

Hatcher wysłał większość bagażu do Bangkoku wcześniej, zostawiając jedynie małą torbę podróżną z przyborami toaletowymi oraz aluminiowy neseser. Wychodząc z pokoju zabrał obie rzeczy. Winiarnia w hallu hotelowym mogła zaspokoić gust każdego konesera. Hatcher uznał, że „Lafite Rothschild” rocznik siedemdziesiąt dwa będzie odpowiedni na dzisiejszą okazję. Wyszedł z hotelu, skręcił w Nathan Street i oglądając wystawy sprawdził otoczenie. Jeszcze zanim dotarł do parku Koulun cztery przecznice od hotelu, zorientował się, że jest śledzony.

Było ich dwóch. Jeden w samochodzie, drugi pieszo. Białe i Azjata. Na odcinku pięciu przecznic zmienili się dwukrotnie. Pokiwał głową z uznaniem.

Nie miał wątpliwości, że śledzący są ludźmi Varneya. Nie było nic niezwykłego w tym, że komputer wyrzucił jego nazwisko, ale nagle zainteresowanie jego osobą, zwłaszcza po tylu latach, nie mogło być przypadkowe. Gliniarz z Hongkongu zaniepokoił go. Na całym świecie policja raczej nie narzekała na brak zajęcia, dlatego też przydzielenie ochrony, o którą nie prosił, wydało mu się podejrzane.

Przeszedł przez park i skierował się do przystani. Wsiadł na prom i z rufy obserwował zatokę. Z lekkim zdziwieniem zauważył, że tamci dwaj przestali go śledzić. Idący dotychczas piechotą wsiadł do samochodu, który odjechał Salisbury Road, gdy tylko prom odbił.

„Dobrze się spisali — pomyślał w duchu. — Na pewno zaalarmowali ekipę na wyspie”. Zgodnie z przewidywaniami kolejny ogon rzeczywiście czekał na przybycie promu. Hatcher był zmuszony powtórzyć manewr. Nie mógł dopuścić, by Varney i wydział do spraw triad zorientowali się, że zamierza złożyć wizytę Tsu Fi.

Ubrany jak przeciętny Chińczyk Joe Lung bez trudu dostał się do hotelu wejściem dla pracowników, nie wzbudzając podejrzeń. Szybko uporał się z zamkiem do pokoju Hachera na czwartym piętrze. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Wskoczył do środka zamykając je za sobą. Ostrożnie przeszedł do części sypialnej i sprawdził ją.

Nie znalazł ani Hatchera, ani bagażu.

Stojąc pośrodku pokoju analizował sytuację. Czyżby Hatcher już wyjechał? Może jest w drodze na lotnisko.

Zszedł do hallu i zadzwonił do recepcji. Na pytanie, Czy pan Hatcher zwolnił pokój, recepcjonista odpowiedział przecząco.

Lung nie przejął się chwilowym niepowodzeniem. Był człowiekiem cierpliwym, który wielokrotnie znajdował się w podobnych sytuacjach i z każdej jakoś wybrnął. Niewykluczone, że trzeba będzie skorygować plan i zastosować inną taktykę.

Hatcher opuścił prom i po kilku krokach skręcił w prawo, kierując się do Connaught Street w centrum wyspy. Wiał chłodny wiaterek. Zewsząd dobiegały odgłosy Hongkongu — muzyka i klaksony, śmiech, dzwony okrętowe, szelest liści figowców i rozmowy prowadzone półgłosem.

Zachowywał się jak przeciętny turysta. Mijał wejścia do nocnych klubów w Wanchai. Z potężnych głośników płynęła amerykańska muzyka, a dziewczęta w dżinsach zachęcały do wejścia. Większość z nich poddała się plastycznemu zabiegowi korekcji oczu. Tutaj Suzie Wong zakochała się w Amerykaninie i została ukarana śmiercią.

Tłum na ulicy gęstniał. Im bliżej centrum handlowego, tym trudniej było się przecisnąć. Hatcher zatrzymywał się kilkakrotnie, by sprawdzić, czy ma anioła stróża. Znowu było ich dwóch i stosowali tę samą technikę. Zanim dotarł do osławionej Cat Street, tłum już tak zgęstniał, że Hatcher mógł tylko poddać się jego rytmowi. Posuwał się wolno, oglądając wystawy.

Falując razem z ludzką masą znalazł się w pobliżu gabinetu akupunktur, gdzie w obskurnym i zakurczonym pomieszczeniu na piętrze pierwszy raz spotkał się z Cohenem. Przez chwilę rozważał możliwość zniknięcia w gabinecie, ale uznał, że byłoby to zbyt ryzykowne i zbyt łatwe do rozszyfrowania.

Ugiął nogi w kolanach i zgarbił się tak, że jego głowa nie wystawała ponad głowy przechodniów. W tej pozycji minął jedną przecznicę i dotarł do sklepiku z ubraniami. Był on tak zawalony towarem, że Hatcher nie mógł nic dojrzeć przez okno wystawowe. Czym prędzej zanurkował za próg.

Ogon stracił go z oczu w tłumie jeszcze na Cat Street. Potem wydawało mu się, że obiekt wchodzi do sklepu. Torując sobie drogę łokciami ruszył w pościg.

Sportowe ubrania i dżinsy zwisały gęsto spod sufitu. W środku kręciło się tyłu kupujących i oglądających, że nie można było wetknąć nawet małego palca. Hatcher przecisnął się przez sklep, wyszedł tylnymi drzwiami i zawrócił boczną, uliczką w kierunku Connaught Street. Wskoczył do pierwszej z brzegu rikszy i przykleił się do siedzenia.

— Szybko do tramwaju — rzucił po chińsku do chłopaka.

Na Cat Street ogon wyszedł tylnymi drzwiami i rozejrzał się. Ani śladu Hatchera.

— Zgubił mnie — powiedział rozgoryczony do nadajnika.

Riksza przemknęła Connaught Street obok ogrodów i stanęła przed stacją tramwaju na Górę Wiktorii. Hatcher zapłacił i wysiadł. Na ulicy panował zwykły ruch.

„Jak na razie idzie nieźle” — pomyślał wsiadając do wagonu.

## BIAŁY TSU FI

Z tarasu rezydencji Cohen obserwował mozolną wspinaczkę tramwaju. Widział podjeżdżającą riksę i Hatchera wsiadającego do staroświeckiego wozu. Obejrzał dokładnie ulicę wypatrując aniołów stróżów. Nie zauważył nikogo podejrzanego, ale wyczucie nakazywało ostrożność. Z Hatcherem nigdy nie wiadomo, zwłaszcza że zjawia się niespodziewanie po tak długim milczeniu. Był ciekaw, co sprowadza starego przyjaciela w jego progę. Wrócił myślami do pewnej ciemnej nocy w górnym biegu rzeki, kiedy zaczęła się ich przyjaźń.

*Cohen wracał z ładunkiem kontrabandy od Ts'e K'am Men Ti, kiedy nagle wyrosła za rufą łódź niezależnych piratów. Usłyszał ostrzegawcze strzały w powietrze. Na wyprawę wziął tylko sześciu ludzi i dwie łodzie. W końcu nikt pod słońcem nie miał prawa niepokoić łodzi wielkiego Tsu Fi. Niestety, wszystko wskazywało na to, że zbieranina niezależnych nie zamierza zastosować się do powszechnie przyjętych reguł. Kazali zatrzymać łodzie.*

*W tej samej chwili usłyszał basowy pomruk silnika i z ciemności wynurzyła się czarna kanonierka. Z kształtu była podobna do kanonierek amerykańskich, ale nie nosiła żadnych oznaczeń. Na dziobie stał biały, którego spotkał na rzece kilka miesięcy temu. Odszukał w pamięci nazwisko: Hatcher. Obok niego wzdłuż relingu ustawiło się dwunastu ludzi z bronią gotową do strzału. Cohen zauważył, że strzelec w wieżycze działka miał dystynkcje na rękawie bluzy. Czyżby to byli Amerykanie? Żaden z pozostałych nie nosił munduru. Hatcher co prawda miał na sobie oliwkową panterkę, ale teraz wielu ludzi nosiło podobne stroje. Cohen nie słyszał treści rozmowy dowódcy czarnej kanonierki z piratami, ale perswazja odniosła pożądany skutek, bo niezależni zawrócili w górę rzeki. Kanonierka przybiła do burty łodzi.*

— *Znów się spotykamy — powiedział Hatcher.*

— *Świat jest mały — odparł Cohen. — Niech pan nie pomyśli przypadkiem, że się czepiam, ale skąd, u licha, wzięliście się tutaj o tej porze?*

— *Płyniemy za wami od godziny. Kiedy tamte przyjemniaczki wyskoczyły zza zakrętu, uznałem, że trzeba sprawdzić, co się święci.*

— *Jestem pańskim dłużnikiem — powiedział Cohen i uklonił się.*

— *Zapamiętam. A teraz zapraszam na drinka.*

*Ludzie Hachera zadomowili się na kanonierce dość dawno temu i przystosowali ją do swoich potrzeb. Po dokonaniu niezbędnych przeróbek łódź nabrała wyglądu szybkiej jednostki specjalnego przeznaczenia i taką też była w rzeczywistości. Pomieszczenia załogi zmniejszono, uzyskując dodatkową przestrzeń na magazyny broni i amunicji. Rozbudowano kuchnię i zaplecze oraz wzmocniono opancerzenie. Całość pomalowano na czarno. Załoga składała się z dwunastu brodatych zabijaków z armii amerykańskiej, którzy niewiele różnili się wyglądem od odprawionych z kwitkiem piratów. Hatcher zaprowadził Cohena do kajuty. W urządzonym po spartańsku pomieszczeniu znajdowało się biurko z odręcznymi mapami rzeki, barek i hamak zwisający pod sufitem. Cohen od razu zrozumiał, że nie należy zadawać zbyt wielu pytań. Gospodarz wyjął butelkę ginu i nalał dwie godziwe porcje.*

— *Dokąd Bóg prowadzi? — zapytał ostrożnie gość.*

— *Wracamy do Hongkongu. Czas na mały relaks w dobrym stylu*

— *odpowiedział Hatcher.*

*Twarz Cohena rozjaśniła się.*

— *To się świetnie składa. Po prostu nie mógł pan lepiej trafić. Mówiąc skromnie, jestem ekspertem od organizacji wypoczynku. Zapraszam w gošcinę do siebie. Proszę nie odmawiać.*

*Hatcher uśmiechnął się i uniósł szklanke.*

— *Nie odrzuca się takiej oferty.*

Przez następne dwa tygodnie Cohen podejmował Hachera jak udzielnego księcia. Szaleli od Koulunu do Makau. W tym czasie znajomość zawarta na rzece nabrała wszystkich cech przyjaźni, z pełnym zaufaniem włącznie. Cohen po raz pierwszy w życiu nazwał kogoś przyjacielem, Hatcher po raz drugi. Użył już wcześniej tego określenia w stosunku do Murpha Cody'ego. Cohen wtajemniczył go w działalność triad i ich powiązania. Hatcher zrewanżował się informacjami o ruchu i dyspozycyjności brytyjskich patroli i celników. Jednak tym, co ostatecznie scementowało przyjaźń, był fakt, że po prostu przypadli sobie do gustu. Dwaj samotnicy, którzy odnaleźli bratnią duszą na końcu świata, żyli się ze sobą, a raz zadzierzgnięte więzy sympatii

i braterstwa przetrwały do dziś. Nawet kiedy Cohen został Tsu Fi i mając zapewnioną protekcję Sam-Sam Sama mógł swobodnie poruszać się po rzece, świadomość, że Hatcher jest w pobliżu i wyciągnie go z każdej opresji, dodawała mu otuchy.

Pewnego dnia Hatcher zniknął tak samo nagle, jak się pojawił. Pożegnania nie były w jego stylu.

Cohen z biciem serca oczekiwał wizyty starego przyjaciela i cieszył się na spotkanie.

Hatcher też był podekscytowany perspektywą zobaczenia wielkiego Tsu Fi. Po pierwszym spotkaniu na rzece wypytywał o Cohena w różnych miejscach. Nie dowiedział się niczego ciekawego. Na jego temat krążyło wiele plotek, często sprzecznych ze sobą. Pewnego wieczoru Hatcher popijał z grupą dziennikarzy w barze na Connaught Street. „Godown” był ulubionym miejscem wielu Amerykanów ze względu na dobre drinki i nie gorszy zespół jazzu tradycyjnego. Kiedy Hatcher wymienił nazwisko Cohena, mocno podпиты eksfotoreporter Charlie Rawlson ożywił się nagle.

— Znałem go. Studiowaliśmy razem w Harvardzie — powiedział sącząc gin z sokiem cytrynowym.

— Ty i Harvard! — rzucił Sid Barnaby z „Time'u”.

— Zazdrościsz? — odciął się Rawlson tonem przechwałki, po czym zaczął opowieść. — To było gdzieś pod koniec lat sześćdziesiątych. Cohen uchodził za pierwszą fajtlapę wydziału. Przemykał przez Harvard Square jak mól książkowy wypłoszony z czytelnicy. Teczuszkę przyciskał kurczowo do piersi, jakby się bał, że ktoś może mu podwędzić cenne notatki, a o tym, żeby dogonił złodzieja, nie było co marzyć. Z nikim nie rozmawiał, nigdzie nie bywał. Miał tyle ogłady co uszczypnięty nosorożec. Salonowy troglodyta. Jego stary był jakąś fiszą w palestrze albo coś koło tego. Mógł być dumny z synka. Magisterium w Princeton, dyplom Harvardu. Jak zrobił doktorat, największe firmy ustawiły się w kolejce, żeby go pozyskać dla siebie. Niestety, już w czasie rozmowy kwalifikacyjnej okazywało się, że facet ma mózg napchany wiedzą do granic możliwości, ale ani za grosz obycia. Geniusz, który nawet nie potrafił się przywitać. Wszyscy skreślali go jako odludka i towarzyską niemotę. W gruncie rzeczy facet był po prostu nieśmiały. Ten, kto wymyślił to słowo, miał na myśli Cohena.

— Co dalej? — zapytał Hatcher.

— Rodzice uznali, że tylko podróż dookoła świata może pomóc ich pupilkowi nadrobić braki towarzyskie. Któregoś dnia tatuś podobno powiedział: „Czas najwyższy, żebyś się rozerwał, mój synu. A przy okazji dowiedział się tego i owego o płci przeciwnej”. Cóż, skąd mógł biedak wiedzieć, do jakich granic posunie się jego żądny wiedzy synalek. Wtedy słyszałem o nim ostatni raz. Aż tu nagle chyba rok temu zobaczyłem go, jak tanecznym krokiem

wypływa z banku na Connaught Street, ubrany w czerwony jedwabny *cheongsam*, i wsiada do rollsa. Bóg jeden wie, co się z nim działo tymczasem.

Dzięki wielu serdecznym rozmowom Cohen wypełnił i tę lukę w wiadomościach Hatcherera.

Stojący na tarasie Cohen również oddawał się wspomnieniom. Powrócił myślami do chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzał port w Hongkongu. Był tak przerażony perspektywą spotkania kogoś z pasażerów na statku, że od chwili, gdy wszedł na pokład w San Francisco, nie opuszczał kabiny. Wreszcie którejs nocy uznał, że mimo wszystko powinien wyjść. Wymknął się z kajuty, gdy stanęli na redzie. Oniemiał ujrawszy potężny masyw Góry Wiktorii, feerię światła miasta i istny rój sampanów, których pasażerowie, przekrzykując się wzajemnie, wyciągali ręce po podarki i jałmużnę. Właśnie wtedy został dostrzeżony przez pewnego doświadczonego i biegłego w swej sztuce lowelasa nazwiskiem Ringer, któremu zrobiło się żal Cohena.

— Ehm, widzi pan, tak się składa, że wybieram się do centrum. Na razie sam. Może by się pan przyłączył, he? — zapytał Ringer.

Cohen był podenerwowany, ale propozycja zainteresowała go.

— To, zdaje się, dzielnica banków, czy tak?

— Noo... Nie tylko. Jest tam parę miejsc godnych uwagi. Pomyślałem sobie, że w „Salonie Orchidei” u Ciepłej Lady Lau na pewno się panu spodoba.

— Czy to jest restauracja?

Ringer puścił łobuzerskie oczko.

— Hm, cóż, można to i tak nazwać — powiedział. Restauracja była tam także, w rzeczywistości bowiem Ciepła Lady Lau prowadziła jeden z bardziej ekskluzywnych i chyba największy na świecie burdel. Ringer zaprowadził tam Cohena, słusznie przypuszczając, że w przeciwnym razie azjatycka przygoda chłopaka skończy się na zupie rybnej i faszzerowanych jajkach. Z chwilą gdy Cohen przekroczył próg Ciepłej Lady Lau, jego życie odmieniło się. Nagle rozbudzona wyobraźnia seksualna sprawiła, że dostrzegł wiele drzwi, o których istnieniu dotychczas nie wiedział.

Uśmiechnął się wspominając tamtą noc. Pokój gościnny oświetlony różowym światłem świec, dyskretna muzyka zza ściany i bufet jak ze snu. Najbardziej wymyślne smakołyki dla każdego podniebienia. Kawior z czarnomorskiego jesiotra, jaskółcze skrzydełka w sosie czosnkowym po kantonsku, zupa z płetwy rekina i sos pieczarkowy z chińskim octem, kaczka po pekińsku w plasterkach podawana na *bao bing*, bułeczki *chun juan* nadziewane wieprzowiną i mackami kałamarnicy w sosie curry i warzywa gotowane w szampanie.

Kobiety. Patrzył na nie jak zahipnotyzowany. Ukazywały się w delikatnym przyćmionym świetle jak zwodnicze i prowokujące cienie. Ciepła Lady Lau umiała doskonale dobrać strój stosowny do okazji, charakteru i temperamentu modelki.

Jedna była ubrana tylko w śmiały francuski peniuar, inną okrywał finezyjny zwój rzadkich koronek, jeszcze inna miała na sobie gorset i jedną podwiązkę. Była tam wysoka peruwiańska piękność tylko w zapiętej pod szyję bluzce ze stójką i księżniczka nubijska w przepasce na biodrach. Kobiety wszystkich ras i nacji, nawet dwie bliźniaczki eskimoskie, które zawsze pracowały razem w salonie luster.

Cohen przyznał w duchu, że wędrownica po krainie erotyki była najwspanialszym doświadczeniem jego życia.

Ciepła Lady Lau miała figurę modelki z francuskiego żurnala, wysokie kości policzkowe i szerokie ramiona. Była nietykalna i nieosiągalna nawet dla najznamienitszych gości.

— Dlaczego nazywają ją Ciepła Lady Lau? — zapytał Cohen.

— Przyznasz, że raczej nie wieje tu chłodem, a „ciepły” w Hongkongu znaczy „ten, kto ma wypchany portfel”.

Wprawne oko natychmiast dostrzegło, że Cohen jest prawiczkiem, dlatego też należą mu się specjalne względy. Lady Lau wyszła z salonu i po chwili wróciła z Tianą. Była drobna, niższa od niego, zaledwie szesnastoletnia, ubrana w sarong, a włosy miała upięte w kok ozdobiony orchideami i azaliami. Czarna, równo przycięta grzywka sięgała do połowy czoła. Przesłała mu najmiłszy uśmiech, jakim kiedykolwiek obdarzyła go dziewczyna. Potem wzięła go za rękę i poprowadziła do rajcu. Do dziś pamiętał każdy cień w jej pokoju, kolor poduszek w kącie, staroświecką wannę na mosiężnych nogach. Pamiętał każdy kęs, który wybrała i podała mu do ust, tak doskonale dobierając i mieszając smaki, że samo jedzenie podziało na niego jak afrodyzjak.

Rozebrała go powoli, masując każdy mięsień. Potem wyjęła kwiaty i spinki, a czarne włosy spłynęły jej łagodnie na ramiona. Usiadła, rozsunała sarong i wstając upuściła go na podłogę. Pozwoliła, by przez chwilę cieszył oczy pięknem jej ciała, po czym zaprowadziła go do wanny wypełnionej tak gorącym błotem, że ledwie w nim wytrzymał. Potem przyszła kolej na grę uwodzenia, wreszcie spełnienie, podczas którego o mało nie postradał zmysłów. Wspominając te chwile poczuł, że krew znów szybciej krąży mu w żyłach.

Nie wrócił na statek. Ani na ten, którym przyplłynął, ani na następny. Jego światem stał się Hongkong. Tu w wiktoriańskim pałacyku w Wanchai odnalazł swój dom, nauczył się nie tylko mówić o miłości, lecz także poznał jej najbardziej finezyjne formy dające szczęście i radość spełnienia; tu także odnalazł tę, z którą dzielił łóżko.

Wkrótce potem odkrył jeszcze jeden aspekt swojej osobowości, który przez dwadzieścia siedem lat pozostawał w uśpieniu. Okazało się bowiem, że szwindle i machlojki pociągają go o wiele bardziej niż fluktuacje dolara na giełdzie. Odkrył przemysł, spekulacje trefnym złotem i wodzenie za nos celników szukających kontrabandy. Przekonał się także, iż informacje mają większą wartość niż towary. Tiana była jego przyjaciółką i kochanką. Nauczyła go chińskiego, a on ją — mówić po angielsku. Styl życia i kultura Dalekiego Wschodu działały jak magnes.

Od Chińczyków dowiedział się o istnieniu Tsu Fi, Wiekowego Męża, Który Kąsa Jak Smok. Pociągał on za jedwabne nici, na końcu których tańczyli tai-panowie. Nikt nie miał przed nim tajemnic. Nawet zachodni magnaci podziemia bali się go i szanowali. Narazić się Tsu Fi to jakby narazić się wszystkim bogom naraz. W pojęciu Cohena Tsu Fi był głównym strażnikiem panteonu. Poznanie go i podzielenie się z nim tajemnicami stało się obsesją. Dostęp do Tsu Fi był trudny, gdyż Wiekowy Mąż nie ufał *gwai-lo*.

Pewnego wieczoru u Ciepłej Lady Lau Tiana otworzyła drzwi do panteonu.

Klient nie należący do grona stałych bywalców „Salonu Orchidei” wyznał w tajemnicy, że bogata kobieta wynajęła go, by zabił jej męża. Tiana nie poznała szczegółów. Zapamiętała jedynie, że imię kobiety było też nazwą kwiatu. Cohen zajrzał do „Spisu rodów i tytułów Korony” O'Toole'a — informatora o biznesmenach i śmietance towarzyskiej Hongkongu — i znalazł notatkę następującej treści:

*Towarzystwo Transportowe Hampton-Rhodes, sp. z o.o.* Prezes i dyrektor naczelny: Charles Rhodes. Przedtem: Towarzystwo Żeglugowo-Transportowe Hamptona, sp. z o.o. Rok założenia: 1934, zapisane w rejestrze w Aberdeen. Założyciel: Jonathan Hampton, zmarł w 1978. Zmiana nazwy: 1979. Poślubił: *Iris* (ur. Hampton), córkę założyciela firmy, w 1975. Sprawdził kilka szczegółów u zaprzyjaźnionych bankierów na Connaught Street i tego samego wieczoru poprosił Tianę, by załatwiła mu posłuchanie u Tsu Fi.

— Ależ, Robercie, Tsu Fi nie robi interesów z *gwai-lo*.

— Powiedz mu, że ten *gwai-lo* uczyni go jeszcze bogatszym — odrzekł z pewnością siebie.

Plan był śmiały, wręcz ryzykowny, ale to właśnie pociągało Cohena. Znał się dobrze na interesach. Oto nadarzyła się sposobność, by dzięki mistrzowskiemu posunięciu *gwai-lo* poznał tajemnice wielkiego Tsu Fi.

*Biuro Tsu Fi od niepamiętnych czasów mieściło się w dwu izdebkach nad gabinetem akupunktury przy Cat Street. Na drzwiach widniał napis: „Wong. Przyprawy”.*

*Cohen wiedział, że nie wolno mu okazać niepokoju czy zdenerwowania.*



Stanął przed drzwiami z bijącym sercem i zanim nacisnął klamkę, na chwilę pogrążył się w medytacji, by uspokoić tętno. Przekroczył próg i znalazł się w pomieszczeniu wielkości średniej szafy na ubrania. Za następnymi drzwiami znajdował się niewiele większy pokój, w którym przyjmował Tsu Fi. Wiekowy Mąż nie robił nic na pokaz.

Siedział na wysokim krześle plecami do okna. Na prostym mahoniowym biurku stał staroświecki telefon z wysokimi widełkami i liczydło. Naprzeciw biurka znajdowało się krzesło. Kurz unosił się w promieniach słońca tworzącą swoistą aureolę wokół siedzącej postaci. Pozostałą część umeblowania stanowiła kasetka z drewna tekowego w jednym kącie i stolik z serwisem do herbaty w drugim.

Mimo sędziwego wieku Tsu Fi trzymał się prosto i miał bystre spojrzenie. Skóra na twarzy była co prawda blada i przezroczysta, ale bez jednej zmarszczki. Nie miał wąsów ani brody. Białe włosy przylegały do czaszki. Przez chwilę przyglądał się Cohenowi, po czym skinął palcem zapraszając do środka. Gość podszedł do biurka i wyciągnął rękę.

— Jestem Robert Cohen — przedstawił się w języku mandarynów.

Tsu Fi zignorował wyciągniętą rękę, wolno unióś przedramię i uważnie przyjrzał się cieniowi na podłodze.

— Przynajmniej jesteś punktualny — powiedział wysokim śpiewnym głosem, wskazując Cohenowi krzesło. Oparł łokcie na blacie i złożył ręce. — Zatem?

Cohen odchrząknął. Dokładnie przećwiczył, co i jak ma mówić. Wyprostował się na krześle, na którym w żaden sposób nie dało się siedzieć wygodnie, i zaczął:

— Wszedłem w posiadanie informacji, które można spożytkować z obopólną korzyścią. Doszły mnie wieści, że pewien biznesmen zostanie zamordowany na polecenie własnej żony.

Starzec zachował kamienną twarz i wpatrywał się w oczy Cohena.

— Biznesmen ów jest nieporadny i leniwy. Dużo pije i oszukuje żonę. Jej ojciec był założycielem firmy, ale już nie żyje. Przedsiębiorstwo ma poważne kłopoty. Jeśli mąż zejdzie z tego świata, żona przejmie udziały spółki i kontrolę nad nią. Usunąwszy go, zyska swobodę manewru w doborze nowych ludzi, którzy zajmą się reorganizacją. Będą to osoby o znaczącej pozycji i wysokich aspiracjach. Przewiduję dwa warianty rozwoju sytuacji: albo firma stanie na nogi, albo przejmie ją konsorcjum.

— Nie istnieje trzeci wariant? — zapytał Tsu Fi.

— Ogłoszenie upadłości? Mało prawdopodobne. Kobieta jest dobrze zabezpieczona, ma spore rezerwy. To byłaby ostateczność, chyba że ma inne plany.

— Jakie to może mieć znaczenie dla mnie? — zapytał starzec. Cohen uśmiechnął się i pochylił w stronę biurka.

— Może dla nas?

— Nie interesuje mnie rynek papierów, Amerykaninie. Zostawiam

to gwai-lo.

— Rozumiem, *Tsu Fi* — powiedział *Cohen* i zdecydowanym tonem dodał: — Jeśli jednak zaczekamy, aż akcje spadną, damy na to, o osiem punktów i włożymy w interes, powiedzmy, pół miliona, to akcje powinny podskoczyć ostro, gdy tylko zacznie się reorganizacja.

— Ile to potrwa?

— Pół roku, najwyżej siedem miesięcy.

— Jak wysoko pójdą akcje?

— Według moich obliczeń co najmniej o dwadzieścia punktów.

*Tsu Fi* przebiegł palcami po liczydło.

— Może nawet dwadzieścia dwa. Dwa i pół miliona w pół roku — ciągnął *Cohen*, chociaż zdawał sobie sprawę, że *Tsu Fi* wyprzedza go co najmniej o jedno okrążenie. — Będę przez cały czas na bieżąco i sprzedam w najlepszym momencie.

— Czego oczekujesz w zamian?

*Cohen* pochylał się jeszcze bardziej i z ogniem w oczach powiedział przymilnie:

— Połowy zysku.

*Tsu Fi* spojrział na niego uważnie i po dłuższej chwili potrząsnął głową.

— Nie.

— Zgoda, niech będzie jedna trzecia — podsunął *Cohen*. — *Tsu Fi* zarabia dwa miliony, ja sześćset tysięcy. Zaokrąglę do pół miliona.

— Łatwo rezygnujesz ze stu tysięcy.

— Łatwo zrezygnować z tego, czego się nie ma.

*Tsu Fi* uśmiechnął się. *Gwai-lo* miał tupet, ale *Tsu Fi* wiedział o nim dostatecznie dużo. Amerykanin był bystry i znał się na interesach, a co najważniejsze, pokazał, że wie, jak korzystać z informacji. Trzeba nieco poskromić zapędy tego białego. Przyda mu się mała nauczka. Kto wie, może *Cohen* otworzy nowe drzwi, o których istnieniu mistrz wiedział od dawna, ale ich unikał. Perspektywa nowego przedsięwzięcia ożywiła *Tsu Fi*.

— Nie czujesz się moralnie zobowiązany, by zapobiec katastrofie?

— To sprawa rodzinna — odparł sucho *Cohen*. — Wtajemniczając policję naraziłbym przyjaciół.

*Tsu Fi* pogładził brodę nie spuszczając oczu z rozmówcy.

— Kiedy to ma się stać?

— Nie wiem, ale kiedy *Rhodes* umrze, musimy być gotowi.

— A jeśli operacja się nie zwróci?

*Cohen* uśmiechnął się i uniósł ręce.

— Wtedy zaczną się moje kłopoty. Ale do tego czasu przygotuj się do podjęcia ryzyka.

*Tsu Fi* powoli skinął głową.

— Daj znać, kiedy będziesz gotów, wówczas poznasz moją odpowiedź.

– Będzie za późno, żeby znaleźć innego inwestora.  
– Zatem oczekujesz natychmiastowej decyzji? – zapytał zaskoczony Tsu Fi.

– Jeśli Tsu Fi nie jest zainteresowany, muszę szukać dalej.

Wiekowy Mąż przyjrzał się uważnie aroganckiemu gwai-lo.

– W takim razie odpowiedź brzmi „nie”.

Cohen poczuł się lekko zbity z tropu, niemniej jednak był przekonany, że stary Chińczyk jest zainteresowany ofertą. Zastanowił się, czy jeśli wyjdzie, Tsu Fi zmieni zdanie, czy też zapomni o projekcie. Wycofując się dalby dowód słabości, a przecież w sumie bardziej zależało mu na pozyskaniu Wiekowego Męża niż na realizacji przedsięwzięcia.

– Cóż, przykro mi, że zmarnowałem tyle cennego czasu Tsu Fi – powiedział zbierając się do wyjścia.

Starzec ponownie uniósł przedramię i spojrzał na cień na podłodze.

– Żegnam.

Cohen odwrócił się i skierował do drzwi, gdy nagle usłyszał za plecami:

– Panie Cohen, na pańskiej twarzy pojawiły się dziwne nowe zmarszczki. Niech pan zajrzy do gabinetu akupunktury na parterze. Mistrz nazywa się Ping. Proszę powiedzieć, że Tsu Fi przysłał pana na kurację.

Cohen posłuchał rady Wiekowego Męża. Usiadł na starym fryzjerskim fotelu, a mistrz przystąpił do dzieła. Amerykanin odprężył się i zamknął oczy. Kiedy po trzydziestu minutach Ping wyjął igły, Cohen otworzył oczy i ujrzał przed sobą Tsu Fi.

– Chcę być informowany na bieżąco. Pieniądze czekają – powiedział starzec i wyszedł.

Cohen zerwał się z fotela i pobiegł za nim.

– Proszę pana...

Wiekowy Mąż zatrzymał się w połowie schodów i spojrzał z góry. Cohen wyjął z kieszeni złożony we czworo arkusz i wyciągnął w jego stronę.

– Pozwoliłem sobie sporządzić projekt umowy. Żeby przypieczętować transakcję.

Tsu Fi prychnął, wyrwał papier i ruszył do gabinetu. – Chodź – nakazał nie odwracając się.

Cohen posłusznie podreptał na górę.

Kiedy znaleźli się z powrotem w gabinecie, Wiekowy Mąż spalił papier nie rzuciwszy nawet okiem na treść. Oczy zabłyśły mu dziwnym blaskiem.

— Tyle jest wart twój papier — powiedział szorstko. — Nigdy niczego, nie podpisuj, gwai-lo, bo możesz przypadkiem podpisać na siebie wyrok.

Dziewięć dni później Rhodes zginął w wypadku samochodowym. Akcje spadły do pięciu punktów, zanim Cohen zdecydował się na zakup.

Gdy tylko ogłoszono plany reorganizacji, akcje podskoczyły do dwudziestu czterech punktów z tendencją zwykłą, po czym kurs wyrównał się. Tsu Fi miał powody do zadowolenia. Trafił mu się kasek o wartości ponad dwóch milionów dolarów.

Przesunął dziesięć tysięcy w stronę Cohena.

— Czy to zaliczka? — zapytał ten z uśmiechem.

— To uczciwa zapłata za całą usługę — oznajmił Tsu Fi.

Rozzłoszczony Cohen zerwał się z krzesła.

— I pomyśleć, że to pan mi pokazał, że papier nie jest wart funta kłaków! Zaufałem panu!

— Kolejna nauka dla ciebie. Nie ufaj nikomu — odparł Tsu Fi spoglądając na zegarek.

— Proszę opuścić rękę! Jest mi pan winien pół miliona! Tsu Fi podniósł wzrok na twarz Cohena.

— Zastanów się, gwai-lo, czy lepiej zarobić pieniądze, czy rozpaczać.

Cohen uspokoił się i usiadł.

— Musisz się jeszcze wiele nauczyć o nas, Amerykaninie. Masz talent. Kiedy wykorzystasz go właściwie i zdobędziesz wiedzę, pół miliona wyda ci się drobnostką.

W ten sposób Cohen został protegowanym Tsu Fi. Otworzył własne biuro w Wanchai, mieszczące się w jednym pokoiku z biurkiem, trzema telefonami i komputerem. Interesy prowadził osobiście, zgodnie z następną wskazówką Tsu Fi, która brzmiała: Nie dziel się z nikim swoimi sekretami. Wkrótce z rad Wiekowego Męża stworzył swoją prywatną ewangelię. Pewnego dnia mistrz wezwał go do biura przy Cat Street.

— Nadszedł czas, byś wyruszył na Szlak Makau.

Wiadomość zaskoczyła Cohena. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Tsu Fi poleci mu udać się do Chinlandu.

— Dlaczego?

— Jeśli uważasz, że należy zadawać pytania, to znaczy, że mój wybór nie był trafny. Jesteś moim nowym negocjatorem. Twoje zadanie to zrobić stosowne wrażenie na piratach rzecznych. Zaimponujesz im. Nie okazuj lęku ani wahania. Zaczynasz prowadzić interesy i negocjować nowe ceny. Masz smykałkę do robienia pieniędzy, Amerykaninie. Wkrótce będziesz bogaty, ale zanim to nastąpi, musisz nauczyć się znosić niewygodę — powiedział Tsu Fi i wręczył mu złotą dwudziestodolarówkę z podobizną królowej Wiktorii. — Oto twój list żelazny. Poprzedni negocjatorzy nie wykazali się. Zabrakło im wyczucia i trzeź-

wości sądu. Zbyt łatwo szli na kompromis. Ty umiesz cenić godność, gwai-lo. Zawrzesz nowe kontrakty.

— Trzeba będzie trochę dosłodzić budyń — zaproponował Cohen.

— Dosłodzić? Jaki budyń?

— Przebić ofertę innych działających na rzece.

— W jaki sposób? — zapytał Tsu Fi.

— Właśnie myślę — odparł Cohen.

— Myśl szybko. Wyruszysz dziś wieczorem. Tego samego wieczoru Cohen poznał Hatchera.

Wkrótce został białym Tsu Fi. Miał armię ludzi na rzece. Ts'e K'am Men Ti szanowali go, a tai-panowie bali się go jak ognia. Jego kontrakty z czerwonymi Chinami nie miały sobie równych. Jednak przede wszystkim zdobywał informacje i udzielał ich. Stał się swego rodzaju izbą rozrachunkową w Hongkongu.

Kiedy tai-panowie mieli kłopoty, zwracali się wyłącznie do niego.

Nazywali go China Cohen.

Było mu z tym dobrze.

Tramwaj dojechał na szczyt. Hatcher wysiadł i idąc wzdłuż parku dotarł do Albany Road w pobliżu ogrodu botanicznego. Rezydencja Cohena znajdowała się opodal.

Chociaż przez całą drogę sprawiał wrażenie człowieka pogrążonego w głębokiej zadumie, to jednak dostrzegł czarny samochód przy wejściu do ogrodu i kierowcę obserwującego go przez lornetkę.

## STARE I NOWE

Zatrzymał się przed masywnymi żelaznymi wrotami do rezydencji Cohena, które swego czasu strzeżyły wejścia do pałacu chińskiego mandaryna w Szanghaju. Mur otaczający posiadłość był równie stary i miał osiem stóp wysokości. Ochronę dodatkowo wzmacniały przewody pod napięciem i fotokomórki — jedyne współczesne dodatki niewidoczne z zewnątrz.

Nacisnął guzik w niszy. Po chwili za kratą pojawił się strażnik i spojrzał pytająco na przybysza.

— Hai?

— Ngo hai gli Occhi di Sassi — odpowiedział Hatcher podając stary pseudonim, pod którym znano go na rzece. „Człowiek o Kamiennych Oczach”.

— *Deui mju*. — Strażnik zniknął i po chwili pojawił się znowu. — *Ho, cheng nei* — powiedział kłaniając się.

Krata otworzyła się bezszelestnie i zamknęła za Hatcherem.

Strażnik poprowadził go krętą alejką w stronę grupy figowców i sosen, za którymi znajdował się dom.

China Cohen urządził rezydencję z rzadko spotykanym smakiem, starannie dobierając elementy różnych kultur i religii Dalekiego Wschodu. Posiadłość przypominała amalgramat, który matka natura kształtowała z pietyzmem przez całe wieki, czerpiąc obficie z wzorców chińskich, tajskich, malajskich i japońskich. Biały piętrowy budynek przysiadł na skraju przepaści, jakby chciał nasycić oczy widokiem miasta leżącego pokornie u stóp góry. Żółte dachówki z chińskiego kaolinu lśniły złotym blaskiem. Białej fasady domostwa strzegły dwa święte kamienne psy. Po jednej stronie alejki wiodącej do głównych drzwi znajdował się starannie utrzymany japoński ogród skalny, po drugiej zaś rozciągał się bajecznie kolorowy świat azalii, róż i orchidei. Spośród kwiatów wynurzała się żółtozielona głowa *naga* — tajskiego węża — symbolu szczęścia i powodzenia w życiu. W rozwartej paszczy gada połyskiwały zęby jadowe z kości słoniowej. Wysmukłe palmy rzucały delikatne cienie na dom i ogród.

Poruszone lekkim podmuchem wiatru porcelanowe dzwoneczki cicho nucily swoją pieśń po obu stronach drzwi zdobionych czarną laką i złotem. Wejście do głównego pomieszczenia rezydencji wieńczyło subtelnie rzeźbione nadproże z drewna tekowego w kształcie *ham yon* — świętych jąder. Według wierzeń właśnie w nich miała swoją siedzibę witalność i męskość pana domu.

Przybycie gościa oznajmiono uderzeniem masywnej kołatki z brązu w kształcie głowy lwa. Drzwi otworzyła niewysoka służąca o pomarszczonej twarzy. Wyglądała na co najmniej sto lat, miała tajskie rysy i nosiła skromny, prosty strój. Spojrzała bacznie Hatcherowi w oczy, po czym uśmiechnęła i z ukłonem powiedziała:

— Witaj, Kamienne Oczy.

Cofnęła się o krok i zaprowadziła go do salonu z zachodnimi meblami, orientalnymi precjozami i tureckimi dywanami. Okno balkonowe otwierało się na rozległy taras. W dole była zatoka, a za nią Koulun. W salonie unosił się zapach świeżych kwiatów. Nic się nie zmieniło od ostatniej wizyty.

Po chwili w pokoju zjawiała się Tiana. Miała na sobie długą jedwabną suknię i orchidee we włosach. Wyglądała tak samo młodo jak podczas ostatniego spotkania.

— Witaj, Christianie — powiedziała głębokim, melodyjnym głosem.

— Nie do wiary. Wyglądasz wciąż na szesnaście lat. Czyżby czas się dla ciebie zatrzymał?

— Niedługo dobiegnę trzydziestki — odparła.

— Nie mów nikomu. Za żadne skarby nie zgadłbym, ile naprawdę masz lat — powiedział i podał jej butelkę wina. — Wypijcie z Cohenem.

— *Mm goi* — przycisnęła butelkę do piersi. — Na pewno będziemy wtedy myśleć o tobie.

— Będę się czuł, jakbym był z wami — odpowiedział.

Przyjrzała mu się uważnie i skinęła głową.

— To bardzo szczęśliwy dzień, Christianie — rzekła nieomal ze łzami w oczach. — Robert ciągle mówił o tobie. Pewnego dnia usłyszeliśmy, że nie żyjesz, i od tej pory ani razu nie wyrzekł twego imienia. I nagle dziś! To wspaniała niespodzianka. Teraz rozumiem to nieoczekiwane ożywienie Roberta. Cały czas cierpiał, bo myślał, że odszedłeś na zawsze. Tak się cieszę, że wróciłeś. Cieszę się za siebie i za niego.

— Ja też się cieszę. Za nas wszystkich.

— Nie zmieniłeś się specjalnie. Wciąż dziarski i z fantazją. Bardzo mi przykro z powodu... tego. — Delikatnie pogładziła bliźnię na jego szyi.

— Och, po prostu mój głos brzmi trochę groźniej — powiedział szeptem i roześmiał się.

— Ty naprawdę jesteś groźny — spojrzała mu poważnie w oczy, ale po chwili znów się uśmiechnęła. — Witaj wśród nas. — Delikatnie ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała w usta.

— Przez następne dwadzieścia lat masz murowany fart — oznajmił głos z tyłu.

Hatcher odwrócił się i zobaczył stojącego w drzwiach Cohena.

Czas obszedł się z nim mniej łagodnie niż z Tianą. We włosach i brodzie pojawiły się siwe pasemka, a na twarzy przybyło kilka zmarszczek, ale poza tym wcale się nie postarzał. Miał na sobie *cheongsam* zdobiony klejnotami i tajski amulet na szyi. Szybko przemierzył pokój i uścisnął Hatchera.

— Niech mnie licho, to ci dopiero niespodzianka — powiedział China. — Przecież jeszcze się taki nie urodził, który mógłby cię sprzątnąć.

— Ale już bliżej niż dalej — szepnął Hatcher.

Oglądali go i z aprobatą kiwali głowami, ale ich wzrok co chwila powracał do bliźny na szyi. Dotknął jej bezwiednie i wzruszył ramionami.

— Wypadek — rzucił i sięgnął do amuletu Cohena.

— Piękna robota. Tajski?

Cohen przytaknął.

— To amulet dziesięciu bóstw, który podobno chroni cię z przodu i z tyłu — powiedział i zaśmiał się. — Mój człowiek zdjął go z szyi pewnego tajskiego chojraka. Zdaje się, że przyniósł biedakowi pecha, facet już był martwy.

— Coś mi się zdaje, że prędzej słońce zgaśnie, niż ciebie opuści fart — stwierdził Hatcher.

— Wybaczcie, że zostawię was samych, ale Cohen zadbał, bym miała kogo pilnować w tym domu — rzekła z uśmiechem, pocałowała Hachera w policzek i wyszła z pokoju.

— Zdaje się, że wydostanie jej od Ciepłej Lau kosztowało cię sporo grosza — stwierdził Hatcher.

— Ani centa. To był prezent dla szczodrego klienta — odparł Cohen i chwycił gościa za ramię. — Chodź dalej — powiedział i zaprowadził go do pokoju gościnnego sąsiadującego z salonem. Hatcher bardzo dobrze znał to pomieszczenie. Spędził w nim wiele nocy. Pokój urządzono w barwach czarnej i żółtej. Z olbrzymiego okna na całą ścianę rozciągał się widok na zatokę i port. Prosty zagłówek i ramę łóżka pokryto czarną laką, pościel zaś i poduszki były z żółtej satyny. Po obu stronach stały dwa stugalonowe akwaria z morską wodą, w której mieniły się setką barw najróżniejsze okazy rybek. Całą ścianę za łóżkiem pokrywał japoński widok malowany na jedwabiu. Przedstawiał smukłe, delikatne drzewo z liśćmi podobnymi do paproci i maleńkimi czerwonymi kwiatami. Ściana po przeciwnej stronie była wyłożona lustrami. Orientalne rzeźby i posążki harmonizowały z wystrojem wnętrza.

Na nocnej szafce w głowach łóżka stała rzeźba z kości słoniowej. Przedstawiała majestatycznego konia przysiadającego na zadnich nogach. Zwierzę miało rozdęte chrapy i prężyło się do skoku w niebiosy. Wzdłuż grzbietu biegł rząd czarnych pereł.

Przez otwarte drzwi po prawej stronie widać było czarne marmurowe wnętrze łazienki i olbrzymią wannę do masażu wodnego, w której mogłaby się wykąpać rota wojska. Wszędzie stały świeże kwiaty.

— Na jak długo zostajesz?

— Wyjeżdżam w sobotę — odparł Hatcher.

Cohen zamyślił się na chwilę, ale nie skomentował zamiarów przyjaciela.

— Chodź, zażyjmy relaksu na zewnątrz — powiedział.

Usiedli w wiklinowych fotelach na tarasie, oparli stopy o balustradę i wystawili twarze do słońca.



— Jak za dawnych dobrych czasów — zauważył Hatcher.  
— Lepiej. Nareszcie dorosliśmy, by to w pełni docenić — odparł Cohen.  
Sing Lo, kamerdyner i obstawa w jednej osobie, przyrządził drinki i odszedł.

Taras wystawał ponad urwisko, wsparty na długich ozdobnych dźwigarach. Trzydzieści stóp niżej stromy stok góry porastały paprocie i młode bambusy. Rozłożysty figowiec zasłaniał najbliższy dom. Panującą wokół ciszę zakłócały jedynie delikatne dźwięki dzwoneczków poruszanych lekkim wiatrem.

— Mam dla ciebie niespodziankę. Tiana i ja jesteśmy małżeństwem.  
Hatcher ucieszył się.

— Wspaniała wiadomość!

— Najlepsze posunięcie w życiu, prawda? — stwierdził Cohen. — A ty? Znalazłeś kogoś, kto zajęły miejsce Daphne?

Na dźwięk tego imienia *ch'uang tzu-chi* otworzyło się na chwilę, przelotnie ukazując elegancką i niezwykle piękną Daphne Chien, która nosiła tylko męskie stroje i była właścicielką koncernu produkującego džinsy. Jej matką była malajska piękność, a ojcem bankier, pół Chińczyk, pół Francuz. Przedziwna kombinacja krwi i temperamentu.

— Próbowałem zapomnieć o niej — skłamał Hatcher. Nie był przygotowany do rozmowy na ten temat, więc przeszedł do wątku Los Boxes. Potem wspominali stare dobre czasy i starego Tsu Fi.

— Zmarł trzy lata temu — powiedział Cohen. — Serce odmówiło posłuszeństwa. To był wspaniały facet. Kiedy dogasał w szpitalu, wezwał mnie do siebie i powiedział, że przez ostatnie lata tylko ja coś wniosłem w jego życie. Pierwszy i ostatni raz widziałem łzy w jego oczach.

— A co z półmilionem, który był ci winien za numer ze spółką Rhodessa? — zapytał z uśmiechem Hatcher.

— To najlepsza część historii. *Finale grande*. Facet trzymał fason do końca. W jego biurze stała taka drewniana kasetka, mocno naruszona zębem czasu. Nie dałbyś za nią nawet grosza. Kiedy odwiedziłem go w szpitalu w przeddzień śmierci, dał mi klucze do biurka i kluczyk do tej kasetki. Powiedział, że trzyma w niej trochę osobistych drobiazgów, i chciał, żebym po jego śmierci przejrzał je i wziął sobie to, co potrzebne, a co niepotrzebne — wyrzucił. Tak też uczyniłem. Otworzyłem kasetkę. Wiesz, co było w środku? Pół miliona w brzęczącej złotej monecie. — Cohen podniósł palec wskazujący. — I kawałek krzemu wielkości paznokcia.

— Krzemu?

— Układ scalony. Zaniosem do znajomego, który zainstalował go w komputerze, i kiedy uruchomiłem program, miałem wszystko. Telefony, adresy, kontakty, haczyki na największe szyszki na wyspie i całym Dalekim Wschodzie — wszystkie sekrety Tsu Fi. Wierz mi, że nawet pół miliona w złocie to było nic przy tym kryształku. Do głowy mi nie przyszło, że stary Tsu Fi może coś wiedzieć o komputerach.

— A propos, co nowego w górze rzeki? — zapytał Hatcher.

— Zmiany. Już mnie tam nie nosi.

— Dlaczego?

— Odeszła większość starej gwardii.

— Hiekaya?

— Nie żyje. Ty San, Joe Karaluch i Jimmy Chow też. Wszyscy.

— Co się stało?

— Zaczęły się waśnie i doszło do konfrontacji. Tylko Sam-Sam Sam wyszedł cało. Ma teraz u siebie tego Irańczyka Batala. Słyszałem, że facet pracował w SAVAK-u, zanim przegnali szacha. Ostry gość ten Batal. Jest jeszcze jeden zawodowy rzeźmieszek, który uciekł z Haiti razem z synem Papy Doca. Kiedyś był u Tontonów. Każe się nazywać Billy Kostucha.

— Czego, u diabła, mogą szukać Irańczycy i Tontonowie na Mekongu?

— Pewnie dolarów. To dwa ostatnie nabytki Sam-Sama. Sam-Sam utrzymuje się teraz ze składek i haraczu, ale także wykańcza konkurentów z Chinlandu, głównie z Szanghaju. Obcina im stopy i wieszka na maszcie ku przestrodze. Rzecz jasna, nie zapomina o towarze.

— Nie obawiasz się, że przestali ci ufać?

— Wykluczone. Jestem im potrzebny. Finansuję większość operacji na rzece. No i mam wielu lojalnych przyjaciół. To nie jest Chicago, Christianie. Triady starają się żyć ze sobą w zgodzie. Nawet Chiu Chao niechętnie wystawiają nos poza własne podwórko. Tsu Fi nauczył mnie jednej ważnej rzeczy. Kiedyś powiedział mi: Nigdy nie zjadaj całego ciastka sam. Zawsze podziel się z kimś. — Cohen przerwał i dokończył w zadumie: — Za to ty wszędzie zostawiłeś ślady.

— To była część zadania.

— Wszystko jedno, co to było, ale zrobiłeś sobie wielu wrogów, Christianie. Chyba nazbyt bym sobie pochlebiał przypuszczając, że twoja wizyta ma charakter czysto towarzyski.

Hatcher wiedział, co Cohen ma na myśli, i nie odebrał słów przyjaciela jako wyrzutu. W gruncie rzeczy spotykali się tylko wtedy, kiedy jeden od drugiego czegoś potrzebował.

Rozmowę przerwało nagle pojawienie się Singa. Olbrzymi, muskularny

Chińczyk stanął w drzwiach i odchrząknął lekko, by zwrócić uwagę Cohena. Robert przeszedł do sąsiedniego pokoju i zamienił z nim kilka słów. Gdy wrócił, miał markotną twarz.

— Kłopoty? — zapytał Hatcher.

— Jeszcze nie wiem — odpowiedział poważnie Cohen. — A ty, Christiane, nie masz kłopotów?

— Dlaczego pytasz?

— Ciekawość.

— Chyba będę zmuszony poprosić cię o przysługę — powiedział wreszcie Hatcher.

— To znaczy, że coś poważnego sprowadza cię do Hongkongu. Wiesz, że Tollie Fong jest nowym *san wong* Białych Dłoni?

Hatcher skinął głową.

— Są przekonani, że nie żyjesz. Jeśli Fong dowie się, że tu jesteś, zrobi wszystko, żeby cię sprzątnąć, a jeśli mu się nie uda, Joe Lung naśle na ciebie całą triadę. Wiesz, że są uparci i będą cię ścigać nawet na biegunie północnym. W grę wchodzi honor rodziny, przysięga na krew, zachowanie twarzy itd., itp. Byłoby lepiej, gdyby myśleli, że zginąłeś.

— Wiem, jakie jest ryzyko.

— Ale zachowujesz się tak, jakbyś zapomniał. Jesteś teraz w ich grajdołku. W moim domu nic ci nie grozi, ale twoje szanse na zewnątrz są znikome. Lubię cię, stary, i wolałbym, żebyś nie wyjeżdżał, ale nie możesz zostać w Hongkongu. Już masz ogon, przyjacielu.

— Wiem. Zdaje się, że to miejscowe gliny. Niejaki sierżant Varney z wydziału do spraw triad złożył mi dziś wizytę. Twierdzi, że ich komputer wyrzucił moje nazwisko podczas odprawy celnej.

— Nie wierzysz mu?

— Jeśli chodzi o komputer, to całkiem prawdopodobne, ale Varney za bardzo się mną interesuje. Śledzą mnie od hotelu.

— Hm — powiedział Cohen w zadumie. — Czy ten Varney zjawił się w hotelu ot tak, znikąd?

— Dokładnie.

— Nie wierzę nikomu, zwłaszcza jeśli chodzi o ciebie. Na twoim miejscu dałbym sobie spokój z tym, co cię tu przygnało. Wróć do domu, Hatch. Proszę.

— Nie mogę.

— Dlaczego? Co się za tym kryje?

Hatcher przedstawił mu sprawę Cody'ego, dodając informacje o śmierci Portera Cykora i zniknięciu Wol Pota.

— Jak dotąd nie mam żadnych śladów poza tym Obozem-Widmem w Laosie. Jeśli naprawdę istniał, w górze rzeki powinni o nim słyszeć. Może

będę znał nazwę albo wpadnę na jakiś trop, zanim ruszę do Bangkoku.

— Cholera jasna, przecież tam będzie jeszcze gorzej. — Cohen zaniepokoił się nie na żarty. — Fong połowę czasu spędza w Trójkącie likwidując nieposłusznych, a drugą w „Salonie Orchidei”. Może po prostu zamelduj się u niego w salonie i powiedz: „Wal pan śmiało, panie Fong”, co?

— W Bangkoku jest pięć milionów ludzi. Chyba uda mi się trzymać z daleka od Fonga i jego bandy.

— Do jasnej cholery! Christian! Już jeden glina wie, że tu jesteś. Myślisz, że uda ci się wpaść do Bangkoku nie robiąc zamieszania? Masz jakieś ślady?

— Zdjęcie Cody'ego i jego panienki. Czy określenie „Tajski Koń” mówi ci coś?

Cohen spojrział mu w twarz i uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd Sing zameldował, że są obserwowani.

— Dlaczego pytasz o Tajskiego Konia?

— Trafiłem na te słowa już parę razy.

— Chodź — powiedział Cohen i zaprowadził Hatchera do sypialni. Wskazał na rzeźbę z kości słoniowej przy łóżku.

— Oto Tajski Koń.

— Ta rzeźba? — Hatcher nie ukrywał zdziwienia.

— Właśnie. Prawdziwy skarb. Autentyczny Tajski Koń z trzeciego wieku przed naszą erą. Długo bryka, nie?

— Ale co to takiego Tajski Koń? — zapytał Hatcher zastanawiając się, czy to możliwe, by wzmianka na fiszce przy Ścianie Wietnamskiej odnosiła się tylko do rzeźby jako do prezentu.

— Mityczny wierzchowiec — odparł Cohen. — Prawdopodobnie skradziony królowi Syjamu. Legenda głosi, że na jego grzbiecie tajscy bohaterowie wielkich wojen odbywali ostatnią drogę do nieba. Według innej opowieści pewien chiński bandyta ukradł tego konia i podarował go pierwszemu cesarzowi Chin, by uzyskać przebaczenie. Przemianowali go na Niebiańskiego Wierzchowca, *Tian Ma*. Potem *Tian Ma* przewiózł na grzbiecie pierwszych siedmiu cesarzy na szczyt siedmiu wzgórz wokół kolonii, a bogowie zamienili ich w smoki. Kiedy skończyło się panowanie dynastii Han, koń zniknął bez śladu i nikt więcej nie słyszał o nim.

— Skąd go wzięłeś? — wyszeptał Hatcher.

— Z muzeum w Pekinie — odparł Cohen i puścił oko. — Nie pytaj, ile zapłaciłem za usługę.

Hatcher poglądził gładkie kształty pięknego konia. Zastanawiał się, czy za nazwą „Tajski Koń” może kryć się coś więcej niż rzeźba.

- Cóż, to raczej niewiele wnosi do sprawy — powiedział wreszcie.
- Masz coś jeszcze na warsztacie?
- Tak. Jeden facet w Waszyngtonie sprawdza coś w komputerze — powiedział i spojrzął na zegarek. — Zadzwoń do niego. Jeśli na coś wpadł, wyłóż karty na stół.
- Albo?
- Rzucam to w diabły i wracam.
- W takim razie mam nadzieję, że tamten nagle zapomni, jak się nazywasz — powiedział Cohen. — Wolę, byś pozostał wśród żywych choćby o tysiąc mil stąd.

## FLITCRAFT

Kiedy sierżant Betz stawił się do pracy, Flitcraft czekał w recepcji komputerowego centrum operacyjnego Pentagonu. Betz był wysokim, postawnym mężczyzną dobiegającym pięćdziesiątki. Typowy biuralista, nie przemęczał się i nie narażał, chcąc dociągnąć do emerytury na ciepłej rządowej posadce. Jego mięsisty nos pokrywała gęsta siateczka popękanych naczynek, zdradzając upodobanie właściciela do szkockiej whisky, zwłaszcza tej z napisem „Dewar's”. Z Flitcraftem znali się jak łyse konie. Byli razem w Forcie Bragg, w Korei i Wietnamie. Betz czasami patrzył wilkiem na Flitcrafta, wiecznie uśmiechniętego Murzyna, który mimo że chodził o lasce, pozostał w służbie czynnej. On także był bliski emerytury. Betz zorientował się od razu, że nie jest to towarzyska wizyta.

- Mam tu kilka poufnych haseł do sprawdzenia, sierżancie — oznajmił Flitcraft wstając.
- W porządku. Proszę za mną. Przepustka trzeciej klasy dla sierżanta Flitcrafta — powiedział Betz do recepcjonistki.

Kobieta wyjęła z szuflady niebieski identyfikator, wpisała numer do książki i podała przepustkę Flitcraftowi. Znała go dość dobrze i była pewna, że jak zwykle przyszedł dostarczyć Betzowi kolejny pakiet tajnych danych do wpisania w pamięć centralnego komputera. Niebieski identyfikator upoważniał jedynie do wejścia do biura ogólnego, do którego prowadziły drzwi po lewej stronie pulpitu recepcji. Centralny komputer znajdował się za drzwiami po prawej. Strzegł ich wartownik w mundurze piechoty morskiej.

Flitcraft wszedł do biura Betza. W pomieszczeniu mikroskopijnych rozmiarów z trudem mieściło się biurko, półka na segregatory, terminal komputerowy i dwa krzesła.

— Macie dla mnie kolejne hasła do wprowadzenia, sierżancie? — zapytał Betz wysuwając szufladę.

Wiedział, że Flitcraft pracuje dla Brygady Cieni i jest osobą godną zaufania. Ponieważ nie dysponował przepustką C-1, nie miał dostępu do tajnych plików w komputerze. Wyjął z teczki butelkę ulubionej whisky Betza i wsunął ją do szuflady, którą tamten dyskretnie zamknął kolanem. Pokój był stale obserwowany przez ruchomą kamerę, co zmuszało ich do zabawy w szarady i w chowanego.

— Mam tu kilka raportów o niskim stopniu utajnienia do głównego komputera — powiedział Flitcraft i przesunął po biurku skoroszyt. Betz otworzył teczkę i zobaczył na kartce napis: „Ścisłe tajne akta o jeńcach wojennych i obozach”. Spojrzał na Flitcrafta pytającym wzrokiem; komu to potrzebne?

Flitcraft uniósł brwi i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Nie nasza rzecz. Nadmiar pytań jest szkodliwy jak nadmiar alkoholu. Potem bardzo boli głowa”. Obydwaj byli starymi wyjadaczami i doskonale orientowali się w zasadach funkcjonowania systemu. Zdawali sobie sprawę, że adnotację „tajne” umieszczono na pliku tylko po to, by mass media nie zarzucały organom rządowym blokowania dostępu do informacji, który gwarantowała ustawa o prasie.

Betz sięgnął do kuwety na biurku i przejrzał listę kodów. Zapisał kilka słów i liczb na kartce, którą przypiął do teczki. Pozostawił ją otwartą i gdy Flitcraft wpatrywał się w kody, wypełnił druk przepustki i złożył swój podpis.

Flitcraft bez trudu zapamiętał listę:

52-767-52116  
Sidewinder  
9696  
Cherry  
Monte  
Christo  
Zenda.

Betz podał mu wypełniony na niby druczek, który zniknął w teczce Flitcrafta.

— Na razie.

Podali sobie ręce na pożegnanie i Flitcraft wyszedł.

„Jak dotąd idzie nieźle” — pomyślał wchodząc do męskiej toalety na tym samym piętrze. Zamknął się w kabinie i zapisał listę kodów. Po opuszczeniu gmachu Pentagonu przywołał taksówkę.

Centrala Brygady Cieni mieściła się w prywatnym biurówcu w pobliżu Białego Domu. Dla przeciętnego obserwatora budynek ów był siedzibą niewielkiego prywatnego towarzystwa komunikacyjnego. Tylko nieliczni wybrańcy wiedzieli, że mieści się w nim agenda wywiadu wojskowego.

Za drzwiami, na których widniała nazwa towarzystwa — „Inter-plex”, znajdował się komputerowy bank informacji połączonych z satelitarnym systemem komunikacyjnym. Obsługiwało go trzech mężczyzn w cywilnych ubraniach. Mieli dostęp do wszystkich komputerów i banków pamięci na całym świecie.

Flitcraft przeprowadził operację przy pomocy dwóch podoficerów. Wszyscy trzej pracując dla Sloana odnieśli obrażenia, które pozostawiły trwale ślady. Już dawno temu powinni odejść ze służby czynnej ze względu na stan zdrowia. Pułkownik Harry Sloan dbał o podkomendnych, ci zaś byli mu całkowicie oddani. Prędzej pozwoliliby sobie wyrwać języki, niż wyjawiliby, czym się zajmują.

Flitcraft zrobił sobie kawy i usiadł przed komputerem.

Skomplikowana procedura dostawania się do tajnych akt rządowych nie przedstawiała dlań specjalnych trudności. Znał ją dobrze i już nieraz się nią posługiwał. Ogólnie rzecz biorąc, polegała ona na wprowadzeniu do komputera odpowiednich haseł we właściwej kolejności i w określonym czasie. Równoległe, ale bez ponagłania sygnałem, należało wprowadzić zestaw cichych haseł. Jeśli tego nie zrobiono, komputer uruchamiał program namierzający włamywacza. W ciągu kilku sekund w głównej pamięci rejestrowano kod wywołującego i numer modemu telefonicznego, po czym następowało zamrożenie połączenia, a włamywacz trafiał na czarną listę w głównym pliku.

W ten sposób skutecznie zapobiegano włamaniom do banku tajnych danych. Każdy plik miał poza tym dodatkowy zestaw kodów pobocznych zmienianych raz w tygodniu, co tym bardziej odstraszało potencjalnych ciekawskich.

Flitcraft połączył się z centralnym komputerem przez modem podłączony do zwykłej sieci telefonicznej. Wczytał kod ogólny do kartoteki i komputer poprosił go o identyfikację oraz numer kodu dostępności. Sprawdził listę od Betza i wpisał 52-767-52116. Natychmiast pojawiło się polecenie wpisania nazwy kodowej zbioru plików. Wpisał „Sidewinder” — kod zbioru plików ściśle tajnych.

Rozpoczęła się faza delikatna. Komputer nie poprosił o identyfikację ani o kod poziomu dostępności, lecz na ekranie pojawił się napis:

numer wybranego pliku. Osoba nie znająca systemu przeciwwłamaniowego wprowadziłby żądany numer, co spowodowałoby zamrożenie łącz i uruchomienie programu namierzającego włamywacza.

Wprowadził numer identyfikacyjny podany przez Betza — 9696, a po nim hasło „Cherry” i ominął pułapkę. Komputer ponowił pytanie, ale tym razem o nazwę wybranego pliku. Flitcraft wpisał „Monte”, a po następnym sygnale dodał „Christo” i dostał się do kartoteki jeńców wojennych.

Po kolejnym sygnale wpisał „Zenda”. Pojawiło się przed nim menu i pytanie: „Plik czy temat?”, co oznaczało, że miał teraz do wyboru: albo zająć się konkretnymi aktami, albo przeszukać wszystkie informacje na interesujący go temat.

Uśmiechnął się do siebie. Zaczęła się zabawa w detektywa.

Przez następne trzy godziny wpisywał polecenia, by uzyskać odpowiedź na pytanie, które Sloan zadał o trzeciej rano. Sprawdził hasła: Wietnam Północny, obozy jenieckie, obozy przejściowe, raporty nie potwierdzone, obserwacje z powietrza i stenogramy przesłuchań byłych jeńców wojennych. Był kimś więcej niż Paganinim joysticka. Był ekspertem od wyciągania i interpretowania najbardziej niejasnych informacji.

Kiedy skończył, miał przed sobą listę obozów przejściowych, ale żaden nie pasował do opisu podanego przez Sloana, oraz kilka wzmianek w zeznaniach byłych jeńców wojennych. Dokonał selekcji danych poprzez wielokrotne porównywanie.

W czterech niezależnych przesłuchaniach natrafił na informację, że każdy z owych żołnierzy między 1969 a 1972 rokiem znalazł się na krótko w obozie przejściowym. Opisy były zbieżne, więc być może dotyczyły tego samego obozu. Nazwisko komendanta brzmiało: Thysung, Taisung albo T'sung — mogło zatem chodzić o tego samego człowieka.

Zaznaczył lokalizacje na mapie. Wszystkie wypadły w pobliżu granicy z Laosem. Odległość między poszczególnymi punktami nie przekraczała pięćdziesięciu mil, ale dokładnego położenia nie dało się ustalić. Żaden z czterech jeńców nie przebywał w obozie dłużej niż kilka tygodni. Był także raport załogi B-52, która zauważyła w tym rejonie obiekt przypominający obóz jeniecki. Samolot obserwacyjny wysłany w ten obszar nie potwierdził jednak istnienia rzeczonego obiektu.

Godny uwagi wydawał się fakt, że we wszystkich zeznaniach znalazła się wzmianka o sześciu jeńcach, którzy w momencie przybycia każdego z czterech przesłuchiwanym byli już w obozie, lecz żaden z nich nie opuścił go



przed ich wyjazdem. Jeden z zeznających stwierdził, że „słyszał, że mają jakiegoś VIP-a”, a inny powtórzył pogłoskę, jakoby któryś ze „stałych” współpracował z Wietkongiem.

Flitcraft sprawdził bieżące informacje na temat tych czterech. Jeden nie żył, drugi przebywał w zakładzie psychiatrycznym, a pozostałych zwolniono ze służby. Odszukał ich obecne adresy i numery telefonów.

Z różnych powodów żadna z tych informacji nie została uznana przez Armię Stanów Zjednoczonych jako wiarygodna lub co najmniej godna uwagi. Było to poniekąd zrozumiałe, gdyż wzmianki miały charakter jednostkowy i nie można ich było sprawdzić, zwłaszcza że dotyczyły tymczasowych obozów przejściowych. Jednak wszystkie cztery lokalizacje plus zapis załogi B-52 zgodnie potwierdzały istnienie obiektu po laotańskiej stronie masywu górskiego Chaîne Annimitique. We wszystkich zeznaniach wymieniano miejscowość Muang, sześćset mil na północ od Sajgonu.

Flitcraft sprawdził także akta Murpha Cody'ego. Komputer natychmiast odpowiedział, że Cody nie żyje.

Odebrał po pierwszym sygnale.

- Mówi Hatcher. N3146021. Potrzebna kontrola głosu?
- Przeszedł ją pan — odparł Flitcraft.
- Jest coś?

Nie bez dumy Flitcraft odpowiedział, że zdobyte informacje pozwalają sądzić, iż Obóz-Widmo rzeczywiście istniał po laotańskiej stronie masywu Chaîne Annimitique w pobliżu wioski Muang. Czterej jeńcy wojenni niezależnie od siebie potwierdzają, że przebywali tam w różnym czasie, ale najdłuższy pobyt nie przekraczał pięciu tygodni. Wszyscy oni są zgodni, że nazwisko komendanta albo dowódcy straży brzmiało Thysung, Taisung albo T'sung. Można przypuszczać, że chodzi o tę samą osobę. Po naniesieniu parametrów na mapę nasuwa się wniosek, że był to ruchomy obóz, który Schwartz nazwał Huie-kui.

Poza tym Flitcraft zadzwonił do byłego jeńca, którego trzymano w Hanoi i który znał kogoś, kto przebywał w tym obozie.

- Powiedział, że zdawało mu się, iż kilku jeńców jest tam od dawna i traktuje się ich jak stałych.
- Żadnej wzmianki o Murphie Codym? — zapytał Hatcher.
- Niestety, nie, sir. Nikt nie wymienił jego nazwiska.
- Czy w którymś raporcie wspomniano coś o VIP-ie w obozie?
- Tak, sir. Ale jedyne w miarę wiarygodne uwagi dotyczą kilku jeńców

izolowanych od reszty. Tak jakby trzymano ich z dala, bo siedzieli od dawna.

— Pański rozmówca podał jakiś powód?

— Niestety, nie. Tylko tyle udało mi się z niego wydobyć — odparł Flitcraft. — Powiedział, że to mogli być kolaboranci, ale bardziej zgadywał, niż wiedział. Poza tym szansa na to jest niewielka. Jeden obóz był niewiele gorszy od drugiego.

Przyznał rację Flitcraftowi, chociaż kolaboracji nie należało wykluczać.

— W takim razie dlaczego żadna komisja nie zajęła się tą sprawą? — zapytał głośno Hatcher.

— Udało mi się to poskładać z kawałków, sir. Takich obozów było wiele, ale żadnego nie udało się namierzyć. Po wojnie po prostu zniknęły.

„Nie wszystkie” — pomyślał Hatcher.

— Dziękuję, sierżancie — powiedział w słuchawkę. — Gdyby wpadł pan na coś ekstra, proszę przekazać pułkownikowi do Bangkoku. Przez następne kilka dni mogę być nieuchwytny.

— Tak jest, sir.

— Dobra robota, sierżancie.

— Dziękuję, sir. Powodzenia.

Hatcher odłożył słuchawkę. Rozmowa wniosła niewiele nowego do sprawy, toteż wyprawa w górę rzeki stała się koniecznością. Na pewno ktoś napotkał Huie-kui albo przynajmniej wiedział o nim coś konkretnego. W każdym razie Hatcher miał nazwisko, a nawet aż trzy. Przedstawił sprawę Cohenowi.

— Na pewno w górze rzeki mieli do czynienia z tym obozem. Odnajdę go.

— Ja nic o tym nie słyszałem — odparł Cohen.

— Słuchaj, stary, przecież Ts'e K'am Men Ti znali twoje proamerykańskie sympatie. Robili interesy z Chińczykami, Wietkongiem, chłopcami w Sajgonie i czerwonymi khmerami, ale na pewno nie obnosili się z tym.

— Nie zapominaj, że Sam-Sam też cię wciągnął na listę po transporcie broni, który przepadł bez wieści.

Hatcher pociągnął ze szklanki i nie odpowiedział.

— Przynajmniej się nie wypierasz — stwierdził Cohen.

— Kombinował z czerwonymi khmerami. Trzeba było go trochę zniechęcić.

— Przysiągł, że wyrwie ci język i każe usmażyć na nim jajecznicę.

— Ale stary *gwai-lo* Hatcher wyciągnie mnie z biedy.

— Zapewne — odparł Cohen. — Powiem ci jedno. Jak zajdzie szczęśliwa gwiazda starego *gwai-lo* Hatchera, Nowy Jork zadrży w posiadach.

— Uda mi się. Zaufaj.

— Hm... — mruknął Cohen i zamyślił się. „Hatcher znowu wpadnie w tarapaty, chce załatwić to sam. Nic się nie zmienił. Uparty jak muł”. Zadumę przerwało pojawienie się Singa, który powiedział:

— Samochód należy do Island Catering Service.

Cohen spojrzął na Hatchera.

— Właścicielem spółki są Białe Dłonie. Doigrałeś się. Banda Fonga wpadła na twój trop.

— W takim razie już się wynoszę — odparł Hatcher.

— Nie zwracaj głowy, Christianie. Tu jesteś bezpieczny. Fong nie odważy się napaść na mój dom — powiedział Cohen i po chwili namysłu dodał: — Wzmocnimy ochronę i wszystko będzie dobrze. Zostaw to mnie. Przepraszam na chwilę.

Hatcher wstał i wyjrzał przez balustradę. Do ziemi było trzydzieści stóp, a zbocze porastała winorośl i paprocie. Wierzchołek figowca znajdował się dziesięć stóp niżej i co najmniej trzydzieści stóp od tarasu w linii prostej. Cztery dźwigary podpierały podłogę. Wysoki mur otaczał całą posiadłość ze wszystkich stron i ginął gdzieś w zaroślach. Hatcher uznał, że rezydencja jest dobrze zabezpieczona od tyłu. Dalsze rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu.

Odebrał Sing i na jego twarzy pojawił się wyraz szczerzego zdziwienia. Zakrył mikrofon ręką i powiedział:

— Ktoś chce mówić z *Occhi di Sassi*. Przedstawił się jako sierżant Varney.

— No to zobaczymy, o co mu chodzi — odparł Hatcher, a Sing podał mu słuchawkę.

— Tu Hatcher.

— Mówi sierżant Varney z policji Hongkongu — powiedział wysoki, ostry głos, dokładnie wymawiając poszczególne słowa. — Przypomina mnie pan sobie?

— Naturalnie.

— Wymknął się pan moim ludziom dziś rano. Piękna robota. Proszę przyjąć gratulacje — powiedział uprzejmie Varney. — Sądzę jednak, że powinienem pana ostrzec. Joe Lung był dzisiaj w pańskim pokoju. W tej chwili jest na wyspie i ma ze sobą pokazną ekipę.

— Jak pan mnie znalazł? — zapytał Hatcher.

— Po prostu zgadłem — odparł Varney. — Postawiłem na to, że na

pewno odwiedzi pan swojego przyjaciela Tsu Fi, i ryzyko się opłaciło. Jest taka niekłępująca i bezpieczna kwatera w pobliżu lotniska, do której chcielibyśmy pana zabrać. Pod naszym nadzorem, rzecz jasna.

— Dam sobie radę — odparł Hatcher.

— Uznaliśmy, że jednak będzie pan chciał uniknąć konfrontacji w domu przyjaciela. Lung to naprawdę niebezpieczny typ, panie Hatcher — stwierdził Varney.

— Zapewne. Co pan zamierza?

— Za godzinę wślizniemy się do środka i przejmujemy pana. Będę dysponował pokaźnym wsparciem. Lung jest pod stałą obserwacją. Wszystko powinno pójść gładko.

— Jak dojedzie pan do bramy, proszę dać znać — powiedział Hatcher i odłożył słuchawkę.

— Jak ten na wzgórzu? — zapytał Cohen Singa.

— Wciąż tam tkwi.

— Domyśla się, że o nim wiemy?

— Nie sądzę — odparł Sing.

— Ilu masz ludzi? — zapytał Hatcher.

— Trzech z przodu, jednego z tyłu i nas trzech wewnątrz — odparł Cohen.

— Jeśli Varney wziął się do tego, to uderzą tutaj, China. Ekipa Lunga prawdopodobnie będzie chciała wśliznąć się za nim do środka. Chcą nas wziąć przez zaskoczenie.

Jeszcze nigdy nie widział takiej wściekłości w oczach Roberta.

— Nie ośmielą się — powiedział Cohen lodowatym tonem, ale bez przekonania. Po chwili dodał: — W przeciwnym razie ktoś za to drogo zapłaci.

## BIAŁE DŁONIE

Z magazynu leżącego u stóp góry Joe Lung za pomocą lornetki działającej na podczerwień obserwował dom położony na szczycie. Zmierzchało, ale obraz tarasu na tyłach rezydencji Cohena był wyraźny. Nagle w polu widzenia Lunga pojawił się na moment Hatcher; oparł się o balustradę, po czym wszedł do pokoju.

— Jest — syknął Joe z mieszaniną satysfakcji i nienawiści.

Oprócz niego w pomieszczeniu znajdowało się sześciu ludzi: wszyscy

ubrani w czarne satynowe spodnie i czarne koszule. Wszyscy poza jednym stali w milczeniu pod ścianą, ze skrzyżowanymi ramionami. Ten, który się wyróżniał, nazywał się Wan How i najwyraźniej był niezadowolony.

— Masz jakieś wątpliwości? — spytał Lung przyglądając mu się uważnie.

— To forteca, od ziemi do tarasu jest trzydzieści stóp...

— Widzę! — warknął zniecierpliwiony Lung.

— Mur z przodu ma osiem stóp, na górze przewód pod napięciem. W ogrodzie są czujniki, a stalowa brama...

— Wejście na teren posesji to moje zmartwienie. Masz jeszcze jakiś powód do płaczu?

Zniewaga trafiła i przez chwilę Wan zawahał się. Był wysokim mężczyzną, dwudziestoparoletnim, o delikatnych palcach artysty, jasnej karnacji i budowie atlety. Miał też doskonałą kondycję i na pewno nie był tchórzem.

— On jestznaczony przez Tolliego Fonga — powiedział cicho patrząc na Lunga.

— Hatcher jest mój! — syknął wściekle Joe. — Czekałem osiem lat, żeby go dostać. Zabił czterech naszych braci, moich braci. Ukradł nasz towar. Nie próbuj mi wmawiać, że Hatcher należy tylko do *san wong*.

— Zabił jego ojca. Myślę, że powinniśmy zaczekać, aż Tollie Fong wróci, zanim...

— Brak ci jaj? — zapytał Lung. — Coś ci pokażę.

Gwałtownie rozchylił koszulę ukazując poszarpaną bliznę biegnącą przez cały brzuch.

— Ten śmierdzący *gwai-lo* wypruł mi flaki, ale pozostało mi ich dość, by go załatwić. Mam prawo do niego, Wan, a ja jestem tu pierwszym *san wong*. Kiedy Tollie wyjeżdża, to ja decyduję, co i kiedy robimy, a czego nie. Zrozumiałeś?

Wan w milczeniu wpatrywał się w podłogę.

— A teraz zdecydowałem — dodał Joe — że zaatakujemy ten dom i wybijemy ich co do nogi

— Chcesz zabić Tsu Fi? — w głosie Wana słychać było niedowierzanie.

— Mam w dupie Tsu Fi! To *mei gwok*, *gwai-lo* jak Hatcher. Ochronia naszego śmiertelnego wroga. Mam dość tego amerykańskiego Żyda. Czas z nim skończyć.

Pozostali przysłuchiwali się rozmowie w milczeniu, nie okazując żadnych emocji.

— Nie zgadzam się — oznajmił Wan. — Nie mamy nic do Tsu Fi, a jeśli go zabijemy, przysporzymy sobie wielu wrogów.

— Wrogowie przyczyniają się do wzrostu naszej siły, a ty robisz się słaby. Życie cię rozpaskudziło. Wodolot do Makau kursuje co pół godziny.

— Przysięgałem — odparł z godnością Wan How. — Jeśli zdecydowałeś atakować, to zrobisz, co do mnie należy.

Przez kilkanaście sekund Lung przyglądał mu się w milczeniu, po czym oznajmił:

— To dobrze. — Odwrócił się do okna. — Khan obserwuje dom przez cały dzień. Kobiety już wyszły i poza Cohenem i Hatcherem jest tam pięciu mężczyzn. Trzech na terenie przed domem, *gwai-lo* i Sing wewnątrz, a jeden patroluje z tyłu.

Przerwało mu pukanie do okna.

— Keye! — polecił jednemu ze stojących.

— *Hai*. — Wymieniony skłonił się i otworzył okno wpuszczając sierżanta Varneya.

— I co? — spytał nowo przybyłego Joe z uśmiechem, który był prawie grymasem.

— Zadzwoń.

— I?

— Nie jestem pewien, czy Hatcher ze mną pojedzie. To bardzo ostrożny typ.

— Wobec tego nie możemy ryzykować. Wjedziemy przez bramę zaraz za tobą, bo to jedyna droga, by się tam dostać od frontu. Pojedzie czterech. Ja i dwóch pozostałych pójdziemy od tyłu i dostaniemy się na taras.

— Ja nie mogę być obecny przy morderstwach — wtrącił pośpiesznie Varney.

— Naturalnie. — Lung, nadal uśmiechnięty, wruszył ramionami.

— I muszę się nieźle nawygłupiać, jak zaczniecie — mój partner nie jest wprowadzony. Powinienem to tak rozegrać, aby nie nabrał podejrzeń.

— Mam nadzieję, że nie strzelasz zbyt dobrze — wycedził wolno Lung. Jego oczy w tym momencie były jak szparki.

— Nie chcę, żeby coś się stało mojemu partnerowi.

— To go pilnuj, żeby nie wlaź nam w drogę — syknął z błyskiem w oku Joe. — Jeśli wymknie ci się spod kontroli, to jest trupem. Jasno się wyraziłem, Angliku?

— Jeśli mnie skompromitujecie w tej akcji, to na nic się wam nie przydam w przyszłości.

— Więc trzymaj się z dala od strzelaniny! — warknął ostro Lung.

Varney wiedział, że oznacza to koniec dyskusji.

— Zgoda — stwierdził zrezygnowany.

— Będziemy gotowi, gdy przyjedziesz. Tylko pamiętaj — postępuj dokładnie tak, jak uzgodniliśmy.

Policjant przytaknął i po chwili wahania wyszedł.

— Ufasz mu? — spytał Wan.

— Oplacamy go od ponad roku i nie może nas zawieść. Poza tym to właśnie on zwrócił uwagę na Hatchera. — Joe znów zajął się lornetką, po czym dodał nie odwracając się: — Po tej akcji stanowić będzie zbyt wielkie ryzyko. Chyba przestał już być nam niezbędny. Jest twój, Wan.

Opuścił lornetkę i odwrócił się, nadal mówiąc do Howa.

— Weźmiesz tych dwóch — wskazał na milczące postacie — i dosiądziecie się do Khana. Jak Anglik wjedzie w bramę, macie być tuż za nim i zaatakować dom od przodu. Zabijcie Varneya, jego współnika i każdego, kogo spotkacie na zewnątrz. Reszta wraz ze mną zajmie się tymi w środku. Tylko pamiętajcie: Hatcher jest niebezpieczny — i jest mój. Jeżeli będziecie zmuszeni, naturalnie strzelajcie do niego, ale tak, żeby tylko zranić. Jego śmierć to moja sprawa.

## ATAK

Cohen wysłał Tianę na noc do Ciepłej Lady. Teraz spokojnie siedział na łóżku i obserwował, jak Hatcher montuje broń wyjmowaną po kawałku z różnych części wyposażenia fotograficznego, jakie miał w walizce.

— Cudo — przyznał widząc efekt finalny. — Co to jest?

— Austriacki AUG — poinformował go Hatcher. — Potrzebuję trochę amunicji.

— Żaden problem. — Gospodarz wydał polecenie i po chwili Sing wrócił z czterema pudełkami naboju. — Wystarczy?

— Dwieście powinno wystarczyć — uśmiechnął się Hatcher i zabrał się do ładowania magazynków.

Cohen zebrał swoich ludzi w living roomie. Nie było ich wielu, ale wyglądali na takich, którzy nie pierwszy raz mają broń w ręku. Wszyscy ubrani byli w czarne spodnie, czarne golfy i czarne wełniane maski z otworami na oczy i usta, by lepiej zlewać się z mrokiem. Wszyscy też byli uzbrojeni w pistolety maszynowe Ingram MAC 10.

— Zaatakują prawdopodobnie równolegle od frontu i od tyłu — mówił Cohen po chińsku. — Hatcher, Sing i ja zostaniemy w domu i zgasimy

wewnątrz wszystkie światła. Niech przyjdą po nas. Louie, wejdiesz na dach. George, Joey Chen i Lee — do ogrodu od frontu, a ty, Sammy, będziesz pilnował tyłów. Chcesz coś dodać, Christianie?

Zapytany przecząco potrząsnął głową.

Nurtowała go wprawdzie pewna myśl, ale wahał się, czy przedyskutować tę sprawę tu i teraz. Joe Lung był ostatnim żyjącym z pięciu członków Tchnienia Smoka. Ostatnim z tych, którzy przerzucali Mamuszkę Białej Proszki z Tajlandii do Sajgonu, i istniała spora szansa, że dużo wiedział o obozie Huie-kui. Potrzebny był więc żywy. No, może nie całkiem martwy — byle mógł udzielić paru odpowiedzi. Tylko że wymagając czegoś takiego, Hatcher dodatkowo narażał ludzi Cohena, którzy i tak ryzykowali dla niego głową.

— Jeśli dałoby się dostać Lunga żywego, to chciałbym go spytać o parę spraw — powiedział w końcu, a widząc uniesione w niemym zdziwieniu brwi gospodarza, dodał: — Ale nie jest to tak ważne, by którykolwiek z was miał nadstawiać karku.

Zaczęło padać. Z początku była tylko mżawka, ale i tak ucieszyło to Lunga. Szum deszczu doskonale zagłuszyłby przypadkowe hałasy, jakie mogliby spowodować przechodząc przez tylną część ogrodu.

Joe i jego dwaj pomocnicy wysiedli z wozu na krętej uliczce poniżej domu Cohena. Kierowca został w samochodzie — miał czekać na ich powrót. Szybko i względnie cicho dotarli do stóp muru poprzez oddzielające go od ulicy zarośla. Teren biegł tu w miarę płasko po kilkusetstopowym spadzie od strony domu. Lung przypuszczał, że na tyłach domu będzie co najmniej jeden strażnik, toteż starannie przygotował plan ataku.

Obciążona gumą kotwiczka dopiero za trzecim razem zaczęła się o szczyt muru. Joe wspiął się po przywiązanej do niej linie i przyłączył jeden koniec dwudziestostopowego izolowanego przewodu do biegnących nad ogrodzeniem drutów pod napięciem. Leżąc płasko na murze rozciągnął przewód, podłączył w drugim miejscu i przeciął drut. Dwa razy błysnął lartarką swoim ludziom i zeskoczył na teren posesji, lądując na ugiętych nogach w wysokich do kolan zaroślach. W górze przez drzewa przebijały się reflektory zainstalowane na odległym o pięćset jardów tarasie, oświetlając ogród. Dwa ciche łupnięcia oznaczały przybycie pozostałych — przez dłuższą chwilę znieruchomieli, nasłuchując w ciemnościach.

Mżawka przerodziła się w deszcz.

Ostrożnie rozdzielili się tak, by mieć na oku przestrzeń od wschodniego



do zachodniego krańca muru okalającego posiadłość, i powoli ruszyli ku domowi poprzez wysoką trawę i zarośla. Posuwali się pochyleni w mroku, szukając ciemnej postaci strażnika oświetlonej poblaskiem reflektorów. Każdy z napastników miał w uchu słuchawkę połączoną przewodem z biperem na baterie.

To Lung dostrzegł Sammy'ego przykucniętego w oczyszczonej z krzewów przestrzeni u stóp tarasu i wpatzonego w mrok poza zasięgiem reflektorów. Joe dwukrotnie nacisnął biper, na co obaj jego ludzie zamarli w bezruchu. Zgodnie z planem wartownikiem miał się zająć Lung, kiedy tylko zostanie sygnał o rozpoczęciu ataku od frontu. Przyczaił się więc w wysokiej trawie o jakieś trzydzieści jardów od Sammy'ego — ciemnej przykucniętej postaci w czarnej masce. Powoli uniósł broń — mannlicher załadowany usypiającymi strzałkami powodującymi natychmiastową utratę przytomności. Była to metoda znacznie skuteczniejsza niż użycie kuli, gdyż nawet śmiertelnie rany strażnik mógł krzyknąć lub strzelić ogłaszając alarm.

Broń zaopatrzona była w celownik na podczerwień. Joe wpierw zlustrował taras, ale wszystkie światła w domu były pogaszone, po czym opuścił broń biorąc na cel szyję wartownika. Znieruchomiał.

Leżący na dachu człowiek Cohena obserwował okolicę przez podczerwoną lornetkę. Bez trudu dostrzegł dwie postacie wsiadające przy ogrodzie botanicznym do samochodu, który przez cały czas stał w pobliżu domu.

— Dwóch dosiadło się do wozu — szepnęła do radiotelefonu. — Zdaje się, że jest ich teraz czterech i nadal czekają.

W ciemnym pokoju rozległo się soczyste przekleństwo Hatchera.

— Wszystko jasne — uśmiechnął się Cohen. — Varney jest z Lungiem. Zaraz się zacznie.

Varney i jego asystent, młody kapral Henry Dow, podjechali na szczyt góry wozem na cywilnej rejestracji. Jedyne, co Dow wiedział o czekającym ich zadaniu, to że mają zabrać jakiegoś gościa w bezpieczne miejsce. I tyle chciał wiedzieć. Kapral, krępy młodzian orientального pochodzenia, przez cztery lata był posterunkowym i nauczył się nie zadawać zbędnych pytań.

Podjechali wolno pod bramę domu Cohena. We wstecznym lusterku Varney dostrzegł ruszający za nimi samochód bez świateł, który dotąd stał opodal. Dow nie zauważył niczego. Gdy stanęli przed bramą, Varney połączył się telefonicznie z operatorem policyjnym i poprosił o rozmowę z numerem Cohena.

— Będą chcieli wjechać za Varneyem, ledwie otworzysz bramę — szepnęła Hatcher.

Cohen przekazał wiadomość reszcie ludzi, dopinając przy okazji kowbojski pas na biodrach. W jednej z kabur miał smitha and wessona 357, w drugiej colta 45.

- China — Hatcher parsknął śmiechem — wyglądasz komicznie.
  - Możesz mi nie wierzyć, ale wiem, jak się tym posługiwać.
  - Duża ulga. — Hatcher otworzył szklane drzwi prowadzące na taras.
- Sprawdź tyły.

Na czworakach przesunął się ku balustradzie. Deszcz lał już równo i widzialność była słaba, zdołał jednak dostrzec w dole sylwetkę Sammy'ego. Połą płaszcz osłaniał broń, wpatrując się w mrok. Hatcher skinął głową i wycofał się do domu.

Leżący w dole w mokrej trawie Lung zerknął na zegarek. Varney powinien już zacząć lada chwila. A wtedy od frontu będzie wystarczające zamieszanie, by jego ludzie zdołali niepostrzeżenie zaatakować dom od tyłu, przedostając się na taras.

- Zaczyna się — leżący na dachu zameldował do radiotelefonu.

Jeden z pasażerów samochodu stojącego za wozem Varneya zobaczył, że tamten rusza.

- Jazda! — rzucił do mikrofonu.

Lung, słysząc hasło w słuchawce, nacisnął spust. Przez lunetkę zobaczył, jak strzałka trafia wartownika w szyję. Sammy osunął się, opierając się plecami o wspornik tarasu. Głowa opadła mu na piersi, a z bezwładnych dłoni wysunął się Ingram. Znieruchomiał.

Joe dwukrotnie nacisnął biper i osłaniający go pomocnicy podbiegli do wsporników. On sam wyjął z pochwy w rękawie sztylet i po krótkiej chwili dołączył do nich. Ten moment wystarczył mu, by pochylić się nad Sammym, odciągnąć do tyłu głowę nieprzytomnego człowieka i poderżnąć mu gardło.

- Tu sierżant Varney — przedstawił się policjant, usłyszawszy głos Cohena w słuchawce. — Mógłby pan otworzyć bramę?

Nie czekając na odpowiedź, ruszył.

- Zaczynamy! — mruknął Cohen wciskając guzik uruchamiający wrota.

Widząc otwierające się skrzydła z kutego żelaza, Varney dodał gazu i z rykiem silnika wypadł na podjazd. Światła reflektorów jego wozu wyłapały jednego z ludzi Cohena, zanim ten zdołał rzucić się w zbawczy cień różanego ogrodu.

Wóz Białych Dłoni prześliznęła się przez zamykającą się bramę z piskiem opon i jeszcze głośniejszym warkotem. Samochód Varneya zarzuciło przy samym budynku. Pokonał niską podmurówkę i wpadł do ogrodu. Obaj policjanci wyskoczyli na zewnątrz w tym samym momencie co gangsterzy

Lunga, których wóz, nie kierowany przez nikogo, rąbnął w tylny zderzak samochodu policyjnego, odbił się nieco i z przeraźliwym zgrzytem blachy przejechał wzdłuż jego boku, miażdżąc przy okazji krępego kaprała. Varney odwrócił się, słysząc przeraźliwy krzyk partnera, i został przecięty wpół seriami napastników.

Sing i Cohen skoczyli za sofę, gdy drzwi rozprysnęły się pod kulami. Odlamki rozsypały się po całym pokoju.

— Wszyscy cali? — od drzwi sypialni dał się słyszeć szept Hatchera.

— Chwilowo tak — odparł Cohen.

Z zewnątrz słychać było terkot uzi używanych przez Białe Dłonie i bardziej basowy ryk Ingramów. Strzelaninę przerywał z rzadka jęk lub krzyk, a błyski wybuchów odbijały się w oknach niczym odległe błyskawice. Cohen i Sing skupili uwagę na drzwiach frontowych, na wypadek gdyby ludzie Lunga zdołali przerwać obronę.

Tymczasem pod tarasem napastnicy założyli słupolazy, opasali wsporniki szerokimi pasami i rozpoczęli wspinaczkę.

Czekający w mroku Hatcher dostrzegł pierwszego z napastników, gdy ten przeskoczył przez balustradę i ruszył biegiem ku sypialni. Christian skrył się za łóżko, a gangster, widząc w mroku jedynie niewyraźny ruch, posłał do wnętrza serię. Kule roztrzaskały lustrzaną ścianę, a Hatcher oparł broń o łóżko i puścił sześciopociskową serię, trafiając napastnika od podbródka po pas. Energia pocisków uniosła go i odrzuciła w tył. Przez poręcz tarasu przeleciały już zwłoki.

Z sąsiedniego pokoju dobiegła seria z uzi, toteż Hatcher przemknął do drzwi living roomu akurat na czas, by zobaczyć kolejnego napastnika wbiegającego zygzakiem i ostrzeliwującego się z biodra. Książki, wazy, kwiaty i obrazy eksplodowały, trafiane kulami. Cohen uniósł się zza sofy i pociągnął za spust rewolweru. Pocisk kalibru 357 ugodził strzelającego w pierś i obrócił go wokół własnej osi. Ponieważ palec napastnika zaciśnięty był na spuście, obrotowi towarzyszyła seria, której kres położył dopiero pusty magazynek. Z sofy poleciało pierze, a Cohen poczuł szarpnięcie w boku i ból jak po użądleniu osy. Spojrzał w dół i zobaczył krew. Niedoszły zabójca, trafiony w serce, szarpnął się i padł na twarz niczym wierny przed posągami Buddy.

Hatcher, turlając się z powrotem do sypialni, dostrzegł Lunga przeskakującego barierkę. Przez moment jego postać była wyraźnie widoczna w drzwiach, z twarzą mokrą od deszczu i wykrzywioną wściekłością. Zauważył Hatchera, ale ten wpierył się do drzwi i wystrzelił krótką serię. Lung uchylił się tracąc ucho, które rozprysnęło się w fontannie krwi. Hatcher przeskoczył

łóżko i szczupakiem dopadł drzwi, biorąc jednocześnie zamach. Kolba AUG-a trafiła gangstera w szczękę, łamiąc ją, a siła uderzenia cisnęła nim o barierkę. Był jednak twardszy, niż Hatcher sądził — błyskawicznym ciosem noża rozciął mu rękaw. W następnej chwili dłoń Christiana zacisnęła się na nadgarstku Lunga, zmuszając go do puszczenia noża i przeginając ciało napastnika w tył. Joe, spadając, zdołał złapać go za kark i obaj wylądowali na poręczy. Hatcherowi udało się przesunąć rękę przez wspornik i zawisnąć, Lung natomiast zwolnił uchwyt i poleciał w dół. Spadając przekreślił się, chcąc wylądować na nogach, ale niezbyt mu się to udało. Upadł na bok, tracąc oddech, zyskując zaś dwa złamane żebra, po czym potoczył się po stromiźnie zbocza aż do granicy trawy.

Krzywiąc się Lung przewrócił się twarzą do ziemi — dokuczwała mu głowa trafiona kulą Hachera, jednocześnie żebra przeszywał ostry ból przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Niezdarnie pozbierał się na czworaki i ruszył w dół zbocza ku zbawczej ciemności.

Hatcher objął nogami słup i zsunął się po nim. Złapał sztylet Joego leżący na ziemi i pobiegł za napastnikiem.

Lung dotarł do zarośli i wyprostował się, ale żebra dały znać o sobie silniej, niż był w stanie wytrzymać. Z krzykiem runął na twarz i zaczął czołgać się przez te ostatnie dzielące go od ciemności jardy. Prawie zdołał dotrzeć do zbawczego mroku, gdy poczuł żelazny uchwyt Hachera na karku. Został poderwany na nogi i usłyszał chrypliwy szept:

— Skurwielu, powinieneś zdechnąć dawno temu. — Christian przytknął ostrze sztyletu do szyi Lunga, tak by przebiło skórę, i dodał: — Ale najpierw odpowiesz na parę pytań.

Joe, poniżony i pokonany, miał jednak więcej sił, niż na to wyglądało. Zdołał stanąć na nogach i gwałtownym szarpnięciem w przód wbił sobie ostrze aż po rękojeść. Hatcher próbował cofnąć rękę, ale było za późno — i dłoń, i rękojeść stały się śliskie od krwi. Joe zacharczał, targnęły nim krótkie konwulsje i zwisał bezwładnie.

Hatcher poczekał, aż głowa Lunga opadnie na pierś, i puścił kołnierz, za który dotąd trzymał swego niedoszłego zabójcę. Twarz Chińczyka z plaśnięciem wylądowała w błocie.

— Witaj w piekle — wyszeptał Christian stojąc nad martwym ciałem.

## PROBLEM

Od samego rana posiadłość Cohena była sceną gorączkowej krzątaniny: sześciu policjantów kończyło właśnie fotografować, przesłuchiwać i starać się zrozumieć, co tu się właściwie stało w nocy. Po obfotografowaniu ze wszystkich stron ciał i samochodów zabrano zarówno jedne, jak i drugie. Teraz ogrodnicy trudzili się, próbując naprawić zniszczenia.

Na podjeździe zatrzymał się kolejny wóz policyjny. Wysiadł z niego pułkownik Jeffrey Holloway i powoli obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, dokładnie oglądając pobojowisko.

Holloway zdecydowanie nie był przyjemną osobą, czemu trudno się dziwić. Nie sposób nią być, jeżeli jest się szefem policji Hongkongu. Miał sześć stóp wzrostu, białe włosy ścięte na jeża i trójkątną twarz, prawie zdominowaną przez jasnoszare oczy. Nawet w przedpołudniowym upale jego uniform khaki był świeży i starannie wyprasowany.

Podszedł do drzwi frontowych niczym gwardzista na paradzie, wyprężony jak struna, uderzając o uda trzcinką będącą symbolem stopnia. Rozejrzał się po wnętrzu oceniając zniszczenia, po czym skierował się ku otwartym drzwiom pokoju gościnnego, gdzie w łóżku leżał zabandażowany Cohen. Kula drasnęła mu bok, ale o tym wiedzieli tylko nieliczni, reszta uważała go za poważnie rannego. Schylał się nad nim Ping, specjalista od akupunktury, umieszczając w sobie tylko wiadomych miejscach igły, by uśmierzyć ból wywołany przez ranę, opatrzoną już przez lekarza.

Holloway poczekał, aż Ping skończy, i dopiero wtedy wszedł do pokoju, polecając jednocześnie człowiekowi wstawiającemu nowe lustra, aby się wynosił. Hatcher, opierając się o ścianę, obserwował to wszystko w milczeniu.

— Wojna gangów — warknął oficer — dwóch policjantów martwych nie licząc ośmiu innych trupów, w tym dwóch pańskich ludzi. Nieźle!

— Jest pan nieco oszołomiony, prawda, pułkowniku? — spytał Cohen nie unosząc oczu. — Mój dom został zaatakowany przez bandytów. Jak pan śmie przychodzić tu i imputować mi, że to moja wina!

— Od lat prosi się pan o kłopoty.

Cohen leżał cicho, dłuższą chwilę wpatrując się w wystające mu z szyi, brzucha i kolan igły, i zastanawiał się, jak najlepiej załatwić całą sprawę dyplomatycznie. Stary Tsu Fi powiedział mu kiedyś: „Nigdy nie stawiaj kogoś w sytuacji przymusowej, bo wtedy nie ma innej możliwości niż walczyć.

Zawsze należy zostawić takiemu komuś furtkę”.

Cohen zdecydował się, skrzyżował ręce na piersiach i westchnął.

— Stąpa pan po diabło cienkiej linie, pułkowniku — powiedział.

— A to dlaczego? — spytał oficer unosząc brwi.

— Pański człowiek, Varney, był wtyczką — oznajmił spokojnie gospodarz.

— Bzdura! — Pułkownika aż podniosło z oburzenia. — To jeden z najlepszych oficerów, jakich miałem.

— Po pierwsze, to on dał cynk Lungowi, że Hatcher zjawił się w Hongkongu — kontynuował Cohen nie zwracając uwagi na słowa policjanta. — Po drugie, poprowadził atak gangsterów przez moją bramę, a w końcu ludzie Lunga go zabili, żeby nie gadał.

— Kompletny idiotyzm!

— Varney był wczoraj u Hachera w hotelu. W przeciągu dwóch godzin do jego pokoju włamał się Joe Lung. Nie zabił Hachera tylko dlatego, że był on już u mnie. Następnie Varney zadzwonił tu z informacją, że wydział do spraw triad chciałby umieścić Hachera w bezpiecznym miejscu i zapewnić mu ochronę. Wiedział pan o którejkolwiek z tych czynności swego podkomendnego?

Holloway przypatrywał się Cohenowi w milczeniu przez zmrużone oczy.

— Gdy podjechał pod bramę, zamówił rozmowę z moim numerem przez telefon ze swego samochodu — ciągnął gospodarz. — A potem wprowadził tu chłopców Lunga. Może pan sprawdzić, że dzwonił, ale założę się, że nie znajdzie pan śladu raportu o przybyciu Hachera do miasta ani o tym, że planował zapewnić mu ochronę. Proszę wybadać operatorów policyjnej centrali, a stwierdzi pan, że zamówił rozmowę ze swego samochodu z moim, nie ujętym w spisie numerem na sekundy przed atakiem.

Gniew pułkownika zaczął powoli ustępować przed wątpliwościami.

— Dziwny zbieg okoliczności — mruknął niepewnie.

— Jak cholera! Hatcher myślał, że śledzi go policja, podczas gdy były to Białe Dłonie zaalarmowane przez Varneya albo, co gorsza, policjanci, którzy tak jak i on pozostają na usługach triad.

— Stawia pan nierozsądne i nieuzasadnione zarzuty!

— Zabójcy byli za bramą, czekając tylko, by została otwarta dla Varneya — westchnął Cohen. — On ich tu wprowadził.

— Przypadek. Ciekawe, co z tą historyjką zrobią w sądzie.

— Nic — odparł spokojnie Cohen. — Nikt się tam nie wybiera.

- Proszę?
- Niech się pan nie wygłupia, pułkowniku. Chce pan znać prawdę czy nie?
- Prawdę? Jaką?
- Niech pan wreszcie zacznie myśleć! — warknął Cohen. — Hatcher zgubił ogon na Cat Street, ale kiedy tu dotarł, ludzie Lunga obserwowali mój dom. W ten sposób Varney zlokalizował go: Lung mu powiedział.
- Hm... A jaką proponuje pan wersję wydarzeń? — spytał ostrożnie oficer.
- Najprostszą. Varney i jego partner pojawili się tutaj na wezwania o pomoc i zginęli bohatercko na posterunku, broniąc niewinnych obywateli przed atakiem rabusiów. Urządzi im pan wspianały pogrzeb, a ja zapomnę o całej sprawie. Albo może pan zrobić koło tego duży smród, a my będziemy mogli poprzeć skargę danymi z akt pana firmy. Która wersja bardziej panu odpowiada, pułkowniku?
- Jak pan śmie mi grozić? — parsknął zapytany prostując się jeszcze bardziej.
- Grozić?! — jęknął Cohen. — Człowieku, proponuję korzystne dla wszystkich wyjście z parszywej sytuacji.
- Najpierw mnie diabli porwą!
- Błefuje pan. — W głosie gospodarza czuć było znudzenie. — Ma pan doskonale rozwiązanie problemu. Niech pan skorzysta w niego, póki można. Holloway milczał przez kilka długich sekund.
- Niech pan wezwie kierującego śledztwem — poradził mu cicho Cohen. — Podam mu właściwy przebieg wypadków.

Lustra zostały wstawione. Ping usunął igły i wyszedł cicho, gdy wróciła Tiana, przypadając z miejsca do rannego. Ten starał się całkiem nieźle, krzywiąc się z bólu i mówiąc słabym, drżącym głosem.

- *Ngo jungyi nei* — szepnęła obejmując go i delikatnie gładząc po twarzy.
  - Także cię kocham, najdroższa — odparł mrugając nad jej ramieniem do siedzącego na łóżku Hatchera.
  - Dlaczego nie jesteś w szpitalu? — spytała.
  - Nie wytrzymałbym tam — jęknął i zaczął się śmiać.
- Odskoczyła niczym ukąszona.

- Zrobiłeś sobie ze mnie zabawę! — warknęła wściekła.
  - Nie, raczej nabieram wszystkich wokół.
  - To nie temat do żartów! — oznajmiła stanowczo.
  - Powiedz jej, Christianie, jak się zachowywałem w nocy. Czy przydałem się na coś, czy nie.
  - On jest twoim przyjacielem i powie, co chcesz — odparła przypatrując się Hatcherowi niezbyt przyjaźnie.
  - *Occhi di Sassi* nie kłamie — przypomniał jej Cohen. — Jaki byłem, Christianie? Powiedz jej.
  - Większe wrażenie wywarł na mnie sposób, w jaki załatwiłeś pułkownika. Tego w nocy po prostu odstrzeliłeś, ale dałeś się przy okazji trafić.
  - Rutyna! — Gospodarz machnął lekceważąco ręką, po czym podciągnął koszulę ukazując bandaż. — Popatrz na to, kochanie. Purpurowe Serce jak nic — ranny w akcji. Jeszcze cał i zamiast nas na łóżku siedziałby Budda.
  - Muszę zobaczyć, co się dzieje w domu. — Tiana skorzystała z okazji i wymknęła się z pokoju.
  - Co cię gryzie? — spytał Cohen, ledwie wyszła.
  - Dwóch twoich ludzi zginęło chroniąc mnie. Nie przybyłem tu, by pozwolić ginąć przyjaciołom. Historia zaczyna się powtarzać... Nie powinienem się u ciebie zjawić.
- Cohen pochylił się i położył mu dłoń na ramieniu.
- Posłuchaj, Christianie. — Głos miał poważny. — W swoim czasie zyskałeś trochę wrogów i nie uda ci się w nieskończoność wszystkich unikać. Ale zanim się rozpłaczesz, to wbij sobie do głowy, że każdy z ludzi, którzy byli wczoraj w tym domu, miał własne powody, by nienawidzić Chiu Chao. Każdy miał stare długi i był tu dobrowolnie, wdzięczny za okazję do wyrównania krzywd. Rodziny tych, którzy zginęli, będą miały zabezpieczenie finansowe do końca swoich dni, tak jak i wszystkich tych, którzy zginęli w mojej służbie. Tak naprawdę to nie miało nic wspólnego z tobą.
  - Pewnie. Teraz ty też znajdziesz się na liście Fonga.
  - Nie. Napad na czyjś dom to akt tchórzostwa. Nawet triady uważają to za dyshonor. Jestem pewien, że Lung zaatakował bez wiedzy Fonga. A teraz on winien mi jest przeprosiny. Lung pozbawił go honoru i w dodatku spartaczył robotę. Nie martw się; Tsu Fi potrafi zatroszczyć się o własną skórę. Ale ty powinieneś martwić się Tolliem Fongiem. Nadal chcesz się dostać do Chinlandu?



- Bardziej niż dotąd. Po raz pierwszy mam coś konkretnego: nazwisko, China. Wol Pot. Jeśli nie zrobię z tego użytku, to nie dojdę do niczego.
- Założmy, że Cody nie chce zostać odnaleziony. Założmy, że wektniesz kij w mrowisko i wylezie stamtąd coś paskudnego.
- To zajmę się tym, jak wylezie.
- Zgoda. No, to jest tylko jedna osoba, której możesz zaufać i która może cię tam zawieźć.
- Kto?
- Daphne Chien — odparł Cohen.

## CH'U-TIAO

Otoczony kwiatami dom stał przy jednej z cichych uliczek w zamożnej części Makau, czterdzieści mil wodolotem z Hongkongu. Pomimo szlachetnego wyglądu Makau także ma swoje mroczne sekrety ukryte pod brukowanymi uliczkami i za murami willi w śródziemnomorskim stylu. W mieście panuje nastrój tajemniczości i dekadencji. Nadal jest to centrum nielegalnej emigracji Chińczyków, przewożonych nocą do Hongkongu. Nadal jest to centrum przemytu złota i ostoja chińskich triad zajmujących się białym niewolnictwem oraz miejsce, w którym dokonuje się większości najintratniejszych interesów dotyczących przetrzutu narkotyków ze Złotego Trójkąta do Amsterdamu czy innych portów Europy Zachodniej. Ciągłe też za fasadami spokojnych rokokowych domów zapadają wyroki śmierci. Bananowce na Praia Grande ocieniają każdy rodzaj korupcji, jaki wymyślił człowiek.

Wang, emerytowany *san wong* Białych Dłoni, miał ponad osiemdziesiątkę. Przez pięćdziesiąt lat był przywódcą tej przestępczej triady; dziś karmił swoje tropikalne ryby. Wybrał Tolliego Fonga na stanowisko Czerwonej Halabardy, gdy ten miał dwadzieścia lat, i ani przez chwilę nie żałował decyzji. Ostrzegł też Fonga, że Joe Lung jest szczególnie niebezpieczny; to bezmyślny i trudny do kontrolowania zabójca, który „myśli jajami”. Teraz Wang musiał się uporać ze skutkami nieudanego ataku Lunga na Cohena.

Wang mieszkał w willi przy Avenue Conselheiro, biegnącej wokół wzgórza Guia, skąd roztaczał się najpiękniejszy widok na miasto. Plotka głosiła, że tu właśnie ukrywał się Sun Jat-sen, spiskując przed obaleniem mandżurskiej dynastii. Na szczycie wzgórza znajdowały się ruiny kościoła

Świętego Pawła, zniszczonego przez tajfun w 1835 roku, z położonego zaś na tyłach domu tarasu Wang mógł dostrzec w oddali najstarszą latarnię morską na chińskim wybrzeżu i rozpościerające się za nią Morze Wschodniochińskie.

Fong przybył dokładnie o dziesiątej, prosto z rannego samolotu z Bangkoku. Przez chwilę zatrzymał się przy wejściu, sprawdzając w szklanych drzwiach swój wygląd. Był atletycznie zbudowany i stale ćwiczył; miał jasną skórę i czarne, krótko obcięte włosy obramowujące wąską twarz. Wysoki, jak na Chińczyka, odznaczał się szczególnymi oczami — czarnymi ze złotymi iskierkami. Jako że wolał europejskie ubrania, miał na sobie granatowy wełniany garnitur i szkarłatny jedwabny krawat. Był przystojnym mężczyzną, ale trudnym do rozszyfrowania, gdyż jego twarz prawie nigdy nie wyrażała uczuć. Była nieruchomą maską, w której poruszały się jedynie usta. Fong nacisnął dzwonek i prawie natychmiast w drzwiach pojawił się goryl Wanga o rozmiarach zawodnika sumo.

Gospodarz przebywał w swoim ulubionym pokoju na tyłach domu, karmiąc morskie ryby w stugalonowym akwariu. Były one jego największą dumą, znał każdą z imienia i zwyczajów, a sypiąc sproszkowane krewetki, miał zwyczaj z nimi gawędzić. Gdy podszedł do jednego z mniejszych akwariów, wprowadzono Fonga. Nowo przybyły skłonił się z szacunkiem, a gospodarz skinął głową.

— Witaj z powrotem, Tollie — powiedział nie podnosząc wzroku. — Jak twój pobyt w Bangkoku?

— Przymusowo skrócony. Musiałem wyjechać, zanim zakończyłem interesy, ale mogę je sfinalizować jutro.

— Co właściwie miało miejsce w domu Tsu Fi? — spytał były *san wong*.

— Lung dostał fioła.

— To wszystko, co masz do powiedzenia?

— A co jeszcze mogę powiedzieć? O niczym nie wiedziałem, bo Joe nie skontaktował się ze mną. Dostał cynk od policyjnego informatora nazwiskiem Varney, że Hatcher jest w Hongkongu, i zaatakował dom. Nigdy tak naprawdę nie dowiemy się, co się stało, bo i on, i jego zastępca, i gliniarze nie żyją.

— Ostrzegalem cię kiedyś, że Lung cię skompromituje.

Fong w milczeniu skinął głową. Wstyd mu było, że stary *san wong* zmuszony jest zajmować się nieprzyjemną sprawą, która wyniknęła z jego, Fonga, winy.

— Wypełniał *ch'u-tiao* złożone wiele lat temu — powiedział cicho.

*Ch'u-tiao* to przysięga krwi, honorowe ślubowanie, które zgodnie z tradycją uwieńczyć może jedynie śmierć ślubującego lub jego przeciwnika.

— Więc sprawa jest skończona — stwierdził gospodarz, nadal bawiąc się rybkami. — Gdybyś wiedział, zaaprobowałbyś tę akcję?

— Oczywiście, że nie.

— To dobrze. Nie chcemy wojny z *Tsu Fi*.

Fong zdecydował się złapać byka za rogi.

— Może już czas, by pozbyć się tego żydowskiego *mei gwok* — powiedział wolno.

Gospodarz przyglądał mu się zmrużonymi oczyma przez kilkanaście sekund i Fong zrozumiał, że nie powinien był tego mówić.

— Coś ci pokażę. — Stary *san wong* włożył otwartą dłoń do akwarium, w którym pływał duży żółty tang. — Chodź, Shang. Chodź do swego ojca — wyszeptał.

Ryba okrążyła parę razy jego rękę, poskubała palce szukając pożywienia i w końcu wpłynęła mu na dłoń. Wang zamknął ją i błyskawicznie przeniósł rybę do innego akwarium. Prawie natychmiast tanga zaatakowały trzy dotychczasowe mieszkanki naczynia. Dwie z nich nie były nawet w połowie tak duże jak on. Czym prędzej odpłynął, lecz ugryziony pod skrzelami przez niewielką czarno-białą domino. Przewrócił się na bok rozpaczliwie trzepocząc płetwami, ale było już za późno; pół tuzina ryb atakowało go ze wszystkich stron. Po kilkunastu sekundach znieruchomiał.

— Nie licząc ludzi, ryby są najbardziej przywiązаныmi do zajmowanego terenu istotami na ziemi — odezwał się gospodarz. — Jeżeli wpuścisz do ich domu obcego — zabiją go. Nawet najmniejsze z nich wezmą w tym udział i każda, nawet duża ryba zostanie pokonana. Kiedy naruszą jej wyporność, jest bezwładna. Rozumiesz, co chciałem ci pokazać?

Fong przytaknął.

— To dobrze. Byłeś najlepszą Czerwoną Halabardą w *Chiu Chao*, ale wypowiedzenie wojny *Tsu Fi* i zaatakowanie jego domu było samobójstwem, o czym na własnej skórze przekonał się Lung.

— Nie popełnię tych błędów.

Gospodarz przyglądał mu się długą chwilę w milczeniu, by następnie skinąć głową.

— Mamy wiele interesów w Hongkongu — odezwał się. — Cohen cieszy się szacunkiem wśród wszystkich *Sun Lee On*. Jest wielką siłą w świecie biznesu. Robić interesy w Hongkongu oznacza robić je z nim. Musisz

powściągnąć dumę. Joe Lung cię skompromitował, a zasady stowarzyszenia wymagają, byś oficjalnie przeprosił i usatysfakcjonował znieważonego.

— Dlatego przyleciałem pierwszym samolotem z Bangkoku dziś rano.

— *Hai*. Wobec tego zadzwoń zaraz. Ustal spotkanie na dziś i miejmy to z głowy. To kłopot, z którym nie chcę mieć do czynienia ani minuty dłużej, niż to konieczne.

— Zaraz zatelefonuję — zgodził się Fong.

— *Mm goi*. Wiem, że ty także ślubowałeś *ch'u-tiao* Amerykaninowi. Jeśli będzie to konieczne, musisz być przygotowany do zrezygnowania.

Fong został całkowicie zaskoczony tą wypowiedzią.

— Nie mogę tego zrobić! — zaczął, ale stary *san wong* mu przerwał.

— Możesz i zrobisz, jeżeli będziesz musiał — oznajmił, po czym odwrócił się, koncentrując uwagę ponownie na rybkach.

Fong zrozumiał, że to koniec rozmowy. W milczeniu schylił się w ukłonie.

— *Jo sahn* — szepnął.

— *Jo sahn* — odparł Wang.

## DAFFY

W domu nadal unosił się zapach kordytu, gdy czekali na przybycie Daphne. Według Cohena była ona jedyną osobą, której mogli zaufać i która nadal podróżowała w górę rzeki robiąc interesy z piratami. Zajmowała się głównie tkaninami — tajskim jedwabiem i wełną, które przemycała do kolonii wolne od cła i podatków. Miała dwa atuty: nic nie było w stanie jej speszzyć czy zastraszyć, dzięki czemu zdobyła uznanie piratów, a poza tym płaciła złotem. Nawet Ts'e K'am Men Ti nie odważyli się zaatakować kogoś o tak silnej pozycji.

Hatcher natomiast podejrzewał jeszcze coś. Cohen mógł się bawić w kupidynka, tym bardziej że pierwsze spotkanie z Daphne było rezultatem raczej perwersyjnego żartu. Tsu Fi był pewien, że Hatcher się nią zainteresuje i że zostanie całkowicie zignorowany.

Cohen zresztą także myślał o nocy, kiedy to ich ze sobą poznał. W zabawny sposób Daphne dopełniła więzi łączącej Cohena i Hatchera, jako że pierwsze jej spotkanie z Christianem wzmocniło to, co dotąd było ostrożną przyjaźnią. Przedtem obaj badali się, obserwowali i próbowali nawzajem. Od początku Cohen widział w Hatcherze kogoś o dziwnej, a czasami przerażającej sile ducha — człowieka o niepodważalnej lojalności i niesamowitym poczuciu humoru z jednej strony, a mrocznego, nader sprawnego, niebezpiecznego i niedoścignionego zabójcę z drugiej. Oglądał go w akcji, gdy

zabijał z szybkością i sprawnością kobry, wkładając w to zresztą tyle samo uczucia co i wąż. A obok był Hatcher ekscentryk o czarującej osobowości. Spał na podłodze, wołał czytać po chińsku niż po angielsku, czasami dwa, trzy dni nic nie jadł, miał doskonałą pamięć, rejestrującą jednakże tylko to, co uważał za ważne. Wiedział na przykład, że Sam-Sam był mańkutom, natomiast nie był w stanie opisać ani jednego z tatuaży, jakie pokrywały całe jego ciało. Hatcher przetrwał dzięki utrzymaniu obu tych stron swej osobowości w dokładnie określonej równowadze, nigdy nie pozwalając, by któraś była zdecydowanie górą.

Wszystko to czyniło z Hachera fascynującego i potencjalnie godnego zaufania przyjaciela, ale dopiero po pierwszym jego spotkaniu z Daphne Cohen dostrzegł także tę łagodną i chłopięcą stronę natury Christiana. Był on jednocześnie zaskakująco naiwny i denerwująco doświadczony.

*Dopiero co dotarli na bal gubernatora, czyli doroczne zbiegowisko w „Chinese Palace”, na które Cohen żartem zaciągnął Hachera. Zdawał sobie sprawę, że jego tajemniczy towarzysz nienawidzi tłumów, przyjęć, tańców i snobów, czyli wszystkiego, co zwabiło tu resztę obecnych. Hatcher dostrzegł Daphne w chwili, w której dotarli na przyjęcie, co też Cohen przewidział. Stała po drugiej stronie sali balowej niczym zapierający dech, nieosiągalny posąg, obserwujący tłum z lodowatą obojętnością. Cohen natychmiast wyczuł żywiołowe zainteresowanie Hachera.*

— Zapomnij o niej — oznajmił mu. — Twoje oczy są niewłaściwego kształtu.

— Kto to?

— Daphne Chien. Matka Malajka, ojciec pół Chińczyk, pół Francuz.

— Zaskakująca mieszanka — stwierdził półgłosem Hatcher, nie spuszczać z niej wzroku.

— Każdy gwai-lo w kolonii próbował, ale ona nie chce mieć nic wspólnego z kimkolwiek z Zachodu.

— Tsu Fi też nie chciał, lecz ciebie to nie powstrzymało. Znasz ją?

— Tak, znam — odparł niezbyt uszczęśliwiony Cohen. Podobne sytuacje na publicznych uroczystościach zawsze uprawiały go w zakłopotanie. — Poza tym szczególnie nienawidzi Amerykanów.

— Dlaczego?

— Jej ojciec był tu jednym z najlepszych krawców, rozkręcił całkiem niezły interes i otworzył sieć sklepów w Stanach. Zjawiała się duża amerykańska korporacja i zdecydowała, że jego firma dobrze rokuje. Połączyli się obiecując mu złote góry, po czym wyczyścili na zero i zostawili na lodzie. A potem zaczęli masową produkcję dżinsów, wykorzystując jego firmę i reputację. Stali się naprawdę wielkim przedsiębiorstwem, ale stary nie miał z tego ani grosza.

- Jaka korporacja?
- Słyszałeś o nich: Blue Max.
- Każdy o nich słyszał.
- Stary tak się tym wszystkim przejął, że próbował popełnić samobójstwo. Ledwie go odratowała...

Hatcher tymczasem już wystartował i Cohen musiał za nim gonić.

– Przedstaw mnie – mruknął Christian, przepychając się przez tłum ku dziewczynie.

– Nie znasz dalszego ciągu – wrzasnął Cohen próbując przekrzywić gwar.

– A jaki jest dalszy ciąg?

– Zajął się nowym interesem. Piractwem odzieżowym.

Hatcher zatrzymał się w pół kroku i spojrzął z uśmiechem na Cohena.

– Podrabiała amerykańskie džinsy? – spytał.

– Konkretnie Blue Maxa, za mniej więcej połowę ceny przy utrzymaniu tej samej jakości.

– Fantastyczne.

– Zgadza się. Zdarła z nich wystarczająco, aby założyć własną firmę, stała się największym konkurentem, potem połączyła się z nimi i przejęła kontrolę firmy. A w końcu wywaliła na zbity pysk wszystkich tych, którzy zrujnowali jej ojca.

– Śliczne.

– Nie? Tylko że pozostał jej ciężki uraz do wszystkich mei gwok.

– To jakim cudem zeście się poznali?

– Bo to ja załatwiłem jej interes, dzięki któremu mogła tego dokonać. Jestem jedynym jankesem, jakiego lubi.

Hatcher po tych rewelacjach jeszcze bardziej zapragnął ją poznać. Zrobił w tył zwrot i ponownie ruszył ku dziewczynie.

– Podaj mi parę nazwisk – zażądał.

– Czyich?

– Tych, którzy zrujnowali jej ojca. Dalej, wystarczy jedno albo dwa. No, pośpiesz się, do cholery.

– Uh... Howard Sylvester... Allen Mitchell...

– Wystarczy. Przedstaw mnie jako Chrisa Londona.

Z bliska była jeszcze piękniejsza. Wysoka, szczupła, o doskonałych kształtach podkreślonych suknią z ciemnozielonego jedwabiu, doskonale pasującą do jej kakaowej skóry i błyszczących oczu o tej samej barwie co suknia. Czarne włosy, zawiązane w długi koński ogon przerzucony przez ramię, spływały pomiędzy piersi. Nie nosiła pierścionka, a jedyną biżuterią były diamentowe kolczyki w kształcie pereł i takiż naszyjnik ze szmaragdem i rubinem, spoczywający w zagłębieniu delikatnej łabędziej szyi.

Uśmiechnęła się szczerze, ujrawszy Cohena.

— China! W końcu jest tu ktoś, z kim można pogadać — powitała go.

Cohen pocałował ją w policzek i wskazał Hatchera.

— Miss Chien, chciałbym przedstawić przyjaciela, Chris... no — zaplątał się zapominając nazwisko.

— London — dodał Hatcher szybko.

Uśmiech zniknął. Ledwo uprzejmie skinęła mu głową i odwróciła się, ale Hatcher tak łatwo nie rezygnował.

— Jestem prawnikiem — powiedział. — Reprezentuję kilku pani dawnych współpracowników.

Odwróciła się gwałtownie z lodowatym błyskiem w oczach i wojowniczo wysuniętym podbródkiem.

— Doprawdy?

— Tak, Howarda Syhestra i Allena Mitchella.

Nic nie uległo zmianie w wyrazie jej twarzy, ale Cohen omal nie połknął języka, i to razem z zębami; widział, jak w miarę słów Hatchera ulatnia się jego przyjaźń z Daphne. Ten tymczasem ujął dziewczynę delikatnie za łokieć i poprowadził w stronę tarasu.

— Widzi pani, zdołali zebrać spore dossier na temat pani pirackiej działalności przed fuzją. Uważają, że mają wystarczający materiał dowodowy, i chcą...

Ich głosy zaginęły w gwarze sali i Cohen mógł jedynie stać i obserwować. W tym momencie miała oczy mordercy. Nagle oboje stanęły zwróceniu twarzami do siebie. Hatcher pochylił się i powiedział coś szybko. Dziewczyna rozchyliła usta i przez sekundę było widać, że jest całkowicie zbита z tropu. Potem nastąpiła błyskawiczna wymiana zdań i wszystko się skończyło. Hatcher skłonił się, ucałował jej dłoń i podszedł z uśmiechem do Cohena.

— Jutro jemy lunch we dwoje — oznajmił. — Przyniosę ci drinka. Szkocką z odrobiną wody bez lodu, prawda?

Zanim zdążył wrócić, zbliżyła się Daphne

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to Hatcher? — prychnęła.

— Przyznając się do winy. Nie mam wytłumaczenia.

Uśmiechnęła się i popatrzyła za przebijającym się przez tłum Christianem.

— Naprawdę jecie jutro lunch? — spytał zaskoczony.

— Tak.

— Co on ci powiedział?

Uśmiechnęła się ponownie i przez chwilę milczała.

— Spytaj go — odparła i odeszła.

— Co jej powiedziałaś? — zagadnął Hatcher, gdy ten wrócił z drinkami.

— Nie powiem — odrzekł Christian z uśmiechem.

Teraz Cohen wyczuwał odmiennego Hatchera. Zabójca był daleko, a Christian sprawiał wrażenie człowieka łagodniejszego, bardziej zamyszonego. Nie żeby stał się miękki, był jakby nieco wytracony ze swej wewnętrznej równowagi. I choć Cohenowi ten nowy Christian się podobał, jednocześnie go martwił — jeśli Hatcher zamierzał wybrać się w górę rzeki, nie mógł pozwolić sobie na łagodność. W kraju Ts'e K'am Men Ti instynkt zapobiegał prowokacji, a umiejętność walki oznaczała życie. Nadal obowiązywała tam zasada: strzelaj pierwszy.

Rozmyślenia przerwał mu dzwonek do drzwi.

Postać w drzwiach miała karnację *café au lait* i wpatrywała się w niego oczyma o kształcie migdałów. Była wysoka i elegancka, w bladuróżowym zakiecie i rubinowej bluzce. Sprawiała wrażenie seksownej, ale w dobrym guście. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po wejściu, było pozbycie się butów.

— Witaj, China — powiedziała miękko, całując go w czoło, i spytała bez sekundy wahania: — Gdzie on jest?

— Na tarasie.

— Zmienił się?

— Jest starszy, jak każdy z nas. Ma trochę nowych blizn. — Więcej nie zdążył powiedzieć, bo już była na zewnątrz.

— Nie sądziłam nigdy, że jeszcze cię zobaczę — odezwała się stając w drzwiach. — Wyglądasz jak ten sam stary Hatcher.

Jej *ch'uang tzu-chi* także pobudził jego widok po tych wszystkich latach. Przez rok po poznaniu mieszkał z nią, kiedy tylko był w Hongkongu. Odchodził bez uprzedzenia i wracał w ten sam sposób, nigdy nie rozmawiając o swoich sprawach. Słyszała o nim, zanim go poznała — amerykańskiego pirata bali się wszyscy na rzece, z Sam-Sam Samem włącznie. Dopiero po zniknięciu Hatchera pojawiły się nowe plotki: że był płatnym zabójcą, że pracował dla CIA, że zdradzał i oszukiwał przyjaciół, że był członkiem formacji Armii Amerykańskiej nazywanej potocznie *ying bing* — wojownicy cienia.

Znając go rok, nie wierzyła w te pogłoski. Wiedziała o obu stronach jego osobowości — zimnej, przejawiającej się głównie w nocnych akcjach, i tej drugiej — czulego i troskliwego kochanka, dla którego seks był zabawą, nie podbojem. Gra, szybką czasami walką, kończącą się — jak to określał — „najczystszy uczuciem”, orgazmem, który był jego jedyną totalną ucieczką od rzeczywistości.

Wiedziała też, zarówno w głębi serca, jak i ze wspólnych doświadczeń, że każda z tych opowieści, a nawet wszystkie mogły być prawdą.

Nie miało to zresztą znaczenia. Był żywy i był tu, i podobnie jak Cohenowi przypomniawszy jej noc, kiedy poznała Hatchera. Noc, której nigdy nie zapomni.



*Ledwie zdołała zapanować nad wściekłością, gdy ten mei gwok, prawnik, wyprowadził ją z gwarnej sali balowej na taras. Była równie zła na niego co na Cohena, gdy nowo poznany powiedział z uśmiechem doskonałą francuszczyzną:*

*— Nie nazywam się London. Nazywam się Hatcher i uważam, że to, jak pani postąpiła z tymi Amerykanami, było piękne. Mogę też dostarczyć pani indyjską bawełnę najwyższego gatunku, gdziekolwiek pani zechce, za połowę ceny, jaką pani aktualnie płaci. — Przerwał na moment, po czym dodał: — Poza tym mogę panią rozśmieszyć, i to dobrze.*

*Przez parę sekund wpatrywała się w niego, całkowicie zaskoczona jego bezczelnością i przyciągana szarymi oczyma. Szybko jednak doszła do siebie.*

*— Ile? — spytała.*

*— Ile czego?*

*— Ile bawełny może pan dostarczyć? Jak szybko i za jaką cenę?*

*— Muszę to obliczyć. Nie robię tego typu rachunków w pamięci.*

*— Ja też nie.*

*— Wobec tego proponuję jutro lunch. Tylko interesy. Ja będę znał fakty, a pani przyniesie czek. Żadnych pośredników, księgowych, prawników i innego śmiecia. Tylko my dwoje.*

*— Ostrzegam, że nie pójdę na kompromis.*

*— Ja też nie — odparł. — Na kompromisie wszyscy tracą. Ja negocjuję, a wtedy wszyscy zyskują.*

*— Ale w jaki sposób?*

*— Proszę się wcześniej zdecydować, ile chce pani na tym zarobić, ja zrobię to samo i w ten sposób unikniemy zbędnych targów. Proszę mi zaufać — interesy załatwimy szybko i zanim posiłek się skończy, zdążymy się jeszcze zdrowo pośmiać.*

*— Dlaczego śmiech jest dla pana taki istotny?*

*— Śmiech jest kluczem do niebios — odparł z uśmiechem.*

*I ku swemu zaskoczeniu zgodziła się na lunch.*

*Nigdy też nie ubili żadnego interesu. Nawet nie rozmawiali o tej bawełnie. Ale śmiali się — jak obiecał, rozśmieszył ją do łez. I miał rację: to był klucz do nieba.*

*— Wracam do swego pokoju — oznajmił Cohen z living roomu. — Bok zaczyna mi dokuczać.*

*Został całkowicie zignorowany. Wzruszył ramionami i poszedł do gabinetu na tyłach domu.*

*Przez minutę lub dwie żadne z nich nie wiedziało dokładnie, co chce powiedzieć.*

— Co się stało z twoim gardłem? — przełamała lody wpatrując się w bliźnię.

— Byłem w ciężkim więzieniu. Odezwałem się, kiedy nie powinienem. Strażnik postanowił na stałe zniechęcić mnie do tego.

— Boli

— Już nie.

— Cieszę się — powiedziała, po czym uniosła brwi. — Masz bardzo seksowny głos.

— *Merci*. A poprzednio taki nie był?

— Nie aż tak. — Po pauzie spytała: — Co się z tobą działo? Po prostu zniknąłeś. Wszyscy myśleli, że zginąłeś.

— Wróciłem do Ameryki wykonać pewne zadanie i znalazłem się w kłopotach... Kosztowały mnie one trzy lata w więzieniu, gdzie wszystko jest zabronione.

— A pozostałe trzy lata?

— Myślałem, że już stałem się historią, Daffy.

Odrzuciła głowę i wybuchnęła gardłowym śmiechem, który odbił się znajomym echem w jego pamięci.

— Daffy — powtórzyła. — Od tylu lat tego nie słyszałam. Nikt inny nigdy mnie tak nie nazywał.

Milczała przez chwilę, po czym dodała z błyskiem w zielonych oczach:

— Nigdy nie stałeś się historią. Nie dla mnie.

Nie podjął tematu.

— Cohen mówił poważnie? — spytał. — Naprawdę możesz mi pomóc?

— Od razu do interesów. Jak dawniej, co?

— Przepraszam. Czuję się głupio, wiem, że jestem twoim dłużnikiem...

— Przerwał, gdyż położyła mu palec na usta.

— Nic mi nie jesteś winien. Niczego sobie nie obiecywaliśmy. Dzielłam z tobą łóżko... z oczekiwaniem. Czasami nawet... z niecierpliwością.

Przypomniał sobie, co miała na myśli, ale odsunął wspomnienia.

— Winien ci jestem przynajmniej uczciwe pożegnanie.

— I dlatego wróciłeś? By pożegnać się z przyjaciółmi, którzy uważali, że nie żyjesz?

— Może — szepnął, po czym, starając się odsunąć nieuniknione, stwierdził ironicznie: — Poza tym przydałby mi się seans w saunie „Estori-lu”, no i masaż...

Odwróciła się i podeszła do okna sypialni.

— Nie musisz jechać do hotelu „Estoril” po dobry masaż. Poza tym wypadaloby najpierw powiedzieć *jo sahn*, zanim znowu powiesz *joi gin*.

Wszedł za nią do pokoju.

— Jak możesz mi pomóc, Daffy?

— Powiedziałam już Cohenowi. — Podeszła do łóżka. — Mogę ci pomóc, ale tylko na moich warunkach.

— Uhm — mruknął podejrzliwie — a jakie one są?

— Musisz się trzymać z dala od Makau.

— Nie mam najmniejszego powodu, by tam jechać.

— I musimy zrobić wszystko dokładnie tak, jak ja powiem.

— Ani trochę się nie zmieniłaś — uśmiechnął się lekko.

— Zgoda?

— Zastanowię się.

— A tak na marginesie to o co chodzi z tym obozem?

— Staram się odszukać kumpla z marynarki. Jego ojciec, bohater wojenny, jest umierający. Gość mógł być w obozie dla jeńców w Laosie, który nazywano Huie-kui. Komendant nazywał się Taisung albo jakoś podobnie. Wiem, że w czasie wojny ktoś robił z nim interesy, może będzie coś pamiętał.

Odwróciła się w stronę okna i potrząsnęła głową.

— Szukasz jednego człowieka?

— Po to wróciłem — odparł cicho. — Reszta: ty, Cohen — to premia.

— Może uda się prześliznąć unikając Sam-Sama — powiedziała zamyślona. — Chyba zdołam to zorganizować. Jest tylko jedna osoba, która według mnie może ci pomóc. Pamiętasz Samuela Anstadta zwanego Holendrem?

— Nigdy go nie spotkałem.

— Bo on działał w Laosie i Wietnamie Północnym. Teraz kupują od niego tkaniny, ale dziesięć lat temu sprzedawał leki, broń i wszystko, co się dało, Wietkongowi.

— Możemy go tu ściągnąć?

— Poszukuje go tutejsza policja, a ma on tak charakterystyczny wygląd, że rozpoznano by go natychmiast. Jest natomiast takie miejsce w Tsang, czterdzieści mil w górę rzeki. Nazywa się „Leatherneck John's”.

— Amerykańska knajpa? — spytał z niedowierzaniem.

— Owszem. Dobre miejsce, żeby pogadać i popić. To coś w rodzaju neutralnej ziemi; odbywa się tam i handel, i negocjacje. Możemy się tam

umówić z Holendrem, ale tylko jeżeli będziemy mieli pewność, że Sam-Sam jest daleko.

— Ty nie jedziesz — oświadczył niespodziewanie.

— Naturalnie, że jadę. Możesz z nim pogadać tylko pod warunkiem, że ja o to poproszę. To ja muszę wszystko uzgodnić i wszystkiego dopilnować.

W kącie błysnął promień odbity od zapomnianego odłamka lustra. W nocy Hatcher naraził na niebezpieczeństwo Cohena, a teraz miał narazić ją. Znów, jak za dawnych czasów — brał, nie dawał.

— Może... — zaczął niepewnie.

Odwróciła się z roziskrzonymi oczyma.

— Nie „może”. Tak.

Niemal stykali się nosami, a jej wzrok domagał się potwierdzenia. Wpatrywali się w siebie w milczeniu.

— Jest jeszcze jedna rzecz... — Spojrzał na nią i na uśmiech, który pojawił się na jej ustach.

— Tak?

Ostrożnie wyciągnął rękę zatrzymując ją o cal od jej ust, powoli dotknął dolnej wargi i gładząc ją palcem wskazującym, łagodnie ścisnął kciukiem i serdecznym. Na ułamek cala wysunęła język, dotknęła nim palców i pocałowała je.

*Hai...* — szepnęła.

Przymknęła oczy odchylając się do tyłu i przywarła do jego ust. Gwałtownie wypuściła powietrze, przygryzła mu wargę, po czym wsunęła język w jego usta. Nie przestając całować, zdjęła żakiet. Hatcher zsunął delikatne ramiączko najpierw z jej jednego ramienia, potem z drugiego, ale przytuliła się doń podtrzymując suknię. Wcisnęła dłoń między ich przytulone ciała, przesuwając ją wzdłuż brzucha Hatchera. Jej małe palce powędrowały za jego pasek i na dół, aż poczuła, jak się podnosi na jej spotkanie.

Odchyliła się i suknia powoli zsunęła się. Na moment zawisała na twardej sutkach, po czym zatrzymała się na biodrach. Nie przerywając pocałunku, z zamkniętymi oczami, na nowo odkrywali siebie nawzajem. Wolną ręką rozpięła mu pasek, zdjęła spodnie, majtki, a potem zrobiła pół kroku do tyłu pozwalając, by suknia opadła na posadzkę. Była naga.

Pozostawali złączeni pocałunkiem, gdy wzięła jego dłoń i powoli przesunęła ją po swoim brzuchu aż pomiędzy nogi, przycisnęła i zaczęła poruszać się w górę i w dół. Pieścili się nawzajem w doskonale zgranym rytmie.

— Boże — szepnął w jej usta — zwolnij.

Poczuł, jak drgnęła, przyciskając się mocniej do jego dłoni.

— *Cheng... nei*, teraz, *cheng nei...* — jęknęła tracąc oddech. — Proszę...

Jej usta stawały się coraz gwałtowniejsze. Zaczęła drżeć wspinając się na palce. Nagle krzyknęła i wepchnęła go w siebie. Z napiętymi mięśniami przytuliła się do jego ramienia. Powoli opuścił ją, układając na łóżku. Z zamkniętymi oczami i drżącymi mięśniami leżał na niej. Nagle gwałtownie wciągnął powietrze i wstrzymał oddech eksplodując w niej. Objęła go za szyję i przytuliła.

— *Cheng nei*, Hatcher...

## YEN DUI YEN

Telefon Tolliego Fonga nie zaskoczył Cohena. Taki był zwyczaj — wymóg honoru, obowiązujący każdego, kto należał do triad, zarówno tradycyjnych Sun Lee On, jak i podziemnego odłamu Chiu Chao. Zgodnie z tradycją Fong zaproponował spotkanie tego samego popołudnia w niewielkiej restauracji gdzieś w Wanchai. Uzgodnili też zasady: początek o czwartej, każdy mógł wziąć trzech członków swej triady, by przyglądali się przebiegowi spotkania. Każdy miał prawo wybrać sędziego spośród całej organizacji. Nikt naturalnie nie będzie uzbrojony. I oczywiście nie powiedziano ani słowa o celu spotkania.

Cohen włożył swój najbardziej tradycyjny *cheongsam*. Wyjechał wraz z Singiem i dwoma innymi członkami rodziny rollsem o trzeciej czterdzieści pięć. Hatcher i Daphne nadal byli w sypialni, a poza tym nie uważał za niezbędne informować ich o tym spotkaniu.

Samochód Cohena zjechał z góry, minął siedzibę gubernatora, konsulatu amerykańskiego i skierował się Connaught Street do zatłoczonej i gwarnej Wanchai. Tu szofer zwolnił, ostrożnie przemykając przez tłumy pieszych i wśród riksów zapelniających ulice aż do alei Lan Fung, będącej oazą pustki i spokoju. W połowie wąskiej uliczki wisiał ręcznie kaligrafowany szyldzik restauracji „Lon Song” — niewielkiego, ale dobrego lokalu, lubianego przez okolicznych mieszkańców. Kierowca zaparkował wóz tak blisko wyjścia, jak tylko mógł, i Cohen wysiadł wraz z Singiem i jeszcze dwoma towarzyszami.

Pograżona w półmroku restauracja była wąska i mała — ledwie starczyło miejsca na dziesięć stolików. W powietrzu unosił się zapach czosnku i

przypraw. O czwartej dziesiątce poza właścicielem nie było nikogo. Gospodarz trzymał się prosto, choć wyraźna siwizna zdradzała podeszły wiek. Przyjrzał się uważnie Cohenowi przez grube szkła, skłonił się i uśmiechnął.

- To honor, Tsu Fi — powiedział.
- Inni już są?
- *Hai*. Sędziowie także.
- *Ho* — mruknął Cohen.

Gospodarz poprowadził ich mrocznym korytarzem na zaplecze do drzwi, za którymi były schody do piwnicy. Zakurzone, słabo oświetlone pomieszczenie sprawiało wrażenie nieczęsto używanego. Na środku stał niewielki stolik z dwoma krzesłami naprzeciwko siebie. Przygotowano czajnik do herbaty i dwie filiżanki.

Zgodnie z tradycją Tollie Fong jako ten, na kim ciąży obowiązek przeprosin, przybył pierwszy i zajął krzesło zwrócone ku schodom. Za nim stali członkowie rodziny ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami.

W pokoju były jeszcze dwie osoby. Pierwsza — Sam Chin — starszy członek społeczności chińskiej i szanowany bankier, poza tym *san wong* jednej z najbardziej poważanych triad Sun Lee On. Druga — Lon Tung — *san wong* Dynastii Siedmiu Dłoni, najgroźniejszej z triad Chiu Chao. Byli tu, by dopilnować, żeby spotkanie przebiegało bez użycia siły, a problem będący jego tematem został rozwiązany w sposób zadowalający, to znaczy albo przyjęciem przeprosin, albo oficjalnym ogłoszeniem wojny między obiema rodzinami. Nagły i nie zapowiedziany atak traktowany był przez triady jako niehonorowy. Pociągał za sobą całkowity ostracyzm wszystkich członków rodziny, która w taki sposób postąpiła. W świetle tych zasad w pełni zrozumiała była szybkość, z jaką Fong poprosił o spotkanie.

Tollie wstał widząc Cohena i uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie. Miał reputację najbardziej bezwzględnego mordercy w Chiu Chao i wiedział, że nikt tego nie kwestionuje.

Usiedli naprzeciw siebie. Fong nalał herbaty. Nikt nie przerywał milczenia, nie rozległo się nawet chrząknięcie. Fong upił łyk herbaty. Cohen usiadł wygodniej, ujął filiżankę i wpatrzył się w Fonga. Byli *yen dui yen* — oko w oko. Żadna ze stron nie mogła uciec wzrokiem, dopóki nie zostanie osiągnięte porozumienie — niezależnie, czy będzie to wojna, czy pokój.

Również zgodnie z tradycją obaj przeciwnicy przemawiali przez sędziów; wywodziło się to z rytuału unikania bezpośredniej konfrontacji. Dzięki temu

sarkazm czy intonacja głosu nie miały wpływu na negocjacje. Fong uniósł rękę i szepnął do ucha Tunga, który był jego głosem.

— Wróciłem z Bangkoku tak szybko, jak mogłem, gdy dowiedziałem się o nieszczęśliwym wydarzeniu, które miało miejsce ostatniej nocy — powtórzył Tung.

Sam Chin pochylił się nad Cohenem, po czym odparł:

— *Mm goi*. Cieszę się z tak szybkiego działania.

— Rozumie pan, że nie ja poleciłem zaatakować pański dom. Byłaby to obelga nie mająca żadnego sensu.

— Rozumiem teraz, gdy pan to powiedział.

— Przybyłem, by pana przeprosić.

Konwersacja przebiegała przez pośredników, których udział nie miał na nią praktycznego wpływu.

— Naruszył pan spokój mojego domowego ogniska, co jest złamaniem przysięgi triad.

Odpowiedź Fonga była tym razem dłuższa, a w jego oczach pojawił się nieobecny dotąd błysk.

— Nie było to moje działanie, tylko mojego zastępcy, który zresztą zapłacił życiem za swój błąd. Przybyłem, by przeprosić za jego głupotę i prosić Tsu Fi o wybaczenie. — Począł, aż Tung powtórzy, po czym wyszeptał ciąg dalszy, zanim Cohen zdołał odpowiedzieć. — I by ofiarować zadośćuczynienie za tę zniewagę.

— Przepraszam, nie dosłyszałem ostatnich słów. — Cohen pochylił się do przodu.

— Tollie Fong zadeklarował zadośćuczynienie za obrazę Tsu Fi — powtórzył Tung.

Cohen skinął głową i upił łyk herbaty, zanim przekazał odpowiedź Chinowi:

— W takim razie przyjmuję pańskie przeprosiny.

— *Mm goi* — odparł Tung. — A jakie zadośćuczynienie jest odpowiedzią dla Tsu Fi?

Cohen, nie spuszczać wzroku z oczu Fonga, szeptał coś powoli Chinowi. Ten przez chwilę wydawał się zaskoczony, ale opanował się i powiedział:

— Ceną jest odstąpienie od zemsty na *mei gwok* Hatcherze.

Wszystkich obecnych również to zaskoczyło. Sędziowie spojrzeli na siebie wymownie. Żądanie prowadziło do kłopotów, o czym wiedzieli. Wściekłość zapłonęła w oczach Fonga. Polecenie *san wong* było jasne. Miał świadomość, że musi ustąpić, ale nie chciał tego robić bez walki. Powinien

protestować, by zachować twarz. Potrząsnął głową, nie przerywając jednakże *yen dui yen*.

— Nie mogę tego zrobić — szepnął do Tunga wystarczająco głośno, by dotarło to do Cohena. — Ten *mei gwok jahn* zamordował mego ojca.

— Z tego, co wiem, w samoobronie — szepnął równie głośno Cohen, nie czekając na słowa Tunga.

— Okrył hańbą dom Fongów tak jak Lung pański — warknął Fong rezygnując z pośrednika.

— No to transakcja jest uczciwa — odparował Cohen wprawiając rozmówcę w chwilowe osłupienie.

Tollie był zabójcą, nie negocjatorem.

— Nie! Uczciwe to będzie wtedy, kiedy Hatcher spotka się z Lungiem w piekle! To, o co pan prosi, nie jest rozsądne.

— Mimo to taką właśnie cenę musi pan zapłacić za haniebny postępek Lunga. — Cohen rozłożył ręce bezradnym gestem.

Fong potrząsnął głową, nie spuszczać jednakże wzroku z rozmówcy.

— Złożyłem *ch'u-tiao* — odparł wolno, czując, jak z każdym słowem narasta w nim złość.

— Honor to honor — zgodził się Cohen — ale uważam, że rachunki zostały wyrównane.

— A ja uważam, że to, co jest między mną a Hatcherem, to nie pański interes.

— W takim razie nie mogę przyjąć pańskich przeprosin — stwierdził sucho Cohen

Sam Chin odchrząknął i wtrącił grzecznie:

— *Deui mju*. Pomyślałem sobie, że być może Tsu Fi byłby w stanie zaproponować zadośćuczynienie bardziej do przyjęcia dla Tolliego Fonga i rozwiązać ten problem w spokoju.

Cohena nieco zaskoczył rozwój wydarzeń. Zgodnie z tradycją Fong był zobowiązany do przyjęcia każdego zadośćuczynienia, jakiego chciał obrażony.

— Nie! — powiedział Cohen po namyśle. — Skompromitowano mój dom i mam prawo żądać wszystkiego, co uznam za stosowne. Taka rekompensata wydaje mi się szczególnie odpowiednia, gdyż powodem ataku Lunga była chęć zabicia *mei gwok*, który był moim gościem.

— A ja mówię nie — odparł Fong.

— Wobec tego uważam, i poinformuję o tym wszystkich, że Tollie Fong złamał przysięgę złożoną Sun Lee On.

— Nie należę do Sun Lee On, należę do Chiu Chao.



— Wszyscy jesteście złączeni przysięgą — zauważył Cohen. — Jeżeli zdradzi pan dom Tsu Fi, to zdradzi pan tym samym Chiu Chao i wszystkie triady.

— Więc niech tak będzie — syknął Fong rozbijając swoją filiżankę o blat.

Po tym wybuchu Cohen skulił się nieco w krześle, ale błyskawicznie się wyprostował.

— To deklaracja *zhanzheng* z Tsu Fi — oświadczył zaskoczony Tung. — Tsu Fi miał rację; oznacza to poniesienie konsekwencji gniewu zarówno Chiu Chao, jak i Sun Lee On.

— Wobec tego ja również zmuszony jestem wypowiedzieć wojnę Fon-gowi. — Cohen wstał i dłonią zmiotł porcelanowe skorupy na podłogę. — Ma pan godzinę, by wynieść się z Hongkongu.

Fong spojrział na niego zdumiony.

— Może się pan jeszcze zastanowić — dodał Cohen.

— Masz jaja, Cohen. Żeby grozić nowemu *san wong* Białych Dłoni, trzeba je mieć.

— Ta wyspa należy do mnie. — W głosie Cohena brzmiała pewność. — Jeżeli masz co do tego jakieś wątpliwości, to jesteś głupszy, niż myślałem.

— Jesteś durniem — Fong wstał powoli — skoro ryzykujesz wojnę dla takiego *mei gwok* szpiega. To kłamca, który oszukuje przyjaciół. Zabija tych, którzy mu ufają.

— Facet w moim typie. A twoja godzina już się zaczęła.

Fong wpatrywał się w Cohena jeszcze przez chwilę i w końcu przemówił:

— Zgoda. Nie przyniosę hańby *san wong* Białych Dłoni. Ale ty obrazi-łeś mnie, *mei gwok*.

— Zapomnisz o tym — odparł Cohen.

Fong, słysząc to, znów się najeżył. Skłonił się każdemu z sędziów i wy-padł z pomieszczenia na czele swych ludzi. Lon Tung podążył w jego ślady. Cohen zaś jakby zapadł się w sobie. Wygrał. Mało brakowało, ale zdołał uniknąć wojny w Białymi Dłońmi. Poczul na ramieniu rękę China.

— Nie wiedziałem, że jesteś tak nieustępliwy w negocjacjach.

— Też nie wiedziałem — odparł Cohen spoglądając na starego Chińczyka. — Niestety, w tym wypadku tylko to było właściwe.

Tollie Fong stał przed restauracją czekając, aż kierowca podjedzie po niego. Uniknął wojny, ale kompromis wymuszony przez Cohena bolał go jak diabli. Wiedział, że była to konieczność. Wiedział też, że chwilowo musi

zaniechać *ch'u-tiao* i pozwolić żyć Hatcherowi, ale było to do przyjęcia. Prawdę mówiąc, idealnie to nawet pasowało do jego planów. Czekał osiem lat, by dostać Hachera, mógł poczekać jeszcze kilka tygodni. Dla niego Hatcher był już trupem. To tylko kwestia czasu.

Cienie na zewnątrz wydłużały się. Daphne leżała przyłgnawszy do Christiana niemal całym ciałem.

— Mam nadzieję, że na rzece za bardzo nie narozrabiasz — odezwała się. — To by źle wpłynęło na moje interesy.

— Może aby je poprawić, pozbędę się Sam-Sama — warknął przytulając ją.

— Może czas się upomnieć o tę obiecaną przez ciebie bawelnę. Ile lat temu to było?

— Dawno. Ale zobaczę, co da się zrobić.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Jak tylko przybędziemy do miasta.

— I nie wrócisz już?

Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale położyła na nich dłoń.

— China wszystko mi wyjaśnił i wiem, jak niebezpieczny dla ciebie jest Hongkong. Tym razem pragnę wiedzieć o wszystkim. Chcę, żebyś należycie powiedział *joi gin*.

— Jeszcze jesteś niezadowolona?

Objęła go smukłą nogą i odparła: — Jeszcze nie dokończyłeś.

## DYMEK

Przy wejściu do ambasady powitał Sloana blady, nadzwyczaj nerwowy i niezbyt zdrowo się prezentujący młodzian, piastujący stanowisko podpodsekretarza. Nazywał się Lamar Pellingham Jr i natychmiast przyznał się, że po raz pierwszy ma do czynienia z przypadkiem śmierci poza granicami ojczyzny.

— Beznadziejna sytuacja, absolutnie beznadziejna — rozjęczał się. — Tylu formularzy i papierków w życiu nie widziałem.

— Zgadzam się z panem. Też mnie zawsze denerwowało, jak skomplikowane są te formalności — przytaknął Sloan. — Można by sądzić, że

każdemu powinno zależeć na jak najszybszym załatwieniu czegoś tak przykrego, tymczasem wszyscy wszystko komplikują.

— Tak. Prawda... naturalnie. — Młodzieńca najwyraźniej zaskoczyła nonszalancja Sloana. — Tego... sprzątaczką wszystko zebrała... to jest wszystko, co było w jego biurku. Zaplombowaliśmy jego pokój, zostawiliśmy biurko, mam na myśli, nie ruszone. Wie pan, na wypadek gdyby było coś, tego... jakieś tajne materiały.

Sposób, w jaki mówił, wypluwając poszczególne wyrazy niczym gorące kartofle, jasno świadczył, że cała sprawa była dla niego wielce obrzydliwa.

— Doskonale posuniecie — przyznał Sloan. — Sprawdzę wszystko osobiście.

— Był już pan na policji?

— Nie. Przybyłem tu prosto z lotniska, tylko potwierdzając rezerwację w hotelu. Ma pan raport policji?

— Nie. Oficer prowadzący śledztwo, tego... major Ngy, nie chciał nic powiedzieć. Nie jest zbyt chętny do współpracy. Ale mam wszystko inne. Proszę za mną.

Nerwowy dyplomata poprowadził Sloana malowniczymi korytarzami ambasady do swojego biura — gustownie urządzonego, choć ciasnego pomieszczenia na tyłach budynku. Przerzucił stosik papierów na biurku i podał Sloanowi kopertę oznaczoną: „Porter. Akta. Tajne”.

— Wewnątrz są wszystkie formularze, jego polisa, a nawet ostatnie rozliczenie wydatków — wyjaśnił.

— Interesujące. Wezmę to wychodząc.

— Może, tego... powinienem zrobić kopie? — Młodzian potarł z zakłopotaniem policzek, zmieniając wypowiedź, która powinna być oświadczeniem, w pytanie.

— Jeżeli uważa pan, że tak trzeba — Sloan uśmiechnął się porozumiewawczo — nie mam nic przeciwko wzięciu kopii.

— Przepisy głoszą, że tak trzeba w tym... no, — w razie mniej lub bardziej przypadkowego zabójstwa niewinnego przechodnia. Zupełnie jakby można było zabić kogoś przez przypadek. — Zawahał się i dodał: — Nie jest to specjalnie bohaterska śmierć, ale przypuszczam, że dla nas najkorzystniejsza. To znaczy, mam na myśli, że do przyjęcia w tych warunkach.

— Doskonale określenie. Teraz rozumiem, dlaczego wybrał pan karierę dyplomatyczną.

— Cóż, dziękuję, sir. Miałem na myśli rodzinę i wszystko.

— Zgadza się z panem całkowicie. — Sloan starał się jak mógł, by

oswoić urzędnika. — Proszę się już tym nie martwić. Jestem na miejscu i teraz to już mój problem.

— Ale...

Sloan z uśmiechem oddał mu kopertę.

— Ja sprawdzę rzeczy Portera — powiedział — a pan w tym czasie zrobi kopie. Tak będzie chyba najrozsądniej.

— Tak... tego, prawda. Pan wie, dokąd wysłać zwłoki i rzeczy?

— Wszystko jest już przygotowane.

— Dzięki Bogu! — odetchnął z ulgą dyplomatyczny neofita.

— Proszę mi wskazać jego pokój i nie będę już panu zawracał głowy.

— Tak, już.

Młodzieniec stał dobrą minutę patrząc na zamknięte drzwi, za którymi zniknął Sloan, zanim się ocknął i ruszył zrobić kopie.

Sloan tymczasem przez godzinę przetrząsał pomieszczenie i jedyną godną uwagi rzeczą, jaką znalazł, był oprawiony w skórę notes o wymiarach pięć na siedem cali. Był to dziennik Portera zaczynający się w styczniu tego roku. Wsadził go do walizki i po otrzymaniu kopii od nerwowego młodzieńca skierował się do hotelu.

Zaraz po wejściu do pokoju Sloan pozbył się przepoconej koszuli. Następnie przesunął stół pod wentylator i resztę popołudnia spędził na przeglądaniu dziennika. Porter usilnie pilnował tego Tajlandczyka, a dziennik był kompletny aż do dnia śmierci. Nawet wydatki odnotowywał drobiazgowo, nie pomijając pięćdziesięciu centów za colę w miejscu zwanym „Stagecoach Deli” w Patpong. Ta pozycja opatrzona była dopiskiem: „w trakcie śledzenia obiektu!” Porter na starość zmienił się w doskonałego biurokrate.

Im później się robiło, tym bardziej w Sloanie narastał głód, aż w końcu, zbyt rozkojarzony, by myśleć, zamknął notes. Wyszedł z pokoju, gdy nad złotymi kopułami zaszło słońce. Potrzeba gnała go ku zatłoczonym ulicom.

Przy wyjściu z hotelu parkował niewielki, dwuosobowy pojazd. Energetyczny przewoźnik podbiegł do Sloana, ledwie ten skierował się ku postojowi taksówek.

— Dobry *tuk-tuk*, sir — oznajmił drepzcząc obok — najlepsza cena w mieście. Bardzo szybko.

Pojazdów tego typu krążyły setki i niemożliwością było śledzenie kogoś, kto korzystał z ich usług. To przekonało ostatecznie Sloana.

— Zgoda, prowadź.

— Moje nazwisko jest skomplikowane — poinformował go przewoźnik. — Najlepiej nazywać mnie Sy. Wszyscy amerykańscy przyjaciele nazywają mnie Sy.

— Niech będzie — mruknął Sloan, lokując się na niezbyt wygodnym siedzeniu i podając adres w dzielnicy portowej.

Podróż przez miasto trwała kwadrans, ale gdy dotarli, czuł, jak gwałtownie bije mu serce. Od ostatniej wizyty nic się tutaj nie zmieniło. Jedynie rzeka miała jakby bardziej słodkawy zapach. Zaatakował on płuca Sloana i wzrósł, gdy ten schodził po wąskich trzeszczących schodach. Z każdym stopniem odór był silniejszy i bardziej uderzał do głowy.

Właściciel czekał jak zwykle przy stole ustawionym w pobliżu okna. Stół był nowy, co silnie kontrastowało z resztą pomieszczenia. Właściciel zaś wyglądał jak wszyscy, których Sloan poznał: pomarszczony, przygarbiony starzec o zapadniętej twarzy i mętnych oczach. Władca snu, zabójca koszmarów i bólu. Przewodnik do Pól Elizejskich. Idąc za nim korytarzykiem Sloan poczuł, jak głód zaczyna się uspokajać. Weszli do długiego, wąskiego pomieszczenia pełnego szarych posłań oddzielonych od siebie jedwabnymi zasłonami, brudnymi i wypłowiałymi od wieloletniego używania. Pod sufitem unosiła się warstwa szarego dymu, podkreślając ogólne wrażenie wędrówki przez piekło.

Weszli za trzeci parawan od drzwi. Sloan położył się na boku obserwując, jak stary przygotowuje dymka. Poczerniała ze starości fajka została nabita czarną kulką i rozpalona, aż zawartość się rozjarzyła. Gruby cybuch znalazł się koło warg leżącego i pułkownik wziął głęboki wdech czując, jak oleisty dym wypełnia mu płuca, szturmując krwiobiegi i ogarnia mózg.

Gdy opium zaczęło działać, poczuł się jak naelektryzowany. Ciało wpięrowało się, zaczęło drżeć, potem przestało istnieć. Stare blizny i rany zostały zaleczone. Ból i stres zniknęły. Pomieszczenie wraz z właścicielem uleciało, by się rozplątać w złotej mgłę.

Sloan jęknął i przekręcił się na plecy.

Pozwolił, by mgła go otuliła, i przeszedł przez nią.

Do światła zielonych łąk i kwiatów.

W górze na błękitnym niebie świeciło ciepłe złote słońce.

W pobliżu uderzały o skalisty brzeg morskie fale.

A on leżał w chłodnej trawie.

Uspokajająca bryza zwiewała wszystkie troski.

Tu nie było śmierci. Krzyków bólu ani wrogów. Ani brudnych spraw, którymi trzeba się zająć. Ani też koszmarów.

Tu był tylko spokój.

I tylko w tym jednym miejscu Sloan mógł go odnaleźć.

## TSE K'AM MEN TI

Wypłynęli dwie godziny przed świtem, unikając patroli policji rzecznej i celników w Bujia Ngkou, zatoce u ujścia rzeki Beijiang, a potem skierowali się na zachód do południowych Chin jednym z dopływów Xiijiang. Gdy zaczęło szarzeć, przebyli już trzydzieści mil w górę rzeki.

Płynęli dwiema łodziami. W pierwszej, z krytą kabiną na rufie, znajdowali się: Hatcher, Daphne, Cohen, Sing będący jednocześnie sternikiem i Joey, drugi z obstawy. Czterech Chińczyków, wypożyczonych do ochrony Tsu Fi przez zaprzyjaźnioną triadę Chiu Chao zwaną Związkiem Ostrej Stali, podróżowało drugą, trzydziestostopową cigarette, napędzaną silnikiem o mocy sześciuset koni i zdolną rozwinąć prędkość sześćdziesięciu mil na godzinę. Dodatkową obstawę przydzielono tak na wszelki wypadek, a wszyscy czuli się raczej odprężeni, gdyż wywiad Daphne twierdził, że Sam-Sam nie jest oczekiwany w bazie Ts'e K'am Men Ti przed popołudniem następnego dnia.

Na początku podróży byli spięci, uważając na policję i celników. Teraz, gdy długi, wąski kadłub tulił się do brzegu płynąc cicho w górę rzeki, był czas na relaks i odpoczynek.

Cohen w swym *cheongsam* i kowbojskim pasie rozsiadł się niczym księżkę krwi na turystycznym fotelu, który zabrał ze sobą. Wpatrywał się w ciemność przed dziobem i ani na sekundę nie przestawał mamrotać, podając w wątpliwość swoją własną poczytalność, poczytalność Hachtera, resztki rozsądku Daphne i w ogóle całą tę podróż. Nie zmieniało to jednak faktu, że osobiście załatwił i łodzie, i obstawę.

— Słuchaj, China. — Hatcher w końcu się zeźlił. — Nikt cię tu pod lufą nie przyprowadził. Sam zorganizowałeś dodatkową ochronę, złapałeś fotel i powiedziałaś, że jedziesz.

— Cóż, nie mogłem ci wytłumaczyć, żebyś nie jechał — odparł Cohen.

— A co ma jedno do drugiego?

— Wiesz doskonale. Co zresztą jest takiego specjalnego w tym całym Codym?

— Mówiłem ci już. Byliśmy razem w akademii.

— Przecież to śmierdzi na kilometr — skrzywił się Cohen.

— Cholera, a może chcę zrobić ostatnią akcję w życiu, która ma w sobie... coś ludzkiego... może trochę honoru.

— „Wojna, jego pieśń, krzyż i zmartwienie/ honor to tylko puste określenie” — zaintonował China.

— Dryden — odparł Hatcher — a może tak: „Ma cześć mym życiem. Wraz rosna oboje —/ Gdy weźmiesz honor, przetniesz życie moje”.

— „Ryszard II” — jęknął Tsu Fi i dodał po chwili: — Mam nadzieję, że podróż jest warta tej poezji.

— Nie jesteś w tym osamotniony — mruknął Christian.

— Pozwól, że powiem ci coś o Sam-Samie, czego możesz nie wiedzieć.

— Monotonny monolog Cohena zaczynał nabierać życia w miarę opowieści.

— Spotkałem go pierwszy raz w tym samym czasie co ciebie, gdy Tsu Fi wysłał mnie na rzekę. Sam-Sam był tu nowy. Przybył z Pekinu, gdyż pozostał zakamieniałym kapitalistą w sercu, co nie było tam mile widziane. Wydarzyło się to ze sześć miesięcy przed naszym spotkaniem. Pojęcia nie mam, co robił w Pekinie, ale kimkolwiek by był, wyrobił w sobie jak zauważyłem, dość szczególny stosunek do zabijania. Zabić kogoś znaczyło dlań tyle co rozdeptać robaka. Głównie robiłem interesy z Joem Karaluchem, bo facet był jakby agentem, od wszystkiego. Zawierało się układ z nim, a on organizował dostawę towaru, obojętne jakiego. Jeden interes, jeden facet i jedna dostawa. Wygodny sposób dla wszystkich. Poza tym miałem do niego zaufanie — znałem go z Hongkongu, gdy był oficjalnym importerem. Ale za trzecim razem, gdy spotkałem się z Joem, Sam-Sam podszedł do mnie i oznajmił, że od teraz on będzie robił ze mną interesy. Powiedział, że ma dla mnie lepszą ofertę niż Joe. Odparłem, że nie mogę na to iść, bo z Joem współpracuję od wielu lat, a poza tym w Ts'e K'am Men Ti tak nie załatwia się spraw. Sam-Sam wyszedł na pokład, bo rozmowa odbywała się w nadbudówce na barce Joego. Tamten był czymś zajęty na pokładzie, a ja rozmyślałem sobie w jego biurze, gdy po paru sekundach rozległy się dwa strzały. Wyszedłem akurat na czas, by zobaczyć Sam-Sama z dymiącym jeszcze gnatem w garści, jak łapie jedną ręką ciało Joego i wyrzuca je za burtę. Obejrzał się, zobaczył mnie i oznajmił wesoło: „To już nie problem”. A potem się roześmiał. Sześć miesięcy później kontrolował całą tę cholerną rzekę.

— Słyszałem już tę historię — westchnął Hatcher.

— Tak, pewnie. Tylko nie wiem, czy słyszałeś, że Joe Karaluch przybył do Hongkongu z Chin. Brał się do różnych rzeczy z niewielkim skutkiem, potem dotarł tu i zajął się przemytem. Jak rozkręcił interes, posłał do Chin po brata. To Sam-Sam.

— Dziś ma go nie być — przypomniał mu Hatcher.

— No, wszyscy mamy taką nadzieję — jęknął China.

Zapadła cisza i po chwili Cohen zdrzemnął się. Przebudził się gwałtownie. I znów zdrzemnął.

W niepewnym świetle poranka wyglądał niczym stary chiński filozof.

Daphne i Hatcher siedzieli niedaleko niego na drewnianych ławkach. Christian usadowił się wygodnie, wyciągając nogi, gdy poczuł dłoń Daphne w swojej. Ucisnął ją lekko i oboje w milczeniu wpatrywali się w rzadniejący mrok.

— Podoba ci się to, nie? — spytała cicho. — Życie z żołądkiem w gardle.

— Można się przyzwyczaić.

— Ożeniłeś się kiedyś?

— Nie.

— Z tego powodu?

Zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

— Może.

— A myślałeś, żeby się ożenić?

— Nie — odparł odruchowo, sam zaskoczony szybkością odpowiedzi. — Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

— Dlaczego?

Tym razem przerwa była znacznie dłuższa.

— Żyję z dnia na dzień — odparł odrzucając parę stereotypów, które przyszły mu na myśl. — A małżeństwo to także wczoraj i jutro.

Albo może przez całe życie byłem zbyt wielkim egoistą, by myśleć o kimkolwiek innym. A co? To oświadczyły?

Oboje parsknęli cichym śmiechem.

— Nie — potrząsnęła głową — też nie należę do małżeńskiego gatunku.

Przez chwilę milczała, by niespodziewanie zmienić temat:

— Czy kiedykolwiek bałeś się śmierci?

— Przestałem o tym myśleć dawno temu.

Rzeka zmieniła się w kilkanaście krętych strumieni i rzeczek porośniętych dżunglą. To był północny skraj południowoazjatyckiej puszczy. O parę mil na północ ustępowała ona wzgórzom i górcom, ale tu jeszcze była wszechobecna i wiecznie zielona. Chińskie łodzie patrolowe, niezbyt liczne w tym rejonie, ignorowały obszar, który przypominał siedzibę Jeana Lafitte'a na Florydzie w początkach dziewiętnastego wieku. Królestwo zabójców i awanturników mogących w każdej chwili zniknąć w którejś z odnóg rzeki lub w zielonej gęstwinie strzeżonej przez miny i pułapki. Było to centrum przemytu chronione przez naturę i przez ludzi zwańczych siebie Ts'e



K'am Men Ti —Tajnymi Strażnikami Wrót, a zdominowanych przez bezwzględność Sam-Sam Sama i jego zastępców: wywodzącego się z SAVAK-U Batala i haitańskiego mordercę Billy'ego zwanego Kostuchą.

Wraz ze wschodem słońca puszcza ożyła. Ptaki, żaby i zwierzęta rozpoczęły koncert i toaletę, jak też poranne przeloty i polowania. Ponad całym tym zgiełkiem unosiły się na tle krwistoczerwonego nieba majestatyczne orły, zajęte szukaniem śniadania.

W południe dotarli do małych wiosek Jiangmen i Shunde. Wczesnym popołudniem byli już głęboko w puszczy.

— Zbliżamy się do celu. — Daphne przerwała Hatcherowi studiowanie mapy, jaką nakreśliła, a w którą wpatrywał się przez ostatnie pół godziny. Ukazywała ona skrót odbijający na południe od rzeki. O cztery mile w górę odchodziła od niego odnoga skierowana na wschód, która po pewnym czasie skręcała gwałtownie na zachód. Wyglądało to jak kolanko pod zlewomywakiem — gdyby ktoś chciał w pośpiechu wycofać się ku głównemu korytu, mógł zostać łatwo zablokowany. „Leatherneck John's” stał przy najdalszym ramieniu.

— Teraz jesteśmy tu? — spytał Hatcher wskazując palcem miejsce, gdzie skrót odchodził od rzeki.

— Mniej więcej — przytaknęła.

— Jeżeli w barze zaczną się problemy, możemy tu dotrzeć przez ten spłacheć łądu i nie pieprzyć się łodzią?

— Możemy, to około jednej mili.

— A więc to nasza pozycja odskokowa. Zostawimy tu cigarette wraz z załogą. Jeśli będą kłopoty, to przebijemy się łądem porzucając łódź.

— Ilu ludzi bierzemy? — spytał Cohen.

— Tych, którzy są teraz w tej łodzi. Sing pójdzie z nami, a Joey jej popilnuje, na wypadek gdyby się okazało, że Sam-Sam jednak jest w pobliżu. Pozostali w razie potrzeby osłonią nas ogniem, a jeśli wszystko pójdzie gładko, tu dołączą do nas w drodze powrotnej.

— Sam-Sam przybędzie jutro — wtrąciła Daphne.

— No. Tylko że niespodzianki się zdarzają — mruknął Hatcher. — Jak wrócimy do Hongkongu, to przestanę się nim martwić.

— Jesteś bardzo ostrożnym typem — uśmiechnęła się.

— I nadal żywym. Nie ma na co czekać. Ruszamy!

Gdy znaleźli się w królestwie Strażników, do odgłosów puszczy dołączyły inne: odgłosy ludzi. Zachodzącemu za drzewa słońcu towarzyszył rytmiczny

i dziwny zaśpiew dobiegający stamtąd, dokąd płynęli.

— Co to takiego? — zdziwił się Cohen.

— Kobiety śpiewające *hanchi*, to coś w rodzaju pieśni zapewniającej szczęście — odparła Daphne.

— Nigdy dotąd tego nie słyszałem.

— Bo pochodzi z Kambodży, a ich tu nie było, gdy pływałeś po rzece.

— To czerwoni khmerzy? — wtrącił się Hatcher.

— Może, może partyzanci z Laosu, a może zwykłe trampy. Kto to wie? Tylko pamiętajcie, że kobiety są równie groźne co mężczyźni, a może też i trochę szybsze.

Strumień nie miał więcej niż sto stóp szerokości, a gdy minęli zakręt, ujrzeli pierwsze świadectwa obecności Ts'e K'am Men Ti. Do prawego brzegu przymocowane były trzy barki i Sing musiał ostro manewrować, by je minąć. Pierwsza miała dwie nadbudówki ustawione obok siebie niczym budki strażnicze. Jej pokład szorowało z tuzin kobiet w czerwonych chustkach na głowach i z gołymi piersiami. To one właśnie śpiewały. W rogu stały dwa duże woki, w których gotowano obiad. W przeciwległym rogu siedział mężczyzna łowiący ryby.

— Całkiem domowa scenka — mruknął Hatcher.

— Zupełnie jak piknik na Czwartego Lipca — dodał Cohen.

Pośrodku pokładu drugiej barki stała przyzma pięciu czy sześciu pak ze sprzętem elektronicznym, byle jak przykryta brezentem. Na trzeciej zaś barce znajdowało się dziesięć czy piętnaście skrzynek. Jak ujawniła lornetka Hatcher, była w nich wyłącznie amunicja, za to w dużym asortymencie: kalibru 9 mm, 30, 38 i 45.

— Masa kul i pusty skład — podsumował Hatcher opuszczając lornetkę.

— Główny magazyn jest pewnie w górze rzeki. Sam-Sam widocznie nie oczekuje klientów — odparł Cohen.

— To dobrze.

Około stu jardów za barkami stał „Leatherneck John's”, duża brzydka konstrukcja z dachem z blachy falistej. Front, podparty palami, wychodził na rzekę, a z obu stron oskrzydlały go byle jak zbite pomosty, tworząc widok z tandetnej mariny. Przycumowano do nich kilkanaście starych i nowych łodzi o rozmaitych kształtach. Jedną z nich był przynajmniej dwudziestoletni chris ozdobiony postrzępioną flagą niemiecką, zwisającą smętnie z masztu antenowego.

— Ta biała łajba należy do Holendra — poinformowała ich Daphne.

— Dobrze. Może zdołamy się w razie czego stąd wydostać — szepnął Cohen przepatrując przez lornetkę górny bieg rzeki.

Jakieś sto jardów za knajpą przycumowana była do brzegu dobrze zamaskowana i głęboko siedząca w wodzie barka.

— Oto i główny skład — ucieszył się China.

Gdy pozostałe lornetki skierowały się w tę samą stronę, z przedniej nadbudówki wyszedł wysoki, chudy Murzyn o tłustych włosach splecionych w Warkoczyki, przytrzymywane czerwoną opaską. Przeciągnął się i spokojnie odlał do rzeki. Ubrany był w błękitną koszulę rozpiętą do pępka, z ramienia zwisał mu AK-47, a za pasem miał automatyczny HK kalibru 9 mm. Całości obrazu dopełniały złociste okulary przeciwsłoneczne Porsche'a.

— Oto Haitańczyk, którego zwą Billy Kostucha, we własnej osobie — sapnął Cohen. — To ten, który lubi odcinać ludziom stopy. Spójrzcie na dziób.

Hatcher przesunął szkła, regulując jednocześnie ostrość, ku przodowi barki. Na sznurze wisiało tam coś, co najpierw wziął za parę butów; teraz dostrzegł rozkładającą się skórę zakrywającą jeden z trzewików. Wokół kołował się rój much.

— Śliczne — mruknął.

— Nie ma co się nim przejmować — dodała Daphne. — Nie zna cię, pewnie nie zwróci nawet na nas uwagi.

— Jasne — przyznał Cohen. — Biznes jak co dzień.

Barka Sam-Sama była płaskodenną szeroką krypą, wyladowaną po brzegi kontrabandą i amunicją. Na jej pokładzie znajdował się szef, tuzin najlepszych ludzi i siedem kobiet — część z nich to konkubiny, niektóre jednak twardsze od mężczyzn. Był też Batal. Brakowało Billy'ego, który nie lubił rzeki.

— Dlaczego Billy nie lubi rzeki? — zainteresował się Sam-Sam.

— Nie umie pływać — odparł Batal.

Sam-Samowi wydało się to zabawne.

— Nie wybrał się z nami dlatego, że nie umie pływać? — upewnił się.

Irańczyk przytaknął ruchem głowy.

— Kurwa, ja też nie umiem — oświadczył Sam-Sam waląc go w plecy otwartą dłonią.

— Ja też nie — dodał Batal i obaj ryknęli śmiechem.

Radość przerwał im nagły wybuch i zamieszanie na rufie. Natychmiast przybiegł sternik

— Co się wyrabia, do cholery? — Sam-Sam zażądał wyjaśnień.

— Generator wybuchnąc, szefie — odparł zdyszany sternik.

— No, to go wymieńcie. Stary do wody i podłączyć nowy. Sami nie wiecie? Trzeba wam wszystko wyjaśniać?

Sternik potrząsnął smętnie głową.

— Nie mieć — zameldował.

— Nie mamy zapasowego generatora?

Odpowiedzią było potrząśnięcie głową i wzrok wbity w pokład.

— Tylko jeden generator? — zdenerwował się Sam-Sam. — Mamy każdą inną pierdoloną duperele na tej krypie. Telewizory, stereo, jedwab czy bawełnę z Indii, fajki z Francji, Ameryki czy Turcji. To dlaczego mamy tylko jeden generator? Co? Może mi ktoś, kurwa, na to odpowie?

Miotał się po pokładzie, kopiąc, co mu się nasunęło pod nogę, i klnąc, aż ziemia jęczała. Nagle dobył pistolet i badawczo przesunął wzrokiem po załodze, która jak jeden mąż zrobiła solidny krok w tył. Sam-Sam przespacerował się kołysząc się na piętach i świdrując swoimi świńskimi oczkami twarz po twarzy.

— Kto, do cholery, jest za to odpowiedzialny? — ryknął.

Odpowiedzią była pełna przerażenia cisza.

— Kto chce zarobić kulkę? — wrzasnął, aż echo z puszczy odpowiedziało. — Jest chętny?

Poczekał chwilę, ucieszony strachem malującym się na twarzach załogi. Nagle odwrócił się i opróżnił magazynek celując w puszcę. Wrzask pełnych oburzenia ptaków był jedyną odpowiedzią.

Sam-Sam ryknął śmiechem, a załoga odetchnęła z ulgą. Rozległ się nerwowy chichot.

— No, to wracamy — stwierdził wzruszając ramionami Sam-Sam. — Po cholere mamy się gdziekolwiek spieszyć?

## „LEATHERNECK JOHN'S”

Sing przybił do jednego z drewnianych nabrzeży i przycumował.

— Wszyscy proszeni są o zachowanie spokoju, dopóki nie zaczną się problemy, okay? — mruknął Hatcher.

Sing i Joey w milczeniu skinęli głowami. Joey został przy łodzi, a Sing ruszył za pozostałymi do knajpy. Nad drzwiami wisiał solidny kloc hebanowy, na którym wyryto: „Saloon Ostatniej Szansy Johna Leathernecka”, a pod spodem: „Założony w 1977”.

Hatcher był zaskoczony wyglądem wnętrza. Spodziewał się brudnej i byle jak skleconej nory, ujrzał natomiast przestronne i czyste pomieszczenie z mniej więcej dwudziestoma stolikami i stołem bilardowym. Na tym ostatnim spał na boku Murzyn z długimi czarnymi włosami związanymi w koński ogon. Ubrany był w łaciate spodnie mundurowe i hawajską koszulę, a za poduszkę służyła mu kurtka. Po drugiej stronie pomieszczenia stał solidny dębowy bar, nie pierwszej już młodości, ale w doskonałym stanie.

— Ostatnim razem takie cacko widziałem w Paryżu — mruknął Hatcher.

— Pochodzi z knajpy w Mong Kok — poinformował go Cohen. — Z tego, co słyszałem, aktualny właściciel wygrał go w kości i przywiózł tu barką. Ale sam wiesz, że można tu usłyszeć wszystko.

Nie licząc śpiącego, wewnątrz było jeszcze dwóch mężczyzn.

Jeden siedział na stołku barowym ze szklanką piwa w dłoni. Miał mniej włosów niż kula bilardowa. Ubrany był w mundur khaki, a wojskowy pas przytrzymał pokaźnych rozmiarów brzuch. Łysina nosiła ślady długotrwałego wystawiania na wiatr i słońce, skóra łuszczyła się, a twarz przypominała czerwone koło, nieco nabrzmiałe i znaczone popękany naczyniami krwionośnymi. Spuchnięty nos i ukryte pod grubymi powiekami oczy nadawały właścicielowi na wpół senny wygląd. To musi być Holender, pomyślał Hatcher.

Drugim mężczyzną był John Leatherneck, potężne chłopisko mające przynajmniej sześć stóp trzy cale wzrostu i około dwustu dwudziestu funtów wagi. Podwinęte rękawy wojskowej koszuli ukazywały bicepsy jak koła ciężarówki, a jedynym słowem, jakie przychodziło na myśl na jego widok, było „masywny”. Nie gruby, ale wielki i solidny. We włosach zaczynała mu się pojawiać siwizna, a oczy miały specyficzny błysk, jakby właśnie usłyszał dobry dowcip, ale jeszcze nie zaczął się śmiać. Dystynkcje starszego sierżanta sztabowego tkwiły na ścianie przybite służbowym nożem Marines.

— Wszelki sprzęt pozostawić na zewnątrz, kowboje — rozległ się przyjazny, ale nie dopuszczający sprzeciwu głos właściciela.

Hatcher i Cohen oddali broń Singowi, który zatknął ją za pas i wyszedł, stając tuż za drzwiami.

Ściana za barem była minimuzeum pamiątek ze służby w Marines.

Pomiędzy fotografiami i pasami wisiały odznaczenia, znajdowały się różne rodzaje broni: M-60, dwa M-16, shotgun 870 i czterdziestkapiątka, a półka zawalona była taśmami amunicyjnymi, ładownicami, skrzynkami z amunicją i naładowanymi magazynkami.

Hatcher zacisnął pięść, kładąc wyprostowany kciuk na kostkach. Był to *dap* — znak, jakim witali się weterani wojny w Wietnamie. Rytuał mógł być kontynuowany serią uderzeń i trąceń aż do pełnego zidentyfikowania jednostki. John spojrzał na pięść, przeniósł wzrok na twarz i uśmiechnął się przelotnie. Zwinął własną dłoń w podobny znak i sięgnął do nie pierwszej młodości zamrażarki, z której wyjął dwa piwa. Nie spuszczać wzroku z Christiana, odkapslował je i postawił jedno przed nim.

— Nigdy nie zapominam twarzy — zagaił.  
— Pożyteczna zaleta — szepnął Hatcher.  
— Widziałem cię w Nang gdzieś koło siedemdziesiątego trzeciego. Ty jesteś Hatcher. Poznałem cię, ledwie tu wszedłeś. Byłem z facetem z SEALS, który cię znał.

— Jeśli jesteś tego pewien...  
— Dużo się tu o tobie gada — dodał John z lekkim uśmiechem.  
— Naprawdę?  
— Słyszę różne takie. Nie wiem, czy jesteś dobry, czy zły. Nadal wielu się nad tym zastanawia.

Śpiący na stole bilardowym poruszył się i zerknął przez ramię na rozmawiających.

— Nie wierz we wszystko, co usłyszysz — mruknął Hatcher.

Uniósł mokrą puszkę w milczącym salucie i pociągnął solidny łyk zimnego piwa. Postanowił zaryzykować.

— Szukam faceta. Pilot marynarki nazwiskiem Cody, zestrzelony w delcie w siedemdziesiątym drugim.

— Nigdy o nim nie słyszałem. — Zabrzmiało to jak koniec rozmowy.

— Mógł znaleźć się w obozie koło Muang.

— Nigdy o nim nie słyszałem — powtórzył John i pochylił się nad barem. — Widzisz, tu jest bardzo niepewna sytuacja. Mam na myśli to, że praktycznie nie istnieje ani jeden powód, by którykolwiek z tych narwańców musiał się choćby witać z innym, a co dopiero przebywać w jego towarzystwie. Tu jest jak w Wolnym Mieście Gdańsku — nie zadajesz pytań i nie odpowiadasz na nie. Robisz to co inni. W tym pokoju obowiązują moje zasady i nikt się ze mną nie sprzecza. Wyjdiesz z ram, to masz ze mną do

czynienia. Tak się mają sprawy.

Dzięki. Murzyn wyciągnięty na stole bilardowym przekreślił się twarzą do sali, teraz już udając sen, ale uważnie obserwując rozwój sytuacji spod na wpół przymkniętych powiek.

— Witam, Miss Chien — odezwał się John zza baru, gdy Hatcher, wrócił do stolika, do którego przysiedli się pozostali. — Witamy znowu w „Salonie Ostatniej Szansy”. Co tym razem? Płyn czy coś stałego?

— Masz jakąś brandy? — spytał Cohen.

— Najlepszą. Armagnac rocznik siedemdziesiąt osiem.

— To moi goździe — odezwał się z silnym holenderskim akcentem mężczyzna siedzący dotąd przy barze. Podszedł do stolika. — Wpisz to na mój rachunek.

Przybysz ujął dłoń Daphne w swą owłosioną łapę i łagodnie ją uściśnął, przyglądając się jednocześnie Cohenowi i Hatcherowi.

— Miło waz zpodkadź — odezwał się po chwili.

— Ciebie też. To jest Tsu Fi. — przedstawiła. — A to nasz przyjaciel Tom.

— Tom — sapnął Holender sceptycznie. — Złyszałem, że wybrałeś zie na ryby?

— Szukam starego kumpla — odparł Hatcher uśmiechając się przelotnie.

— Johna już poznałeś?

— Wymieniliśmy rekomendacje.

— *Ja*, pewno. No, to do rzeczy. Muszę ztąd szybko odpłynąć. — Pochylił się nad stołem ku Hatcherowi i szepnął: — Wiem, kim jeźdeś, jazne? Nie mój interez. Nie interesuje mie, zo mazie do ziebie z Zam-Zamem.

— A co według ciebie mamy?

— Wiesz, zo mówią.

— Nie. — Hatcher nie spuszczał oczu z handlarza. — A co mówią?

Zapytany spojrział na Daphne z niemym wyrzutem: czy ten jankes musi wszystko utrudniać? Ale nie uzyskał pomocy. Jeszcze przed wypłynięciem zdecydowała, że to rozgrywka Christiana, i postanowiła się nie mieszać.

— Nie szukam problemó — oświadczył Holender. — Jezdem, bo proziła o to Mizz Daphne. Wiem też wszyzdco o tobie, *ying bing*, i chcem, żeby to było jazne. Jak sie dowiedzom, że rozmafialiźmy, to nie będzie to dla mie topre.

*Ying bing* – wojownik cienia – nikt dotychczas tak go nie nazwał w oczy, ale Hatcher postanowił to przemilczeć.

– Jestem po prostu ciekaw – szepnął. – Słyszałem, że jest między nami jakieś nieporozumienie.

– Nieporozumienie? – zaśmiał się Holender. – *Ja!* Topre! On mówi, że jezdeź mu winien piędziesiąt tysięcy dolców i odpowiednie traktowanie.

– Co to dla niego? – parsknął Hatcher. – Drobiazg, nie kwota.

– Ja myślę, że to nie pieniądze, choć one też. On twierdzi, że go zniewałyś.

– Pierdoły. Porwano mi tę broń i też parę groszy na tym straciłem.

– On mówi inaczej. – Holender upił piwa i otarł usta dłonią.

– Każdy tu mówi co innego – szepnął Hatcher zbywając resztę lekceważącym machnięciem ręki.

– Zam-Zam powiada, że był z Firmy. – Holender, mówiąc to, rozejrzał się ostrożnie.

Hatcher odsunął się z wyrazem osłupienia na twarzy.

– Nie wygłupiaj się.

– On twierdzi, że go oszukależ. Użył jego pieniędzy, by kupi broń, i zprzedał ją partyzantom. A oni użyli jej przeciw tym, którym on miał zprzedać.

– Nie jestem aż tak przewrotny – rzucił obojętnie Hatcher, co spowodowało dziwne milczenie wszystkich obecnych przy stole.

Holender osadził papierosa w cygarnicze z kości słoniowej i zapalił złotą zapalniczką. Rozsiadł się wygodnie i obserwował, jak rozpływają się nieregularne kółka dymu, które puszczał.

Gospodarz przyniósł drinki i oddalił się ze słowami:

– Jak będziecie jeszcze czegoś potrzebować, to wrzeszczcie.

– Co jeszcze twierdzi Sam-Sam? – spytał Hatcher.

– Że żpisz z diabłem. Że zabijasz inzynktownie, bez uczudź. Że łzesz bez mrugniedzia okiem, a zabijasz bez żadzy krwi. Że mozesz negocjowadz z Bogiem, a i tak wyjdiesz na zwoje.

– Nieźle cię zna – skomentował Cohen z uśmiechem.

– Niezły opis Sam-Sama – mruknął Hatcher.

Holender roześmiał się i uniósł piwo w nie całkiem szczerym salucie:

– To o co w końdzu chodzi? – spytał.

– Usiluję ustalić, czy Wietkong miał ruchomy obóz zwany Huie-kui w północno-wschodnim Laosie. Mogli go też nazywać Obozem-Widmem. Gdzieś pod koniec siedemdziesiątego pierwszego i na początku drugiego.

Holender przeniósł spojrzenie na Daphne. Ta wyjęła z kieszeni kopertę, położyła na stole i przykryła dłonią.



— Pięćset dolarów hongkongijskich, jak uzgodniłiśmy. Jeżeli informacje będą wiarygodne — oświadczyła.

W tym momencie Hatcher pierwszy raz usłyszał o jakichkolwiek pieniądzach, ale nie wtrącał się. To załatwi z Daphne później. Teraz nie był odpowiedni moment na dyskusje.

— Mieli tam parę obozów — stwierdził Holender.

— Ten leżał po drugiej stronie gór w pobliżu Muang — uzupełnił Hatcher.

— Muang, *ja*. Po drugiej stronie Annimitique.

— Zgadzałoby się. — Hatcher poczuł, jak zaczyna go ogarniać podniecenie. — Zmieniali jego lokalizację.

— *Ja*. Żeby helikoptery ich nie nakryły.

— Robiłeś z nimi interesy?

— Bo zo? — Holender wzruszył ramionami.

Hatcher wyjął zdjęcie Cody'ego i Pai, które dostał od Schwartza.

— Słuchaj, gównu mnie obchodzi sam obóz i to, co w nim wyprawiali. Wojna się skończyła. Szukam przyjaciela i tylko to się liczy — warknął.

— Wszydzy jankezi twierdzą, że ich kumple nadal żyją gdzieś w dzungli.

Holender przysunął fotografię na parę cali do oczu i wgapił się w nią, lekko zmieniając pozycję, tak by światło padało na zdjęcie. Trwał tak ponad minutę. W tym czasie Daphne spojrzała przypadkowo ku tylnym drzwiom i zeszywniała. Hatcher, nie zdradzając się niczym, podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. W drzwiach stał Billy Kostucha trzymając w dłoniach kałasznikowa.

— Hej, Billy. — John Leatherneck też go dostrzegł. — Zaparkuj rozpylacz przy drzwiach, bo się przemęczysz. Znasz zasady.

Murzyn nawet nie drgnął, wpatrując się w stół, przy którym siedział Hatcher.

Bez słowa gospodarz sięgnął za siebie, zdjął ze ściany shotgun i szarpnięciem jednej ręki przeładował, wsuwając pocisk do komory.

— Ogłuchłeś? — spytał, kładąc na barze broń wymierzoną w nowo przybyłego. — Mój dom, moje prawo. Broń zostaje przed progiem.

Billy spojrział na niego, cmoknął i przestąpił próg z powrotem, po czym oparł pistolet maszynowy o ścianę.

— Kapiszonowiec też! — ryknął John.

Kostucha położył obok pistolet wyjęty z pasa i wszedł kierując się do baru. Poruszał się na lekko ugiętych nogach, z luźno opuszczonymi rękoma, niczym bokser gotów do walki.

— Japońskie piwo, zimne — zamówił ze śpiewnym haitańskim akcentem.

Leatherneck otarł butelkę i bez słowa postawił ją przed nim.

— Co za jankesi siedzą z Holendrem? — spytał Billy.

Gospodarz przyglądał mu się przez kilka długich sekund i w końcu oznajmił:

— Harry Truman, Winston Churchill i Eleanor Roosevelt.

Brwi mężczyzny zbiegły się w jedną linię.

— Wiesz, że tu się nie zadaje głupich pytań, Billy. A jakbyś zapomniał, to powtórz grzecznie: „To nie moja sprawa”. No, dalej!

Holender nie zwrócił uwagi na wejście Billy’ego. Opuścił zdjęcie i spojrział na Hatchera.

— Może - powiedział z wahaniem.

— Co może?

— *Ja*. Chudszы. Przemęczony. I z brodą, wiedz nie mogę przysiądz.

— Był chory?

Holender zastanawiał się przez chwilę i w końcu potrząsnął głową.

— Nie, chory nie. Może... prochy.

— Był naćpany? — zdziwił się Hatcher.

— Tak myślę.

— Czym?

— Trawka, może prochy.

— Sprzedawałeś to gównu Wietkongowi?

— *Ja* nie, ale...

Billy opuścił okulary na czubek nosa i wbił wzrok w Hatchera. Ten odpowiedział mu takim samym natarczywym spojrzeniem. Przez chwilę ich oczy jakby przywarły do siebie, w końcu Kostucha odwrócił się.

— Kiedy to było? — Hatcher wrócił do przerwanej rozmowy.

— Dawno. Czekał... jedwab z Henricksonem woziliśmy do Zajgonu... zabili go zimą ziedemdziesiątego piątego... To było lato. *Ja*. Ostatni raz w czerwcu ziedemdziesiątego czwartego.

— Siedemdziesiąty czwarty — gwizdnął Hatcher. — I on był więźniem?

— *Ja*.

— Powiedziałeś — ostatni raz. To ile razy w sumie go widziałeś?

— Jeżeli jego, *bing yahn*. Może trzy, może cztery, ale nie przyiąglbym.

Na pewno to ta dziewczyna, ale...

— Dziewczyna? — Tym razem w głosie Hatchera było autentyczne zaskoczenie.

— *Ja*. Dziewczyny jezdem pewien.  
— Widziałeś tę dziewczynę z tym gościem? — upewnił się Hatcher pokazując na zdjęcie.  
— Widziałem tę dziewczynę. Myślę, że to ten facet. Jak już po...  
— Zaraz. Twierdzisz, że Wietkong pozwolił jej zostać z nim?  
— Widziałem, jak ze sobą rozmawiali.  
— Może on był „zaufanym”. Wiesz, co znaczy „zaufany”?  
— *Ja*. Pewnie, że wiem. Ufali mu. Robił dla nich różne rzeczy, wypuszczali go za druty na trochę codziennie, żeby obzerwował innych więźniów. Ona robiła zakupy.  
— Jezu! — jęknął Hatcher. — Jakie zakupy?  
— Chinina, trawka, penizylina, biały proszek, czarami buty czy ubrania.

— Czym płaciła?  
— Jak oni wszyzdzy.  
— Północnowietnamskimi dolarami?

Holender skinął głową, a Hatcher spojrział ogłupiały na Cohena, który skrzywił się z niesmakiem.

— Zreasumujmy. Myślisz, że widziałeś tego gościa w czerwcu siedemdziesiątego czwartego na południe od Muang po laotańskiej stronie gór Annimitique, w ruchomym obozie dla jeńców Wietkongu razem z tą dziewczyną — streścił Hatcher. — Ona kupowała lekarstwa, prochy i odzież za walutę Wietkongu.

— *Ja*. Zgadza się.  
— Jak duży był ten obóz?  
— Mały. Może dwudziehtu, dwudziehtu pięciu więźniów, z pół tuzina ztraży i dowódca.

— Jak go nazywali?

Holender zastanawiał się przez chwilę.

— Taizung.  
— I ten więzień przebywał poza terenem obozu, tak? — upewnił się Hatcher.

— *Ja*. Było ich na zewnątrz z sześciu, ziedmiu.  
— Sprząтали? Ponowne skinięcie głową.  
— Jak ich rozpoznałeś?  
— Po ubraniach. Nozili to, co ona wcześniej ode mnie kupiła.  
— A co nosili inni więźniowie?  
— Ziuchy robocze. Głównie szare. Oni tam trzymali naszych z dala od zwoich.

— Swoich? Tam byli też wietnamscy więźniowie?  
— Większość. Polityczni więźniowie, nazi sympatycy i tacy tam.  
— Chcesz powiedzieć, że był to obóz głównie dla wietnamskich więźniów politycznych. — W głosie Hatchera ponownie było słychać zaskoczenie.

— *Ja*, dopóki nie mogli ich przenieść na północ, do Hanoi.

— Niech mnie wszyscy diabli!

— Zapytaj Johna. Wieźdź niezie, że raz był w takim obozie.

— Gdzie?

Holender wzruszył ramionami.

— Zapytaj go. — Uniósł dłoń. Rozmowa urwała się na chwilę, dopóki nie pojawiło się kolejne otwarte piwo.

Hatcher podał Johnowi fotografię.

— Znasz kogoś z tej pary? — zapytał.

Zagadnięty wziął zdjęcie i obejrzał je bez zainteresowania.

— A powinienem?

— Nie wiem. On był jeńcem wojennym. Słyszałem, że ty też, i pomyślałem, że może...

— Jeszcze się taki nie narodził, który by mnie złapał i zatrzymał. — W głosie Johna nie było dumy, stwierdzał tylko fakt.

— Po prostu pytam.

— Więc powiem ci to samo, co powiedziałem Billy'emu, kowboju. Tutaj nie ma wczoraj. Kiedy rano wstaję, to życie zaczyna się od nowa. Zapominam szybciej, niż zapamiętuję.

— To mój przyjaciel — odparł miękko Hatcher. — Staram się mu pomóc.

— A może on nie chce pomocy?

— Możliwe. Jeżeli go odnajdę i tak się będą sprawy miały, to zniknę bez słowa.

— Miłe z twojej strony. — John spojrzał jeszcze raz na zdjęcie i położył je na stole. — Ładna babka.

Odwrócił się.

— *Semper Fi*, chłopie — warknął Hatcher.

Gospodarz zatrzymał się i odwrócił praktycznie równocześnie.

— Że jak?

— *Semper Fi*. Byłeś *marine*, wiesz, co to znaczy. Ten gość i ja byliśmy kumplami. Może ma kłopoty. Może czegoś potrzebuje. Chcę to sprawdzić i pomóc, jeżeli będę mógł. To wszystko.

— To znajdź go i sprawdź.

— Mam zamiar.

Leatherneck uśmiechnął się uprzejmie i wrócił za bar, ale Hatcher postanowił jeszcze raz spróbować. Podeszedł do kontuaru.

— Kupujesz czy sprzedajesz? — Zainteresował się stojący przy drugim końcu Billy.

— Turysta — szepnął Hatcher.

Billy prychnął, cisnął na ladę garść monet i wyszedł. Hatcher pochylił się ku gospodarzowi.

— A dziewczyna? — spytał. — Widziałeś ją kiedyś?

— Mówiłem ci już, że mam amnezję. Cholera, nie pamiętam nawet, jak się nazywam.

Hatcher położył na kontuarze sto dolarów amerykańskich.

— Miły widok — przyznał John. — Nie widziałem go ładny kawał czasu. — Wziął banknot, uruchomił kasę i oświadczył: — Sprzedaję procenty, żarcie i milczenie. Chcesz skręta albo dupę, to mogę załatwić. — Odliczył dziewięćdziesiąt pięć dolarów hongkongskich i położył na ladę. — I to wszystko, czym handluję, kowboju.

— *Mm goi* — szepnął Hatcher.

— Do usług.

Christian zebrał resztę i wrócił do stołu.

— Nie podoba mi się to wszystko — powitał go Cohen. — Uzyskałeś swoje informacje. Jeżeli nie przychodzi ci nic nowego do głowy, to...

— Chyba masz rację — mruknął Hatcher.

Podał rękę Daphne i wszyscy wstali. Holender położył dłoń na kopercie i spojrzał pytająco.

— Jest twoja — potwierdził Hatcher.

— *Bedankt*. — Koperta zniknęła w wewnętrznej kieszeni bluzy. — Miłej podróży. — Podeszedł do leżącego na stole bilardowym i potrząsnął nim silnie. — Idziemy, Jonee — oznajmił.

— Mhm — mruknął sennie Murzyn. — Jak będziesz wracał, to się zabiorę.

— Rusz dupę — warknął Holender i wyszedł.

— Ten Haitańczyk mnie niepokoi — stwierdził Cohen. — Trochę za bardzo się nami interesował.

— Ciekawość nie jest... — zaczął Hatcher i w tym momencie dostrzegł Holendra wsiadającego do łodzi. — Coś mi się przypomniało. Wróćcie do łodzi, ja muszę go jeszcze o coś zapytać.

— Pospiesz się. — Cohen zaczynał być nerwowy. — Im szybciej nas tu nie będzie, tym lepiej.

Murzyn z końskim ogonem siadł na rogu stołu i obserwował, jak Hatcher wychodzi. Zeskoczył potem na ziemię i podszedł do okna.

Upał unoszący się nad puszczą był gęsty jak syrop, gdy Hatcher dotarł do łodzi. Holender sprawdzał poziom paliwa. Na widok Christiana uniósł głowę.

— *Ja?* — spytał.

— Zapomniałem o czymś. Ten Taisung, wiesz, co się z nim stało?

— Uciekł — odparł Holender nie przerywając pracy.

— Uciekł?

— *Ja.* Nie myślę, żeby go mile wspominali w Hanoi.

— Dlaczego? Na dowódców wybierano zwykle ludzi godnych zaufania.

— Prochy, gorzała. Każdego da zię kupidź, zam wiesz.

— A co z więźniami?

— Nie wiem.

— Dokąd on uciekł?

Holender zakręcił zbiornik i zabrał się do sprawdzania przewodów paliwowych, zastanawiając się nad odpowiedzią. Zatrzymał się w pobliżu Hatchera.

— Do Bangkoku — stwierdził w końcu.

Kątem oka Hatcher dostrzegł ruch na zakręcie rzeki. Jakaś barka powoli pokonywała go, wpływając w pole widzenia.

— Do Bangkoku?

— *Ja.* Do Bangkoku.

— Ostatnie pytanie. Czy mówi ci coś „Tajski Koń”?

Cohena zaskoczyło pytanie o posążek. Holender także wyglądał na zaskoczonego.

— Gdzie złyśzałeś o Tajskim Koniu?

— Tu i tam. Czy to coś konkretnego?

— Plotki.

— Jakie? — Hatcher poczuł, że jest blisko czegoś ważnego.

— Tylko tyle, że to grupa przemycająca heroinę z Bangkoku. Bardzo groźna i lepiej z nimi nie zadzieradz. To wszyszdko. Taka rozmowa przy pićiu.

Cohen starał się ukryć zaskoczenie. Hatcher zaczął się wahać — im głębiej kopał, tym gorzej to wyglądało dla Cody'ego. Ile wiedział Holender?

— Więc w to nie wierzysz? — zapytał starając się mówić spokojnie.

— Wierzę tylko w to, zo widzę i czuję.

— Ale uważasz, że to możliwe?

— Zóž, jak wiesz, w Bangkoku wszydsko jezd możliwe. — Holender machnął lekceważąco ręką i zerknął w kierunku zakrętu rzeki.

Hatcher zignorował barkę, interesowało go tylko to, co wiedział Holender. Ale zanim zdołał zadać kolejne pytanie, zobaczył, jak z twarzy rozmówcy odpływa krew, a oczy wychodzą mu z orbit.

— *Mijn God!* — jęknął.

Hatcher odwrócił się. Barka była w połowie zakrętu, a na jej dziobie pojawił się Sam-Sam Sam. Christian poczuł, jak ogarnia go znane uczucie — połączenie zaskoczenia i strachu. Oczekiwali, że wróg przybędzie z innej strony. Teraz Sam-Sam był między nimi a cigarette: zostali odcięci, a na pokładzie barki znajdowało się co najmniej dwudziestu uzbrojonych ludzi obojga płci.

— O kurwa — jęknął John Leatherneck stojący w drzwiach. — Teraz dopiero łupnie!

— To Zam-Zam — szepnął Holender. — Znikaj ztąd! Nie znamy zię!

Hatcher złapał go za koszulę na piersiach, a zdarty głos nie pozostawiał miejsca na dyskusję.

— Widziałeś go tu? Taisunga?

— Widziano go — Holender odpowiadał najszybciej, jak mógł. — Robił tu interezy. Twierdził, że jezd Tajlandczykiem.

— Tajlandczykiem? Wiesz, jakie nazwisko przybrał?

— Wol Pot — jęknął Holender wycofując się z uchwytu. — Nazwał ziebie Wol Pot.

## NAJLEPSZA OBRONA

Informacja o Wol Pocie była ostatnią, jaką uzyskał Hatcher, gdyż czas mu się skończył. Czym prędzej podszedł do zacumowanej łodzi, z której Cohen przyglądał się przez lornetkę nadpływającej barce.

— Nie sądzę, by już wiedział, że tu jesteśmy — stwierdził China opuszczając szkła. — Może powinniśmy zaryzykować i gnać do cigarette?

Hatcher wziął od niego lornetkę i uważnie zlustrował pokład barki.

— Odetnie nas bez problemu, jak tylko się dowie. Prościej będzie, jak wy weźmiecie łódź, a ja pójde piechotą. Spotkamy się w umówionym miejscu.

— Nie! — wtrąciła się ostro Daphne. — Przypłynęliśmy razem i odpłyniemy razem.

— Nie czas na bohaterstwo — szepnął Hatcher, nadal obserwując barękę.

Sam-Sam przeciągnął się i dopiął spodnie. Z kabiny, z której wyszedł przed chwilą, wyłoniła się kobieta, ubierając się po drodze. Brzydota przewyższała Sam-Sama, co było niezwykle osiągnięciem.

— Znalazł sobie panienkę — mruknął Cohen. — Na jej widok jedzenie staje w gardle.

— Czepiasz się — szepnął Hatcher. — To nie są wybory Miss Universum.

— Raczej mistrzyni boksu błotnego z tysiąc dziewięćset dwunastego — odparł Cohen lustrując dalej pokład.

W polu widzenia obok Sam-Sama pojawił się nowy osobnik. Przystojny mężczyzna o oliwkowej cerze, ubrany w białą bawełnianą koszulę rozpiętą do pępka. Na piersi miał skrzyżowane dwa pasy amunicyjne, a przez ramię przewiesił M-16. Za pasem tkwił pistolet i maczeta. Zagadnął Sam-Sama i po chwili żywo o czymś rozmawiali.

— Faktycznie wyglądają, jakby oczekiwali inwazji — przyznał Cohen.

— To musi być ten cały Irańczyk — mruknął Hatcher.

— Batal. — China opuścił lornetkę. — Więc co robimy?

— Ja lecę do lasu i spotkamy się przy cigarence.

— Wątpię — wtrąciła Daphne wskazując za siebie.

Na drugim końcu pomostu Billy Kostucha z ożywieniem mówił coś do radiotelefonu.

— Myślisz, że mnie rozpoznał? — spytał Hatcher ustawiając ostrość na Haitańczyku, który gorączkowo wskazywał w ich kierunku. — Tak, rozpoznał.

Przeniósł szkła na barękę i spojrział prosto w okulary lornetki Sam-Sama. Pirat pierwszy opuścił lornetkę, a jego usta wykrzywiły się w pełnym radości grymasie. Powoli uniósł i przeladował kałasznikowa.

— Miłość od pierwszego wejrzenia — skomentował Cohen.

— Z boku — ostrzegła Daphne.

Pomostem zbliżał się ku nim Billy Kostucha z kompanem.

— Sing i Joey, zaopiekujcie się tą parą — polecił Hatcher.

Potężny Chińczyk skinął głową i obaj z Joeyem przeladowali swoje uzi, wspięli się na pomost i powoli ruszyli ku zbliżającej się parze.

— Słodki Jezu! — jęknął Leatherneck. — To zaczyna wyglądać jak „W samo południe”.



Tymczasem na łodzi Hatcher zaczął działać. Złapał Cohena za ramię i pchnął go do nadbudówki.

— Daphne! — ryknął, jak tylko mógł najgłośniej. — Wejdz do saloonu, będziesz poza polem bitwy.

Zapуścił silnik i polecił Cohenowi:

— Łap ster!

Z neserem w dłoni podbiegł na dziób i położył się płasko na dnie. Otworzył walizeczkę i wyjął z niej kostkę plastiku C-4, uformował go w sznur gruby na dwa cale i długości około dwóch stóp.

— Gdzie my, do cholery, płyniemy?! — wrzasnął Cohen.

— Skręcaj na barcę!

— Co?

— Zaufaj mi!

— Zgłupiałeś! Jak pragnę zdrowia, szajba ci odbiła! — zawył China, posłusznie kierując łódź ku barce Sam-Sama.

Daphne powoli cofała się w stronę baru, starając się jednocześnie obserwować łódź i pomost. John wciągnął ją do środka, gdy tylko znalazła się przy drzwiach.

— Mało brakowało, a dałabyś się zabić — warknął.

— Nie możesz im pomóc?

— Nie moja wojna. Ja tu muszę żyć, kochanie.

— To daj mi broń — syknęła z wściekłością.

Murzyn z końskim ogonem dołączył do nich i bez słowa obserwował przebieg walki.

Łódź zbliżała się zygzakami ku barce, z której otworzyło ogień z tuzin strzelców. Wokół wykwitły gejzerki wody, ściany kabiny rozbłysły przestrzelinami, ale Cohen tak szaleńczo wytyczył kurs, że trafienie któregoś z nich dwóch było kwestią czystego przypadku. Hatcher leżał na dziobie, na zmianę ostrzeliwując barcę krótkimi seriami i owijając dziób plastikiem.

Sing i Joey dotarli do pomostu i stanęli o parę metrów od Billy'ego.

— Ani kroku dalej — rozkazał Sing.

Gdy uniósł dłoń, zza narożnika wypadł wodny szczur Sam-Sama i dźgnął Joeya nożem w plecy tuż ponad pasem. Ugodzony ryknął wściekle, łapiąc napastnika, ale rana była śmiertelna. Zwiotczał i osunął się do rzeki.

Sing pochwycił zabójcę i jednym szybkim ruchem skręcił mu kark. Puścił bezwładne ciało i odwrócił się ku Billy'emu, waląc krótką serią z biodra. Towarzysz Kostuchy, trafiony od krocza po szyję, z wrzaskiem padł na deski. Sing dobił go kolejnymi wystrzałami, ale to pozwoliło Billy'emu

wycelować i oddać precyzyjną serię. Kule rzuciły Singa na kolana. Próbował się podnieść, nadal strzelając, ale kolejne pociski rozciągnęły go na pomoście.

— Twardy żółtek — stwierdził z uznaniem John.

— Będzie dwudziestu na dwóch — wtrącił Murzyn. — Nie nazwałbym tego równymi szansami.

Równe szanse gówno tu znaczą — poinformował go John.

Koński ogon podszedł spokojnie do baru, zdjął ze ściany M-60, a z półki naładowaną taśmę amunicyjną. Przerzucił ją przez ramię i skierował się ku drzwiom.

— Hola! — John Leatherneck ocknął się z zaskoczenia.

— Nie łam się — pocieszył go Murzyn. — Wychodzę na zewnątrz.

— Nie z moim gnatem.

Mężczyzna od niechcienia przesunął lufę M-60 w kierunku mówiącego.

— Pożyczam go tylko — oznajmił i wyszedł.

John nie odezwał się ani słowem. Stał z otwartymi ustami i opuszczonymi rękoma.

Billy przebiegł koło drzwi nie zdając sobie sprawy, że za plecami ma nowego przeciwnika.

Hatcher skończył owijanie dziobu plastikiem, uzbroił zapalnik i wduślił go w miękki materiał wybuchowy po wewnętrznej stronie dziobu. Kule przefastrygowały burtę o cal od ucha Christiana. Odwrócił się i przepelzł do kabiny.

— Zjeżdżamy! — poinformował Cohena.

— Dokąd?

— Jak najdalej stąd. To pudło lada sekunda wybuchnie.

— Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że coś takiego łązi ci po łbie? — ryknął Cohen.

Górny fragment ściany odpadł odcięty równą serią i China dostał szalu. Puścił ster, wyprostował się i wyrwał z kabury rewolwer. W klasycznej pozycji strzeleckiej opróżnił bębenek 357 celując w Sam-Sama.

— Zjeżdżamy, już! — wrzasnął Christian i szczupakiem rzucił się na Cohena.

Trafił go barkiem w brzuch, zwalając się wraz z nim na ścianę byle jak wykonanej nadbudówki. Przelecieli przez nią prawie bez oporu i znaleźli się w rzece. Tymczasem łódź, już bez sternika, pruła prostym kursem na barcę.

Uderzyli o wodę z siłą, która pozbawiła Hatchera tchu i wyrwała mu

Cohena z objąć. Christian przekoziołkował w wodzie, rozłożył szeroko ręce i nogi i po chwili znieruchomiał. Gwałtownym wyrzutem ciała dotarł do powierzchni, zaczerpnął głęboko powietrza i zanurkował, gorączkowo machając wokół rękoma. Nic.

Ponownie się wynurzył, złapał potężny haust powietrza i zanurkował, silnymi ruchami ramion przeszukując okolicę. Nadal nic. Gdy się wynurzył, ujrzał z ulgą głowę Cohena na powierzchni, o parę jardów od siebie. China był półprzytomny i zdezorientowany. Trzema silnymi pociągnięciami ramion Hatcher dotarł do Cohena i złapał go za ramię.

— Już jestem, chłopie. Odpręż się — wychrypiał.

Za nimi łódź prawie dotarła do barki. Batal dojrzał plastik na dziobie i z wrzaskiem skoczył za burtę. Sam-Sam nie zdążył, gdyż nastąpiło zderzenie. Kadłub łodzi uniósł się na pięćdziesiąt cali ponad pokład barki i pękł. Dziób wylądował w stercie telewizorów, miażdżąc kartony, rozbijając kineskopy i demolując cały misternie ułożony stos. Zapalnik zetknął się z obudową jednego z odbiorników i ładunek eksplodował.

Sam-Sam był o dziesięć stóp od miejsca wybuchu. Poczul nagły powiew gorąca, a potem siła eksplozji cisnęła nim w powietrze niczym szmacianą lalką, rozdzierając ciało na strzępy. Chwilę później wybuchły zbiorniki paliwa wysadzając część rufową. Powietrze pełne było ognia oraz mniejszych i większych kawałków ciał. Batala wyrzuciło z wody, broczył krwią z uszu, nosa i ust. Nieprzytomny opadł z powrotem i powoli osunął się na dno wraz ze szczątkami barki.

— Piękne! — uśmiechnął się koński ogon.

— O cholera! — to było wszystko, co zdołał wykrztusić John Leatherneck.

O sto jardów dalej Hatcher i Cohen znaleźli się pod wodą, wtłoczeni tam przez wybuch i ponownie rozdzieleni. Cohen wynurzył się łapiąc gorączkowo powietrze i usłyszał terkot broni maszynowej. Wyskakujące wokół gejzerki błyskawicznie doprowadziły go do pełni władz umysłowych. Rzucił się rozpaczliwie w bok niczym złapany marlin. Woda eksplodowała o parę cali od twarzy Hachera, gdy następna seria uderzyła o powierzchnię. Tym razem Christian dostrzegł, skąd strzelano: Billy Kostucha stał na brzegu oddalonym o pięćdziesiąt jardów, z kałasznikowem w dłoniach.

Czym prędzej Hatcher przewrócił się na plecy i zygzakiem zaczął płynąć ku środkowi rzeki, wrzeszcząc na Cohena, by szedł w jego ślady. Kostucha nie przerywał ognia.

Pół mili w dole rzeki za płonąca barką, przytulona do brzegu, stała cigarette. Jej załoga zauważyła powrót Sam-Sama i ruszyła ostrożnie za jego barką. Teraz przed nią rozpętało się piekło regularnej bitwy. Zobaczmy, co się dzieje — zdecydował Joey.

Barka miała silny przechył, a załoga była zbyt zajęta rannymi i własnym bezpieczeństwem, by zajmować się Hatcherem. Kolejna eksplozja wstrząsnęła kadłubem, gdy płomień dotarły do skrzynek z amunicją.

Wybuch odwrócił uwagę Billy'ego — opuścił broń i niepewnie podszedł w kierunku barki.

Nagle rozległa się kanonada — pociski w skrzyniach zaczęły eksplodować, siejąc wokół rykoszetami. Barka płonęła jak pochodnia.

Billy zawahał się, po czym znów skoncentrował się na Hatcherze i Cohenie. Uniósł AK-47 do ramienia i dokładnie wycelował w dwie postacie szamoczące się w wodzie.

Siedemdziesiąt pięć jardów za nim Murzyn z końskim ogonem wyszedł na zewnątrz i stojąc w rozkroku założył taśmę do M-60, załadował pierwszy pocisk, a resztę taśmy przerzucił przez ramię i ruszył miarowym krokiem ku Billy'emu.

— Hej! — ryknął — Ty! Ten, którego nazywają Billy Kostucha!

Haitańczyk odwrócił się. Przed sobą zobaczył stojącego w rozkroku Murzyna z M-60 w dłoniach. Karabin maszynowy skierowany był w pierś Billy'ego.

— Rzuć broń! — rozkazał koński ogon.

Kostucha spojrzał niepewnie najpierw na niego, potem na Hachera. Wahał się o moment za długo, zanim gwałtownym ruchem ciała zwrócił broń ku nowemu przeciwnikowi.

Kaem ryknął napinając mięśnie strzelca. Pół tuzina ciężkich pocisków rozerwało pierś Billy'ego. Jego broń warknęła niegroźnie, mierząc w niebo, gdy odruchowo zacisnął palec na spuście. Energia kul trafiających w piersi obróciła go wokół własnej osi. Kolana ugięły się pod nim i z pluskiem klęknął w wodzie, wypuszczając z bezwładnych rąk kałasznikowa. Głowa opadła mu na piersi i runął na twarz.

Murzyn rozładował M-60, wrócił do baru i powiesił broń na miejscu. Odłożył amunicję na półkę i skierował się ku drzwiom.

— Lepiej znikaj, zanim dojdą do ładu z tym bałaganem — poradził mu John.

— Tak też sobie pomyślałem.

— Dlaczego, do diabła, zrobiłeś coś tak idiotycznego? — zainteresował się gospodarz.

- Mówiłem ci, że to nie były równe szanse.
- A co cię to obchodziło?
- Wiesz, co to jest skok HALO?
- Pewnie High Altitude Low Open \*.

\* Skok ze spadochronem z dużej wysokości przy bardzo późnym otwarciu go na niskiej wysokości (przyp. tłum.).

— Zrobiłem coś takiego w siedemdziesiątym czwartym w delcie. Noc, wiatr zmienił kierunek i zniosło mnie o pół mili. Wylądowałem za linią Wietkongu w kępie bambusów i jeden przebił mi nogę. Wszedł w stopę i wyszedł w połowie łydki. — Podniósł nogawkę ukazując potężną bliznę. — Fajna sytuacja, nie? Unieruchomiony przez dziesięciostopowy bambus, a wokół kupa żółtków. I nagle ukazał się ten facet, odciął bambus i przetargał mnie na własnych plecach do strefy zrzutu, po czym zniknął tak, jak się pojawił. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem. Potem dowiedziałem się, że to był Hatcher, którego nazywano *Occhi di Sassi*. Teraz rozumiesz?

Nie czekając na odpowiedź odwrócił się do Daphne.

— Powiedz Hatcherowi, że Jonee Ansa przekazał podziękowanie. Możesz mu też powiedzieć, żeby odwiedził Tombstone w Patpong. Konkretnie knajpę „Longhorn”. Wielu weteranów z Bangkoku tam zagląda.

Bez pożegnania wyszedł tylnymi drzwiami.

Cigarette nagle wystrzeliła z dymu otulającego barkę. Sternik, dostrzegłszy Hachera i Cohena w wodzie, skierował motorówkę w ich stronę. Zwolnił i silne dłonie wyciągnęły z rzeki obu niedoszłych topielców. Łódź wykonała zgrabny zwrot i podpłynęła pod pomost, by zabrać Daphne. Z rykiem silnika pognali przez dym obok tonącej barki, która — gdy znikali za zakrętem — z sykiem i trzaskiem pogrążyła się w falach.

— Jedno ci muszę przyznać — stwierdziła Daphne patrząc na Christiana. — Wiesz, jak palić za sobą mosty.

## JO SAHN

Gdy płynęli w dół rzeki, ciemność otuliła ich niby welon. Cohen i Hatcher zdjęli mokre ubrania i siedzieli skuleni w kabinie, usiłując się ogrzać. Daphne pozostała na pokładzie.

- Nie wierzę, że zarabiasz w ten sposób na życie — mruknął Cohen.
  - Zarabiałem.
  - Moim zdaniem nadal to robisz. W ciągu ostatniej doby miałem tyle akcji, że wystarczy do końca moich dni.
  - Jeżeli to ma jakieś znaczenie, to ja też — uśmiechnął się Hatcher. — Czy na tej krypie jest jakaś brandy?
  - Jedynie amaretto.
  - Nie na pusty żołądek!
- Cohen wbił się głębiej w koc. Przez chwilę przyglądał się Hatcherowi bez słowa, wreszcie powiedział miękko:
- Daj spokój, Hatch.
  - Czemu mam dać spokój?
  - Nie udawaj durnia.
  - Już ci mówiłem, China. Nie mogę.
  - Ta, wiem. Honor, koleżeństwo, stara szkolna więź. Nie uważasz, że trochę za późno na takie bzdury?
  - Nie, jeśli Cody jest w kłopotach.
  - Słyszałeś, co powiedział Holender — prychnął pogardliwie Cohen. — To épun!
  - Powiedział, że widział go pod wpływem narkotyków, a nie naćpanego. To różnica, nie?
  - I współpracował z Wietkongiem.
  - Przypuszczenie.
  - Jezu! Ty naprawdę nie chcesz uwierzyć faktom. Przecież wiesz już wystarczająco...
  - Słuchaj, powiem ci, co naprawdę wiem — przerwał mu Hatcher. — Wiem, że Cody mógł piętnaście lat temu wydostać się z tego samolotu. Mam powody wierzyć, że znalazł się w obozie Huie-kui, którego dowódcą był Taisung, oraz że towarzyszyła mu dziewczyna z fotografii. Wiem, że niejaki Wol Pot twierdzi, iż widział go w Bangkoku, i że Taisung tam właśnie się ukrywa jako Wol Pot. Wiem też, że Porter Cykor śledził go i zginął, prawdopodobnie z ręki Chiu Chao. Mam też powody, by wierzyć, że Wol Pot mógł pracować dla Tolliego Fonga, narazić się i dlatego tylko przyszedł do nas. Przemyśl to sobie, China, a przyznasz, że mam wystarczające powody, by jechać do Bangkoku.
  - Wiesz także, że Tollie Fong zabije cię przy pierwszym spotkaniu.
  - Przysiągł *yen dui yen* dać nam obu spokój.
  - I ty wierzysz w jego słowo? Jego *ch'u-tiao* wygaśnie dopiero wtedy,

gdy jeden z nas będzie martwy. Jeżeli będzie trzeba, to stworzy pozory, że nie zламаł *yen dui yen*. Nie bądź naiwny.

— China, kiedy przyjąłem tę sprawę, nie wierzyłem ani przez moment, że Murphy żyje. Potem zacząłem mieć wątpliwości. Teraz wszystko wskazuje, że Cody żyje, a jeśli tak, to go odnajdę. I pierdołę Tolliego Fonga.

— Tylko upewnij się, że go wpierw zabiłeś.

— Kocham cię — uśmiechnął się Hatcher. — Zawsze coś zabieram swoim przyjaciółom, nigdy niczego nie daję.

— To zawsze działa w obie strony.

— Miło, że tak mówisz.

— Jak cholera! Raz cię straciliśmy. Potem odnaleźliśmy. Teraz mamy cię stracić, i to na dobre. Wiem o tym. Daffy też. — Cohen machnął ręką ku pokładowi. — Dlaczego się z nią nie pożegnasz, zamiast opowiadać mi pierdoły?

Spuścił głowę i otulił się kocem po uszy.

— Dzięki, China — szepnęła Hatcher.

— Aha.

Christian wstał i skierował się ku drzwiom. Cohen nie podnosząc głowy powiedział:

— Chciałbym wiedzieć, że jesteś bezpieczny i że jest ci dobrze na tej twojej wyspie. Jak będziesz mógł jeszcze szeptać, to zadzwoń po powrocie.

To byli ludzie, którym zależało na nim wystarczająco, by ryzykować dlań życie, lecz nie znał właściwego sposobu, by się z nimi pożegnać. Każdy krok sprowadzał go bliżej przeszłości, a potem coraz bardziej od niej oddalał. Ale nie miał wyboru. Jego zadaniem było odnaleźć Cody'ego, a w Hongkongu nie mógł już znaleźć więcej wskazówek. By dowiedzieć się czegoś nowego, musiał jechać do Bangkoku. W dodatku im bliżej był rozwiązania, tym bardziej się go bał.

Daphne siedziała na rufie, obserwując połyskujący w świetle księżyca ślad, jaki zostawiali za sobą. Siadł obok, przytulił się do niej owijając ją kocem.

— Czy to było warte finału? — spytała.

— Myślę, że tak. Potwierdziło wiele wątpliwości, a poza tym zlikwidowałem twoją konkurencję.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

— Masz kobietę? — zapytała niespodziewanie.

Zawahał się. Czy Ginia była jego kobietą? Z pewnością sprzeciwiłaby się takiemu określeniu. Ale nagle zrozumiał, że choć bez słów, ale związał się z nią. Nigdy tego nie wyraził, ale była jego kobietą. Zależało mu na niej, chciał

się o nią troszczyć, zapewnić jej szczęście. Chciał czegoś pewnego i stabilnego w dalszym życiu, a Ginia uosabiała to wszystko. I jeszcze parę innych rzeczy.

- Tak — odparł w końcu.
- Długo się zastanawiałaś.
- Tak naprawdę to nigdy dotąd nie myślałem na ten temat. Dużo spraw przyjmowałem na wiarę.
- Jak ma na imię?
- Ginia.
- Ginia — powtórzyła jakby smakując. — A jaka ona jest?
- Niezależna. Sprytna.
- Piękna?
- Tak, ale nie w taki sposób jak ty.
- Nie rozumiem. — Uniosła pytająco brwi.

Christian spróbował znaleźć sposób, by opisać różnicę pomiędzy egzotycznie urzekającą Daphne a naturalnie piękną Ginią.

- Na jej widok nie brakuje mężczyźnie oddechu, tak jak na twój — odpowiedział w końcu.
- W miarę upływu czasu stajesz się coraz lepszym dyplomatą — uśmiechnęła się. — Rozumie cię tak, jak ja rozumiałam?
- Ona nic nie wie o mojej przeszłości.
- Ani o twoich przyjaciółkach?
- Ani o moich przyjaciółkach.
- Powiesz jej kiedykolwiek o tym?
- Przypuszczam, że tak, jeżeli będę uważał, że należy.
- Kochasz ją?

To pytanie go zaskoczyło. Nigdy go sam sobie nie zadał, a teraz Daphne oczekiwała odpowiedzi.

- To byłoby dla mnie coś nowego. — Uniknął konkretnego postawienia sprawy. — Ten rodzaj miłości, o którym mówisz, był bardzo długo nieobecny w moim życiu. Jeśli w ogóle w nim był.
- Był, tylko nigdy nie pozwoliłeś nikomu obejrzeć tej strony twojego charakteru. Mnie udało się tam kilka razy zajrzeć. China twierdzi, że łączysz w sobie dwóch różnych ludzi: tego, którego znają wszyscy, i tego, którego nie zna nikt. Czy Ginia zna tego drugiego?
- Myślę, że on jest jedynym, jakiego zna.
- Wobec tego ma wiele szczęścia.
- Nadal wychodzi na to, że robię to co dawniej.
- Ale jest różnica. Był czas, gdy zdawałeś się... — zawahała się szukając właściwego słowa.



— Lubić to, co robię? — dopowiedział.

— Właśnie.

— Może. Ale tego, co zostało zrobione, i tak nic nie zmieni. — Ujął jej policzek palcami i odwrócił ku sobie. — Kocham cię, Daphne. Nigdy nie udało mi się o tobie zapomnieć. Ale też nigdy nie myślałem o nas jako o stałym związku. Chyba żadne z nas nie chciało czegoś takiego.

Odwróciła wzrok, nie chcąc mu zdradzić, że się myli. Hatcher zaś zrozumiał, że próbując być szczery uraził ją. Dla niego ten związek był czymś na kształt długiej nocnej wizyty, wojennym romansem bez przyszłości i stałego zobowiązania. Teraz już za późno na zmiany. Stworzył sobie inny świat, tak odmienny od jej świata, że nie było w nim dla niej miejsca. Życie na wyspie zanudziłoby ją na śmierć. Poza tym raz już zerwał więzi łączące go z tym światem. Światem Daphne, Cohena i Sloana. Światem, który dla niej był wszystkim. Teraz musiał zrywać te więzi ponownie.

— Masz rację, nigdy nie byliśmy tym zainteresowani — powiedziała oszczędzając mu bólu zranienia jej jeszcze mocniej.

Wpłynęli do ujścia, mając po lewej światła Hongkongu. Wpatrywał się w nie bez słowa, gdy zbliżały się coraz bardziej, aż można było rozróżnić kształty wieżowców.

— Wysiądę pierwsza — przerwała milczenie. — Wiedzą, gdzie mają mnie wysadzić.

— Daphne...

Położyła mu palec na ustach.

— Wszystko już sobie powiedzieliśmy — szepnęła. — Tym razem nie wrócisz, ale wiem, że rozstanie jest dla ciebie równie bolesne jak dla nas. *Choi qui see yong qup haipon.*

Chińczycy doskonale to ujęli: „Zabijanie przeszłości rani duszę”.

# KSIĘGA TRZECIA

*Postaw przede mną honor i śmierć nawet —  
Spojrzę bezstronnie, lecz wiem, co wybiorę.*

Szekspir, „Juliusz Cezar”  
akt I, scena 2  
*przel. Stanisław Barańczak*

## ZDRADZIECKI KWIAT

W kwietniu wiatry zwiewają ze stoków tajlandzkich gór chmury monsunowe, czesząc pola czerwonych, białych i purpurowych kwiatów. Chwieją się one niczym baletnice w palących promieniach słońca, malowniczo barwiąc całe polacie.

Podobnie jak niektóre motyle żyjące jeden dzień, kwiaty te szybko więdną, a każdy pozostawia po sobie jasnozieloną główkę. W miesiącach poprzedzających kwiecień roślina produkuje dniem i nocą alkaloidy, które zbiera w tej makówce. Kiedy zostaje ona nacięta, mleczny płyn wycieka na zewnątrz, gdzie szybko schnie i ciemnieje.

Gdy kwiaty opadną, na polach pojawiają się górale w płaskich słomkowych kapeluszach i przechodząc między rzędami roślin, nacinają boki makówek, by żelaznymi łyżeczkami zebrać gęsty płyn, zanim zdola stwardnieć.

Generał Dao, *phu yai ban* plemienia Hsong, doglądał jak co roku zbiorów. Jako szef wioski miał zwyczaj obserwować całą operację ze szczytu jednego ze wzgórz, siedząc na grzbiecie czarnego wierzchowca; wyglądał niczym posąg boga. M-14 miał zawieszony na szyi, ale lufę i kolbę broni trzymał w rękach. Dwaj osobiści strażnicy siedzieli nie opodal i na zmianę przepatrywali niebo przez silne lornetki w poszukiwaniu rządowych helikopterów. W dole na zboczach wzgórza, znanego jako Góra Proszkowa, trwały tymczasem zbiory.

Na *phu yai ban* Dao został wybrany przez mieszkańców wioski. Podobnie jak ojciec, rozstrzygał spory wszelkiego rodzaju, słuchał skarg i problemów oraz prowadził negocjacje w imieniu Hsong. Plemię to wchodziło w skład szczepu zwanego Phui Thong Luang — Duchy Żółtych Liści. Była to nieliczna społeczność, której izolacja, spowodowana warunkami terenowymi, pozwoliła na utrzymanie zwyczajów i tradycji liczących stulecia.

Dao był krępy, muskularnym mężczyzną, zahartowanym i twardym jak każdy z członków plemienia żyjącego w ciężkich górskich warunkach. Miał trzydzieści siedem lat, a wyglądał na pięćdziesiąt pięć, choć nadal był przystojny — śniady, o szerokich ustach, płaskim nosie i czarnych włosach, na których nosił czerwoną opaskę. W odróżnieniu od swoich ludzi ubierał się w mundury barwy khaki. Reszta plemienia preferowała tradycyjne stroje. Szczególnie, malowniczo wyglądały kobiety w różnobarwnych bluzach i jaskrawych pantalonach obcisłych na górze a szerokich u dołu, nazywanych *pasin*, oraz w wielkich kolorowych turbanach, misternie ozdobionych srebrnymi paciorkami.

Substancją, którą zbierali mieszkańcy wioski, była żywica opiumowa.

Naturalnym zaś alkaloidem, wchodzącym w jej skład, była morfina.

Kwiatki, które produkowały obie substancje, nazywały się *Papaver somniferum* i mnożyły się jak chwasty w południowo-wschodniej Azji. Masa zaś, będąca efektem ich wzrostu, była czymś równocześnie najlepszym i najgorszym dla człowieka — symbolem dobra i zła. Nie większa od kciuka makówka stanowiła zarówno drzwi do raju, jak i wejście do piekła. Podobnie jak pieśń mitycznych syren obiecywała rozkosze, a w praktyce oznaczała śmierć, gdyż z opium wyprodukować można lek — znieczulającą ból morfinę, ale też i narkotyk — heroinę.

Dao nie znał statystycznych ani demograficznych danych dotyczących narkomanii. Nie wiedział, dokąd wędruje towar, kto go kupuje albo używa. Nigdy nie słyszał takich określeń, jak: ćpun, kompot, wachacz, trawka, hera, makowara, skręt, dać w żyłę, walnąć miarę, szpryca, odejście, wejście na orbitę, złota strzała, odłot. Nie zdawał sobie sprawy, że to, co zbierają jego ludzie, może zabić jakiegoś narkomana na drugiej półkuli albo że nastoletnie bandziory pochlastają się nożami o uncję białego proszku, który będzie efektem przerobu mleczka produkowanego przez kwiaty. Nigdy nie widział igły czy strzykawki. Dla wioski od lat zbiory były jedynym konkretnym źródłem gotówki. Dao i reszta plemienia nie dostrzegali nic nagannego w zbiorze i sprzedaży tego, co wytwarzają kwiaty.

Rząd jednakże uznał tę działalność za szkodliwą i zaczął się domagać od rolników, by przestawili się na uprawę kawy czy grzybów. Wśród wzgórz wybuchły walki. Plemiona takie jak Leums czy Lius zostały zaatakowane przez wojsko. Ich zbiory skonfiskowano i spalono. Natomiast nigdy dotąd rząd nie niepokoił Dao. Jego liczne plemię kontrolowało trudny teren — poszarpane zbocza górskie. Znane z niezależności i odwagi, było groźnym przeciwnikiem. I w dodatku kontrolowało zaledwie dwieście pięćdziesiąt

hektarów pól — około stu akrów, co nie stanowiło wystarczającego powodu do wszczęcia krwawej wojny. Dao powinien regularnie składać meldunki szefowi okręgu, w którym leżały jego ziemie, ale odkąd dwa lata temu wyrzucił *nai amphoe* przysłanego przez rząd, nie uczynił tego ani razu. Rząd zresztą także ani razu nie próbował zastąpić tamtego wysłannika nowym.

Nie zwalniało to jednak z czujności. Dao nadal podejmował te same co dotąd środki ostrożności. Gdy niebo poczerwieniało, a wody rzeki rozbłysły złotem, wraz z obstawą zjechał ku małemu budynkowi stojącemu pośrodku pól. Wnętrze pachniało słodko niczym świeżo ścięta trawa. Gumowa masa opiumowa została tu już podzielona i spakowana w półtorakilogramowe paczki zwane *joi*. Do chwili rafinacji żadna z jej właściwości nie ulegała zmianom, niezależnie od upływu czasu.

Paczki, których zawartość wyglądała niczym ciemnobrązowe ciasto lodowe, umieszczono w jukach. Na stole pozostały dwie: dziesięciokilogramowa i kilogramowa. Dao dobył noża i wydlubał niewielkie wgłębienie w mniejszej paczce. Z tego, co miał na ostrzu, ulepił palcami kleistą kulkę zwaną *goli*. Włożył ją pod język, zamknął oczy i possał niczym cukierek. Uśmiechnął się. Była doskonała.

Nowe paczki załadowano na muły, które przed świtem zostały poprowadzone przez Dao i jego czterech najbardziej zaufanych ludzi w kierunku Domu Żółtej Pani. Dwa kilometry przedzierali się przez gęste krzewy puszczy, wysokie zarośla bambusowe, mijali potężne drzewa tekowe oplecione lianami. Szli ścieżkami, które dostrzec mogły jedynie najbystrzejsze oczy, ścieżkami, po których pełzały jadowite węże, patrolowanymi przez czarne pantery i tygrysy.

Zatrzymali się, gdy usłyszeli z przodu znajomy szum. Uwiązali wierzchowce i ostatnią milę przeszli pieszo, kierując się coraz głośniejszym łoskotem wodospadu, zmieniającym się w końcu w ogłuszający ryk. Kiedy wyszli z puszczy, znaleźli się u wylotu głębokiej skalistej doliny otulonej deszczem wodnych drobin rozpryskiwanych przez potężny wodospad nazywany Żółtą Panią, znajdujący się po przeciwnej stronie. Po śliskich głazach przedostali się do miejsca, gdzie ziemia zaczęła drżeć pod ich nogami, aż dotarli do jaskini znanej jako Dom Żółtej Pani. Przywódcy plemienia ukrywali tu zbiory opium od stuleci. Obecnie schowek był jeszcze lepszy, bo nie dość, że dla osób nie znających drogi przejście zakrawało na samobójstwo, to na dodatek był całkowicie niedostępny dla helikopterów. W głębi ukrytej za wodospadem jaskini złożyli *joi* i przykryli je matami. Miały tu pozostać do czasu finalizacji transakcji.

Poprzedniego dnia szef Chiu Chao przysłał do wioski posłańca z prośbą o spotkanie. Dao odesłał go z powrotem z kilogramem surowca w geście dobrej woli, aby mogli sprawdzić jego jakość.

Większość górskich wiosek sprzedawała masę opiumową w surowej postaci. Hsong jednakże miała własną rafinerię, prostą, ale skuteczną fabryczkę usytuowaną w pomieszczeniu nie większym niż standardowa europejska sypialnia. Chiu Chao woleli co prawda sami przeprowadzać ekstrakcję heroiny, ale w tym przypadku uszanowali tradycję. Plemię Hsong zawsze sprzedawało heroinę i była to dla niego kwestia zarówno honoru, jak i pieniędzy. Na kilogram masy opiumowej potrzeba około dwóch tysięcy makówek. Na wzgórzach można było otrzymać za nie siedemdziesiąt dolarów. Za kilogram białego proszku zaś dziewięćset. Dla Dao różnica ta warta była każdego wysiłku. Oznaczała więcej broni dla mężczyzn, więcej świń i bawołów, dla kobiet bele jedwabiu i dla niego nowe radio z UKF, a może nawet ciężarówkę dla wioski. Nie miał pojęcia, że ten sam kilogram heroiny wart był w Nowym Jorku pół miliona dolarów ani że zostanie jeszcze sześć, siedem razy rozcieńczony i jego wartość w ulicznej sprzedaży sięgnie prawie czterech milionów dolarów.

Tej nocy Hsong uruchomili niewielki piec. Zmieszali dziesięć kilo opium z wodą i zagotowali w potężnym miedzianym woku, otrzymując masę przypominającą gęstą ciemną melasę. Następnie masa została przelana do starych drewnianych form, gdzie wyciśnięto z niej wodę. To, co otrzymano, było kilogramem granulowanej morfiny. Po ponownym zmieszaniu w mniejszym naczyniu z wodą i bezwodnikiem octowym, podgrzaniu i wyciśnięciu uzyskuje się śnieżnobiały proszek sprasowany w formie cegły. Gotowy produkt oznaczono stemplem 999. Był to znak plemienia Hsong i gwarancja, że ta kilogramowa cegielka jest w 99.9% czystą heroiną.

Tuż po wschodzie słońca z Chang Mai wystartował helikopter i skierował się do wioski Hsong oddalonej o siedemdziesiąt mil. Wczoraj Tollie Fong wysłał posłańców do generała Dao, by uzgodnić termin spotkania. Robieniu interesów towarzyszył rytuał; niby stanowił formalność, ale ustalono go już tak dawno temu, że wszystkie wioski w północnej Tajlandii wysoko go sobie ceniły. W dole przesuwwały się szmaragdowozielone góry, z każdą chwilą bardziej poszarpane i coraz mniej dostępne. Drogi pięły się serpentynami na szczyty, by zakończyć się nagle śnieżnymi ospiskami albo pochłonięte przez roślinność. Widok z helikoptera pozwalał zrozumieć, dlaczego armia

kapitulowała próbując zniszczyć zbiory czy też zniechęcić rolników do uprawy.

Fong siedział w fotelu drugiego pilota, a jego trzech pomocnicy z tyłu. Byli to: Biały Wachlarz, specjalista od rytuałów, służący w podróży za sekretarza i doradcę finansowego, oraz dwaj członkowie obstawy Fonga — Billy Kot i Soon. Posłaniec spełnił już swoją misję i powrócił do Bangkoku.

Biały Wachlarz dobiegał osiemdziesiątki, miał rzadkie siwe włosy i takąż bródkę. Ubrany był w tradycyjny chiński *cheongsam* z jedwabiu. Całe życie poświęcił tradycji i rytuałowi. Nienawidził latania, zwłaszcza w tej karykaturze samolotu, ale jego twarz nie zdradzała niczego. Siedział spokojnie, z zamkniętymi oczyma, przytrzymując nogami małą czarną torbę, w której umieścił wszystko, czego potrzebował w podróży. Obok niego drzemał Soon, jeden z najlepszych zabójców, jakich znał Tollie. Jemu było obojętne, czym leci.

Fong zajmował się głównie dwiema sprawami: zabijaniem i ekonomią. Dostarczanie towaru ze wzgórz na rynek w Singapurze, Marsylii czy Nowym Jorku także należało do jego obowiązków. Pierwszy raz został wprowadzony w arkana interesu, gdy był jeszcze nastolatkiem. Zrobił to jego ojciec, który uczył się w amerykańskim college'u i rozumiał Amerykanów. Fong doskonale zapamiętał tę noc.

Chiński Nowy Rok, 1962. Rok Tygrysa.

Ludzie na ulicach tańczyli, odbywały się pokazy smoków. Sztuczne ognie przyćmiewały gwiazdy i odbijały się w oknach wieżowców, licznych w Hongkongu. Nie miał wtedy jeszcze czternastu lat i chciał być na ulicy z przyjaciółmi, ale wola ojca była inna.

Zwołał swych *bing yahn*. Na spotkanie z pięcioma oficerami Białych Dłoni przybył wraz z synem. Teraz mówił trzymając dłoń na jego kolanie.

— Spędziłem kilka godzin z *san wong* i bardzo ważne jest, abyście wszyscy dobrze pojęli nasze nowe plany. Przede wszystkim musicie zrozumieć Amerykanów. Są bardzo pewni siebie i chętni do wypróbowywania nowości. Są towarzyscy i zadają sobie wiele trudu, by wyrzeć dobre wrażenie na przyjaciółach. Lubią działać na wielką skalę, żyją za pożyczone pieniądze i mają dwa cele: bezpieczeństwo i przyjemność. Teraz zostają wciągnięci w wojnę w Wietnamie, przeciwko której protestuje ich młodzież. A poza tym niedawno odkryli narkotyki. Marihuana, peyotl, środek chemiczny zwany kwasem. To dopiero początki. *San wong* uważa, że to dobry czas, by zapoznać ich z innymi narkotykami. Dotąd odbiorcami byli głównie żebracy, włóczędzy i złodzieje. Co prawda jest trochę bogatej klienteli, ale nie

ma odbiorców w warstwie średniej, a handel kontrolują Sycylijczycy. Mamy trzy plany. Pierwszy to wykurzyć Sycylijczyków. Nie będzie to łatwe, ale na początek powinniśmy zostać ich dostawcami, a potem użyć ich ludzi do naszych celów.

— Możemy im ufać? — spytał jeden z *bing yahn*.

— Nigdy! Zawsze miejcie się przed nimi na baczności. W odpowiedniej chwili wypowiemy im wojnę i zniszczymy. Ale na to trzeba będzie jeszcze poczekać. Teraz musimy doprowadzić do wzrostu zapotrzebowania na proszek i wejść w rynek, a do tego są nam potrzebni. Po drugie: amerykańscy żołnierze w Wietnamie i Tajlandii są praktycznie na naszym progu, a wojna dopiero się rozkręca. To będzie długa wojna, podobnie jak ta z Francuzami. Będziemy im sprzedawali proszek po cenie kosztów plus dziesięć procent.

— Po cenie? — zdumiał się jeden z uczestników spotkania.

— Plus dziesięć procent, by stworzyć zapotrzebowanie — poprawił Fong. — Oni zabiorą je ze sobą do domu i prześlą przyjaciołom. Wszyscy będą chcieli więcej i staną się naszymi odbiorcami, przyzwyczajonymi do czystego białego proszku, a nie do brązowego gówna z Turcji czy Meksyku, które sprzedają Sycylijczycy. Musimy wreszcie zachęcić tutejsze szczepy, by zwiększyły uprawy, gdyż zapotrzebowanie przekroczy nasze wyobrażenia. Wszystkie pozostałe kwestie stają się od tej chwili mniej ważne.

Tej właśnie nocy polecił pięciu oficerom, by otworzyli rynek narkotyków w Sajgonie i zaopatrywali go przez cały czas.

— Musimy wszystko dokładnie zaplanować, a potem już tylko czekać — wyjaśnił. — Miną co najmniej dwa, trzy lata, zanim nadejdzie nasz czas. Ale to dobry plan i powiedzie się.

Gdy wyszli, stary Fong zwrócił się do syna:

— Musisz zrozumieć zasady ekonomii tego interesu. W grę wchodzi miliony, a może i miliardy dolarów. Teraz twoim przeznaczeniem jest zostać po mnie Czerwoną Halabardą Białych Dłoni, ale ten interes ułatwi ci wiele rzeczy i otworzy wiele drzwi. Im więcej będziesz wiedział, tym będziesz ważniejszy. Kto wie, jak daleko zajdziesz...

Dobrze przygotował syna. Jego opiekunem został Joe Lung, który potem jedyny wyszedł żywy z akcji Hatcher'a na Mekongu. Lung też zaplanował i nadzorował realizację morderczego programu szkoleniowego: rok z Ninj'a w Tokio, sześć miesięcy z SAVAK-iem w Iranie, kolejne sześć z sikhami w Bombaju i następny rok z mistrzami *tai chi* i karate na Okinawie.

Przy tym wciąż wpajano mu zasady prowadzenia interesu. Uczył się ich



od ekspertów Chiu Chao w Hongkongu, Bangkoku, Singapurze i Seattle. Zanim ukończył dwadzieścia lat, poznał zasady sprzedaży ulicznej w Nowym Jorku i trzykrotnie zabił, jako że nadal jego głównym przeznaczeniem było zająć po ojcu miejsce Czerwonej Halabardy.

Jako nowy *san wong* mógłby napełniać serce ojca dumą, gdyż stał się ekspertem w interesach. Teraz zyski były takie, że pozwalały przekupywać całe policje lub korumpować rządy. Przemysł narkotyków stał się najintra-  
niejszym interesem świata, a jedna piąta heroiny trafiającej do USA pochodziła ze Złotego Trójkąta w północnej Tajlandii. Dlatego też zemsta na Hatcherze musiała poczekać: był czas zbiorów, a on musiał załatwiać interesy z górskimi szczepami.

Z roku na rok jego imperium stawało się większe, coraz głębiej sięgając w Złoty Trójkąt. Wiązało się to z osobistym ryzykiem Tolliego, który nawiązywał kontakty z podejrzliwymi i zmiennymi bandytami z gór. Za każdym razem, gdy rząd spalił pole albo skłonił szczep do uprawy kawy, Fong wyruszał głębiej w góry i znajdował rolników skłonnych kultywować surowiec na opium.

Gra opłaciła się niesamowicie — obecnie kontrolował dostawy tajlandzkiej heroiny dla wszystkich Chiu Chao, co stanowiło pięć procent całej heroiny opuszczającej kraj. Poza tym na tajnym konklawe, które się właśnie odbywało, zatwierdzono go jako nowego *san wong*, szefa wszystkich rodzin.

Fong potrzebował kogoś, kto by zajął jego dotychczasowe miejsce, komu mógłby zaufać. I niedawno zdecydował, że tym kimś będzie Billy Kot. Wybrał go osobiście spośród wielu zabójców powiązanych z Białymi Dłoni. Kot był inteligentny, sprytny i całkowicie bezwzględny. W sztuce zabijania ustępował tylko jemu, Fongowi. Miał dopiero dwadzieścia sześć lat, ale ukończył college — najwyższy czas, by rozpoczął karierę.

Tollie Fong odchylił się w fotelu i zaczął rozmowę z Billym, który przysunął się jak najbliżej, by dosłyszeć coś poprzez huk wypełniającej kabinę.

— Musisz dobrze opanować tę działkę w interesie, bo będziesz następną Czerwoną Halabardą — poinformował go bez żadnych wstępów.

Kot cofnął się zaskoczony, jako że wiadomość była dla niego całkowitą niespodzianką.

— Funkcja ta — ciągnął spokojnie Fong — to nie tylko egzekwowanie praw obowiązujących w Chiu Chao, to także kontrolowanie negocjacji tu w górach.

— Rozumiem — Billy starał się ukryć podniecenie. — I przyrzekam być godnym tego zaufania.

— Musisz się nauczyć, jak postępować z każdym z szefów, gdyż są oni dla nas niczym arterie dla serca. Oni zaś muszą się nauczyć ufać ci. Każdy z nich jest indywidualnością.

— A jaki jest generał Dao?

— Jest szefem szczepu Hsong od czternastu lat, odkąd ukończył dwudziesty drugi rok życia. W promieniu trzystu mil wszyscy się go boją.

— Lubi wojny?

— Nie wszczyna ich, ale też nie unika walki. O jego pozycji świadczy doskonale fakt, że przez ostatnie dziesięć lat nie musiał tego udowadniać.

— Twardy gość — mruknął zamyślony Kot.

— I to bardzo. Armia się go obawia. Dwa lata temu wyrzucił *nai amphoe* i Bangkok już nie przysłał nowego. Nigdy nie płacze, że żołnierze palą ich pola, i nie próbuje wytargować paru dolarów ekstra za każde *joi*. Nie tak jak inni.

— Jest przyjacielski?

— Uśmiecha się — Fong wzruszył ramionami — i jest ostrożny. Należy traktować go z szacunkiem, ale bez uniżoności, i nigdy mu nie grozić. Obrza czy groźba, nawet nieświadoma, mogą zostać odczytane jako akt wojny i jego *bing yahn* zastrzelą nas na miejscu. W najlepszym zaś razie oznaczać to będzie koniec handlu. Tak więc bądź ostrożny.

— Wobec tego tym razem będę tylko słuchał.

— Nie, rób to, co będziesz uważał za odpowiednie. Jeżeli się potkniesz, Biały Wachlarz ostrzeże cię. Będzie siedział lub stał pomiędzy nami i Dao, nieco z boku, tak by być zwróconym twarzą do nas. Jeśli potrząśnie głową, natychmiast zamilcz, a on załatwi problem.

— Ile produkują Hsong?

— Niewiele, ale proszek jest najczystszy z możliwych i dostarczają gotowy produkt. Co roku zwiększają przerób, tak że nie mam pojęcia, ile teraz mają.

Pod sobą dostrzegli niewielką wioskę — być może ze sto chat tworzących zgrabną całość. Za nią wznosiła się góra ze świeżo zaoranymi polami. Pilot obleciał okolicę i usiadł w pobliżu piaszczystej drogi u stóp góry.

— To główna wioska — wyjaśnił Fong, gdy wysiedli. — W pobliżu są jeszcze trzy czy cztery mniejsze. I pamiętaj, że *bing yahn* są wszędzie wokół. Nie lekceważ ich.

— Ilu? — zainteresował się Billy.

— Nie wiem dokładnie, około trzystu.  
— Broń?  
— Wszystko, co strzela. Pistolety maszynowe, M-14, granatniki, broń krótka. Jak na tutejsze warunki, są doskonale wyposażeni.

Pod drzewami czekała na nich nieźle sfatygowana ciężarówka wojskowa. Wspięli się na nią i siedli z tyłu na bocznych ławkach. Zgrzyt sprzęgła ozna-  
czał początek pełnej wstrząsów przejażdżki po ledwie przejezdnej drodze do  
wioski położonej trzysta pięćdziesiąt stóp nad poziomem równiny.

— Przydałaby im się nowa ciężarówka albo dwie — zauważył Tollie na-  
chylając się do Białego Wachlarza.

Stary używał pamięci jak notesu. Nigdy niczego nie zapisywał. Kot tym-  
czasem obserwował drogę. Na jednym z mijanych drzew dostrzegł błysk  
stali, w gałęziach innego lekki ruch.

— Oni faktycznie są wszędzie — przyznał.

— *Hai*. Zręczni jak małpy — dodał Tollie.

Na szczycie wzniesienia ciężarówka zatrzymała się przed niewielkim  
kwadratowym budynkiem o jednym oknie i drzwiach, z dala od wioski. Przy  
drzwiach stał uzbrojony wartownik.

— Teraz obserwuj uważnie — polecił Fong.

Rytuał sięgał czasów wojny opiumowej w Chinach — prawie sto pięć-  
dziesiąt lat temu. Fong zostawił Soona na zewnątrz i wszedł z pozostałymi  
do środka.

Był to niewielki pokój z czterema matami tworzącymi kwadrat na podło-  
dze. Dao czekał przed jedną z nich, mając za plecami dwóch wartowników w  
rogach pomieszczenia. Obok niego stał *fai thaan* o twarzy pobrużdżonej  
przez czas i zębach ciemnobrązowych od żucia betelu. Był to szef produkcji  
heroiny szczepu Hsong. U jego stóp leżała niewielka paczka owinięta w  
płaskie liście.

Fong podszedł do środka pokoju, stanął twarzą do Dao, złączył palce obu  
dłoni i zgiął się w *wai*, by okazać szacunek naczelnikowi i specjalście. Dao  
odpowiedział w ten sam sposób. Po czym Białe Wachlarz zajął swoje stałe  
miejsce twarzą do *fai thaan*, a Kot stanął za Fongiem.

— Chciałbym przedstawić mego *bing yahn*, Billy'ego Kota — odezwał  
się Fong. — Wkrótce zajmie moje miejsce jako Czerwona Halabarda Białych  
Dłoni.

— Czy coś się stało? — spytał Dao ze szczerym zdziwieniem.

— Nie, nie. Mam zostać *san wong* Chiu Chao. Od dziś Billy będzie mo-  
imi oczami, uszami, a także moim głosem. Będzie negocjował ze wszystkimi  
szczepami zaopatrującymi nas w prosek.

Dao przez kilkanaście sekund studiował twarz i sylwetkę Kota. Billy miał oczy przywódcy: twarde i skrywające bliżej nie określoną groźbę.

— Tak więc on się uczy? — spytał Dao.

— *Hai*.

Generał uśmiechnął się i skinął mu głową na powitanie.

— *Ho* — uderzył prawą pięścią w palce lewej dłoni na znak zgody i krzyżując nogi siadł na macie.

W Tajlandii nie podaje się rąk na powitanie, gdyż dotknięcie drugiej osoby uważane jest za obelgę. Fong poszedł za przykładem Dao, następnie zrobili to pozostali. Dopiero gdy siedzieli, generał powitał Białego Wachlarza.

— Dobrze się czujesz, Phat Lom? — spytał.

Starzec uśmiechnął się, lekko kiwając głową, otworzył leżącą obok czarną torbę, wyjął z niej liczydło i położył przed sobą.

— *Hai*. A więc czas na interesy — ucieszył się Dao, dając znak *fai than*.

Ten rozwinął liście ukazując śnieżnobiałą cegłę ze znakiem 999. Ujął ją w obie ręce i podał siedzącemu naprzeciw starcowi, który zważył ją najpierw w jednej, potem w drugiej dłoni, ujmując za krótszy brzeg. Skinął głową na znak, że waga jest właściwa, po czym wstał, podszedł do okna i dokładnie obejrzał próbkę w blasku słońca, lekko dmuchając na powierzchnię. Zeskrobał nieco proszku i powoli wciągnął go do nosa. Odczekał minutę, może dwie, zeskrobał podobną porcję i zlizął ją starannie z palca. W końcu wrócił na swoje miejsce i położył cegłę przed generałem.

Wyciągnął trzy palce w stronę Fonga.

— *Khuna-phaap di thi soot*. Pierwszej jakości.

— Jak zwykle doskonały — oznajmił głośno Tollie. — Ile macie w tym roku?

— Dziewięćset trzydzieści pięć *joi*. — Dao był wyraźnie dumny.

Fong też — to było około stu pięćdziesięciu kilogramów heroiny.

— To o pięćdziesiąt kilogramów więcej niż w zeszłym roku.

— Doskonały rok — zgodził się gospodarz.

Ostatnim razem cena wynosiła dziewięćset dolarów za kilogram. Fong zerknął na starca przesuwającego paciorki liczydła. Biały Wachlarz uniósł w pierw dwa palce, potem trzy, potem jeden, a w końcu pięść. Kod był prosty, ale zrozumiały tylko dla nich obu.

Kot go nie znał, ale przeprowadził własną szybką kalkulację. Wyszło mu sto trzydzieści pięć tysięcy za całość. Nieźle!

Fong zapytał Billy'ego o cenę i to była nieoczekiwana próba. Aktualna

cena i tak była bez znaczenia, biorąc pod uwagę, jaki mieli na tym zysk. Mogliby spokojnie płacić cztery, pięć razy więcej i prawie nie zauważyliby zmiany. Ale to były interesy, a dolar to dolar.

Billy postarał się myśleć jak Czerwona Halabarda. Musiał rozważyć dwie rzeczy: czy w ogóle podnosić cenę, a jeżeli tak, to o ile, by nie rozpieścić generała. Powinno się wyrzucić odpowiednie wrażenie, a z drugiej strony nie wyjść na nadmiernie szczodrego.

— Pięćdziesiąt więcej za *joi* — odparł po chwili.

Z wyrazu twarzy Fonga odgadł, że dobrze ocenił.

— Ja dałbym dwadzieścia pięć — powiedział Tollie z uśmiechem. — Nowa Czerwona Halabarda jest hojniejszy.

Dao uśmiechnął się zadowolony. Biały Wachlarz zaś zajął się liczydłem, po czym wysunął następną kombinację palców. Całość kosztowała sto czterdzieści dwa tysiące dolarów albo dwa miliony osiemset pięćdziesiąt tysięcy batów.

— Proponuję dwa miliony osiemset tysięcy — odezwał się Fong.

— Cała przyjemność po mojej stronie — zgodził się generał waląc pięścią w dłoń.

Interes został ubity.

Biały Wachlarz wyjął z torby kilkanaście pakietów purpurowych batów i przekazał je Fongowi, który ułożył zgrabny stosik przed Dao i skłonił się.

— Kiedy pan Kot może oczekiwać dostawy? — spytał.

— Czy za trzy dni, licząc od jutra rano, będzie zadowalającym terminem?

— Doskonale. — Fong także uderzył pięścią w dłoń. — Jeżeli nie będzie to uznane za obrazę, chciałbym uczcić nową Czerwoną Halabarę i zrobić szczepowi prezent z dwóch ciężarówek.

Dao był równocześnie zaskoczony i uradowany.

— To bardzo wspaniałomyślne. Hsong będą szczęśliwi mogąc współpracować z panem Kotem.

— *Mai*. — Fong wstał i skłonił się.

Wyszli na zewnątrz, gdzie dołączył do nich Soon, i ruszyli ku ciężarówce.

— Doskonale się spisales. — Fong klepnął Billy'ego w ramię. — Nie sądzę, abyś miał z tym problemy.

— *Mm goi* — odparł Billy i pochylił się w ukłonie.

— Sto pięćdziesiąt kilogramów za sto czterdzieści tysięcy dolarów i dwie ciężarówki. — Tollie zwrócił się do starca: — Ile to daje?

Biały Wachlarz już to wcześniej obliczył, biorąc za podstawę zysku poranną cenę z ulic Manhattanu.

— Trzy miliony siedemset tysięcy dolarów — mruknął Fong odczytując szyfr jego palców. — Nieźle jak na jeden dzień pracy.

Gdziekolwiek byli ludzie, były i narkotyki. A dzięki tej prostej zasadzie — także handlarze, gotowi ciągnąć zyski. W hotelu „Witosza” w Sofii, „Pique” w Marsylii czy „Garden” w Amsterdamie — Syryjczycy, Turcy, Palestyńczycy spotykali się z chińskimi, sycylijskimi lub amerykańskimi gangsterami, by omawiać interesy związane z heroiną, kokainą bądź marihuaną. To byli handlowi potentaci, którzy stworzyli szlaki przerzutowe z Orientu do Amsterdamu, Londynu czy Rzymu, a stamtąd do portów USA, gdzie tona heroiny kosztowała miliard dolarów, zanim jeszcze została podzielona i rozważona, by trafić na ulicę.

Dalej zajmowali się nią Sycylijczycy, którzy od wojny wietnamskiej zgodnie z układem z innymi amerykańskimi gangsterami prowadzili detaliczną dystrybucję w większości miast.

Przemyt stał się swoistą sztuką, zabawą w chowanego między mułami, jak określano kurierów, a policją i celnikami. Proszek przemycano w wydrążonych klejnotach, obrazach i posągach. W obcasach i prezerwatywach, w książkach, lalkach i poczcie dyplomatycznej, nie wspominając o hurtowych przerzutach w bambusach, puszkach z żywnością lub workach z kawą. Rozpuszczano towar w wodzie, w której następnie moczone ubrania, walizki czy dywany. Zakopywano na pustyni, po czym przesyłano karawanami wielbłądów karmionych narkotykiem, by same odszukiwały specjalnie oznakowane szlaki.

Każde przechwycenie dostawy rodziło nowe pomysły, a na każdy stracony kilogram przypadało dziesięć przerzuconych.

W Bangkoku Tollie Fong wymyślił najbardziej, jak dotąd, obsceniczną i przerażającą technikę. Teraz nadszedł wreszcie czas przerzutu do USA — mieli prawie trzy tony czystego białego proszku, zmagazynowane i gotowe do masowego transportu.

To, co jego ojciec przepowiedział dwadzieścia trzy lata wcześniej, zaczynało w końcu się sprawdzać. Te lata były dla Białych Dłoni dobre, a poza tym Tollie miał doskonały plan. Zatwierdził go stary *san wong*. Fong był gotów do wojny z odwiecznym wrogiem Chiu Chao, jakim była Cosa Nostra — mafia.

## SUGESTIA

Earp rozsunał szklane paciorki i wszedł do „dziury”. Wielebny jak zwykle siedział w fotelu, który dzięki jego dostojnej pozie przypominał tron. I jak zwykle czytał. Lampa z frędzlami była jedynym oświetleniem całkowicie zresztą pustego pomieszczenia. Światła nad stołem bilardowym i stolikiem do pokera zostały wygaszone. Earp przystawił sobie krzesło i usiadł obok czytającego.

- Trochę późno jak na ciebie, nie? — zagaił.
- Wciągnęła mnie akcja — odparł Wielebny nie unosząc głowy.
- Dzwonili z Hongkongu.
- Aha.
- Ktoś nazwiskiem Hatcher przylatuje porannym samolotem. To zabójca, pracuje dla Sloana.
- Przypadek?
- Niemożliwe. Sloan już przybył. Teraz Hatcher. Przecież nie przyleciał tu oglądać widoczków.
- Czy ten Hatcher jest niebezpieczny?
- Wykosił pół Hongkongu w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Facet jest chodzącą zarazą.
- Chciałbyś sugestię? — Wielebny zanurzył w kieliszku palec i oblizał go przewróciwszy kartkę.
- A kiedyś nie chciałem?
- Zorganizuj sprawy tak, by trafił tutaj. Sprawdź go na naszym terenie.
- Nie uważasz, że to trochę niebezpieczne? Poza tym ułatwimy mu zadanie.
- Jeżeli jest tak groźny, jak twierdzisz, i przybył tu po to, by zniszczyć Tajskiego Konia, to prędzej czy później, sam tu trafi. — Wielebny uniósł głowę i coś na kształt uśmiechu przemknęło mu przez usta. — Jak głosi tujsze przysłowie: „Łatwiej zabić zaprzyjaźnionego tygrysa niż obcego psa”.

## KRUNG THEP

Hatcher obudził się, gdy 747 zakręcił oblatując Bangkok, a w głośnikach rozległ się głos oznajmiający, iż podchodzą do lądowania na Don Muang. Christianowi miasto zawsze kojarzyło się ze złotymi świątyniami, srebrnymi wieżami i delikatnymi, pięknymi kobietami odzianymi w różnobarwne jedwabie.

Odsłonił iluminator i ujrzał obraz, którego nie mógł przesłonić nawet szary świt. W blasku wschodzącego słońca Bangkok wyglądał jak połyskliwy klejnot w dłoni Buddy, z rzeką Chao Phraya niczym nieskończona linia życia. Setki złotych kopuł odbijały blask słońca. Swój specyficzny charakter miasto zawdzięczało świątyniom i kanałom. Przed wiekami nie było tu ulic, jedynie kanały o brzegach ozdobionych kwiatami i drzewami. Postęp zmienił wszystko. Pozostawiono parę ważniejszych, resztę zasypano zmieniając na bulwary i ulice. Przetrwały jednak nabrzeżne palmy i orchidee. Na kanałach odbywały się pływające bazyry: ze smukłych *hang yao* sprzedawano świeże owoce i kwiaty.

Dla każdego białego był to kraj jakby żywcem przeniesiony z innej planety. Już sam widok przyprawiał turystów o westchnienia, gdyż wszystko wydawało się piękne i czyste. Obok piękna była jednak brzydota i bieda. Dzieci sprzedawano na ulicach, a heroina stanowiła część zapłaty; popełniano tam sześćdziesiąt do siedemdziesięciu morderstw miesięcznie. W dodatku stalowo-szklane wieżowce zaczynały powoli niszczyć stare urzekające piękno, a samochody zanieczyszczać powietrze. To była druga strona medalu. Jedyna nadzieja w tym, że tubylcy znudzą się i tak jak dwieście lat temu, gdy próbowano łagodnego Buddę zastąpić aroganckim i sztywnym Bogiem chrześcijan, wyrzucą obcych.

By przetrwać w Bangkoku jako *farang*, należało zaakceptować tutejszą filozofię, nawet jeżeli się jej nie rozumiało. Budda był tu wszechobecny i lubiany: bogaci kupowali mu złote liście, które składali w ofierze na ołtarzykach świątyni. Biedacy okrywali je odłamkami porcelany. Każdy dawał ofiary i modlił się prosząc o łaski, gdyż udany połów był tym samym, co los wygrywający na loterii albo piękna kobieta na noc. Wszystko to składało się na normalne życie i dla proszącego było równie ważne. Przybysze z Zachodu na ogół nie mogli tego zrozumieć. Przyzwyczajeni byli do modelowego nadętego Boga, otoczonego głupimi i dumnymi kapłanami, którzy jedyni wyrokowali, co jest według niego właściwe, a co nie. Dla Tajlandczyka przekonanego, że uśmiech narodził się w jego ojczyźnie, Budda był łaskawy i dobry, zdolny do złośliwych psikusów, ale mający wielkie poczucie humoru. Był bogiem, który niczego nie wymagał, a uśmiechał się do tych, którzy składali mu ofiarę. Być może dlatego uważano tu kłótnię za grzech, krzyk za obrazę, a złość za coś nie do wybaczenia. Nie można było nie lubić ludzi, dla których filozofią dobrą na prawie wszystko było: *Mai pen rai* — Nie przejmuj się. Hatcher nie rozumiał subtelności buddyizmu hinajana, rozumiał natomiast jedno: buddyści wierzyli, iż istnienie ziemskie jest w najlepszym wypadku



krótkotrwałe i niepewne. Przejmować się więc nim było głupotą, złościć — bezcelowym zajęciem, a niecierpliwić się — grzechem, jako że życie to proces przebaczenia. Hatcher starał się to sobie przyswoić, ale zbyt silnie miał utrwalone w psychice reakcje białego człowieka.

Filozofia ta była dlań tym trudniejsza, że teraz czas pracował przeciwko niemu. Niecierpliwił się, a bał się zwłaszcza tego, czego dowie się o Murphym. Już samo rozpoznanie starego kumpla będzie problemem — od ostatniego spotkania minęło przecież dwadzieścia lat. Ale gorsze było, co Cody tu robił i dlaczego tyle czasu się ukrywał. Zdrajca, ćpun, handlarz narkotyków powiązany z Tolliem Fongiem? Czy może coś jeszcze gorszego, czego dotąd nawet nie próbował sobie wyobrazić? Każda z tych ewentualności mogła być prawdziwa. Albo żadna z nich.

Ponadto fakt, że Cody przeżył kraknę piętnaście lat temu, nie był równoznaczny z tym, że nadal żyje. W samym tylko obozie mógł zginąć na tuzin różnych sposobów. Piętnaście lat to kawał czasu.

Dochodziła dodatkowa kwestia: w Tajlandii nie istnieje nic takiego jak obiektywny fakt. Prawda była istotna zarówno dla tego, co było realne, jak i wymyślone — duchowne, jak i sprawdzalne. W najlepszym wypadku w Bangkoku fakt był abstraktem rzeczywistości zgodnym z subiektywnymi punktami widzenia. Prawda była często złudzeniem, a sprawy nigdy nie miały się tak, jak to wyglądało z początku.

No i ostatnia sprawa: jeżeli Cody siedział po uszy w gównie, to co on, Hatcher, miał zrobić? Zignorować sprawę i wrócić do domu? Spróbować mimo wszystko zorganizować spotkanie z generałem? Być może rada Cohena była najrozsądniejsza mimo wszystko.

Tyle że nie bardzo wykonalna.

Miał zobowiązanie wobec Buffalo Billa Cody'ego. Przyrzekł mu coś i zamierzał dotrzymać słowa.

Odprawę celną przeszedł bez problemów i taksówką dojechał do miasta. Była to surrealistyczna, fantastyczna podróż przez oszałamiającą mieszankę kultur, dźwięków i wystaw, która mogłaby zahipnotyzować Sindbada. Piękno tego miasta zawsze go fascynowało, a teraz, gdy wrócił tu po pięciu latach, ponownie ovlądnęły nim ukryte obietnice i zagadki, jakimi emanowało.

Dwudziestomilowy kurs minął błyskawicznie i zielone pola ustąpiły miejsca budowlom. Ale tak naprawdę poczuł, że jest w Bangkoku, gdy minęli pałac Chitralada, siedzibę króla Bhumibola, ogólnie lubianego władcy, którego prapradziad Rama IV, lepiej znany jako Mongkut, sprowadził do Syjamu angielską nauczycielkę Annę Leonowens. Było to w 1860 roku i

choć jej autobiografia „Król i ja”, przeniesiona następnie na scenę i ekran, rozsławiła Tajlandię, tu była zakazana jako wypaczająca rzeczywistość.

Minęli kolejno Royal Turf Club, pola walk szybowników, Phadung Klong – główny kanał miasta, przejeżdżając ulicami, które za dwie godziny szczerlnie wypełnią samochody, *samlor*, czyli zmotoryzowane riksze, i *tuk-tuk*, dziwaczne trzykołowe pojazdy zaopatrzone w motorek i dwa siedzenia. Można było nimi manewrować do woli, co doprowadzało wszystkich do szału, gdyż *tuk-tuk* wciskały się wszędzie, używając na zmianę ulicy i chodnika, a nazwę zawdzięczały odgłosowi wydawanemu przez motorki.

Teraz z powodu wczesnej godziny ruch był jeszcze niewielki i miasto wyglądało prawie tak jak przed wiekiem. Bamrung Muang, jedna z głównych arterii, była niemal pusta, tonąc w kwiatkach. Chłodny wiatr niósł nieustanny brzęk dzwonek świątynnych, które dźwięczały dosłownie wszędzie. Złote kopuły i mozaikowe wieże widać było z każdego miejsca.

Kobieta o tajskich rysach, ale w europejskim stroju, modliła się przed jedną z miniaturowych kapliczek, prosząc duchy o udany dzień. Kapliczki spotykało się co krok. Wyglądały jak misternie zdobione domki dla lalek ustawione na słupach, zawsze udekorowane wotami: ręcznie malowanymi wazami pełnymi kwiatów, kadzidłami, kwietnymi naszyjnikami i barwnymi pasami jedwabiu. Ich widok przypomniał Hatcherowi najemnika nazwiskiem Knowles, który przed każdym zadaniem składał w jednej z nich w ofierze kulę.

Z mijanej świątyni wypadło z pół tuzina kapłanów z miedzianymi miseczkami, szukających śniadania. Blok dalej właściciel sklepu warzywnego kończył dekorację wystawy, dokładając soczyste banany do reszty wielobarwnej kompozycji.

Zaczęły się i sprzeczności: kino zasłaniające wiktoriański pałac czy trypietrowy Budda siedzący między dwoma wieżowcami. Były też przejawy miejscowego poczucia humoru: zakład fryzjerski o nazwie „Kochanie”, restauracja „Ubóstwo” czy hotel wynajmujący pokoje na godziny „Domowe Ognisko”.

Ulica dotarła do Yawaraj. Ponieważ ruch wyraźnie się nasilił, pojawili się kierujący nim policjanci w mundurach khaki i śnieżnobiałych hełmach. W niczym nie zmieniało to nastawienia kierowców, którzy by przedostać się przez zatłoczone arterie, polegali raczej na klaksonie i zręczności niż na czymkolwiek innym. Ulice zresztą stawały się coraz ciaśniejsze i bardziej kręte, biegnąc między starymi drewnianymi budynkami podpierającymi się wzajemnie. Od czasu do czasu monotonię przerywał elegancki dach

chińskiej pagody, ale przeważały rzędy sklepów sprzedających dosłownie wszystko: rzadkie przyprawy, afrodyzjaki, talizmany. Minęli Nakorn Kasem, chiński bazar zwany Targowiskiem Złodziei, co było raczej mylące, jako że aktualnie handlowano tam głównie artykułami toaletowymi i hydraulicznymi.

Skęcili w New Road, mijając ostatnie bloki dzielące ich od rzeki, i zatrzymali się przed „Muang House”, średniej klasy hotelem, który był jednym z ulubionych miejsc Halchera. Na tyłach znajdował się cel jego podróży: położona na tonącym w kwiatach tarasie wychodzącym na rzekę Chao Phraya restauracja „Oriental”. Zbliżała się dopiero siódma i oprócz Sloana nie było tam nikogo. Stał przy barierce, spoglądając na rzekę i popijając kawę. Poranny wietrzyk targał lekko poły jego białego ubrania z jedwabiu. W błękitnej koszuli mógł łatwo uchodzić za urzędnika czy sprzedawcę. Po chwili zajął stolik, założył okulary, które zsunął do połowy nosa, i zabrał się do lektury „Bangkok Post”, jednej z trzech anglojęzycznych gazet wychodzących w Tajlandii.

Jednym z powodów niepokoju, który dręczył Hatchera, gdy leciał do Bangkoku, był właśnie Harry Sloan. Zaskoczenie — tak powinno brzmieć jego przezwisko. Hatcher miał dziwne przeczucie, że zanim misja dobiegnie końca, będzie musiał stanąć pomiędzy Murphym i Sloanem.

— *Sawat-dii* — skłonił się kelner widząc go w drzwiach. — Śniadanie?

Hatcher wskazał Sloana i w ślad za kelnerem podszedł do stolika. Harry zerknął znad szkieł najpierw na przybysza, potem na zegarek.

— Dokładnie o czasie — mruknął. — Punktualność to cecha ludzi godnych zaufania.

Hatcher zamówił sok pomarańczowy, kawę i rogaliki.

— Nieźle się zabawieś w kolonii. — Głos Sloana był jak zwykle miękki i cichy, ale na twarzy nie pojawił się uśmiech. — Wystarczy mi to, co się dzieje w Madrango. Nie potrzebuję strzelaniny na Górze Wiktorii, masakry policjantów i wojny gangów, że nie wspomnę o zdziesiątkowaniu Ts'e K'am Men Ti na rzece. Nagle dziwnie się zmieniły priorytety, ale w tej chwili najważniejsze jest Madrango.

— Jesteś nieco oszołomiony, prawda? Nie wyrysowałem linii śmierci i nie strzelałem do każdego, kto ją przekroczy. Oni chcieli, i to usilnie, mnie zabić. Miałem może udawać kaczkę na strzelnicy?

— Nikt tego nie wymagał.

— To odwał się i daj mi skończyć to, czego się podjąłem.

— Chodzi mi o to, żebyś zdawał sobie sprawę, jak istotne jest teraz zachowanie spokoju. Zbyt wiele można stracić przez rozgłos. Tutaj, w Ameryce

Środkowej, na Środkowym Wschodzie. Do diabła, ja mam sprawy i ludzi w wielu miejscach, nie tylko ciebie tu i teraz.

Hatcher rozłożył serwetkę, gdy kelner przyniósł kawę, nie spuszczać jednak wzroku ze Sloana.

— Znałeś ryzyko ściągając mnie do roboty. — Hatcher solidnie osłodził kawę i dołał śmietany. — Poza tym obaj wiedzieliśmy, że zaczęły się kłopoty, w chwili gdy ten skurwiel Varney zapukał do twoich drzwi. Jak sam twierdzisz, gdy wie jeden, wiedzą wszyscy. Naturalnie przyspieszył wszystko drobiaz, że ta menda siedziała u Fonga w kieszeni.

— Świętej pamięci skurwiel, jak słyszałem. — Sloan uśmiechnął się. — Tylko na przyszłość bądź łaskaw pamiętać, że takie sprawy można wynegocjować.

— Nie bardzo było kiedy. Nie zadzwonili do Cohena z propozycją malej... — Do Christiana dopiero w tym momencie dotarł sens tego, co usłyszał. — Co masz na myśli mówiąc o negocjacjach? Z Białymi Dłońmi nie jesteś w stanie wynegocjować niczego.

— Jeśli będzie trzeba, to załatwię to — odparł nonszalancko Sloan.

— Jak?

— Robimy interesy z różnymi krajami. Jak potrzeba przycisnąć takiego dupka jak Fong, to są sposoby, by to zrobić.

— Harry, nikt nie jest w stanie przycisnąć takiego dupka jak Fong.

Kelner podał śniadanie. Sloan zamówił jajka na bekonie, tosta i owoce. Sala powoli zaczynała się zapełniać.

— Co, u diabła, stało się w górze rzeki? — spytał Harry soląc jajka.

— Szukałem informacji.

— Mam nadzieję, że były warte liczby trupów.

— A od kiedy przejmujesz się takimi drobnostkami?

Sloan odłożył sztućce i pochylił się nad stołem.

— Dowiedziałeś się czegoś czy nie? — spytał bez uśmiechu.

— Złapałem parę tropów.

— I to wszystko? Wszystko, czego się dotąd dowiedziałem, to że masz parę tropów.

— Dowiesz się jakich, jeżeli się sprawdzą.

Harry jęknął i opadł głębiej w fotel starając się zebrać myśli.

— Słuchaj no — oznajmił oficjalnym tonem Hatcher. — Przybyłem tu, by odnaleźć Cody'ego, i staram się to zrobić. I to na swój sposób, co nie oznacza składania ci meldunków co pół godziny. Powiedziałem, że będę dziś na tym śniadaniu, i jestem. Co cię, do diabła, obchodzi, z kim się białem i kiedy szczałem. To moje zmartwienie. Ja już nawet dla ciebie nie pracuję! Jestem prywatną osobą szukającą starego kumpla.

— Podziwiam twój talent do uproszczeń — zachichotał Sloan. — Cóż, mam dla ciebie parę złych nowin, a kilka jeszcze gorszych na później. Które wolisz najpierw?

— A dlaczego się przy tym uśmiechasz?

— Bo potrafię być równie perwersyjny jak ty. Z tych gorszych to znaleźli nieśmiertelniki Cody'ego na miejscu krakusy.

Hatcher skrzywił się ironicznie, przetrawiając nowinę.

— Kiedy się tego dowiedziałeś?

— Zeszłej nocy. Znaleźli przy przetrząsaniu okolicy w siedemdziesiątym szóstym, a w raporcie tego nie było, gdyż już został oficjalnie uznany za zmarłego i rządowe akta były zamknięte.

— A jak ty na to wpadłeś?

— Znasz Flitcrafta. Nielatwo się go pozbyć. Kiedy dostaliśmy raport Cykora, wysłał rutynowe pytanie do komisji do spraw jeńców wojennych i do towarzystwa ubezpieczeniowego. Wiadomość była w papierach tego ostatniego, ale nie dołączono jej do akt, bo to już nikogo nie obchodziło.

Hatcher zastanowił się przez chwilę. Tak naprawdę była to dobra wiadomość, rozwiązywała bowiem problem, jaki go męczył od chwili rozmowy z Holendrem — sprawę tożsamości Cody'ego w niewoli.

— To wyjaśnia, dlaczego Wietkong go nie wykorzystał — mruknął.

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Dotąd mnie to gryzło, bo było pozbawione sensu. Skoro mieli syna naszego głównodowodzącego, to znajdowali się na doskonałej pozycji przetargowej, a nigdy nawet nie spróbowali tego wyzyskać. Teraz wiadomo dlaczego — oszukał ich, Harry. Nie mieli pojęcia, kim naprawdę jest.

Sloan uniósł brwi. Oczywiście było, że na to nie wpadł.

— Wszystko potrafisz wykorzystać — przyznał.

— Znalazłem też ten obóz. Był po laotańskiej stronie Annimitique koło miejscowości o nazwie Muang. Był obozem przejściowym dla wietnamskich zdrajców...

— O kurwa! jęknął z odrazą Sloan.

— Może najpierw skończę, dobrze? Było tam też ośmiu czy dziesięciu Amerykanów — stałych niewolników. Rozmawiałem z facetem, który sądzi, że widział wśród nich Murphy'ego.

— Sądzi?

— Rozmawiamy o okresie sprzed dziesięciu, jedenastu lat.

— A co się stało z tym obozem po wojnie? — Sloan podrapał się w podbródek.

— Nie wiem, ale wiem, że komendant był tak skorumpowany, że nie mógł wrócić do Hanoi. Wiem też, że uciekł.

— Więc jeśli Cody tam był, mógł to wykorzystać?  
— Zaczynasz myśleć — przyznał Hatcher.  
— Skąd te wiadomości?  
— Z rzeki, od handlarza zwanego Holendrem. Po nie tam popłynąłem, a reszta wyszła sama.

Ego Sloana zostało mile połaskotane. Przez dłuższy czas siedział w milczeniu, przyglądając się Hatcherowi, aż w końcu stwierdził:

— To nadal tylko gdybanie i możliwości. I nadal nie mamy nic konkretnego oprócz Wol Potą.

— Zgadza się.

— Znow to pieprzenie o zaginionych w akcji. Powiem ci coś. Nie myślę, aby nadal w Hanoi czy gdziekolwiek siedziało dwa tysiące czterystu Amerykanów ucząc żółtków gry w monopol. Może kilkunastu pałęta się po Laosie, może paru zdrajców siedzi w Wietnamie. Ale reszta została dawno zamęczona, rozstrzelana albo zmarła z wycieńczenia. I to są ci, których nie rozwalili od ręki w dżungli, gdzie nikt nigdy nie znajdzie pojedynczego szkieletu. Cholera, wielu porządnych chłopaków zginęło w tej wojnie. Po co torturować resztę złudnymi nadziejami? We własnym kraju można zginąć pod ciężarówką albo zatruć się w knajpie. Są gorsze rodzaje śmierci niż polec służąc ojczyźnie.

— To dlaczego nie byłeś uprzejmy wygłosić mi tego rekrutując do zadania?

— Nigdy nie powiedziałem, że on żyje — obruszył się Sloan.

— Dałeś to wystarczająco jasno do zrozumienia, abym tu przyjechał.

— Cóż, przyznaję, że twoje nastawienie znacznie się poprawiło od naszej rozmowy w Georgii czy nawet w Hongkongu.

— Powiedzmy, że z kaczkii dziennikarskiej zrobiła się wiarygodna opinia.

— Pierdoły! Znam cię i mogę się zorientować, kiedy wpadasz na coś konkretnego. To jest właśnie jeden z takich wypadków.

— Zgadza się — przytaknął spokojnie Hatcher.

— Uważasz, że Cody żyje?

— Ujmijmy to inaczej. Mocniej niż w Hongkongu wątpię w jego śmierć.

— Dlaczego?

— Drobiazgi zebrane w całość. — Hatch wzruszył ramionami. — Możesz to nazwać intuicją.

— I żadnych dowodów?

— Żadnych.

— Mhm... no, niech będzie.

Hatcher opuścił parę istotnych elementów układanki, jak na przykład to, że Cody brał narkotyki. Nie wspomniał o Pai ani też o Tajskim Koniu. Powód był prosty: nie ufał już Sloanowi.

— W takim razie pojawia się nowy problem — odezwał się Harry. — Jeśli Cody żyje, to co jest powodem jego tyloletniego milczenia? W co się wplątał?

— W Georgii powiedziałaś, że jeżeli go odnajdę, to nie będzie żadnych pytań. Jego stary chce się z nim pożegnać. I to był jedyny problem.

Sloan w skupieniu zapalił cygaro.

Obaj dziwnym trafem pomyśleli o innych czasach, w których ufali sobie i polegali jeden na drugim, gdy istniała łącząca ich niewidzialna więź, silniejsza niż rozkazy czy obowiązek. Los Boxes zniszczyło ją. Teraz obchodzili ostrożnie temat, unikając brania byka za rogi. Sloan jak zwykle nie chciał nazwać rzeczy po imieniu. Nigdy tego nie robił i nigdy dotąd nie musiał.

— Tak naprawdę to chodzi o ochronę reputacji generała i o to, żeby stary nie czuł się zakłopotany — podpowiedział mu Hatcher.

Sloan lekko uniósł brwi.

— Może chodzić o coś więcej — przyznał z niechęcią.

— Jak na przykład, co Cody porabiał przez ostatnie piętnaście lat?

— Między innymi.

— To nie było częścią umowy — przypomniał Christian.

— Jezu! Wykonujesz takie zadania od prawie dwudziestu lat. Muszę ci wykładać kawę na ławę?

— Tak. Tym razem tak — szepnął Hatcher.

— Dla mnie to oczywiste.

— Chcesz, bym podjął wyjątkowo trudną decyzję.

— Robiłeś to wielokrotnie w przeszłości. Gdzie tkwi problem? Zdaje się, że z powodu starej przyjaźni zacząłeś mięknać.

— Mówimy nie tylko o starym kumplu. Mówimy o synu Buffalo Billa.

— I o to właśnie chodzi — ucieszył się Sloan.

— Dlaczego, do cholery, nie nazwiesz rzeczy po imieniu? Chcesz, żebym go załatwił, tak?

„Skurwiel zrobił to znowu — pomyślał Hatcher. — To śliskie ścierwo znów zmusiło kogoś innego do nazwania mordu mordem”.

— Chcę, abys sprawdził, czy żyje, a jeśli tak, to dlaczego nie daje znaku i nie wraca do domu — Sloan mówił wolno i wyraźnie.

— A jeżeli jest zamieszany w coś... coś niegodnego...

Nie dokończył.

— Niegodnego? Boże słodki! Gdzieś ty się nauczył tego słówka? Nigdy dotąd nie musieliśmy o takich sprawach rozmawiać — warknął Sloan mrużąc nagle oczy.

„Co się, do cholery, dzieje z Hatcherem?” Sloan poczuł nagły skurcz w żołądku.

— Dlaczego tego nie powiesz wprost?

Harry nie odezwał się słowem. Pykał cygareto wpatrując się uparcie w przestrzeń.

— Jezu, ty nie chcesz prawdy, ty chcesz martwego Cody'ego. — W głosie Hachera było autentyczne zdumienie.

— Chcę, żebyś wybrał to, co właściwe, tak jak zawsze wybierałeś.

— Gówno — warknął Hatcher — nie chcę niczego wybierać. Nie przybyłem tu zabijać. Przybyłem sprawdzić, czy Murphy Cody żyje, czy nie. Teraz zaczynasz wyznaczać nowe zasady gry.

— Żadne za...

— Nie podejmę takiej decyzji — przerwał mu szept Hachera.

— Więc jak dojdiesz prawdy, to mi powiedz. Ja ją podejmę.

— To bohater wojenny, Harry.

— Benedict Arnold też nim był.

— Co wiesz, czego mi nie powiedziałeś?

— Nic, kurwa. — Sloan nagle się zdenerwował. — Ani jednej wszawej dupereli.

— No, to dochodzisz do niezwykle pochopnych i jednoznacznych wniosków.

— A do jakich niby miałbym dojść? Sam praktycznie parę minut temu podsumowałeś sprawę. Facet znika na piętnaście lat, po czym nagle zjawia się w Bangkoku i nie chce, by ktokolwiek o tym wiedział. Wol Pot, który go rozpoznaje, musi pryskać, a Porter Cykor ginie w jego obronie. Przypuścimy, że ci dwaj chinole, co go załatwili, mieli załatwić Wol Pot, który razem z Codym wszedł w paradę triadom.

— Przypuścimy i przypuścimy. Przecież nawet nie wiemy, czy on żyje. Ten cały Wol Pot mógł nas wszystkich próbować zrobić na szaro.

— Zgoda, okay. — Sloan niespodziewanie złagodniał, po czym dodał jakby mimochodem: — Jeśli tak się mają sprawy, to załatw tego śmierdziala.

— Tak łatwo ci to przychodzi? — zainteresował się Hatch. — Załatw tego, załatw tamtego.

Sloan westchnął i nagle zapadł się w sobie. Wyglądał o dziesięć lat starszej.



— Toczyliśmy te wojny cieni za długo, by móc się teraz zmienić — potwierdził zmęczonym głosem.

— A jeżeli Cody jest czysty?

— To ustal spotkanie z jego starym i po sprawie. Słuchaj, mnie nie zależy na śmierci Cody'ego, ale każdy z nas robi to, co musi. I ty, i ja. I pamiętaj starą zasadę: zaczniesz szukać odpowiedzi na zbyt wiele pytań, to nie przeżyjesz. Zabraknie ci czasu. Każdego dnia liczy się refleks. Każdego dnia masz dwa wyjścia: zrobić to albo nie. Jeśli nie znasz tej zasady, to nie podejmiesz szybko decyzji, a wtedy przeciwnik cię dorwie. Czy kiedyś tłumaczyłem ci inaczej? Czy kiedyś miałeś co do tego jakieś wątpliwości?

— Aż do teraz nie — przyznał Hatcher.

— To może wybrałem złego człowieka?

— Może.

— Chcesz zrezygnować?

Christian zastanowił się nad tym. Co do Cody'ego miał mieszane uczucia, podobnie jak jego boczni: jeden uważał go za bohatera, drugi za maniaka. Teraz cała sprawa nabrała nowych aspektów: nie było ważne, żyje czy nie, ale czy powinien dalej żyć, czy też nie. Hatcher wiedział, że jeżeli zrezygnuje, Sloan zatrudni kogoś innego, kto wykona zadanie nie zastanawiając się. Jakiegoś wysokiej klasy rzeźnika. Kogoś, kim on był przez długi czas. Uważał, że jest jedynym, który mógł sprawiedliwie osądzić Cody'ego. I musiał przyznać, choć z niechęcią, że Sloanowi znów udało się go zrobić. Miał tylko jedno wyjście.

— Zostaję — powiedział powoli. — Jeżeli żyje, odnajdę go.

— I co dalej?

— Zobaczę, jeżeli go znajdę żywego.

Sloan przyglądał mu się przez kilkadziesiąt sekund i w końcu skinął głową:

— Niech będzie. — Przesunął ku Hatcherowi kopertę, którą wyjął z kieszeni. — Tu jest wszystko, co ambasada miała o Porterze. Jego dziennik zawiera parę adresów, które mogą ci pomóc.

— A raport policji?

Sloan zachichotał, jakby lubował się w przekazywaniu złych wiadomości.

— To kolejna zła wiadomość. — Dopił kawę i otarł usta serwetką. — Mamy z nimi pewne kłopoty.

— Jakiego rodzaju?

— Udają niezależnych. Zbyli wysłańca ambasadora twierdząc, że zatrzymują wszystkie rzeczy Portera do zakończenia śledztwa i aż do tego momentu nie będą o tym gadać.

- Prawdopodobnie nic nie wiedzą.
- Będiesz miał do czynienia z majorem Ngy. Ja zajmę się przewiezieniem ciała do Stanów. Jakbyś mnie potrzebował, dzwoń do Flitcrafta, on zawsze wie, gdzie jestem.
- Jaki jest ten cały Ngy?
- Przewisko Mangusta chyba ci wszystko wyjaśnia, prawda?

## MANGUSTA

Po wyjściu z restauracji Hatcher sprawdził taksówki stojące przed hotelem. Miał zwyczaj wynajmować wóz z kierowcą na tydzień, by zawsze mieć go pod ręką. Poza tym było to tańsze.

Szukał też kierowcy znającego miasto i życie, kogoś sprytnego, kto mógłby znaleźć właściwe osoby, którym można zadać właściwe pytania.

Na przodzie stały rollsy i mercedesy, dalej plymouthy i toyoty. Wszyscy kierowcy, szeroko uśmiechnięci, przytrzymywali otwarte drzwi, zapraszając do środka. Na samym końcu stał trzykołowy *tuk-tuk*, którego drobny, choć muskularny kierowca ćwiczył czekając na klienta. Nagle zrobił krok w tył i gwałtownie wyprowadził serię ciosów rękoma i nogami, podbiegając kilka kroków. Zakończył ją kopniak na wysokość ramienia i podbiegł na miejsce startu. Zobaczył, że Chris go obserwuje, i uśmiechnął się. Widząc zaś gest Hachera, podbiegł i skłonił się. Miał spodenki z obciętych džinsów i biały podkoszulek z granatowym napisem: „Drużyna Pijacka Harvardu”.

— *Sawat-dii* — wypowiedział ogólne pozdrowienie tajlandzkie, oznaczające wszystko od „cześć” po „do widzenia”, i skłonił się ponownie.

— *Sawat-dii, khrap* — odparł Hatcher. — *Phom maa jaak Muang Saharat.*

Mężczyzna miał około pięciu stóp i pięciu cali wzrostu, jakieś dwadzieścia pięć lat i płaski nos na szerokiej twarzy, co sugerowało mieszanekę krwi tubylczej z chińską. Jak wielu Tajlandczyków miał na ramieniu tatuaż, wizerunek Kinnari, pół kobiety, pół ptaka, bogini przynoszącej szczęście.

— Wiem, że jesteś Amerykaninem. Mówię po angielsku — oznajmił dumnie.

— *Sabai-dii.* Jak się nazywasz?

— Tsi Tei Nyk, ale wszyscy nazywają mnie Sy — uśmiechnął się ukazując dwa rzędy zrujnowanego uzębienia. — A ty jak się nazywasz?

- Hatch.
- Sy, Hatch. — Sy wymownie zamachał ręką.
- Pojłeś. Dużo ćwiczysz? — Chris parokrotnie zamarkował uderzenia.
- Jestem bokserem — oświadczył dumnie Sy wypinając pierś. — Jeżdżę *tuk-tuk*, aż zbiorę wystarczającą ilość pieniędzy.

Odskoczył do tyłu i wykonał efektowną serię ciosów rękoma, zakończoną kolejnym kopnięciem.

- Ćwiczę co rano przez dwie godziny, a po południu przez pół.
- Chcesz dla mnie pracować mniej więcej przez tydzień?
- Tydzień? A co robić?
- Tłumaczyć.
- Tu każdy mówi po angielsku, a ty znasz tajski — zdziwił się Sy.
- Mówię, ale nie *sabai-dii*. Powozisz mnie tu i tam, opowiesz o ludziach, pomożesz załatwić parę spraw. Żadnych problemów.
- Aha, żadnych problemów — powtórzył Sy i nagle zrozumiał, w jakim celu faktycznie ma być wynajęty. — *Mai pen rai*.
- Właśnie — zgodził się Hatcher. — A więc ile?
- Codziennie, cały dzień?
- Długo śpię — uśmiechnął się Christian.
- Rozumiem. I późno chodzę spać — zachichotał Sy.
- Mniej więcej.

Sy założył ręce za plecy i ze zmarszczonym czołem przespacerował się kilkakrotnie przed Hatcherem w tę i z powrotem.

- Jutro w nocy mam walkę i nie będę mógł pracować — oznajmił.
- Okay.
- I każdego popołudnia muszę ćwiczyć.
- Rozumiem. Gdzie będziesz walczył?
- Wszędzie. Jutro w Royal Park niedaleko Wat Phat. Jak zbiorę dość pieniędzy, to któregoś dnia zostanę członkiem gwardii królewskiej.
- Tego pragniesz? Być gwardzistą?
- Tak. Codziennie proszę Buddę o ten dar. Od dwunastu lat. Noszę *hai-huang* i tatuaż, aby mi pomogły.

Sięgnął za koszulkę i wyjął owalną ozdobę z brązu zawieszoną na srebrnym łańcuszku. Tajlandczycy niesamowicie wierzyli w tak zwane *hai-huang*, „odpędzacz strachów”, i niektórzy mieli amulety praktycznie na wszystkie okazje. Przy każdej z czterystu świątyń były sklepy i stragany specjalizujące się w amuletach. Ten miał wygrawerowanego odpoczywającego Buddę.

- Ładny — przyznał Hatch. — Dobra, znajdziemy te pół godziny, żebyś nie wyszedł z formy. Może nawet pójdę z tobą na mecz.

— Załatwię ci bilet. — Kierowca wyraźnie się ucieszył, podkreślając to dwoma silnymi kopnięciami w bok.

— Więc ile?

Sy wyciągnął dłoń z rozcapierzonymi palcami.

— Piątaka, w dolarach.

— Za godzinę?

— Za dzień.

— Pięć dolarów dziennie? — upewnił się zaskoczony Hatcher.

— I jedzenie.

— Zgoda. Pięć dolarów i posiłki.

— *Chai* — ucieszył się Sy.

— Jesteś wart więcej.

— Więcej?

— Dwadzieścia dziennie.

— Dziennie! — powtórzył Sy wytrzeszczając oczy.

Hatcher poważnie skinął głową.

— Jestem bogaty — stwierdził uradowany Tajlandczyk. — Wynajmę auto.

— Umiesz prowadzić samochód?

— Jasne.

— Dobra, dorzucam auto.

— Dorzucasz? — nie zrozumiał Sy.

— Wynajmę dla nas samochód — wytłumaczył Christian.

— Jeepa? — ucieszył się Sy.

— Nie, coś lepszego.

— Jeep jest dobry! Dobrze bierze dziury.

— Ale potem dupa boli — szepnął Hatcher konfidencjonalnie. — I jest w nim za ciepło.

— Merkedesa — Sy wymówił „c” tak twardo, że zabrzmiało jak „k”

— A co sądzisz o chevie?

— Chevolecie?

— *Chai*.

— Okay. — Sy wzruszył ramionami z rezygnacją.

— Dobra, to zrobimy tak. Najpierw pojedziemy na komendę, potem do mojego hotelu i wynajmiemy wóz. A potem przez godzinę albo dwie będę studiował papiery. Za hotelem jest niewielki park, gdzie możesz spokojnie trenować. Później razem zwiedzimy Bangkok.

Major Tan Ngy stał za biurkiem, z rękoma na plecach i nieprzeniknioną twarzą, wpatrując się w memorandum leżące na blacie. Był zły. Zły na szefa, który kazał mu współpracować z Amerykanami, i na Amerykanów za wtrącanie się w sprawy policji miasta Bangkok. A najbardziej z tego powodu, że niedługo miał się tu zjawić jakiś Amerykanin i zacząć się wtrącać.

Dlaczego Amerykanie zawsze mają prawo wtykać wszędzie swoje trzy grosze? Gdziekolwiek by to było, oczekują, że raporty i władza zostaną im przekazane natychmiast, jak tylko tego zażądataj. Śmierć Portera, oficera amerykańskiego wywiadu, była sprawą policji, a nie armii czy wywiadu amerykańskiego, czy też tego całego Hatchera. To była jego sprawa, majora Ngy. Był szefem wydziału zabójstw i tak w ogóle to nie miał nic przeciwko Amerykanom, ale nie lubił, by ktokolwiek wtrącał się do jego spraw.

Ngy był doskonałym policjantem — twardym, odpornym, uczciwym i nie idącym na kompromis. Te cechy spowodowały, że nosił przydomek Mangusta. I nie potrzebował Amerykanów węszących wokół i dających do zrozumienia, że jego umiejętności są żadne lub choćby niedostateczne.

A najgorsze było to, że tak naprawdę to nie miał nic do zameldowania. Śledztwo bowiem stało w miejscu. Ślad z każdym dniem stawał się coraz słabszy, a z każdą godziną mordercy odsuwali się coraz dalej poza jego zasięg. Teraz ten jankes zaofiaruje się rozwiązać całą sprawę, ot tak sobie. Miał już z nimi do czynienia: arogancy i traktujący wszystkich z góry. A on musiał być miły. Notatka od szefa wyraźnie to podkreślała — miał być przyjacielski. Niech to szlag trafi!

Zdecydowanie nie był to szczęśliwy dzień.

Spojrzał na zegarek. Brakowało kwadransa do podanej godziny przybycia Amerykanina. Był pewien, że facet okaże się punktualny. Ciekawe, czy tacy jak on nigdy się nie spóźniają? Będzie uprzejmy i wyrozumiały. I będzie bez przerwy szczerzył zęby w uśmiechu. A potem zaofiaruje pomoc lokalnej policji. To się zawsze u nich nazywa „pomoc”.

Gdy brakowało dwóch minut, do drzwi zapukał asystent i prawie z rewerencją oznajmił przybycie Hatchera.

Ngy podszedł do sierżanta i szepnął wściekle:

- To jest oficer armii amerykańskiej, a nie król tego kraju.
- T-t-tak jest, sir — wyjąkał podoficer zaskoczony niezrozumiałym napadem złości u szefa.
- Wpuść go! — Ngy wrócił do biurka.

Hatcher, idąc na to spotkanie, żywił podobne uczucia jak Ngy. Nie miał

ochoty niczego aprobować lub nie ani mieszać Amerykanów do śledztwa. Potrzebował jedynie kopii raportów policyjnych i chciał wysondować, jak daleko posunęli się w śledztwie. Nie bardzo wiedział, jak to osiągnąć nie wzbudzając podejrzeń policjanta. Był natomiast pewien, że nie zająknie się słowem na temat Cody'ego, Wol Pota czy Tajskiego Konia.

Zaskoczyły go rozmiary pokoju. Cokolwiek by myśleć, było to tylko biuro oficera policji, a nie gabinet premiera. W wysokim, dźwiękoszczelnym pomieszczeniu była błyszcząca posadzka i niewiele mebli, na których nie pozostawiono śladu kurzu. Papiery leżące na biurku lekko szeleściły w podmuchach wiszącego pod sufitem wentylatora, a odgłosy z ulicy zlewały się w ledwie słyszalny pomruk dzięki zamkniętym okiennicom.

Gospodarz był niewysoki i szczupły, ubrany w nieskazitelny garnitur khaki, błękitną koszulę i żółty krawat. Wąsy i włosy miał obcięte z zaskakującą dokładnością, paznokcie nienagannie wymanikiurowane, a w czarnych butach można się było przejrzeć. Twarz była maską nie ujawniającą ani złości, ani przyjaźni, ani wrogości. Niczego.

„Morderca przy stoliku pokerowym” — pomyślał Hatch.

O majorze wiedział sporo. Awanse zawdzięczał własnej pracy, uczęszczał do Akademii FBI, spędził sześć miesięcy w policji Nowego Jorku. Był w zespole, który przeszedł szlak przetrzutu heroiny ze Złotego Trójkąta do Malezji. W grupie tej pracowali głównie amerykańscy agenci służb antynarkotycznych. Jego lista aresztowań była obiektem zazdrości wszystkich równych mu stopniem w tajlandzkiej policji.

Że jest pedantem, widać było na pierwszy rzut oka. Wszystko, co go otaczało, było porządne i zadbane, poczynając od ubrania, poprzez pokój, a kończąc na biurku. Listy, długopisy, telefon tworzyły układ odznaczający się geometryczną wręcz dokładnością. Każdy przedmiot miał ściśle określone miejsce. A to oznaczało osobę o wielkim ego, którą bardzo łatwo jest urazić. Z tym policjantem należało postępować bardzo, ale to bardzo ostrożnie.

— Majorze — zaczął Christian, starając się mówić możliwie najszczerzym tonem. — Jestem Hatcher. Nie potrafię wyrazić, jak miło mi, że zgodził się pan ze mną spotkać.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Ngy usilnie się starał, aby uśmiech nie zamienił mu się w grymas. — Wstyd mi, że coś takiego miało miejsce właśnie tu. Żywiłem nadzieję, że Bangkok jest bardziej cywilizowany.

„Oho — pomyślał Chris — ma problemy ze śledztwem”.

— Takie rzeczy się zdarzają — odparł. — Czy sądzi pan, że motywem był rabunek?

„Aha — skonkludował Ngy — delikatne zapuszczanie żurawia. Cóż, nie zaszkodzi trochę mu powiedzieć”.

— Nie — zaprzeczył. — Niczego nie zabrano. Wygląda na to, że wmieszal się w bójkę i przyplacił to życiem. Są świadkowie, którzy widzieli całe zajście.

„Cwany glina — stwierdził w myślach Hatcher. — Jeżeli są świadkowie, to dowiedział się już od nich wszystkiego, czego się dało, i nie ma powodów, by się nimi więcej interesować. Można spróbować dać mu trochę danych i trochę go ogłupić przy okazji”.

— To w stylu Cykora, tak na niego mówiliśmy... To właśnie w jego stylu starać się pomóc innym.

— Rozumiem — przytaknął Ngy nadal z uśmiechem, myśląc równocześnie: „Zdaje się mnie wpuszczać w ślepej uliczki, że to było przypadkowe zabójstwo. Czyżby nie wiedział, że ja wiem, iż Porter był oficerem wywiadu? Tacy nie dają się zabijać przez przypadek”.

— Ironia losu, prawda — ciągnął Hatcher. — Jako oficer wywiadu zasłużył... nie wiem, jak by to powiedzieć... na bardziej... egzotyczną śmierć.

„Sprytne — przyznał w duchu policjant. — Wszystko i nic na temat jego pracy, ale temat załatwiony. Stawia problem i sam go rozwiązuje. O co mu chodzi?”

— Nie wykluczaliśmy jeszcze innych możliwości — powiedział szybko. — Z wszystkich dowodów jednakże jak dotąd wynika, że był pechowym Amerykaninem.

„Jest tu, bo coś wie, czy dlatego, że nic nie wie? — zastanawiał się Ngy. — Może facet miał jakieś brudne zadanie, a Hatcher stara się dowiedzieć, ile wiemy. Trzeba spróbować przynęty...”

— Czy zajmował się on czymś, co... hm, mogłoby rzucić nowe światło na sprawę? — spytał ostrożnie.

Hatcher poczuł ulgę — policja faktycznie nic nie wiedziała.

— Nie — potrząsnął głową. — Jego praca dotyczyła bezpieczeństwa ambasady. Miał niewiele do emerytury i nie był już agentem polowym. Traktowano jego zajęcie jako bezpieczną posadkę na te ostatnie lata.

„Zaufać mu? — namyślał się Ngy. — Jeśli to, co mówi, jest prawdą, to Porter rzeczywiście zginął przypadkowo. A to spowodowałoby, że szef łątwiej pogodziłby się z niemożnością odnalezienia mordercy”.

— Cóż, proszę być pewnym, że robimy wszystko, co tylko w naszej

mocy, by schwytać zabójców — dodał Ngy. — Mamy dobre rysopisy zarówno ich, jak i mężczyzny z drugiej łodzi.

— Drugiej łodzi?

„No, no — przemknęło przez myśli oficera — nie przygotowaliśmy się starannie. Nawet w gazetach przecież o nim było. No to zobaczymy, jak zareaguje na trochę dobrowolnych informacji”.

— Chodzi mi o człowieka, który wydaje się zamierzoną ofiarą morderców — wyjaśnił. — Skoczył do wody, gdy zaczęła się walka. To mogły być porachunki gangów, a wasz człowiek po prostu został w nie zamieszany. Była tam także prostytutka, ale nic nie wskazuje na to, by ona i major Porter się znali. Zapewniam, że nie podejrzewamy między nimi żadnego związku.

— Dzięki Bogu! I tak to wystarczający wstrząs dla jego żony.

Ngy postanowił spróbować, czy gość nie przyda mu się na coś.

Wyjął z akt kartkę poliniowanego papieru z notesu. Była pomarszczona, a niebieski atrament porozlewany i wyblakły.

— Znaleźliśmy to — wyjaśnił pokazując kartkę Hatcherowi — ale nawet nasi grafolodzy nie są w stanie odczytać treści.

Chris starannie obejrzał papier z obu stron. Bez dwóch zdań pochodził z notesu Portera, i to z dnia, w którym zginął. Oddał ją majorowi, nie chcąc okazać zbytniego zainteresowania.

— Pewnie lista zakupów — mruknął wzruszając ramionami.

— Pewnie — zgodził się Ngy z uśmiechem.

— Może powinienem ją pokazać paru jego współpracownikom. A nuż zdołam się dowiedzieć czegoś, co mogłoby panu pomóc.

Ngy momentalnie stał się znów podejrzliwy, ale po chwili zdecydował, że niepotrzebnie. Ten cały Hatcher nie wydawał się zainteresowany sprawą w najmniejszym nawet stopniu, jeśli nie liczyć oficjalnego raportu. I jak dotąd nawet nie próbował się wtrącać. Zdecydował, że małe ustępstwo, czy nawet dwa, może być korzystne.

— Nie widzę przeszkód — stwierdził z uśmiechem.

„No — pomyślał Hatcher — zbliżamy się do finału”.

— Doskonale powiedział głośno. — Cóż, wiem, że jest pan zajęty, a ja muszę dopilnować, by zwłoki dotarły bezpiecznie do kraju. Poinformuję rodzinę, że policja zajmuje się sprawą z całą pieczołowitością. Wie pan, jak to jest, gdy coś się dzieje na drugiej półkuli i nie ma się na to żadnego wpływu...

Ngy zgodził się z zapalem. Dlaczego by nie uspokoić gościa i przy okazji pozbyć się go raz na zawsze?

— Może pomogłoby, gdyby pan dostarczył im kopię naszego raportu



dochodzeniowego — zaproponował. — Niech mają dowód, że robimy wszystko co w naszej mocy.

Hatcher z trudem ukrył zadowolenie. *Veni, vidi, vici...*

— To doskonały pomysł, majorze. Pewien jestem, że to osiągnię zamierzony skutek.

„Niegroźny — pomyślał Ngy po wyjściu Hachera. — Najwyraźniej Amerykanie mają jednak do mnie zaufanie”.

Hatcher wrócił wraz z Sy do hotelu, gdzie wynajął granatowego dwudrzwiowego chevroleta. Następnie Tajlandczyk poszedł ćwiczyć do parku, Christian zaś udał się do swego pokoju. Zamówił butelkę Jacka Danielsa i dzbanek tutejszej herbaty. Włączył klimatyzację i wentylator, nalał sobie herbaty z dodatkiem whisky i zasiadł na sofie z raportem w rękę. Resztę papierów ułożył na stoliku w zasięgu ręki.

Raport był krótki, pusty i oficjalny. I naturalnie mówiący niewiele nowego. Świadkowie zeznali, że jakiś mężczyzna poszedł z prostytutką imieniem Sukhaili pracującą na Phadung Klong koło targu przy New Road. Gdy byli w kabinie, podpłynęła *hang yao*, z której dwóch mężczyzn przeskoczyło na łódź sąsiadującą z łodzią Sukhaili. Amerykanin Porter najwidoczniej chciał przyjść z pomocą dziewczynie i został przez jednego z napastników ugodzony nożem. Wypadł za burtę i jego ciało zostało wyłowione przez świadków. Mężczyzna, który był z Sukhaili, widząc, co się dzieje, wyskoczył do wody i zniknął, zabójcy zaś uciekli *hang yao*, którą potem odnaleziono wraz z ciałem właściciela, także zakłutego nożem. Sekcja wykazała dwie rany klute w ciele Portera: jedną zadaną w dolną część prawej piersi, a drugą w kark, biegnącą ukośnie w dół. Użyte zostało cienkie narzędzie, prawdopodobnie sztylet długości siedmiu cali. Drugi cios doszedł do serca i przebił je.

„Może i są na tym świecie przypadki — pomyślał Hatcher — ale żeby stosować pchnięcie będące znakiem firmowym Chiu Chao nie należąc do organizacji — to chyba zbyt wielki zbieg okoliczności”.

Paru policjantów, którzy sporządzili raport, wyszło z założenia, że celem ataku było ograbienie prostytutki i jej klienta, czemu niezbyt szczęśliwie usiłował przeszkodzić Porter. Rysopisy były, łagodnie mówiąc, ogólne: jeden napastnik został określony jako Chińczyk ze szramą na policzku i naruszonym okiem, o drugim nie powiedziano prawie niczego.

Próby zlokalizowania czy zidentyfikowania klienta, który wyskoczył, nie przyniosły rezultatu. Rysopis podany przez dziewczynę także był mało

pomocny: pięć stóp i sześć cali, sto pięćdziesiąt funtów wagi, brązowe oczy, czarne włosy, wąska, pociągła twarz. Żadnego nazwiska. Według jej zeznań zabójcy nie odezwali się słowem. Jeżeli to był Wol Pot, to dlaczego Porter wmieszał się ratując mu życie? Jedynym rozsądnym rozwiązaniem było, że wiedział, iż jeśli stracą obiekt obserwacji, to stracą też i Cody'ego, i starał się pomóc.

Sporo czasu Hatcher poświęcił owej przemoczonej kartce, starając się spisać z niej wszystkie możliwe kombinacje liter i cyfr, które zdawały się mieć jakiś sens. W dzienniku Portera było ponad tuzin adresów, choć wychodziło na to, że obserwacja była z gatunku najprostszych, czyli agent nie wypytywał o Wol Pot, Taisunga, czy jak tam się obiekt nazywał.

Hatcher dodał do swojej listy miejsc do sprawdzenia każdy adres wymieniony więcej niż raz, z „Stagecoach Deli” włącznie. Porter był tam trzykrotnie, przy czym raz zanotował: „Zjadłem lunch obserwując obiekt przez ulicę”. Był też na kilku meczach bokserskich i raz na wyścigach.

Do wykazu dodał też Tombstone i „Longhorna” — dwa miejsca podane Daphne przez Murzyna z końskim ogonem. Gdy skończył, lista liczyła piętnaście do dwudziestu miejsc. Przystudiował ją uważnie, próbując ustalić jakąś prawidłowość w ruchach Wol Pot, oraz wyrobić sobie o nim opinię.

Ledwie Hatcher odszedł, Sloan wziął klimatyzowaną limuzynę i pojechał do ambasady. Podpisał dokumenty i poczynił niezbędne kroki, by ciało majora Portera dotarło bezpiecznie do San Francisco odlatującym nazajutrz wojskowym transportem. Zajęło mu to ładnych parę godzin. Zjadł później lunch z Harveyem Kendallem, dyplomatą obznajmionym z NSA i agencjami antynarkotycznymi, i gawędził z nim przez godzinę. Następnie złapał *tuk-tuk* do Yawaraj i po slalomie w płataninie wąskich uliczek dotarł do rzeki.

Stary, który go wpuścił przez wypaczone zębem czasu drzwi, mógł być bliźniakiem odźwiernego z poprzedniej nocy. Miał oczy jak rozbiegane, wypalone węgle, sieć zmarszczek i pergaminową cerę nieboszczyka. Przypominał go zresztą stopniem wyniszczenia organizmu.

Wszędzie pełno było pajęczyn, a cała drewniana buda skrzypiała i pojękiwała. Stary powiódł Sloana wzdłuż rzędu minikabin, z których unosiły się wstęgi szarego dymu, zbierając się pod wysokim sufitem w gęstą chmurę. Z jednego z przedziałów dobiegała irlandzka kołysanka. Słodki zapach opium

był wszechobecny i Sloan poczuł suchość oczekiwania w gardle.

Zapłacił staremu, wszedł do kabiny i położył się na wąskim pościeliu. W pomieszczeniu było gorąco, toteż zdjął krawat i rozpiął koszulę do pasa. Od dymu już kręciło mu się w głowie, ale bacznie obserwował ceremoniał przygotowania fajki. Myślami powrócił do Hachera, który coraz bardziej odsuwał się od Brygady Cieni. Był zły na Chrisa, nie dało się bowiem wykreślić z pamięci wszystkich chłopaków, jacy w niej byli, ani tego, co się z nimi stało. Eddie Conlan zabity w Libii. Ike Greenbaum spalony żywcem w kraksie w Chile. Dick Mazzetti prowadzi jakąś firmę detektywistyczną i zapija się na śmierć gdzieś na Florydzie, nie mogąc wstać z wózka inwalidzkiego. Jack Burbank oślepiony podczas spowodowanego przez terrorystów wybuchu w libańskiej ambasadzie. Molly McGuire bez jednej ręki dogorywa na posadce w Biurze Imigracyjnym. Ile razy ratował życie Hatcherowi? A mnie? Wszyscy ryzykowali. Czy byli mniejszymi bohaterami, bo nie nosili mundurów?

Stary rozpałił fajkę i podał ją Sloanowi, który zaciągnął się głęboko, czując gorący dym wypełniający płuca. Szybko zapomniał o Hacherze i jednostce. O przeszłości. Euforia przysła błyskawicznie. Zamknął oczy, czując podmuch chłodnego wiatru i zapach zielonych pól. Nie słyszał, że ktoś wszedł do sąsiedniej kabiny i że skrzyknęło tam pościeliu.

— Widziałeś Hachera? — spytał głos.

— Tak — odparł nie otwierając oczu.

— I?

— Jest coraz bliżej. Powiedziałem ci, że go znajdzie. To tylko kwestia czasu.

— Znalazł Wol Pota?

— Nie.

— A wie, kim naprawdę jest Wol Pot?

— Nic takiego nie mówił.

— A Tajski Koń?

Sloan miał dość gadania i myślenia o natrętnych sprawach z przeszłości. Był na progu swego świata, toteż czym prędzej przekroczył jego granicę odmrucując sennie:

— Nie wspominał o tym słowem ani o Wol Pocie. Nic nie mówił o bąblach, pluskwach, perłach czy księżycach, o gołębiach na placu Berkeley, posągach czy złotych wstążkach. Ani słowa. Słuchaj, Hacher znajdzie Cody'ego, a jest już na tropie. Znam go i wiem. On jest najlepszy.

## SPOTKANIE W PARYŻU

Ismala Hadif, znany jako Hiena, gdyż tak ochrzcił go Interpol, był jednym z najbardziej poszukiwanych terrorystów na świecie. CIA zidentyfikowała go jako autora zamachów bombowych na lotniskach w Rzymie i Wiedniu, w których zginęło sześćdziesiąt siedem osób, głównie kobiet i dzieci. Osiemnaścioro z nich pochodziło ze Stanów i udawało się na wakacyjną wycieczkę, a żadne nie przekroczyło szesnastego roku życia. Hadif był też autorem zamachu na jeden z nocnych klubów w Berlinie, gdzie zginęło trzynaście osób, w tym dziewięć kobiet. Podejrzewano, że zabił żonę ambasadora USA w Tunisie w czasie nieudanego zamachu na samego ambasadora. Od czterech lat posiadano dokumentację wystarczającą, by skazać go na śmierć za zabójstwa i akty terroryzmu, a mimo to poruszał się bez problemów po świecie, gdyż do perfekcji opanował sztukę przebierania się i wtapiania w tłum.

Jako bezwzględny i zdeklarowany fanatyk był najbardziej nienawidzony ze wszystkich poszukiwanych terrorystów. Wyszkolony został w Libii, a mieszkał w Teheranie. Przed tygodniem w Kairze zniknął z oczu śledzącym go wywiadowcom.

Ale nie wszyscy stracili jego ślad.

Dyskretnie śledzący go mężczyzna towarzyszył mu przez całą pokretną drogę do Paryża. Hiena podróżował z fałszywym tureckim paszportem sprzedawcy papierosów, reprezentującego kompanię tytoniową z Ankary. Biegłe władał kilkoma językami, w tym też tureckim. Zgolił brodę i ufarbował włosy na szpakowate, postarzając się tym o jakieś dwadzieścia lat. Szklą kontaktowe zmieniły mu oczy z brązowych na błękitne, a wkładki w butach dodały dwa cale wzrostu; normalnie mierzył pięć stóp i osiem cali. Zamieszkał w drogim hotelu w centrum miasta, czego dotąd z zasady nie robił.

Jego celem był generał Karl Shustig, amerykański geniusz wojskowy, ekspert od spraw bezpieczeństwa, autor innowacji, które pokrzyżowały plany Hieny w dwóch ostatnich akcjach. Sam jednak beztrąsko łamał zasady, które osobiście ustalał. Każdego dnia jeździł do biura i z powrotem dokładnie tą samą trasą. Fakt, że z przodu i z tyłu osłaniały jego wóz samochody obstawy, niewiele zmieniał, gdyż w Paryżu był już od czterech miesięcy i wszyscy o tym wiedzieli. Osobiście zresztą nie wierzył, by komuś opłacało się wybrać go na cel zamachu.

Dla Hieny zaś był wymarzonym celem. Osobisty przyjaciel prezydenta USA i — jak wieść niesła — kandydat na członka Komitetu Szefów

Połączonych Sztabów; na dodatek — stanowił śmiesznie łatwy cel do załatwienia. W kanale biegnącym pod ulicą, którą generał stale jeździł, Hiena planował umieścić bombę, zdolną wysadzić parę okolicznych bloków. Gdy wóz będzie przejeżdżał nad włazem, pod którym zostanie, ukryty ładunek, Hiena odpali go z odległości bezpiecznej, lecz pozwalającej zachować wizualny kontakt z miejscem akcji. Siłę wybuchu obliczył w przybliżeniu i nie miał pewności, ile domów ucierpi i w jakim stopniu, pewien był natomiast, że z samochodu pozostaną drobniutkie szczątki, z samego zaś generała — prawdopodobnie nic.

Dwa dni temu sprawdził kanały, wybrał lokalizację i nawet znalazł miejsce na ładunek wybuchowy pomiędzy obluzowanymi cegłami obmurowania studzienki. Nawet niespodziewana kontrola kanału w ostatniej chwili nie powinna niczego wykryć.

Był zadowolony z przygotowań. Nocą zamierzał umieścić bombę, a rano wykonać zadanie. Taśmę z przyznaniem się do autorstwa już nagrał i zaadresował. Miała być doręczona do radia francuskiego w dziesięć minut po fakcie. Rozmyślał o tym wszystkim, gdy wsłuchując się w dźwięki paryskich kanałów, wracał tunelem do studzienki, którą wszedł. Nienawiść była jego motywem, a morderstwo satysfakcją. Jeżeli zginie, to dwaj synowie go zastąpią. Droga do raju wiodła przez rzekę krwi niewiernych.

Nie zauważył brodatego mężczyzny posuwającego się za nim w mroku kanału. Równie dobrego zawodowca, jednak cierpliwszego i sprytniejszego niż Hiena.

Wcześniej tego dnia mężczyzna ów wszedł do ambasady niemieckiej ubrany w kombinezon i wyposażony w skrzynkę z narzędziami elektryka. Posługiwał się sfałszowanymi papierami. Strażnik kazał mu otworzyć skrzynkę, co też zrobił, unosząc przy okazji szufladę leżącą na górze wystarczająco wysoko, by strażnik mógł obejrzeć jej spód. Wnętrze budynku znał doskonale — studiował plany wystarczająco długo, by się ich nauczyć na pamięć. Udał się prosto do pomieszczenia gospodarczego na parterze, wyjął stamtąd aluminiową składaną drabinę i pomaszerował do składziku usytuowanego na piętrze tuż obok sali balowej. Zostawił tam drabinę i zajrzał do wysokiej na trzydzieści stóp, obszernej sali. Oświetlał ją potężny kryształowy żyrandol ozdobiony setkami szklanych kropeł w lustrzanych mocowaniach. Pomieszczenie pełne było ludzi przygotowujących przyjęcie, jakie miało się tu odbyć wieczorem. Nikt nie zwrócił uwagi na brodacza studiującego przez kilkanaście minut wewnątrz, a zwłaszcza żyrandol. Opuścił ambasadę w ten sam sposób, w jaki do niej wszedł.

Teraz, siedząc w restauracji hotelu, w którym zatrzymał się Hiena, brodaty mężczyzna obserwował wejście. Widząc powracający obiekt, wstał i pośpiesznie ruszył do windy. Wysiadł na trzecim piętrze. Wszedł po schodach piętro wyżej i czekał, aż szczęką drzwi windy. Obserwował Hienę idącego do swojego pokoju, a gdy ten włożył klucz w zamek, wysunął się ostrożnie na korytarz i spokojnym krokiem powędrował ku niemu.

Terrorysta odwrócił się słysząc kroki, ale natychmiast się uspokoił. Idący był siwawy, pochylony; wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat. Właściciel szpakowatej brody uśmiechnął się serdecznie, Hiena skinął głową i otworzył drzwi do swojego pokoju. Wtedy mężczyzna zrobił trzy błyskawiczne kroki i uderzył go kantem dłoni w nasadę czaszki. Hiena osunął się na kolana, a po kolejnym ciosie nieprzytomny padł na podłogę. Napastnik złapał go za kołnierz, wciągnął do pokoju i zamknął drzwi. Rzucił nieprzytomnego na łóżko, wytarł chusteczką kłamekę i nałożył rękawiczki chirurgiczne. Następnie z wprawą rozebrał ofiarę, zakneblował ją i nagą przywiązał do krzesła. Puścił głośno telewizor, na drzwiach od zewnątrz powiesił tabliczkę „Nie przeszkadzać” i usiadł na drugim krześle obserwując nieprzytomnego. Na prawym przegubie Hiena miał skórzaną opaskę, do której przymocowany był mały kluczyk. Z pochwy w rękawie mężczyzna wyciągnął sztylet, przeciął opaskę i uważnie przyjrzał się kluczykowi.

Ponieważ terrorysta nie przejawiał oznak powrotu do świadomości, dał mu kilka siarczystych policzków. Powieki Araba drgnęły, a gdy odzyskał jako tako ostrość widzenia, w jego oczach pojawiło się przerażenie. Spróbował się odezwać, ale knebel uniemożliwiał wydanie jakiegokolwiek artykułowanego dźwięku.

— Sss — syknął mężczyzna z brodą, przykładając palec do ust.

I nagle gwałtownym chwytem złapał Hienę za twarz. Uścisk przypominał szczęki imadła. Hiena nie był w stanie poruszyć głową. Przed jego oczami pojawiła się druga dłoń napastnika, z wąskim sztyletem o błyszczącym ostrzu długości siedmiu, ośmiu cali. Trzymał go nieco poniżej lewego oka ofiary, leciutko wbiwszy czubek tak, że przeciął skórę. Hiena gwałtownie poruszył oczami.

— Gdzie bomba? — spytał napastnik, prawie czując jego przerażenie.

Pytanie zadane było doskonałym arabskim. Nieznajomy puścił twarz terrorysty i pokazał mu kluczyk.

— Gdzie walizka, do której pasuje ten drobiazg?

W odpowiedzi otrzymał wściekle spojrzenie i przeczący ruch głową. Złapał ponownie twarz Hieny i szepnął:

— Pytam po raz ostatni, a potem stracisz oko. I tak w końcu się do-  
wiem. Oszczędź sobie bólu, a mnie czasu.

Hiena ponownie potrząsnął głową.

Mężczyzna wbił nóż i z wprawą wskazującą na długą praktykę wyłuskał  
lewe oko ofiary.

Knebel stłumił krzyk, a oprawca przysunął przed twarz Hieny lustro. Z  
przerażeniem Arab mógł przyjrzeć się krwawiącej jamie, w której jeszcze  
przed chwilą tkwiło jego lewe oko.

W głowie mu huczało, miał chęć wymiotować, a pokój wirował jak opę-  
tany. Napastnik zaś spokojnie odkręcił zatyczkę rękojeści sztyletu, wyjął z  
niej oselkę i zabrał się do ostrzenia broni. Klinga rozdzwięczała się w takt  
ruchów oselki niczym wysokiej próby dzwon.

— Już nigdy nie będziesz miał dzieci — poinformował z uśmiechem  
zszokowaną ofiarę, która zastanawiała się właśnie, czy kiedykolwiek pozna  
nazwisko swojego mordercy.

Mężczyzna kolanem rozsunał nogi związanego i przyłożył mu ostrze do  
krocza, tak by opierało się o penis.

— Bomba — szepnął wprost do ucha Hieny, lekko przesuważąc sztylet,  
by przebił skórę. — No już, bo kończy mi się i czas, i cierpliwość. Powiedz  
mi, a ja poderżnę ci gardło i szybko umrzesz. Inaczej zginiesz w hańbie.  
Hiena dostanie się do rajy jako eunuch!

Związany przełknął ślinę, pocąc się jak mysz. Czując stal zagłębiającą się  
w przyrodzenie, czym prędzej skierował jedyne oko w stronę łóżka i zaczął  
wpatrywać się w nie z natężeniem.

Napastnik puścił go, podszedł do łóżka i odsunął materac. Pod nim leża-  
ła czarna skórzana walizeczka. Kluczyk pasował do zamka.

Bomba była nowoczesna, robiła wrażenie. Ta ilość plastiku może nie wy-  
sadzila by wieży Eiffla, ale bez wątpienia zaszkoziłaby jej poważnie. W wa-  
lizeczce znajdował się również mechanizm zegarowy i zapalnik radiowy.  
Mężczyzna zamknął ją i odwrócił się z uśmiechem.

— Mam zwyczaj dotrzymywać słowa — powiedział cicho.

Złapał ofiarę za włosy, odchylając jej głowę tak, by szyja była w pełni od-  
słonięta, i wprawnym ruchem poderżnął gardło.

Położył materac na miejsce, odwiązał ciało i pozwolił, by zsunęło się na  
podłogę. Wyjął bombę, zamontował zapalnik pozostawiając nadajnik w  
walizce, a na łóżko rzucił plany niemieckiej ambasady. Ostrożnie wyjrzał na  
korytarz. Pusty. Zamknął starannie drzwi, zszedł dwa piętra i wszedł do  
swojego pokoju. Był już spakowany, a opłatę z góry wniosła fikcyjna kom-  
pania z genewskim adresem.

Wychodząc z hotelu miał jedynie niewielką walizkę i czarną skrzynkę na narzędzia. Udał się na lotnisko, oddał walizkę do przechowalni i wszedł do toalety. Ze skrzynki wyjął kombinezon, włożył go i inną taksówką zjechał w pobliże ambasady niemieckiej.

Powtórzył procedurę przy wejściu, z tym że szufladę skrzynki uniósł znacznie niżej. Strażnik wpuścił go niedbałym machnięciem ręki. Skierował się od razu do składziku przy sali balowej, wyjął drabinę, wszedł z nią do sali i rozstawił pod żyrandolem. Gdy zaczął się wspinać, podszedł jakiś wyprostowany Niemiec z pytającym wyrazem twarzy. Zanim zdążył się odezwać, mężczyzna podsunął mu żarówkę i wskazał na żyrandol. Niemiec wzruszył ramionami, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Mężczyzna wyjął szufladę ze skrzynki, odkleił spod niej ładunek przymocowany taśmą samoprzylepną i umieścił go na tulei, z której zwisał żyrandol. Nastawił zegar na szóstą trzydzieści.

Pięć minut później opuścił ambasadę, odłożywszy drabinę na miejsce. Przeszedł dwie przecznice, złapał taksówkę i wrócił na lotnisko, gdzie w przechowalni zostawił skrzynkę z narzędziami, odebrał zaś walizeczkę. W toalecie otworzył ją. Wewnątrz było podświetlane lustro i zestaw do charakteryzacji. Pozbył się brody i peruki, zmył makijaż, zdjął kombinezon, po czym wszystko zapakował do papierowej torby. Następnie włożył wyjętą z walizki białą koszulę, krawat i sportową marynarkę i z walizeczką w rękę wyszedł do hallu. Torbę wyrzucił do pierwszego napotkanego kosza.

Ambasador amerykański był wysokim, opalonym mężczyzną. Dobiegał sześćdziesiątki, ale zachował doskonałą kondycję i wyglądał na czterdzieści pięć lat. I potrafił być przekonujący, a dzisiejsze przyjęcie miało dlań duże znaczenie. Zadaniem ambasadora było przekonać przedstawicieli paru krajów europejskich, że terroryzm osiągnął na świecie skalę epidemii. A co za tym idzie, należało mu wypowiedzieć wojnę, mimo że nie wszystkie państwa zostały nim objęte. Te ostatnie wahały się, obawiając się zemsty arabskich fanatyków.

O szóstej pięć był gotów udać się na bankiet, gdy zadzwonił czerwony telefon, stanowiący bezpośrednie połączenie z Departamentem Stanu. Podsekretarz przekazał tajną informację, że w Paryżu najprawdopodobniej przebywa Hiena, i przez dziesięć minut wyjaśniał z najdrobniejszymi detalami, jakie w związku z tym należy podjąć środki ostrożności.

— Proszę posłuchać, sir — zdenerwował się w końcu ambasador. — Mam jechać na przyjęcie i omawiać podobne kwestie. Chyba lepiej byłoby, gdybym się nie spóźnił, prawda, sir? Może dokończymy jutro?



Podsekretarz przyznał mu rację i zakończył rozmowę.

— Cholery można dostać z tymi urzędasami — poskarżył się ambasador żonie, gdy byli już w samochodzie, po czym zwrócił się do kierowcy: — Postaraj się bardziej niż zwykle, Geoffrey. Jesteśmy spóźnieni.

Przecnicę dalej utknęli w korku spowodowanym przez wypadek i stracili kolejne dziesięć minut.

— No, to mamy półgodzinne spóźnienie — jęknął patrząc na zegarek. — Niech to jasny gwint!

W powitalnym szeregu przy wejściu stali ambasadorowie Finlandii, Francji i Holandii, gdy bomba wybuchła. Wpierw był ogłuszający huk, błysk i dym, po czym nastąpiła sekunda ciszy. Następnie rozległy się krzyki rannych i przerażonych. Żyrandol eksplodował tysiącem szklanych odprysków, które raniły i zabijały ze skutecznością odłamków granatu. Tłum poniżej został dosłownie zmasakrowany śmiercionośnym deszczem, przed którym nie było osłony. W chwili ciszy, jaka zapadła po eksplozji, reszta konstrukcji olbrzymiej lampy, nadwyreżona przez wybuch, zakołysała się, dźwigar pękł i całość spadła na podłogę zwiększając liczbę ofiar, tym razem trafianych odpryskami lecącymi od dołu.

— M-mój Boże! — jęknął ambasador USA, gdy skręcili w ulicę dojazdową do ambasady niemieckiej. W światłach reflektorów widać było zakrwawione postacie w wieczorowych strojach, poruszające się jak pijane. Wszystkich łączył jeden cel: byle dalej od sali balowej zamienionej w pobjawisko.

## DZIEWCZYNA Z KANAŁU

Ponieważ Sy nadal zapamiętał ćwiczył nie zwracając uwagi na takie detale, jak upływ czasu, Hatcher nacisnął klakson zaparkowanego przed hotelem chevroleta. Tajlandczyk przybył prawie klusem.

— Szukam dziewczyny imieniem Sukhaili pracującej na Phadung Klong koło New Road — poinformował go Christian.

— To kurwa?

— Owszem — przyznał Hatch, podając mu przy okazji rysopis z raportu policyjnego: — Pięć stóp i dwa cale, szesnaście lat, dziewięćdziesiąt funtów. Mówią, że wygląda jak prawdziwa księżniczka.

— Pewnie, że wygląda. — Sy wzruszył ramionami. — Kto chciałby się kochać z brzydką kurwą.

— Głęboko filozoficzne.

— Możemy stracić trochę czasu — ostrzegł Sy. — Wodne dzieci nie pozostają długo w jednym miejscu.

— To przy okazji spróbujemy zasięgnąć języka o tej parze. — Hatcher pokazał mu zdjęcie Cody'ego i Pai sprzed piętnastu lat.

— To stare zdjęcie? — upewnił się Sy.

— Ma piętnaście lat.

— To Amerykanin i Tajlandka?

— Nie. On był amerykańskim pilotem, ale dziewczyna była Wietnamką.

— Aha.

Sy wpatrywał się ponad minutę w zdjęcie. W końcu mruknął coś do siebie, skinął głową i oddał fotografię.

Gdy jechali przez zatłoczone ulice, Hatcher raz jeszcze sprawdził plan, który sobie ułożył. Najpierw odszukać dziewczynę — była jedyną osobą, która na pewno widziała Wol Potą, a prawdopodobnie i zabójców Cykora. Potem sprawdzić po kolei miejsca z dziennika Portera; listę otwierały Tombstone i „Longhorn”. No i Tajski Koń: jak dotąd dotarły do niego tylko uliczne pogłoski, więc temat pozostawał mocno drażliwy. Co to w zasadzie było: gang czy pojedynczy człowiek? Cody, Wol Pot czy ktoś nie znany? Najbardziej wskazana była tu ostrożność.

Podróż nie trwała długo. Phadung Klóng leżał za rynkiem warzywnym, opustoszałym już o tej porze. Natomiast Sy stawał trzy razy i stracił prawie godzinę, zanim udało mu się czegoś dowiedzieć o dziewczynie.

— Mówią, że przeniosła się bliżej Rama Four Road — oznajmił w końcu. — Nie ma obaw, znajdziemy ją.

Przejechali wzdłuż kanału, oddzieleni od niego gęstwiną bananowców, orchidei i wybudowanych na brzegu szałasów. Na miejscu Sy zaparkował przy krawężniku i ponownie zniknął. Tym razem na kwadrans.

— Jest na Klóng Mahachai — poinformował Hatchera po powrocie. — Powinniśmy odnaleźć ją przy ulicy Maharaj w pobliżu Targowiska Złodziei w chińskiej dzielnicy, ale najlepiej zrobić to dopiero o zmierzchu.

Wieczorem podjechali na Maharaj i Sy ponownie poszedł zasięgnąć języka. Wrócił po paru minutach.

— Mamy szczęście — obwieścił dumnie. — Chodź.

Poprowadził Hatchera nad brzeg mijając kilka przycumowanych łodzi.

— Tylko bądź ostrożny, *pheuan* — poprosił. — Czasem szef dziewczyny próbuje okraść klienta, pieniądze, zegarek, wiesz, nie? Będę zawsze za tobą.

Wskazał rząd łodzi, które były przycumowane do brzegu, a także jedna do drugiej. Na dziobach prawie wszystkich siedziały uśmiechnięte dziewczęta, zapraszając klientów z kłębiącego się na brzegu tłumu. Hatcher w ślad za Sy precyzyjnie się przez gęstniejącą ciżbę.

— Sukhahi. — Sy zapytał idącego brzegiem starszego wędkarza. — Wiesz, która łódź?

Stary uśmiechnął się zadowolony i wskazał ponad ramieniem pytającego długą łódź stojącą praktycznie u ich stóp.

— Pójdę sam — uprzedził go Hatcher i przeszedł przez pokład pierwszej przycumowanej do brzegu łodzi.

Minął muskularnego Tajlandczyka, który wpatrywał się w jego pierś, ale nie uniósł wzroku ku twarzy, i wdrapał się na pokład drugiej, wskazanej przez wędkarza łodzi. Z kabiny wyszła mu na spotkanie dziewczyna mająca nie więcej niż szesnaście lat. Lekko opuściła głowę, przyglądając mu się brązowymi oczyma spod opuszczonych powiek. Uwodzicielskie spojrzenie miała opanowane do perfekcji.

— Sukhahi? — spytał.

— Znasz moje imię? — Była najwyraźniej zaskoczona.

— *Chai* — przytaknęła

— Chcesz *sanuk*? — spytała łamanym angielskim, przytulając się doń i ocierając niczym kotka.

Była ciepła i miękka; pachniała jaśminem. Przez chwilę Hatch zastanawiał się poważnie, czy nie skorzystać z propozycji. Jednak odsunął dziewczynę delikatnie, przytrzymując na wszelki wypadek za ramię, i wyjął pięćdziesiąt dolarów.

— Nie jestem tu dla zabawy — powiedział w jej języku.

Spojrzała przestraszona i spróbowała się wycofać.

— Słuchaj, to jest pięćdziesiąt dolarów, czyli tysiąc batów. Chcesz je? — zapytał.

Wpatrywała się jak zaczarowana w banknot, toteż puścił jej ramię. Mężczyzna z sąsiedniej łodzi spojrzał na nich uważnie, ale nie poruszył się.

— Za co? — spytała podejrzliwie.

— Tej nocy, gdy zabili białego na sąsiedniej łodzi, był z tobą mężczyzna. Wskoczył za burłę, jak zobaczył, co się święci.

— *Chai...*

— Jak on wyglądał?

Pomyślała chwilę i uniosła dłoń mniej więcej na pięć i pół stopy ponad pokład.

— Taki wysoki. Brązowe oczy, czarne włosy. Szczupła twarz, tak ciężki jak ty.

— Mojej budowy, ale niższy?

— *Chai*.

— Miał jakieś blizny czy tatuaż na twarzy lub na ciele?

— *Chai*. — Uniosła zaskoczona brwi. — Miał smoka. Tu. Położyła dłoń na piersiach.

— Tatuaż smoka?

Skinęła potakująco.

— Ten mężczyzna spieszył się uciekając, tak?

— Bał się.

— Ja myślę. Słuchaj, według mnie to on nie zdążył się ubrać, zanim wybrał się popływać — szepnął Hatcher.

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale nie odezwała się.

— I nie zdążył zabrać swoich rzeczy...

— *Chai*. Zabrał...

— *Mai* — sprzeciwił się Hatcher. — Nie miał na to czasu.

— Powiedziałam policji...

— Nie jestem z policji i nie obchodzi mnie, co im powiedziałaś. Ja też nie zamierzam im niczego mówić.

— Powiedziałam policji wszystko.

— Myślę, że mógł zostawić spodnie...

— *Mai* — potrząsnęła gwałtownie głową. — Nie ma portfela.

Dziewczyna zaczynała wpadać w panikę. Spojrzała ponad jego ramieniem na muskularnego mężczyznę.

— Słuchaj! Nie jestem z policji. Jestem *Amehricaan*. Wszystko, czego chcę, to papierów, jakie były w portfelu. Reszta mnie nie obchodzi; możesz zatrzymać pieniądze czy inne kosztowności. Rozumiesz?

Ponownie spojrzała ponad jego ramieniem, toteż odwrócił się. Mężczyzna stał przy burcie, która stykała się z ich łodzią. Ubrany był w purpurowe *pakoma*, coś w rodzaju skrzyżowania szortów z szarawarami, i biały podkoszulek. Na prawym przedramieniu miał tatuaż węża otaczającego orchideę. Uśmiechnął się przelotnie do Hachera i spojrzał na dziewczynę.

— Czego on chce? — spytał po tajsku.

— Ofiarowuję jej pięćdziesiąt amerykańskich dolarów — wtrącił Hatcher — za papiery z portfela zostawionego tu przez niedoszłą ofiarę

tamtego nocnego zamachu. O nic nie pytam i zapominam, że tu w ogóle byłem. To sprawa osobista i chcę jedynie tych dokumentów.

Mężczyzna przeskoczył na ich pokład i podszedł do Hatchera. Był niższy o dwa czy trzy cale, ale muskularny i widać było, że przyzwyczajony jest do niespodzianek. Przez ponad minutę przyglądał się twarzy Chrisa i nie zauważył, że Sy wszedł na pokład jego łodzi oganiając się przed wodnymi dziećmi.

- Twój portfel? — spytał opuszczając wzrok.
- *Mai* — Hatcher potrząsnął przecząco głową.
- Twego przyjaciela?
- *Chai*.
- Hm. — Minął Hatchera i spytał dziewczynę: — Ile?
- Dziesięć tysięcy batów — odparła po chwili.

„Nieźle — przyznał w duchu Chris. — Pięćset dolarów i pewnie zatrzymała sobie setkę albo dwie. Nieźle się Wol Potowi powodzi”.

- Dlaczego nie powiedziałaś policji? — indagował szeptem mężczyzna.
- Myślałam, że wróci — skłamała.
- Daj go, a ja załatwię resztę z *farang* — polecił.

Słowa „cudzoziemiec” nie użył z obraźliwą intonacją, był zrelaksowany i miły, jakby obaj z Hatcherem znali się kupę lat. Jeżeli panienska zdenerwowała go próbą nieuczciwości, nie okazał tego w żaden sposób. Skinął na Hatchera, by weszli do kabiny schodząc z oczu innym. Widząc to, Sy nerwowo podszedł do burty.

Sukhahi wyjęła z jednej z szuflad portfel z wężowej skóry i podała go mężczyźnie. Ten otworzył go, wyjął garść purpurowych banknotów i wsadził do kieszeni.

- Przepraszam — szepnęła.
- *Mai pen rai* — wzruszył ramionami i gestem kazał jej wyjść.

Przeszukał dokładnie portfel i z jednej z przegródek wyjął mały złoty amulet. Dołączył go do pieniędzy i podał portfel Hatcherowi.

— Sześćdziesiąt dolarów — stwierdził z nieco szerszym niż dotąd uśmiechem.

Christian zaklął w duchu: zapomniał, że tu cena proponowana nigdy nie jest ostateczna.

- *Khit waa phaeng pai* — odparł zgodnie z oczekiwaniami rozmówcy.
- Pięćdziesiąt pięć.
- Pięćdziesiąt siedem. — Uśmiech znów się poszerzył, ukazując połamane zęby. — Sprawdź, czy jest tyle wart.

Chris sprawdził zawartość portfela i wzruszył ramionami.

— Zgoda — mruknął odliczając pięćdziesiąt siedem dolarów. — *Khopkun. Sawat-dii.*

— I jeszcze jedno. — Wyjął dwadzieścia dolarów i zwrócił się do dziewczyny, która stała w drzwiach. — Dostaniesz to, jeżeli mi powtórzysz, co powiedział ci wtedy ten facet z nożem.

— Nie! — pisnęła szybko.

Ale Tajlandczyk nie miał ochoty tracić gotówki będącej w zasięgu wzroku.

— Powiedz mu — polecił.

— Ale oni...

— Powiedz mu!

— Grozili, że mi potną twarz i będę wyglądała jak prababcia — wyszepiała z trudem, wpatrując się w podłogę.

— Dlaczego?

— Jeśli powiem policji cokolwiek o nich.

— I co jeszcze?

— Pytali, czy znam adres.

— Czyj adres?

— To nie miało sensu. Chodziło o adres konia z legendy.

— Tajskiego Konia? — spytał zaskoczony Hatcher.

Dziewczyna przytknęła, a Tajlandczyk wyjął mu z uśmiechem banknot i dołączył do reszty zdobyczy. Po czym sięgnął za plecy i wyciągnął pałkę z tekowego drewna długości mniej więcej stopy. Stał o cztery czy pięć stóp przed Chrisem i uderzył nią o dłoń drugiej ręki.

— Może dasz mi resztę pieniędzy i tego złotego rolexa, co? — spytał nadal się uśmiechając.

Zagadnięty cofnął się o stopę czując znajomy chłód w żołądku.

— Ani satanga — szepnął mrużąc oczy.

Uśmiech nie zniknął, ale w oczach mężczyzny zapaliły się szaleńcze błyski. Rozstawił nogi i opuścił pałkę wzdłuż uda.

— Zrobię ci krzywdę — ostrzegł.

Ledwie zdążył to powiedzieć, gdy za jego plecami na pokład wskoczył Sy. Mężczyzna odwrócił się zataczając pałką szeroki łuk, ale Sy odskoczył i zanim tamten zdążył wziąć nowy zamach, kopnął go w pierś i w klatkę piersiową, potem w szczękę. Tajlandczyk zatoczył się na Hatchera, ale zdołał sięgnąć ręką, trafiając go pałką w brzuch. Chris odsunął się w ostatniej chwili i cios zamiast wylądować na żołądku, zjechał po żebrach, ale to wystarczyło, aby Hatcher rozluźnił chwyt, i przeciwnik wyrwał się szarżując na Sy. Dostał trzy proste ciosy z ramienia, ale to go nie zatrzymało. Objął

mniejszego przeciwnika w niedźwiedzim uścisku i uniósł z pokładu. Zanim zdołał wyrzucić go za burtę, Hatcher złapał sutenera za ramię, wbijając palce głęboko w poszukiwaniu nerwu. Odnalazł go i nacisnął, prawie czując łopatkę pod palcami.

Przeciwnik został czasowo sparaliżowany. Ręce opadły mu bezwładnie, pałka uderzyła o pokład, a Sy wydostał się z uścisku. Odskoczył dwa kroki, zobaczył, że Hatcher stoi z boku, i wyprowadził piękną kombinację czterech ciosów w twarz napastnika. Z rozkwaszonym nosem i łukiem brwiowym mężczyzna zwałił się na trzcinową nadbudówkę, zgniatając ją ciężarem i impetem swojego ciała. Chris przestąpił dynamiczną kompozycję, jaką tworzył leżący wraz z resztkami bambusa, liści i mat, podniósł pałkę i wrzucił ją do rzeki. Mężczyzna zaczął odzyskiwać władzę w rękach i powoli otarł krew z twarzy, na której malowało się zaskoczenie.

— Jestem bokserem — wyjaśnił z dumą Sy i przeskoczył na sąsiednią kłodź.

— *Sawat-dii*. — Hatcher uśmiechnął się spoglądając na leżącego i poszedł w ślady Sy.

Wrócili na brzeg, precyzyjnie się przez tłum dziwek i turystów i dotarli do wozu. Sy, o uszczęśliwionym obliczu, z dumą otworzył drzwi przed Hatcherem.

— Byłeś naprawdę dobry, *pheuan* — pochwalili go Hatcher wsiadając.

Natychmiast też zajął się zawartością portfela. Był tam paszport, według którego Wol Pot mierzył pięć stóp i sześć cali, ważył sto pięćdziesiąt cztery funty i mieszkał na ulicy Raiwong w chińskiej dzielnicy. Było tam też coś lepszego niż rysopis: fotografia Wol Pota, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Taisung. Byłego komendanta obozu Huie-kui.

## STARY TYGRYS

Znany był jako Blizna. Leżał w wysokiej trawie nad brzegiem jeziora i obserwował pijące wodę chitale oddalone o jakieś pięćdziesiąt jardów. Od trzech godzin tropił to stadko, czasem i pół godziny leżąc bez ruchu, gdy pokonywało uskoki i piaski, zanim dotarło na równinę i poprzez zagajnik dziesięciostopowych bambusów — do wody.

Dawniej był wspaniałym tygrysem, ważącym ponad pięćset funtów i szybszym niż jakikolwiek inny samiec w promieniu stu mil. Był tak silny, że kiedyś ciągnął przez ćwierć mili prawie siedemsetfuntowego bawołu,

którego upolował, by dostarczyć mięsa rodzinie. Schował je zresztą na drzewie jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią.

Teraz był stary i zreumatyzowany. Gdy się czołgał, dawne blizny przypominały o sobie. Zęby miał żółte, a jeden z kłów złamał się kilka tygodni temu. Pysk, od oczu do szczęki, znaczyła mu potężna blizna — pamiątka po spotkaniu z młodszym i silniejszym tygrysem. Inny samiec w jego wieku nie wyszedłby żywy z tej walki, ale on nadal był dobry. Pokazał, na co go stać, i choć przegrał, to odszedł o własnych siłach, ze zranionym pyskiem.

Ostrożnie przesuwiał potężne łapy cał za całem, zbliżając się do niczego nie podejrzewającego jelenia. Przez dwadzieścia dwa lata polował wykorzystując cierpliwość, chytrość i szybkość, tak jak nauczyła go matka. Teraz poruszał się zupełnie instynktownie, tyle tylko, że nie był już w pełni sprawny.

Jeleń nagle uniósł łeb, węszył. Wiatru nie było, więc nie mógł wyczuć zapachu tygrysa, ale coś go zaniepokoiło. Rozproszone stadko stało po kolana w wodzie; głębiej nie wchodziło, wiedząc, że to domostwo kilku krokodyli. Niby wszystko było w porządku, ale stary pięćsetfuntowy samiec czuł niepokój.

Blizna sprężył się do skoku, podciągając pod brzuch niegdyś potężne tylne łapy. Nastawił uszy, wyprostował ogon i przysiadł, by za sekundę skoczyć. Stracił jednak wycucie. Nagle pod łapą trzasnęła mu gałązka i niedoszła zdobycz rzuciła się do ucieczki. Skoczył celując w starego samca i puścił się za uciekającym. Jeleń skręcił nagle ku wodzie, tygrys zmniejszył dystans i skoczył. I wtedy zdarzyło się coś nieprawdopodobnego: jelenń stanął i z całych sił kopnął go tylnymi nogami. Jednym z kopyt trafił w prawe oko, które rozprysnęło się jak bańka mydlana. Tygrys ryknął z bólu, zamachnął się na oślepną łapą i chybił.

Jeleń uciekł wraz ze stadkiem.

Blizna zwałił się do wody rycząc z bólu. Uspokoił się w końcu i długo odpoczywał w letniej sadzawce, a potem w błocie, w którym się wytarzał, bo przynosiło to ulgę jego zboliałemu ciału.

Sytuacja stawała się rozpaczliwa. Była to dwudziesta próba w ciągu ostatnich dwóch dni. I dwudziesta porażka. Wczoraj, o wstydzie, uciekł mu lemur, bo był szybszy i zdołał wspiąć się na drzewo. Dawniej nie byłby to żaden problem, ale wczoraj podwinął pod siebie ogon, nawet nie próbując się wspinać, i odszedł żegnany obelgami uradowanej małpiatki.

Stado nie wróciło, przeniósł się więc nad inny akwen. Znalazł się na terytorium młodszego samca, ale nie miał wyboru: był zbyt zmęczony, by iść



dalej. Gdy poruszał się ostrożnie, przez trawę dotarł do niego zapach, który obudził wspomnienia: tygryś w czasie ruiny. Chwilę potem usłyszał mruczenie, dziwny, jednocześnie wzywający i uwodzący głos. W pobliżu rozległ się pomruk samca. Blizna zdołała ostrożność, przypominając sobie czasy, gdy to on był obiektem zalotów. Ponieważ oba tygrysy zajęły się sobą, wiedział, że ma czas.

Znalazł inny trop. Chiał i świeża krew. Najwidoczniej samica przerwała partnerowi posiłek. Idąc po śladach dotarł do martwego jelenia ukrytego w kępie bambusów tak gęstej, że nawet sępy nie miały do niego dostępu. Bez zwłoki zabrał się do jedzenia, wpierw zlizując krew, a potem dobierając się do wnętrza, by w końcu przejść do mięsa. Zwyczajem swojego gatunku zaczął od tyłu.

Dziennie mógł zjeść czterdzieści funtów mięsa, a nie jadł od trzech dni. Tylko świadomym wysiłkiem woli powstrzymał się od pomrukiwania w trakcie posiłku, by nie zwrócić na siebie uwagi rywala. Gdy odgłosy kociej miłości umilkły, zrozumiał, że czas ruszać dalej, chociaż nie w pełni zaspokoił głód. Wiedział, że nie wytrzyma nowej walki z młodym tygrysem. Zmierzchało, toteż znalazł wydrążony pień i ułożył się do snu.

Przez dwa kolejne dni wędrował bez określonego celu, nie mając szczęścia w zdobywaniu żywności, i powoli głód zmieniał się we wściekłość. W końcu znalazł się w okolicy, którą słabo, bo słabo, ale pamiętał. Rozpoznał miejsce, gdzie przebywał w młodości; to tu matka uczyła go życia, zanim wyruszył, by znaleźć własne terytorium.

Sprawdził okolicę i nie znalazł śladów żadnych innych tygrysów. Teren nie był zbyt dobry: niewiele wysokiej trawy, na brzegu jeziora rozłożyła się wioska, a w miejscu bambusowego zagajnika zieleniły się pola uprawne. Las oddalił się od brzegu ponad sto jardów i jedyną osłonę zapewniały trzciny.

Dwaj najwięksi jego przeciwnicy powoli, lecz nieustannie kradli mu ziemię: człowiek i postęp. Ale był zbyt zmęczony, by szukać dalej. Podpełzł do brzegu i upadł na skraju wody, chłodząc stare rany i gasząc pragnienie.

Zbliżał się zmrok, gdy dostrzegł dziecko. Dziewczynka miała nie więcej niż trzy lata i była całkowicie goła. Jakoś udało się jej zmylić czujność matki i wybrała się na pierwszą samodzielną wycieczkę wzdłuż brzegu. Blizna obserwował ją z namysłem. Wyglądała podobnie jak małpy, no, może trochę tłustiejsza. Nie sprawiała wrażenia szybkiej i nie miała ogona. Postanowił zaryzykować. Podciągnął tylne łapy, obnażył zęby i sprężył się do skoku.

Dziewczynka wyszła wprost na niego. Dopiero zbliżywszy się na pięć

jardów dostrzegła przyczajonego w trzcinach olbrzyma i zanim zdążyła krzyknąć, tygrys już ją miał. Tym razem Blizna nie chybił. Podobnie jak postępował z każdą zdobyczą, odchylił jej głowę do tyłu i rozerwał krtań, po czym wrócił wraz z ofiarą w bezpieczny cień lasu. W legowisku zabrał się do zlizywania krwi.

Jadł już lepsze mięso, ale oko mu ropiało, czuł, że ma gorączkę, a zdobycie posiłku nie nastąpiło większych trudności. Poza tym mięso to mięso.

Nazajutrz podkrał się bliżej wioski. Na tyle blisko, by upolować inne dziecko bawiące się w piasku przy ostatniej hacie.

W następnym tygodniu jego ofiarą padła kolejna dwójka dzieci, kulawy mnich i kobieta, która prała w jeziorze.

Wtedy to zawiadomiono o wszystkim Maxa Early'ego i zaczęła się zabawa. I wtedy to w końcu Hatcher zaczął rozwiązywać łamigłówkę, jaką stały się dlań losy Cody'ego.

## PSY

Na pierwszy rzut oka w portfelu oprócz paszportu nie było nic interesującego. Prawo jazdy z tym samym adresem, dwa bilety z wyścigów i jeden z meczu bokserskiego. Według papierów Wol Pot był komiwojazerem.

Przy śniadaniu Hatcher położył na stole przed Sy dwie fotografie — Wol Pota i Pai z Codym.

— Szukam też jego — poinformował Tajlandczyka wskazując zdjęcie Wol Pota.

Sy długą chwilę studiował uważnie fotografię.

— Od wczoraj myślę o tej dziewczynie — powiedział wolno. — Jest bardzo piękna. Może ją widziałem, ale... myślę o każdej pięknej kobiecie, jaką spotkam.

— Pamiętasz gdzie?

Sy potrząsnął przecząco głową.

— On jest z tą dziewczyną? — spytał wskazując zdjęcie Cody'ego.

— Może jest. Nie wiem. Nie szukam jej, ale jego.

— Okay. To dokąd najpierw jedziemy?

Hatcher wyjął listę sporządzoną na podstawie notatek Portera. Niestety, były w nich miejsca i godziny, ale brakowało adresów. Dodał do listy adres z paszportu i wyciągnął kartkę z notesu, którą otrzymał od Mangusty. Rozpostarł ją ostrożnie i po raz kolejny usiłował odczytać rozmazany atrament,

ale jedynym widocznym fragmentem było: „try, 4:15 P...”

Adres z paszportu — zaproponował Sy. — Może od niego zaczniemy?

— Dobry pomysł — zgodził się Christian.

Pomysł jednak okazał się zły — adres był fałszywy. Budynek o takim numerze nie istniał. Najbliżej stał rozsypujący się drewniany magazyn nad brzegiem rzeki. Okna zabite deskami, dach zapadnięty na środku — ogólnie rzecz biorąc, obraz nędzy, ruiny i pustki. Hatcher spróbował drzwi trzech kolejnych magazynów, ale były zabite naглуcho. Z pewnością od lat nikt tam nie przebywał. Adresem Wol Pota było puste nabrzeże portowe.

Pozostawała więc lista Portera.

Pierwsze dwa adresy zawiodły ich do niewielkich restauracyjek w chińskiej dzielnicy. Niczego tam nie uzyskali. Właściciele obu długo przyglądali się fotografii Wol Pota i niezależnie od siebie doszli do zgodnego wniosku:

— Może...

— Co dalej? — spytał Sy, gdy wyszli z drugiej restauracji.

— Znasz miejsce zwane „Stagecoach Deli”?

— Jasne. To blisko.

— Wobec tego jedziemy tam.

Przejechali przez hałaśliwy i zabłocony Patpong, z ryczącymi głośnikami wystawionymi przed bary i oślepiającymi neonami, pomimo że było dopiero popołudnie. Skręcili przy barach „Jack's American Star” i „San Francisco”, reklamujących tańce go-go topless i „specjalne przedstawienia”.

I nagle znaleźli się na ulicy z przeszłości. Z dala od neonów, głośników i tłumów. Mogła to być uliczka w dowolnym miasteczku na Dzikim Zachodzie. Nawet w świetle dnia miała swoistą, nierealną atmosferę. Promienie słońca niczym reflektory przecinały lekką mgiełkę unoszącą się znad pobliskiej rzeki, a wokół panowała dziwna cisza niczym w opustoszałym mieście duchów.

— Zatrzymaj się! — polecił Hatcher zaraz za zakrętem.

Wysiadł rozglądając się uważnie. Na tablicy z oryginalną nazwą ulicy ktoś przybił drewnianą deskę z napisem „Clementine Way”.

— To musi być rejon zwany Tombstone, prawda? — zapytał.

— Zgadza się. Nawet podobne. Widziałem w „Palace” film „Strzelanina O.K.”

— „Strzelanina w O.K. Corral” — poprawił Hatcher.

— Właśnie. Z Burtem Reynoldsem.

— Z Lancasterem.

— *Chai*, — Sy uśmiechnął się nie przejęty kolejną pomyłką.

Hatcher ruszył powoli przez ścielący się opar. Minął „Hitching Post” z eleganckimi kowbojskimi butami i kapeluszami na wystawie. Sprawdził menu wiszące przy drzwiach „Yosemite Sam's” i przypomniał mu się dom: stek, chili, żeberka i frytki. „Stagecoach Deli” był nieco dalej. Odchylone drzwi, imitacja witryny Tiffany'ego, ale ceny z East Side. Następny był „Langtry's Music Hall”. Co prawda zdjęcia w obu gablotach przedstawiały rozebrane Tajlandki, ale całość nie odbiegała od ogólnego charakteru ulicy. Były tam bowiem także plakaty do rewii takich gwiazd, jak Lillian Russel, Houdini, Lillie Langtry czy Eddie Foy. Do szóstej lokal pozostawał zamknięty.

Hatch dotarł do końca uliczki i wrócił jej przeciwną stroną. Minął lodziarnię zwaną „Pike's Peak”, bar „Roundup” reklamujący amerykańskie pączki, kino „Palace”, które zgodnie z afiszem grało filmy w wersji oryginalnej. No i „Longhorn” nieco przytłoczony cebulowatą kopułą stojącego bezpośrednio za nim klasztoru. Napis wypisano na imitacji gigantycznego pergaminowego zwoju rozwiniętego nad drzwiami i biegnącego przez całą długość budynku. Przy uchylonych drzwiach stał drewniany Indianin, a po obu ich stronach umieszczono stare ławki z przystanków autobusowych. Taras nad wejściem podparty był nie wykończonymi krzyżakami.

Ktoś zadał sobie masę trudu, by tej małej enklawie nadać tyle autentyczności.

Na jednej z ławek siedział potężnie zbudowany Murzyn z puszką japońskiego piwa w dłoni. Opierał się o okno baru, z błogim wyrazem twarzy i z zamkniętymi oczyma. Co jakiś czas podnosił puszkę i pociągał tęgi łyk.

Hatcher wrócił do „Stagecoach Deli”. Zza zamkniętych drzwi niektórych lokali dochodziła stłumiona muzyka i rozmowy, ale w tej chwili wszystko było na głucho zamknięte.

Notatki Portera były następujące: „Stag Deli, taxi 10, 1 godz.”; następnego dnia: „Stag Deli, południe, 45 min”; i kolejnego dnia: „Palace Theater, 2:30, 35 min”. Czy Wol Pot przyjechał tu taksówką, czy też Porter obserwował wymienione miejsca z taksówki? Mógł być w „Deli” czterdzieści pięć minut jedząc posiłek, ale trzydzieści pięć minut w „Palace” to zdecydowanie za krótko na obejrzenie filmu.

Te dwa miejsca tworzyły natomiast doskonały trójkąt z „Longhornem”. Ponownie wyjął kartkę, którą Porter miał przy sobie, i przyjrzał się jej dokładnie.

„...try...” mogło znaczyć „Langtry Music Hall”, wtedy całość głosiłaby: „Langtry 4:15”. Czyżby Wol Pot przez cztery dni z rzędu obserwował

„Longhorna”, za każdym razem nieco później niż poprzednio? Przypomniało mu się, co powiedział Daphne Murzyn z końskim ogonem, i przyszedł mu do głowy dość złośliwy scenariusz. A gdyby Wol Pot zgubił ślad Cody'ego? Szukałby go na wszelkie możliwe sposoby, a Porter siedząc mu na ogonie byłby tego świadkiem, nie mając zresztą pojęcia, o co naprawdę chodzi.

— Zajrzę do „Longhorna” — poinformował Sy chowając notatki.

Zanim jednak zdążył przejść przez ulicę, do baru zbliżył się mężczyzna w spodenkach safari, wypłowiałym czerwonym podkoszulku i czerwono-błękitno-białych adidasach. Włosy przytrzymywała mu czerwona opaska. Na długiej smyczy prowadził psa, który był zdecydowanie ciekawszym obiektem niż jego właściciel. Duże, brzydkie i tępo wyglądające zwierzę przypominające krzyżówkę spaniela z dobermanem plus parę kundli po drodze. Senne żółte oczy, długi smętny pysk i cienki łukowaty ogon wraz z ciemnobrązową sierścią dopełniały całości. Futro lśniło, ale nie miało jednolitej barwy — niesymetryczna biała plama, przypominająca kleks z farby, obejmowała obszar od łopatki, przez część pyska aż do piersi, gdzie popstrzona była brązowymi cętkami. W dodatku pies nie szedł normalnie, tylko podskakiwał krótkimi susami i wyglądał na nie dosyć rozgarniętego, by samodzielnie znaleźć kość.

Murzyn słysząc kroki otworzył oczy, zobaczył psa i zachichotał. Chichot zmienił się błyskawicznie w tłumiony śmiech, od którego trzęsły mu się ramiona i brzuch. Starał się opanować, ale w końcu nie wytrzymał i wraz ze strugą piwa wydostał się z jego ust serdeczny rechot.

— Słodki Jezu! — jęknął. — Zobaczcie no to leniwe, brzydkie i tępe bydlę ze szpagatem zamiast ogona.

— Przepraszam, czyżby to była opinia o moim psie Otisie? — spytał nad podziw uprzejmie właściciel obiektu komentarza.

— Mówię o tym leniwym, obrzydliwym stworzeniu z imitacją ogona, które tu lezie. Czyżby toto nazywało się Otis?

— Co znaczy „nazywało się”? On się wabi Otis!

— No to o nim mówię.

— Zaczynasz mnie denerwować, bracie. Powiem ci coś: to mój pies.

— Jakbyś tego głośno nie powiedział, to nikt by się nie domyślił.

— Jestem dumny z tego pieprzonego psa, człowieka.

— To jesteś głupszy niż on.

— Może byś tak chciał pozbierać zęby w woreczek i jeść obiad przez słomkę, cwaniaczku?

— No. A może byś chciał, żeby ci połączyć język z kutasem za pomocą gwoźdźca? — odpalił Murzyn.

— Dobry Boże! To musiałyby być twój szczęśliwy dzień! Najszczęśliwszy dzień w całym twoim zasranym życiu.

— Żeby cię przerobić na mokrą plamę, nie potrzebuję szczęścia. Mam nadzieję, że się ostatnio wypowiedziałeś i pożegnałeś tę grubą, śmierdzącą dziwkę, z którą żyjesz, człowieku. Bo zrobię z ciebie kotlet.

— Cholera, pojęcia nie mam, jak ci się udało przeżyć tyle czasu?! Ktoś już dawno powinien zadrutować ci tę jadaczkę, którą strzepisz na prawo i lewo — zdziwił się Murzyn.

— Jak ci nakopię do dupy, to zobaczymy, co cię będzie dziwić.

— No, to na co czekasz, pyskaczu?

— Pożegnaj się z zębami, palancie.

— A kto ci rękę rozbuja, ty gumowy bohaterze?

— Dlaczego nie skończysz pieprzyć i nie zaczniesz się bić? — zdenerwował się właściciel psa, spokojnie słuchającego pyskówki.

— Bo czekam na ciebie, ty zakało wolnego świata. Przestań się opierdalać i chodź tu! Chyba że jaśnie panu trzeba przysłać zaproszenie na piśmie?

— Wiesz, oni są większość czasu kumplami. — Sy podszedł do Hatcher'a. — Cały czas przywożą tu amerykańskich turystów. Zwykle się przyjaźnią.

— Kumple! — jęknął zaskoczony Christian.

— Większość czasu.

Biały przywiązał psa do jednego ze słupów podtrzymujących dach i przybrał klasyczną pozę bokerską, trzymając jedną pięść przed twarzą, a drugim ramieniem markując lekko ciosy.

— Przestań się wygłupiać, Potter. — Murzyn zmienił ton, przyglądając mu się z uśmiechem. — Wiesz, że jak cię uczciwie zdzielię, to zdechniesz z głodu w locie.

— No, to zrób to, Corkscrew, jak potrafisz. — Mężczyzna zaczął tańczyć na ugiętych nogach.

Z wnętrza baru wyszedł gość o barach bizona i pasie baletnicy. Miał śnieżnobiałe włosy i także wąsy solidnych rozmiarów. Ubrany był w kraciatą koszulę, dzinsy, kowbojskie buty i pas. W kaburze tkwił python 357.

Całość robiła tak niesamowite wrażenie, że Hatcherowi z trudem jedynie udało się nie rozdziawić ust ze zdziwienia. Wyglądało, jakby przeniósł się w czasie.

Białowłosy stanął pomiędzy niedoszłymi przeciwnikami i łagodnie położył każdemu dłoń na ramieniu.

— Co się tu, do diabła, dzieje? — spytał.

— On się wyśmiewa z mojego psa — warknął Potter.

Białowłosy przyjrzał się psu i z trudem stłumił wesołość.

— Wiesz, jak toto się wabi? — spytał Murzyn krztusząc się ze śmiechu.  
— Otis! Na litość boską, przecież samo to wystarczy, żeby się człowiek rozplakał.

Pottera aż podrzuciło i białowłosy musiał użyć nieco siły, by naprawdę nie wdał się w bójkę.

— Uspokój się, Benny — powiedział stanowczo. — Chodźcie, postawię wam drinka. Tego Otisa możesz zostawić tu, gdzie jest.

Benny był przerażony.

— Przecież ktoś go może ukraść — jęknął.

Corkscrew ryknął śmiechem ocierając łzy, ale białowłosy starał się być bardziej dyplomatyczny.

— Nie sędzę — wykrztusił. — Naprawdę nie sędzę, by ktoś chciał to zrobić.

— Chyba że byłby naprawdę, ale to naprawdę głodny — dodał Murzyn przez łzy.

— Niech cię cholera. Mam tego dość! — ryknął Benny.

— No, niech stracę — powiedział Corkscrew. — Ja postawię te drinki.

Weszli do saloonu, a Otis zwałił się na chodnik, parsknął i zasnął.

— Kto to jest ten wielki facet z... — Hatcher przesunął dłonią pod nosem.

— Wąsacz? To Earp — odparł Sy.

— Chyba nie Wyatt Earp? — spytał sarkastycznie Hatch.

— Znasz go? — zdziwił się Sy.

— Nie, zgadłem — jęknął Christian.

— Trafileś w dziesiątkę. — Sy był pod wrażeniem.

— Chyba sprawdzę dokładniej ten lokal — mruknął Hatcher ruszając ku drzwiom „Longhorna”.

— Poczekam tu. — Sy zaczął ćwiczyć na chodniku.

— Baw się dobrze.

Wewnątrz wrażenie cofnięcia się w czasie było kompletne. Panował tu lekki półmrok, a pomieszczenie wyglądało wyjątkowo autentycznie. Duża sala z zielonymi obrusami na stołach, wentylatory w suficie leniwie młójące powietrze przesycone zapachem alkoholu i hamburgerów, stary bufet na całą długość ściany, bez wątplenia pochodzący ze Stanów. Wiszące za nim lustro, z dwoma półkolistymi napisami: „Tom Skoohanie” i „The Galway Roost, 1877”, sprawiało, że pomieszczenie wydawało się większe niż w rzeczywistości. Nad lustrem zaś wisiał wypchany leb bizona z czarną przepaską na jednym z oczodołów. Obrazu dopełniały wypłowiałe dagerotypy i grafiki ukazujące słynnych przestępców i szeryfów, pejzaż na jednej ze ścian, stara szafa grająca Wurlitzera w kącie oraz tablica ogłoszeniowa pełna notatek,

wizytówek i oznak amerykańskich jednostek wojskowych. Z szafy płynęła cicho piosenka Tony'ego Bennetta „Younger than Springtime”, a naprzeciw obwieszonej rysunkami ściany, za zasłoną z koralików, znajdowało się mniejsze pomieszczenie, do którego schodziło się po paru niskich stopniach.

Mężczyzna zwany Wyatt Earp siedział przy końcu baru, gawędząc z niedoszłymi przeciwnikami.

Barmanem był wysoki elegancki Murzyn w podkoszulku, kamizelce, džinsach i kowbojskich butach. Na głowie miał kapelusz, w którym można by się było wykąpać, z papuzim piórem zatkniętym za opaskę. Oprócz nich w pomieszczeniu znajdował się jeszcze tylko jeden mężczyzna o długich blond włosach, przygarbiony nad ladą. Nikt nie spojrział na Hatchera, gdy podchodził do baru, ale mimo to poczuł nagle falę zimna na karku, jakby gdzieś był przeciąg. Czuł się nieswojo, tak jakby bez zaproszenia wszedł do prywatnego klubu. Dlaczego ten cholerny Wol Pot przyjeżdżał do Tombstone dzień po dniu? Obserwował „Longhorna?” Śledził Cody'ego? Czy chodziło o Tajskiego Konia?

Czy rozwiązanie zagadki Murpha Cody'ego kryło się w tym lokalu?

## TOMBSTONE

Hatcher wiedział, że musi zachować ostrożność: jeżeli Cody żyje i przebywa w Bangkoku, oczywiście, że nie chce zostać rozpoznany, a więc logiczne było założenie, że ci, którzy go znają, nie zdradzą jego nowej tożsamości. Ciekawe, czy ktoś z tu obecnych wie o Obozie-Widmie, Tajskim Koniu albo o Wol Pocie? Zdawał sobie sprawę, że musi uważać, co mówi i do kogo.

— Czym się chcesz truć? — spytał barman głębokim, kulturalnym głosem.

— *Singha* — odparł Hatcher.

— Z beczki, w butelce czy puszkę?

— Z beczki.

Barman napełnił oszroniony kufel tutejszym piwem, nie spuszczać wzroku z Hatchera.

— Pierwszy drink na rachunek firmy — oznajmił przesuując naczynie po blacie.

— *Khawp khun* — mruknął Hatcher łapiąc kufel.

— Smacznego. — Czarne oblicze zdawało się przyjazne, ale oczy były podejrzliwe. — Chyba nie jesteś jednym z turystów, jacy tu najczęściej trafiają. Wyglądasz, jakbyś przeżył swoje po sąsiedzku.



— Wywiad wojskowy Cam Ranh — potwierdził zawołowaną sugestię Hatcher.

— Siły Specjalne uśmiechnął się barman. — Nigdy nie byłem pewien, gdzie mnie tym razem wysadzili. Skąd jesteś?

Skulony nad ladą blondyn uniósł nagle głowę wpatrując się przekrwionymi szarymi oczami w Chrisa. Spojrzenie nie było zbyt przytomne. Gość miał włosy związane w koński ogon, a ubrany był w kurtkę safari, mocno przepoconą pod pachami. Nie nosił koszuli. Stroju dopełniały białe szorty do tenisa i para kędów starego typu. Wieku mężczyzny nie dało się dokładnie określić: pomiędzy trzydzieści pięć a pięćdziesiąt. Nie odezwał się słowem. Przez długą chwilę przyglądał się Hatcherowi, po czym zogniskował spojrzenie na swym pustym naczyniu i znieruchomiał.

— Nie lubię zbyt długo siedzieć w jednym miejscu — szepnął Hatcher.

— A co cię przywiało do Bangkoku.

— Wakacje. Kierowca polecił mi tę okolicę. Kto wie, może wpadnę na starego kumpla.

— Kto wie — powtórzył barman wycierając lśniący kontuar.

— Nie sądzę, żeby ten bar pochodził z Tajlandii — mruknął Hatcher starając się podtrzymać rozmowę.

— Znasz trochę bufety — przyznał barman głaszcząc drewnianą okładzinę. — To, lustro i stary John Ford przybyły z jednego z najsłynniejszych stanów na świecie.

— John Ford?

— Bizon — wyjaśnił barman. — Stary Skoohanie był kowbojem w Teksasie, a do tego szczęściarzem z Irlandii. Pewnej nocy trafił do namiotu w Abilene, gdzie grano w pokera. Postawił czterdzieści przeciw sześciu tysiącom i skończył jako właściciel namiotu, stołów, baru i całej reszty. To był początek Galway Roost.

Przerwał i nalał sobie piwa.

— Co jednak nie wyjaśnia, skąd bufet wziął się w Tajlandii — mruknął Hatch.

— Miałem w oddziale zasrańca z niewyparzoną gębą. Nazywał się Edgar Skoohanie i cały czas chwalił się swoim barem. Powiedziałem mu kiedyś, że jakby chciał się go pozbyć, to niech mi da znać. I pewnego pięknego dnia odebrałem telefon od tego kurdupła: „Tu Ed Skoohanie, pamiętasz mnie?” Zupełnie jakby ktokolwiek z IQ wyższym niż dziesięć mógł kiedykolwiek zapomnieć tak idiotyczne nazwisko. Dowiedziałem się, że interes mu nie idzie i przerabia knajpę na dyskotekę. Na dyskotekę! Potargowaliśmy się i tak skończyłem jako właściciel bufetu i lustra. I to za dwanaście

tysięcy purpurowych plus cztery za przewóz. Starego Johna Forda dorzucił gratis. No i zacząłem ten interes.

Barman mówił o tutejszej walucie. Jeden bat wart był około pięciu centów amerykańskich, a purpurowe to banknoty o nominale pięciuset, białe to dziesiątki, zielone — dwudziestki, a czerwone — setki.

— Co innego mi zostało, jak otworzyć „Longhorna?” — spytał nalewając Hatcherowi kolejne piwo.

— Założę się, że równie dobra historia wiąże się z tą dziurą po kuli w lustrze — zauważył zapytany.

— Nie tak ciekawa jak ta o twoim głosie.

— Gadałem, gdy powinienem był słuchać.

Barman ryknął śmiechem ukazując garnitur lśniących zębów. Dwa z nich były złote, a jeden miał pośrodku co najmniej jednokaratowy diament.

— Lubię tych, którzy potrafią kpić z własnych błędów. — Wyciągnął dłoń mogącą robić za łopatę. — Słodki Wilkie, jestem właścicielem tej budy.

— Hatch — odparł Christian.

W trakcie ich rozmowy z drzwi za barem wyszły dwie piękne dziewczyny o długich czarnych włosach spływających im prawie do pasa. Obie Tajlandki ubrane były w mini, kowbojskie buty ze skóry kobry i pseudokowbojskie kamizelki, dobrze wypchane przez ich jędrne piersi. Żadna nie miała więcej niż piętnaście lat. Podeszły do Wilkiego z obu stron, chichocząc i całując go w oba policzki.

— To Jasmina, nazywamy ją Jazz, a to Orchid — przedstawił je wyraźnie zadowolony z efektu. — Od mniej więcej roku jesteśmy małżeństwem.

— Ty z Orchid? — upewnił się Hatcher.

— Z obiema — wyjaśnił barman z uśmiechem.

— Że jak?

— Z obiema. Rozwodziłem się jak dotąd sześć razy i jak dotąd nie zapłaciłem grosza alimentów. Doszedłem do wniosku, że tym razem podwoję stawkę i może będę miał więcej szczęścia.

Poklepał obie po zgrabnych pośladkach i uśmiechnął się olśniewająco. Dziewczyny ruszyły ku drugiemu krańcowi bufetu.

— Witamy w Tombstone — wymamrotał nagle blondyn nie przestając wpatrywać się w pustą szklanę.

— To Johnny Prophett, oficjalny poeta Tombstone — przedstawił go Wilkie.

— Bardzo mi przyjemnie — mruknął Hatcher.

Prophett przyjrzał mu się niepewnie, uśmiechnął się i wyciągnął w kierunku mówiącego zimną i bezwładną dłoń.

— Ilu Amerykanów żyje w Bangkoku? — spytał Chris.

Prophett wstał chybocząc się i podskoczył parę razy na prawej nodze. Oczy mu zwilgotniały, podrapał się nerwowo po rękach, a Hatcher widząc go wyprostowanego stwierdził, że gość jest chudy jak szczapa, by nie rzec — fizycznie wyniszczony. Johnny stanął niczym ewangelista podczas kazania i odparł:

— Cztery, może pięć setek. Wszelkich kształtów i rozmiarów: inżynierowie, kupcy, tenisiści, gracze, chodzące kaleki, cynicy, ludzie bez domu i miejsca. Wybierz, co chcesz, a na pewno trafisz.

„No, to zamiast szukać Cody'ego wśród pięciu miliardów, wystarczy znaleźć go w tej pięćsetce — pomyślał Hatcher. — Niezły postęp”.

— Ot, grupa przesiedlonych Amerykanów — dodał obojętnie Wilkie.

— Raczej zdrowo porąbanych — wtrącił Prophett. — Powinniśmy być martwi. Ten pieprzony przewoźnik po tamtej stronie pewnie do tej pory się nie kapnął, co się właściwie stało. Nawet poeta stracił trochę czasu, żeby się w tym wszystkim zorientować.

— Zgadza się — przytaknął Wilkie, a Hatcher zgodnie kiwnął głową, choć żaden nie miał pojęcia, o czym tamten mówi. — Johnny pisze książkę — dodał barman mrugając porozumiewawczo.

— Bombay z tonikiem — zarządził Hatcher.

Wilkie wsypał lodu do szklanki i zajął się robieniem drinka.

Prophett mamrotał coś pod nosem, a zza kurtyny z paciorków wyszedł mężczyzna poruszając dłońmi, jakby mu zdrętwiały. Był wysoki — ponad sześć stóp, ale posuwał się jakby trochę z trudem, kulejąc i jednocześnie potrząsając ramionami. Nosił dzinsy i biały podkoszulek bez rękawów z trupią czaszką i napisem „Grateful Dead”. Miał muskularne ręce o dziwnie delikatnych palcach. Czarne włosy spływały mu na ramiona i czoło, ale najdziwniejsza była twarz. Cienka czerwona linia biegła od połowy czoła przez nos i podbródek aż do krtani, dzieląc oblicze na dwie połowy, z których jedna pomalowana była na czarno, druga na biało.

— To Magik, nasz minstrel — wyjaśnił Prophett.

Mężczyzna podszedł do baru i wyciągnął rękę.

— Moje szczęście poszło srać — poinformował Wilkiego. — Daj pudło, maestro.

Ten podał mu czterostrunową gitarę, dobrze już zużytą, ale w doskonałym stanie. Widać było, że ktoś dbał o instrument pieczołowicie. Magik podszedł do szafy grającej, wyjął wtyczkę z kontaktu i siadł obok. Przymknął

oczy, oparł głowę o ścianę i zaczął śpiewać „Hey Jude”.

Miał doskonały głos: jasny, głęboki, lekko zabarwiony whisky na wysokich tonach. Śpiewał tak przekonująco, że miało się ochotę złapać Jude'a i wbić mu trochę rozumu do łba.

— Pięć stóp od miotacza ognia, gdy ten zarobił od moździerza — szepnął Prophett. — Nikt nie ma ochoty zobaczyć, co jest pod tą farbą.

Późnym popołudniem lokal się zapełnił. Wilkie wziął Pottera do pomocy przy barze, bo, zaczął się już robić solidny tłok. Prophett zaś coraz bardziej się garbił i coraz częściej drapał po rękach. Do środka wszedł mężczyzna o korpusie ciężarowca i cienkich, niezbyt pewnych nogach. Poruszał się niewielkimi skokami, jakby wypadł z pierwszego piętra i wylądował płasko na stopach. Podszedł wprost do Earpa i coś mu szepnął. Tamten wstał i drzwiami za barem przedostał się gdzieś na tyły, a nowo przybyły wszedł za zasłonę z koralików.

— To Gallagher. — Prophett poinformował Hatchera. — Gerald Gallagher z Hobart, Indiana. Jest właścicielem „Langtry's” po drugiej stronie ulicy. Nagie dziewczyny, i to naprawdę dziewczyny, nie zatrudnia starszych niż dwunastolatki. Każda inna jest według niego przekwitnięta. W Stanach ukamienowano by go na największym placu w okolicy.

— Skąd ten dziwny chód?

— Jego jeep wpadł na minę. Prawie wysłała go na orbitę. Można powiedzieć, że jego stopy nigdy się nie obudziły.

— Byłeś w Wietnamie — stwierdził Christian.

Prophett wpatrywał się w szklanke.

— Byłem z nim w tym jeepie — powiedział po chwili — zostawiłem tam nogę.

Wyprostował prawą kończynę i stuknął w nią zgiętym palcem. Zadzźwięczała metalicznie niczym prosta rura kanalizacyjna.

Prophett — nazwisko to nie mogło wyjść Hatcherowi z pamięci. Brzmiało dziwnie znajomo.

Earp wrócił tylnymi drzwiami i natychmiast zniknął za koralikami. Siadł przy Wielebnym obserwującym grę w bilard i oznajmił:

— To Hatcher gada z Johnnym.

— Aha, wobec tego posłuchałeś mojej sugestii.

— Sy nie musiał go tu sprowadzać. Sam podał adres.

— Jak przewidziałem.

— Przestań się czepiać. Nie jestem do końca pewien, czy zabawa z tym gościem to dobry pomysł.

— Wiedziałem, że prędzej czy później tu trafi. — Wielebny był zadowolony, że intuicja go nie zawiodła.

Earp, zamiast odpowiedzieć, wyjął z kieszeni kamizelki długie cygaro i starannie je zapalił obracając w palcach, by się paliło równomiernie.

— Pokazuje zdjęcia Wol Pota i Cody'ego. Pracuje dla Sloana — dodał po chwili.

Wielebny zetknął dłonie opuszkami palców i oparł na nich brodę.

— Powiedział Wilkiemu, że jest tu na wakacjach, ale Sy widział go na śniadaniu ze Sloanem. Nie przybył tu przypadkiem — szepnęła Earp.

— To mógł być przypadek, jak też i to, że się spotkali...

— Nie żartuj! Węszy, a ja twierdzę, że jeśli trafił tu tak szybko, to jest zdecydowanie za blisko.

— Uważaj, żeby ci paranoja nie przesłoniła zdrowego rozsądku — ostrzegł Wielebny.

— Mówię, że węszy.

— No, to spróbuj się dowiedzieć, co on wie.

— Proponuję, aby Tajski Koń się nim zajął.

— Zabić go?

— Nie rozumiesz, że to naprawdę niebezpieczny facet? Wiem, jaką miał reputację: był usankcjonowanym zabójcą w Wietnamie. Wysyłano go z listą, a gdy skreślił na niej ostatnie nazwisko, wracał po nową. To nie jest jakiś tpey tajniak z Frisco.

— Tym bardziej trzeba być ostrożnym. Sugeruję, żebyś się przysiadł i spróbował się z nim zbratać. Dowiedz się, co tu robi i co zamierza. Nie można na prawo i lewo wykańczać ludzi. Mimo otaczającej nas scenerii nie jesteśmy w O.K. Corral, panie Earp.

Earp wyjrzał na dużą salę. Hatcher i Johnny gawędzili od niechcienia.

— Poza tym — dodał Wielebny — znów wypłynie sprawa Portera. Co prawda to nie Tajski Koń, ale dwóch z rzędu musi wzbudzić zainteresowanie Amerykanów. Jeżeli koniecznie chcesz się go pozbyć, to gdziekolwiek, byle nie w Bangkoku.

— Ślicznie. Zaproszę go na piknik — warknął rozeźlony Earp.

— Pomyśl, zamiast panikować. Nadal mamy przewagę: wiemy więcej o nim, niż on wie o nas. Teraz trzeba się zorientować, po co tu przybył.

— Nie sądzę, żeby dało się to z niego wycisnąć.

— Wiesz, że pokorne ciele dwie matki ssie?

— On jest szybki i to jest jego rodzaj gry — mruknął Earp.

— Ale nasz teren. Poza tym jeżeli faktycznie pracuje dla Sloana i go wykończysz, to przyślą następnego.

— Nie, jeżeli dobrze to rozegramy.

— Przecież właśnie to sugeruję — uśmiechnął się Wielebny. — Cokolwiek zrobisz, zrób to dobrze. Jak sam powiedziałaś, to niebezpieczna gra, a on jest w niej dobry.

— Dobry to nie jest właściwe słowo. To ekspert.

Gdy Earp mówił, krępy mężczyzna w szortach i białym podkoszulku wstał od pokera i podszedł do ubranego na białą faceta, z którym rozmawiał jasnowłosy. Przysunął sobie krzesło i usiadł, po czym zaczął mówić coś szepcąc. Biało ubrany pokiwał głową i wskazał na grę trwającą za zasłoną.

Earp odwrócił się i wyszedł. Przysiadł na jednym ze stołków barowych, wyjął swój rewolwer ze specjalną lufą i położył na kontuarze. Hatcher obserwował to wszystko ze wzrastającym zainteresowaniem.

— To Eddie Riker, ten od lodów — wyjaśnił Prophett. — Rozmawia z Wielebnym, on jest oficjalnym bankierem Tombstone. Pewnie chodzi o pożyczkę w trakcie gry.

Pociągnął nagle nosem i podrapał się w bok.

— A ten gość z armatą to strażnik bankowy?

— Strażnik bankowy, pyszne — roześmiał się Prophett. — To Wyatt T. Earp, znany jako W.T. Robi za oficjalną obstawę sejfów, jakby komuś wpadło do łba zaopiekować się nim bez zezwolenia.

— Wygląda na gościa, który nadaje się do takiej roboty.

— Tutejsza policja zostawia nas w spokoju. Wystarczy W.T.

— Niezła armata. — Hatcher wskazał głową rewolwer. — Można z niej położyć słońca.

W sąsiedniej sali Wielebny otworzył kasetkę i wyjął coś, co wyglądało jak kwit zastawny. Wypisał na nim kwotę i podsunął Rikerowi. Ten złożył podpis i Wielebny odliczył pięć purpurowych banknotów: Riker skinął głową i wrócił do gry.

— Riker ma dziś pecha — skomentował Prophett.

— Co dla was? — Wilkie miał chwilę przerwy w obłożeniu baru.

— Dla mnie piwo — odparł Hatcher. — Choć nie miałbym nic przeciwko jakiejś małej partyjce.

Barman przyglądał mu się przez chwilę, nim się odezwał:

— Oni tu mają dość zabawne zasady co do tego, z kim grają. Jak się tu trochę pokręcisz i lepiej cię poznają, to mogą cię zaprosić.

— Dość zamknięte grono — skomentował Hatcher.

— Dość. — Wilkie wrócił na drugi koniec lady obsługiwać gości.

— To Wilkie zapoczątkował Tombstone — odezwał się Prophett i nagle słowa zaczęły mu się sypać jak lawina. — On i Earp. Sweets był profesorem angielskiego w Instytucie Tuskegee, dostał tytuł ze wszystkimi honorami na Uniwersytecie w Atlancie i jak myślisz, co zrobiła armia? Powołała go! Tak

został sierżantem, a jak się rozejrzył, co tu się wyprawia, to nigdy już nie wrócił do Stanów. Otworzył „Longhorna”, a Riker później „Pike's Peak”...

Wilkie spojrzął ostro na Prophetta. Uśmiechał się, ale Hatcher był pewien, że słuchał uważnie i że niezbyt mu się podobały niespodziewane wyznania poety. Nagle odwrócił się i podszedł do miejsca, gdzie siedział Corkscrew. Szepnął mu coś, a Murzyn wstał nie oglądając się i zniknął za zasłoną z koralików.

— ...a potem Corkscrew i Potter otworzyli „Yosemite Sam's”, a Magik „Stagecoach” — ciągnął Prophet nie podnosząc głowy. — Max nie znosił ciemności, więc pojechał na południe i zajął się rolnictwem. A Kilhanney, biedny Kil... ten pierdolony Taisung...

Hatcher, prawie oślepiony tą monotonną paplaniną, nagle wrócił do przytomności. Starał się jednak nie okazać zainteresowania. Prophet znał Taisunga! Zanim jednak zdołał zrobić cokolwiek, Prophetowi przerwano w pół słowa.

— Hej! — wrzasnęła Wilkie z drugiego końca baru i Johnny uniósł głowę milknąc. — Opanuj się, chłopie, zostaw to do książki. — Już był przy nich mówiąc spokojnie i łagodnie jak do dziecka.

Hatcher przyjrzał się uważnie pomieszczeniu za zasłoną. Wydawało mu się, że wśród siódemki graczy rozpoznaje kobietę. Miał rację — obiekt jego zainteresowania wstał nagle i skierował się ku wejściu do głównej sali. Bez dwóch zdań była to kobieta. Kiedyś bezsprzecznie zgrabna i atrakcyjna, teraz wiek i tusza zmieniły dość znacznie ten stan rzeczy: siwiała, a ślad po talii zniknął już dawno. Ubrana była w luźną białą bluzkę z bawełny, turkusową jedwabną spódnicę i sandały.

Hatcher pamiętał ją ze zdjęć jako drobniejszą i delikatniejszą. Zawsze objuczona kamerami, torbami i aparatami fotograficznymi — w Sajgonie, gdy zbliżał się koniec. Melinda Prewett zdobyła Nagrodę Pulitzera za zdjęcia utrwalające zniszczenia, strach, ból i nienawiść. Gdy wojna się skończyła, rzuciła lukratywną pracę w „Lifie” i zniknęła. „Mój aparat nie ma już nic do powiedzenia” — taki był jej łabędzi śpiew.

Podeszła prosto ku nim, upychając banknoty w kieszeń spódnicy, i stanęła przy Johnnym. Objęła go i szepnęła:

— Cześć.

Uśmiech rozjaśnił twarz poety. Bez słowa przytulił się do niej.

— Jak ci poszło? — zapytał.

— Zrobiłam z nich żebraków — szepnęła miękko. — Czas na twoje lekarstwo.

— Zgadzdza sssię — zaczął nagle się zacinać. — Pozzzznaj Haaatcha. Jeest na waakacjach ood świaaata.

— To miłe. — Przyglądała się twardo Christianowi przez kilka chwil, w końcu dodała z uśmiechem: — Witamy w Tombstone, panie Hatch. Przyjemnego pobytu.

## DOCHODZENIE

Taisung!

To, że Prophett go znał, było faktycznie przełomem, tylko co z tego wynikało? Skoro Johnny znał go jako komendanta obozu przed zmianą nazwiska, to albo był w tym obozie, albo znał tych, którzy tam byli. Co do tego Hatcher miał pewność. Pozostawało natomiast kilka pytań. Czy Johnny wiedział, gdzie Taisung teraz przebywa? Czy inni to wiedzą? Czy któryś z nich znał Cody'ego? Czym (albo kim) jest Tajski Koń i jak pasuje do reszty układanki?

Wziął lodowaty prysznic, by splukać efekty popołudniowego piwa, i pomyślał o Ronie Pelletierze. W oddziale wielokrotnie współdziałali, tworząc zgrany zespół. Sloan powiedział, że Ron pracuje w Biurze Imigracyjnym w Chuang Mai, czterysta trzydzieści mil od Bangkoku. Przebywał tu od dwóch lat i mógł wiedzieć coś niecoś, może to pomogłoby rozwiązać zagadkę Murpha Cody'ego. Ron był starym przyjacielem, kimś, komu można zaufać. Chris uśmiechnął się wykręcając numer nocnego dyżuru Biura Imigracyjnego i zostawiając wiadomość dla Pelletiera. To był strzał w ciemno.

Wyciągnął się goły na podłodze pod obracającym się wentylatorem i starał się uporządkować wrażenia kłębiące się w jego głowie. Wspomnienia osób spotkanych i ujrzanych w saloonie. Cały czas wracał do Prophetta, starając się sobie przypomnieć, gdzie słyszał to nazwisko i dlaczego wyniszczony poeta wydał mu się znajomy. Wszystko, co naprawdę o nim wiedział, to że był pisarzem i stracił nogę w wypadku.

Nagle usiadł.

Paget!

To nie nazwisko było znajome. To twarz. Tylko że nie należała do Johnny'ego Prophetta. Naprawdę nazywał się James Paget. W czasie wojny wielokrotnie stykał się z jego tekstami i zdjęciami.

Dlaczego zmienił nazwisko? A skoro to zrobił, to czyż inni nie mogli postąpić tak samo? „Tylko dlaczego? Postanowił zaryzykować kolejny strzał w ciemno. W Waszyngtonie była dziewiąta rano i Flitcraft powinien już



pracować w biurze. Zamówił rozmowę i po wymianie hasel dostał wreszcie sierżanta.

— Mam parę nazwisk, które chciałbym sprawdzić — oznajmił. — Nie dysponuję zbyt wielu danymi poza nazwiskami, ale zobaczymy, jak pan się spisze, sierżancie. Na początek cywil James Paget, dziennikarz...

Po kolei dyktował resztę informacji usłyszanych dziś i starannie zapamiętanych: Max Early, zaatakowany w tunelu przez nietoperze, a teraz żyjący na farmie, gdyż nie znosi ciemnych zamkniętych pomieszczeń. Potter, który wraz z Corkscrewem odparł atak całej wietnamskiej kompanii, kiedy to zginął brat tego drugiego. Eddie Riker, jeden z najlepszych pilotów helikopterów w Wietnamie. Gerald Gallagher, wysadzony wraz z jeepem na minie. Wyatt Earp, prawnuk słynnego Earpa, ekspułkownik Sił Specjalnych z czterema pełnymi turami.

— Mam też dwa pseudonimy — zakończył. — Magik i Corkscrew.

— Zadzwoń, jak tylko coś znajdę — sierżant nie wydawał się przejęty ubóstwem informacji.

Hatcher zamówił do pokoju sałatkę i kawę. Gdy jadł, zadzwonił telefon.

— Halo?

— Hatch?

— Tak.

— Tu Pelletier...

Wielki mężczyzna siedział pochylony nad narożnikiem baru. Miał ponad sześć stóp i pięć cali wzrostu, masywne ramiona i klatkę piersiową zawodowego futbolisty. Prawy rękaw zatknięty był w kieszeń polowego munduru bez odznaczeń czy dystynkcji. Lewa ręka, o nadgarstku grubości liny okrętowej, dorównywała masywnością reszcie ciała. Szpakowate wąsy były starannie przycięte w kącikach ust, a czarne włosy tylko na skroniach przetykała siwizna. Ciemnobrązowe oczy spoglądały bez mrugnięcia zza lekko przyciemnionych szkieł w złotej oprawce. Cała postać była groźna; mężczyzna robił wrażenie kogoś, kto nie uśmiecha się z byle powodu i nie znosi towarzyskich pogaduszek o niczym. Gdy miał coś do powiedzenia, mówił to głębokim, jasnym głosem, posługując się krótkimi, jakby odmierzonymi zdaniem.

Hatcher pracował z nim wielokrotnie i w różnych miejscach. Wiedział, że Ron jest wiernym i pożądanym sprzymierzeńcem, lecz wobec wrogów nie ustępuje aż do wyrównania rachunków. Zanim trafił do oddziału, był zawodowym *marine* i pewnego razu wyniósł na plecach spod ognia równocześnie

dwóch ciężko rannych kumpli. Dźwigał ich przez miłą, a żaden nie był niedożywionym młokosem.

Pelletier dostrzegł Chrisa, ledwie ten wszedł do baru, i przez usta przemknęło mu coś na kształt uśmiechu.

— Oryginalny zły szeląg — powitał go. — Miło cię znowu widzieć.

— Ciebie też — odparł szczerze Hatcher.

— Cieszę się, że żyjesz. Słyszałem rozmaite pogłoski.

— Na przykład.

— Że nie żyjesz. Wiedziałem, że to gówno prawda.

— I co jeszcze.

— Że Sloan cię zostawił, że odsiedziałeś sporo w Los Boxes, aż w końcu cię wyciągnął.

— To się mniej więcej zgadza — szepnęła Hatcher.

— Skurwiel. Dalej z nim trzymasz?

— On tak sądzi! W praktyce szukam starego kumpla na własny rachunek.

— Znam go?

— Nie znasz — mruknął Christian.

Ron natychmiast porzucił temat. Lata w oddziale nauczyły obu nie mówić zbyt wiele o swych zadaniach, jeżeli nie było to konieczne.

— Co się stało z ręką, Ron? — Hatcher przerwał chwilę milczenia.

— Gangrena. Nie zdążyłem znaleźć piły i poszła cała ręka.

— Gdzie?

— W Afganistanie... A ty? — Wskazał gestem szyję Chrisa.

— W Los Boxes nie wolno było mówić. Otworzyłem jadaczkę w niewłaściwym momencie.

— Jezu!

— Cokolwiek słyszałeś o tym miejscu, to rzeczywistość i tak jest gorsza.

Ron opróżnił jednym haustem naczynie i podał je kelnerce.

— Wielu dobrych chłopaków się przekreśliło — mruknął.

— Słyszałem.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, aż dziewczyna przyniosła drinki.

— Zajęty tu jesteś? — zainteresował się Pelletier.

— Przesiaduję ostatnio w pewnym miejscu o nazwie „Longhorn”.

— W Tombstone. — Ron kiwnął głową.

— Co sądzisz o tej budzie?

— Dają dobre amerykańskie żarcie — Ron wzruszył ramionami. — Prowadzi to grupa weteranów.

— Znasz któregoś?

— Nie byłem tam ładnych parę miesięcy. W „Yosemite Sam's” można dostać dobry stek.

— Czym ty się teraz właściwie zajmujesz? — Hatcher zmienił temat.  
— Sloan wprowadził mnie do imigracji. Do trzydziestu lat zostało mi sześć miesięcy. Skończę turę i mam emeryturę.  
— Chyba czasami ta menda bywa człowiekiem.  
— Pewnie mu się zdarza — zgodził się Ron — a zajmuję się pierdołami. Sprawdzaniem tubylców, którzy chcą wyemigrować.

— I to wszystko?

Pelletier wychylił jednym haustem pół drinka i otarł usta wierzchem dłoni, po czym uśmiechnął się.

— Mam jeszcze oko na górskie szczepy sprawdzając, kto się wykazuje w produkcji.

— I co?

— Twój stary kumpel Tollie Fong jest strasznie zajęty. Nadal jest cięty na ciebie?

Hatcher skinął głową i spytał.

— Pamiętasz Joe Lunga?

— Skurwiel, jakich mało.

— Kilka nocy temu w Hongkongu próbował mnie załatwić. Liczba bandziorów na świecie została dość skutecznie zredukowana.

Ron uśmiechnął się promiennie.

— To się nazywa dobra wiadomość — stwierdził z uznaniem.

— Pewien jestem, że Fong zamierza dotrzymać słowa i wykończyć mnie — dodał tonem towarzyskiej pogawędki Christian.

— Chwilowo jest zbyt zajęty. Białe Dłonie w tym roku zebrały niezłe żniwo.

— Ile?

— Chłopaki z narkotyków sądzą, że ze dwie, trzy tony gotowego produktu. Fong gdzieś to zamelinował.

— W Bangkoku?

Pelletier przytaknął, dokończył drinka i zamówił nowego.

— Ma problemy z przerzutem — dodał. — Federalni spodziewają się dużej dostawy. Naprawdę dużej.

— Kiedy?

— Cholera wie. Interesuje cię to?

— Nie jestem pewien. Słyszałeś o czymś takim jak Tajski Koń?

Tym razem Ron uniósł brwi.

— Niewiele ci umyka — przyznał. — O tym też wiesz?

— Może byś łaskawie wyjaśnił.

— Plotki. Jerry Cramer z DEA twierdzi, że rozeszła się wieść, iż grupa o nazwie Tajski Koń załatwia kurierów Fonga. To wszystko.

— Znasz jakieś szczegóły?

— Słyszałem jedynie, że są nieźli. Dotąd załatwili trzech. Poza tym słyszałem, że parę miesięcy temu skupowali niemowlaki z ulicy, żeby wypchać trupy proszkiem i przewieźć przez granice.

— O kurwa! — wykrztusił Hatcher.

— Wpadli na malajskiej granicy, ale kierowca zdołał prysnąć.

— Są gorsi niż Chiu Chao.

— Możliwe, choć Fong miał już podłejsze pomysły. — Ron wzruszył ramionami. — Jak dotąd to zabrali mu zaledwie ze sto kilo. Kropla w morzu.

— To cztery miliony, zanim trafi na ulicę — stwierdził Hatcher błyskawicznie policzywszy w pamięci.

— A co to jest w porównaniu z trzema tonami?

— Wstyd dla Fonga. I zachęta dla innych.

— To dopiero byłby wstyd, nie? — Ron uśmiechnął się szeroko. — Załatw gnojka, a dadzą ci przedmieście Chicago.

— Szukam faceta, nie kłopotów.

— Zmieniłeś się.

— Czas robi to ze wszystkimi.

— Jeżeli potrzebujesz pomocy... — Pelletier nie dokończył zdania.

— Dzięki. Jeżeli będę w kłopotach, nie znam lepszego niż ty, żeby mi osłaniał dupę.

— Tak — głos Rona był całkowicie pozbawiony emocji — ja też tak myślę o tobie.

Gdy Hatcher wyszedł z knajpy godzinę później, nie zauważył, że w cieniu rzucanym przez markizę sklepu po przeciwnej stronie ulicy coś się poruszyło. Połyskujące oczy obserwowały, jak łapał taksówkę. Gdy ta ruszała, z ukrycia wyłonił się wysoki Chińczyk, wsiadł do czekającego w pobliżu samochodu i podążył śladem Hachera do hotelu.

## ZAPROSZENIE

Z porannego wydania „Bangkok Nation” Hatcher dowiedział się, że oprócz codziennej gonitwy koni jedynym sportowym wydarzeniem dnia jest mecz bokserski, w którym uczestniczy Sy.

Główne miejsce na pierwszej stronie zajmowała informacja o zamachu na ambasadę niemiecką w Paryżu. Siedem trupów, w tym ambasadorzy Finlandii i Szwecji z żonami. Ambasador USA uniknął obrażeń dzięki spóźnieniu. W artykule na sąsiedniej szpalcie władze francuskie informowały o, znalezieniu w pokoju hotelowym ciała znanego terrorysty o przezwisku

Hiena. Uważano, że był on sprawcą zamachu, a przypuszczano, że został zabity przez kogoś ze swoich pomocników w sporze, jaki się potem wywiązał.

Hatcher odłożył gazetę i zabrał się do dokładnego studiowania fotografii Wol Pota, starając się zapamiętać cechy szczególne: kształt czaszki, wielkość uszu, ułożenie nosa i ust — to, czego nie można zmienić inaczej niż poprzez operację plastyczną.

W swym *ch'uang tzu-chi*, oknie do wnętrza, starał się utrwalić wszystko, co pomogłoby mu zidentyfikować Wietnamczyka przy pierwszym spotkaniu.

Większość ranka spędził obserwując gwarny tłum na Sanam Luang, głównym targowisku artykułów spożywczych. Pokazywał sprzedawcom fotografię Wol Pota, rozmawiał z „wodnymi dziećmi”, mając nadzieję, że ktoś może rozpoznać „komiwojażera”, jak podano w paszporcie. Biuro paszportów zresztą też sprawdził, gdyż Wol Pot mógł wystąpić o nowy dokument. W obu wypadkach spotkało go całkowite rozczarowanie — nikt nic nie pamiętał i nie było żadnych nowych wniosków na to nazwisko. Najprawdopodobniej kupił lewy paszport, co nie jest znów takie trudne w Bangkoku.

Sprawdzenie reszty miejsc z listy Portera też nie dało efektów. Jedynym śladem, jaki pozostał, było zamiłowanie Wol Pota do sportu, choć zauważenie go w tłumie, jaki zazwyczaj gromadził się na wyścigach czy meczach bokserskich, graniczyło z niemożliwością. Wyprawa na wyścigi nie dała zresztą nic poza fascynującym widokiem tłumów wściekle wrzeszczących i stawiających, na co się dało. Było to zrozumiałe, jako że jedyną rzeczą, jaką Tajlandczycy przedkładają nad sport, jest hazard.

Późnym popołudniem wrócił do „Longhorna”, zwalniając Sy na resztę dnia, by dobrze się przygotował do meczu, i obiecując skorzystać z biletu, jaki bokser mu dostarczył. Tłum będzie mniejszy niż na wyścigach, a skoro Wol Pot miał bilety z poprzednich meczów, to najwyraźniej lubił boks.

Wilkie rozpromienił się na jego widok, a w „dziurze” widać było nadzwyczajną aktywność wśród „swoich”. Poker został zawieszony, natomiast przy obłożonym stole toczyła się ożywiona rozmowa. W.T. siedział nieco z boku i starannie sprawdzał sztucer kalibru 30 o złotych inkrustacjach i ręcznie rzeźbionej kolbie z drewna tekowego.

— Lubisz się zakładać, Hatch — powitał go Wilkie. — Jeżeli tak, to włącz do „dziury” i przyłącz się do zabawy.

— Co się dzieje? — zapytał Chris wchodząc do wewnętrznego sanktuarium.

— Tygrysy! — W głosie Prophetta był cień uznania.  
— Tygrysy? — zdumiał się Hatcher.  
— Dokładnie tygrys sztuk jeden — wtrącił Earp. — Stary samiec, który dostał fioła. Zabił kilka dzieciaków, kobietę i starca. Max Early zbiera ekipę na polowanie.

Dziś wydawał się w znacznie przyjemniejszym nastroju niż wczoraj. Najwyraźniej podniecenie zbliżającym się polowaniem miało swoje dobre strony.

— Dość nagle to wyskoczyło — mruknął Hatcher.  
— To ludojad! — obruszył się Potter. — Nie będzie siedział głodny i czekał, aż się zastanowimy, czy warto.  
— Ruszamy jutro rano — dodał Earp. — I zamierzamy go załatwić. Takie zwierzę nie ma prawa dłużej żyć.  
— Składka po dwa purpurowe, ten, który go zabije, bierze pulę — oznajmił Magik.

Zachowywali się jak dzieciaki planujące wakacje.

— Wilkie trzyma kasę. Musi tu zostać i pilnować interesu — poinformował Chrisa Corkscrew.

— A reszta? — zainteresował się Hatch.  
— Mamy okolicznościowy urlop — uśmiechnął się Gallagher.  
— Lecimy porannym samolotem do Surat Thani — informował go Earp. — Start o piątej rano. Lot trwa godzinę. Max nas odbierze i zawiezie na miejsce. Od ósmej zaczynamy. Przy odrobinie szczęścia wrócimy samolotem o siódmej wieczorem. Jesteś zainteresowany? Niespodziewana atrakcja w programie wakacji.

— To oficjalne zaproszenie?  
— Dlaczego nie? — odparł Riker. — Im większa pula, tym lepiej.  
— Nie mam broni — stwierdził Hatch.  
— Max ma niezły arsenał, pożyczysz ci coś. — Corkscrew machnął lekceważąco ręką.

Max był jedynym z tej grupy, którego Hatcher dotąd nie miał okazji poznać. Polowanie zaś było doskonałą okazją dotarcia do nich bliżej, zwłaszcza do Prophetta.

— *Pai-tio*, żołnierzu, wielka *sanuk* — uśmiechnął się Corkscrew.

Tajlandczycy wszystko w życiu dzielili na dwie kategorie: *mai-tio*, czyli poważne sprawy, jak praca, i *pai-tio*, czyli wszystko, co było *sanuk* — zabawą.

— Cóż, może będę miał szczęście i zwrócą mi się koszty podróży — zdecydował Hatcher.

— Będziesz miał o czym opowiadać po powrocie — zachęcił go Potter.

— Świetnie! — ucieszył się Magik. — To ilu nas jest?

— Ty, Melinda, Johnny, W.T., Corkscrew, Potter, Gallagher, Riker, Hatch i Max — to dziewięciu — odezwał się Wielebny sprawdzając trzymaną w rękę listę.

— Jesteś oficjalnym szefem tej operacji? — spytał Hatch z uśmiechem.

— Jestem skarbnikiem i logistyką tego małego klubu — odparł Wielebny. — Przyjmuję także gotówkę na bilet. Będzie pięćset, resztę ci wydam w samolocie.

— Zgoda. — Hatcher wręczył mu purpurowy banknot.

— Nieźle. Pięć tysięcy. — Riker zatarł radośnie ręce.

— Daj patyka Wilkiemu i jesteś oficjalnie w drużynie — dodał Earp. — I bądź na lotnisku o czwartej trzydzieści, bo możesz nie dostać miejsca. Tej rozrywki, jak sądzę, nie chciałbyś stracić.

„To dopiero dziwna gra — pomyślał Earp. — Obserwujemy go, a on nas”.

Niechętnie, ale jednak przyznał rację Wielebnemu — musieli odizolować Hatchera i dowiedzieć się, w co on tak naprawdę gra. Max dostarczył doskonały pretekst, by rozwiązać ten problem. Jeśli Hatcher jest tak niebezpieczny, jak sądzili, to czyż to nie doskonała śmierć zginąć polując na tygrysa ludojada?

## MECZ

Hatcher przybył na miejsce trochę po siódmej. Arena znajdowała się na tyłach wspaniałej świątyni Suthat. Główne pojedynki zaczynały się o dziesiątej, ale Sy był nie znanym bokserem i jego walkę wyznaczono na ósmą. Nie były to rozgrywki słynnego *muay thai*, raczej coś na kształt małowiaścickowego sparingu w Stanach. Miejsce prób dla młodych zawodników szukających drogi do sławy i do udziału w meczach odbywających się cztery razy w tygodniu na stadionach Lumpini albo Rajadamnern.

Hałas, upał i zamieszanie najbardziej uderzały wchodzącego na niewielki stosunkowo teren areny otoczonej budkami bukmacherów. Zakłady robiono w szaleńczym tempie i na obląkańczą skalę. Było jeszcze widno, ale nikomu to nie przeszkadzało: grali z pasją, wrzaskiem, spoceni, rozpaczliwie wymachując gotówką ponad głowami.

Zamieszania dopełniała ogłuszająca muzyka tradycyjnie towarzysząca

walkom. Piszczalki, gongi, bębny i instrumenty strunowe podobne do banjo dawały łącznie taką kakofonię, że kocia utarczka zdawała się w porównaniu z tym cichą mszą.

Odkąd dwóch Tajlandczyków zdobyło mistrzostwo świata w wadze muszej kilka lat temu, zarówno tradycyjny *muay thai*, jak i zachodni boks wchodziły do programu każdego turnieju. Fani grupowali się koło dużego ogrodu z tyłu areny, gdzie niczym konie na padoku rozgrzewali się zawodnicy. Obserwując ich hazardziści wybierali, na kogo chcą postawić. Zawodnicy boksu tajlandzkiego przesuwali się jak na zwolnionym filmie, niby tancerze; bokserzy zachodniego stylu walki biegali, podskakiwali, robiąc wrażenie groźniejszych. Nic bardziej mylącego. Jeszcze nie tak dawno walczone w *muay thai* nie używając rękawic, lecz z dłońmi oplecionymi sznurem oblanym żywicą i obtoczonymi w tłuczonym szkle. Walki takie kończyły się dopiero w momencie, w którym jeden z przeciwników nie był w stanie wstać. Teraz zostały one zakazane. Obowiązywały rękawice, pięć trzyminutowych rund, a sędzia w każdej chwili mógł przerwać walkę.

Widome było w kręgach znawców sztuk walki, że dobry bokser tajlandzki jest groźnym przeciwnikiem, którego bardzo trudno zatrzymać.

Sy ubrany był w granatową kurtkę z wyszytą na plecach zielono-czerwoną kobrą o białym, groźnie otwartym pysku. Akurat gdy Hatcher go zobaczył, zdjął ją i podał trenerowi, krępemu, ale potężnie umięśnionemu mężczyźnie ze złamanym nosem i grubymi brwiami. Został w spodenkach z czerwonego jedwabiu z błękitnym napisem w sanskrycie na jednej z nogawek, oznaczającym jego imię. Wokół głowy i lewego bicepsa miał zaciśnięte sznurki, a włosy związane z tyłu w sztywną kitkę ze zwisającą błękitną wstążką, co było tradycyjnym stylem bokserów tajlandzkich. Do sznura na ramieniu miał przymocowany niewielki amulet. Jak nakazywała tradycja, nie nosił obuwia.

Poruszał się z nieprawdopodobną gracją, jak zahipnotyzowany. Powoli obrócił się na jednej nodze, potem na drugiej w rytm muzyki i nagle wyskoczył tnąc powietrze serią kopnięć i ciosów, by wylądować na jednej nodze i w zwolnionym tempie zakończyć piruet.

Hatcher musiał przyznać, że był niezły. Wywarł na nim takie wrażenie, że Christian zdecydował się wrócić do bukmacherów i przepychając się przez wrzeszczący tłum postawił pięćset na kierowcę. Sy nie był typowany na zwycięzcę: zakłady przyjmowano w stosunku 5:2, czyli w razie jego zwycięstwa Hatcher zyskałby siedemset pięćdziesiąt batów (około trzydziestu pięciu dolarów), które chciał dać bokserowi w prezencie. Przy okazji popatrywał na twarz, a po dokonaniu zakładu przespacerował się przez cały



teren, sprawdzając też galerie i widownię, ale bez powodzenia.

Wol Pota nie było.

O siódmej trzydzieści Sy znalazł się na ringu, a nad miastem rozpoczęła się letnia burza, na którą nikt nie zwrócił uwagi. Sędzia, podobnie jak w zachodnim boksie, przedstawił zawodników. Przeciwnik był większy i potężniej zbudowany, nazywał się Ta Tan. Sędzia ogłosił reguły walki.

Zakazane było: gryzienie, zapasy, judo, plucie, kopanie leżącego i skakanie na niego. Mecz by przerwano, jeżeli któryś z zawodników zostałby ranny. To ostatnie spotkało się z serią gwizdów i wyzwisk widowni.

Zaczął się rytuał walki. Wrzaskliwa muzyka umilkła, tłum też. Sy pochylił głowę i złożył ręce w klasycznym *wan*, dziękując trenerowi i prosząc Buddę o zwycięstwo, jako że wierzył, iż „właściwy” duch pozwoli mu wygrać. Budda mówił o czterech szlachetnych prawdach: pierwsza — życie to cierpienie, druga — cierpienie wywołane jest przez pożądanie, trzecia — należy wyeliminować pożądanie, a skończy się cierpienie, i ostatnia — jest osiem sposobów na wyeliminowanie cierpienia: zrozumienie, myślenie, mowa, zachowanie, sposób życia, wysiłek, uwaga i koncentracja. Sy powtórzył nakazy, obiecując przestrzegać owych reguł i żyć „właściwie”.

Po modlitwie odezwała się cicha i wolna muzyka tworząc tło, podczas gdy obaj przeciwnicy krążyli wokół siebie prezentując techniki. Sy wydawał się bardziej klasycznym bokserem niż Tan, którego styl był mniej wysublimowany i powolniejszy.

Pierwsza runda zakończyła się błyskawiczną wymianą kopnięć i uderzeń, z których większość chybiała, a reszta była blokowana. Zawodnicy studiowali wzajemnie swoje style.

W drugiej rundzie Tan wystrzelił prawie z narożnika i zaatakował podskakując na jednej nodze, a drugą zadając krótkie i ostre kopnięcia. Sy uniknął pierwszych ciosów odskakując, resztę zaś zablokował własnymi kopniakami. Tan zmienił taktykę, zadając ciosy na przemian rękami i nogami. Sy zgiął się z jękiem i cofnął, ale Tan nie ustawał, tym razem przechodząc tylko na ciosy rękoma. Sy unikał ich przez chwilę, póki nie dostał ostrego ciosu w skroń. Obrócił się i silnie kopnął prawą nogą, trafiając Tana w bok. Nie wywarło to większego wrażenia, Tan zaatakował ponownie serią prawych i lewych prostych, z których część trafiła w policzki i szczękę z głośnym płaskiem rękawic. Tłum zaczął wrzeszczeć czując krew.

Tan, choć wolniejszy i słabszy technicznie, miał przewagę wzrostu i wagi. Skorzystał z niej, podczas gdy Sy musiał odskakiwać i tańczyć, by uniknąć

ciosów. Nie był naturalnie w stanie uniknąć wszystkich. Spadały na jego głowę, podobnie jak kopnięcia docierały do brzucha i ud. Wykręcał się i blokował, stwarzając wrażenie, że Tan ma całkowitą przewagę na ringu. Dzwonek uratował Sy od poważniejszych uszkodzeń.

Z ulgą siadł w rogu, spoglądając od czasu do czasu na Hachera i uśmiechając się. Z kącika ust ciekła mu cienka strużka krwi, a cały dosłownie spływał potem.

Sy był twardszy, niż myśleli sędziowie. Trzecia runda zaczęła się mniej więcej w ten sam sposób jak druga. Tan wystartował z narożnika kopiąc i zmieniając nogi, a od czasu do czasu przechodząc do ciosów rękoma. Ale Sy rozgryzł już jego styl i dostosował do niego własny sposób walki. I nagle zaczął pokazywać, co potrafi. Zręcznym unikiem z przysiadu dostał się w zasięg Tana i spunktował go pięknym ciosem w szczękę, wytrącając przeciwnika całkowicie z ataku. Zaraz potem nastąpiły dwa trafienia nogą w brzuch, zmiana nóg i kolejne dwa celne ciosy nogą. Tan zachwiał się i cofnął zaskoczony nagłą zaciekłością małego boksera, z czego ten natychmiast skorzystał. Podskakując na jednej nodze ruszył w ślad za przeciwnikiem, błyskawicznie dopadł go, odbił się drugą nogą i wyprowadził klasyczny cios w nasadę nosa Tana. Krew trysnęła niczym sok z dojrzałej pomarańczy. Tan odskoczył potrząsając głową i przyjął pozycję obronną.

Teraz Sy rozpoczął atak. Wyprowadził dwa ciosy lewą nogą, przeskoczył na prawą i trafił solidnym kopniakiem w krocze przeciwnika. Ten ryknął z bólu, okręcił się wokół własnej osi, przyklęknął. Został wyliczony do sześciu, zanim z rykiem zaatakował z tej pozycji.

Sy oczekiwał tego. Obrócił się na pięcie, wyprowadził silny kopniak w szyję Tana i zaraz potem trzy ciosy oburącz prosto w twarz. Z rozbitego już nosa krew popłynęła obficie. Kolejny celny kopniak odrzucił głowę Tana w tył. Bokser zatoczył się zdeorientowany. Jedno oko zaczynało mu gwałtownie puchnąć. Zdesperowany rzucił się na mniejszego przeciwnika, objął go przyciskając mu ramiona do tułowia i uderzył czołem w głowę.

Widownia zareagowała gwizdami zmieniając błyskawicznie faworyta, a sędzia czym prędzej rozdzielił zawodników upominając Tana. Sy krwawił z nosa, ale gestem dał sędziemu znak, że wszystko w porządku. Gong zakończył rundę, gdy zaczynał dochodzić do przeciwnika.

Trener zaczął mówić coś gorączkowo, ledwie Sy znalazł się w narożniku, na co ten potakiwał energicznie. Hatcher korzystając z przerwy rozglądał

się po widowni; zdawał sobie doskonale sprawę, że czepia się nadziei, która nie miała szans na realizację. Jakkolwiek by było, ten mecz nie uchodził za specjalnie ważny i Wol Pot musiał z niego zrezygnować.

W czwartej rundzie Tan zmienił taktykę. Poruszał się precyzyjniej, bardziej w stylu europejskich bokserów, próbując znaleźć lukę w obronie przeciwnika. Sy tańczył z gracją wokół cięższego rywala. Nagle Tan wyprowadził cios nogą i trafił go dokładnie w krocze. Sy zwinął się i wylądował na linach. Widownia nie bardzo wiedziała, komu kibicować.

Tan trafił trzykrotnie w twarz i Sy opadł na kolana potrząsając głową. Krew mieszała się z potem na jego piersi. Popatrzył na przeciwnika i Hatcher w jego oczach zobaczył nienawiść. To było spojrzenie mordercy. Sy otarł rękawicą krew i pokręcił przecząco głową na pytanie sędziego.

Zerwał się na równe nogi przy aplauzie widowni.

Tan zaatakował ponownie, próbując jak poprzednio przebić się przez obronę Sy, ale tym razem spotkała go niespodzianka. Sy uczynił przewrót lądując za plecami przeciwnika, a gdy ten odwrócił się, zrobił trzy krótkie kroki i skoczył w powietrze. Z wyskoku wyprowadził dwa ciosy nogami — oba trafiły przeciwnika w twarz — i wylądował na ugiętych nogach.

Podczas gdy Tan próbował dojść do siebie, Sy podbiegł, zamarkował kopnięcie i trafił przeciwnika dwoma prostymi w szczękę. Wszystkie ciosy były celne. Tan zatoczył się i cofnął, a Sy ruszył w ślad za nim, zmieniając nogi i markując ciosy. W końcu nastąpił kolejny wyskok i podwójny kopniak, także celny, zakończony lądowaniem na ugiętych nogach.

Hatcher z resztą publiki powstał wiwatując i bijąc brawo.

Zaskoczony, ranny i ogłupiały nagłością ataku Tan wyprowadził morderczy sierpowy, który powinien był zmieść przeciwnika z ringu. Tyle że cios chybił o ćwierć cala. Sy natomiast trafił Tana dwoma szybkimi lewymi prostymi i poprawił prawym dokładnie na styk szczęki i nasady ucha. Tan okręcił się wokół własnej osi, padł twarzą na liny, odbił się i siadł z łomotem na tyłku. Rozejrzał się szklanym wzrokiem, a sędzia zaczął wyliczanie. Przy sześciu Tan zaczął się zbierać, przy dziewięciu stanął niepewnie na nogach.

Sędzia cofnął się.

A Sy ruszył do egzekucji. Zygakiem przebył ring tak, że Tan nie zdołał go dokładnie namierzyć, a ostatnich dwóch ciosów w ogóle nie zauważył.

Pierwszy kopniak trafił go w splot słoneczny, zginając w pół. Potem nastąpił potężny prawy prosty, w który Sy włożył masę całych swoich stu dwudziestu funtów. Głowa Tana poleciała w tył, a jego ciało podążyło za nią na liny, odbiło się, bokser padł na kolana i po sekundzie na twarz.

Nic nie było w stanie go ocucić.

Sy odtańczył na ringu zwycięski taniec z rękoma nad głową. Jego trener przelazł przez liny, złapał go w objęcia i wraz z nim ruszył w podskoki.

Tłum oszalał, zarzucając arenę programami, czapkami, amuletami, butelkami i drąc się przy tym wniebogłosy. Hatcher ryknął śmiechem wiwatując wraz z innymi. To była naprawdę wspaniała walka.

Pomachał wygranymi zakładami, krzycząc ile sił, gdy Sy z trenerem znaleźli się po jego stronie ringu, ale głos zginął we wrzawie. Sy zresztą w tym momencie nie interesował się pieniędzmi: Budda mu uwierzył! Wygrał z silniejszym przeciwnikiem, a tłum wiwatował na jego cześć!

Hatcher nie zauważył starego Chińczyka, który nie spuszczał z niego oczu. Był wysoki, ale przygarbiony, miał siwe włosy i brodę, a ubrany był w jedwabny *cheongsam*. Gdy Christian opuścił arenę, podążył w ślad za nim.

Hatcher dotarł do budek bukmacherów i stanął w kolejce do wypłacającego wygrane. Pierwsze krople deszczu spadły na ziemię przy wtórze błyskawicy. Odruchowo rozejrzał się po stojących wokół ludziach.

Najpierw zauważył uszy. Duże i odstające. Potem nos, z profilu wyglądający prawie jak sokoli dziób. Właściciel oddalony był o dwa rzędy, ale wydawało się, iż ma pięć stóp i sześć cali, sto pięćdziesiąt funtów. Co prawda był łysy, ale co za problem zgolić włosy? Poza tym ten szczegół i tak nie interesował Hachera, który skoncentrował się na fragmencie od czoła do warg. Tym, który starał się tak dokładnie zapamiętać. Jak dotąd wszystko się zgadzało.

Pewności powinny dostarczać oczy, ale zasłaniały je okulary przeciwsłoneczne.

Zaczęło padać, a pioruny były coraz gęściej. Mężczyzna wyczuł na sobie jego wzrok, toteż Chris odwrócił się obserwując go kątem oka. Facet przyglądał mu się z natężeniem, ale nie zdjął okularów.

Przygarbiony Chińczyk zatrzymał się w cieniu stadionu, nie spuszczając wzroku z Hachera.

Christian dotarł do okienka, zainkasował wygraną i cofnął się ku stadionowi, obserwując mężczyznę z dużymi uszami odbierającego swoją należność. Przyglądał mu się nie próbując tego ukryć, dopiero w chwili, gdy się

upewnił, że tamten to zauważył, cofnął się w cień rzucany przez stadion. Zaczęło lać. Mężczyzna ubrany był w czarne spodnie i białą koszulę. W końcu, nie mogąc dokładnie się przyjrzeć stojącemu w półcieniu Hatcherowi, zdjął okulary i zrobił krok do przodu.

Christian przyjrzał się wreszcie jego oczom: zimnym, pozbawionym życia i całkowicie bezwzględny.

To był Wol Pot.

Bliskie wyładowanie rozświetliło okolicę, ogłuszając obecnych.

Chris wyskoczył z cienia i roztrącając tłum ruszył ku Wol Potowi, który odwrócił się na pięcie i dał nura w tłum kierując się ku wyjściu. Christian przepychał się w milczeniu przez gęstniejące przed następną walką zbiegowisko. Był tak pochłonięty niespodziewanym sukcesem, że nie zauważył pochylonego Chińczyka podążającego za nim, tyle że wolniej i w sposób mniej zwracający uwagę.

Deszcz lał jak z cebra i to wraz z nagłymi poruszeniami tłumu spowodowało, że Chińczyk stracił Hachera z oczu. Wydostał się głównym wyjściem na Thi Phatt, gdzie tłumy przechodniów próbowały znaleźć schronienie przed ulewą. Zdesperowany rzucił się ku alejce biegnącej wzdłuż ogrodzenia areny.

Christian natomiast ani na chwilę nie stracił z oczu Wietnamczyka, tylko nie bardzo mógł go w tłoku dogonić. Gdy wypadł na ulicę, dostrzegł, jak tamten znika w bocznej alejce, i rzucił się w pogoń. Stracił jednak zbyt wiele czasu, zanim rozpoczął bieg — brakowało mu co najmniej dwudziestu kroków, gdy Wol Pot dotarł do wylotu alejki. Wiedząc, że nie dogoni tamtego, Hatcher postanowił spróbować blefu.

— Stój, Wolt Pot — krzyknął chrapliwie. — Nie chcę cię zastrzelić.

Poskutkowało. Wol Pot zwolnił, potem zatrzymał się i przytulił do porośniętej jaśminem ściany. Powoli unióśł ręce bojąc się spojrzeć za siebie. Był tchórzem i jeśli już miał umrzeć, to nie chciał patrzeć na zbliżającą się śmierć.

Hatcher podszedł do niego szybkim krokiem i przyłożył mu wyciągnięty palec do pleców.

— Pif-paf— szepnął mu wprost do ucha.

Wol Pot odwrócił się błyskawicznie, rozumiejąc, że dał się nabrać, i spróbował prysnąć, ale na to było już za późno. Chris złapał go za gardło i rąbnął o najbliższy mur. Czuł wodę spływającą mu po twarzy i nagle nic — deszcz jak gwałtownie się zaczął, tak samo nagle się skończył. Gorąco parujące z chodników zaczęło błyskawicznie zmieniać resztki ulewy w parę.

— Przyjechałem z drugiej półkuli, żeby z tobą pogadać — szepnął. — Teraz odpowiesz na parę pytań.

Błyskawicznie przeszukał go drugą ręką, nadal przyciskając do ściany.

— Nie znam angielskiego — pisnął Wol Pot po tajsku.

— Ale ja znam tajski — warknął Hatcher.

— Czego chcesz?

— Murpha Cody'ego.

Stary Chińczyk powoli przedzierał się przez opary mgły unoszące się z chodnika. W czerwonym blasku pobliskiego neonu alejka wyglądała niczym przedsionek piekła. Gdzieś przed sobą usłyszał głosy. Sięgnął pod ubranie i wydobyl trzydziestkęósemkę z tłumikiem.

— Cody'ego? — Wot Pot zgłupiał na tyle, że przeszedł na angielski — Ktoś ty?

— Przyjaciel Portera, który zginął próbując uratować twoją parszywą dupę na kanale.

— Nie wiedziałem... — zaczął Wietnamczyk, ale przerwał widząc swój paszport w dłoni Hachera.

— Nie kłam, zasrańcu. Byłeś tam z panienką.

Wol Pot próbował się zapaść w siebie albo wcisnąć w mur, ale obie te próby skazane były od samego początku na niepowodzenie.

— Po co ci Cody? — jęknął.

— Chciałeś go przehandlować za wizę, prawda?

— Jesteś z ambasady? — W oczach Wol Pota zapaliła się nadzieja.

— To ja tu zadaję pytania.

— Nic nie wiedziałem o Porterze, dopóki nie przeczytałem w gazecie. Nie wiedziałem, że to był on.

— Zaproponuję ci coś — syknął Hatcher. — Dasz mi Cody'ego, a ja nie przekażę cię amerykańskiej armii jako poszukiwanego zbrodniarza wojennego.

Ekskomendant obozu jenieckiego wybałuszyl nań oczy, niezdolny wykrztusić choćby jednego słowa.

— Gdzie jest Cody?

— Nie wiem.

— Nie łzyj, gnojku, bo...

— Przysięgam, że nie wiem. Zniknął. Zresztą, po co ci on?

— Może to mój kumpel.

— To śmieć!

— I kto to mówi?! — Hatcher nawet nie próbował ukryć ironii.

— Cody przemycy heroinę. To złodziej i morderca. I co gorsza, morderca dzieci!

- O czym ty, do diabła, pieprzysz?
- Zabijał dzieci, by w ich ciałach przemycać biały proszek. Dlatego nazywał się Tajskim Koniem.
- Coby to Tajski Koń?
- Tak sam siebie nazwał.

Informacja ta tak zaskoczyła Hatchera, że puścił Wol Potę i cofnął się o krok.

Były to ostatnie słowa, jakie eksobicer armii wietnamskiej wypowiedział w życiu.

Hatcher nie słyszał strzałów, zorientował się dopiero, gdy ujrzał, jak kule dosięgają Taisunga. Pierwsza trafiła w pierś i uniosła go na palce, druga zrzuciła plecami o ścianę, a po trzeciej ciało zaczęło się osuwać na ziemię.

Chris odwrócił się klęcząc jednocześnie, akurat na czas, by zobaczyć spowitego w parę starego Chińczyka biorącego go na cel. Trzymał broń jak zawodowiec i przez sekundę obaj przyglądali się sobie bez ruchu. W następnej chwili Chris skoczył w lewo, zmieniając kierunek gwałtownym ruchem ciała w połowie lotu. Broń jednak nie podążyła jego śladem. Strzelec uniósł ją nagle i wycofał się powoli ku Thi Phatt, aż zniknął całkowicie w oparach, a potem w tłumie.

Wol Pot westchnął i znieruchomiał z otwartymi ustami, siedząc oparty o mur. Wokół dziur w piersiach rozlała się czerwona plama. Oczy wywróciły mu się w głąb czaszki, głowa opadła na ramię i po sekundzie całe ciało poszło w jej ślady. Znieruchomiało leżąc na boku.

Hatcher poszukał pulsu na jego szyi, spoglądając nadal w kierunku, gdzie zniknął strzelec. Wol Pot był martwy, a Chińczyk zniknął. W oddali nad miastem przetoczył się cichnący grzmot.

Christian zdecydował, że najwyższy czas się ulotnić. Śladem starego dotarł na Thi Phatt, zatrzymał taksówkę i wrócił do hotelu. Dzięki wszędobylskim *tuk-tuk* jazda trwała ponad dziesięć minut, co mu odpowiadało. Potrzebował czasu, by przeanalizować wydarzenia ostatniego kwadransa.

Stary Chińczyk musiał śledzić Wol Potę.

Albo jego.

Ciekawe, dlaczego zrezygnował z zabicia jego, Hatchera? I dlaczego zabił Wol Potę? Nie, żeby ścierwo nie zasłużył na śmierć albo żeby nie było na świecie sporej liczby ludzi, którzy by mieli ochotę to zrobić. A kim mógł być ten stary? Najbardziej jednak zainteresowała go rewelacja Wol Potę o Tajskim Koniu i Codym.

Czyżby Murph pracował dla Tolliego Fonga? Pytania nadal kotłowały mu się pod czaszką, gdy dotarł do hotelu.

- Mam dla pana parę informacji, sir — odezwał się w słuchawce precyzyjny głos Flitcrafta.

- Słucham, sierżancie — odparł Hatcher.
- Złe są takie, że nic nie znalazłem na temat tych pseudonimów, sir. Wilkie był w kawalerii sierżantem, i to wielokrotnie odznaczonym. Od demobilizacji brak stałego adresu. Earp był pułkownikiem w Siłach Specjalnych, cztery pełne tury w Wietnamie, od siedemdziesiątego szóstego na emeryturze. Też brak stałego adresu.
- A reszta?
- Tu się zaczynają interesujące rzeczy, sir. Riker, Gallagher, Potter i Early są na listach zaginionych w akcji jako prawdopodobnie martwi.
- Wszyscy? — zdziwił się Christian.
- Tak, sir.
- Wszyscy zaginęli w siedemdziesiątym drugim. Ten dziennikarz Paget zniknął w tym samym dniu i w tym samym rejonie co Gallagher.
- Coś jeszcze?
- Jeszcze jedno. Gallagher i Riker mieli kłopoty, gdy zaginęli.
- Jakiego rodzaju kłopoty?
- Riker uderzył oficera, a Gallagher był oskarżony o kradzież. Prowadził klub wojskowy w Sajgonie i zrobił manko na fajkach i alkoholu, które sprzedawał na czarnym rynku.
- Flitcraft, należy się panu medal.
- Dzięki, sir. Nadal sprawdzam Magika i Corkscrewa.
- Zapomnijcie o nich. To, co już wiem, całkowicie mi wystarczy.
- Mogę jeszcze coś znaleźć, sir.
- Nie ma potrzeby — szepnęła Hatcher.
- Dziękuję, sir.

Hatcher położył się na podłodze z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Nagle fragmenty układanki zaczęły do siebie pasować. Ogólny obraz już się wyłaniał, ale nadal pozostały dwa ważne pytania: Jak do całości pasuje Murphy i Tajski Koń? I czy Cody tak naprawdę był żywy, czy martwy.

Niewykluczone, że po odpowiedzi na te pytania uda się samolotem do Surat Thani.

## FONG

Daphne Chien mieszkała w jednym z wysoko położonych apartamentów u stóp Góry Wiktorii. Mieszkanie było dwupoziomowe, z oknami na port Koulun. Balkon przypominał dżunglę, tak obstawiony był roślinami i kwiatami.



Zwykle długo pracowała w biurze dwie ulice dalej, na szczycie jednego ze szklanych wieżowców mieszczących banki. Wychodziła przeważnie około siódmej wieczorem, a tego dnia zasiedziała się nawet dłużej. Zapadł już zmrok i zapaliły się latarnie, gdy zjeżdżała windą na ulicę, gdzie zaparkowała rano wóz. Ubrana była jak zwykle do pracy: w szary jedwabny kostium, granatową bluzkę z wykładanym kołnierzem, a wokół szyi miała czerwoną chustkę.

Gdy wsiadała do wozu, nie zauważyła, że z parkującego po przeciwnej stronie forda wyposażonego w telefon obserwują ją uważne oczy. Zanim odjechała od krawężnika, mężczyzna w samochodzie wykręcił jej domowy numer.

Telefon zadzwonił dwa razy i umilkł. Automat zgłoszeniowy, który miała zainstalowany, reagował dopiero po trzecim dzwonku. Chwilę później telefon zabrzączał jeszcze raz i umilkł.

Tollie Fong, stojący w ciemnym apartamencie, uśmiechnął się. Właścicielka była w drodze. Wrócił do sypialni, ostatni raz sprawdzając, czy wszystko jest tak, jak powinno. Do każdej nogi łóżka przywiązany był długi pas jedwabiu, a na nocnym stoliku obok kasetowego magnetofonu leżała para rajstop. Teraz położył tam jeszcze sztylet wyjęty z pochwy w rękawie i wrócił na korytarz. Stanął za zamkniętymi drzwiami i czekał.

Kiedy Daphne weszła, zadziałał tak szybko, że nie zdążyła sięgnąć do przełącznika światła, gdy poczuła dłonie zaciskające się na jej szyi i szukające nerwu. Potem była ciemność.

Fong złapał jej bezwładne ciało, zanim osunęło się na podłogę, i przeniósł po schodkach do sypialni. Położył ją na łóżku, przywiązał ręce i nogi przygotowanymi pasami jedwabiu, włączył magnetofon i ze sztylitem w rękę czekał, aż kobieta odzyska przytomność.

## MYŚLIWI

Blizna drzemał w bagnie u stóp wysokiego bananowca, gdy dobiegło go warczenie ciężarówki. Wcześniej słyszał słonie, ale je zignorował. Natomiast po odgłosie silników rozległo się wiele ludzkich głosów, co go do reszty

rozbudziło. Siadł węsząc gwałtownie, ale wiatr wiał z przeciwnej strony i tygrys nie mógł nic wyczuć. Słuch natomiast podpowiadał mu, że ludzie są o jakieś dwieście jardów od niego.

Wiedział, że ma do czynienia z groźnym przeciwnikiem. To nie jakiś głupi samiec. Tym razem to była cała armia. Z błyskiem wściekłości w jedynym oku ruszył powoli ku kępie bambusów i wysokiej trawy, na zachód od jeziora i daleko od ludzi. Odległa była o milę, a tam jego futro doskonale zlewało się z otoczeniem. Nie spieszył się. Artretyzm dawał mu się we znaki bardziej niż zazwyczaj. I był głodny, a przy tym zbyt stary i zmęczony, by bać się czegokolwiek.

Do jeziora prowadziły świeże ślady. Przewodnik imieniem Quat odnalazł je godzinę temu. Były potężne, o cal lub dwa większe niż jego rozłożona dłoń.

— Wysłałem gońca do wioski, żeby siedzieli w domach, póki nie damy znać — wyjaśnił Early reszcie zgromadzonych.

— Co sądzisz? — spytał Earp.

— Wiatr się zmienia — mruknął Early. — Jeżeli diametralnie zmieni kierunek i kotek nas poczuje, to może być niezła zabawa.

Max miał nieco mniej niż sześć stóp, kasztanowe włosy i gęstą brodę. Kapelusz safari i takąż bluza uzupełnione były szortami. Strój zdradzał muskularne ciało, ogorzałe wskutek długiego przebywania na słońcu. Max przysiadł na piętach i patykiem wyrysował na ziemi szkic. Reszta zebrała się wokół niego, paląc, popijając piwo i zaglądając mu przez ramię, gdy tłumaczył sytuację i opisywał teren.

U góry mapy było ich obozowisko; u dołu po lewej, na południowy wschód, leżało jezioro i wioska. Pomiedzy nią a obozowiskiem były dwie mile dżungli rozciągającej się na wschód i zachód. W dole, na zachód od jeziora, widniał kawałek stepu, mniej więcej pół mili kwadratowej. To właśnie był najniebezpieczniejszy rejon, gdyż z boku dochodził do zagajnika bambusowego szerokości pięćdziesięciu, siedemdziesięciu pięciu jardów, który rozciągał się od jeziora do pól uprawnych. Bambusy miały od piętnastu do dwudziestu stóp i rosły gęsto. Pomiedzy nimi a dżunglą było dwieście jardów trawy, najpierw niskiej, a potem wysokiej na jakieś osiem do dziesięciu stóp. Według Maxa ta trawa albo bambusy najprawdopodobniej służyły tygrysowi jako kryjówka. Za wioską i na zachód od zagajnika rozciągały się pola uprawne, gdzie obecność drapieżnika była raczej wątpliwa.

— Co daje ze cztery mile kwadratowe trawy, krzewów i drzew —

podsumował Max. — I pamiętajcie, że on może wspiąć się na drzewo, wbić w muł czy leżeć godzinami zupełnie nieruchomo w trawie...

— Czy może zaatakować człowieka? — zapytał nieco nerwowo Magik.

— Jak dotąd zeżał pięcioro i nie sądzę, by wielkość mogła go zniechęcić.

— Jak jest duży? — zainteresował się Gallagher.

— Wnioskując ze śladów, to około pięciuset funtów — odparł Early. — Wszystko też wskazuje, że jest ślepy na prawo oko. To stary samiec, może mieć artretyzm, co znaczy, że ma paskudny temperament, a przy tym jest głodny i pewnie wściekły jak cholera.

— Wspaniale — sapnął Riker zdejmując koszulę.

Miał potężny tors pocięty kilkunastoma bliznami na brzuchu i w dolnej części żeber.

— Może ktoś by mi powiedział po ludzku, z czym mamy do czynienia — zaproponował wkładając okulary przeciwsłoneczne.

— Z pięćsetfuntowym wkurwionym kotem — odparł z szerokim uśmiechem Earp. — Jeśli cię dorwie, Riker, to zamiast pikniku będziemy mieli pogrzeb.

Early wyjaśnił plan ataku: na każdym z trzech słońi, kroczących w odstępach stu jardów, pojedzie po dwóch myśliwych. Nagonka miała iść między *chaang* wrzeszcząc i bijąc po pniach, by zmusić drapieżnika do przemieszczania się. Według wszelkich praw tygrys powinien się oddalać od źródła dźwięku i kierować ku myśliwym stojącym na ziemi. Ci mieli strzelać tylko mając czyste pole, a jadący na słońiach tylko w razie niebezpieczeństwa.

— Gdy będziecie na południowym perymtrze, rozsuńcie się tak, by być o trzysta jardów od siebie, ale nie stracić się wzajemnie z oczu — polecił Early. — Kiedy ruszymy w stronę wioski, możecie iść ku nam, ale pozostaniecie w niskiej trawie. W bambusach i w wysokiej staniecie się jego śniadaniem albo któryś z jeźdźców może was przypadkiem załatwić. Strzelajcie w korpus; jak go zobaczycie, będzie w ruchu i strzał w głowę może być nie pewny.

Nie da się go stratować słońiem? — zainteresował się Riker.

— Tylko szkolonym do polowania na tygrysy, my takiego nie mamy. W przyrodzie oba gatunki schodzą sobie z drogi. Widziałem kiedyś, jak tygrys zaatakował dwunastostopowego słońia i urwał mu pół ucha.

— Czy coś w ogóle może go przestraszyć? — To był Corkscrew.

Max zastanowił się i odparł całkowicie poważnie:

— Nic, co by mi przychodziło do głowy. Jest stary, na wpół ślepy

i głodny. Ponieważ nie jest już w pełni sprawny, stał się ludojadem, ale zachował swój dawny spryt, nie oszukujcie się. Poza tym jest groźniejszy niż kotna kobra.

- Mówiąc krótko, nie sposób przewidzieć, co ten skurwiel zrobi?
- Dokładnie.

Losowanie dało następujące rezultaty: Melinda i Johnny jako załoga jednego słonia, W.T. i Early pojedą na drugim, Gallagher i Riker na trzecim. Potter, Magik, Corkscrew i Hatcher będą polować na stojąco.

- Powodzenia, żołnierzu. — Earp pożegnał Hachera półusmiechem.
- Wzajemnie — odparł ten wsiadając do furgonetki.

Wóz był stary i rzucało nim na wertepach niemiłosiernie. Jechali drogą z obu stron otoczoną polami. Hatcher sprawdził broń, którą pożyczył mu Max. Był to HK 375. „Kopie jak muł, ale ze stu jardów potrafi posadzić słonia na dupę” — taka była rekomendacja.

Przejechali dwie mile, w południowym słońcu minęli wioskę wyglądającą na całkowicie opuszczoną. Drzwi były dokładnie pozamykane, a na zewnątrz nie kręcił się nawet jeden kundel. Magik siedzący naprzeciw Chrisa ścisnął kurczowo broń, jakby się bał, że może mu uciec, i robił wrażenie nieszczęśliwego. Pot rozmywał farbę i dało się dostrzec pomarszczone fałdy skóry na poparzonej przed laty twarzy. Hatcher prawie mógł wyczuć jego strach.

- Spokojnie, chłopie — szepnął. — Będę miał oko na ciebie.

Rozdzielili się wzdłuż szerokiego pasa trawy na zachód od jeziora, tak by objąć jak największy obszar i nie stracić się przy okazji z oczu. Potter i Corkscrew po jednej stronie, Magik i Hatcher po drugiej. Byli na otwartej przestrzeni w promieniach południowego słońca i Chris zaczął się pocić, zaledwie wysiadł z furgonu.

Wprost przed nimi wznosił się zagajnik piętnastostopowych bambusów, przez które ledwie dało się dostrzec wysoką do pasa trawę rosnącą po jego drugiej stronie.

Jedynym dźwiękiem mącącym ciszę było brzęczenie owadów. Wiatr ledwo powiewał, a ptaki milczały. Hatcher nałożył okulary przeciwsłoneczne i ostrożnie poszedł wzdłuż bambusów, stając i nasłuchując co kilka kroków. Po paru zaledwie przystankach usłyszał początek nagonki, na razie dość

odległej. Od czasu do czasu któryś ze słoni przyłączał się do ogólnego zamieszania.

W lesie widać było niewielką z tej odległości postać Magika. Hałas przybrał na sile i chłopak zatrzymał się spoglądając z podziwem na wysokie bambusy. Hatcher odruchowo zaczął iść ku niemu: gówniarz zapomniał o niebezpieczeństwie, to mogło się źle skończyć.

Blizna był głodny, gdy szedł utartym szlakiem, wpieryw wśród drzew, potem przez wysoką trawę. Tu dopiero pochwycił zapach ludzi. Byli między nim a jeziorem, a hałas z tyłu stawał się coraz głośniejszy. Ziemia drżała pod stopami zbliżających się słoni.

Gdyby wyszedł z trawy, znalazłby się na polach, na otwartej przestrzeni. A to oznaczało bieg przez rżysko, na co nie miał najmniejszej ochoty.

Wściekle machnął ogonem, ruszając ostrożnie w stronę jeziora. Pełzł wolno, starając się nie zdradzić swojej pozycji. Znalazł martwe drzewo, wśliznął się pod nie tak, by między suchymi konarami móc obserwować zdrowym okiem teren przed sobą, i czekał. Tu był jego teren. Obszedł go i oznaczył. Nie miał już dokąd iść.

Magik stał na skraju zagajnika podziwiając, jak prosto i wysoko wyrastały bambusy. Serce biło mu tak głośno, że aż w uszach huczało. Przypomniawsobie słowa Maxa o szczególnej ostrożności w bambusach i wysokiej trawie. Bambusy rosły tak blisko, że z trudem widział coś przez nie. Z duszą na ramieniu wszedł do zagajnika, rozginając je przed sobą. Zaczął sobie nucić pod nosem, co go trochę uspokoiło. Wobec tego zaczął śpiewać refren ze „Suite: Judy Blue Eyes”.

Zdecydował się dojść do skraju niskiej trawy i poczekać. Miał nadzieję, że skończył już z ryzykiem, lecz oto znów sprawdzał siebie przedzierając się przez wrogi teren, widząc jedynie na parę stóp przed sobą. Polował na rozwścieczonego pięćsetfuntowego tygrysa ludojada, który mógł go zaatakować praktycznie z każdej strony i w każdej chwili. Sportowy aspekt polowania wydał mu się nagle głupi. O wiele łatwiej byłoby siedzieć na grzbiecie słonia i zastrzelić kota przy pierwszej okazji.

Hatcher też przemieszczał się ostrożnie wśród bambusów, ogłuszony zgiełkiem nagonki i słoni. Jeżeli tygrys ukrył się tutaj, to długo nie wytrzyma i zaatakuje. Bał się też o Magika. Nie ulegało wątpliwości, że chłopak był przerażony. Mógł się potknąć albo nadepnąć tygrysowi na ogon. W tym

stanie wszystko było możliwe. Hatcher dotarł do końca zagajnika i wszedł w niską trawę. Pięćdziesiąt jardów dalej zaczynała się wysoka trawa, lekko falująca na słabym wietrze.

Coraz bardziej spięty i zaniepokojony, ruszył wzdłuż zagajnika ku miejscu, gdzie powinien być Magik. Nagonka dochodziła do przeciwnego krańca obszaru porośniętego wysoką trawą.

Przez gałęzie Blizna zauważył jednego ze słoni, a nagonka prawie go ogłuszała, choć jak dotąd jeszcze jej nie dostrzegł. Chciało mu się pić. Był coraz bardziej głodny. W końcu stracił cierpliwość.

Słoń wszedł w wysoką trawę, a tygrys popełził bezgłośnie poprzez nią, kierując się w stronę jeziora.

Max z grzbietu słonia rozejrzał się po falującym morzu wysokich traw, szerokim na milę, a długim na trzysta jardów. Za nimi był pas niskiej trawy i bambusy, na dole zaś Quat sprawdzał teren szukając śladów. Wyprostował się właśnie i wskazał w stronę jeziora.

— *Anta rai* — powiedział cicho. — *Seua, thaleh saap.*

— Mówi, że tygrys wędruje w kierunku jeziora i że to niebezpieczne — przetłumaczył. — Miałem nadzieję, że nie wytrzyma zgiełku i wybierze otwarte pole, gdzie łatwiej uciekać.

Dmuchał w chromowany gwizdek, przebijając się przez pozostałe dźwięki. Wszyscy zamarli w bezruchu, oprócz słoni, które gdy tylko stanęły, natychmiast zaczęły się pożywiać trawą, widać smakowicie pachnącą. Szelst rwanych źdźbeł rozległ się w kompletnej ciszy. I wtedy Early odniósł wrażenie, że coś słyszy. Pochylił się i natężył słuch.

— Co to jest, do cholery? — powiedział sam do siebie półgłosem.

— Widzisz coś? — spytał Earp rozglądając się.

— Słyszę coś!

Teraz obaj nasłuchiwali. W.T. z przekrzywioną głową.

— Czyżby ktoś śpiewał? — odezwał się po chwili z niedowierzaniem Early.

— Śpiewał?

— Przysięgam, że słyszę czyjś śpiew, i to chyba spomiędzy bambusów.

— To na pewno Magik — westchnął Earp.

— Zidiociał?

— Boi się. Wrzaśnij, żeby się zamknął.

— No. A jak się odezwie, to tygrys będzie miał idealny zamiar — mruknął Max.

— Tygrys nie poluje na niego.

— A wiesz, co to bydlę myśli?

— Coś nie tak? — spytał Riker z grzbietu sąsiedniego słonia.

Early przytknął palec do ust, po czym wskazał na Rikera i machnął ręką w stronę bambusów. Własnego słonia także skierował prosto w stronę, z której dochodził dźwięk.

— Przygotuj się — powiedział cicho do Earpa. — Może być gorąco.

Hatcher szedł brzegiem zagajnika ku Magikowi, gdy dotarł doń dźwięk gwizdka. Hałas ucichł. Christian stanął i nasłuchiwał w nagłej ciszy.

I też pochwylił czyjeś nucenie. Magik znajdował się znacznie bliżej, niż sądził, i to gdzieś w zagajniku, a to było niebezpieczne miejsce. Przyspieszył kroku, aż nucenie dochodziło naprawdę z bliska. Wszedł w zagajnik, przemierzając się tak cicho, jak tylko mógł, w stronę głosu. Wysokie pręty stukwały o siebie w miarę jego ruchów.

Blizna także zamarł słysząc gwizd. Zaraz potem zapadła cisza, która go zdezorientowała. Nasłuchiwał zastanawiając się, co to wszystko znaczy. Wyłowił odgłosy słoni skubiących trawę... i z przodu dziwny, nieznanym dźwięk.

Usłyszał, że ktoś się zbliża z tyłu, a potem słonie znów ruszyły. Tym razem szybciej.

Był oszołomiony tym wszystkim. Zdecydował się przejść przez bambusy na ciągnące się za nimi otwarte pola i spróbować szczęścia. Wokół zaczynało być zbyt ruchliwie. Wrogowie zbliżali się z różnych stron.

Uważnie poczołgał się, wypełzając z wysokiej trawy w niską i rozplaszczając się, jak tylko umiał, cicho i zdradziecko. Powoli oddalając się od słoni i tego, kto szedł za nim, pełził ku owemu dziwnemu dźwiękowi.

Early ponownie zatrzymał słonia i zlustrował trawy przez lornetkę. Nagle znieruchomiał wpatrzony w jeden punkt. — Masz coś? — szepnęła Earp.

— Nie jestem pewien...

Max obserwował trawę chwiejącą się na wietrze, gdy nagle dostrzegł wolny ruch źdźbeł w przeciwną stronę. Trwał on przez parę sekund i zamarł.

Po chwili znów się pojawił parę stóp dalej. Kolejne cztery czy pięć stóp — i znów przerwa.

— Cholera — jęknął. — Jest!

— Gdzie? — spytał Earp.

— W niskiej trawie, pełnie ku bambusom. Jak będzie przy nich, to jeżeli zobaczy coś na swojej drodze, zaatakuje jak amen w pacierzu.

Podał Earpowi lornetkę i pokierował słoniem w stronę zaobserwowanego ruchu. Earp zaś gorączkowo wypatrywał tygrysa.

— Nic nie widzę — szepnął po chwili.

— Prosto przed nami, około stu jardów. Obserwuj trawę.

Wtedy W.T. dostrzegł lekki, urwany ruch trawy.

— Jezu, miałeś rację! — jęknął.

— Gdzie, do cholery, jest Magik? zdenerwował się Early.

— Może jak ruszymy nagonką, to przestraszy go hałas? — zaproponował Earp.

— To nic nie da. Ten kot i tak ma pierdolca. Jak go teraz przestraszymy, to z czystej głupoty może pognać przed siebie i rzucić się na pierwszego, którego spotka. — Max przerwał i nagle krzyknął: — Magik, przestań śpiewać i wycofaj się z bambusów wolno i ostrożnie. I nie odpowiadaj mi w żadnym wypadku, tylko zrób to. Już!

— Kurwa! — sapnął Hatcher słysząc ostrzeżenie Maxa, ale nie zwołał kroku.

Nie miał na to czasu, jeżeli tygrys robił to, o co go podejrzewał.

Blizna też naturalnie usłyszał krzyk, choć go nie zrozumiał, i znieruchomiał. A potem kilka jardów od siebie dostrzegł ruch. Wyszczrzył zęby i zaczął węszyć. Dziwny dźwięk ucichł, więc powoli ruszył do przodu. Zdrowym okiem dostrzegł, że coś się oddala wśród bambusów, i kierowany nągłym impulsem podążył za tym. Z tyłu słonie znów ruszyły wstrząsając ziemią. Zaczął pełznąć szybciej ku wysokim pędom i otwartej przestrzeni za nimi.

Wtedy dostrzegł dwunożne stworzenie z gatunku tych, na jakie ostatnio polował, z dziwną dwubarwną twarzą. Było przestraszone — czuł jego strach. Znajdowało się pomiędzy nim a wolnością i miało kij. Blizna wysunął pazury i sprężył się do skoku. Stworzenie cofnęło się do zagajnika, więc ostrożnie ruszył za nim.

— Cholera, kot jest w bambusach — mruknął Early obserwując zagajnik przez lornetkę.

— A gdzie, do diabła, jest Magik? — warknął Earp.

— Też tam. Widzę, jak się poruszają pędy. Tygrys idzie za nim.



— Kurwa mać!  
— I coś mi się widzi, że Hatch też tam jest — dodał Early lustrując okolicę.

— No, to niezły przekładaniec.

Pozostałe słonie zbliżyły się do nich biorąc namiar na zagajnik.

Hatcher zaczął biec w kierunku miejsca, z którego ostatnio dochodził śpiew. Bambusy trzeszczały uderzając o siebie, szeleściły gałązki roztrącane bronią, którą uniósł do góry, by przypadkowym strzałem nie trafić Magika.

Blizna także przyspieszył po dotarciu do bambusów. Starał się nie zdradzać swej pozycji, lecz jednocześnie nie chciał stracić z oka stworzenia, które teraz się rozglądało. Było o jakieś dwadzieścia jardów przed nim, ale on przyzwyczał się do polowania wśród bambusów. Widział stworzenie, a ono nie mogło go dostrzec.

Stwór potknął się nagle, puścił kij i odwrócił się, próbując utrzymać równowagę.

Stary tygrys skoczył.

Hatcher dostrzegł Magika, gdy ten walił się na ziemię. Wpierw usłyszał bijące o siebie bambusy, a dopiero potem dostrzegł tygrysa biegnącego ku leżącemu. Magik wiercił się, usiłując dojść do ładu z własnymi kończynami i usiąść.

— Leż! — warknął Chris. — Atakuje.

— Jezu, nie! — wrzasnął przeraźliwie chłopak.

Hatcher był o dziesięć kroków od niego, gdy tygrys wypadł z bambusów. Podrzucił broń do ramienia, wycelował w pierś bestii i nacisnął spust.

Ping!

Niewypał.

Nie tracąc ani sekundy, cisnął beużyteczną bronią w tygrysa i szczupakiem skoczył na Magika, łapiąc jego strzelbę i przetaczając się jednocześnie w bok. W pobliżu usłyszał ryk słonia i poczuł, jak ziemia zaczęła drżeć pod jego nogami, gdy zwierzę ruszyło biegiem. Był na boku, gdy tygrys, oddalony o dziesięć stóp, skoczył otwierając szeroko paszczę.

Chris miał czas na jeden strzał. Podrzucił broń do biodra i wypalił prosto w pręgowany pysk.

Blizna poczuł gorąco eksplozji, oślepił go ogień, a ułamek sekundy później kula trafiła go tuż ponad zdrowym okiem powodując pęknięcie czaszki i odrzucając łeb w tył. Łapy ugięły się pod nim i przekoziolkował po ziemi łamiąc bambusy, które spadły niczym deszcz na obu mężczyzn.

Tygrys leżał z otwartym pyskiem o pięć stóp od nich. Żaloszny ni to jęk, ni to warkot wydobył się z jego gardła, targnęły nim drgawki i znieruchomiał.

Hatcher poczuł, jak Magik drży. Ukłękł i spojrział na muzyka, który starał się znaleźć na jednym poziomie z ziemią.

— Już po wszystkim, chłopcze — szepnął. — Wszystko już w porządku.

— Nie! — Magik zwinęty w kłębek, osłaniając się rękami i nogami, rozplakał się nagle.

— Nie!

Posypał się kolejny deszcz bambusów i nad głową Chrisa znowu rozległ się ryk słonia. Odwrócił się i spojrział prosto w wyloty luf broni Earpa i Maxa. Nikt nie drgnął. Prawie jak na zwolnionym filmie Hatcher dostrzegł, jak po sekundzie palec Maxa zaciska się na spuście.

Odruchowo rzucił się w bok i na ziemię, kiedy padł strzał.

Za sobą usłyszał bolesny ryk i odwracając się ponownie, dostrzegł na wpół uniesionego tygrysa, trafionego pod łopatkę i walącego się na ziemię z agonialnym rykiem.

— Mówiłem, żeby nie strzelać w łeb — rozległ się głos Maxa.

## TAJSKI KOŃ

Niewielki dom Maxa Early'ego stał na końcu wąskiej bitej drogi biegnącej zygzakiem przez pola i wioskę. Wielobarwne makaki i papugi, przestraszone rykiem silnika furgonetki, obrzuciły wracających z polowania pasażerów stekiem przekleństw i skrzyków. Dom miał ostry, spadzisty dach i szeroką werandę z trzech stron. Słodki odór kassawy z pobliskich pól wypełniał powietrze.

Tygrys został zawieszony za tylne łapy na drzewie, a kilkanaście kobiet z wioski, którą terroryzował, zebrało się w domu Maxa, by celebrować śmierć ludojada tańcem i zabawą. Stary Chińczyk przykucnął nad kotłem, w którym gotował jakieś tutejsze specjalne na otwartym ogniu.

Hatcher od końca polowania nie odezwał się ani słowem. Siedział samotnie na werandzie, obserwując tańczących tubylców. Kobiety improwizowały polowanie, udając myśliwych i tygrysa. Ta, która grała wielkiego kota, miała twarz pomalowaną na żółto i poruszała się na czworakach.

Zaraz po zabiciu tygrysa Hatcher wyszedł z siebie. Wyszarpnął zamek ze swej broni i rzucił go Maxowi.

— Następny razem, jak pożyczasz komuś gnata, to może byś sprawdził, czy złom działa — warknął wściekle.

Early obrócił zamek w dłoniach, oglądając go dokładnie, i dopiero potem spojrzął na Hatchera.

— Iglica się złamała — odparł z autentycznym zdziwieniem.

— Właśnie — sarknął ironicznie Christian.

— O co ci chodzi? — Early poczuł się urażony. — Rano sam go przestrelałem.

— Magik i ja mogliśmy powiększyć grono aniołków przez tę kupę złomu.

— Przykro mi, okay? Myślisz, że chciałem, byś nie trafił w tygrysa? To śmieszne, chłopie, skąd mogłem wiedzieć, że akurat tobie wypadnie do niego strzelać?

— Nie bądź paranoikiem — dodał Earp.

— Właśnie — włączył się Riker. — Gdybyśmy chcieli cię zabić, to już byłbyś trupem, i to ze sprawną bronią w garści.

Wiedząc, że zareagował gwałtowniej, niż powinien, Chris zamknął się w sobie i tak siedział samotnie, pogrążony w myślach. Nie zauważył Magika, który wyszedł z domu.

— Panie Hatcher... — zaczął chłopak. — Bo tak się pan nazywa, prawda?

Muzyk, ze świeżo odmalowaną twarzą, stał oparty o ścianę z rękoma w kieszeniach.

— Prawda — szepnął zapytany.

— Uratowałeś mi życie, a ja... nie wiem, jak podziękować. Ale chciałbym, żebyś wiedział, że nikt tu na ciebie nie polował i nikt cię nie wystawił.

— Zrobiłbyś dla mnie to samo.

— Nie. — Magik potrząsnął głową. — Coś we mnie pękło. To nie to, że byłem przerażony. Nawet jakbym nie upuścił broni, to i tak nie byłbym w stanie pociągnąć za spust.

— Zdarzyło ci się to już kiedyś?

Magik wpatrywał się w martwego tygrysa. Po dłuższej chwili skinął głową potakująco.

— Więc zapomnij o istnieniu broni. Można żyć nigdy jej nie dotykając.

— To nie tak.

— Więc o co chodzi?

Magik otulił się ramionami, jakby nagle zrobiło mu się zimno.

- O przetrwanie.
- O przetrwanie. — Głos Hatchera był pusty.
- Jak nie jedna kurewska wojna, to druga.
- Nie musisz już brać udziału w żadnej wojnie.
- To na nic. — Magik wzruszył ramionami. — I tak nie wiem, jak podziękować komuś, kto mi uratował życie. Japończycy mają na to określenie, ale zapomniałem jak ono brzmi.
- *Ongaeshi* — odpowiedział Hatcher.
- Właśnie. To jest, wiesz, tak jak bardzo wielki dług.
- To oznacza zobowiązanie zapłaty na życzenie tego, komu je się składa — poprawił go Chris.

— Właśnie. Cóż, *ongaeshi* Hatcher.

Christian wstał i oparł się o ścianę naprzeciw Magika.

— Chciałbyś spróbować? — spytał chrapliwie.

— Nie rozumiem.

— Kto to jest Tajski Koń?

Magik spojrzał na resztę towarzystwa zgromadzoną koło kobiet.

— Co to takiego Tajski Koń? — spytał.

— *Ongaeshi*, Magiku.

— Nie mów tak!

— To spróbujmy inaczej — zgodził się Hatcher. — Czy Murphy Cody żyje?

— Kto?

— Murphy Cody.

— Czego chcesz od niego? Jak, mówisz, się nazywa?

— Cody — powtórzył wolno Hatcher.

— Właśnie, Cody.

— Mam dla niego wiadomość.

— Wiadomość?

— Tylko i wyłącznie wiadomość.

Magik skinął powoli głową i ruszył w kierunku pozostałych.

— Jak kiedyś spotkam faceta o tym nazwisku, to powiem mu, że go szukasz — dodał nie patrząc na Hatchera.

Odszedł. Tancerki skończyły występ i podeszły do myśliwych. Earp rozmawiał z tą, która grała tygrysa, gdy Magik szepnął mu coś do ucha. Earp spojrzał na Hatchera, ujął kobietę pod ramię i oboje podeszli do niego.

— To jest Namtaan — przedstawił kobietę W.T. — Chciała podziękować wielkiemu białemu myśliwemu. Namtaan, to Hatcher.

— Miło mi poznać — odezwał się Christian.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Więc to pan zabił tygrysa?

- Wszyscy się do tego przyczyniliśmy.
- Tak samo jak do uratowania życia Magikowi? Jest pan skromny, panie Hatcher — spojrzała na niego przenikliwymi oczami.
- To nie skromność. — Hatcher nie spuszczał wzroku z Earpa. — Tu każdy polega na innych. To coś, czego mi brakowało w czasie wojny. Moje zadania były raczej samodzielne.
- To przykre — stwierdziła.
- Cóż, my na Zachodzie mamy takie powiedzenie: „Człowiek nigdy nie jest za stary, by się uczyć”.
- Jest też druga strona medalu — odparł Earp. — „Nie nauczy się starego psa nowych sztuczek”.
- Właśnie — uśmiechnął się Hatcher. — Wolny wybór.
- Magik mówił, że pytał go pan o starą tutejszą legendę — zmieniła temat.
- Tak? A jaką?
- Legendę o Tajskim Koniu.
- Miał tylko częściowo rację. Nie miałem tej legendy na myśli. Chodziło mi o nową legendę o Tajskim Koniu.
- Nową legendę? — powtórzyła.
- Szukam tego, kto nazwał się Tajskim Koniem — odparł Hatcher wpatrując się w ciemnobrązowe oczy.
- Nie rozumiem.
- Myślę, że pan Earp rozumie.
- Pojęcia nie mam, o czym mówicie — stwierdził Earp.
- Może byśmy przestali się nawzajem oszukiwać. — Hatcher nagle zmienił ton. — Powiedziano mi, że ktoś nazwiskiem Murphy Cody nazwał się Tajskim Koniem.
- Cody zginął na wojnie. — Ton Earpa był zbyt obojętny.
- Niekoniecznie — mruknął Hatcher.
- A dlaczego miałby się tak nazwać?
- Bo kupuje i sprzedaje heroinę. Zabija innych i kradnie im ją. Kupuje dzieci, które morduje, by w ich ciałach przemycić narkotyki przez granicę — odpalił Christian.

Namtaan przez chwilę nie odzywała się, wpatrując się dziwnie w Hatchera, po czym odwróciła się i weszła do domu. Earp podążył w jej ślady, ale zatrzymał się na progu.

- Chodź — rzucił. — Ona nie gryzie.

Wewnątrz panowały chłód i mrok. Okiennice były zamknięte, a gdzieś w rogu pracował klimatyzator. Przez szczeliny w okiennicach wpadały promienie słońca rzucając smugi na drewnianą podłogę. Kobieta usiadła na

antycznej sofie i wskazała miejsce obok Christianowi. Earp oparł się o stół popijając drinka.

— Kto to jest Cody? — spytała.

— A dlaczego to panią interesuje? — odparł pytaniem Hatcher.

— Proszę, niech pan choć przez parę minut ze mną współpracuje.

W miarę jak rozmawiali, reszta towarzystwa powoli napłynęła do wnętrza. Melinda i Prophett siedli cicho w kącie. Riker, z puszką piwa w garści, oparł się o drzwi. Gallagher siadł ze skrzyżowanymi rękoma na poręczy fotela. Hatcher starał się ich zignorować i skoncentrować na rozmowie.

— Murphy Cody jest osobą, którą przyjechałem odszukać. Jest też jedynym celem mojego pobytu w Tajlandii. Tajski Koń interesuje mnie tylko o tyle, o ile jest z nim związany.

— Dlaczego pan go szuka? — spytała.

— To sprawa osobista.

— Zna go pan?

— Dawno temu byliśmy przyjaciółmi.

— I to jest powód tych poszukiwań?

Hatcher zastanowił się przez parę chwil, zanim odpowiedział.

— Częściowo — przyznał.

— Kto powiedział panu, że Cody to Tajski Koń? — wtrącił Earp.

W miarę jak oczy przyzwyczajały się do mroku, Christian zdał sobie sprawę z obecności jeszcze jednej osoby w pokoju — był tu też stary Chińczyk, który niedawno gotował posiłek. Przycupnął w mrocznym kącie i nie odzywał się ani słowem.

— Człowiek nazwiskiem Wol Pot — odparł Hatcher. — W czasie wojny komendant wietnamskiego obozu dla jeńców wojennych Huie-kui, położonego w Laosie. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Taisung.

— A skąd on znał Cody'ego?

— Myślę, że Murphy był jednym z jeńców w tym obozie.

— Mówiłem już — powtórzył Earp. — Cody zginął zestrzelony w siedemdziesiątym drugim.

— A skąd pan to wie? — zainteresował się Christian.

— Czytałem gdzieś.

— To dość częsta pomyłka — mruknął Chris.

— Pomyłka? — powtórzyła Namtaan.

— Albo kłamstwo — dodał Hatcher.

— Dlaczego pan tak uważa? — spytała.

— Bo Wol Pot chciał wizy do Stanów i gotów był wymienić ją na Cody'ego.

— A dlaczego to Cody jest taki ważny?

- Jego ojciec był głównodowodzącym sił amerykańskich w Wietnamie.
  - Może ten Wol Pot oszukiwał?
  - Może.
  - Ale pan tak nie uważa?
  - Nie.
  - Daje pan tak szybkie odpowiedzi, panie Hatcher. Mam nadzieję, że nie czuje się pan, jakbym pana przesłuchiwała — stwierdziła nagle z uśmiechem.
  - Pani mnie przesłuchuje.
  - Wszystko to pierdolenie kotka za pomocą młotka — zdenerwował się Earp.
  - Nie sądzę. — Głos Hachera był dziwnie spokojny. — Myślę, że Murphy Cody żyje.
  - Dlatego że ten skurwiol tak twierdził?
  - Ma to pewien związek.
  - Nie wierzę mu za grosz — oznajmił Earp. — To człowiek Sloana.
  - Nie jestem niczym człowiekiem. Wynajął mnie natomiast do określonego zadania.
  - Przyznał się! — ucieszył się Earp.
- Hatcher postanowił go zignorować.
- Co macie przeciwko Sloanowi? — spytał.
  - Uważamy, że wynajął cię, byś odszukał Cody'ego i zabił go. — Earp powrócił nagle do poprzedniego tonu. — Zaprzeczysz?
  - Nie. Nie zaprzeczę. — Odpowiedź najwyraźniej zaskoczyła zgromadzonych, toteż dodał szybko, zanim ktokolwiek zdołał się wtrącić. — Tyle że nie przyjąłem roboty na tych warunkach.
  - A jakie są twoje warunki? — parsknął Earp.
  - Że znajdę Cody'ego, jeżeli żyje, i przekażę mu wiadomość.
  - Jezu! — sapnął z obrzydzeniem W.T. odwracając się.
  - Posłuchaj, Wyatt. To miała być prosta robota: odszukać go i dostarczyć wiadomość. W Bangkoku Sloan wszystko postawił na głowie.
  - Jak? — Earpa aż odwróciło ku niemu.
  - Chciał najpierw, żebym osądził Cody'ego. Jeżeli jest w coś zamieszany, to miałem go zabić. Sloan tego nie powiedział wyraźnie, on nigdy nie mówi takich rzeczy. A potem wyszło, że chciał, żebym Cody'ego zabił niezależnie od wszystkiego. Tak na marginesie to z tu obecnych chyba ja mam największe prawo nienawidzić Sloana. Przez niego spędziłem trzy lata w środkowoamerykańskim piekle zwanym Los Boxes.

- I mimo to podjąłeś się tego zadania?
- Zgadza się. Doszedłem do wniosku, że jeżeli ktoś może odnaleźć Cody'ego, to tylko ja.
- I przyjąłeś te warunki?
- Musiałem wybrać: albo postarać się znaleźć Murphy'ego i udawać, że się zgadzam na kontynuowanie zadania, albo rzucić wszystko w cholerę, a wtedy Sloan czujący pismo nosem wynająłby kogoś innego, kto bez problemów rozwaliliby Cody'ego zaraz po rozpoznaniu.
- A co niby różni cię od tego kogoś? Zabijałeś dla Sloana jak żywa gilotyna.
- Tak samo jak ty dla Sił Specjalnych — warknął Hatcher. — Obaj byliśmy żołnierzami. Wypełniałem rozkazy. Ty też.
- Po tej uwadze Earp zamknął się na dłuższy czas. Odwrócił wzrok.
- Poza tym — dodał Hatcher — chyba nie uważasz mnie za idiotę. Jeżelibym chciał zabić Cody'ego, to nie w sytuacji, gdy jest was dziesięciu przeciwko mnie.
- Jesteś, jak mi się wydaje, przekonany, że Cody i to morderstwo dzieci to jedno i to samo.
- Jeżeli chodzi o Tajskiego Konia, to o niczym nie jestem przekonany. Jestem natomiast pewien, że Wol Pot wiedział, iż Cody żyje.
- Coś jeszcze?
- Wnioski. Coś, co nazywam równaniem.
- Równaniem? — zdziwił się Gallagher.
- Takie działanie matematyczne, tylko zamiast liczb podstawia się informacje — odpalił Hatcher i rozejrzał się po pokoju. — Na przykład wiem, że Wol Pot był naprawdę Taisungiem, i wiem, że twierdził, iż Cody żyje, i to żyje w Bangkoku. Wiem też, że prawdopodobnie nie kłamał.
- Dlaczego? — spytał Early.
- Inne równanie: Wol Pot chcąc dostać wizę musiałby w końcu zaprezentować Cody'ego. Nie mógł za wiele ryzykować, bo władze amerykańskie mogłyby dojść, z kim mają faktycznie do czynienia. W dodatku spieszyło mu się i jedyną szansą był Cody. Bez niego nie miałby nic. Gdyby łął, to musiałby być idiotą. Był tchórzem, ale nie kretyńcem.
- Coś jeszcze? — spytał sceptycznie Riker.
- Tak. Wiem też, że Johnny Prophet naprawdę nazywa się Paget oraz że on, Gallagher, Potter, ty i Early zostaliście uznani za zaginionych w akcji mniej więcej w tym samym czasie i w tej samej okolicy. Nie jestem pewien, ale sądzę, że Magika i Corkscrewa też można dopisać do tej listy. Mogę więc



wnioskować, że zostaliście złapani przez Wietkong i wylądowaliście w obozie Wol Pot. Ponieważ ten znał Cody'ego, rozsądne jest przyjąć, że on także się tam znalazł.

— Masz jaja, to ci trzeba przyznać — parsknął Riker.

— Jeszcze jakieś równanie? — spytał milcząco dotąd Corkscrew.

— Jeszcze jedno. Wol Pot twierdził także, że Cody jest przemytnikiem i zabójcą dzieci zwanym Tajskim Koniem. Z zupełnie innych źródeł słyszałem pogłoskę, że Tajski Koń to handlarz narkotyków.

— I co na to równanie? — spytał kpiąco Riker.

— Może powinnam pomóc — wtrąciła się Namtaan. — To ja jestem znana jako Tajski Koń.

Zaskoczenie malujące się na twarzy Hachera było tak kompletne, że uśmiechnęła się po raz pierwszy od początku rozmowy.

— Nie zamierzałam wywołać aż takiego efektu — dodała.

Christian szybko odzyskał panowanie nad sobą i roześmiał się.

— Nie wierzę — odparł spokojnie.

— Ja nadałem jej to imię — odezwał się Prophett.

— Nie wiedziałem — mruknął Chris.

— Nie wiedziałeś masy rzeczy, żołnierzu. Ale trzeba przyznać, żeś sporo nagłówkował, i to nieźle — dodał Earp.

Hatcher przyjrzał się uważnie kobiecie. Stopniowo dochodził prawdy. Najpierw miał wrażenie, że już ją kiedyś spotkał. Dopiero potem rozpoznał rysy, które bez makijażu zidentyfikowałby od razu.

— Dobra — uśmiechnęła się lekko. — Spróbuję jeszcze raz. To ty jesteś Pai.

— Nazywam się Namtaan.

— Pewnie. Tylko kiedyś nazywałaś się Pai. Piętnaście lat temu w Wietnamie. Byłaś kobietą Cody'ego.

— Nieźle określenie. Słyszałam już gorsze.

— Mam wasze zdjęcie z siedemdziesiątego drugiego. Widać na nim, że go kochałaś; pewnie kochasz nadal.

— Dlaczego go szukasz? — spytała poważnie.

— Jak już mówiłem: mam dla niego wiadomość.

— Przebyłaś całą drogę tylko po to, by doręczyć wiadomość? — spytała z niedowierzaniem.

— Zgadza się.

— I Cody był twoim przyjacielem? — upewniła się.

— Dawno temu, ale jak mawiają, stara miłość nie rdzewieje.

Przerwał, ale nadal bacznie mu się przypatrywała.

— A gdyby był tym mordercą dzieci, co byś wtedy zrobił? — spytała.

To pytanie gnębiło go od ostatniej rozmowy ze Sloanem. Wiązało się z decyzją, której starał się uniknąć, ale teraz musiał ją podjąć.

— Nie przybyłem tu, by go sądzić — odparł powoli. — Przyznaję, że często ostatnimi czasy przychodziło mi do głowy, czy w takim wypadku go nie zabić. Ale cokolwiek by zrobił, dość mam zabawy w sędziego i kata. Mam dość zabijania. Ktoś inny, jeśli ma ochotę, może się tym zająć. Przybyłem, by przekazać mu wiadomość i zamierzam to uczynić. Tylko to. Kropka.

Zapadła cisza. Nikt z obecnych nie wątpił, że Hatcher powiedział prawdę.

— Od kogo jest ta wiadomość? — spytała w końcu.

— To sprawa między nim a mną.

— Są sposoby, by się dowiedzieć — wtrącił Earp.

— Nie ode mnie — warknął Hatcher.

— Sukinsyn — roześmiał się Riker. — Zaczynam mu chyba wierzyć.

— Czujesz się za niego odpowiedzialny, prawda? — spytała Namtaan.

— Wiadomość jest osobista. Przekażę ją bezpośrednio albo wcale — odparł Hatcher i nagle odwrócił się. Mrużąc oczy, wpatrzył się w kąt, w którym przykucnął stary Chińczyk. To właśnie jego widział wycofującego się z alejki w Bangkoku po zabiciu Wol Pota.

— Ten dżentelmen zabił Wol Pota — odezwał się Chris. — Mógł też zabić mnie. Z początku chciał to zrobić, potem się rozmyślił. Od tej pory sam siebie pytałem — dlaczego?

— I co zdecydowałaś? — spytał Johnny.

— Bez jaj — szepnęła Hatcher, nie przestając się przyglądać postaci z brodą. — Żaden z was nie zgodziłby się, aby ktoś obcy odwalał za niego brudną robotę. Bez względu na to, jakie mielibyście powody, aby zabić skurwiela — a sporo mogę ich sobie wyobrazić — załatwiłby to ktoś z was. To nie w waszym stylu wysyłać starego człowieka.

— Jacy mili jesteśmy - mruknął Earp. — I do czego to prowadzi?

— Że to wcale nie jest stary Chińczyk, tylko jeden z was — szepnęła Hatcher. — Prawda, Polo?

Zapytany zachichotał, po czym wstał. Gdy się wyprostował, urósł o dobre trzy cale. Potem przekuśtykał przez pokój do Hatchera.

— Cholernie dawno nie słyszałem, żeby mnie ktoś tak nazywał. Prawdę mówiąc, ostatni raz było to w akademii, Hatch — powiedział Murphy Cody.

## TAJEMNICA HUIE-KUI

Hatcher poczuł ulgę. Tak naprawdę to do samego końca nie był pewien, czy Cody żyje. Teraz, patrząc na niego, czuł ulgę i radość.

Namtaan otworzyła okiennice i pokój zrobił się nagle jasny i przestronny.

— Jezu, Polo! Naprawdę się cieszę, że żyjesz — mruknął Hatcher.

— Nie pamiętam cię takim twardym — odparł Cody.

— A ja cię żywym.

— Maskowanie — uśmiechnął się Cody. — Żona jest doskonałą charakteryzatorką. Na moich oryginalnych włosach pozostało jeszcze trochę dawnego koloru.

— Co się stało z nogą?

— Zerwałem ścięgno wypadając z samolotu. A twoje gardło?

— Włazłem na kolbę karabinu.

— Zabawne, jak proste stają się takie opowieści po upływie czasu — zauważył Cody. — Z godzinnej opowieści robi się jedno zdanie.

Wydawał się Hatcherowi wyższy i szczuplejszy. Lata odbiły się na nim, choć wyhodowana broda i makijaż też dodawały mu wieku.

— Słuchaj — odezwał się. — Jeżeli uważasz, że możesz mi zaufać, to chciałbym z tobą pogadać na osobności.

Cody przemyślał sprawę i zwrócił się do pozostałych:

— Zostawcie nas na chwilę, okay? Namtaan, zostań proszę.

Reszta obecnych wyszła.

— Myślałem sporo o tobie przez te lata. — Cody oparł się o okno i parsknął śmiechem. — Nieźle razem się bawiliśmy w akademii, nie?

— Fakt.

— Pamiętasz Nowy Rok? W Nowym Jorku skończyliśmy w łóżku z tą... jak jej było?

Hatcher musiał chwilę poszperać w pamięci, zanim przypomniał sobie imię.

— Linda.

— Właśnie, Linda.

— Współczująca osóbką — dodał Chris.

— Nie? Wiesz, od dawna jestem ci winien przeprosiny. — Cody nagle spojrzął mu prosto w oczy.

— Nic mi nie jesteś winien.

— Gdzieś z miesiąc przed zestrzeleniem jadłem obiad ze starym w Sajgonie. To był ostatni raz, gdy go widziałem. Powiedział mi o tobie i o mało

pod stół nie włożyłem, jak sobie przypomniałem, co ci wtedy powiedziałem w San Diego. Myślę, że w tych dniach ruszałem głową szybciej niż rozumem. Nie wiem, czy to dla ciebie coś znaczy, ale przepraszam.

- Dzięki. Dla mnie to wiele znaczy.
- Jesteś upartym sukinsynem, wiesz? — uśmiechnął się Murphy.
- Tak mówią.
- Jaka to wiadomość, Hatch? — Cody spowaźniał.
- Od twojego ojca.
- To on wie, że żyję? — zdziwił się Murphy.
- Właśnie ten drobiazg miałem ustalić.
- Lepiej, żeby martwi pozostali martwymi.
- Wiesz, nie da się tego powiedzieć łagodnie — mruknął Hatcher. —

Twój ojciec umiera na raka.

Widać było, że to wstrząsnęło Codym. Nagle opuścił ramiona, klatka piersiowa mu się zapadła i złapał się ściany, aby nie upaść. Po ponad minucie ciszy zapytał:

- Ile?
- Jeżeli będzie miał szczęście, to sześć miesięcy.
- Boże... — Głos mu się załamał.

Opuścił głowę i po policzkach pociekły łzy. Pai podeszła do niego i objęła delikatnie.

— Wiesz, nigdy nie sądziłem, że jeszcze kiedyś go zobaczę. Tak sobie założyłem. I nigdy nie pomyślałem... że kiedyś...

— Nie obchodzi go, co robiłeś czy co robisz — dodał szybko Christian. — Po prostu chce wiedzieć, czy żyjesz, a jeżeli tak, to chce cię widzieć przed śmiercią.

— Jezu! — Cody otarł łzy, a przy okazji część makijażu, ukazując prawdziwe zmarszczki wyrzeźbione przez czas i warunki życia.

Przez parę chwil wyglądał przez okno nie odzywając się słowem. Pai i Hatcher także milczeli.

— Zabawne — odezwał się nagle — jak coś, co zawsze uważałem za istotne, staje się nagle całkowicie nieważne. Przez całe życie miałem to znamię: syn Buffalo Billa. Nie mogłem w niczym zawieść...

Zamilkł na chwilę, po czym się poprawił:

— Nie, to nie fair. Sam starałem się nigdy nie zawieść. Zawsze miałem w pamięci, kim jestem, i to od dzieciństwa. Nie, żeby on mnie zmuszał, nie, nigdy tego nie robił. Nie musiał — zawsze był niczym olbrym z lasu, którego boisz się jako dziecko. Kiedy zdecydowałem się na Annapolis zamiast na West Point, dostał szału. Prawie go to zabiło. Cholera, pierwszy raz chciałem coś zrobić po swojemu, a to był dla niego kamień obrazy. Rozkazał mi przenieść się do West Point, a gdy odmówiłem, zrobił, co mógł, by to

załatwić za mnie. Na szczęście było już za późno.

Hatcher przypomniał sobie noc, kiedy pijany w trupa Cody zdemolował swój pokój, bo był sam w święta Bożego Narodzenia.

— Polo, to było dwadzieścia pięć lat temu — szepnęła.

— To bez różnicy. On tego nigdy nie zapomniał i nigdy nie pozwolił mi tego zapomnieć. Ta decyzja zaważyła na całych naszych późniejszych stosunkach. Może dalej tak jest.

— Gdyby tak było, nie chciałby cię zobaczyć. Dla niego to już nic nie znaczy.

— Ale dla mnie znaczy. — Cody zamilkł wypatrując przez okno i tuląc się do Pai.

— Wiesz, że nic nie mogę powiedzieć za Sloana, pojęcia też nie mam, jakie były motywy Portera. — Głos Hachera przerwał ciszę. — Ale twój ojciec naprawdę ma gdzieś to, co robisz czy robiłeś. Rozmawiałem z nim. Umiera i chce się z tobą pożegnać. Moje zadanie polega na zaaranżowaniu spotkania, tak byście się mogli zobaczyć.

— Co za ironia — westchnął Cody. — Jak powiedziałby Prophett, dwóch wojowników stojących po dwóch stronach rzeki i żadnego sposobu, by się pożegnać.

— Jego abstrakcyjna poezja jakoś mi umyka — warknął poirytowany Hatcher.

— Nie łapiesz? Z tego, co oficjalnie wiadomo, wszyscy jesteśmy martwi. W jego metaforze wszyscy przepłynęliśmy rzekę. Nie możemy wrócić do domu, nawet gdybyśmy chcieli. Wiesz o Rikerze i Gallagherze?

— Wiem, że mieli kłopoty, gdy zniknęli. Prophett nie może wrócić, bo jest narkomanem w ostatnim stadium. Magik, wiadomo, z taką gębą w Stanach... Ale ty, Corkscrew, Potter, Early...

— To się zaczęło jeszcze przed Wietnamem — przerwał mu Cody. — Stary i admirał zaaranżowali moje małżeństwo niczym średniowieczni książęta. Oboje z żoną żyliśmy jak w kaftanie bezpieczeństwa. Stary rządził wszystkim. Zgłosiłem się więc na ochotnika do Black Ponies.

— W końcu sam za wszystko musiał płacić — dodała cicho Pai. — Zgłosił się na ochotnika, aby nikt nie pomyślał, że chce się wykręcić łatwą posadką. Straty nie dawały mu spać po nocach, byłem tego świadkiem.

— Tam już nawet nie szło o mnie. — Cody był nieco rozżalony. — To zadanie. Zawsze to pieprzone zadanie. Masz je wykonać niezależnie od strat. Ale w którymś momencie zaczynasz się zastanawiać, czy jest ono słuszne, czy nie. Pewnie tego nie zrozumiesz, Hatch, ale...

— Lepiej niż możesz sądzić, to właśnie rozumiem.

— I ostateczna ironia: sam się wpisałem na listę strat. Tego ranka odebrałem list do mojego strzelca Johna Rossitera i później o tej przesyłce zupełnie zapomniałem. Nigdy nie nosiłem żadnych papierów, cholera, zdawałem sobie sprawę, że gdyby mnie zestrzelili i wyszłoby, kim jest mój stary, to dopiero by się zakotłowało. Jakeśmy spadli, to ze strzelca zostały kawałki; cała dżungla za mną się paliła. Rzuciłem w cholere nieśmiertelnik kuśtykając do rzeki. Wtedy zobaczyłem ten helikopter i już miałem nadzieję, że wyjdę cało. I nagle skurwiel odleciał. Wokół zaczęły gwizdać kule i w chwilę później już stałem grzecznie z łapkami do góry, a żółtki przetrząsały mi kieszenie. I nagle zamieniłem się w strzelca pokładowego, sierżanta Johna Rossitera. Riker pierwszy mnie rozpoznał, ale trzymał gębę na kłódkę. Wszyscy trzymali. Natomiast ja stwierdziłem, że to, co mogę dla nich zrobić, to działać jako najstarszy rangą w obozie.

— Starał się negocjować z Taisungiem — wtrąciła Pai. — By załatwić lekarstwa dla Magika, morfinę dla Johnny'ego czy żeby nie trzymali Maxa w klatce, bo mógł tam oszaleć.

— I żywność, po prostu żywność — podjął temat Cody. — Zostałem obozowym negocjatorem, alfonsem. Jak Prophett potrzebował heroiny, to sprzedawałem kawałek siebie. Jak Magikowi kończyły się lekarstwa, to następny kawałek. Jeszcze następny, żeby Max nie wrócił do dziury. Byłem niewolnikiem Taisunga. Problem polegał na tym, że tak naprawdę to nie miałem niczego, na czym by mu zależało. I nagle...

— I nagle? — powtórzył Hatcher.

— Nagle pojawiła się Pai — zakończył Cody.

*Pai, nie wiedząc, czy Cody żyje, czy nie, postanowiła spróbować go odzyskać. Wiedziała tylko, że powinna iść na północny zachód, i tam też poszła. W Wietnamie była Wietnamką, w Laosie Laotanką, w Kambodży także była swoja. Gdziekolwiek się znalazła, uśmiechała się i słuchała. Gdy musiała, pracowała za żywność czy transport i cały czas szukała, unikając czerwonych khmerów i śpiąc na drzewach, by nie paść łupem drapieżników. Dwukrotnie omal nie wykończyła jej gorączka.*

*Przebyła Annimitique, odnalazła pozostałości jakiegoś obozu — dziury wykopane w ziemi, resztki bambusowych krat pokryte świeżą roślinnością. I szkielety. Ruszyła dalej, gnana równocześnie nadzieją i strachem.*

*I pewnego dnia dotarły do niej głosy. Nie mogła się mylić — jeśli raz słyszało się amerykańskich żołnierzy, rozpozna się ich zawsze. Podkraśla się i odnalazła obóz, a nocą wśliznęła się do środka i od jednej*

*zakratowanej dziury do drugiej szukała cicho wymawiając jego imię, aż w końcu usłyszała nie dowierzający szept:*

*— Pai?*

*I przez bambusowe kraty poczuła jego dłoń.*

*— Cody — szepnęła przez lzy. — W końcu cię odnalazłam.*

*Odszukanie Huie-kui zabrało jej sześć miesięcy.*

— Nie jestem w stanie opisać, jak się czułem tej nocy — wyznał Murphy. Zamilkł, opuścił wzrok i przełknął ślinę, by w końcu dodać szeptem: — I wreszcie... wreszcie miałem coś, na czym zależało Taisungowi.

Słowa ciężko zawisły w powietrzu.

— Sama tak zdecydowałam — powiedziała cicho Pai. — Chciałam utrzymać go przy życiu, a potem ich wszystkich. Nikt nie prosił mnie, żebym zrobiła to, co zrobiłam.

— A ja jej nie powstrzymałem! — Cody odwrócił się nagle i Hatcher dostrzegł, ile go kosztowało pozostanie żywym. — Przeżyliśmy. Przynajmniej większość. Jaimie Solomon miał raka. Udało się go przetransportować do Stanów. Joe Binder i Sammy Franklin zmarli, zanim Pai nas odnalazła.

— Jaimie Solomon? — spytał Hatcher przypominając sobie kartkę pozostawioną na Ścianie.

— A najważniejsze było, że Pai nas tam zatrzymała. — Cody zdawał się go nie słyszeć. — Taisung nie odesłał nas do Hanoi. Naprawdę wierzyliśmy, że jeśli tam trafimy, to będzie koniec.

— Uwiodłam go — wyznała Pai. — Jeździłam w dół rzeki i przywoziłam wszystko, by mu uprzyjemnić życie: alkohol, papierosy, a potem biały proszek.

— To był mój pomysł — wtrącił Cody. — Zrobić z gnoja narkomana. Kiedy się uzależni, zrobi wszystko, by dostać następną porcję. Johnny miał kontakty, a Pai mogła się swobodnie poruszać.

— Najpierw trochę proszku, a potem igła — uśmiechnęła się na wspomnienie.

— A potem już był nasz — dokończył Murphy.

W drzwiach pojawił się Earp z piwem w ręku.

— Wszystko w porządku? — spytał.

— Wejdz — zaprosił go Cody.

Earp skorzystał z zaproszenia, opierając się o ścianę przy drzwiach.

— Jaimie zostawił ci wiadomość — powiedział korzystając z chwili ciszy Hatcher.

— Jaka? Gdzie?

— Na Ścianie w Waszyngtonie. To pamiątka wojny w Wietnamie. Dziękował ci za Tajskiego Konia. Teraz wiem, co miał na myśli. Rumaka, który wywiózł wojowników do nieba.

— Zgadza się. To Pai wyprowadziła nas z tego piekła do Bangkoku — przyznał Cody. — Dlatego Johnny nazwał ją Tajskim Koniem.

— Wojna od prawie roku była skończona, a Taisung nadal ich trzymał — włączył się do rozmowy Earp. — Hanoi się tym zainteresowało i komendantowi ziemia zaczęła się palić pod nogami. Zamierzał prysnąć zostawiając kilku zaufanych wartowników, by wykończyli więźniów. Ale Pai zaproponowała mu interes — zorganizowała ucieczkę i przedstawiła ofertę wspólnej podróży. Mieszkalem w Bangkoku i zająłem się zorganizowaniem trasy i ekspedycji ratunkowej.

— Chcieliśmy naturalnie utłuc bękartą przy pierwszej okazji — opowiadał dalej Cody — ale byliśmy zbyt słabi. Ukradł łódź na postoju i prysnął.

— A wy zostaliście potem w Bangkoku? — upewnił się Hatcher.

— Tak. Przez te lata, które przesiedziałem, zdarzyło się wiele różnych rzeczy — westchnął Cody. — Gdy pod koniec siedemdziesiątego szóstego znalazłem się wreszcie w Tajlandii, stwierdziłem, że oficjalnie jestem trupem. Ubezpieczenie zostało wypłacone, żona ponownie wyszła za mąż, dzieciaki miały nowego ojca. A ja byłem z Pai i mogłem zacząć wszystko od początku. Po co miałem wracać? Wpierw fantazjowałem, że się zakradnę, by obejrzeć dzieciaki, ale potem przyszło opamiętanie: znałem je jeszcze jako rocznego i dwuletniego brzdąca. One teraz są na studiach! Lepiej było pozostać martwym. Cholera, przecież ja nawet nie mam paszportu.

— A inni?

— Cóż, Gallaghery czekało od pięciu do dziesięciu lat za kradzież, Rikera — sąd za uderzenie oficera. Problem Johnny'ego sam streściliś: zostali z Melindą tu, gdzie prochy są łatwo dostępne i tanie. Wtedy Wilkie i Wyatt otworzyli „Longhorna”, a Tombstone jakoś samo wyszło.

— A reszta? Potter, Early...

— Kiedy się wydostaliśmy — wyjaśnił Earp — Early zadzwonił do domu w Utah. Telefon był odłączony, dom sprzedany, a po żonie i dwojce dzieci ślad zaginął. Po cholere miał wracać? Corkscrew? Eksalfons z Detroit. W porównaniu z tym Bangkok to raj. W dodatku jedynym krewnym, jakiego miał, był brat zabity na wzgórzu. A Potter? Dokąd miał wracać: na farmę w Arkansas ledwo pozwalającą wyżyć i do żony, która pod jego nieobecność obsłużyła cały stan? Poza tym wszyscy byli ze sobą powiązani. Early nie



mógł wyjaśnić swych losów nie narażając Cody'ego czy Rikera. Więc pozostali martwi.

— Chłopcy po drugiej stronie rzeki, jak to ujął Prophett — dodał Cody.

— Więc co się stało? — zdziwił się Christian. — Skąd Taisung się tu znowu znalazł?

— Był z nami ten gówniarz Kilhanney, Ted Kilhanney... Od niego zaczęły się kłopoty...

— Taisung chciał nas kupić — wyjaśniła Pai, gdyż Cody nieco się zaplątał. — Żeby użyć jako kurierów do przerzutu narkotyków.

— Szantaż?

— Najgorszego rodzaju — włączył się Cody. — Groził ujawnieniem mnie, Gallaghery, Rikera i Kilhanneya, jeśli nie będziemy dla niego pracować. Bo on zajmował się rekrutacją „mulów” dla Tolliego Fonga. A Ted był najbardziej bezbronny...

— Co za Ted? — zniecierpliwiał się lekko Hatcher.

— Prawdziwie grecka tragedia — uśmiechnął się smutno Cody. — Kapelan katolicki, który... jak by to powiedzieć... wypadł z łask gdzieś pomiędzy Sajgonem a Bangkokiem. Stracił wiarę. Dawał jakiemuś żołnierzowi ostatnie namaszczenie, gdy żołtki odbiły tę pozycję. W obozie zaparł się Boga, a gdy się tu znalazł, zakochał się w żonie tutejszego polityka. Myślisz, że jesteśmy pomyleni? Jemu się naprawdę popierdoliło. Nie był w stanie spojrzeć na świat obiektywnie, a jeszcze do tego rozdzierało go poczucie winy. Naturalną koleją rzeczy stał się najłatwiejszym łupem i Taisung zaczął od niego. Wszystko, co miał zrobić, to polecieć do Hat Yai i poprowadzić ciężarówkę pełną kobiet przez granicę malezyjską. Nie wiedział o drobiazgu: że każda z nich ma niemowlę, martwe i wypchane heroiną. Gdy celnicy to odkryli, spanikował i prysnął. Dotarł tu do Maxa i opowiedział wszystko. Dwa dni później pojechał autobusem do Phu Khat i wypłynął w morze. To, co z niego zostało, fale wyrzuciły na brzeg po tygodniu.

— I wtedy wskrzesiliśmy Tajskiego Konia — dodał spokojnie Earp.

— Zawarliśmy umowę, że przerzucimy dwadzieścia kilo do Amsterdamu. Kiedy zjawił się kurier, zabiłem go, a ładunek utopiłem w Chao Phraya. A potem posłałem wiadomość Fongowi i Wol Potowi, że handel przejmuje Tajski Koń. Nie mogłem tego zrobić jako Murphy Cody czy jako Amerykanin. Wobec tego stałem się Tajlandczykiem, Pai zaś Tajlandką. Ożeniłem się jako Tajlandczyk, zabiłem jako Tajlandczyk, z wyglądu jestem Tajlandczykiem. Murphy Cody przestał istnieć.

— A poprzez Sy i innych puściliśmy plotkę, że Tajski Koń jest akcją Taisunga — dodał Earp.

— Dzięki czemu upiekliśmy dwie pieczenie na jednym ogniu. — To znów był Cody. — Fong stracił twarz i kazał zlikwidować Taisunga, który nie zdążył mu powiedzieć, kim jesteśmy.

— Cała sprawa była załatwiana przez telefon — wyjaśnił Earp. — Pokurcz zaszranego nie pokazał się ani razu — bobyśmy go sami załatwili.

— Ale was obserwował — wtrącił się Hatcher — aż do śmierci Portera. To wasza robota?

— Tolliego Fonga — mruknął Cody.

Zapadła cisza. Cody'emu jakby znudziła się rozmowa, wobec czego Hatcher przejął inicjatywę.

— Reszty mogę się domyślić. Fong był cięty na Wol Pota, który stwierdził, że jedyny ratunek to pryskać z kraju, i wtedy zaproponował ambasadzie układ.

— A Sloan wysłał ciebie — dodał Cody.

— Zapomnij o nim — szepnął Hatcher. — Zabrał ciało Portera do Stanów i dla ciebie jest już historia.

— Błąd, żołnierzu — uśmiechnął się Earp. — Sloan w tej chwili jest w Bangkoku. W „Domu Snów” w chińskiej dzielnicy.

— Pierdolisz — warknął Hatcher.

— Jest nałogowym opiumowcem — stwierdził Cody. — „Dom Snów” to palarnia. Obserwujemy go od chwili, gdy Wol Pot się z nami skontaktował. Sloan znika tam czasami na całe dni.

— Chcesz się przekonać? — wtrącił Earp. — To stara chińska krypa używana do przewożenia warzyw do miasta.

Christian przypomniał sobie adres Wol Pota, który okazał się pustym nabrzeżem.

— Docenić należy twoją lojalność — odezwał się Cody — ale to nałóg nie gorszy i nie lepszy niż Johnny'ego Prophetta.

— I jeszcze jedno. Zgadnij, kto jest właścicielem tej łajby? — uśmiechnął się Earp.

— Tollie Fong.

— Brawo.

— Myślicie, że szantażuje Sloana? — spytał Chris.

— Miałoby to sens. Widzieliśmy kilkakrotnie, jak tam wchodził i wychodził. Mamy niezłą siatkę szpiegowską. Myślisz, że trafiłeś do „Longhorna” przypadkiem? Jedyny przypadek to ten, że wynająłeś Sy. W oryginalnej wersji miał cię śledzić. Ułatwiłeś mu robotę.

— Tylko mi nie mów, że to też weteran.

— Nie. Ale stały współpracownik. Poza tym to jeden z najlepszych kierowców w Bangkoku — wyjaśnił Cody.

— Więc cały czas wiedzieliście, gdzie jestem — mruknął Hatcher.

— Mniej więcej. Choć wpadnięcie na Wol Pota było czystym przypadkiem — przyznał Earp.

— Śledziłeś mnie? — upewnił się Chris.

— Nie byliśmy pewni, czy wiesz, czy też nie, gdzie jest ta menda — odparł Cody. — Mogłeś mieć umówione spotkanie z nim.

— To dlaczego mnie nie zastrześliłeś? Przez chwilę miałeś na to ochotę.

— Po prostu nie mogłem — uśmiechnął się Murphy. — Gdy wyszła sprawa tygrysa, zdecydowaliśmy się ściągnąć cię tu i sprawdzić.

— A gdyby wam wyszło, że jednak chcę cię zabić?

— To każdy wsadziłby ci kulkę — odparł spokojnie Earp.

Hatcher zamilkł na dłuższą chwilę.

— Czegoś mi tu brak — odezwał się w końcu. — Fong nigdy nie miał kłopotów ze znalezieniem „mułów”. Dlaczego nagle zaczął polegać na takim zerze jak Wol Pot?

— Przerzuca masę towaru ze wzgórz do miasta, a stamtąd do Stanów — wyjaśnił Earp. — Ma przynajmniej tonę czystego proszku już ukrytą w Bangkoku. Potrzebuje ekstra ludzi i to szybko.

— A my wiemy, gdzie ją ukrył — dodał z uśmiechem Cody.

— Jeśli myślisz o tym, o czym myślę, że myślisz, to lepiej zajmij się czymś rozsądniejszym. — Hatcher potrząsnął głową z niechęcią. — To nie wasz problem.

— Ale Fong jest naszym problemem — wtrącił Riker.

— Zapomnijcie o nim. — Głos Hachtera nagle stwardniał. — Albo Chiu Chao nie spoczną, dopóki nie wybiją was do nogi. Pozwólcie, żeby Tajski Koń rozplynał się w nicości. Fong nie będzie sobie wami zaprzętał głowy.

— Tak naprawdę to sam w to nie wierzysz — zauważył Cody.

— Sami mówicie, że nakreca coś wielkiego. Nie ma i nie będzie miał czasu zajmować się takimi pierdołami jak Tajski Koń, jeżeli przestaniecie mu włączyć w paradę. Inna sprawa, jeżeli go zabijecie. Załatwiłem w siedemdziesiątym szóstym jego ojca i do tej pory ta sprawa się ciągnie.

— Ja twierdzę, że należy z nim skończyć raz a dobrze — sprzeciwił się Earp. — Ukatrupienie go załatwi i twój, i nasz problem.

Hatcher potrząsnął głową.

— Nie słuchałeś, jak mówiłem, że zaprzestałem już zabijania. Podjąłem się tej misji, bo wydawało mi się, że to prosty akt humanitaryzmu. Tymczasem

prawie codziennie musiałem walczyć, by przeżyć. Mam tego serdecznie dość. Im szybciej wyjadę z Bangkoku, tym lepiej dla wszystkich. — Odwrócił się i wyszedł na zewnątrz.

— Myślisz, że ma rację? — spytała Pai. — Myślisz, Murphy, że Fong zapomni?

— Jasne — mruknął Earp. — Świnie mogą latać, tylko nigdy żadnej nie widziałem.

Melinda siedziała na werandzie. Widząc Hatchera, po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego.

— Teraz rozumiesz? — spytała.

— Większość. Trochę mi się jeszcze płaczą detale.

— Jak na przykład?

— Jak ty i Prophet.

— Chciałabym, żebyś to zrozumiał, może to wyjaśni więzi, które łączą nas wszystkich. To nie strach przed wykryciem.

— Wiem, że to nie strach. Szybko się uczę, choć może na to nie wyglądam — mruknął z gryźliwie.

Przyglądał się jej i myślał o pasji, jaką widać było na wszystkich jej zdjęciach. Umiała przewidzieć doskonale ten wyraz na twarzach ofiar, żołnierzy czy przechodniów, który dowodził, że to oni wyszli najgorzej na tej wojnie. Doskonale uchwycić strach, frustrację czy zaskoczenie, gdy mieli do czynienia ze śmiercią.

— Johnny był kimś — odezwała się, jakby czytając w jego myślach. — Niczego się nie bał, ale nie był przygotowany na Wietnam. To, co zobaczył, przytłoczyło go. Był jak mały chłopczyk w szafie, który pragnie, żeby ktoś go z niej wyciągnął i przytulił. Naprawdę mnie potrzebował i nadal potrzebuje. Żeby się przytulić, żeby móc powiedzieć, jak mnie kocha. Urzekła mnie jego poezja i chyba jego słabość. Ale pole walki przyciągało go niczym magnes, tak samo igła. Kiedy nie wrócił, czekałam i czekałam. Wiedziałam, że żyje.

— A jak go znalazłaś?

— Dzięki Pai. Zadzwoniła pewnego dnia. Nie znałam jej, a zachowywała się w dodatku bardzo tajemniczo. Powiedziała tylko: „Przyjedź do Bangkoku”, ale to wystarczyło. Wsiadłam w pierwszy samolot.

— Wiesz, że on się sam zabija — szepnął.

— Oczywiście. Zawsze też wiedziałam, że go przeżyję. Za każdym razem, jak robi sobie zastrzyk, boję się, że to już ostatni. Gdy przychodzi i mnie obejmuje, czuję, jak jest wyniszczony. I wtedy modłę się o kolejny dzień, zanim igła go zabierze. Nie wyobrażam sobie, co wtedy będzie. Samotność jest rzeczą nie do zniesienia. Fong zabije Murphy'ego, tak jak zabił

Wol Pota, Hatcher. Dlatego musimy pierwsi zniszczyć Tolliego Fonga.

— Róbcie, co chcecie, ale ja mam dość. Zrobiłem swoje i wracam do domu — szepnął. — Zostawcie Fonga. Ruszycie go i wściekły byk to przy nim pestka. Zostawcie go w spokoju, przeczekaście. Możecie mi wierzyć, dobrze znam tego skurwiela.

— A Sloan?

— Muszę się z nim zobaczyć po raz ostatni. Nie dokończyliśmy jeszcze pewnej drobnej sprawy.

— A co mu powiesz o Codym?

Hatcher spojrzął na stojącego w drzwiach wysokiego mężczyznę, który kiedyś był jego wesołym kumpłem, na Magika grającego cicho na gitarze, na Pai, która wszystkiego się wyrzekła dla swego ukochanego, i odparł poważnie:

— Powiem mu prawdę. Powiem mu, że Murphy Cody nie żyje.

## NAGRANIE

Słońce opuszczało się nad horyzontem, gdy Hatcher wrócił do hotelu. Był tak zmęczony i przygnębiony, że w pierwszej chwili nie zauważył kwadratowego magnetofonu na nocnym stoliku. Zdjął ubranie, wziął prysznic i położył się myśląc o Codym i reszcie, zdesperowanej grupie, którą łączyła miłość i potrzeba wzajemnej ochrony.

I nagle zatęsknił za swoją wyspą, Ginią i przyjaciółmi. Ludźmi, którzy o nic nie pytali, ale wierzyli w przyjaźń i zaufanie. Podobnie jak grupa z „Longhorna”. Przyznać też musiał, że Ginia wniosła w jego życie więcej szczęścia i uczucia niż ktokolwiek od czasów Annapolis.

Co do Cody'ego... Pewien był, że zaatakuje Fonga i zaryzykuje wszystko. Dziwnym zbiegiem okoliczności myśli Hachtera przeniosły się z Fonga na zabójstwo Campona i zamach w Paryżu, po którym zabito Hienę. Teoria policji nie była warta funta kłaków — dokładnie przestudiował metody zamachowca i wiedział, że Hiena zawsze działał sam. Fragmenty kolejnej układanki zaczęły wchodzić na swoje miejsca.

Wtedy dopiero dostrzegł magnetofon i po dłuższej chwili zastanowienia wziął go do ręki.

Leżąc na plecach wcisnął odtwarzanie. Głos, który usłyszał, prawie go sparaliżował:

— Hatcher, muszę się przedstawić czy też poznajesz mnie po głosie? Może lekkie odświeżenie pamięci będzie pomocne. Singapur — mówi ci to

coś? Powinno, bo tam zamordowałeś mojego ojca. Albo rzeka, gdzie zabiłeś jego najlepszych ludzi. Albo dom tego amerykańskiego Żyda Cohena zwaćcego siebie Chińczykiem, gdzie zamordowałeś kolejnych moich ludzi. Muszę się przedstawiać? Wątpię, byś miał jeszcze złudzenia. Pewien jestem, że wiesz o tym, iż musiałem obiecać *san wong* odłożenie *ch'u-tiao*. Dotrzymam słowa, pomimo że znieważyleś moją rodzinę i przelałeś naszą krew. Tylko widzisz, Hatcher — ta przysięga obejmuje też Cohena, ale nie obejmuje wszystkich twoich przyjaciół. Posłuchaj, jest tu ktoś, czyj głos na pewno rozpoznasz. — Przez trzydzieści czy czterdzieści sekund trwała cisza, potem gdzieś daleko rozległ się trzask otwieranych drzwi i kobiecy krzyk zaskoczenia i strachu, po którym natychmiast nastąpił odgłos uderzenia, a po chwili dał się słyszeć głos Fonga. — Jeszcze odrobinę cierpliwości, Hatcher. Musiałem użyć trochę siły, by przekonać tę osobę.

Hatcher usłyszał trzask przekręcanego wyłącznika. Po chwili znów włączono nagrywanie i rozległ się wściekły kobiecy głos:

— Zabierz łapy ode mnie, ty brudna małpo...!

Daphne.

Hatcher usiadł czując, jak bije mu serce. Nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Nie chciał w to wierzyć. Wyłączył magnetofon wiedząc już, że Daphne nie żyje. Było to oczywiste — Fong nie przysłałby mu taśmy, gdyby ona sama mogła opowiedzieć, co zaszło. Nie wyobrażał sobie, co może zawierać nagranie, a mimo to wahał się, czy go wysłuchać znając finał.

Na zewnątrz zapadł zmrok, a on nadal siedział z magnetofonem w rękę. W końcu zebrał się na odwagę i ponownie włączył odtwarzanie.

— To naprawdę tygryscia, Hatcher — rozległ się głos Fonga. — Zdołała jakoś uwolnić rękę i musiałem dać jej narkozę. Ma paznokcie jak noże. Zraz powinna dojść do siebie. Jakbyś miał wątpliwości, to jest przywiązana do łóżka za ręce i nogi. Chyba jej złamałem szczękę, ale nie jestem pewien. Jest teraz ślicznie rozkrzyżowana...

Rozległ się jęk Daphne i jej głos, z początku słaby i bełkotliwy, potem mocniejszy, gdy dotarło do niej, co się stało. Potem nastąpił trzask rozdieranego materiału i taka wiązanka w jej wykonaniu, że aż miło było posłuchać. Dalej był krzyk bólu i łkanie.

— To za Hachera — syknął Fong. — Płacisz za niego, dziwko. Teraz rozumiesz?

— Hatch! — Krzyk omal nie rozwalil mikroskopijnego głośnika.

— Muszę ją zakneblować, Hatcher — odezwał się Fong. — To zamknięta impreza, nie dla sąsiadów. Ale możesz mi ufać, opiszę ci dokładnie, co się będzie działo. Daję słowo, że nie opuszczę najdrobniejszego szczegółu...

Christian ponownie wyłączył magnetofon. Z czoła spływał mu pot, a zęby miał zaciśnięte aż do bólu. Dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

Po chwili zmusił się do włączenia i wysłuchania Fonga, opisującego odrażające, bolesne i poniżające sceny, i coraz słabszego i bardziej przerażonego głosu Daphne. Zdawał sobie sprawę, że Fong jest zbrojcem, ale nie sądził, że aż do tego stopnia, że aż tak jest wyprany z uczuć. Nawet gwałt czy tortury wydawały się nie sprawiać mu przyjemności.

— Czujesz, moja droga? — rozległ się głos Fonga po serii jęków i krzyków. — Czujesz ostrze na gardle?

Odpowiedzią był jęk.

— Znasz procedurę, Hatcher? Umieszcza się czubek ostrza w zagłębieniu szyi, kierując sztylet w dół ku sercu, a potem wystarczy nadusić... — przerwał mu przeszywający krzyk stłumiony przez knebel — mocno i prościutko w samo serce. Ha!

Gwałtowne wciągnięcie powietrza. Bulgot krwi w podciętym gardle i cisza.

— Skończone, Hatcher — rozległ się szept z głośnika. — Twoja przyjaciółka nie żyje. Następni pójdą w jej ślady i obiecuję ci, że będzie ich wielu. No, to na razie.

Hatcher siedział ponad godzinę, wpatrując się w ciemność. Magnetofon nadal trzymał zaciśnięty w dłoni. Czuł, jak zalewa go na przemian fala wspomnień i fala wściekłości. Za każdym nawrotem ta druga była silniejsza. Dość długo też zastanawiał się, czy mógł to przewidzieć albo zapobiec temu, co się stało. Nie znalazł odpowiedzi. W końcu zadzwonił do Cohena. Połączenie dostał dopiero za trzecim razem i usłyszał znajomy bostoński akcent.

— China? — zapytał chrapliwie.

— Cześć.

— Dzwonię w związku z Daphne...

— Co ci mogę powiedzieć, Chris? Czuję się jak ostatni idiota! Powiniennem pomyśleć i ją też chronić przed tym...

— Więc to prawda? — przerwał Hatcher.

— A skąd się dowiedziałeś?

Zaschło mu w gardle i dopiero po chwili zdołał wykrztusić:

— Przysłał mi taśmę... ze wszystkim...

— Słodki Jezu! Posłuchaj mnie, Chris! Rozmawiałem z *san wong*. Powiedziałem mu, że Fong to gwałcieł i morderca kobiet, że to zakała Chiu Chao, że jeśli kiedykolwiek postawi nogę w Hongkongu, to jest trupem. Że jeśli go nie wyrzucą i ktokolwiek z nich pojawi się w mieście, oznaczać to

będzie wojnę. *San wong* poprosił o dzień do namysłu, ale...

— China!

— Tak?

— Nie mogę teraz rozmawiać.

— Dobrze się czujesz?

— Tak. Tylko nie jestem w stanie dłużej o tym mówić.

— Uważaj na siebie. Jeśli *san wong* go wyrzuci, to Fong stanie się zupełnie niepoczytalny — ostrzegł Cohen.

— Wiem. Zadzwoń później.

— Słuchaj. Wezmę paru chłopaków i rano będę u ciebie...

— China!

— Tak?

— Zostań w domu, okay? — Hatcher łagodnie odłożył słuchawkę.

Z trudem zrozumiał, że przez te wszystkie lata zabijał bez nienawiści czy zadowolenia, że tak został uwarunkowany i tak nim manipulowano, aż osiągnął stadium, w którym zabicie kogoś było czymś tak zwyczajnym jak pójście po zakupy. Dzięki tej podróży doszedł do ładu z ciemnymi stronami swojego charakteru, które przez lata ignorował. Od sto dwadzieścia sześć nauczył się odkrywać samego siebie, od Melindy i reszty nauczył się, co znaczy zaufanie i braterstwo, a od Daphne i Cohena — co znaczy przyjaźń.

Od Tolliego Fonga zaś nauczył się, co naprawdę znaczy nienawiść.

Może mógłby przezwyciężyć nienawiść, gdyby to, co Fong zrobił z Daphne, nie miało nic wspólnego z Chiu Chao czy Cohenem, Sloanem albo Codym. To było między nim a Fongiem. On zaczął, a Fong nie był w stanie zapanować nad sobą. Hatcher zdawał sobie doskonale sprawę, że Fong dotrzyma tego, co obiecał, i będzie mścił się na wszystkich, którzy są blisko niego, Hachera.

Zrozumiał też, że Cody i Earp mieli rację. Oni również doczekają się zemsty Fonga, bo Tollie niczego nie zapominał i niczego nie darował. Było tylko jedno możliwe rozwiązanie —, nie da się zerwać z przeszłością nie spłaciwszy starych długów. Zdał sobie sprawę, że przyjechał tu, bo zależało mu na życiu Murphy'ego. Chciał raz zrobić coś uczciwego, a Sloan znów wszystko przekreślił budząc potwora, którego w nim stworzył. Ale Sloan to osobny rozdział. Teraz należało zamknąć rozdział zatytułowany Tollie Fong.

Było bowiem tylko jedno rozwiązanie: albo on, albo Fong. Jeden z nich musi zginąć, jeżeli zabijanie faktycznie ma się skończyć.



Małe metalowe samochodziki były replikami jednych z pierwszych wyścigowych mercedesów. Miały nawet koła z prawdziwej gumy. Produkowała je niegdyś firma Schuco w Niemczech, a napędzane były sprężynkami tak do brymi, że przez dwie sekundy mogły osiągnąć prędkość około trzydziestu mil na godzinę.

Riker znalazł je w sklepie z zabawkami na bazarze, kupił wszystkie cztery, jakie były, i przyniósł do „Longhorna”. Teraz na kolanach czyścił je z kurzu i oliwił, podobnie jak Prophet i Corkscrew. Reszta stała pod ścianami „dziury”, uprzednio odsunawszy stoły i osłoniwszy grubymi warstwami styropianu ściany i nogi stołów przy podłodze. Autka były metalowe, ale przy tej prędkości zderzenie z niczym nie osłoniętą ścianą mogło mieć tylko jeden skutek. Szafa grająca ryczała, a Wielebny, jak zawsze z kamienną twarzą, siedział za stołem i przyjmował zakłady zapisując je na kartce.

— Dobra, Corkscrew. Przygotuj się, chłopie, bo cię zniszczę! — oznajmił Riker.

— To by dopiero była pieprzona niespodzianka — mruknął Murzyn puszczając na chwilę tylne koła swojego wozu, które zagwizdały na szybkich obrotach. — Popatrz, człowieku, to może być rekord.

— Pewnie — parsknął adwersarz nakręcając sprężynę swojego autka.

— Gotowi? — ryknął Magik trzymający kawałek żółtego jedwabiu. — Kierowcy, uwaga...

Zamachał szmatką nad głową i opuścił ją. Dwaj zawodnicy postawili samochodziki na podłodze i puścili je. Z wizgiem osiek oba pomknęły do przodu, trącając się z początku lekko, potem mocniej, gdyż wóz Rikera odbijał w prawo. Niewiele, ale wystarczająco, by wytrącić drugą maszynę z kursu. Samochodzik zakołysał się, podskoczył i z łomotem rąbnął w ścianę. Odbiwszy się od niej, koziołkując przeleciał na środek pokoju. Oderwane koło poturlało się w ślad za wozem Rikera, który przejechał linię mety i lupnął w styropian. Earp stojący przy ścianie machnął chustką na znak, że wyścig skończony.

— Hura! — ryknął Riker.

— Faul — sprzeciwił się rozżalony Corkscrew. — Zajeżdżałeś mi drogę i spowodowałeś kraksę.

— Cholera, na wyścigach nie ma czegoś takiego jak faul — warknął Riker.

Od słowa do słowa pyskówka rozwinęła się błyskawicznie i obaj przeciwnicy z zaciśniętymi pięściami prawie skoczyli sobie do oczu, gdy Wielebny głośno odchrząknął.

— Panowie — odezwał się z naganą w głosie — to naprawdę nie jest

właściwy sposób rozstrzygania sporów o międzynarodowe mistrzostwo.

— Jaki jest werdykt? — spytał rzeczowo Corkscrew.

Wielebny odchrząknął ponownie i oznajmił uroczyście:

— Niestety, coś podobnego do faula faktycznie miało miejsce. Ponieważ jednak brak konkretnych przepisów dotyczących postępowania w razie wypchnięcia wozu przeciwnika z toru, muszę stwierdzić, że nie było faula. Zwycięzcą jest niebieski samochód.

Rozległy się wiwaty i rozpoczęto wypłacanie wygranych.

— Niech już będzie moja krzywda — westchnął Corkscrew wręczając Rikerowi gotówkę.

Nagle zapadła cisza.

W drzwiach stał Hatcher ze ściągniętą twarzą, z której zdała się odpływać cała krew.

— Cześć, stary — powitał go Magik. — Co, nie możesz się z nami rozstać?

Hatcher nie odezwał się, podszedł do bilardu i położył w rogu mały magnetofon. Nadal nic nie mówiąc włączył odtwarzanie. Obecni słuchali w milczeniu popisu zwyrodnialstwa, zaprezentowanego przez Fonga.

— Boże! — jęknęła w pewnym momencie Melinda odwracając się.

Gdy taśma się skończyła, wszyscy tworzyli krąg wokół Hachtera, wpatrując się jak zahipnotyzowani w magnetofon. Nie potrzeba było żadnych wyjaśnień, to, co usłyszeli, mówiło samo za siebie.

— To był ktoś ważny dla ciebie, prawda? — upewnił się cicho Prophett.

— Czy to coś zmienia? — spytał chrapliwie Hatcher.

Wszyscy powoli potrząsnęli głowami.

— Pomyliłem się — szepnął Christian. — Dziś rano, kiedy udowadniałem wam, że Fong o was zapomni. Będzie się mścił i zabijał, aż uda mu się mnie dopaść.

— No i? — spytał Earp.

— No i jedynym sposobem jest zabić go, i to szybko. Zmuszę go, by mnie zaatakował w samoobronie, i zabiję — odparł Chris.

— Ot, tak sobie?

— Dokładnie.

— Rano powiedziałeś, że masz dość zabijania — zauważyła Melinda.

— Rano miałem złudzenia.

— Zamierzasz dać solowy występ? — zdziwił się Potter.

— Jeszcze coś niecoś potrafię. To moja walka.

— Błąd, wojownika — odparł Johnny. — To także nasza walka. Nie masz monopolu na nienawiść. Ty straciłeś tę damę, my straciliśmy Kilhanneya.

— Żaden z was nie może ryzykować. Jeżeli któryś zginie albo dostanie się w ręce władz, to wszystko, co tu macie, i cały wasz świat diabli wezmą. Wszystko się wyda.

— Cóż, osobiście nie mam nic do ukrycia — stwierdził z uśmiechem Earp.

— Ja też — dodał Corkscrew.

— Ani ja — dorzucił Potter.

— A ja uważam, że jak już coś zrobić, to do końca — wtrącił Riker.

— Rozwalić i Fonga, i magazyn.

— Przepraszam, że jak? — zdziwił się Hatcher.

— Mówiłem ci już, że on przygotowuje się do olbrzymiego przerwania do Stanów — stwierdził Earp z wyrzutem w głosie. — Na tej łajbie, gdzie jest palarnia, ma przeszło dwie tony heroiny. Jeśli się nie mylę, to w siedemdziesiątym drugim wykończyłeś Tchnienie Smoka starając się zmniejszyć ilość heroiny dostarczanej do Sajgonu. Jaka jest różnica między tym, co było wtedy, a tym, co teraz?

Hatcher przypatrywał mu się nieruchomym wzrokiem, przyznając w duchu rację. Samo pragnienie zmiany nie zmienia niczego.

— Masz rację — warknął. — Nic się nie zmieniło.

— Wobec tego do rozkładu jazdy włączamy tę balię? — upewnił się z uśmiechem Riker.

— Naprawdę chcesz tam iść? — zdziwił się Hatcher.

— Jak cholera! — odparł za Rikera Corkscrew.

Hatcher wyszedł do dużej sali, nalał sobie pół szklanki piwa i wypił duszkiem. Stare odruchy i wspomnienia zaczynały odżywać. Przypomniał sobie, jak parę lat temu sto dwadzieścia sześć i sto dwadzieścia siedem wiedli jedną z długich filozoficznych dyskusji.

„Czasami niezbędne jest, by człowiek grał rolę Boga — stwierdził sto dwadzieścia sześć. — Bo Bóg jest zbyt zajęty, by osobiście się zająć daną sprawą, i wyznacza zastępcę”.

„Skąd wiesz? — spytał sto dwadzieścia siedem. — Skąd wiesz, że to nie uprzedzenie, nienawiść czy zawiść?”

„Bo to cię nie interesuje. Dlatego że była to praca bez satysfakcji”.

Zabicie Tolliego Fonga też oznaczało pracę bez satysfakcji. Trzeba było go zabić, tak jak się zabija wściekłego psa, by nie roznosił choroby. Tylko że Fong to nie pies. Aby dobrze wykonać zadanie, trzeba było zniszczyć wszystko: jego, zapas heroiny, najbliższych współpracowników. Zupełnie

jak za dawnych lat. Uśmiechnął się do siebie i wrócił do „dziury”.

— Przy podobnych okazjach — zaczął Hatcher — są dwie możliwości. Albo załatwić sprawę na jego terenie, albo zwabić go na własny. W obu wypadkach trzeba wykończyć dosłownie wszystkich, którzy będą z Fongiem. Pozostawienie choćby jednego świadka z triad oznacza nie kończącą się zemstę. Fong nigdy nie podróżuje sam, a jeżeli umiem liczyć, to nas jest pięciu. Mniejszym ryzykiem według mnie jest zaatakowanie go na jego terenie. Pozostaje znaleźć odpowiedzi na następujące pytania: gdzie, kiedy i jak?

— Mówiłem już, żołnierzu, że zawsze wiemy, gdzie on jest — uśmiechnął się Earp. — Jeden z nas zawsze ma ścierwo na oku. Teraz jest na tej krypie. W dodatku możesz upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

— Że jak? — zdziwił się Hatcher.

— Sloan też jest w „Domu Snów”.

## CZAS ZABIJANIA

Hatcher bez trudu rozpoznał otoczenie — był tu już szukając adresu Wol Pota. Tylko teraz przy nabrzeżu cumowała spora barka z pomostem przetrzuconym na ląd, po którym przewalał się tłum tubylców, ostro targujących się z siedzącymi na pokładzie. Do drugiej burty, od strony rzeki, przycumowało kilka rozmaitych łodzi wyładowujących przez dużą furtę lub załadowujących warzywa i owoce.

— Byłem tu z Sy — mruknął. — Ta łajba cumuje w miejscu, które Wol Pot podał jako swój adres.

— To jego oficjalna profesja — wyjaśnił Earp. — Oficjalnie kierował handlem warzywami, sprowadzając je z Chon Buri i dostarczając wprost na łodzie lokalnych sprzedawców.

— Dlaczego sądzicie, że tu jest jego magazyn?

— Bo kurier, którego Murphy załatwił, tu odebrał paczkę z towarem — odparł Earp. — Sy go śledził cały czas.

— Skurwiel chce być tak blisko fortuny, jak tylko się da — warknął Corkscrew.

— I „Dom Snów” też tu się mieści? — upewnił się Hatcher.

— To duża krypa — stwierdził Earp.

— I jesteście pewni, że Sloan i Fong są tutaj?

— Byli pół godziny temu.

W furgonetce było ich pięciu — Earp, Corkscrew, Potter, Riker i Hatcher. Rozmawiając zajęci byli sprawdzaniem broni. W wozie mieli niezły arsenał. Wierny M-16 Rikera, AUG Hachera uratowany z kąpieli w rzece plus trzy zapasowe magazynki, osiemsetsiedemdziesiątka Corkscrewa, 9 mm HK Pottera, AK-47 pożyczony od Wilkiego, rewolwer Earpa, który miał kieszenie pełne *quick loaders*, i dwie bomby rurowe, które Wyatt zatknął sobie za pas. Z taką ilością broni i siłą ognia mogli faktycznie pokusić się o błyskawiczne sprzątnięcie Fonga, niezależnie od przewagi przeciwnika. Według starej zasady Sił Specjalnych: „Bum, trach i dziękujemy”.

Z cienia wynurzył się Sy i wskoczył na stopień przy tylnych drzwiach. Widząc Hachera opuścił głowę skruszony.

— Nie musisz się wstydzić — powitał go Hatcher.

— Przepraszam, Hatch. — Sy nie podniósł oczu.

— *Ma pen rai* — uśmiechnął się Hatcher. — Nie wiem, w czym jesteś lepszy: w boksie czy wywiadzie.

Mały Tajlandczyk uśmiechnął się z ulgą i poweselał.

— Byłem na pokładzie — oznajmił podniecony. — Myśleli, że sprawdzam jakość towaru, żeby go kupić. Chińczycy są wszyscy na dole.

— A ci tam? — Potter wskazał kilkunastu ubranych na czarno mężczyzn na pokładzie.

— To tutejsi. Oni targują się o żywność.

— Sprzedawcy — mruknął Earp. Sy przytaknął i dodał:

— Pójdą o dziewiątej do domów. Handel kończy się o tej porze.

— Dobrze — ucieszył się Corkscrew. — Będzie ciemno.

— Dajcie mi kartkę i długopis — poprosił Sy.

Faktycznie był dobrym szpiegiem. Udając kupca, dokładnie obejrzał cały statek. Plan, który rysował, pełen był szczegółów, jak rozmieszczenie schodni, klap czy kabin. Główna ładownia rozciągała się na całą szerokość kadłuba i połowę jego długości, tworząc rozległą przestrzeń, którą można było wypełnić dowolnym towarem, oficjalnie akurat sprzedawanym. Z jednej strony było wydzielone pomieszczenie o trzech ścianach komfortowo urządzone, z pufami i stolikiem, gdzie Fong i jego ludzie mogli spokojnie załatwiać interesy czy obserwować handel. Po przeciwnej stronie, bliżej dziobu, znajdowały się drzwi prowadzące do „Domu Snów” podzielonego na małe kajuty. Do ładowni wiodła tylko jedna schodnia na rufie. W burcie od strony rzeki umieszczona była nieco nad poziomem wody furta, z zasady

otwarta, przez którą wyładowywano produkty prosto do łodzi odbiorców. W pokładzie był otwór zabezpieczony delikatną kratką, umożliwiającą wgląd do ładowni. Na rufie zaś znajdowała się sterówka i kabina kapitana.

— Tu są zbiorniki paliwa. — Sy wskazał burtę cumującą do nabrzeża. — Za pomieszczeniem Fonga.

— Skąd wiesz? — zainteresował się Hatcher.

— Widziałem, jak pompowali paliwo.

— Spostrzegawczy jesteś.

— Dobry zawodnik nie może niczego przeoczyć — odparł dumnie.

— Ilu jest ludzi Fonga? — spytał Hatcher.

— Fong, Kot i trzech innych na dole. Siedzą i piją. Po każdej stronie ładowni jest po dwóch i na pokładzie też dwóch.

— Ledwie jedenastu na nas czterech — parsknął Hatcher. — A niby stosunek sił powinien się poprawiać w miarę wzrostu doświadczenia.

— Jak to czterech? — zdziwił się Riker. — Z Sy jest nas sześciu.

— Sy zostaje, to nie jego walka, ale zapewni nam awaryjną drogę ucieczki — ostudził go Earp. — Ty też nie możesz wejść na pokład, bo nie mogą cię złapać. Poza tym ta furgonetka to nasz główny środek ratunku. Lepiej, żeby ktoś w niej był i grzał silnik.

— Kiedy zacznie się akcja, to działajcie szybko. Wystrzelać, kogo się da, podpalić lajbę i w nogi — poinformował ich Hatcher. — Nie zastanawiajcie się, działajcie instynktownie. I jeszcze jedno — Sloan jest mój. Mamy nie zakończoną sprawę do wyjaśnienia. Sy, postaraj się o naprawę szybką motorówkę, a ty, Riker, ani na chwilę nie wyłączaj silnika. Jakkolwiek by poszło, pryskać będziemy ile sił.

Wcześniej tego dnia Sloan dotarł do „Domu Snów” i z prywatnego piekła trafił za pomocą stałego rytuału do prywatnego raj. A raczej trafił do niego, zapadając po fajce w błogostan i ledwie widząc wewnątrz swojej kabinki z kłębiącym się w górze szarym dymem, gdy usłyszał znajomy głos, dla jego uszu odległy o wiele mil.

— Sloan? — spytał głos.

Harry westchnął.

— Zbyt wiele czasu tu spędzasz — stwierdził Fong. — Nie pilnujesz interesu, jak się umawialiśmy.

Sloan postarał się skoncentrować. Dostrzegł stojącego nad nim Fonga i trzech innych Chińczyków za jego plecami. Jednym z nich był Billy Kot.

— Psujesz doskonały sen — powiedział cicho Sloan, przenosząc spojrzenie na snujący się w górę dym.

— Musimy pogadać.

— Później.

— Złamałeś obietnicę.

— Później, jestem zajęty — odparł Sloan sennie.

— Śmierdzący ćpunie! — warknął rozwścieczony Tollie i poczęstował go prawym prostym w twarz.

Sloan przeleciał przez leżankę, ładując z łomotem na ścianie. Rozbite wargi krwawiły. Siadł z przytomnym i wściekłym błyskiem w oczach, starając się za wszelką cenę zapanować nad sobą, co było tym trudniejsze, że opary opium silnie tłumili rzeczywistość.

— To było głupie posunięcie — stwierdził przez puchnące wargi.

— Przyrzekłeś mi coś — syknął Fong.

Sloan pozbierał się z podłogi już spokojny. Jedynie oczy zdradzały wściekłość.

— Lepiej weź się do roboty, Fong, jeśli nie chcesz mieć na karku całej... — nie dokończył, gdyż nagły cios Kota w kark posłał go na kolana.

Z trudem odwrócił się spoglądając na nowego napastnika.

— To człowiek, który za ciebie załatwił mokrą robotę — przedstawił go Fong z fałszywą uprzejmością. — Nazywa się Billy Kot.

Sloan siadł na posłaniu, otarł usta i przyjrzał się skrwawionej dłoni. Opium przestawało działać skutecznie, wyparte przez wściekłość i ból.

— Muszę przyznać, że jesteś bardzo dobry — rzekł do Kota.

Ten skinął głową, ale nie odezwał się.

— Jeszcze nie wiesz, jak dobry jest naprawdę — wtrącił Fong.

— Śmiertelnie się ciebie boję — uśmiechnął się Sloan słysząc tę zawołaną groźbę.

— Przyrzekłeś mi coś.

— I jak dotąd dotrzymuję tego, co obiecałem.

— Nie! Powiedziałeś, że dostarczysz mi Hatcherera.

— Powiedziałem, że on sprawdzi, czy Cody to Tajski Koń. Jeśli nie byliście dostatecznie dobrzy, by cały czas mieć go na oku, to już wasze zmartwienie.

— Powiedziałeś, że zabije dla nas Cody'ego.

— Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem — zaprzeczył spokojnie Sloan.

— Powiedziałeś, że zabije Cody'ego — uparł się Fong.

— Powiedziałem, że odnajdzie go, jeśli Cody żyje — oznajmił dobitnie Sloan nie podnosząc przy tym głosu.

— Sloan, układ był taki: sprowadzisz tu Hatchera, a on odnajdzie Cody'ego i jeśli Cody to Tajski Koń, to go zabije.

— Cóż, w takim razie gdzieś się myliłem — uśmiechnął się Harry.

— Myliłeś się co do wielu spraw. Twój Hatcher zabił w Hongkongu mojego zastępcę i zmasakrował Ts'e K'am Men Ti. Zabił Batala i Billy'ego Kostuchę, których szkoliliśmy dla ciebie! A teraz w dodatku zniknął.

— Jest stary szwedzki hymn: „Niczego nie daje się słońcu, i tak wygrało wszystko, co można”.

— Nie rozumiem — przyznał Fong.

— Bo to trochę zbyt subtelne dla twego ptasiego mózdzka — odparł Sloan ocierając usta i wpatrując się w zakrwawioną dłoń.

Żrenice Fonga zwężyły się z wściekłości, ale opanował się i jedynie głos zdradzał: był pełnym furii szeptem.

— My dotrzyaliśmy umowy. Billy zabił tego terrorystę, przygotował zamach i załatwił generała.

Sloan przyjrzał mu się uważnie ze swym zwyczajnym uśmiechem i cicho stwierdził:

— Idiota!

To wyczerpało cierpliwość Fonga. Wyciągnął broń i wycelował ją w nasadę nosa Sloana, zatrzymując lufę o cal od jego twarzy.

— Żaden *gwai-lo* nie będzie się do mnie tak odzywał — syknął.

Harry zachichotał i oparł się czołem o lufę.

— Strzelaj — zachęcił. — Co, zabrakło ci odwagi? — Ponad lufą spojrział w oczy Fonga i dodał: — Nadal mnie potrzebujesz. Siedzisz na beczce prochu. Tylko kwestią czasu jest, kiedy DEA wpadnie na twój plan i magazyn. Już wiedzą, ile tego masz. Rozgniotą cię jak pluskwę. Beze mnie będziesz kolejnym nieznanym żółtkiem pływającym do góry dupą po porcie.

Z wściekłym warknięciem Tollie trzasnął go lufą w czaszkę i Sloan z jękiem zwałił się na podłogę.

— Jesteś martwy — syknął Fong — tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Hatcher mozolnie wdrapywał się na burtę barki od strony rzeki, wyszukując najdrobniejsze pęknięcia w tekowym poszyciu. Czepiając się opuszkami palców podciągał się cal po calu. Wykorzystywał całą wiedzę i umiejętności zdobyte pod okiem Cirilla w młodości.

W przeciwieństwie do pozostałych był zbyt znany wśród triad, by normalnie wejść na pokład. Jego twarz zapamiętali wszyscy cyngle Fonga — wiedział o tym. W ten właśnie sposób działali. Zupełnie jak FBI w przypadku „dziesiątki najbardziej poszukiwanych”.



Całkiem inaczej rzecz się miała z Earpem. Wszedł na pokład w kowbojskim kapeluszu i wdzianku safari przewiązanym luźno w pasie barwnym szalem. Zapalił cygaro i przespacerował się wolno po pokładzie, przy okazji zaglądając przez misterną kratkę do ładowni — zobaczył trzech Chińczyków popijających, przy stoliku, ale nie było wśród nich Fonga. Wzruszył ramionami i zabrał się do oglądania warzyw. Tu pomacał arbuza, tam obejrzał salate, starając się sprawiać wrażenie znajomego się na rzeczy.

— Okay? — zapytał jeden ze sprzedawców.

— No, niezłe — zgodził się Earp. — Ile za to wszystko? — Niedbałym gestem objął cały pokład.

— Za wszystko? — powtórzył ogłupiały Tajlandczyk.

— Przecież mówię. Na dole macie tego więcej?

— Dużo więcej.

— To chodź, chcę rzucić okiem.

Sprzedawca, uszczęśliwiony perspektywą takiej transakcji, poprowadził go ku schodni pod obojętnym spojrzeniem obu chińskich goryli stojących przy relingu.

Sy podpłynął motorówką do furty i wdał się w pogawędkę z jednym z odbiorców. Corkscrew, z bronią ukrytą pod luźnym płaszczem, wszedł do środka rozglądając się ciekawie. Dostrzegł Earpa schodzącego z ostatnich stopni w towarzystwie jakiegoś tubylca.

Hatcher zakończył wspinaczkę i z ulgą złapał się relingu za plecami obu wartowników, dając odpocząć palcom. Wprawa i znajomość wolnej wspinaczki pozostały, ale nadal było to ciężkie i męczące zajęcie dla palców i dłoni. Wychylił się ostrożnie, przyglądając się ludziom na pokładzie w poszukiwaniu Pottera, ale nie mógł go dostrzec. Wtedy zauważył starego zgarbionego Chińczyka zatrzymującego się przed jednym z wartowników i zrozumiał.

— Poproszę ognia — odezwał się Chińczyk.

— Nie palić — odparł strażnik łamanym angielskim.

Potter spokojnie zwrócił się do jego kolegi, który bez słowa wyjął z kieszeni zapalniczkę i podał mu. Potter sięgnął po nią jedną ręką, drugą zaś wsadził pod *cheongsam*, tyle że wyciągnął nie papierosy, lecz K-Bar — swój wierny nóż bojowy. Powoli wyjął go z pochwy, a kiedy Hatcher przeskoczył reling i poderżnął gardło pierwszemu strażnikowi, wyciągnął nóż błyskawicznie i wbił pod żebra drugiemu, kierując ostrze w górę ku sercu.

Obaj wartownicy zginęli nie wydawszy dźwięku.

Christian podbiegł do głównego masztu i obwiązał wokół niego linę, przewlekając ją przez karabińczyk uprzęży alpejskiej, jaką miał na sobie.

Potter ruszył w dół schodni.

W ładowni Earp podszedł lekko kołyszącym się krokiem do przepierzenia, za którym siedział Billy Kot i dwóch jego ludzi. Fonga nadal ani śladu.

— Nazywam się Holliday, przyjechałem ze Stanów, z Waldosty w Georgii — oznajmił głośno. — Jestem zainteresowany kupnem całego tego ładunku.

— Całego? — powtórzył zaskoczony Kot.

— Oczywiście. Moment... gdzie wsadziłem te cholerne wizytówki?

Earp poklepał się po kieszeniach, palnął w czoło i z uśmiechem sięgnął do wewnętrznej kieszeni bluzy. Spojrzał na Kota i błyskawicznym ruchem wy dobył swój rewolwer z przedłużoną lufą. Wycelowwał w serce Billy'ego i z odległości sześciu cali nacisnął spust. Huk wystrzału był ogłuszający, a siła pocisku uniosła martwego Kota w górę i rzuciła go na podłogę, gdzie znieruchomiał z rozrzuconymi ramionami.

Earp zanurkował za stół, przetoczył się w bok wyszarpując zza szala bombę. Od cygara zapalił lont i szerokim łukiem posłał ją ku burcie.

Na pokładzie Hatcher słysząc strzał podskoczył i złączonymi stopami wyładował na delikatnej kratce zakrywającej luk od ładowni. Kratka pękła pod jego ciężarem i runął w dół, trzymając jedną ręką linę, a w drugiej gotowego do strzału AUG-a. Zanim dotarł do pokładu ładowni, długą serią zlikwidował obu towarzyszy Kota w alkwie.

Bomba odbiła się od burty i eksplodowała z ogłuszającym hukiem. Szczątki ścian i towarów rozprysnęły się wokół, a przy burcie pojawiły się pierwsze języki ognia.

Fong przykucał w jednej z trzech niewielkich cel, jakie znajdowały się przed kajutami. Sloan siedział na podłodze opierając się o burtę. Fong pochylił się tak, że jego twarz znalazła się za ledwie o parę cali od oblicza Sloana.

— Zabicie ciebie, Harry, sprawi mi prawdziwą przyjemność — powiedział cicho.

— Faktycznie jesteś na tyle głupi, że możesz to zrobić — zachichotał szczerze Sloan.

— Zamierzam robić to powoli, krok po kroku — głos Fonga zaczął wzbierać wściekłością.

— Twój dymek robi to od dłuższego czasu. — Sloan machnął lekceważąco ręką.

Wśród rzedniejących oparów opium starał się zorientować, gdzie właściwie się znajduje.

— Poczekam, aż ci się noga powinie, bo wtedy będzie cię to najbardziej bolało. Zamierzam zabić ciebie i każdego *gwai-lo*, którego zna ten pies Hatcher. Jak to zrobię, on przyjdzie do mnie i wreszcie wyrównamy rachunki.

— Na twoim miejscu nie cieszyłbym się zbyt długo na tę chwilę — mruknął Sloan.

Chwilę później bomba Earpa wybuchła.

Eksplodująca rzuciła Fonga na kolana, a cała barka zadymiała. Tollie odruchowo odwrócił się w stronę, z której dobiegł wybuch, z czego skorzystał Sloan. Kopnął Chińczyka w plecy i wypchnął z celi. Ten jednak okręcił się wyciągając broń. Kula trafiła Sloana w bok.

— Cholera! — zaklął Harry i zwinął się w kłębek tuląc do burty za posłaniem.

Otumanieni opium klienci zostali gwałtownie przebudzeni wybuchem i odgłosem strzelaniny, jaka chwilę później się rozpętała. Błyskawicznie zebrał się tłum, objijając się o siebie, bredząc bez sensu, ale kierując się zgodnie w jednym kierunku: ku wyjściu. Natychmiast w wąskim korytarzyku zrobił się zator, a puste oczy nałogowców wypełnił strach. Drzwi „Domu Snów” rozprysnęły się pod koncentrycznym ogniem Earpa, Pottera i Corkscrewa, szukających przeciwników po załatwieniu pary pilnujących wejścia goryli. Wnętrze wypełniło się dymem i wystrzałami. Corkscrew zarobił w nogę, ale zignorował to i wciąż strzelał. Klienci „Domu Snów” rzucili się w panice do ładowni i dalej na zewnątrz.

Widząc to Fong zostawił Sloana i skoczył w tłum, torując sobie drogę ciosami kolby i kopniakami. Gdy uniósł głowę, w drzwiach zobaczył swego śmiertelnego wroga. Hatcher z płonącymi oczyma i bronią w ręku czekał na niego.

Tollie nacisnął spust. Christian schylił się, ale nie cofnął, rzucił się w krzyczący tłum zygzakiem, wciąż kierując się na Fonga. Seria z AUG-a pocełkowała ścianę i Chińczyk czym prędzej skoczył w tył ku kajutkom opiumowego królestwa.

Eksplodowała druga bomba, powiększając ogólne zamieszanie i zniszczenie oraz posyłając narkomanów, Fonga i Hachera na pokład. Ogień w ładowni zaczął się rozszerzać i nagle ze środka barki wystrzelił gejzer białego proszku. Ładunek heroiny został wypchnięty ze schowka przez rozgrzane powietrze.

Tłum dążący w panice do wyjścia pchnął Fonga na ścianę. Chińczyk skrył się w jednej z kabinek i przykucnął czekając, aż Chris pojawi się w drzwiach.

Hatcher ruszył ostrożnie przy ścianie z bronią gotową do strzału.

Z tyłu Potter szukał wybrzuszenia w kadłubie, gdzie, jak twierdził Sy, mieściły się dwa stugalonowe zbiorniki paliwa. Odnalazł to miejsce i z uśmiechem puścił serię ze swego kałasznikowa. Pociski o pełnym rdzeniu przebiły bez problemów deski i ściankę zbiornika i do płonącej ładowni trysnęły strumyki benzyny.

Ogień prawie natychmiast dotarł przez nie do zbiornika. Z ogłuszającym hukiem eksplodowało paliwo i dwie kule ognia przetoczyły się przez ładownię podpalając wszystko na swej drodze. Heroina zmieniła się w żużel, a cała barka w pomarańczowe piekło.

Hatcher, usłyszawszy huk, rzucił się na pokład osłaniając głowę rękoma. Ogień przetoczył się nad nim po ścianie i suficie, docierając do Fonga. Osmalił mu twarz i zajął ubranie. Kolejny wybuch rozwalił burtę i posłał tę wrzeszczącą ludzką pochodnię do rzeki.

Napastnicy wycofywali się z ryczącego piekła pozostawiając za sobą martwych ludzi Fonga. Earp z Potterem podtrzymywali kuśtykającego Corkscrewa. Podbiegając dotarli do trapu i dalej do nabrzeża, na którym kłębił się tłum przerażonych i zaciekawionych Tajlandczyków. Wóz strażacki i patrolowiec policyjny z trudem torowały sobie drogę, a ich syreny wyły jak opętane. Riker dostrzegł swych przyjaciół bez trudności i czym prędzej podjechał, zatrzymując samochód tuż przy grupie. Earp wepchnął rannego, po czym sam wskoczył do środka. Potter zrobił to sekundę później zatrzaszcząc drzwi.

— Zjeżdżamy — polecił Wyatt i Riker skrzył w pierwszą z brzegu uliczkę, byle dalej od zamieszania i byle szybciej uciec z chińskiej dzielnicy.

— Jak poszło? — zainteresował się.

— Posprzątane — odparł Earp.

— Trzy minuty dwadzieścia pięć sekund — uzupełnił Potter.

— Jak noga? — Earp pochylił się nad rannym Murzynomem.

— Chyba złamana — jęknął zapytany.

— Mam stare Purpurowe Serce, mogę ci je sprezentować — zaproponował Potter.

— Już to mam — warknął Corkscrew wywołując salwę śmiechu.

Płonącym korytarzykiem Hatcher poczołgał się w stronę dziobu.

Wokół huczał ogień, ubranie zaczynało się nad nim dymić, gdy dotarł do trzech ostatnich klitek wyposażonych w drzwi. Kopniakiem otworzył pierwsze, potem drugie i zobaczył skulonego za posłaniem Sloana z zakrwawionym bokiem. Gorąco panujące wokół zaczynało tamować dech. Christian wskoczył do środka, złapał Harry'ego za kołnierz, postawił gwałtownym szarpnięciem na nogi i pchnął ku wybitej przez drugi wybuch dziurze w burcie.

— Nie mogę! — jęknął Sloan.  
— Nie pierdol!  
— Hatch, tutaj! — rozległ się krzyk Sy, nadal czekającego w motorówce w pobliżu rozwalonej wybuchem burty.

Hatcher dociągnął Sloana przez płomień do otworu i wyrzucił do wody, sam skacząc tuż za nim.

— Wynosimy się, i to szybko! — polecił.

Sy otworzył przepustnicę i motorówka z rykiem silnika pomknęła przed siebie.

## ZAKOŃCZONA SPRAWA

Sy podpłynął do nabrzeża i Hatcher pomógł wsiąść Sloanowi, którego bok nadal krwawił pomimo prowizorycznego opatrunku, jaki Chris sporządził mu z jego koszuli.

— Do zobaczenia następnym razem, Sy — Hatcher pożegnał Tajlandczyka.

Byli trzy przecznice od płonącej barki, ale luna całkiem nieźle oświetlała rzekę i pandemonium, jakie się tam rozgrywało z udziałem straży, policji, opiumowców i świadków.

— Dasz sobie radę? — zainteresował się Sy.

— Dam. Porzuć motorówkę jak najszybciej i przez parę dni trzymaj się z dala od „Longhorna”.

— Fajny z ciebie chłop, Hatch.

— A z ciebie wspaniały bokser — uśmiechnął się Christian.

Złapał Sloana pomagając mu przejść z nabrzeża do pobliskiej alejki. Była cicha i pusta, toteż nadawała się idealnie do rozmowy. Sloan osunął się na ziemię i siadł trzymając się za przestrelony bok. Hatcher bezceremonialnie odsunął mu rękę i obejrzał ranę.

— Draśnięcie — zawyrokował. — Szybko o tym zapomnisz.

— To mnie wykończy — jęknął Sloan przyciskając marynarkę do rany.

— Ja powinienem cię wykończyć. Jesteś wszarż, kłamca, oszust, nie mówiąc o tym, że mnie wystawiłeś. Jeżeli ktoś tu zasłużył na śmierć, to nie Cody, ale ty.

— Żadnej sympatii, co? — Sloan uśmiechnął się jak zwykle.

— Prędzej bym współczuł skorpionowi.

— Nie możesz mnie zabić — mruknął zmęczonym tonem Sloan. — Jestem twoją rodziną.

— Nie miej złudzeń, Harry. Mogę cię zabić, ale nie zamierzam i nie ma to nic wspólnego z rodziną.

— Zrobiłem to, co musiałem, podobnie jak ty. Nie potrzebuję się przed tobą tłumaczyć.

— Tylko inaczej się tego nie załatwi — szepnął Hatcher.

— Takie same problemy występują na całym świecie.

— Nie, Harry. Problemy może i tak, ale nieczęsto się zdarza ktoś taki jak ty. Planujący polityczne zabójstwa.

— Jakkolwiek byś to nazwał, zadanie się wykonuje i zapomina o nim.

— To ty tak to widzisz. Ja mam zwyczaj przemyśliwać sprawę.

— Pierdoły! Jesteś żołnierzem. Robisz to, co każdy żołnierz. Wykonujesz rozkazy.

— Powtarzałeś mi to przez lata i przez lata się podporządkowywałem, zjedna drobną różnicą. Nie robiłem tego, co kazała mi armia, lecz to, co ty mi kazałeś.

— To po cholere żes tu przyjechał? — parsknął Sloan.

— Bo myślałem, że dla odmiany wykonam coś właściwego, że uratuję starego kumpla. Mówię o Codym, nie o tobie, żebyś nie miał złudzeń.

— Ach! — Sloan machnął ręką i przez chwilę panowała krępująca cisza.

— Byłeś najlepszy, najszybszy ze wszystkich. Doskonały wojownik cienia.

— Twój problem, Harry, polega na tym, że zostałeś dowódcą bez ludzi. Jedno oszustwo za dużo — i pewnego pięknego ranka obudziłeś się bez podkomendnych. Wszyscy byli albo martwi, albo zrezygnowali, albo też zostali kalekami. Dlatego zawarłeś pakt z Fongiem.

Sloan silniej przycisnął marynarkę i skrzywił się z bólu.

— Przestań pieprzyć, tylko powiedz mi jedno: czy Cody żyje?

— Zginął — szepnął Hatcher. — Zginął dawno temu.

— Niech to cholera weźmie! Tyle zachodu na nic.

— Nie na nic. Ta podróż była splatą długu.

— Długu? Wobec kogo?

— Spłacałeś Tolliego Fonga.

— Zidiociałeś! — oburzył się Sloan. — Dlaczego niby miałem mu być coś dłużny? Bo paliłem opium w jego spelunie?

— Nie. Dlatego że on zastąpił nas, twoich dawnych podkomendnych. Kiedy skończyli ci się ludzie, stworzyłeś działający na rozkaz pluton egzekucyjny. Fong i jego bandziory z Białych Dłoni załatwili dla ciebie Campona w Atlancie, bo był zbyt niezależny i zbyt skorumpowany, co wcześniej czy później wyszłoby na jaw i chłopcy z Departamentu Stanu mieliby problemy. A Cosomil jest znacznie bezpieczniejszy i łatwiej nim pokierować.

— I nie ma połowy finansów Madrango w szwajcarskich bankach — dodał Sloan.

— I będzie grzecznym chłopcem słuchającym poleceń Białego Domu.

Za ich plecami Tollie Fong dopłynął do nabrzeża i złapał drabinę prowadzącą na górę. Miał poparzone ramiona i twarz, ale poza tym był z niezłej formie. Zaczął wchodzić na ląd, gdy usłyszał głosy. Ostrożnie wyjrzał i uśmiechnął się z zadowoleniem. Sloan i Hatcher byli o pięćdziesiąt jardów.

— Znam cię aż za dobrze — stwierdził Hatcher. — Zbyt często załatwiałem dla ciebie podobne sprawy. Przyznaję natomiast, że w Paryżu byłeś u szczytu formy. Nie dość, że wykończyłeś trzech ambasadorów, którzy czepiali się amerykańskich baz w Europie, to jeszcze zwaliłeś wszystko na terrorystów i w dodatku pozbyłeś się Hieny. Przy każdej okazji starałeś się upiec więcej niż jedną pieczeń.

— Przecież o to właśnie chodzi i chodziło, nie? To jest właśnie misja.

— To raczej kwestia interpretacji.

— Nazwij sobie, jak chcesz. Wróg nigdy nie śpi i bądź łaskaw o tym nie zapominać. Chcesz być greczny i praworządny, to sobie bądź, ale pozwól wyjaśnić, że jeśli mogę pozbyć się takiego ścierwa jak Hadif i trochę nagiąć reguły, by kraj na tym skorzystał, to możesz być pewny, że to zrobię. To moja praca. Pewnie, że zawarłem z Fongiem układ. On był po tej samej stronie co my.

— Może i był po twojej stronie, Harry. Ale na pewno nie po mojej.

— Kontrolowałem to.

Fong słysząc to omal nie splunął z pogardą.

— Zgwałcił i zamordował Daphne Chien z zimną krwią tylko po to, by mi dopiec — warknął Hatcher. — Był na najlepszej drodze, by twój mózg rozmazać na ścianie. Szkolił terrorystów: Batała i Billy'ego.

— Szkolił ich dla mnie — wtrącił Sloan.

— Za jaką cenę? Miałeś mu pomóc przerzucić jedną albo dwie tony heroiny do Stanów, tak?

— Co za różnica? Jak nie on, zrobiliby to ktoś inny. W dodatku to korzystne ekonomicznie.

— Piętnaście lat temu wysłałeś mnie w górę rzeki, by pozbyć się handlarzy narkotyków z triad. Teraz zawarłeś z nimi układ.

— Wszystko przemija, chłopcze.

Hatcher wstał.

— Przez lata sądziłem, że zrobiłeś ze mnie sędziego i kata — powiedział spokojnie. — Dopiero w Los Boxes doszła do mnie prawda. Nigdy nie byłem

sędzią — to twoje zajęcie. Ja zawsze pełniłem tylko rolę kata. Ktoś będzie kiedyś musiał osądzić ciebie, ale ja nie zamierzam się w to bawić. Mam dość.

— Dokąd teraz?

— Do domu — odparł Christian.

— A co ze mną?

— Możesz poinformować Buffalo Billa, że jego syn poległ śmiercią bohaterką na polu chwały. Przynajmniej umrze w spokoju. Myślę, że jeszcze kiedyś się spotkamy, Harry. — Hatcher odwrócił się i ruszył w głąb alejki.

— Czekaj no! Niech cię diabli porwą! — krzyknął Sloan.

Ale Christian zniknął w mroku i mgle.

— Ten świat dzieli się na dających i zmuszonych brać — ryknął za nim Harry. — Pamiętaj o tym. Ci drudzy mają gówna do powiedzenia.

Oparł się o ścianę magazynu, czując w boku silniejszy ból, i zabrał się do układania historyjki dla tajlandzkiego majora o przydomku Mangusta, który niebawem powinien się pojawić na miejscu pożaru.

Nie słyszał Fonga wydostającego się na brzeg ani jego kroków, gdy zbliżał się od tyłu. Zdał sobie sprawę z czyjejś obecności dopiero, gdy Fong był tuż za nim. Odwrócił się akurat na czas, by dostrzec spadający sztylet i poczuć ból w krtani.

## NA RYBY

Hatcher leżał na plecach wpatrując się w sufit. Łódź łagodnie kołysała się w rytm wieczornej bryzy, od czasu do czasu odbijając się od kei. Czuł się spokojny i bezpieczny — dobrze było wrócić do domu. Po dwunastu godzinach snu czuł, że zaczyna mieć ochotę do życia. Zmrok przyniósł ze sobą odgłosy nocnego ptactwa. Usłyszał samochód powoli podjeżdżający na parking po pustych muszlach małży i znajome kroki. Łódź silniej się zakołysała. Zamknął oczy i chwilę później poczuł, jak ktoś siada na skraju łóżka.

— Spóźniłaś się — stwierdził nie otwierając oczu.

— Byłam w „Crab Trap” i kupiłam sałatkę z krewetek i małży. Nie sądzę, żeby ktoreś z nas miało teraz ochotę na gotowanie.

Delikatnie przyciągnął ją do siebie i poczuł, jak opiera się nosem o jego szyję.

— Ocean się oziębia — oznajmiła.



— Pewnie. Założę się, że jest lodowaty.

Ich metabolizmy znacznie się od siebie różniły — jej było zawsze zimno, jemu gorąco. W letnie upały cyrkulacja powietrza doprowadzała ją do szaleństwa, będąc jednocześnie dlań zbawieniem. Nauczył się jednak kompromisu, co było mu obce, zanim się poznali. Wentylatory i szybkie rejsy po otwartym morzu odpowiadały im obojgu.

Położyła się obok gładząc jego muskularne ramiona i objęła nogą jego uda, mocno się przytulając.

— Jak się czujesz? — spytała i to było jej pierwsze pytanie od zesłej nocy. Pierwsze od momentu jego przybycia.

— Zmęczony. Miałem ciężkie dwa tygodnie.

— Udany wyjazd?

— Nawet bardzo.

Nie pytała, dlaczego pojechał ani co się stało w czasie podróży. Była wdzięczna, że wrócił tak szybko, jak mógł. Zauważyła, że ma osmalone włosy na ramionach, połamane i pokrwawione paznokcie, ale o nic nie pytała. Ważne było, że wrócił. Wiedziała, że kiedy będzie chciał jej opowiedzieć o tym, co się wydarzyło, to zrobi to sam. Zmuszanie go nic by nie dało. Nauczyła się akceptować jego tajemniczość.

— Było parę złych chwil w trakcie tej podróży — odezwał się nagle, całkowicie ją zaskakując.

— W jakim sensie złych?

— Chińczycy mają przysłowie: „Zabijanie przeszłości rani duszę”. Moja dorobiła się kilku świeżych blizn.

— Jesteś pewien, że chcesz o tym mówić?

— Myślę, że lepiej będzie o tym zapomnieć, ale chcę, żebyś wiedziała, że były w moim życiu rozdziały, które wymagały definitywnego zakończenia i teraz już są zamknięte. Przypominanie ich czy mowa o nich nie przyniosą niczego dobrego.

— Nie jestem taka pewna. Człowiek się uczy na swoich błędach.

— Nie ma niczego, czego chciałbym się nauczyć na własnych.

Słyszając to, odruchowo pogładziła osmalone włosy na jego ramionach.

— Egzorcyzmowałem sporo duchów — westchnął.

— Dlatego pojechałeś?

Zawahał się nad odpowiedzią.

— Częściowo. Poza tym czułem się zobowiązany w stosunku do starego przyjaciela.

— Czy to się wiązało z tym mężczyzną, który tu przyjechał?

— On był katalizatorem. To zbyt skomplikowane, by wyjaśnić w paru słowach. Ale dobrze, że pojechałem. Musiałem załatwić parę spraw, które ignorowałem już zbyt długo.

— Jakiego typu spraw? — spytała ostrożnie.

— Związanych z ciemną stroną mojej natury.

— A, to mimo wszystko coś takiego istnieje.

— Z całą pewnością.

— Nigdy nie widziałam tej strony.

— Widzi się tylko to, co ludzie pozwalają zobaczyć — odparł z namysłem.

— Czy to ma być coś w rodzaju spowiedzi?

— Nie. Raczej pożegnania z tematem. Chciałbym o tym zapomnieć.

— To zapomnij. Wiem tylko, że bardzo mi ciebie brakowało. Codziennie. Przychodziłam tu, siadałam i zastanawiałam się, co robisz, gdzie jesteś i czy nic ci się nie stało. Miałam okropne uczucie, że nie wrócisz, i potwornie się tego bałam.

Była blisko, to musiał przyznać! Miała diabelny instynkt.

— Ja także wiele o tobie myślałem — powiedział miękko, przytulając ją delikatnie.

— Zrozumiałam, jak mało o tobie wiem — ciągnęła. — Nic praktycznie nie wiem o tym, co było, zanim przybyłeś na wyspę. Możesz być żonaty albo coś w tym stylu.

— Nie mam żony — roześmiał się. — Ani dzieci, ani żadnych podobnie okropnych niespodzianek.

— Nie wiedziałam, że ukończyłeś Annapolis, choć powinnam się była domyślać już choćby po tym, jak świetnie sobie radzisz z łodziami.

— A skąd się tego dowiedziałas?

— Od Jima Cirilla. Przyjechał tu kiedyś, jak sprzątałam łódź. Wiesz, on naprawdę cię kocha. Nigdy dotąd sobie tego nie uświadomiłam. Jesteś dla niego jak syn. Martwi się o ciebie.

— A ty? — spytał poważnie.

— Nie wtedy, kiedy jesteś tutaj. — Znów potarła nosem o jego szyję.

— Nie sądzę, abym miał gdziekolwiek wyjechać, i to przez długi, długi czas.

— To dobrze. Za bardzo się przyzwyczaiłam być z tobą. Zupełnie mi to powikłało styl życia.

— Powikłało?

— Nie w negatywnym znaczeniu. Źle się wyraziłam. Stałam się...

zależna od ciebie w wielu sprawach. A zawsze dotychczas byłam radykalnie samodzielna. Takie coś może być niezbyt wygodne.

Uniósł się na łokciu i przyjrzał się jej uważnie. Światła portu odbijały się w wodzie i tańczyły po suficie. Odwróciła oczy i spuściła nogi na podłogę.

— Chyba zrobię coś do jedzenia. Musisz być głodny jak wilk. Złapał ją wpół i przytulił.

— To prawda, jestem głodny, ale nie na jedzenie.

— No! I sam widzisz...

— Posłuchaj. Pociągasz mnie jak żadna dotąd kobieta. To nie tylko seks. Liczysz się ty jako całość. To chyba ta wyspa, a ty jesteś jej nieodłączną częścią. To twój sposób myślenia, twoja niezależność, poczucie humoru. Twój uśmiech. Twoja tajemniczość.

— Co proszę?

— Oboje mamy swoje mroczne strony. Każdy je ma albo miał.

— I sądzisz, że to dobre?

— Myślę, że to zaczyna być interesujące. Nie wszystko należy ze sobą dzielić.

— Cóż, i tak uważam, że twoje tajemnice są znacznie ciekawsze od moich — oświadczyła z przekornym uśmiechem.

— To, co zrobiłem w trakcie tego wyjazdu, przypominało czyszczenie strychu z rzeczy, które tak naprawdę nie były potrzebne czy istotne. Przyjaciele, z którymi się pożegnałem, zawsze będą przyjaciółmi. Tylko że wszyscy się zmieniliśmy, a moje życie jest tu, a nie tam.

Pochylił się i delikatnie ją pocałował. Jej miękkie wargi, początkowo łagodnie oddające pocałunek, stawały się coraz bardziej wymagające. Przesunęła dłoń na jego kark, przytulając go do siebie. Nagle przerwała pocałunek. Odsunęła się i usiadła.

— Pomysł wypłynięcia na rafę jest doskonały — oświadczyła. — Poza tym jak będziemy tu dłużej stali, to zaraz wpadnie z wizytą któryś z twoich kumpli wędkarzy.

— Wywieszę tabliczkę: „Nie przeszkadzać”.

— O, nie, mój miły. — Wstała i poprawiła ubranie. — Włóż coś na siebie i natychmiast stąd wypływamy.

— Tak jest, kapitanie — szepnął z uśmiechem.

Nałożył szare szorty, podkoszulek i klapki, po czym wyszedł na pokład. Wiał południowo-wschodni wiatr niosąc zapowiedź deszczu. Niebo było mroczne, zachmurzone i bezksiężycowe.

— Zanosi się na ulewę — stwierdził.

— To dobrze. Lubię się kochać w deszczu.

— Może zdrowo huśtać.

- Wycofujesz się? — spytała wojowniczo.
- Skądże. Po prostu informuję cię, co widzę.

Oddalona o sto stóp i skryta w mrokach parkingu skulona postać dostrzegła wychodzących na pokład. Słyszała ich śmiech i widziała, jak się całują.

Tollie Fong nie mógł powstrzymać pełnego radości uśmiechu. Doskonale: para *gwai-lo* za cenę jednego.

Hatcher włączył silniki i podniósł kotwicę. Ginia zeszła na pomost, zdjęła cumę rufową, zwinęła ją starannie i złożyła na pokładzie. Te same czynności powtórzyła na dziobie.

Hatcher był groźnym przeciwnikiem, ale tym razem zaskoczenie działało przeciwko niemu. Fong podkraśl się bliżej, przemykając z cienia do cienia i uważnie obserwując Hatchera. Wszystko wskazywało na to, że nie jest uzbrojony. Bezpieczny i spokojny — parsknął w myślach — i zajęty kobietą.

To tylko ułatwiało i uprzyjemniało sprawę.

Christian włączył radar, radio i pozostałe przyrządy nawigacyjne. Sprawdził paliwo, obroty i zadowolony skinął głową.

— Może by tak ktoś przyniósł kapitanowi piwo? — spytał od niechcienia.

— Tak jest, kapitanie — odparła Ginia znikając w kabinie.

Gdy pojawiła się w drzwiach z piwem w obu rękach, poczuł, jak łódź się lekko zakołysała. Zanim zdołał się odwrócić, zobaczył, jak rozszerzają się jej oczy, i usłyszał z tyłu syk:

— Hatcher!

Odwrócił się błyskawicznie. Fong był o dwadzieścia stóp. Stał na dziobie z pistoletem wymierzonym w jego głowę. Przez sekundę poczuł strach, natychmiast wyparty przez myśl o Ginii. Odruchowo zrobił krok w lewo zasłaniając ją.

— Co...? — zaczęła, ale natychmiast umilkła słysząc jego ciche „pst”.

— Zawsze bohater, nie? — parsknął Fong z błyszczącym niecierpliwością spojrzeniem. — Myślisz, że jak stoisz przed nią, to jej pomożesz? Zabiję ją najpierw, Hatcher, a dopiero potem obedrę cię żywcem ze skóry.

— Boże! — szepnęła Ginia.

Połowę twarzy Tolliego stanowiła pomarszczona szrama po oparzeniu. Oko miał zapuchnięte i prawie przymknięte, włosy opalone niemalże do skóry i zabandażowaną rękę. Nigdy już nie da się go określić jako przystojnego — blizna na twarzy pozostanie na całe życie. Śledząc Hatchera przez pół świata, nie brał środków znieczulających, by nie osłabić koncentracji.

Teraz nienawiść i ból rozpały mu wzrok i wykrzywiały to, co pozostało z twarzy.

— Całkiem sprawiedliwe. — Głos Fonga był cichy, ale drżący z wściekłości. — Najpierw moja łódź, potem twoja.

Hatcher nadal nie odpowiadał osłaniając Ginie własnym ciałem. Wiedział dokładnie, gdzie ona stoi i że nagłym przewrotem w tył może ją wrzucić do kabiny. Tylko co potem? Najbliższą bronią był nóż w kuchni. Swoją pistolet zostawił w schowku w ładowni. Solennie sobie obiecał w duchu, że po raz ostatni.

Przemknęło mu przez myśl, że umrze, i pogodził się z tym, ale wiedział też, że Fong zabije Ginie. A z tym się nie pogodził.

— Zaskoczony? — spytał Tollie robiąc krok do przodu.

Chris milczał. Dostrzegł, że Fong zbliżył się do zakończonej pętlą liny leżącej na pokładzie. Przypomniał sobie, że Ginia mówiła mu, iż parę dni temu wyrzuciła dryfkotwę, bo zaczęło mocno huścić. Uśmieł się z tego serdecznie, bo rzucanie dryfkotwy w porcie było nonsensem, a poza tym i tak nie miało wpływu na kołysanie. Pamiętał też, że Ginia nie zdołała jej wciągnąć na pokład i zostawiła ją w końcu, nawet nie mocując liny — właśnie tej znikającej za burzą.

Dźwignię gazu Hatcher miał w zasięgu ręki, ale by do niej sięgnąć, musiałby odsłonić dziewczynę.

W zabandażowanej dłoni Fonga pojawił się sztylet. Przesuwał go to w jedną, to w drugą stronę, tak by na klindze przeblyskiwały światła nabrzeża.

— To dla ciebie — oznajmił. — Ostatni raz użyłem go dla Sloana. Zaraz potem, jak go zostawiłeś samego.

Hatcher wciąż milczał.

— Co z tobą, Hatcher? Mowę ci nagle odjęło ze strachu?

— Wiesz, że także umrzesz — szepnął w końcu Christian.

— Chciałbyś! Będę z powrotem w Hongkongu, zanim znajdą to, co z ciebie zostanie. — Fong zrobił kolejny krok do przodu. — Dlaczego nie błagasz o jej życie? Klękniij i poproś, to się zastanowię.

Kolejny krok do przodu. Noga Fonga znalazła się wewnątrz leżącej na pokładzie pętli. Hatcher sprężył się.

— Chciałbyś, co? Wtedy naprawdę miałbyś frajdę — powiedział chrapliwie.

Na twarzy Fonga pojawił się grymas.

— Masz rację. Cholernie by mi się podobało.

— Wybij to sobie ze łba — warknął Christian rzucając się w tył i popychając gwałtownie Ginie.

Wylądowała na schodkach prowadzących pod pokład i zniknęła w dole,

a Hatcher skoczył w lewo, dotknął stopami pokładu i natychmiast rzucił się w prawo. Fong zaklął i nacisnął spust.

Kula gwizdnęła koło ucha Hachera i rozbiła boczną szybę sterówki, w chwili gdy ręka Chrisa znalazła dźwignię.

Huknął drugi strzał. Ale nie z broni Fonga. Strzelano z mroku skrywającego pomost. Kula trafiła Tolliego w pierś, zabarwiając czerwoną plamą jego koszulę. Chińczyk jęknął z bólu i zachwiał się.

Hatcher ułamek sekundy wcześniej dodał gazu, tak że łódź zaczęła płynąć, a teraz szczupakiem rzucił się na pokład łapiąc za linę oplatającą stopę Fonga. Chińczyk z krzykiem poleciał za burtę i z pluskiem wpadł do morza. Chris obwiązał linę wokół relingu i czym prędzej wrócił do kabiny. Zatrzymał łódź.

Ginia siedziała na schodkach z szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Wziął ją za rękę, podniósł delikatnie i pomógł wejść na górę.

— W porządku — szepnął przytulając ją. — Już po wszystkim.

— Czy ja wiecznie muszę cię wyciągać z kłopotów? — rozległ się gderliwy głos Cirilla, a on sam z bronią w ręku wyłonił się z cienia obejmującego część pokładu.

Ginia oparła się o Chrisa, gdyż nagle nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

— Skąd się tu wziąłeś? — zdziwił się Hatcher.

— Spotkałem starego Boba w „Big T”. Widział, jak ten żółtek śledził cię zeszłej nocy, więc postanowiłem go sprawdzić. Cwaniaczek — przyleciał do Jacksonville przed tobą, wynajął wóz i czekał, aż się pojawisz, po czym pojechał za tobą. Stajesz się beztroski na starość.

— Myślałem, że nie żyje.

— Teraz na pewno — stwierdził Cirillo spoglądając za burtę na leżące w wodzie twarzą w dół ciało. — Zakładam, że to jeden ze szwarczarakterów?

— Największy.

— Jak zamierzamy to wytłumaczyć reszcie świata? — spytał Jim.

— Nie zamierzamy.

Hatcher podciągnął trupa tak, że noga wystawała z wody, założył na nią nową linę, a tę od dryfkotwy odplątał i wciągnął na pokład.

— Nie rozumiem.

— Ten facet nie zasługuje nawet na sześć stóp ziemi — oświadczył Hatcher zawiązując linę na relingu rufowym. — Zamierzam popłynąć nad rafę i nakarmić ryby.

Cirillo spojrział przeciągle na niego. Potem sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyki od samochodu.

— Planował szybki odwrót i zostawił je w stacyjce. Papiery w wypożyczalni

są w wozie. Zapłacone kartą kredytową. Tak sobie myślę, a może bym pojechał na lotnisko i oddał kluczyki?

— Dzięki, Jimmy. Możesz mi wierzyć, wyrzuciłeś światu przysługę pakując w niego kulkę.

Cirillo spojrzał jeszcze raz na pływającego za rufą trupa, po czym spokojnie zapalił papierosa.

— Zadzwoń, jak wrócisz — mruknął.

— Zadzwonię. — Hatcher wrócił do sterówki i przesunął dźwignię. Łódź wolno, potem coraz szybciej skierowała się na pełne morze. Wrócił na pokład i objął Ginie.

— Jak się czujesz? — spytał.

— Myślę... że... okay.

— To dobrze.

— Myślę też, że może... powinniśmy porozmawiać o tym tam... — dodała.

— Myślę, że możesz mieć rację — odparł z uśmiechem, mocno ją przytulając.

Wrócili do sterówki, a łódź z balastem za rufą minęła wyjście z portu oznaczone latarnią morską i skierowała się ku rafie koralowej.